

VICTOR DIXEN

FOBOS

TOM 2

moondrive

V I C T O R D I X E N
F O B O S

TOM 2

łumaczenie
Eliza Kasprzak-Kozikowska

moondrive
Kraków 2017

Dla E.

„1 łyżeczka syropu kukurydzianego
1 duża puszka mleka skondensowanego
tyle samo przegotowanej albo destylowanej wody
1 żółtko
wymieszać i ostudzić
żadnego mięsa ani konserw
1 kropla witamin dziennie”

Ostatnie słowa zapisane przez
Jamesa Deana (1931–1955)

PROGRAM GENESIS



Wartość Posagów w ostatnim dniu podróży Cupido

Sześciu uczestników z jednej strony.

Sześć uczestniczek z drugiej strony.

Sześć minut na spotkanie.

Wieczność na miłość.

Uczestniczki

KIRSTEN, lat 19, Niemcy (specjalistka w dziedzinie biologii)	370 234 008 \$
ELIZABETH, lat 18, Wielka Brytania (specjalistka w dziedzinie inżynierii)	222 345 457 \$
LÉONOR, lat 18, Francja (specjalistka w dziedzinie medycyny)	200 234 890 \$
SAFIA, lat 17, Indie (specjalistka w dziedzinie łączności)	171 123 987 \$
KELLY, lat 19, Kanada (specjalistka w dziedzinie nawigacji)	151 345 091 \$
FANGFANG, lat 20, Singapur (specjalistka w dziedzinie planetologii)	132 215 067 \$

Uczestnicy

ALEKSIEJ, lat 18, Rosja (specjalista w dziedzinie medycyny)	202 234 351 \$
MARCUS, lat 19, Stany Zjednoczone (specjalista w dziedzinie planetologii)	197 867 341 \$
TAO, lat 18, Chiny (specjalista w dziedzinie inżynierii)	186 667 008 \$
MOZART, lat 18, Brazylia (specjalista w dziedzinie nawigacji)	177 890 334 \$
SAMSON, lat 18, Nigeria (specjalista w dziedzinie biologii)	151 222 306 \$
KENJI, lat 17, Japonia (specjalista w dziedzinie łączności)	78 999 013 \$

AKT I

1

KANAŁ GENESIS

Sobota 9 grudnia, godz. 12.13

PRZEPRASZAMY ZA NIEDOGODNOŚCI.

PRACUJEMY NAD JAK NAJSZYBSZYM
WZNOWIENIEM ŁĄCZNOŚCI Z CUPIDO.

DZIĘKUJEMY ZA PAŃSTWA
CIERPLIWOŚĆ I ODDANIE.

DO ZOBACZENIA NA WASZYM
ULUBIONYM KANAŁE:

KANAŁ GENESIS!

PLAN

Start + 159 dni, 22 godz. 44 min
(Dwudziesty trzeci tydzień)

Drużyna. Jest nas dwanaścioro. Po raz pierwszy razem znaleźliśmy się w Kuli Spotkań, tej szklanej bańce, do której przez ostatnie pięć miesięcy mogliśmy wchodzić wyłącznie parami. Teraz jesteśmy tu wszyscy, my, uczestnicy programu Genesis, największego *reality show* w historii telewizji i najbardziej bezlitosnego oszustwa wszech czasów.

Jest nas dwanaścioro, spragnionych sławy, przekonanych, że wyruszając na Marsa, zyskamy nieśmiertelność.

Jest nas dwanaścioro, głodnych miłości, ufnych, że będzie jak w baśni – „wyprawili wielkie wesele i żyli długo i szczęśliwie” – czyż nie tak kończą się wszystkie piękne opowieści?

Jest Niemka Kris, moja najwierniejsza przyjaciółka (choć znamy się zaledwie od półtora roku). Z koroną z blond warkoczy na głowie, z wielkimi błękitnymi oczami, przypomina śpiącą królową, która właśnie przebudziła się ze zbyt długiego snu.

Jest Kanadyjka Kelly, niepokorna buntowniczką, rozczochną po bójce, którą niedawno stoczyłyśmy, kiedy dziewczyny myślały, że dostałam ataku paranoi i jestem wściekłą niebezpieczną wariatką.

Jest Hinduska Safia, najmłodsza i najmądrzejsza z nas, którą zraniłam w przyływie szału. Na jej szyi wciąż widać purpurowy ślad po pasku, którym o mało jej nie udusiłam, choć wcale tego nie chciałam.

Są Brytyjka Liz i Singapurka Fangfang, pierwsza to pokładowa top modelka, a druga jest dyżurną intelektualistką, razem podtrzymują za ramiona poturbowaną Safię.

Wszystkie patrzą na mnie ze zdziwieniem – i strachem. Nawet Louve, pokładowa suczka wyglądem przypominająca pudła, wbija we mnie czarne, błyszczące oczy, jakby rozumiała, że tak jak my wszyscy padła ofiarą potwornego oszustwa.

– Wysłali nas na pewną śmierć – powtarzam trzeci raz. Kiedy wymawiam to zdanie, czuję, jakbym miała w gardle żyletki. – Serena i instruktorzy. Pozwolili nam wystartować, wiedząc, że po wylądowaniu nic tu nas nie czeka, nic, poza wadliwymi modułami mieszkalnymi, w których uda nam się przeżyć nie dłużej niż kilka miesięcy. Wszystko jest tu wyjaśnione. Patrzcie.

Dziewczyny zbliżają się do mnie bez słowa, sunąc przez szklaną kulę, do której weszły, gdy przed chwilą podniosłam klapę i otworzyłam właz. Tutaj, w samym sercu statku Cupido, nie ma sztucznej grawitacji – człowiek ma wrażenie, że płynie przez bezkresną próżnię. Ziemia jest tylko jednym z milionów migoczących punkcików. W zagłębieniu mojej dłoni błyszczy przedmiot, który nigdy nie powinien był się tutaj znaleźć, ale zrzędzeniem losu trafił w moje ręce: telefon komórkowy z fotowoltaicznym ekranem, ładujący się dzięki światłu kosmosu.

To gwiazdy sprawiły, że ekran w końcu się rozjarzył, to dzięki nim zajaśniała prawda: obraz byłby piękny, gdyby nie był tak straszliwy...

– Co takiego znalazłaś w tej komórce, że ci zupełnie odbiło? – pyta ktoś głosem pełnym gniewu i wątpliwości.

To Aleksiej, Rosjanin, który swego czasu był najbardziej pożądaną partią wśród uczestniczek programu, dopóki nie zaręczył się z Kris.

Stoi po drugiej stronie pancernej niemożliwej do sforsowania szyby, która dzieli Kulę Spotkań na pół. Jego głos dociera do mnie za pośrednictwem systemu dźwiękowego, umożliwiającego łączność między dwiema idealnie odizolowanymi półkulami. Piorunuje mnie stalowoszarym spojrzeniem, jakbym to ja była za to wszystko odpowiedzialna. Jakbym była zbrodniarką, która zniszczyła jego marzenia. Czy można go winić? Miałam tygodnie, by nabrać podejrzeń, uwierzyć w to, co zupełnie niewiarygodne, i wypowiedzieć na głos to, czego nie sposób wysłować. Ale oni? Oni niczego się nie domyślali i nagle rzucam im to wszystko prosto w twarz jak obelgę, jak niezasłużony policzek. Wierzyli, że są wybrańcami, szczęściarzami przeżywającymi najwspanialszą przygodę w dziejach ludzkości, a teraz dowiadują się, że są jedynie ofiarami, które czeka już tylko okrutny koniec w podłych warunkach.

Twarze chłopców za pancerną szybą przypominają oblicza skazańców, których przyprowadzono z celi śmierci do więziennej rozmównicy na ostatnie spotkanie, nim ruszą korytarzem wprost na krzesło elektryczne.

Czoło Nigeryjczyka Samsona tworzy na szkle plamę w kolorze atramentu, a czoło Japończyka Kenjiego w kolorze mleka. Silne ręce Tao, chińskiego akrobata, naciskają na szklaną przegrodę tak mocno, jakby chciał ją rozbić, co jest oczywiście niemożliwe. Dwaj pozostali chłopcy, Brazylijczyk Mozart i Amerykanin Marcus, nie wpatrują się w mały ekran telefonu, lecz patrzą na mnie.

Na usianą piegami twarz, ubrudzoną zaschniętą krwią.

Na potargane, rude loki i rozdartą muślinową sukienkę w identycznym kolorze.

Na nagą łopatkę z przyczajoną na niej Salamandrą, długą blizną, którą przez całe życie starałam się ukrywać – wystarczyło parę sekund, by ujrzeli ją wszyscy pasażerowie statku.

– „Raport Noego...” – Kris czyta drżącym głosem, pochylając się nad wyświetlaczem telefonu. – To właśnie znalazła, Aleks: „Raport Noego”... – Odchrząkuje, by mówić głośniejsze, aby wszyscy dobrze ją słyszeli. – „Streszczenie raportu: czujniki wskazują, że sześć par szczurów, jaszczurek i karaluchów wysłanych potajemnie w siódmym module mieszkalnym przetrwało przez osiem miesięcy w warunkach marsjańskich, rozmnażając się z częstotliwością zbliżoną do tej, jaka panuje w warunkach ziemskich. Ale na początku dziewiątego miesiąca wszystkie żywe organizmy z niewyjaśnionych przyczyn nagle zginęły. Wniosek: w obecnej sytuacji, aż do wyjaśnienia, co spowodowało niewytłumaczalną śmierć zwierząt doświadczalnych, należy uznać, że moduły mieszkalne na Marsie nie zapewniają długotrwałego podtrzymywania funkcji życiowych organizmów...”

Aleksiej z wściekłością uderza pięścią w szybę, przerywając Kris.

Głęboka bruzda przecina wysokie, gładkie czoło chłopaka.

Jego elegancki biały garnitur z szarą lamówką nagle wydaje się zupełnie nie na miejscu, jest coś niestosownego także w idealnie ułożonej fryzurze kinowego amanta. W filmie, w którym przyszło mu mimo woli grać, nie ma nastoletnich uwodzicieli gotowych postawić wszystko na jedną kartę i wygrać, nie ma superbohaterów zdolnych uratować świat ani tym bardziej księżąt z bajki. Są tylko przegrani na skraju załamania nerwowego.

– Nie wierzę w to! – krzyczy, a jego rosyjski akcent, dotąd trzymany na wodzy, hula teraz jak chart spuszczone z łańcucha. – Ten raport musi być fałszywy!

– Podpisali się pod nim Gordon Lock, Archibald Dragovic i Ruben Rodriguez... – Kris odpowiada cichutko, odczytując kolejne zdania z ekranu komórki. – Nazwiska dyrektora technicznego i mojego instruktora biologii widnieją tu czarno na białym, Aleks...

– Jesteś naiwna! – ucina Aleksiej. – Nie ma żadnych dowodów, że to właśnie oni napisali ten stek kłamstw.

Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że zwraca się do niej raczej jak ojciec strofujący córkę, niż narzeczony do swej wybranki. Kris jednak nie odpowiada, a stojąca za nią Fangfang zdecydowanie kręci głową, czepiając się nadziei, że to tylko zły sen.

– Aleksiej ma rację – mówi. – To z pewnością mistyfikacja, okrutny żart... Musiałaś się pomylić, Léo...

Tak bardzo chciałaby wierzyć w to, co mówi.

Z jej oczu odczytuję niemą prośbę, błaganie, bym odpowiedziała czymś w stylu: „No tak, jasne, że się pomyliłam. Teraz to oczywiste. Co za szczęście, że tu jesteś, Fangfang, ty zawsze masz rację!”

Słowa, które wychodzą z moich ust, są jednak przeciwieństwem tych, na które wszyscy czekają.

– Fangfang, Aleksiej, to nie jest żart. Ja się nie mylę. Brzmi to jak zupełne wariactwo, ale Serena poświęciła nas dla pieniędzy. Taka jest prawda. Postanowiła wyprodukować program, wiedząc o usterkach modułów, by zgarnąć miliardy z wpływów z reklam, od sponsorów i widzów wysyłających esemesy. Kiedy ją o to zapytałam, nawet nie próbowała zaprzeczać. Wie, że ma mało czasu. Zależy jej tylko na tym, byśmy potwierdzili, że jutro, w niedzielę, grzecznie i nie sprawiając żadnych problemów, wylądujemy na Marsie, jak przewidywał plan podróży i jak zapowiedziały wszystkie stacje telewizyjne. A kiedy będziemy już na miejscu, spróbujemy sami naprawić moduły mieszkalne. W zamian za to ona zobowiązuje się, że nie rozhermetyzuje ich zdalnie z Ziemi.

– Czekaj... – szepcze Safia. Jest przerażająco blada, jakby jeszcze cała krew nie wróciła jej do głowy po okropnym wypadku, który nieomal kosztował ją życie. – To potworne... To by oznaczało, że chce kupić nasze milczenie za nikłą szansę przeżycia?

– Tak, Safia. Właśnie taką ohydłą transakcję zaproponowała mi Serena po tym, jak przyznała się do wszystkiego. Mamy grać dalej swoje role, jak gdyby nigdy nic.

Aleksiej mnie nie słucha – czy raczej, słyszy tylko to, co chce.

– Serena przyznała się do wszystkiego!?! – wrzeszczy. – Masz nas za idiotów? Chcesz, byśmy uwierzyli, że Serena przyznała się do wszystkiego na oczach miliardów widzów?

– Transmisja została przerwana. W tej chwili ogląda nas tylko sześć osób: Serena, Gordon oraz instruktorzy, bez Roberta Salvatorego, który uciekł, kiedy dowiedział się, że mam tę komórkę. Należała do Rubena Rodrigueza, którego podpis widnieje pod raportem. Opiekował się zwierzętami z laboratorium NASA, skąd pochodziły te wysłane przed nami na Marsa. Ten facet próbował mnie ostrzec w ostatniej chwili na platformie startowej. Pewnie dopadły go wyrzuty sumienia, gdy zobaczył, jak szykujemy się do wejścia do rakiety. Niestety zareagował zbyt późno. Nie zrozumiałam, co chciał mi powiedzieć. A teraz już nie żyje, został zamordowany, jak wcześniej Sherman Fisher...

– Zamordowany? Ach tak? – odparowuje Aleksiej. – Byłaś przy tym? Widziałaś? Masz dowody? To zabawne, bo mógłbym przysiąc, że ostatnie pięć miesięcy spędziłaś z nami na tym statku, a nie na Ziemi, bawiąc się w Sherlocka Holmesa.

– Aleks, proszę cię, przestań... – błaga Kris.

Aleksiej jednak nie przestaje.

Krzyczy coraz głośniejsze.

Bombarduje mnie pytaniami, które brzmią jak oskarżenia.

– W co ty grasz, Léonor? Bawi cię opowiadanie tych bredni? A w ogóle to co masz z tyłu na ramieniu?

Czuję, jak wszystkie spojrzenia skupiają się na moich plecach, niczym wiązki promieni laserowych. W tej przezroczystej, szklanej bańce, w której się znajduję, nie mam dokąd uciec. Moja sukienka zmieniła się w strzępy ledwie zakrywające bezbronne ciało. Nie mogą mnie też osłonić długie rude włosy, bo w stanie nieważkości unoszą się do góry, zamiast opadać na ramiona. Piętnaście lat starań, by utrzymać bliznę w sekrecie, zmieniło się w jednej chwili w nic niewarte wspomnienie. Odtąd jestem Salamandrą. Salamandra to ja.

– Jesteś chora, prawda? – atakuje wściekle Aleksiej. – Masz jakiegoś ohydneho syfa, który cię wykańcza, i chcesz, byśmy uwierzyli, że wszyscy zdechniemy razem z tobą?

Z krtani Mozarta wydobywa się stłumione warknięcie:

– Zamkniesz wreszcie tę swoją niewyparzoną gębę?

Rzuca się na oślep na Aleksieja i uderza go w klatkę piersiową. Jednak przy całkowitym braku grawitacji cios nie napotyka żadnego oporu i odrzucony siłą uderzenia Rosjanin frunie przez Kulę Spotkań, aż do szklanej ściany, za którą jest już tylko bezbrzeżna kosmiczna próżnia.

– Sam zamknij parszywą gębę, śmieciu! – wrzeszczy. – Dla ciebie to bez znaczenia, czy tu umrzesz? Gdybyś został na Ziemi, przedawkowałbyś dragi w tej swojej plugawej faweli!

Mozart nie sili się na odpowiedź, błyskawicznie doskakuje do Aleksieja i wymierza cios. Rosjanin, przyparty do ściany, nie może się cofnąć: pięść uderza w szczękę z przytłumionym trzaskiem.

– Zapłacisz mi za to! – syczy Rosjanin, wycierając zakrwawione usta wierzchem dłoni.

Nie zwracając uwagi na przenikliwy pisk Kris, Aleksiej odpycha się od ściany i rzuca na Mozarta. Splatają swe ciała, walcząc nie tylko z przeciwnikiem, ale i ze stanem nieważkości. Wyglądają, jakby wykonywali dziwny taniec albo brali udział w zawodach pływania synchronicznego w bezkresnym kosmicznym oceanie. Tyle tylko, że w ich przekrwionych oczach pała żądza mordy. Z ust Aleksieja spływają cienkie strużki krwi i unoszą się wolno w przestrzeni. Za każdym razem gdy Mozart się obraca, jego brązowe loki unoszą się, odsłaniając błyszczącą metalową kulę na karku: jajo śmierci, ampułkę jadu, wszczepianą w szyję każdemu członkowi gangu Aranha.

– Umrzemy... – szepcze Kenji.

Odkleił czoło od szyby, by nasunąć na głowę kaptur swego szarego futurystycznego kombinezonu. Jego strój pokrywa warstwa aluminium, mająca go chronić przed promieniowaniem kosmicznym, mogącym przenikać przez ściany Kuli Spotkań. Zza tej dosyć groteskowej osłony, biorąc pod uwagę śmiertelne zagrożenie, które nad nami wisi, Kenji obserwuje Fobosa. Zdaje się zahipnotyzowany przez tę ogromną, czarną, nieforemną skałę. Ten nieprzeciętnie

uzdolniony, obdarzony fenomenalną pamięcią chłopak, cierpiący na rozmaite fobie i nieprzystosowany do trudnej misji, w której właśnie uczestniczy, powtarza uporczywie wciąż te same słowa, jak zgrana, zacinająca się płyta, która odtwarza w kółko jeden fragment piosenki, jakby właśnie spełniały się wszystkie jego obsesje i paranoiczne wizje.

– Umrzemy... Wiedziałem... Nie ma ucieczki... Nigdy nie było... Kosmos nigdy nie chciał, by gatunek ludzki zamieszkał na Marsie i wszyscy umrzemy...

Samson i Tao próbują bezskutecznie rozdzielić walczących.

Warden, pies chłopców, krzyżówka kundla z dobermanem, zaczyna wściekle ujadać, do czego natychmiast przyłącza się Louve, tymczasem dziewczyny rzucają się na szklaną szybę, każda wykrzykuje imię tego, z którym miała nadzieję spędzić resztę życia – długiego i szczęśliwego życia, pełnego wzruszeń, śmiechu i zachwyków.

Tylko Marcus nie bierze udziału w szarpaninie.

Wygląda, jakby pozostali chłopcy, którzy biją się i szamoczą tuż obok, w ogóle nie istnieli. Wciąż wpatruje się we mnie szarymi, magnetyzującymi oczami, jakbyśmy byli zupełnie sami. Na jego zmarszczonym ze zdenerwowania czole pulsuje żyła. Między szeroko rozchyłonymi połami koszuli, na wysokości serca, widać świeżą ranę, którą sam sobie zadał ostrzem scyzoryka. Litery L, E i O – początek mojego imienia. Wysychając, krwawy tusz zmienił barwę z jasnoszkarłatnej na ciemnopurpurową, niemal czarną, jak kolor niezliczonych tatuaży, które zdobią jego skórę.

Nagle uzmysławiam sobie, że jeśli zawrócimy, nigdy nie będę mogła dotknąć tej skóry. Na tę myśl skręcają mi się wnętrzności.

Jak to cholernie boli!

– Zamknijcie się... – szepczę ze ściśniętym żołądkiem.

Od otaczającego mnie wrzasku pękają mi bębenki.

– Zamknijcie się... – Od krzyku towarzyszy boli mnie głowa. – Zamknijcie się...

Im bardziej dziewczyny zdzierają sobie gardła, im głośniejsi chłopcy wrzeszczą, a psy szczekają, tym wyraźniej dostrzegam patetyczność tego dramatu, który jest zarazem ogromny i mały. Kula Spotkań pośród bezkresnego oceanu śmierci jest tylko miniaturową przestrzenią życia, mierzącą ledwie kilka metrów kwadratowych.

Kula jest delikatna i nietrwała jak bańka mydlana.

– Zamknijcie się!

Tym razem krzyknęłam tak głośno, że musieli mnie usłyszeć. I spojrzeć na mnie.

Wszystkie oczy patrzą teraz na mnie, jedne smutne i pełne łez, inne przekrwione, pałające gniewem i nienawiścią.

– Tam na Ziemi, pięćdziesiąt pięć milionów kilometrów od Cupido, obserwuje nas Serena ze swoją bandą psychopatów – szepczę, wskazując podbródkiem paraboliczną antenę transmisyjną, która wieńczy Kulę Spotkań. – Za trzy minuty, kiedy dotrze do nich sygnał, zobaczą, jak skaczemy sobie do gardeł. Usłyszą obelgi, razy i szlochy. Kiedy wyobrażam sobie uśmiech, jaki pojawi się na idealnie wygładzonej botoksem twarzy tej więdźmy, to czuję się upokorzona i jest mi wstyd. Chce mi się rzygać na samą myśl o tym.

Biorę głęboki wdech.

Nikt się już nie burzy – nawet Aleksiej.

– Ta kobieta zaproponowała nam układ. Teraz czeka na odpowiedź. Chciała, żebym zdecydowała za całą załogę Cupido, ale odmówiłam. Wiecie, co jej powiedziałam, zanim otworzyłam włącz do przedziału mieszkalnego dziewczyn i zażądałam, by przywróciła łączność dźwiękową z przedziałem chłopców?

Czuję, że serce głośno wali mi w piersi, jak wtedy, gdy w szkole stawałam przodem do tablicy, przerażona myślą o tym, że wszyscy patrzą na moje plecy.

– Powiedziałam Serenie, że ona jest sama, podczas gdy nas jest dwanaścioro, a ja jestem częścią drużyny. Twierdziłam, że w tym jest nasza siła. Proszę was, niech to nie stanie się naszą słabością. Musimy trzymać się razem i wspólnie podjąć decyzję. Nie mamy zbyt wielu możliwości. Tak naprawdę istnieją tylko dwie: możemy wylądować na Marsie, jak tego chce Serena, i spróbować naprawić moduły mieszkalne, nie dając nic po sobie poznać przed kamerami, do czego będą potrzebne cholernie duże zdolności aktorskie; możemy też zostać na pokładzie Cupido i zdemaskować ją, kiedy tylko wrócimy na antenę, wiedząc, że umrzemy z głodu, pragnienia i braku tlenu, nim dotrzemy na Ziemię.

Co za ironia: czuję szaloną presję, kiedy wpatruje się we mnie te jedenaście par oczu, choć miałam gdzieś fakt, że przez ostatnie pięć miesięcy każdy mój ruch przez całą dobę śledziły anonimowe miliardy widzów. Skąd te emocje? Ponieważ zależy mi na tej jedenastce osób i boję się, że ich stracę, oto skąd!

– Nie wiem, czy uda nam się wyjść z tego cało – stwierdzam. – Nie wiem, jak sobie poradzimy, jeśli wylądujemy na Marsie, ani jak długo przeżyjemy, jeśli zostaniemy na pokładzie Cupido.

Tak naprawdę nie wiem nic. Z wyjątkiem jednego: jest nas dwanaścioro.

Dwanaście żyć.

Dwanaście głosów.

Zagłosujmy.

KONTRPLAN

**Schron przeciwiatomowy, baza na przylądku Canaveral,
sobota 9 grudnia, godz. 12.52**

– *Tam na Ziemi, pięćdziesiąt pięć milionów kilometrów od Cupido, obserwuje nas Serena ze swoją bandą psychopatów.*

W głębi ciemnego bunkra, w którym zebrali się organizatorzy programu Genesis, na jednym z okien wielkiej cyfrowej ściany wyświetla się w ogromnym zbliżeniu usiana piegami kocia twarz Léonor.

– *Za trzy minuty, kiedy dotrze do nich sygnał, zobaczą, jak skaczymy sobie do gardeł. Usłyszą obelgi, razy i szlochy.*

Właśnie upłynęły trzy minuty, odkąd Léonor wypowiedziała te słowa, czas niezbędny, by laserowy system łączności przesłał wiadomość z Cupido na Ziemię – wprost do przebywających w bunkrze konspiratorów.

W sinym świetle cyfrowej ściany ich pobladłe, przestraszone twarze o trudnym do określenia wieku wyglądają jak księżyce.

Geronimo Blackbull, instruktor inżynierii, nawija nerwowo kosmyki długich, ufarbowanych na kruczoczarno włosów na upierścienione palce, podczas gdy Odette Stuart-Smith, instruktorka planetologii, ścisła wiszący na szyi krzyżyk i szepcze modlitwy.

W przeciwieństwie do niepokojącej twarzy Archibalda Dragovica, instruktora biologii, którą wykrzywiają tiki nerwowe, oblicze lekarza Arthura Montgomery'ego jest tak nieporuszone, że wygląda, jakby było wykute w skale, a ozdobione szarym wąsem ściśnięte usta zdają się zaszyte.

Zamykający krąg Gordon Lock, dyrektor techniczny programu, wyciera dłonią spocone czoło.

– *Kiedy wyobrażam sobie uśmiech, jaki pojawi się na idealnie wygładzonej botoksem twarzy tej więdźmy, to czuję się upokorzona i jest mi wstyd. Chce mi się rzygać na samą myśl o tym.*

Wbrew temu, co sądzi Léonor, stojąca pod cyfrową ścianą kobieta w zielonym kostiumie wcale się nie uśmiecha. Twarz okolona srebrzystą, idealnie ułożoną i twardą jak lodowy blok fryzurą, jest poważna i skupiona. Całe jej ciało wyciąga się w kierunku cyfrowego okna, skąd przemawia ta, którą po wylądowaniu na Marsie zamierzała zdmuchnąć jak pyłek kurzu, usunąć jednym skinieniem palca razem z pozostałymi pasażerami statku, których bez wahania skazała na śmierć.

A teraz ta dwunastka stoi jej na drodze do nieopisanego bogactwa

i najwyższej władzy, do osiągnięcia celu, któremu poświęciła całe życie pełne kłamstw i manipulacji, do żyły złota obiecanej przez Atlas Capital i stanowiska wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki.

– A jeśli nie pójdą na układ...? – szepcze nagle Gordon Lock. – A jeśli postanowią nie lądować na Marsie, tylko zawrócić i wyjawić prawdę o raporcie Noego...? Moja głowa spadnie jako pierwsza, pod raportem widnieje moje nazwisko! – Ukrywa łysą czaszkę w wielkich dłoniach. Jego drżący, nagle zbyt piskliwy głos zupełnie nie pasuje do zwalistej sylwetki olbrzyma. – Nie powinienem był się zgadzać na zniszczenie raportu w zamian za pieniądze zaoferowane przez Atlas Capital. Trzeba było podać go do publicznej wiadomości, ryzykując odwołanie programu, rezygnację z podboju Marsa, nawet jeśli musiałbym przejść na wcześniejszą emeryturę bez żadnej nagrody. Jak mogłem posunąć się do czegoś takiego, ja, były pracownik NASA, szanowany naukowiec... Nie chcę skończyć w więzieniu... Mam rodzinę, żonę, dzieci...

– Przestań zawodzić! – ruga go ostro Serena. – Przypomina mi to żałosne jęki Rubena Rodrigueza. Nie ocalił w ten sposób swojej skóry. A co do twego dzieciennego strachu przed więzieniem, przejrzyj na oczy: jeśli raport Noego zostanie odkryty, to gwarantuję wam, że policja szybko dojdzie do tego, kto zamordował Rubena i Shermana, nie wspominając o wysłaniu na śmierć dwanaściorga uczestników programu. Nie czekałoby nas więzienie, ale krzesło elektryczne za zabójstwa z premedytacją.

Szepty przerażenia rozchodzą się echem w bunkrze.

Producentka wykonawcza programu jednak jak zwykle nie okazuje żadnych emocji.

– Co za okrutna ironia losu! – mówi. – Nasz los spoczywa w rękach tych skończonych zer, tych śmieci, które wyciągnęłam z najbardziej odrażających rynsztoków ludzkości. Mieli odstawić *show* i zginąć, równie nieświadomi jak owady z misji Noego. Ale karaluchy odkryły, co je czeka. Kto by przypuszczał? A teraz nie chcą dać się rozdeptać bez walki. To fascynujące...

– Jak możesz być taka spokojna? – duka Gordon Lock z mieszaniną odrazy i podziwu. – Nie jesteś człowiekiem... Jesteś androidem jak te, którymi posługuje się Atlas Capital...

– Androidem? Nie. Jestem po prostu realistką. I jestem dalekowzrocza. Jeśli to was uspokoi, to przypominam, że prywatny odrzutowiec, który Atlas Capital oddał do mojej dyspozycji na początku programu, czeka na lądowisku tuż nad naszymi głowami. Jeśli sprawy przybiorą naprawdę zły obrót, możemy uciec za granicę, do jakiegoś neutralnego kraju, który chętnie nas przyjmie w zamian za brzęczące monety. Na razie jednak muszę wystosować krótkie oświadczenie, żeby widzowie mieli o czym myśleć – przesuwając palcem po cyfrowej ścianie, na której pojawia się klawiatura dotykowa. – Ktoś musi się zająć *public relations*, skoro nasz

specjalista od komunikacji Sherman Fisher wystawił nas do wiatru.

POZA PLANEM

**Willa Sereny McBee, Long Island, stan Nowy Jork,
sobota 9 grudnia, godz. 12.53**

Dziewczyna siedzi na brzegu łóżka zasłanego jedwabnymi poduszkami. Jest ubrana w sukienkę z szarej koronki z długimi rękawami. Delikatne ornamenty znikają pod okrywającym ramiona grubym wełnianym szalem, na który opadają jej jasne, niemal białe włosy. Patrzy na wiszący naprzeciwko między dwoma obrazami impresjonistów czarny ekran, na którym pojawiają się białe litery, w miarę jak niewidzialna dłoń wstukuje je gdzieś na klawiaturze:

DRODZY WIDZOWIE, TU SERENA McBEE.

ZAPEWNE JESTEŚCIE BARDZO ZMARTWIENI PRZERWĄ
W NADAWANIU PROGRAMU,

NIE MA JEDNAK POWODÓW DO NIEPOKOJU.

STATEK CUPIDO DZIAŁA BEZ ZARZUTU,

A UCZESTNICY SĄ ZDROWI I CZUJĄ SIĘ DOSKONALE.

POTRZEBUJĄ TYLKO ODROBINY CZASU POZA ANTENĄ,

NA TE KILKA GODZIN PRZED HISTORYCZNYM LĄDOWANIEM NA
POWIERZCHNI MARSA.

OPUŚCILI NAS NA PARĘ CHWIL, BY WRÓCIĆ WE WSPANIAŁYM
STYLU.

JUŻ NIEBAWEM WSZYSTKO WAM WYJAŚNIMY.

DO ZOBACZENIA WKRÓTCE NA WASZYM ULUBIONYM KANALE:

KANAŁE GENESIS!

Wykrzyknik kończy wiadomość.

Kolejne litery już się nie pojawiają.

Obraz zastyga, utrzymując miliardy widzów w pełnym napięciu wyczekiwaniu – a młodą dziewczynę siedzącą na łóżku prawdopodobnie bardziej niż kogokolwiek innego.

– Mamo... – szepcze Harmony McBee, gdy nagle w jej ogromnym pokoju, w tym przestronnym więzieniu o zakratowanych oknach, za którymi pada grudniowy śnieg, rozlega się jakiś hałas.

Dziewczyna gwałtownie odwraca głowę w stronę drzwi.

Tak, to stamtąd dochodzi hałas!

Znów go słyszy!

Ktoś drapie delikatnie po drugiej stronie.

Harmony wstaje, przebiega po wypastowanej podłodze i przykłada ucho do drzwi.

– Czy to ty? – szepcze. – Chłopak, którego widziałam w ogrodzie?

– Tak – odpowiada stłumiony głos. – Dziękuję, że mnie nie wydałaś...

– Przyniosłeś moją działkę? – pyta gorączkowo Harmony. – Jest za zimno dla gołębi, dlatego przyszedłeś osobiście, tak? Przysłali cię, żebyś mi dostarczył to, czego potrzebuję?

– Działkę? Gołębie? Nie rozumiem... Nie jestem tym, na którego czekasz.

Na bladej twarzy Harmony pojawia się okropny grymas – odbicie rozczarowania, pustki, której nic nie może wypełnić, pogardy dla samej siebie i swej słabości.

– Co w takim razie tutaj robisz i kim jesteś!? – krzyczy z wściekłością, osuwając się bezwładnie na podłogę. – Duchem, który chce mnie wystraszyć? Halucynacją wywołaną głodem? Czy tylko zwykłym powiewem wiatru...

– Błagam cię, nie krzycz! – prosi głos po drugiej stronie drzwi. – Nie jestem powiewem wiatru. Przyszedłem, by z tobą porozmawiać, wszystko ci wyjaśnić.

Klamka się porusza, ale nic się nie dzieje.

Chłopak naciska jeszcze raz.

Znowu nic.

– Jesteś uwięziona? – pyta cicho. – Dlaczego? Kim jesteś?

Przez twarz Harmony przebiega cień.

Marszczy jasne brwi – jakby to pytanie, najprostsze, najbardziej oczywiste ze wszystkich, było dla niej zagadką: „kim jesteś?”.

– Sam już odpowiedziałeś, Duchu... – odzywa się w końcu półgłosem. – Jestem Uwięziona... Jestem Zamurowana... Jestem Delikatną Trzcina, którą byle podmuch może złamać... Tak w każdym razie twierdzi moja matka, Serena McBee.

Po słowach Harmony zapada kilkusekundowa cisza.

– Serena McBee? – powtarza chłopak za drzwiami. – Serena nie ma córki!

- Owszem, ma. Od osiemnastu lat.
- Ale kim jest twój ojciec?
- Nie wiem.

Znów cisza.

A potem nagle gorączkowo wypowiedziane słowa:

– Słyszę kroki na schodach! Muszę uciekać. Muszę się schować!

– Nie, Duchu, nie odchódź! – woła Harmony, przywierając wątłym ciałem do drzwi.

– Wrócę. Obiecuję. Żeby cię uwolnić. Jeśli tego chcesz. Jeśli mnie poprowadzisz.

Harmony mówi najszybciej, jak potrafi, na jednym oddechu:

– Lokaj Balthazar. Trzyma wszystkie klucze w szufladzie biurka. Na parterze. Na samym końcu prawego skrzydła domu. Jesteś tu jeszcze?

Tym razem na pytanie dziewczyny odpowiada tylko dochodzący zza okratowanego okna monotony szum wiatru, w którym wirują białe płatki śniegu.

PLAN

Start + 159 dni, 23 godz. 24 min
(Dwudziesty trzeci tydzień)

– Poczuliście to!? – wykrzykuje Liz.

Tak poczuliśmy to wszyscy: wrażenie dziwnej pustki, ucinające gwałtowną kłótnię, którą prowadzimy od wielu minut po obu stronach szklanej przegrody.

– Może to jakaś awaria – szepce Fangfang.

– Nie – mówi Kelly. – Jeśli silniki się zatrzymały, to znaczy, że dotarliśmy do celu. Cupido wszedł na orbitę, po której Fobos krąży wokół Marsa.

Nasza specjalistka w dziedzinie nawigacji ma rację.

Nie słychać już silnika jądrowego ani rakiety hamującej. Nieprzerwany, ledwo wyczuwalny warkot statku, który kołysał nas przez pięć miesięcy, nagle ucichł, ustępując miejsca nieprzeniknionej ciszy kosmosu.

Nie przybliżamy się już do Fobosa, lecz podążamy w ślad za nim. Jeszcze nigdy nie widzieliśmy go tak dokładnie przez szklaną ścianę kuli: nadęty, nieforemny, ciągnie nas za sobą, jak kometa swój ogon. Z tej niewielkiej odległości można dostrzec jego potworną, ospowatą, usianą kraterami powierzchnię. Z jednego z nich wystaje mała metalowa wieża, przytwierdzona do skały.

– Co to...? – pyta drżącym głosem Kris.

– To główna antena komunikacyjna, zainstalowana na Fobosie przez misję bezzałogową, która dotarła tu przed nami – odpowiada ponuro Safia. – Za pomocą dodatkowych satelitów umieszczonych na orbicie wokół Marsa, przechwytuje dane radiowe przesyłane z bazy Nowy Eden i przekształca je w wiązkę promieni laserowych, którą wysyła w przestrzeń kosmiczną z prędkością światła. Wszelkie obrazy z kamer dla kanału Genesis, dokumentujące resztę naszego życia, każde nasze połączenie z Ziemią: wszystko to będzie przechodziło przez Fobosa, jeśli wylądujemy...

Hinduska wskazuje palcem wielką, czerwoną kulę Marsa, która zdaje się wciągać nas jak otchłań.

– Musimy coś zrobić! – krzyczy Fangfang w przypiływie paniki. – I to natychmiast, zanim planeta wciągnie nas nieodwracalnie w swoje pole grawitacyjne!

– Dopóki zachowujemy tę odległość, nie mamy się czego obawiać – odpowiada Kelly. – Cupido dalej nie poleci. A tym, którzy chcą dotrzeć na Marsa, przypominam, że zgodnie z planem lądowanie ma się odbyć w kapsułach. Mnie

w każdym razie tam nie będzie. Głosuję za powrotem na Ziemię.

Słowa Kelly, pierwszej, która podjęła decyzję, spadają na nas jak topór kata.

Bo tym właśnie są: ostrzem gilotyny, ostatecznym, nieodwoalnym wyrokiem – ponieważ powrót na Ziemię oznacza pewną śmierć.

– Mówisz poważnie...? – pyta Fangfang.

Kanadyjka kiwa głową, a jej długie tlenione włosy falują dookoła twarzyczki przypominającej oblicze lalki Barbie.

– Nigdy nie byłam poważniejsza. Przez całe życie ja i moja rodzina pozwalaliśmy się traktować jak śmieci, ale już tego wystarczy, więcej nie wytrzymam. Moich wiecznie naćpanych braci wykorzystują dealerzy, pastwią się nad nimi gliniarze, a porządni ludzie nimi gardzą. Wyruszyłam na Marsa, bo chciałam, by patrząc w niebo, mogli myśleć o młodszej siostrze i pocuć to, czego nigdy nie znali: dumę. Ale okazuje się, że zostałam jeszcze bardziej upokorzona! Marsjański królik doświadczalny, nie może być gorzej! Teraz liczy się dla mnie tylko zemsta. Nieważne, wylądujemy czy zostaniemy na pokładzie Cupido, i tak wszyscy zginiemy. Z tą różnicą, że na Marsie możemy zdechnąć w każdej chwili. Tak, jasne, możemy przetrwać kilka dni czy kilka miesięcy, trzęsąc się ze strachu, że Serena naciśnie guzik i rozhermetyzuje bazę. Nazywacie to życiem? Ja nie. Na statku możemy przynajmniej ocenić, na ile starczy nam zapasów. I wykorzystać ten czas, by posłać tę sadystkę Serenę do diabła!

– Osiemdziesiąt trzy dni.

To Samson odzywa się z drugiej strony szklanej przegrody.

Ma w dłoniach tablet, a w jego oczach odbija się światło ekranu. Jako specjalista w dziedzinie biologii ma dostęp do danych i statystyk dotyczących zaopatrzenia oraz systemów podtrzymywania życia na statku.

– Obie części Cupido korzystają z tego samego systemu recyklingu – tłumaczy – który z jednej części ścieków odzyskuje czystą wodę, a dzięki elektrolizie drugiej części produkuje tlen. Jeśli wykorzystamy każdą kroplę moczu i całymi tygodniami będziemy pozostawać zupełnie bez ruchu, by uniknąć strat w postaci potu, możemy w najlepszym wypadku wyprodukować tysiąc litrów wody. Minimum niezbędne do przeżycia to litr wody dziennie. Łatwo policzyć: tysiąc podzielone na dwanaście równa się osiemdziesiąt trzy. Umrzemy z pragnienia po upływie osiemdziesięciu trzech dni... albo trochę wcześniej, jeśli w równaniu uwzględnimy jeszcze psy.

Na te słowa Warden przytula się do boku Samsona.

– To jakiś absurd! – wykrzykuje Aleksiej.

Mierzy Nigeryjczyka wzrokiem od stóp do głów. Na szczęście Rosjanina w miejscu, gdzie trafiła pięść Mozarta, wykwitł wielki siniak.

– Chcesz, byśmy uwierzyli, że można przeżyć osiemdziesiąt trzy dni bez jedzenia? Przypominam ci, że nasza spiżarnia jest prawie pusta, a nie da się żyć

tylko o czystej wodzie i tlenie. Jeśli zawrócimy, na początku trzeba będzie poświęcić psy. Po pierwsze, by pozbyć się niepotrzebnych stworzeń zużywających nasz tlen, po drugie, by zjeść psią karmę, i w końcu, by przerobić je na steki.

Aleksiej patrzy na nas wszystkich, jakby rzucał nam wyzwanie.

– Tego chcecie? – pyta. – Żebyśmy najpierw zżarli psy, a potem siebie nawzajem? Żebyśmy się zmienili w podludzi, w bezkształtne, niemrawe robaki, bo według scenariusza Samsona nie ma mowy o żadnej aktywności fizycznej, by walczyć z zanikiem mięśni z powodu nieważkości? Ja nie chcę skończyć w ten sposób! – Spluwa przed siebie, a plwocina zmieszana z krwią unosi się w powietrzu, tworząc dziwną, czerwonawą arabeskę. – W Moskwie nieraz dostałem w skórę. Nieraz czułem w ustach obrzydliwy posmak krwi. Musiałem wiele wycierpieć i wiele poświęcić. Ale jednej rzeczy nigdy się nie wyrzekłem, nawet pod gradem ciosów: honoru. Chcę stanąć na Marsie z wysoko podniesioną głową, z Kris u mego boku!

Zatapia swe stalowoniebieskie spojrzenie w lazurowych oczach mojej przyjaciółki.

– Kris, powiedz im. Powiedz im, że wylądujesz razem ze mną. W przeciwnym razie nigdy nie będziemy mogli się dotknąć, pocałować. Nie będę miał szansy, by klęknąć przed tobą i wsunąć ci go na palec... – Wskazuje na pierścionek, który zawiesił sobie na łańcuszku na szyi, ten sam, który obiecał Kris w dniu, kiedy się zaręczyli, ponad trzy miesiące temu.

– Tak – szepcze Kris, nie odrywając wzroku od oczu Aleksieja. – Tak, wyląduję z tobą, z miłości...

– Dziękuję ci, mój aniele.

– ... pod dwoma warunkami. Po pierwsze, coś mi obiecasz, a po drugie, przeprosisz.

Aleksiej bez słowa kiwa głową, choć jego źrenice błyszczą ze wzburzenia.

– Musisz obiecać, że uszanujesz wspólną decyzję, tak jak ja ją uszanuję – ciągnie Kris. – Jeżeli większość postanowi zawrócić, będziemy musieli się temu podporządkować.

– A dlaczego nie możemy podzielić się na dwie grupy?

– Naprawdę sądzisz, że Serena na to pozwoli? Myślisz, że zgodzi się, aby część z nas została na pokładzie statku i wydała ją zaraz po wejściu na antenę, podczas gdy pozostali jak gdyby nigdy nic wylądują na Marsie? Albo wszyscy lądujemy, albo wszyscy wracamy. Nie mamy innego wyjścia, jak tylko trzymać się razem. Musimy zdać się na decyzję większości i na łaskę Boga. Ty też. Obiecuj.

– Obiecuję. A przeprosiny? Powiedziałaś, że muszę przeprosić?

– Proszę cię, przeproś Léo za to, co powiedziałaś. Jej blizna nie jest wynikiem żadnej choroby. To oparzenie. Nie jest zaraźliwe.

Kolejny raz cała uwaga skupia się na mnie, co sprawia, że czuję się bardzo

nieswojo. Kładę rękę na ramieniu mojej kochanej Kris.

– Daj spokój...

Ale Aleksiej odwraca się w moją stronę.

– Przepraszam, Léo – szepcze, spuszczać wzrok. – Nie chciałem... tego powiedzieć. Zrobiłem to w gniewie. Straciłem zimną krew. Przestałem się kontrolować i plotłem głupoty. Przepraszam.

– Nic się nie stało. – Macham dłonią, by dać do zrozumienia, że już zapomniałam o przykrości, która mnie spotkała, ale przede wszystkim, by odgonić te wszystkie wbijające się we mnie spojrzenia. – Czas ucieka. Głosujmy dalej.

Zaczynam odliczać w myślach, tak jak z pewnością wszyscy pozostali. Jeden głos za pozostaniem na pokładzie – Sprawiedliwość; dwa głosy za lądowaniem na Marsie – Nadzieja.

– Ja głosuję za powrotem na Ziemię! – wykrzykuje nagle Safia.

Jej twarz wciąż jest bardzo blada. Ale w żywych, czarnych oczach błyszczy zdecydowanie.

– Co wy sobie wyobrażacie? – ciągnie. – Że umowa z Sereną jest jak oferta *Spokój ducha*, którą proponuje nowym abonentom mój sponsor Karmafone? Gwarancja najszerszego zasięgu, przejrzystość naliczania opłat i darmowe wsparcie techniczne przez całą dobę? Obudźcie się! Przecież doskonale wiecie, że przy pierwszej nadarzającej się okazji Serena naciśnie guzik i rozhermetyzuje bazę! W tej chwili mamy szansę zaświadczyć, powiedzieć całemu światu o tym, jak nas potraktowano; jeśli teraz nie wykorzystamy tej okazji, może się już więcej nie powtórzyć. Ci dranie poświęcili nas dla pieniędzy. Serena McBee, TA Serena McBee, która ma zostać wiceprezydentem USA, wysyła świadomie dwanaścioro nastolatków na pewną śmierć, a my zrywamy to milczeniem? Zdajecie sobie sprawę, co to oznacza? Nie zgadzam się! Bo tu nie chodzi tylko o nas, rozumiecie...?

Ozdobione małym złotym kolczykiem nozdrza Hinduski rozszerzają się przy każdym oddechu. Patrząc na jej odwagę, trudno sobie wyobrazić, że jest najmłodszą uczestniczką programu – dopiero drugiego lutego skończy osiemnaście lat.

To pragnienie sprawiedliwości tak przemienia tę młodą dziewczynę, którą wzgardzony narzeczony oblał żrącym kwasem, po czym wyparła się jej rodzina. Przemawia dalej pewnie i zdecydowanie, a każde jej słowo brzmi boleśnie prawdziwie:

– Posłuchajcie mnie. My, sieroty, wyrzutki, myśleliśmy, że program Genesis daje nam drugą szansę. Że dzięki niemu niesprawiedliwość, jaka nas spotkała, zostanie nam wynagrodzona. Wiem, że trudno się z tym pogodzić, ale musimy przyznać, że srodze się pomyliliśmy. Ale to jeszcze nie wszystko. Ponieważ teraz spotyka nas jeszcze większa niesprawiedliwość, podłość wręcz monstrualna. Jeśli

pozwoimy jej zapanować, ofiar będzie nie dwanaście, będą ich miliony. Serena, ta podła żmija, ma wkrótce zostać wybrana wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych. Wyobrażacie sobie, jaki będzie świat, jeśli ktoś jej pokroju zdobędzie takie stanowisko? Udaremnijmy to! Możemy to zrobić. To jest naszym obowiązkiem. Kto się ze mną zgadza?

Po drugiej stronie pancernej szyby Samson wpatruje się w Safię z podziwem. Nie spuszczać z niej oczu, robi kilka gestów ręką, a ona kiwa głową z powagą. Co to? Jakiś tajemny język migowy? Nie ma czasu, by prosić o wyjaśnienia.

– Zgadzam się z Safią – oświadcza Samson. – Głosuję za powrotem na Ziemię.

I tak szala zwycięstwa przechyla się na drugą stronę: trzy głosy na Sprawiedliwość, dwa głosy na Nadzieję.

Liz i Fangfang gwałtownie odsuwają się od Safii, jakby ta nagle stała się trędowata.

– Głosować za powrotem...? – mruczy pod nosem Angielka. – Nie wiem... Nic już nie wiem... Miałam takie wielkie nadzieje! Tyle razy wyobrażałam sobie, jak moje baletki stąpają po marsjańskim piasku... Mogłabym w tak lekkiej atmosferze unieść się aż na dwa metry, wykonując *entrechat*... Chciałam być pierwszą gwiazdą tańca w kosmosie, zyskać nieśmiertelną sławę... – Zamglony wzrok Liz gubi się gdzieś daleko w przestrzeni, jakby oglądała film wyświetlający się przed jej oczami, a przedstawiający marzenie, z którego nie chce zrezygnować. – Jeszcze nie jest za późno... – szepcze drżącym głosem. – Jeszcze nie jest za późno, by wypisać swoje imię na firmamencie. W życiu tancerki nie liczy się liczba występów: jedyne, co się naprawdę liczy, to chociaż raz zrobić coś, czego nikt wcześniej nie dokonał. Nawet jeśli umrę jutro, chcę, żeby świat zapamiętał mnie jako wielką artystkę, a nie godną pożałowania ofiarę, zamkniętą do końca swych dni w puszcze sardynek, wystrzelonej w sam środek wielkiej próżni. Chcę zatańczyć swój ostatni taniec! Zaslужuję na to. Głosuję za lądowaniem!

Liz przesuwa się w kierunku Kris, przyklejonej do szyby w miejscu, gdzie po drugiej stronie stoi Aleksiej, podczas gdy Kelly i Samson zbliżyli się do Safii. W ten sposób utworzyły się dwie grupy. Połowa załogi zagłosowała. Szanse znów się wyrównały: po trzy głosy z każdej strony...

– A ty Fangfang? – pyta Safia. – Co wybierasz?

Singapurka drżącą ręką poprawia kwadratowe okulary na nosie.

– Potrzebuję więcej danych – jąka się. – Nie mogę zdecydować pod wpływem emocji. Nigdy tak nie postępuję. Zanim zgłosiłam się do programu Genesis, przez wiele tygodni dokładnie wszystko analizowałam: wszystkie techniczne parametry misji, kryteria selekcji, wszystko!

– A mimo to dałaś się zrobić tak samo jak ja, choć wysłałam zgłoszenie bez zastanowienia, pod wpływem chwili – stwierdza Kelly z bezlitosną

przenikliwością.

Ale Fangfang wcale jej nie słucha.

– Mogę zobaczyć komórkę? – prosi.

Podaję jej telefon.

Zaczyna przewijać strony raportu Noego, zapisane w pamięci urządzenia. Jej oczy przesuwają się po liniach tekstu z niezwykłą prędkością, jak metronom ustawiony na najszybsze tempo. Całym swym jestestwem chwytają się rozumu, który, jak dotąd, nigdy jej nie zawiódł – ona jest mózgiem naszego zespołu, ma doktorat z matematyki i jest specjalistką w dziedzinie planetologii.

Nagle uświadamiam sobie, że każdy ma swoje koło ratunkowe, coś, czego może się uchwycić, kiedy wszystko wokół się wali – nadrzędną wartość, która nadaje sens tym ostatnim chwilom, które nam zostały, nim wszystko zetrze śmierć.

Dla Fangfang jest to rozum.

Dla Liz – sława.

Dla Samsona i Safii tą wartością jest obowiązek.

Dla Aleksieja to honor.

Dla Kris – miłość.

Dla Kelly – zemsta.

Co dla mnie jest najważniejsze? Co pomoże mi podjąć decyzję, kiedy nadejdzie moja kolej? Czy przeważą nienawiść do Sereny, którą pragnę zamordować, czy skóra Marcusa, której tak bardzo pragnę dotknąć?

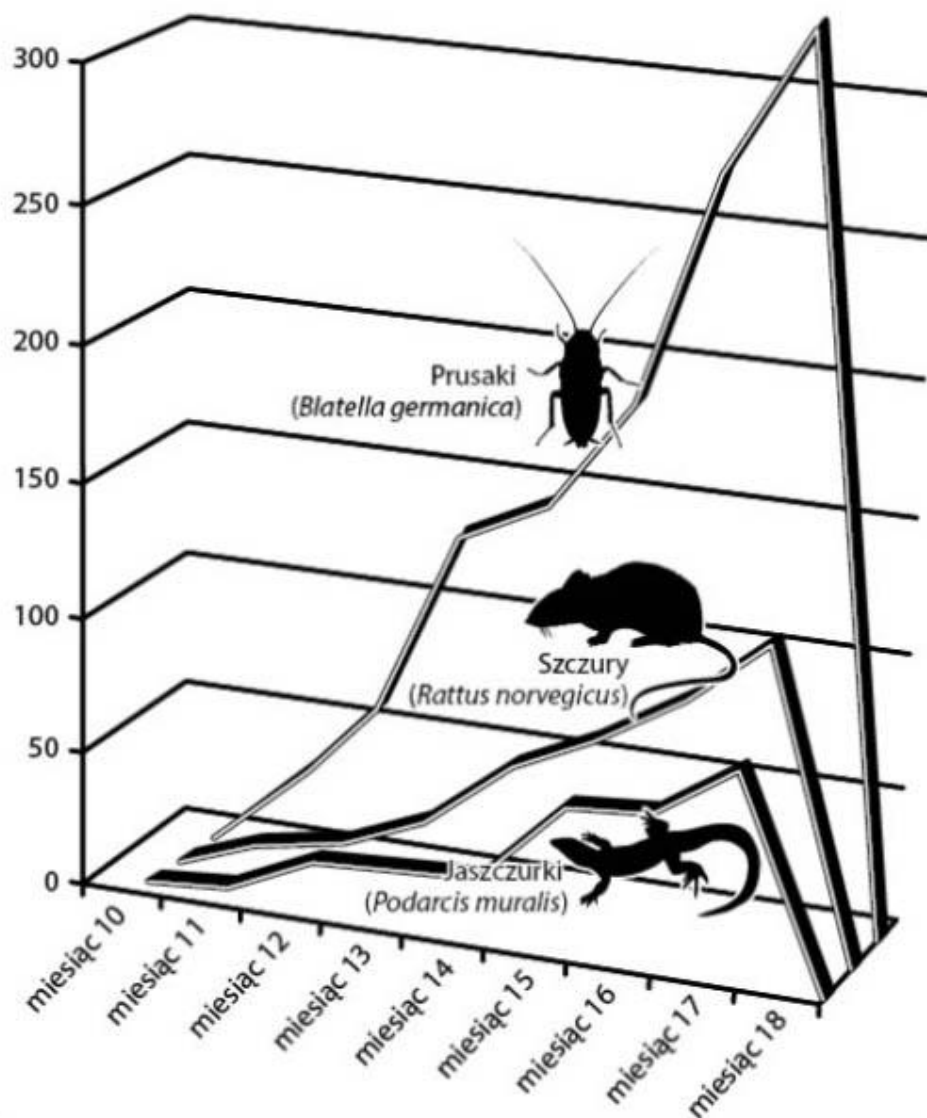
– Mam coś! – wykrzykuje nagle Fangfang.

Macha telefonem. Dziewczyny przysuwają się do niej bliżej, żeby lepiej widzieć, a chłopcy przyciskają czoła do szklanej przegrody.

Na ekranie wyświetla się schemat przedstawiający trzy krzywe, które najpierw systematycznie się wznoszą, by nagle opaść, tworząc jakby urwisko nad przepaścią.

RAPORT NOEGO /

rozwój populacji siódmego modułu mieszkalnego



– Wydaje mi się, że znalazłam coś ciekawego... – mówi Fangfang. – Popatrzcie. To dane o rozwoju populacji z siódmego modułu.

Singapurka znowu poprawia okulary, jak zawsze gdy jest zdenerwowana, po czym zakłada za ucho pasmo swych czarnych, lśniących włosów. Czuję, że stara się kontrolować drżenie głosu, by okazać nam spokój i opanowanie, jakie przystożą specjalistce z dziedziny planetologii, w dodatku najstarszej osobie na pokładzie.

– Te krzywe pokazują, jak przez kilka miesięcy rozwijały się trzy grupy zwierząt doświadczalnych: prusaki, szczury i jaszczurki, przysłane tu przed nami.

– Dlaczego wykres zaczyna się w dziesiątym miesiącu? – pyta Kris. – Podróż tych zwierząt na Marsa trwała aż dziesięć miesięcy?

– Nie – odpowiada Fangfang. – Pamiętaj, że na Marsie czas płynie inaczej: marsjańska doba, czyli sol, jest o czterdzieści minut dłuższa od ziemskiej i zamiast dwunastu miesięcy mamy ich aż dwadzieścia cztery. To oznacza, że zwierzęta przyleciały tu w dziesiątym miesiącu roku marsjańskiego... – rzuca nerwowe spojrzenie na ogromną czerwoną planetę, która potrzebuje dwa razy więcej czasu niż Ziemia, by okrążyć Słońce – i że zginęły w osiemnastym miesiącu.

– Jak na razie nie odkryłaś żadnej sensacji – przerywa Kelly. – Od początku wiemy, że zdychały przez dziewięć miesięcy, wszystko jedno marsjańskich czy ziemskich; akurat tyle ile trwa ciąża, o ironio!...

– Nie rozumiesz! – wykrzykuje Fangfang, niezdolna dłużej utrzymać nerwów na wodzy. – Osiemnasty miesiąc nie jest taki jak pozostałe! To *perihelium*!

– Pery-co?

– To czas, gdy odległość między Marsem a Słońcem jest najmniejsza.

Oczy Singapurki błyszczą z podniecenia, gdy zaczyna opisywać zjawisko, którego nigdy nie widziała, ale uczyła się o nim tyle, że musiało się jej śnić po nocach:

– W czasie *perihelium* temperatura wzrasta... Rozgrzane powietrze szaleje i podnoszą się wiatry wiejące z prędkością nieznaną na Ziemi... Miliony ton cząstek unoszą się w atmosferze, spowijając planetę grubym, czerwonym, nieprzejrzystym płaszczem... Osiemnasty miesiąc to czas Wielkiej Burzy Piaskowej, która zdarza się na Marsie co roku!

Wymieniamy spojrzenia pełne niewypowiedzianych pytań.

Wszyscy, poza Marcusem, który wciąż nie spuszcza mnie z oczu.

Dałabym wszystko, by wiedzieć, co o tym sądzi, co chodzi mu teraz po głowie.

– Czy to ta Wielka Burza zabiła zwierzęta wysłane przed nami na Marsa? – pyta Kris.

– Dokumenty tego nie stwierdzają – odpowiada Fangfang, przewijając kolejne strony raportu Noego w telefonie. – Baza Nowy Eden została tak

skonstruowana, by podobne zjawiska nie miały wpływu na jej mieszkańców. Według danych, które mam przed oczami, systemy podtrzymywania życia przez cały osiemnasty miesiąc działały bez zarzutu, później też funkcjonowały normalnie. Wciąż odzyskiwana była woda zamrożona pod powierzchnią planety, generator produkował tlen, a rośliny w szklarni rosły. W dzienniku pokładowym nie odnotowano żadnej awarii. Ale zaraz...

Oczy Fangfang otwierają się szeroko.

– ... raport stwierdza, że utracono kontakt z bazą na ponad godzinę, trochę więcej niż marsjański rok temu, 511 sola osiemnastego miesiąca między godziną 22.27 a 23.29, czyli tuż przed tym, jak krzywe wykresu gwałtownie się załamały!

– Jak to, utracono kontakt? – pyta Samson zza szyby.

– Autorzy raportu przypuszczają, że kiedy zerwała się przedostatnia Wielka Burza, sygnał wysyłany z Marsa na Ziemię został poważnie zakłócony i minęło trochę czasu, nim udało się odzyskać łączność... – Fangfang bierze głęboki wdech, po czym dodaje: – Ale ja sądzę, że to było coś więcej, niż tylko zakłócenie łączności... Śmierć zwierząt doświadczalnych akurat w tym czasie musi mieć związek z *perhelium*... Czuję to, intuicja mi to podpowiada... Taki zbieg okoliczności nie może być przypadkowy...

Intuicja.

Po raz pierwszy słyszę to słowo w ustach Fangfang, wielkiej racjonalistki, dla której świat opiera się wyłącznie na równaniach matematycznych.

– Jaki mamy teraz miesiąc? – pytam nagle. – To znaczy, który to miesiąc na Marsie?

– Jesteśmy w połowie dwudziestego.

– To znaczy, że ostatnia Wielka Burza minęła całkiem niedawno, tak? Już druga od śmierci zwierząt w bazie Nowy Eden.

– Tak, według wszelkiego prawdopodobieństwa...

Fangfang kieruje wzrok na powierzchnię Marsa, która rozpościera się wyraźnie za szybą szklanej kuli. Słońce rozświetla doskonale widoczne kaniony, góry i kratery. Na całej półkuli, którą widzimy przed sobą, nie ma najmniejszego śladu chmury czy jakiegokolwiek atmosferycznego zakłócenia.

– Niebo jest całkiem jasne... – szepcze Safia. – Trudno uwierzyć, że niedawno przetoczyła się tędy potworna piaskowa burza...

– Wielka Burza każdego marsjańskiego lata może przybierać nieco inną formę – wyjaśnia Fangfang drżącym głosem. – Czasami obejmuje całą planetę, a czasami tylko skrawek jej powierzchni. Czasem trwa miesiącami, a czasem wiatry rozwiewają ją już po paru dniach. Tak zapewne było tego roku... Trzeba by sprawdzić archiwalne dane pogodowe z przylądka Canaveral, by mieć pewność...

Aleksiej klaszcze w dłonie, przerywając specjalistce od planetologii.

– Co tam archiwum pogodowe! – wykrzykuje. – Przeszłość nie ma

znaczenia, liczy się tylko przyszłość, a ta jest lepsza, niż mogliśmy przypuszczać. Popatrzcie!

Chucha na szybę; jego ciepły oddech tworzy na szkle białą mgiełkę, na której palcem wskazującym rysuje linię.

– Zwierzęta zginęły podczas Wielkiej Burzy, na długo przed naszym przybyciem... – mówi, stawiając na początku linii znaczek i cyfrę jeden – pisze odwrotnie, jak w lustrzanym odbiciu, żebyśmy mogły odczytać jego wykres po drugiej stronie.



– Fangfang mówi, że następna Wielka Burza, która rozpełtała się dwadzieścia cztery miesiące po pierwszej, przeszła całkiem niedawno... – ciągnie, stawiając na linii kolejny znaczek, a tuż za nim krzyżyk, oznaczający moment wejścia Cupido na orbitę Marsa: – ... a my jesteśmy tu, dwa miesiące po burzy.



– To oznacza, że do trzeciej Wielkiej Burzy zostały nam jeszcze dwadzieścia dwa miesiące – podsumowuje, stawiając na linii trzeci znaczek. – Dwadzieścia dwa miesiące! Podczas gdy myśleliśmy, że mamy przed sobą tylko dziewięć! Kolejny powód, by wylądować i spróbować szczęścia!



Aleksiej odrywa roziskrzzone oczy od swojej osi czasu i patrzy na nas.

Jego entuzjazm natychmiast opada: po obydwu stronach szklanej przegrody zapada zupełna cisza.

– Dziewięć czy dwadzieścia dwa, co za różnica? – odzywa się w końcu Kenji, blady niczym duch, w cieniu szerokiego kaptura bluzy, wpatrując się w przestrzeń nieobecny, szklanym wzrokiem. – Nie mamy żadnej wskazówki, która mogłaby nas naprowadzić na to, co stało się zwierzętom doświadczalnym, nie wykryto żadnej awarii, nie ma żadnych poszlak, niczego. Jeśli zdecydujemy się wylądować na Marsie, miesiące, które tam przeżyjemy, będą koszmarem. Wolę zawrócić i spokojnie poczekać na śmierć.

W głosie Kenjiego brzmi dziwny spokój. To więcej niż rezygnacja, to ulga. Jak gdyby pewność nadchodzącego końca paradoksalnie koła lęk, który dręczył go przez całe życie.

Mnie to jednak nie uspokaja, wręcz przeciwnie. Szala znów przechyla się na jedną stronę: na stronę tych, którzy głoszą za powrotem na Ziemię, za agonią gdzieś pośród kosmicznej próżni, za skończeniem podróży w dwóch oddzielnych grobowcach. Na tę myśl zaczyna mnie boleć brzuch, jakby coś skręcało mi wnętrzności. Czy to oznacza, że w głębi duszy wolałabym wylądować?

Nie, wcale nie jestem tego pewna: perspektywa zdania się na łaskę Sereny wzbudza we mnie taką samą odrazę.

– Głoszę za... – zaczyna Fangfang i jestem przekonana, że stanie po stronie Kelly, Safii, Samsona i Kenjiego.

Ale Tao nie pozwala jej skończyć zdania.

– Kenji się myli! – woła, opierając się szerokimi dłońmi o szybę. – To, co czeka na nas po lądowaniu, to nie koszmar, a w każdym razie nie tylko. To także nowy świat, który tak cię pasjonuje, o którym tyle się nauczyłaś!

Fangfang otwiera usta, by odpowiedzieć, ale Tao znów jest szybszy.

– Nie jestem w jednej setnej tak wykształcony jak ty i nawet w połowie tak inteligentny, Fangfang – mówi. – Dawałaś mi to odczuć przy każdym spotkaniu.

– Ja? Ale ja...

– Za każdym razem wracałem kompletnie przybity i wypompowany, z żołądkiem ściśniętym ze zdenerwowania i jedną myślą kołącą mi się po głowie: „Co taka dziewczyna jak ona widzi w gościu takim jak ja?”. Ty masz doktorat z matematyki, a całe moje wykształcenie ogranicza się do rocznego szkolenia z inżynierii w Dolinie Śmierci. Ty jesteś ulubienicą całego singapurskiego narodu, wybraną spośród innych i wysłaną do szkoły dla geniuszy, a ja jestem tylko nikomu nieznanym cyrkowym akrobatą, zagubionym wśród setek milionów Chińczyków, który nie zdał egzaminu nawet w szkole życia.

– W szkole życia? – powtarza Fangfang. – Masz na myśli misję? To nie twoja wina. Wszyscy daliśmy się oszukać...

Tao bierze głęboki wdech, który rozszerza jego atletyczną pierś, rozbudowaną dzięki ćwiczeniom akrobatycznym.

– Nie mówię o misji – wyjaśnia. – Wiesz, zapisując się na wyprawę na

Marsa, nie po raz pierwszy popełniłem błąd. Kiedyś już się potknąłem i spadłem. Z bardzo wysoka. Z samego szczytu cyrkowego namiotu. Nie zdążyłem złapać drążka w trakcie mojego ostatniego numeru. Na dole czekała mnie tylko twarda ziemia, bo numery bez zabezpieczenia robią na widzach większe wrażenie. Połamane nogi.

– Co ty opowiadasz? Twoje nogi są już zdrowe, prawda? Są mocne i silne, tak jak twoje ramiona, klatka piersiowa i całe wysportowane ciało, widać to doskonale nawet przez spodnie!

– Moje spodnie okrywają tylko dwa niezdatne do niczego kawałki mięsa. W Kuli Spotkań, gdzie nie ma grawitacji, mogę się zachowywać tak, jakby te dziesiątki kilogramów bezużytecznego ciała nie istniały. Udawałem, że tak jest podczas każdego naszego spotkania. Ale kiedy zejść na powierzchnię Marsa, moje nogi na powrót staną się tylko ciężarem, a choć będą ważyły mniej niż na Ziemi, to i tak wystarczy, by przybić mnie do ciasnego wózka inwalidzkiego. Atletę zmieni się w kalekę... jak Kopciuszek po północy.

Spojrzenia, które jeszcze przed chwilą paliły mnie w plecy, wbijają się teraz w nogi Tao. Jest coś zaskakującego i wzruszającego w tym, że ten potężnie zbudowany, umięśniony chłopak porównuje się do kruchej sieroty z bajki.

– Sądziłem, że nigdy nie zdobędę się na odwagę, by ci to wyznać – dodaje szeptem Tao. – Sądziłem, że zejść na Marsa, nie ośmieliwszy się powiedzieć ci o mojej niepełnosprawności. Pogodziłem się z myślą, że odkryjesz to w ostatniej chwili i odrzucisz mnie dwukrotnie: raz jako kalekę i drugi raz jako kłamcę. Ale okoliczności sprawiły, że zyskałem odwagę, której mi brakowało. Natchnął mnie przykład Léo. Jej dzielność mnie zainspirowała. Jej oparzenie mnie wyzwoliło.

Nasze spojrzenia się spotykają. W jego oczach jest szczerść. A słowa Tao odbijają się echem w mojej głowie.

Moje oparzenie go wyzwoliło.

Nigdy bym nie pomyślała, że Salamandra, która gnębiła mnie przez całe życie, może kogokolwiek wyzwolić.

– Teraz, kiedy powiedziałem prawdę, czuję się lżejszy niż kiedykolwiek dotąd i nie ma to żadnego związku z nieważkością – ciągnie Tao. – Lądowanie na Marsie już mnie nie przeraża, Fangfang. Już się nie boję, że będę przybity do wózka inwalidzkiego. Nawet jeśli ma to trwać tylko dwadzieścia dwa miesiące, to chcę jeździć tym wózkiem po ceglanych równinach, chcę zostawić ślad kółek na czerwonym piasku. I chcę tulić cię w silnych ramionach, jeśli wciąż mnie chcesz, bez nóg, na których mógłbym chodzić, i bez czasu na spłodzenie ośmiorga dzieci, o których marzyłaś.

Fangfang mruga oczami.

Tego się nie spodziewała: ani wyznania Tao, ani tego, że jego słowa tak ją poruszą i przewrócą do góry nogami jej racjonalnie zaplanowane życie.

– Ośmioro dzieci... może poczekać – duka. – Ale ja dłużej już nie mogę. Oczywiście, że wciąż ciebie chcę. Chcę cię dotknąć, przytulić, pocałować. Masz rację, dwadzieścia dwa miesiące to nie jest nic. To cenny czas, który być może pozwoli nam zrozumieć, dlaczego przedostatnia Wielka Burza zabiła zwierzęta doświadczalne, i przygotować się do następnej. Głosuję za lądowaniem, Tao. Za lądowaniem razem z tobą.

Kris klaszcze w dłonie.

– Pięć głosów za lądowaniem! – woła. – Jeszcze dwa głosy i będziemy mieli większość! – Odwraca się w moją stronę: – Chcesz wylądować z nami, prawda Léo? Jak Aleks i ja, jak Fangfang i Tao: wy też wylądujecie, ty i ...

Jej entuzjazm nagle opada, milknie z rozłożonymi dłońmi.

Ty i ... kto?

Nie potrafi tego powiedzieć.

Żadna z uczestniczek nie wie, którego chłopaka wybiorę, nawet moja najlepsza przyjaciółka. Skąd mają wiedzieć – przez całą podróż robiłam wszystko, by odkładać decyzję do ostatniej chwili, nawet przez te ostatnie tygodnie, kiedy spotykałam się tylko z Mozartem i Marcusem, usiłowałam zachowywać bezstronność. Jednak podczas gdy udawało mi się przekonać wszystkich, że sprawa jest otwarta, gdy czułam rosnącą sympatię do Mozarta, coś o wiele większego niż sympatia rodziło się w moim sercu i rosło za każdym razem, gdy widziałam Marcusa.

Teraz, gdy po raz pierwszy obaj stoją przede mną i jeden przeszywa mnie czarnym spojrzeniem, a drugi szarym, nie mogę dłużej tego ukrywać – mogę co najwyżej spróbować ostatni raz wywinąć się od odpowiedzi na to pytanie.

– Dobieranie się w pary, Listy Serca, te brednie o szczęściu i miłości, to wszystko nic już nie znaczy – mówię zdławionym głosem. – To nie ma już znaczenia, teraz, kiedy wiemy, co naprawdę czeka nas na Marsie.

W tej samej chwili, gdy te słowa wychodzą z moich ust, zdaję sobie sprawę, jak bardzo są fałszywe, a nawet tchórzliwe. Inni też to czują, przede wszystkim Kris.

– Dobrze wiesz, że to nadal coś znaczy! – stwierdza z mocą. Korona z warkoczy na jej ślicznej głowie zdaje się promieniować, gdy blond kosmyki, które wymknęły się z misternego upięcia, unoszą się i falują w powietrzu. – To ciągle ma znaczenie dla nas i dla miliardów ludzi oglądających kanał Genesis! Przypomnij sobie warunki Sereny: będziemy mogli wylądować, jeśli odegramy nasze role do końca, jak gdyby nigdy nic.

Liz natychmiast dodaje:

– Kris ma rację. Jeśli wylądujemy, będziemy musieli przestrzegać reguł gry, czyli dobrać się w pary, które zamieszkają w sześciu Gniazdach Miłości bazy Nowy Eden. Widzowie muszą oglądać idealnie zsynchronizowany balet. Nie ma

miejsca na pomyłkę, spotkanie oznacza śmierć. Musisz wreszcie zdecydować, Léo...

Wszystkie dziewczyny już zagłosowały. Teraz otaczają mnie kręgiem.

– ... najpierw, czy chcesz wylądować...

Krąg się zacieśnia, nie ma ucieczki.

– ... a jeśli tak, to z kim.

POZA PLANEM

**Willa Sereny McBee, Long Island, stan Nowy Jork,
sobota 9 grudnia, godz. 13.05**

Słysząc cichy zgrzyt w zamku. Porcelanowa gałka przekręca się bezgłośnie. Drzwi pokoju powoli się uchylają na korytarz oświetlony słabym grudniowym światłem.

Chłopak, którego Harmony zauważyła w ogrodzie, który szeptał do niej zza drzwi, stoi teraz przed nią. Jest ubrany na czarno, tylko na szelkach plecaka i kapturze kurtki topnieją jeszcze białe płatki śniegu. Ma zsiniałą od mrozu twarz i usta spierzchnięte od wiatru, ale w oczach za okularami w czarnych oprawkach błyszczy dziki żar.

– Znalazłeś klucz... – szepcze Harmony. – Nie jesteś duchem...

Stoi drżący na progu sypialni. Jej ramiona otula wełniany szal, ale chłodne powietrze z korytarza przenika przez szarą koronkę sukienki i wywołuje gęsią skórkę. Jasne, niemal białe włosy Harmony unoszą się delikatnie. Jediną plamą koloru na tej widmowej postaci jest złoty medalion wiszący na jej szyi.

– Tak, znalazłem klucz – odpowiada cicho chłopak. – Tak jak powiedziałaś, był na parterze, na samym końcu prawego skrzydła domu, w szufladzie biurka razem z całą resztą... – Podnosi rękę, ukazując metalowe kółko, na którym wiszą dziesiątki kluczy. – ... I nie, nie jestem duchem, choć ostatnimi czasy wydawało mi się, że żyję w jakimś innym wymiarze, odcięty od świata. Ale myślę, że tobie nie muszę tego tłumaczyć. Jesteś najlepiej strzeżoną tajemnicą Stanów Zjednoczonych Ameryki... Córka Sereny McBee... Twoje oczy są identycznego koloru jak jej, kształt twarzy, jesteś do niej niezwykle podobna, ale jest też w tobie coś, co sprawia, że różnisz się od niej całkowicie.

Harmony drży coraz mocniej. Obejmuje się ramionami, jakby chciała się ochronić przed zimnem – a może przed czymś innym? Każdy odległy dźwięk, dochodzący gdzieś z głębi willi, sprawia, że aż podskakuje ze strachu. Pustka długiego korytarza, który ciągnie się za plecami chłopaka, zdaje się przyprawiać ją o zawroty głowy.

– A teraz, kiedy masz już klucze, odejdz – mówi nagle, mrugając jasnozielonymi oczami. – Nie, najpierw wytłumacz mi, co... Albo nie. Nie. Odejdz. Nigdy cię nie widziałam. Znikaj.

– Ale jak to?

– Idź stąd!

– Ale... myślałem, że chcesz uciec?

– Już nie chcę. Jest za zimno. Nie powinnam opuszczać pokoju. Uciekaj. Nic nikomu nie powiem. Nie wiem nawet, jak masz na imię. I nie chcę wiedzieć. Chcę tylko zapomnieć, że tu byłeś.

Zamierza zamknąć drzwi, ale chłopak wkłada stopę w szparę.

– Andrew – mówi. – Teraz już znasz moje imię. A ja znam twoje, Harmony – pokazuje pierwszy klucz z pęku z małą plakietką, na której widnieje napis SYPIALNIA HARMONY. – Ja wiem, jak masz na imię – powtarza. – I nie zapomnę o tobie. Świat musi się dowiedzieć o twoim istnieniu. Wyborcy powinni wiedzieć, że ta, na którą chcą zagłosować, więzi swoją córkę w wieży.

– Nie powinnam była ci mówić, gdzie są klucze! – żałuje dziewczyna. – Ostrzegam cię, zaraz zacznę krzyczeć!

– No to krzycz.

Harmony jednak nie krzyczy.

Błada twarz w drzwiach pozostaje nieruchoma, zęby w uchylonych ustach wydają się takie białe i delikatne jak kreda. Teraz to już nie przeciąg unosi jej jasne włosy, lecz oddech Andrew, który stoi tak blisko i wbija w nią wzrok.

– Świat zewnętrzny nie jest dla mnie – dziewczyna rzuca w końcu na jednym oddechu. – Jeśli pozostanę w ukryciu, będę szczęśliwa. Mama mi to obiecała.

– Mój ojciec też złożył mi wiele obietnic, ale żadnej nie dotrzymał. Jest tylko jeden sposób, by się przekonać, czy świat zewnętrzny jest dla ciebie: wyjść mu na spotkanie!

Andrew zaciska palce na wąłym nadgarstku Harmony, na tyle delikatnie, by go nie złamać, ale wystarczająco mocno, by pociągnąć ją ku sobie. Lekkie ciało dziewczyny przechyla się przez próg. Pierwszy raz bez pozwolenia stawia stopy w korytarzu.

Na krótką chwilę zamierają jedno przy drugim, jak księżę i księżniczka sprzed wieków, których pocałunek może złamać klątwę rzuconą przez złą królową i wydobyć świat z ciemności, w których go pogrążyła.

Lecz nagle na schodach prowadzących na górę słychać kroki.

– To strażnik, który przed chwilą o mało mnie nie przyłapał – szepcze Andrew, zamykając drzwi pokoju. – Szybko! Najwyższy czas poszukać tego, po co przyszedłem. Gdzie jest gabinet Sereny?

Zamierza pobiec korytarzem, lecz Harmony pozostaje nieruchoma, wpatrując się w niego.

– Twój ojciec... – mówi cichutko. – Mówiłeś o nim w czasie przeszłym.

– Bo nie żyje! No chodź!

– Ja nawet nie wiem, czy powinnam mówić o moim ojcu w czasie przeszłym czy teraźniejszym... Mama nie powiedziała mi o nim nawet słowa... Nigdy...

Oczy Andrew błyszczą.

– Wyjaśnienie być może znajduje się w gabinecie twojej matki – mówi. – To jeszcze jeden powód, byś tam ze mną poszła.

Ciężki odgłos kroków zbliża się z każdą chwilą.

Harmony wciąż się jednak waha, na jej twarzy malują się wątpliwości, a ciało paraliżują mentalne kajdany, które nałożyła jej Serena McBee, odgradzając od wolności. Palce prawej dłoni zaciskają się na wiszącym na szyi medalionie, jakby w tej wewnętrznej szarpaninie i niepewności, tylko tej jednej rzeczy mogła się uczepić.

– Jeśli pójde, czy obiecasz, że nie zostawisz mnie jak... jak tamten chłopak?

– Tamten chłopak? – powtarza Andrew, starając się nie podnosić głosu, mimo narastającego strachu. – Nie wiem, o czym mówisz, ale przysięgam, że nigdy cię nie zostawię, Harmony! I że pomogę ci odnaleźć ojca!

To przyrzeczenie działa jak iskra zapalająca.

Jak zasuwka, która nagle odskakuje.

Harmony rusza pędem przez korytarz niczym samobójca, który skacze z wysokiego mostu, niczym odkrywca, który odlatuje w nieznane.

– Tędy! – mówi, popychając pierwsze z brzegu drzwi prowadzące na ukryte schody.

Chłopak i dziewczyna rzucają się na spiralne schody jak w ciemną, przepastną gardziel. Dudnienie kroków po stopniach roznosi się echem w tej ślepej, zamkniętej klatce.

Wydostają się na wąski korytarz oświetlony białymi żarówkami.

– Ufff... to korytarz służbowy... – wyjaśnia Harmony, z trudem łapiąc oddech. – Obsługa korzysta z niego w czasie przyjęć, poruszając się między kuchnią a pokojami... uff... bawiłam się tu czasem jako dziecko... uff... Dzisiaj na pewno nie natkniemy się tu na nikogo... uff... A tu jest służbowe wejście do gabi-netu mamy.

Harmony zatrzymuje się przed gładkimi drzwiami.

Podczas gdy Andrew gorączkowo przerzuca klucze w pęku w poszukiwaniu tego z plakietką z napisem gabinet Sereny McBee, dziewczyna próbuje odzyskać oddech.

– Nie powiedziałeś mi... uff... czego tutaj... uff... szukasz?

– Prawdy – odpowiada Andrew, wkładając do zamka odnaleziony w końcu klucz.

– Prawdy? Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć...

Andrew pierwszy raz przekręca klucz w zamku. Delikatnie.

– Nie sądzę, byście ty i twój ojciec byli jedyną tajemnicą, jaką Serena McBee skrywa przed światem – mówi. – Myślę, że ma ich znacznie więcej. Na przykład to, co się stało z moim ojcem.

Harmony mruga oczami.

– Co masz na myśli? Myślałam, że on nie żyje. Nic nie rozumiem. Mama by się wściekła, gdyby wiedziała, że...

Andrew ze złością przekręca klucz drugi raz.

– Jestem synem Shermana Fishera, szefa łączności programu Genesis. Oficjalnie padł ofiarą nieszczęśliwego wypadku, podobnie jak Ruben Rodriguez, szef laboratorium, niedługo po nim. Ja jednak jestem przekonany, że to nie były wypadki. Mój ojciec zginął, prowadząc auto, choć nigdy nie ryzykował za kierownicą. Jeden z instruktorów programu Genesis wyczyścił twardego dysku w komputerze Rubena w czasie jego pogrzebu. Przypadek? Nie sądzę. Jestem przekonany, że uciszono ich, by nie zaczęli mówić... Tylko co chcieli powiedzieć? Jaki sekret skrywa program Genesis? Odpowiedź na to pytanie być może jest w tym gabinecie. Oto, czego tu szukam. Śladu twojego ojca i wspomnienia mojego: mojej prawdy i twojej.

Andrew przekręca klucz po raz trzeci i ostatni.

Drzwi otwierają się, skrzypiąc w zawiasach.

Harmony odwraca się odruchowo, jakby się obawiała, że zza rogu natychmiast wyłoni się zaalarmowany hałasem ochroniarz. Jednak służbowe przejście jest puste. Dziewczyna bierze więc głęboki wdech i rusza za Andrew do zakazanego pomieszczenia.

KONTRPLAN

**Schron przeciwoatomowy, baza na przylądku Canaveral,
sobota 9 grudnia, godz. 13.20**

U góry cyfrowej ściany, tuż nad oknem pokazującym obraz z kamery wycelowanej w twarz Léonor, na której maluje się wahanie, zaczyna migotać czerwony napis:

POŁĄCZENIE PRZYCHODZĄCE Z MONTAŻOWNI

– Masz ci los! – wykrzykuje Gordon Lock, chwytając brzeg stołu potężnymi dłońmi, jakby chciał wyrwać go z betonowej podłogi. – Jesteśmy zgubieni! A wszystko przez te dzieciaki, które marnują czas na gadanie o marsjańskiej pogodzie i nie potrafią podjąć decyzji. Policja aresztuje nas, zanim zdążymy wydostać się na powierzchnię i uciec odrzutowcem Sereny!

Producentka wykonawcza wzrusza tylko lekceważąco ramionami:

– Nie opowiadaj bzdur! Policja nie ma żadnego powodu, by nas aresztować. A przynajmniej na razie. Przypominam ci, że raport Noego nie został jeszcze ujawniony.

Delikatnie naciska na migoczącą wiadomość opuszką palca wskazującego z paznokciem pociągniętym zielonym lakierem, dopasowanym do kostiumu i biżuterii – w kolorze prezydenta Greena i partii ultraliberalnej.

Na cyfrowej ścianie natychmiast otwiera się nowe okno, w którym ukazuje się twarz młodej asystentki Sereny, Samantha, ze srebrną słuchawką w uchu.

– Pani McBee, bardzo przepraszam, że niepokoję – usprawiedliwia się. – Wiem, że prosiła pani o spokój, aby samodzielnie zmontować materiał z zakończenia podróży, ale...

– Ale?

Twarz Samantha pąsowieje ze wstydu.

– ... ale upłynęły już niemal dwie godziny, odkąd przestaliśmy nadawać z braku zdjęć. Staraliśmy się uspokoić prasę, zapewniając, że panuje pani nad sytuacją, tak jak wyjaśniła pani w swoim komunikacie na kanale Genesis.

– No właśnie, jak sama mówisz, wszystko wyjaśniłam. Wkrótce wrócimy na antenę. Potrzebuję tylko trzydziestu minut, żeby uzgodnić z uczestnikami ostatni szczegół.

– Tylko że... Nie jestem pewna, czy mamy jeszcze trzydzieści minut...

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Baza jest oblężona, pani McBee. Tłum wdarł się na przylądek Canaveral. Ludzie umierają z niepokoju. Niestety, pani wiadomość ich nie uspokoiła: chcą wiedzieć, co się naprawdę dzieje.

– Co to ma znaczyć? Półwysep jest własnością prywatną, teren ogrodzono siatką, chronią go punkty kontrolne i sownie oplacani strażnicy!

– Siatka została podziurawiona, punkty kontrolne zniszczone. Co do naszych strażników, obawiam się, że jest ich za mało, by powstrzymać taką falę. Proszę zobaczyć zdjęcia z kamer ochrony...

Okno dzieli się na dwie części: po lewej stronie widać Samanthę, po prawej – armagedon. Półwysep, jeszcze kilka godzin temu zupełnie pusty, wypełniają samochody. Aut jest tak dużo, że nie widać między nimi nawet centymetra asfaltowej drogi, nawet skrawka wrzosowisk. Po antenach na dachach można poznać półciężarówkę ekip telewizyjnych. Ale większość pojazdów należy do zwykłych ludzi. Z kontynentu na zachodzie nadciągają kolejne tysiące aut, motorów, skuterów, autokarów pełnych zdesperowanych fanów, gotowych na wszystko, by zobaczyć dalszy ciąg programu – cała Ameryka, niczym wielkie wahadło, przechyla się w stronę ostatniego skrawka ziemi, za którym rozciąga się już tylko ogromna, otwarta przestrzeń Oceanu Atlantyckiego.

W bunkrze wybucha panika.

Konspiratorzy podnoszą się gwałtownie zza stołu, przewracając krzesła, jakby ludzkie tsunami miało wylać się bezpośrednio z cyfrowej ściany do małego, betonowego pomieszczenia i zmieść wszystko na swojej drodze.

– Widzę, Samantho – odpowiada spokojnie Serena, jedyna, która zachowuje zimną krew. – Rzeczywiście, nie mamy trzydziestu minut. Ale możesz mi zapewnić dwadzieścia, prawda? Każ tym ludziom poczekać.

– Kazać im czekać, pani McBee? Jak mam to zrobić?

Jednym ruchem palca Serena zamyka okno, sprawiając, że Samantha znika, a wraz z nią cały kraj, który producentka trzymała w napięciu przez długie miesiące.

– Wiadomość dla pasażerów Cupido: tu Serena – mówi do mikrofonu, który pozwala jej komunikować się ze statkiem oddalonym o pięćdziesiąt pięć milionów kilometrów. – Mieliście dość czasu na dyskusje. Jest trzynasta dwadzieścia pięć i zbliża się moment wznowienia transmisji. Zostało nam niespełna dwadzieścia minut. Potrzeba trzech, by ta wiadomość do was dotarła, i trzech, by wasza odpowiedź wróciła do mnie. Co oznacza, że od chwili, kiedy mnie usłyszycie zostanie wam czternaście minut na podjęcie właściwej decyzji. Rzecz jasna, tej o lądowaniu jutro na Marsie, bo jest to i w waszym, i w moim interesie.

Serena przybliży usta do mikrofonu:

– O trzynastej czterdzieści pięć program wraca na antenę. Macie czternaście minut, by się w końcu dogadać i przekonać tych, którzy chcą wrócić, by

zrezygnowali z tego chorego pomysłu. Wasze zachowanie nie może budzić najmniejszych wątpliwości. Widzowie mają zobaczyć dwanaście promiennych uśmiechów na dwunastu twarzach. Mają ujrzeć dwanaścioro młodych ludzi, w których płonie pragnienie, by się wreszcie dotknąć, by w końcu się pobrać. Możemy kontynuować nasze prywatne rozmowy na osobności, w siódmym Gnieździe. Obraz z umieszczonych w nim kamer nie jest pokazywany na kanale Genesis, bo ten moduł miał pozostać niezamieszany. Przekieruję sygnał audio-wideo do bunkra, w którym się teraz znajduję. Widzowie nigdy tego nie zobaczą. Powiem im, że te konsultacje są niezbędne dla waszego dobrego samopoczucia, jestem pewna, że zrozumieją, jeśli im się to właściwie wytłumaczy. Mogliśmy przemianować Vasco da Gamę na Cupido, bazę marsjańską na Nowy Eden, a moduły mieszkalne na Gniazda Miłości, a więc czemu nie znaleźć nowej nazwy dla siódmego modułu? Miejsce odosobnienia? Sala odpoczynku? Coś wymyślimy. Na razie jednak czekam na waszą odpowiedź. Pamiętajcie, jeśli dostrzegę choćby cień zdrady, choćby najmniejszą próbę wydania mnie i mojej tajemnicy, wystarczy mi jeden ruch palcem, by rozhermetyzować moduły mieszkalne i całą bazę. Odtąd wasze życie jest w moich rękach. Przygotujcie się do wejścia na antenę.

PLAN

Start + 159 dni, 23 godz. 58 min
(Dwudziesty trzeci tydzień)

– *Pamiętajcie, jeśli dostrzegę choćby cień zdrady, choćby najmniejszą próbę wydania mnie i mojej tajemnicy, wystarczy mi jeden ruch palcem, by rozhermetyzować moduły mieszkalne i całą bazę. Odtąd wasze życie jest w moich rękach. Przygotujcie się do wejścia na antenę.*

Głos Sereny mrozi mi krew w żyłach.

– Szybko, Léo! – wykrzykuje Fangfang. – Powiedz, że chcesz lądować i z kim, żebyśmy skończyli głosowanie, zanim kanał Genesis znów ruszy. Serena wyraziła się jasno: widzowie nie mogą się niczego domyślić!

Otwieram usta, ale zanim zdążę powiedzieć choć słowo, Kelly chwyta mnie za ramiona, potrząsając bransoletkami, które zdobią jej nadgarstki.

– Nie słuchaj jej, próbuje narzucić ci swoje zdanie – mówi, patrząc mi w oczy z tak bliska, że czuję truskawkowy zapach jej gumy do żucia, no chyba że tak pachnie jej perfumowany błyszczek do ust. – Wiem, że w głębi duszy zgadzasz się ze mną, z Safią i wszystkimi, którzy chcą zwycięstwa sprawiedliwości, którzy chcą, żeby nasza śmierć nie była bezsensowna. Kiedy tylko wrócimy na antenę, potraktujemy Serenę jak nędznego śmiecia, którym jest.

– To ty próbujesz narzucić własne zdanie, Kelly! – interweniuje Kris, wyrzuwając mnie z rąk Kanadyjki.

Teraz ona kładzie dłonie na moich ramionach, starając się opanować drżenie głosu.

– Mówiłaś mi, że nie wolno się poddawać – przypomina. – Powtarzałaś to w kółko przez całe szkolenie w Dolinie Śmierci. Tego mnie nauczyłaś. A teraz się poddasz? Odrzucisz jedyną szansę na przetrwanie... i miłość?

– Przejrzyj wreszcie na oczy! – odparowuje Kelly. – Jedyłą szansą, jaką odrzucimy, jeśli wylądujemy, będzie szansa na zdemaskowanie Sereny! A co do miłości... Przypomnij sobie, co mówiłaś na początku podróży, Léo, że masz to wszystko gdzieś! Więc daj spokój z miłością i ocal prawdę! Ta zdzira Serena musi zapłacić za swoją niegodziwość!

Słowa Kelly przeszywają mnie do głębi.

Ma rację, mówiłam, że miłość nic mnie nie obchodzi, że mam ją gdzieś! W czasie szkolenia powtarzałam to wystarczająco często, by wszystkie dziewczyny dobrze to zapamiętały.

A chłopcy?

Co oni teraz myślą?

Nie śmiem spojrzeć na drugą stronę szklanej przegrody. Wiem, że Marcus i Mozart nie spuszczają ze mnie wzroku. W mojej głowie i tak panuje nieopisany chaos, jeśli jeszcze napotkam spojrzenie któregoś z nich, stracę resztki zdolności logicznego myślenia.

– Mówiłaś, że miłość to bzdura! – upiera się Kelly. – Opowiadałaś, że to wszystko jest fałszywe, sztuczne i puste! Dla ciebie liczyła się tylko sława. Przypomnij sobie. A teraz sława jest na wyciągnięcie ręki. Wystarczy, że powiesz słowo, a przejdiesz do historii jako ta, która ocaliła Amerykę, a może i cały świat przed największą szują i kanałią w dziejach!

Liz macha między nami ręką, pokazując elegancki zegarek, który nosi na nadgarstku.

– Jest już trzynasta trzydzieści! – wykrzykuje. – Niewiele ponad kwadrans do rozpoczęcia programu i dwanaście minut na odpowiedź! Nie chcę umierać! Chcę wylądować na Marsie!

– A jednak ustawiłaś zegarek tak, by pokazywał czas na Ziemi... – zauważa Safia, wciąż blada. – Myślę, że to znak. Znak, że Mars nie jest dla nas i powinniśmy zawrócić.

– Nie!

Liz krzyczy rozziewając i odwraca się w stronę drugiej półkuli, tam, gdzie ja nie mam odwagi spojrzeć.

– Mozart, Marcus, powiedzcie coś! – błaga. – Léonor jest chyba w amoku, ale wy możecie nas ocalić! Jeszcze nie głosowaliście. Jeśli obydwoj postanowicie lądować, zyskamy większość, siedem głosów i chęć życia wygra!

– Kilka tygodni temu powiedziałem Léo, że to ona prowadzi w naszym tańcu...

Na dźwięk ciepłego głosu Mozarta przeszywa mnie dreszcz.

Tak, obiecał, że podporządkuje się moim zasadom gry.

Tak, obiecał, że pójdzie za mną na koniec świata.

Ale to było wcześniej, kiedy jeszcze nie podejrzewał, że moje serce skłania się ku Marcusowi. Kiedy to odkrył – nie wiem, w jaki sposób – wpadł w szal. Po co więc wracać do tych starych obietnic, które nic już nie znaczą?

– I znów to powtarzam – ciągnie. – Léo prowadzi w tym tańcu. Jeśli ona postanowi wylądować, wyląduję razem z nią. Jeśli ona zawróci, ja też zawrócę.

– Ale nie możesz... – jąka Liz. – Nasza przyszłość na Marsie... Myślałam, że my dwoje...

– Gdybyśmy byli tylko my dwoje, Liz, zagłosowałbym, że pójdę za tobą, kiedy tylko ogłosiłaś swoją decyzję. Ale widzisz, jesteśmy nie tylko my dwoje. Jest też Léonor. Przysięgam, że próbowałem o niej zapomnieć, żyć tak, jakby nie

istniała, zacząć nową kartę. Ale to niemożliwe. Nie potrafię.

Tym razem to jest silniejsze ode mnie, podnoszę wzrok.

Najpierw dostrzegam drżącą z emocji twarz Mozarta za pancerną szybą.

Następnie zalaną łzami twarz Liz kilka centymetrów ode mnie.

– Tablet... – udaje się jej wykrztusić w kierunku Mozarta. – Przypomnij sobie tablet z rysunkami, który ci pokazałam. To nie ciebie rysowała w nim Léonor. Przypomnij sobie te wszystkie strony wypełnione tatuażami Marcusa.

Tablet z rysunkami...? Mój tablet z rysunkami...? Nagle wszystko staje się jasne! – niespodziewana zmiana w zachowaniu Mozarta wobec mnie, jego zbliżenie z Liz, wszystko! Wzięła mój tablet bez pozwolenia, weszła do mojego tajemniczego ogrodu bez zaproszenia i bez mojej wiedzy dała klucz Mozartowi.

– Nie patrz tak na mnie! – rzuca, szlochając, a jej twarz wykrzywia grymas wyrażający złość i poczucie winy. Twarz Liz zmienia się nie do poznania. – Przecież to nie zbrodnia! Pokazałam tylko Mozartowi twoje prawdziwe uczucia! Możesz mu wyjaśnić, dlaczego spędzałeś całe godziny, odtwarzając tatuaże Marcusa, co?

– Bo uznałam, że są piękne, Liz... i chciałam je zapamiętać...

– Bo wolisz Marcusa! Przyznaj to wreszcie! – Rzuca rozpaczliwe spojrzenie na zegarek. – O mój Boże! Jest trzynasta trzydzieści jeden! Nie wierzę, że wszyscy umrzemy, bo troje z nas nie potrafi powiedzieć sobie prawdy!

Jednak Mozart powtarza tylko to, co już powiedział.

– Ja już wyznałem prawdę. Podjąłem decyzję. Zrobię to, co Léo. Być może dzisiaj wybiera mojego rywala. Ale jutro wszystko może się zmienić.

Zrozpaczona Liz odwraca się do Marcusa.

– Wygrałeś! – krzyczy. – To ciebie wybierze Léonor, już cię wybrała. Szaleje za tobą, naszkicowała w tablecie najdrobniejsze szczegóły twoich tatuaży. A ty szalejesz za nią, wyciąłeś sobie jej imię na piersi. Powiedz, że wylądujesz na Marsie, a wtedy ona wyląduje z tobą, wszyscy wylądujemy, bo będziemy mieć większość w głosowaniu. Błagam cię, Marcus!

– Głosuję za powrotem na Ziemię.

Serce zamiera mi w piersi. Za powrotem na Ziemię? Dobrze usłyszałam? Czy właśnie to powiedział Marcus? Czy odezwał się w końcu, pierwszy raz, odkąd włączono łączność między dwiema półkulami, by dorzucić swój głos do tych oddanych przez Kelly, Samsona, Safię i Kenjiego? By przywrócić równowagę sił na tej strasznej wadze: pięć głosów z jednej i z drugiej strony, pięć odważników na jednej i na drugiej szali? By stwierdzić, że nigdy nie będziemy razem?

– Marcus... – szepczę.

– Nie sądziłem, że do tego dojdzie – rzuca, oddychając chrapliwie jak zwierzę w potrzasku. – Nigdy bym nie pomyślał, że w chwili, gdy jestem ledwie o krok od spełnienia marzeń, zrezygnuję z tego, czego pragnę najbardziej na

świecie! Bum!

Uderza pięścią w szklaną przegrodę, wyładowując na niej frustrację.

Pancerna szyba nawet nie drgnie – odgradzająca nas ściana zniesie wszystko.

– Przyznaję to z bólem, ale zwolennicy powrotu mają rację – ciągnie, z grymasem cierpienia na twarzy. – Możemy zniszczyć Serenę. Jeśli teraz zrezygnujemy, nie będziemy mieć kolejnej szansy. A ty, Léo, będziesz mi to wyrzucać do końca dni, które nam zostaną. Będziesz widziała we mnie tego, przez którego się wycofałaś, który uczynił cię słabą, który pozbawił cię możliwości dokonania zemsty. Znienawidzisz mnie, a co gorsza, zaczniesz mną gardzić. A tego bym nie zniósł, nigdy! Jeśli naprawdę chcesz jutro wyładować i podjąć związane z tym ryzyko, to nie chcę, byś podjęła taką, a nie inną decyzję ze względu na mnie.

Dookoła twarzy Marcusa unoszą się małe, czerwone, błyszczące koraliki. Uderzył w szybę z taką siłą, że rana na piersi zaczęła krwawić. Krople krwi niczym rubiny lewitują przed jego szarymi oczami, ciskającymi gromy. Jego piękno sprawia mi ból. Jego okrucieństwo mnie zabija. Mam ochotę błagać go i obrzucić obelgami, pocałować i uderzyć w twarz, wszystko naraz.

– Zostało dziesięć minut na odpowiedź – informuje Liz głosem zachrypniętym od krzyku, błagań i płaczu. – Pięcioro z każdej strony. Wróciliśmy do punktu wyjścia. Ale ty, Léo, rozporządzasz dwoma głosami, swoim i Mozarta. Decydujesz o życiu nas wszystkich.

POZA PLANEM

**Willa Sereny McBee, Long Island, stan Nowy Jork,
sobota 9 grudnia, dziesięć minut wcześniej, godz. 13.22**

– Całkiem jak w studiu telewizyjnym – szepcze Andrew, wchodząc do prywatnego gabinetu Sereny McBee.

Przed wielkim oknem wychodzącym na ośnieżony ogród stoi wspaniałe biurko z drogiego drewna, a naprzeciw niego wznosi się potężna aluminiowa rama, na której zamontowano lampy, filtry optyczne i kamery.

– Tu mama nagrywa komentarze dla kanału Genesis, kiedy jest w domu – wyjaśnia Harmony.

– Rzeczywiście, poznaję ten widok – mówi Andrew, przybliżając się do okna. – To z pewnością najbardziej znany ogród w Ameryce, jeśli nie na całym świecie. Widzowie mogli śledzić, jak zmienia się wraz z porami roku, kiedy Serena łączyła się na żywo z Cupido. Ale dziś reflektory nie świecą, kamery są wyłączone, nikt nie może zobaczyć ogrodu. Nikt nie może nas zobaczyć, Harmony.

Przykłada dłoń do lodowatej szyby.

Za oknem coraz mocniej sypie śnieg, otula krzewy, okrywa białym welonem śpiące drzewa, zasnuwa krajobraz. Nie widać ani ogrodzenia posiadłości, ani strażników, którzy pewnie schowali się w ciepłe i czekają na wznowienie transmisji na kanale Genesis albo oglądają wiadomości.

– Ta cisza... – szepcze Andrew. – Jakby cały świat przestał istnieć, nie wydaje ci się? Jakby nie było tej wielkiej maszyny medialnej, na której od blisko sześciu miesięcy skupia się uwaga całego świata, ani miliardów widzów, którzy pewnie siedzą teraz przed ekranami telewizorów; a już tym bardziej tego statku, który zniknął nagle z radarów w chwili, gdy wszedł na orbitę Fobosa, jakby nigdy nie wystartował.

– Jak myślisz, co się tam stało? – pyta cicho Harmony. – Czy załoga zginęła w wypadku...? Czy to ma związek ze śmiercią twojego ojca...?

– Nie wiem. Ale instynkt mi podpowiada, że wszystkie te zagadki jakoś się ze sobą łączą. Czuję to przez skórę. W tym pokoju mam wrażenie, jakbym był igłą kompasu, która szaleńczo wiruje.

Andrew odchodzi od okna, by usiąść w fotelu, z którego Serena McBee tygodniami kierowała całym *show* i prowadziła szybkie randki. W drewniany blat biurka wbudowany jest niewidoczny dla kamer panel sterowania.

Chłopak zdejmuje plecak, wyjmuje z niego laptop i za pomocą kabla

podłącza go do panelu sterowania.

– Co robisz? – pyta Harmony.

– Chciałbym sprawić, by cisza przemówiła.

Zaczyna przebiegać palcami po klawiaturze z zawrotną prędkością, pojawiające się na ekranie laptopa linie kodu odbijają się w szklach jego okularów.

Nagle pod sufitem rozlega się jakiś warkot.

Harmony podskakuje ze strachu.

Odruchowo chwyta dłoń Andrew, która zawisła nieruchomo nad klawiaturą.

Chłopak zaciska palce na dłoni dziewczyny.

I tak, trzymając się za ręce, czując zgodne bicie pulsu, obserwują, jak spod sufitu, dzięki ukrytemu silnikowi, zjeżdża w dół czarny ekran szeroki na trzy i wysoki na dwa metry. Ekran zatrzymuje się wreszcie pośrodku aluminiowej ramy najeżonej kamerami. Na ciemnej, szklanej powierzchni pojawia się komunikat:

NAWIĄZYWANIE POŁĄCZENIA Z CUPIDO...

– Och! – wykrzykuje Harmony, pocierając nerwowo złoty medalion. – Uruchomiłeś lawinę? Spróbuj to zatrzymać, jeśli nie jest za późno! Gdy połączenie zostanie nawiązane, nasze twarze wyświetlą się w Cupido i na kanale Genesis. Wszyscy się dowiedzą, że włamaliśmy się do gabinetu mamy!

Ale Andrew nie robi nic, by przerwać proces.

– Sygnał kanału Genesis jest nadawany z przylądka Canaveral na Florydzie, a nie z tej willi w Hampton – tłumaczy. – Z nieznanego mi powodu postanowiono przerwać emisję programu na całym świecie. Jeśli uda nam się skontaktować z Cupido, widzowie tego nie zobaczą. Tylko my się dowiemy, czy pasażerowie statku jeszcze żyją i czy wiedzą coś o śmierci mojego ojca.

Zapala się jedna lampa, potem druga, trzecia i kolejne, aż wszystkie reflektory umieszczone na ramie oświetlają dwoje intruzów. Na wielkim ekranie pojawia się nowy komunikat:

POŁĄCZENIE NAWIĄZANE. OCZEKIWANIE NA OBRAZ...

W jednej chwili ozywają wszystkie kamery, odwracając się w stronę Andrew i Harmony. Wyglądają jak czarne, błyszczące oczy gigantycznego pająka o długich, cienkich aluminiowych nogach.

Nagle ekran się rozświecila.

I zamienia się w cyfrową ścianę podzieloną na dwadzieścia siedem okien.

W trzynastu oknach po lewej stronie wyświetla się widok z kamer w przedziale mieszkalnym dziewcząt; w trzynastu oknach po prawej widok z przedziału chłopców. W dwudziestym siódmym, największym oknie umieszczonym pośrodku ściany nie wyświetla się nic – to czarny ekran programu Genesis.

– Ściana montażowa programu... – szepcze Andrew. – Tuż przed naszymi oczami... – Muska przyciski na wbudowanym w biurko panelu sterowania. – Pod naszymi palcami!

– Popatrz! Uczestnicy są cali i zdrowi! – wykrzykuje Harmony, wskazując na okna u góry wielkiego ekranu, które pokazują obraz z kamer w Kuli Spotkań. – Są tu! Wszyscy dwanaścioro!

PLAN

Start + 160 dni, 00 godz. 02 min.
(Dwudziesty trzeci tydzień)

– Słyszeliście to? – pyta nagle Fangfang.

– Co takiego, Joanno d’Arc? – odpowiada Kelly. – Jesteśmy pośrodku międzyplanetarnej próżni, silniki są wyłączone, nie ma tu nic do usłyszenia. Poza decyzją ostatniej głosującej. No więc, Léo, jaki jest twój werdykt?

Czuję się tak, jakby miażdżył mnie ogromny ciężar, większy od tego, który przytłaczał mnie przed pięcioma miesiącami, kiedy opuszczaliśmy Ziemię.

„Ty naprawdę jesteś sama, a ja jestem częścią drużyny” – rzuciłam Serenie w twarz, kiedy zaproponowała mi swój ohydny układ. Myślałam, że jeśli każdy z nas będzie miał głos, razem zdecydujemy o wspólnym losie.

Wszyscy się już jednak wypowiedzieli, a sytuacja jeszcze bardziej się skomplikowała. Nie było między nami zgody. Nastąpił rozłam. Nawet Marcus odciął się ode mnie, by podarować mi ten zatruty prezent, ten jadowity dar – wybór. Nie wiem, czy powinnam go za ten podarunek pokochać jeszcze mocniej, czy może znienawidzić.

Mój wzrok przecina szklaną bańkę i nie zatrzymując się na twarzy Marcusa, wznosi się nad głowami dziewcząt i chłopców, którzy czekają w napięciu na moje słowa. Skupiam uwagę na monsturalnej sylwetce Fobosa i zamontowanej na nim antenie komunikacyjnej, która celuje we mnie niczym złowroga włócznia. Mimo zawrotnej prędkości, z jaką czarny księżyc krąży wokół Marsa, zdaje się zawieszony w próżni, bo poruszamy się jego śladem w tym samym tempie. Szybkość to pojęcie względne. Podobnie jak życie.

Ta wiedźma Serena miała rację. To ja muszę podjąć ostateczną decyzję. Ja sama. Sama! Ta myśl sprawia, że ogarnia mnie dzika wściekłość. Otwieram usta, by powiedzieć, że zdecydowałam! Że ja też głosuję za powrotem na Ziemię! Że ja...

– A teraz? Nie mówcie, że nie słyszycie! – wykrzykuje Fangfang w chwili, gdy już mam się odezwać.

Tym razem nikt jej nie wmawia, że jest szalona i słyszy głosy aniołów. Wszyscy uchwycili dźwięk dobiegający z otwartego za jej plecami włazu:

– ... wiadomość dla pasażerów... Cupido... czy mnie... sły-szycie...?

Szok trwa ledwie chwilę.

Jak na komendę wszystkie rzucamy się do włazu prowadzącego do siłowni;

po drugiej stronie Kuli Spotkań chłopcy robią to samo – oni też usłyszeli głos dochodzący z przedziału mieszkalnego.

Moje serce bije jak oszalałe.

Łokcie i kolana obijają się o szczeble drabiny.

Dziesięć procent grawitacji wbija mi nogi w podłogę siłowni po tak długim czasie spędzonym w stanie nieważkości w Kuli Spotkań.

Na dwunastu ekranach przytwierdzonych do przyrządów do ćwiczeń wyświetla się jakaś twarz. Pierwszy raz od początku podróży nie jest to twarz Sereny McBee. To twarz chłopaka mniej więcej w naszym wieku. Ma on brązowe włosy i spogląda niespokojnym spojrzeniem zza szkieł okularów w czarnych oprawkach.

– *Słyszycie mnie?* – powtarza. – *Musicie przejść z Kuli Spotkań do przedziałów mieszkalnych, żebyśmy mogli się komunikować... Widzicie mnie?*

Wybucha wrzawa.

– Tak! Tak! Widzimy! – dziewczyny wołają, jakby głośny wrzask mógł zmniejszyć opóźnienie w łączności z Ziemią. – Zeszliśmy do przedziału! Słyszemy cię! Widzimy!

Coś nie pozwala mi dzielić ich radości, z pewnością obawa, że znowu jesteśmy oszukiwane.

– Czekajcie... – mówię. – To może być pułapka. Nie wiemy, kim jest ten chłopak. Popatrzcie na widok za jego plecami, to ogrody willi McBee...

Krzyki w jednej chwili ustają, a ich miejsce zajmuje pełna napięcia cisza. Jednak chłopak na ekranie mówi dalej, jakby odgadł moje myśli na odległość.

– ... *usłyszycie moje słowa z trzuminutowym opóźnieniem. Podejrzewam, że dotrą one także do organizatorów programu Genesis, którzy przebywają w swojej kwaterze głównej, bo baza na przylądku Canaveral jest połączona zabezpieczoną siecią z willą McBee. Dlatego będziemy musieli uciec, zanim nas zatrzymają...*

Uciec? My?

Za plecami chłopaka ukazuje się druga twarz. Twarz dziewczyny o cerze tak bladej i włosach tak jasnych, że zdaje się stapiać ze śnieżnym pejzażem za oknem, jakby była ucieleśnieniem białych ogrodów.

– Harmony... – szepcze Liz. – Wygląda jak Harmony McBee...

Liz ma rację.

Takie jasnozielone oczy mają tylko dwie osoby na Ziemi: producentka wykonawcza programu Genesis i jej córka, którą poznaliśmy ponad rok temu podczas skromnego przyjęcia wydanego na naszą cześć w willi McBee w przerwie szkolenia w Dolinie Śmierci.

– A ta co tu robi? – pyta nerwowo Kelly. – Ukochana córeczka Sereny, na którą mamusia chucha i dmucha w swej przytulnej willi, wysyłając innych na pewną śmierć... Sorry, dziewczyny, ale ja bym jej nie ufała.

Podrziwliwóść Kelly jest zrozumiała. Widziałyśmy Harmony tylko raz i wtedy przez całe popołudnie trzymała się matki. Była jak jej odbicie. Albo raczej cień. Cień tak dyskretny, że nikt go nie dostrzega. Serena, niczym gwiazda rocka, wyjaśniła nam, że chce chronić córkę przed zagrożeniami, jakie niesie sława, dlatego poza garstką oddanych pracowników willi i najbliższych przyjaciół nikt nie wie o jej istnieniu. Oświadczyła, że chciała nam ją przedstawić, bo nas też uznaje za swoje dzieci – najgorsze jest to, że jej wtedy wierzyłam.

– *Właśnie zobaczyliśmy, że wychodzicie z Kuli Spotkań, co oznacza, że usłyszeliście naszą wiadomość!* – wykrzykuje nagle okularnik. – *Być może już nam odpowiedzieliście, ale jeszcze o tym nie wiemy...* – Rzuca nerwowe spojrzenie na zegarek i natychmiast kontynuuje: – *... nic nie poradzimy na to trzyminutowe opóźnienie w komunikacji. Z pewnością rozpoznaliście Harmony McBee. Być może moja twarz też wydaje się wam znajoma. Nazywam się Andrew Fisher, jestem synem Shermana Fishera, szefa łączności programu Genesis.*

– Tak! – potwierdza Safia. – Wygląda jak młodsza kopia mojego instruktora, tego, który zginął na początku lata. Nie wiedziałam, że miał dziecko w naszym wieku. Syn Shermana i córka Sereny... Wydaje się to nieprawdopodobne, a jednak są tu przed nami...

Opadają mnie gorzkie myśli: z ekranu patrzą na nas dzieci tych, którzy sobie z nas zadrwili, oszukali i skazali na śmierć. Stoją tam ramię w ramię, bezpieczni na Ziemi, bo mama i tata nie wysłali ich w tę beznadziejną misję. Nic dziwnego! My tymczasem jesteśmy zagubieni w bezmiarze kosmosu, wisząc na cienkiej nitce między życiem a śmiercią. Czuję, jak narasta we mnie gniew. Jednak w tej samej chwili, gdy zamierzam dać upust złości, dziewczyna na ekranie otwiera blade usta i odzywa się do nas po raz pierwszy:

– *Nie wiem, co nasi rodzice wam zrobili, ale błagam was, nie obwiniajcie za to nas* – mówi drżącym głosem, rzucając swą prośbę w kosmiczną próżnię. – *Nie wiemy, dlaczego szefowie programu już od dwóch godzin trzymają was poza anteną. Nie mamy pojęcia, jaką tajemnicę starają się ukryć przed całą Ziemią i przed nami. Wiecie, właśnie zdałam sobie sprawę z jednej bardzo ważnej rzeczy. Wbrew temu, co wmawiano mi przez lata, mimo że jesteśmy podobne jak dwie krople wody, mimo że noszę jej nazwisko i tytuły, ja... ja nie jestem moją matką, a Andrew nie jest swoim ojcem. Tak samo jak wy nie jesteście swoimi rodzicami, którzy kiedyś was porzucili czy odtręcili.*

Argument trafia prosto w serce. Sama myśl, że mogłabym pewnego dnia porzucić własne dziecko, zostawić je w śmietniku, przejmuje mnie takim wstrętem i odrazą, że brakuje mi oddechu. Nie, nie jestem jak moi rodzice, których nie pamiętam, i nigdy nie będę taka jak oni! Nikt nie powinien być obarczany odpowiedzialnością za zbrodnie popełnione przez bliskich. Nawet córka najgorszej kanalii, jaka kiedykolwiek chodziła po powierzchni Ziemi.

– *Przez wiele miesięcy przed śmiercią ojciec trzymał mnie na dystans, jakbym był dla niego kimś obcym* – dodaje Andrew, kontynuując przemowę swej niezwyklej towarzyszki. – *Przez całe lata matka Harmony trzymała ją zamkniętą w tej willi jak więźniarkę. Mamy już dość zmyślenia. Włamał się do gabinetu Sereny. Musimy odkryć mroczny sekret, który kryje się w sercu programu Genesis. Co ukrywali przed nami rodzice? Dlaczego program został przerwany? Czy znacie odpowiedzi na te pytania? Ach, co za męka nie móc rozmawiać z wami bezpośrednio! Jeśli coś wiecie, błagam, powiedzcie nam!*

Nie wytrzymując dłużej, Fangfang podnosi rękę w stronę czarnego oka kamery. Wciąż trzyma w dłoni telefon komórkowy.

– Czekaj! – woła Kris. – Wygląda, że mają szczerą intencję, ale jeśli powiemy komukolwiek o raporcie Noego, Serena rozhermetyzuje bazę! – Kris natychmiast zasłania dłonią usta, jakby chciała cofnąć swoje słowa. Ale jest już za późno. W stresie zdradziła zbyt wiele. Jej słowa mkną już przez przestrzeń kosmiczną aż do uszu tajemniczych włamywaczy w willi McBee i nic nie może już zatrzymać tego, co zostało wypowiedziane.

– Jest trzynasta trzydzieści pięć – jęczy Liz, wbijając wzrok w zegarek. – Zostało niewiele ponad siedem minut, by dać Serenie odpowiedź...

Ponad siedem minut – to odliczanie wsteczne, które powinno mrozić mi krew w żyłach, ani mnie grzeje, ani ziębi. Ponieważ w głębi duszy jestem przekonana, że możemy zaufać naszym rozmówcom. Ponieważ kolejny raz, w tej partii pokera, w której gramy przeciwko Serenie McBee, karty zostały prze-tasowane.

Odwracam się gwałtownie w stronę kamery i czuję, że pieką mnie oczy i pali gardło, a słowa cisną się na usta, jakby wszystkie naraz chciały się wydostać na zewnątrz.

– Chcę wam wierzyć!... Nie, nawet więcej, wierzę wam! Naprawdę wam wierzę! Wierzę wam całkowicie, zupełnie, niezachwianie!

No i stało się, płaczę.

Z moich oczu płyną gorące łzy, ale nie ze słabości ani przygnębienia, ani z żadnego z tych powodów, z których przez całe życie nie pozwalałam sobie zapłakać. Te łzy są oznaką siły, która wydobywa się z głębi mnie jak gejzer, jak wulkan.

Uspokajam oddech i zmuszam się do wypowiedzania słów po kolei, we właściwym porządku, by pozostałe dziewczyny dobrze mnie zrozumiały.

– Twierdzimy, że nie jesteśmy takie jak te potwory, które podpisały na nas wyrok śmierci, nawet nas nie znając, prawda? Czy nie okazałybyśmy się potworami, oceniając tych dwoje, choć nic o nich nie wiemy? Czy nasi oprawcy sprawili, że stałyśmy się tak nieufne, że nie potrafimy już rozpoznać bliźnich? Że mylimy katów i ofiary? Spójrzcie na nich, do cholery! – Wskazuję palcem

najbliższy ekran umieszczony nad bieżnią. – Spójrzcie na nich... – powtarzam łagodnie.

Dziewczyny przybliżają się do ekranu, ich twarze odbijają się w gładkiej powierzchni, nakładając się na oblicza intruzów, którzy przyglądają się nam, naprawdę nas nie widząc, ponieważ patrzą na to, kim byliśmy trzy minuty wcześniej.

Blade czoło Andrew Fishera nagle się marszczy. Powtarza cicho nasze pierwsze odpowiedzi, które wreszcie do niego dotarły i pomału kreślą kontury strasznej tajemnicy, którą chciał poznać, włamując się do gabinetu Sereny McBee.

– „Wysyłając innych na pewną śmierć?” „Rozhermetyzuje bazę?” – jąka. – *Czy właśnie to powiedziały Kelly i Kris? Nie rozumiem... Albo raczej obawiam się, że rozumiem aż za dobrze. Och, mój Boże!*

Czas umyka, jak przesypujące się ziarenka piasku, ale już nikt nie próbuje go zatrzymać.

– Oni są tacy... jak my – szepcze Safia, po chwili milczenia, która zdawała się trwać wieczność.

Jej piękne ciemne oczy wypełniają się łzami, które spływając po policzkach, zostawiają na nich czarne ślady kajułu.

– Oni też zostali oszukani... – mówi Liz.

– Ich także okłamano... – dodaje Kris.

– Chcecie powiedzieć, że dali się wyrolować – rzuca Kelly. – Witamy w klubie!

Nagle twarz Andrew rozjaśnia uśmiech, przeganiając na chwilę niepokój: właśnie usłyszał słowa, które wypowiedziałam kilka minut temu, zobaczył moje łzy.

– *Léonor?* – mówi, zbliżając rękę do kamery wzruszającym gestem, jakby chciał dosięgnąć mnie poprzez otchłań, która nas dzieli. – *Wierzysz nam, Léonor? Och, dziękuję! Dziękuję! Nie odpowiadamy za to, co was spotkało, przysięgam! Czy pozostałe uczestniczki też nam wierzą?*

– Myślę, że tak... – odpowiadam, dotykając dłoni Andrew przez ekran nad bieżnią. – Prawda, dziewczyny?

Moje towarzyszki kiwają głowami.

– *Wierzą nam?* – powtarzają Andrew i Harmony drżącymi głosami, z błyszczącymi oczami, utrzymywani w niepewności przez okrutne opóźnienie w łączności między statkiem a Ziemią, nie wiedząc, że już im odpowiedziałyśmy. – *Muszą nam uwierzyć, bo jesteśmy tacy sami jak one! Nie mamy statku, fanów ani Posagów, ale jesteśmy wstrząśnięci tym, co nasi rodzice zostawiają nam w spadku. I choć znajdujemy się na drugim końcu Układu Słonecznego, jesteśmy teraz z wami! Powiedzcie nam, co wiecie, a my zrobimy wszystko, żeby wam pomóc!*

– Andrew, Harmony, posłuchajcie mnie uważnie, bo kiedy dotrą do was

moje słowa, już mnie tu nie będzie – mówię, patrząc prosto w kamerę i wycierając łzy. – Tak, prawda jest przerażająca i zaraz ją wam wyjawimy. Tak, grozi nam śmierć. Tak, liczymy na was. Waszym statkiem niech będzie każdy pojazd, który pozwoli wam uciec jak najdalej od Sereny McBee. Waszymi fanami będziemy my, dwanaścioro uczestników programu Genesis. A waszym Posagiem nasza nieskończona wdzięczność i być może triumf prawdy, kiedy to wszystko się skończy. W naszej załodze są jeszcze dwa stanowiska do obsadzenia. Dwanaścioro plus dwoje daje czternaścioro: będziecie naszymi specjalistami w dziedzinie przetrwania. Ponieważ naprawdę możecie uratować nam życie. Szefowie programu Genesis zrobią wszystko, żeby was uciszyć, tak samo jak próbowali zamknąć nam usta. Z tą różnicą, że wy nie jesteście zdani na ich łaskę, zamknęci w ciasnej celi na drugim końcu kosmosu. Jesteście wolni. Zróbcie wszystko, by tak zostało, błagam. Jeśli zginiemy, wyjawcie światu to, co zaraz wam pokażemy.

Kiwam głową w stronę Fangfang, która wciąż trzyma telefon komórkowy w drżących dłoniach.

– Możesz im pokazać strony raportu Noego, Fangfang – mówię. – I wyjaśnić, że zostały nam dwadzieścia dwa miesiące do następnej Wielkiej Burzy. Ja wracam do Kuli Spotkań, by dać Serenie odpowiedź. Już czas. Przepraszam za wahanie, dziewczyny. Ta cholerna Niszczarka Wątpliwości ostatnio trochę zardzewiała. Wreszcie się jednak odblokowała i głośnie za lądowaniem. Wszyscy zejdziemy na powierzchnię Marsa, i to z uśmiechami na twarzach, jakbyśmy właśnie podpisali umowę *Spokój ducha* z siecią telefonii Karmafone, proszę!

KONTRPLAN

**Schron przeciwatomowy, baza na przylądku Canaveral,
sobota 9 grudnia, siedem minut wcześniej, godz. 13.35**

– Co się dzieje? Czas ultimatum zaraz upłynie, a oni ciągle nie dają odpowiedzi! Dlaczego opuszczają Kulę Spotkań?

Gordon Lock prycha jak rozwścieczony byk, pochylając się w stronę cyfrowej ściany, na której z trzyminutowym opóźnieniem ukazują się obrazy ze statku. Wszyscy w bunkrze stoją, z napięcia nikt nie potrafi już spokojnie usiedzieć.

– Patrzcie! – wykrzykuje Odette Stuart-Smith swoim przenik-liwym głosem.
– Włączyły się ekrany w siłowni! Połączyliśmy się z Cupido?

Spiskowcy niczym błędne widma powoli dołączają do Sereny McBee stojącej pod cyfrową ścianą. I zdają sobie sprawę, że to nie transmisja z bunkra pojawia się na ekranach nad rowerami i bieżniami.

– To chyba ogrody twojej willi, Sereno... – duka Geronimo Blackbull. – Kim jest ten okularnik na ekranie...?

– Poznaje go – piszczy specjalistka od planetologii. – To Andrew Fisher, syn Shermana. Ale on nie jest sam... Popatrzcie... Za nim jest ktoś jeszcze...

Z ust doktora Montgomery'ego, zwykle tak opanowanego, wydobywa się okrzyk zdumienia.

– Och! Sereno! – woła, chwytając producentkę za ramię. – Ona wygląda... wygląda... jak twoja córka!

Serena McBee milczy przez trzy sekundy, jakby jej mózg odmawiał przyjęcia tej informacji. W pierwszej sekundzie po obliczu producentki wykonawczej przebiega cień niepokoju. W drugiej zaś w jej oczach błyska coś na kształt bólu. Lecz nim mija trzecia sekunda, jej rysy tężeją, a twarz znów zmienia się w maskę wyrażającą zimną determinację.

Producentka strząsa z ramienia rękę doktora Montgomery'ego.

– Mylisz się, Arthurze – rzuca lodowatym tonem. – Wydaje ci się, że rozpoznasz Harmony, ale to nie ona.

– Jesteś tego pewna...? – nalega lekarz. – Podobieństwo jest uderzające...

– Moja córka nigdy nie zdradziłaby matki! – ucina Serena.

Naciska na wpiętą w klapę zakietu broszkę-mikrofon w kształcie pszczoły.

Wydaje rozkazy z prędkością serii z karabinu maszynowego.

– Serena do Balthazara! Powtarzam: Serena do Balthazara! Do mojego

gabinetu w willi McBee wdarło się dwoje przestępców. Chłopak w okularach i dziewczyna, która ucharakteryzowała się na Harmony. To niebezpieczni zbrodniarze i włamywacze. Muszą zostać unieszkodliwieni. Obrona konieczna. Mamy do tego prawo. Zastrzel ich, obydwójce, chcę tego!

Serena puszcza broszkę.

Pozostali konspiratorzy przyglądają się temu w milczeniu.

Ona wpatruje się tylko w cyfrową ścianę naprzeciwko, tak nieruchoma, jakby była martwa.

Nagle przez ekran przemyka czerwony płomień. To Léonor rzuca się na drabinę w przedziale dziewcząt, znika z okna z widokiem na siłownię i pojawia się w tym, które ukazuje Kulę Spotkań. Wygląda jak błędny ognik naprzeciw przytłaczająco wielkiego posągu, olbrzyma z lodu.

– Sereno – mówi zdyszana, patrząc śmiało w oko kamery. – Otrzymasz tę wiadomość kilka minut przed ponownym uruchomieniem kanału Genesis. Podjęliśmy decyzję. Decyzję o lądowaniu na Marsie. – Klatka piersiowa Léonor unosi się gwałtownie. Jest zdenerwowana sytuacją i tym, że została rzecznikiem pozostałej jedenastki. Jej piegowate policzki są zarumienione, ogniste loki kleją się do spoconych skroni i szyi, w kącikach oczu widać ślady łez. Jednak choć buzują w niej emocje, robi wszystko, by zachować zimną krew: prawie nie mruga złotobrazowymi oczami. Mówi wprost do obiektywu, a jej źrenice są rozszerzone ze zmęczenia i ekscytacji. – Postanowiliśmy wylądować na Marsie – ciągnie. – Ale nie na twoich warunkach, tylko na naszych. Oddać naiwnie swoje życie w twoje ręce to pomysł nie do przyjęcia! Ale wylądować, wiedząc, że w chwili, gdy zginiemy, cały świat dowie się o raporcie Noego, to o wiele znośniejsza perspektywa. Ty i twoi ludzie nie jesteście już jedynymi Ziemianami, którzy wiedzą o jego istnieniu. W tej grze pojawiły się dwie nowe karty. Dwa asy. I to nie ty masz je w ręku. – Léonor bierze głęboki wdech, jak pływak nabierający powietrza przed zanurzeniem się w głębinach, który nie wie, kiedy znów będzie mógł zaczerpnąć tchu. Nagle wydaje się bardzo delikatna i młodziutka! – Lubisz układy, pakty, umowy – mówi, starając się opanować drżenie głosu. – No to posłuchaj uważnie, Sereno. Oto nasze warunki... – szuka właściwych słów, waha się, poprawia: – ... nie, powinnam raczej powiedzieć, oto twoje zobowiązania... Oto... umowa *Spokój ducha!* – Po wymówieniu słów „umowa *Spokój ducha*” kolejne zdania w cudowny sposób przychodzą same i spływają z jej ust. Poruszona powagą chwili Léonor zdaje się nagle przeobrażać, jakby wypełniła ją nowa energia, siła, jaką daje instynkt przetrwania. – Po pierwsze, gwarancja stałego zasięgu: już nigdy nie przerwiesz transmisji i nie zdejmiesz nas z anteny. Po drugie, gwarancja przejrzystości: informujesz nas o wszystkim, co się dzieje na Ziemi w czasie rzeczywistym, bez opóźnień i przekłamań. Po trzecie, gwarancja wsparcia technicznego: dostarczasz nam wszelkiej technicznej i logistycznej pomocy

niezbędnej do naprawienia modułów mieszkalnych.

Jeśli naruszysz którekolwiek z tych zobowiązań, zaczniemy mówić. Jeśli spróbujesz się nas pozbyć, nasi przyjaciele rozpowszechnią obciążające cię dowody. Mówiąc krótko: powinno ci zależeć na tym, byśmy żyli na Marsie jak najdłużej.

12.

POZA PLANEM

**Willa Sereny McBee, Long Island, stan Nowy Jork,
sobota 9 grudnia, dziesięć minut wcześniej, godz. 13.45**

– Okłamali cały świat... – szepcze Andrew.

Chłopak stoi przed cyfrową ścianą w biurze Sereny, identyczną jak ta w bunkrze przeciwatomowym na przylądku Canaveral. Patrzy szeroko otwartymi oczami na strony raportu Noego, które Fangfang przewija przed kamerą w siłowni.

– Zdawali sobie sprawę, że wysyłają uczestników programu na śmierć, ale nie pisnęli nawet słowem. Udawali, że pasażerów Cupido na Marsie czeka świetlana przyszłość, chociaż wiedzieli, że w rzeczywistości wszyscy oni zdechną jak psy. Wszystko po to, by program się kręcił, a strumień pieniędzy od widzów i sponsorów płynął nieprzerwanie do ich kieszeni. Mój ojciec... jego też okłamali, prawda Harmony? To był dobry człowiek, uczciwy. Nigdy by się nie zgodził na udział w tym zorganizowanym morderstwie... chociaż miał długi... bez pensji wypłacanej przez program Genesis prawdopodobnie nie zdołałby spłacać rat za nasz dom w Beverly Hills...

Andrew podnosi błagalne spojrzenie na drżącą dziewczynę stojącą obok przy biurku. Wpatrzona w ekran Harmony zdaje się jeszcze bledsza niż zwykle.

– Jestem pewna, że twój ojciec był niewinny... – odpowiada głosem tak delikatnym, że zdaje się niemal kryształowy. – Chcę w to wierzyć całym sercem. Tak jak chciałabym przekonać samą siebie, że moja mama jest ofiarą spisku, albo przynajmniej, jakiegoś okropnego nieporozumienia...

Odrywa oczy od cyfrowej ściany i wbija je w Andrew.

– ... ale dowody mamy przed oczami – kończy, oddychając płytko, jak ktoś na łożu śmierci. – Wszystko wskazuje na to, że ten koszmar jest dziełem mojej mamy.

Przez chwilę patrzą na siebie w ciszy, która przy padających za oknem płatkach śniegu wydaje się łagodna, znieruchomiali, niezdolni wykrztusić nawet słowa. Ściągnięte usta, zaciśnięte szczęki, błyszczące oczy. Nie muszą nic mówić, by wiedzieć, że wszystko się dla nich zmieniło, że nic nie będzie już takie jak dawniej. Odtąd są na świecie sami, jeszcze bardziej odosobnieni niż dwanaścioro pasażerów Cupido gdzieś tam w przestrzeni kosmicznej – straszliwe odkrycie, którego dokonali, odcina ich od reszty ludzkości.

Nagle zza okna dobiega ich głuchy hałas.

Odległe skrzypienie śniegu pod podszwami.

Zza zasłony białego puchu wyłania się ciemny cień.

Jakiś mężczyzna idzie po śniegu, znacząc dziewczęcą biel śladami swych ciężkich butów.

– Strażnik robi obchód! – wykrzykuje Harmony. – Szybko, uciekajmy, zanim dojdzie pod okno.

Ciągnie Andrew za ramię w stronę służbowych drzwi, którymi tu weszli, ale chłopak się opiera:

– Zaczekaj! – błaga, wskazując laptop wciąż podłączony kablem do panelu sterowania na biurku. – Jeszcze momencik... Zrzuty ekranu z raportem Noego są już na moim dysku, ale muszę jeszcze skopiować dane z jednostki systemowej w biurku...

– Jakiej jednostki systemowej? Jakie dane?

W tej samej chwili główne drzwi gabinetu otwierają się z hukiem. Stoi w nich mężczyzna około pięćdziesiątki w liberii, ze słuchawką w uchu i pistoletem w ręce.

– Balthazarze! – krzyczy dziewczyna. – To ja, Harmony! Nie strzelaj!

Ale kamerdyner nie opuszcza broni.

Patrzy zimno i obojętnie niczym automat.

Jego twarz jest kamienna i nieprzenikniona.

– Balthazarze? – powtarza Harmony niepewnie. – Nie poznajesz mnie? To ja, Harmony. Zajmowałeś się mną, odkąd byłam malutka...

Jednak nic w nieruchomej podłużnej twarzy Balthazara nie pozwala mieć nadziei, że rozumie czy choćby w ogóle rejestruje słowa Harmony. Ona tego nie wie, lecz jedyny głos, którego słucha, dochodzi z tkwiącej w uchu słuchawki i szepcze mu rozkazy, którym nie jest w stanie się sprzeciwić.

– Pamiętasz, Balthazarze! – Harmony już prawie krzyczy. – Pamiętasz, jak w moje dziesiąte urodziny przegoniłeś kruka, który wpadł do pokoju i tak mnie przestraszył? Każdej wiosny przynosisz mi pierwsze róże z ogrodu, bym mogła wpiąć je sobie we włosy! Balthazarze! Balthazarze! Przecież to ja!

– Uwaga! – wrzeszczy Andrew, rzucając się na dziewczynę sekundę przed tym, jak kamerdyner pociąga za spust.

Huk wystrzału rozrywa ciszę. Chłopak i dziewczyna padają na ziemię. Wielka okienna szyba rozpada się z trzaskiem na milion kawałków. Balthazar szykuje się już do kolejnego strzału. Jego ruchy są jednak spowolnione przez dziwny stan, w jakim się znajduje. Andrew jest szybszy. Skacze na równe nogi, chwytając leżący na biurku wielki kwarcowy przycisk do papieru i z całej siły ciska go przed siebie – trafia w głowę kamerdynera, który pada nieprzytomny na podłogę.

Lodowaty powiew zimy wpada do biura przez rozbite okno, wiatr wyje wściekle wśród odłamków szkła.

– O mój Boże! Biedny Balthazar! – woła Harmony, nie mogąc oderwać oczu od ciała rozciągniętego bezwładnie na perskim dywanie pokrywającym podłogę gabinetu Sereny. – Czy on... nie żyje?

– Nie wydaje mi się... – jąka Andrew. – Nie wiem. Ja... Działalem instynktownie. Wycelowałem i rzuciłem, jak w baseballu. – Wola przetrwania szybko bierze górę. – ... wiem za to, że o mało cię nie zabił. Jeśli człowiek, który cię zna, nie wahał się pociągnąć za spust, to najemnicy wynajęci do ochrony willi nie będą mieli żadnych skrupułów!

Rzuca nerwowe spojrzenie na rozbite okno.

Jednak po drugiej stronie jest tylko biały śnieg, który pada tak gęsto, że widoczność ogranicza się najwyżej do dwóch metrów.

– Może burza śnieżna stłumiła huk wystrzału? – zauważa Harmony.

– W takim razie miejmy nadzieję, że osłoni nas także w trakcie ucieczki. Żeby się dostać do mojego samochodu, musimy przebiec przez ogród i pokonać ogrodzenie, innej drogi nie ma.

Zamyka laptop, szarpie za kabel, którym podłączył go do panelu sterowania, wrzuca wszystko do plecaka i zamierza przeskoczyć przez odłamki szkła.

Odwraca się w ostatniej chwili, by sprawdzić, czy Harmony idzie za nim.

Lecz dziewczyna wciąż stoi nieruchomo pośrodku gabinetu.

– Znowu zmieniłaś zdanie? Nie chcesz uciec? – niepokoii się Andrew.

Wiatr targa mu włosy, zmieniając brązowe kosmyki w rzemienie, które smagają czoło i okulary.

– Przeciwnie, nie chcę tu zostać ani chwili dłużej – odpowiada Harmony. – Ale nie mogę odejść, nie upewniwszy się, że Balthazar żyje... – Pospiesznie schyla się nad bezwładnym ciałem, przykładając ucho do liberii. – Czuję, że jego klatka piersiowa się unosi – mówi z ulgą. – Słyszę bicie jego serca. Słyszę... głos mojej mamy?

Harmony podnosi głowę i przypatruje się podłodze. Słuchawka wysunęła się z ucha Balthazara, kiedy upadał.

Teraz leży na dywanie, brzęcząc jak pszczoła, która zgubiła drogę do swego ula w samym środku zimy – mała pszczołka z głosem Sereny McBee.

– ... *Serena do Balthazara... Powtarzam: Serena do Balthazara... Znalazłeś ich...? Zabiłeś ich...? Odpowiadaj natychmiast! Chcę tego!*

Harmony skacze na równe nogi, jakby ją użądliła zimowa pszczoła, i ucieka przez okno w ślad za Andrew.

KONTRPLAN

**Schron przeciwiatomowy, baza na przylądku Canaveral,
sobota 9 grudnia, godz. 13.50**

– No i...? – pyta Gordon Lock, błagalnym spojrzeniem wpatrując się w Serenę McBee. – Zostali zneutralizowani?

Producentka wykonawcza zwalnia nacisk palca wskazującego na broszkę-nadajnik.

– Ciągle nic, nie wiem – odpowiada stłumionym głosem. – Balthazar nie odpowiada. W każdym razie jest w stanie hipnozy, zaprogramowany, jak wszyscy moi pracownicy, by wykonać każdy rozkaz z precyzją robota.

Konspiratorzy nie mają czasu na narzekania, ponieważ u góry cyfrowej ściany pojawia się czerwony migoczący napis, oblewając mały bunkier płomienistym blaskiem.

POŁĄCZENIE PRZYCHODZĄCE Z MONTAŻOWNI

Serena kładzie palec na gładkiej powierzchni i natychmiast pojawia się okno ukazujące montażownię mieszczącą się wysoko nad bunkrem w bazie na przylądku Canaveral. Samantha, jak zawsze, stoi wiernie na posterunku... Tym razem jednak nie jest sama. Setki ludzi wtargnęły do sanktuarium kanału Genesis, wprowadzając tam kompletny chaos – młodzi i starzy, samotni i całe rodziny, fani odziani od stóp do głów w kolory programu i zwykli ludzie ubrani w dresy lub garnitury, czyli w to, co mieli na sobie, gdy zaskoczyła ich przerwa w nadawaniu na kanale Genesis.

– Gdy napierający tłum przełamał ostatnią zaporę, strażnicy postanowili, że nie będą strzelać... – tłumaczy się Samantha. – Ci ludzie nie są uzbrojeni, oni tylko umierają z niepokoju o uczestników i... o panią, pani McBee. W serwisach społecznościowych zawrzało. Szerzy się pogłoska, że dostała pani ataku serca, montując program, że pani nie żyje. Niektórzy utrzymują, że to nie pani napisała wiadomość wyemitowaną na kanale. Po świecie zaczęły krążyć szalone teorie spiskowe, mówi się o CIA, KGB, Iluminatach... W obliczu tych plotek Biały Dom nie wie już, czego ma się trzymać, i zasypuje nas pytaniami o nową panią wiceprezydent. Pani McBee, dodatkowe dwadzieścia minut opóźnienia, o które pani prosiła, a które my ogłosiliśmy na kanale, właśnie upłynęło. Jeśli nadal będziemy zwlekać, nikt nie zdoła opanować sytuacji. Czy możemy wznowić transmisję?

Czarnoskóry dwudziestolatek w czerwonej bluzie i czapce z logo Mario's Pizza gwałtownie wpycha się w kadr.

– Czy ja dobrze widzę, ślicznotko? – wykrzykuje. – Rozmawiasz z Sereną McBee? Właśnie dostarczałem pizzę do portu na przylądku Canaveral, gdy przerwali *show*. Więc zmieniłem kierunek i z duszą na ramieniu przyjechałem tutaj!

– Bardzo pana proszę... – próbuje się bronić asystentka. – Nie ma pan prawa tu przebywać...

Ale nie da się powstrzymać zaraźliwego entuzjazmu młodego dostawcy pizzy.

– Hej, ludzie, słuchajcie! – wrzeszczy z promiennym uśmiechem na twarzy. – To nie był blef! Serena żyje i uratuje uczestników, statek i cały program!

Okrzyki ulgi zagłuszają protesty Samantha.

– Hura! Niech żyje Serena!

Tymczasem konsternacja panująca w bunkrze ostro kontrastuje z radością wylewającą się z ekranu.

– No dobrze. Naprawdę czas już wrócić na antenę – ogłasza Serena. – Samantha ma rację, nie możemy dłużej zwlekać. Nie mamy wyboru.

– Wrócić na antenę? – krztusi się Gordon Lock. – Wiedząc, że dwoje osobników buja się nie wiadomo gdzie z kopią raportu Noego?

– Kiedy pomyślę o tym małym natręcie Andrew Fisherze, o jego śmiesznych szlochach na pogrzebie Shermana! – jęczy Odette Stuart-Smith, załamując ręce. – Pomiot szatana! Pozbyliśmy się ojca tylko po to, by dostać się w szpony syna!

– Tym razem to już naprawdę koniec – stwierdza ponuro Geronimo Blackbull. – Trzy zobowiązania, jakie nałożyła na nas ta ruda diablica, to prawdziwy dyktat: *Zasięg, Przejrzystość, Wsparcie!* A może jeszcze *Śniadanie do łóżka?* – Wybucha gorzkim śmiechem przypominającym wrzask kruka. – Na początku w naszym interesie leżało, żeby zdechli jak najszybciej, a teraz, by jak najdłużej żyli na Marsie! Zaprogramowany przez Serenę kamikadze też na nic nam się już nie zda; wręcz przeciwnie, nie można mu pozwolić, by przeszedł do czynów. Ale nie oszukujmy się, nawet bez pomocy kamikadze i tak w końcu zginą, kiedy moduły mieszkalne trafi szlag, a wtedy ten cholerny raport wypłynie na światło dzienne. Jesteśmy w potrzasku, jak szczur, który wpadł w pułapkę!

Archibald Dragovic jak zawsze tylko przewraca swoimi szalonymi oczami, a jego fartuchem wstrząsają nerwowe drgawki.

Serena uśmiecha się z zakłopotaniem.

– Zdaję sobie sprawę, że sytuacja jest nieco niezręczna – przyznaje. – I biorę na siebie odpowiedzialność jako kapitan tej wyprawy. Jak szczury w pułapce, mówisz, Geronimo? Lecz gdy nadchodzi sztorm, szczury zawsze znajdują sposób, by opuścić statek, nieprawdaż? Tylko kapitan jest zobowiązany pozostać na

pokładzie.

Producentka wykonawcza patrzy po kolei w oczy wszystkich konspiratorów.

– Za kilka chwil przywrócę transmisję – ciągnie. – Ale wy, drodzy przyjaciele, możecie czmychnąć, jeśli chcecie. Odrzutowiec Atlasa, który ciągle czeka na pasie startowym na przylądku Canaveral, jest do waszej dyspozycji. Słyszeliście: uczestnicy postanowili wylądować na Marsie. Atlas Capital przeleje premie na nasze konta bankowe, kiedy tylko kapsuły znajdą się na powierzchni planety, czyli zgodnie z planem za kilka godzin. Z tymi dziesiątkami milionów dolarów będziecie mogli kupić sobie azyl polityczny w dowolnie wybranym kraju. W Hondurasie, Panamie, Gwatemali, Salwadorze, Nikaragui... Wystarczy wybrać jedno z tych wymarzonych miejsc na wcześniejszą emeryturę pod palmą kokosową: z Florydy jest niedaleko do Ameryki Środkowej, pełnej państweczek bez grosza, wykluczonych z podboju kosmosu. Nieco dalej jest Afryka, gdzie Arthur Montgomery ma liczne znajomości, biorąc pod uwagę, że przejechał Czarny Kontynent wszerz i wzdłuż podczas swych częstych safari. Krótko mówiąc, jestem pewna, że znajdziecie sobie własny raj na ziemi, który przyjmie was z otwartymi ramionami, zwłaszcza jeśli zapłacicie za pobyt.

Po tych słowach Serena wyjmuje z torebki ze skóry pytona puderniczkę, by poprawić makijaż, który ostatnie wydarzenia lekko rozmazały.

Dyrektor Lock wytrzeszcza szeroko oczy.

– Chcesz powiedzieć, że... poświęcisz się, by ukryć naszą ucieczkę? – pyta, wymawiając wyraźnie każdą sylabę.

– Tak, mój drogi – odpowiada Serena, pudrując nos. – Możesz tak to ująć, z twoim słynnym zamiłowaniem do melodramatu. Poświęcę się dla was. Ale nie stójcie tak. Albo zostajecie, albo uciekacie, czas nagli.

– Chodzi o to... – duka Gordon Lock. – Nie spodziewałem się... Dziękuję, Sereno.

– Nie ma za co. A skoro ciągle tu jesteś, weź to. W razie gdyby pilot odrzutowca nie chciał współpracować, to pomoże wam go przekonać, by obrał kurs na kraj, który wybierze.

Serena z nonszalancją zatrząskuje puderniczkę, wrzuca ją z powrotem do torebki, z której chwilę później wyjmuje pistolet i podaje go dyrektorowi Lockowi. Ten mamrocze słowa podziękowania, po czym szybko pakuje swoje rzeczy do skórzanej teczki, a Odette Stuart-Smith, Geronimo Blackbull i Archibald Dragovic natychmiast podążają w jego ślady. Tylko Arthur Montgomery wciąż stoi pod cyfrową ścianą wyprostowany jak struna.

– Nie masz ochoty na safari, doktorku? – pyta Geronimo, podczas gdy Gordon przykłada spływającą potem twarz do czytnika siatkówki, który steruje drzwiami bunkra.

– Nie jestem szczurem – oburza się lekarz. – Jeśli safari czegoś mnie

nauczyło, to tego, że człowiek dominuje nad wszystkimi zwierzętami. Mam swój honor!

Instruktor inżynierii wzrusza ramionami, zakładając za ucho kosmyk długich czarnych włosów.

– Honor? – chrypi głosem zatwardziałego palacza z uśmiechem błakającym się w kącikach spierzchniętych warg. – Nie jestem pewien, czy w najbliższym czasie wyjdzie ci to na zdrowie. Ale zdrowie to w końcu twoja działka, doktoru.

Znika w wąskim, oświetlonym świetlówkami korytarzu prowadzącym do windy, która chwilę później wyjeżdża na powierzchnię.

AKT II

14

KANAŁ GENESIS

Sobota 9 grudnia, godz. 13.59

POWRÓT NA ANTENĘ ZA 30 SEKUND...

29 SEKUND...

28 SEKUND...

27 SEKUND...

POZA PLANEM

**Hotel California, Dolina Śmierci,
sobota 9 grudnia, godz. 13.59**

– Panie Billu, to cud!

Cindy, kelnerka z małego hotelu California przycupniętego na poboczu drogi stanowej numer 190, wyciera ręce w fartuch i biegnie do telewizora, żeby podkręcić głośność.

– Co tam, kochanieńka? – mamrocze staruszek siedzący za barem, nie podnosząc zmęczonego wzroku znad gazety.

Obracające się pod sufitem łopatki wentylatora unoszą rzadkie siwe kosmyki jego włosów i wprawiają w drżenie brzegi gazety.

– Ktoś chce wynająć pokój? O tej porze roku, przy tym kryzysie, to rzeczywiście byłby cud...

– Hej! – wykrzykuje Cindy, wskazując palcem stary kineskopowy odbiornik.

– Kanał Genesis wznowia nadawanie! Wreszcie zobaczymy uczestników programu!

Hotelarz podnosi głowę, oczy pod ciężkimi powiekami otwierają się szeroko i zaczynają błyszczeć.

– Rzeczywiście, kochanieńka! – woła. – Wygląda na to, że masz rację!

W głębi restauracji jedyni dwaj goście upuszczają widelce na talerze z chili con carne – daniem dnia przygotowanym z mrożonki wyprodukowanej przez firmę Eden Food, bo przecież przy takim zastoju w interesie nie można sobie pozwolić na kupowanie świeżych produktów. To dwaj zwalisci kierowcy ciężarówek, galernicy szos spoceni i oblepieni czerwonym pyłem Doliny Śmierci, ale ich oczy błyszczą tak samo jak oczy pana Billa i Cindy. W tej chwili, wpatrzeni w stary odbiornik, na którym wyświetlają się cyfry, znów stali się chłopcami oniemiałymi z zachwytu.

– Tak się bałam! – woła Cindy. – Tak strasznie się bałam, że straciliśmy ich na zawsze! Nigdy nie podniosłabym się po takim ciosie! Ale teraz, Bogu niech będą dzięki, wszystko wraca do normy. – Wzdycha z ulgą, a po chwili z żalem i mówi: – Ach! Jak bym chciała znaleźć się jutro wieczorem na przylądku Canaveral i uczestniczyć w ceremonii zaślubin transmitowanej na żywo z Marsa.

Pan Bill wali pięścią w ladę.

– No to na co czekasz, kochanieńka! – wykrzykuje z szerokim uśmiechem.

Cindy patrzy na niego zdziwiona.

– Panie Billu?

– Raz się żyje, Cindy! Daję ci wolne, dzisiaj, jutro i pojutrze też! Pakuj się! Szybko! Jeszcze zdążysz na samolot.

Odwraca się w stronę sali i woła do kierowców:

– Czy któryś z gentlemanów mógłby łaskawie podrzucić tę młodą damę na lotnisko?

16

KANAŁ GENESIS

Sobota 9 grudnia, godz. 13.59

POWRÓT NA ANTENĘ ZA 23 SEKUNDY...

22 SEKUNDY...

21 SEKUND...

20 SEKUND...

POZA PLANEM

**Otoczenie willi Sereny McBee, Long Island, stan Nowy Jork,
sobota 9 grudnia, godz. 13.59**

Dźwięk klaksonu rozdziera zasłonę ciszy i śniegu okrywającą Hampton, położone cztery tysiące kilometrów od Doliny Śmierci. Przed oblodzonym ogrodzeniem willi McBee, przy którym koczują najzagorzalsi fani programu Genesis, zaparkowało kilkadziesiąt aut osobowych, półciężarówek, kamperów. Wygląda to jak miasteczko, którego domy mocno się do siebie przytulają, by chronić się przed zimnem. Z wylotów kominowych przyczep kempingowych unoszą się cienkie smugi dymu. Za oszronionymi szybami bije migotliwy blask ekranów pokazujących obraz z kanału Genesis.

Znów rozlega się dźwięk klaksonu, tym razem wydawany przez wiele aut jednocześnie.

W końcu trąbi całe miasteczko. Wszyscy kierowcy uderzają rytmicznie w kierownice, odliczając czas do rozpoczęcia programu. Sygnał wznosi się ku ciężkiemu niebu, raz na sekundę, niczym bijący dzwon, niczym zbiorowa błagalna modlitwa.

W tej podniosłej chwili nikt nie zwraca uwagi na czarnego kampera z przyciemnianymi szybami, który odłącza się od reszty i na pełnym gazie odjeżdża, wzbijając na drodze białe tumany śniegu.

18

KANAŁ GENESIS

Sobota 9 grudnia, godz. 13.59

POWRÓT NA ANTENĘ ZA 18 SEKUND...

17 SEKUND...

16 SEKUND...

15 SEKUND...

POZA PLANEM

**Times Square, Nowy Jork,
sobota 9 grudnia, godz. 13.59**

Niedaleko od prowizorycznego miasteczka w Hampton, w samym sercu metropolii także pada śnieg. Pomimo mrozu Times Square wypełnia tłum, który się tu zgromadził przed dwoma godzinami, by oglądać szybką randkę. Milion zsiniałych z zimna twarzy zwraca się ku gigantycznym ekranom zawieszonym na ścianach budynków ze szkła i stali, na których wyświetla się czas pozostały do rozpoczęcia programu.

Milion ust wypuszcza w powietrze chmurę pary, skandując jednym głosem:

- Osiem!
- Siedem!
- Sześć!
- Pięć!...

KANAL GENESIS

Sobota 9 grudnia, godz. 13.59

POWRÓT NA ANTENĘ ZA 4 SEKUNDY...

3 SEKUNDY...

2 SEKUNDY...

1 SEKUNDĘ...

Czarne tło.

Stopniowe rozjaśnienie kadru. Na ekranie pojawia się Serena McBee siedząca w czarnym skórzanym fotelu. Uśmiecha się promiennie, odsłaniając błyszczące, idealnie proste zęby. Srebrzysta fryzura jest ułożona tak perfekcyjnie, jakby jej właścicielka spędziła dwie ostatnie godziny w salonie fryzjerskim, podczas gdy pozostali mieszkańcy planety pograżali się w otchłani rozpacz, zwątpienia i trwogi.

Serena: Drodzy widzowie, cieszę się niezmiernie, że znów się spotykamy! Tak bardzo mi was brakowało! Wzruszyła mnie wasza postawa. Wszystkie przejawy sympatii na portalach społecznościowych, oznaki przywiązania, troska o moje zdrowie i życie... Nie martwcie się, żyję i czuję się doskonale. Jestem gotowa służyć wam i naszym dzielnym kosmicznym bohaterom z jeszcze większym zaangażowaniem niż dotychczas. (Uśmiech Sereny się rozszerza – czy może zmienia w grymas?) Nasi kochani uczestnicy także żyją. Chyba w to nie wątpicie? Gotowi do ostatniego etapu swej fantastycznej podróży – lądowania w nowym świecie! Któż nie byłby przejęty, stojąc przed taką szansą, najbardziej oszałamiającą perspektywą, jaka kiedykolwiek rysowała się przed człowiekiem? My wszyscy tu, na Ziemi, jesteśmy poruszeni, siedząc przed ekranami telewizorów, wyobraźcie sobie więc, co musi się dziać tam, wysoko, w bezpośredniej bliskości Marsa! Po pięciu miesiącach transmisji na żywo napięcie na pokładzie Cupido sięgnęło zenitu. Tak, Léonor miała mały kryzys, ale niech ten, kto nigdy się nie załamał, pierwszy rzuci w nią kamieniem. Ja w każdym razie nie zamierzam! Tak, Léonor ma na plecach ogromną bliznę, ale czy to jej wina? Wybrałam ją mimo tej niedoskonałości. Któż nie ma jakiejś wady? Gdyby było trzeba, dziś wybrałabym ją jeszcze raz. Wyselekcjonowałam tę dwunastkę i tylko ja

za to odpowiadam. Postanowiłam na moment zawiesić transmisję ze statku, by dać naszym bohaterom chwilę oddechu, pozwolić na spotkanie i rozmowę bez kamer. Nie szukajcie winnych tej krótkiej przerwy w programie. To była moja decyzja i tylko ja jestem za nią odpowiedzialna.

W prawym rogu ekranu, obok Sereny, otwiera się nowe okienko. Ukazuje się w nim panorama miasta z lotu ptaka, obraz pochodzi zapewne z kamery umieszczonej na dronie, z czerwonym napisem: „TIMES SQUARE, NOWY JORK, TRANSMISJA NA ŻYWO”.

– SERENA! – skanduje oszalały tłum, oświetlony przez gigantyczne ekrany, które ukazują skrzywiony uśmiech producentki wykonawczej.

Kamera schodzi w dół, przelatuje kilka metrów nad tysiącami rąk wymachujących kartonami, na których pospiesznie wypisano markerami: „Masz rację, Sereno. Jesteśmy z tobą! Ameryka jest z ciebie dumna!”.

W okienku pojawia się teraz obraz z Paryża. Także i tam tłum wyraża wdzięczność i entuzjazm.

Serena: Złamałam regulamin programu Genesis, który stanowi, że kamery nigdy nie mogą przestać filmować. I bez uprzedzenia na dwie godziny pozbawiłam was możliwości oglądania tego niezwykłego widowiska. Uznałam, że uczestnicy potrzebują odpoczynku przed lądowaniem. Nie mogli już znieść tak wielkiego napięcia, co jest zupełnie zrozumiałe! Dwie godziny przerwy to najlepszy prezent, jaki mogli dostać. Posłuchałam tego, co podpowiadało mi serce. Przyznaję. Ryzykując wasze rozczarowanie. Ryzykując stratę pieniędzy z licencji na transmisję. Jeśli jesteście źli, drodzy widzowie, to do mnie powinniście mieć żal, nie do uczestników.

Jednak w relacji z Berlina, która zastąpiła tę z Paryża, nie widać żadnej złości, a jedynie ogromną ulgę fanów noszących na głowach sztuczne warkocze upięte na kształt korony. Wielbiciele Kirsten – młode dziewczyny i starszki, mężczyźni w każdym wieku i dzieci – wszyscy noszą je dumnie i piszczą z radości.

Czy to komiczny widok pieska rasy chihuahua z misterną blond fryzurą sprawia, że Serena odzyskuje promienny uśmiech? Ten sam, który przez pięć miesięcy prezentowała na wizji.

Serena: Mam dla was dobrą wiadomość. Ta chwila wytchnienia przyniosła owoce. Na pokładzie Cupido znów zapanowała harmonia. Nasi młodzi przyjaciele odnaleźli pogodę ducha i pewność siebie – zalety, dzięki którym zostali wybrani do programu Genesis. Połączmy się z nimi niezwłocznie – czołówka!

Czarne tło.

PLAN

Start + 160 dni, 31 min
(Dwudziesty trzeci tydzień)

Panoramiczny ekran wiszący naprzeciwko kominka włącza się bez ostrzeżenia, ukazując rozgwieżdżoną przestrzeń kosmiczną z czołówki programu.

Całą szóstką zeszyliśmy do salonu, by być razem, kiedy kanał Genesis znów ruszy. Suczka Louve też jest tu z nami. Zdążyłam przetrzeć twarz mokrym ręcznikiem, by usunąć ślady zaschniętej krwi z policzka, i pospiesznie nakleiłam plaster na łuk brwiowy. Nie było czasu na zakładanie szwów. Moja muślinowa suknia też będzie musiała poczekać na naprawę. Kris związała kilka wiszących strzępów materiału tak, by zakrywały mi pierś i prawe ramię, ale plecy w zasadzie pozostały odsłonięte. To nie nagość sprawia jednak, że przechodzi mnie dreszcz. To pierwsze dźwięki *Cosmic love*, oficjalnego hymnu programu Genesis, które rozlegają się w salonie jak pierwszego dnia – jakby nic się nie stało.

– *Sześć uczestniczek z jednej strony...* – ogłasza wcześniej nagrany głos, który brzmi, jakby dochodził z czeluści grobowca.

Na ekranie pojawia się Cupido. Wydaje mi się teraz taki malutki, taki kruchy pośrodku międzyplanetarnej próżni. Prawdziwa pułapka na myszy! I znalazło się dwanaścioro ludzi na tyle szalonych, by do niego wsiąść!

(*Ale czy lądowanie na Marsie nie jest jeszcze większym szaleństwem?*) – szepcze mi do ucha Salamandra, która znów się przebudziła.

Milczała w czasie dyskusji z pozostałymi uczestnikami, milczała, kiedy każdy wypowiadał swoje zdanie i kiedy trzeba było podjąć decyzję. A teraz, gdy kłamka zapadła, kiedy wszyscy zamilkli, ona znów się wtrąca. Na próżno powtarzam sobie, że dokonaliśmy właściwego wyboru, że na Ziemi mamy dwoje sprzymierzeńców, gotowych wydać Serenę McBee jeśli nie dotrzyma któregoś z zobowiązań, wciąż nachodzą mnie wątpliwości. Zwłaszcza gdy widzę pojawiające się na ekranie podobizny sześciu uczestniczek, nasze portrety wykonane przed startem, z których bije taka radość, naiwność... głupota!

Podpis: FANGFANG, SINGAPUR (PLANETOLOGIA)

Podpis: KELLY, KANADA (NAWIGACJA)

Podpis: SAFIA, INDIE (ŁĄCZNOŚĆ)

Podpis: ELIZABETH, WIELKA BRYTANIA (INŻYNIERIA)

Podpis: KIRSTEN, NIEMCY (BIOLOGIA)

Podpis: LÉONOR, FRANCJA (MEDYCYNĄ)

Spoglądałam nerwowo na dziewczyny przytulone do siebie przed ekranem. Ich blade twarze nie mają nic wspólnego z tymi, które widać w czołówce, kiedy wierzyły, że spełnia się ich najpiękniejszy sen. One już się przebudziły. Wiedzą, że za zakrętem czeka śmierć.

– *Sześciu uczestników z drugiej strony...* – ogłasza głos z offu.

Na ekranie w miejsce przedziału mieszkalnego dziewcząt pojawia się przedział chłopców. Sylwetki sześciu uczestników prze-mykają jedna za drugą, w równym szyku niczym postaci skazańców w kolejce do egzekucji.

Podpis: TAO, CHINY (INŻYNIERIA)

Podpis: ALEKSIEJ, ROSJA (MEDYCYNA)

Podpis: KENJI, JAPONIA (ŁĄCZNOŚĆ)

Podpis: MOZART, BRAZYLIA (NAWIGACJA)

Podpis: SAMSON, NIGERIA (BIOLOGIA)

Podpis: MARCUS, STANY ZJEDNOCZONE (PLANETOLOGIA)

Marcus...

Mój Marcus...

Wydawało mi się, że tak dobrze go znam, zaledwie po kilku randkach w Kuli Spotkań... A w rzeczywistości być może nic o nim nie wiem. A jeśli ta magia, która zdawała się nas łączyć, była tylko złudzeniem, jak cała reszta programu, jak makieta statku w czołówce, jak te płaskie postaci przypominające kartonowe dwuwymiarowe figurki w domku dla lalek? Czy naprawdę głosowałam za powrotem na Ziemię, aby nie wpływać na moją decyzję, czy raczej...

(... sam zaczął mieć wątpliwości, czy chce spędzić resztę życia z okaleczoną dziewczyną?)

Zaciskam pięści w fałdach muślinowej sukienki, aż paznokcie wbijają mi się w skórę dłoni.

Marcus zaakceptował mnie taką, jaka jestem, wiem to na pewno!

Wyciął sobie moje imię na skórze już po tym, jak zobaczył moją bliznę!

Nie pozwolę Salamandrze zniszczyć tego, co nas połączyło!

Głosy Jimmy'ego Gianta i Stelli Magnifici, wykonawców *Cosmic Love*, zagłuszają dalszy bieg moich myśli finałowym crescendo czołówki, a na ekranie pojawia się przedstawiające płód logo programu Genesis. Wcześniej specjalnie mi nie przeszkadzało. Jednak teraz, kiedy wiem to wszystko, co wiem, logo programu wydaje mi się straszne – dziecko martwe przed urodzeniem, misja poroniona już na samym początku, makabryczna ilustracja programu Genesis, fuj!

Nothing can stop our cosmic love

Our cosmic love

Our coosmic looove!

Tortura oglądania czołówki wreszcie się kończy, ale nie czuję ulgi, ponieważ zastępuje ją jeszcze bolesniejszy spektakl: uśmiech Sereny McBee. Nigdy wcześniej o tym nie pomyślałam, ale teraz wydaje mi się, że ten uśmiech przypomina sierp. Tak, tak właśnie bym go narysowała: długi ostry sierp z białej kości słoniowej, gotowy skosić dwanaście istnień, zimny i szyderczy uśmiech samej Śmierci. Wiem jednak, że dostrzegam to tylko ja i pozostali pasażerowie statku. W oczach miliardów widzów uśmiech Sereny McBee wciąż jest uśmiechem całkiem seksownej, ukochanej mamusi, będącej uosobieniem dobroci i człowieczeństwa – czyli dokładnym przeciwieństwem tego, kim jest naprawdę.

– *Moje drogie!* – wykrzykuje głosem, od którego robi mi się niedobrze, bo pod słodyczą spływającą z jej ust ukrywają się wyrachowanie i hipokryzja. – *Nareszcie znów się spotykamy! Co za radość widzieć, że pogodziłyście się już po tej małej sprzeczce, która was poróżniła. Zapewne poszło wam o chłopców! Ale powiedzcie, co to za grobowe miny? Martwicie się, że zrobiłyście z siebie widowisko, tak? Nie zadręczajcie się, zawiesiłam transmisję aż do chwili, gdy doszłyście do porozumienia. Możecie się znów uśmiechnąć.*

Z intonacji Sereny wnioskuję, że nie jest to niewinne zdanie, lecz rozkaz – mamy zrozumieć słowo „możecie” jako „-musicie”. Wycelowane w nas kamery wiszące na ścianach salonu pokazują zbliżenia na skwaszone miny, ślady łez na policzkach, zmarszczone ze stresu czoła. Nie możemy sobie na to dłużej pozwalać. Od tej chwili musimy się stać aktorkami w teatrze własnego życia – udawać radość, gdy czujemy wyłącznie niepokój, przybierać maskę beztróski, podczas gdy jedynym motorem naszych działań będzie dzika chęć przetrwania.

Próbuję ze wszystkich sił unieść kąciki ust do góry – mam wrażenie, że z każdej strony przyczepiono mi do nich stukilowy odważnik.

Rozciągam usta, odsłaniając zęby – wydaje mi się, że wszystkie mięśnie twarzy zastygły w potwornym grymasie.

To straszne, zmieniać tak swoją twarz w maskę, ale nie mam wyboru – trzeba wziąć przykład z Sereny, ukrywać prawdziwe uczucia i jak sama mówi z przerażającym cynizmem „odgrywać *show*”.

– Dziękujemy za wyrozumiałość, Sereno – odpowiadam.

Mój głos brzmi fałszywie jak rozstrojone skrzypce. Musisz się bardziej postarać, Léo. Nie ma wyjścia.

– Masz rację, to dla nas czas radości – ciągnę, zmuszając się do jeszcze szerszego uśmiechu. – Ale jednocześnie to czas intensywnych przeżyć, taki... onieśmielający. Jesteśmy o krok od tego, czego zawsze pragnęliśmy, o czym marzymy od pięciu miesięcy: wreszcie wylądujemy na Marsie. Jesteśmy wręcz zobowiązane do szczęścia.

Podkreślam słowo „zobowiązane”, wpatrując się intensywnie w kamerę, a za

jej pośrednictwem w tę, od której oczekuję znaku, że ona także wypełni swoją część umowy.

Następnie odwracam się do pozostałych dziewczyn, które patrzą na mnie jak na kosmitkę.

– Prawda, dziewczyny? – rzucam nieco zbyt radosnym, zbyt silnym głosem.
– Trochę nas to wszystko przeraża: ostateczne Listy Serca, wielkie lądowanie, śluby... noc poślubna.

Kelly pierwsza włącza się do gry.

– Trzęsiemy się ze strachu! – woła, wybuchając śmiechem. Jak ona to robi, że potrafi się śmiać w takich okolicznościach? Skąd czerpie siłę? – Staniemy twarzą w twarz z sześcioma napalonymi samcami, którzy przez ostatnie pięć miesięcy siedzieli zamknięci w klatce! Trzeba będzie wyjąć nasze biczki, by ich poskromić, dziewczęta!

Zaczyna żuć swoją gumę z zapamiętaniem (albo wściekłością), a do przedstawienia włącza się Liz:

– Ojej! Co za emocje! – mówi, wachlując się dłonią. – Nie mogę uwierzyć, że zbliża się najpiękniejszy dzień mojego życia!

To kłamstwo jest tak wielkie, że tym razem wszystkie wybuchamy śmiechem. Głębokim, dzikim śmiechem, który ogarnia całą naszą szóstkę, a każda z nas trzęsie się jak pralka w czasie wirowania. Zdaje się, że nic nie zdoła powstrzymać śmiechu, który skręca nam mięśnie brzucha, zapiera dech w piersi, wyciska palące łzy. Louve przyłącza się do nas, szczekając zajadle, a jej ujadanie dziwnie przypomina ludzki głos. Czas płynie. Dokładnie sześć minut, trzy potrzebne, by echa tego ataku szału dotarły na Ziemię, i kolejne trzy, by wróciła do nas reakcja Sereny:

– *No bravo!* – woła z panoramicznego ekranu. – *Tak lepiej!*

W końcu, jedna po drugiej odzyskujemy oddech, tymczasem Serena kontynuuje swoją tyradę.

– *Może uspokoi was informacja, że napalone samce są tak samo zestresowane jak wy na myśl o tym, że wkrótce naprawdę się spotkacie. I oni też się o was pobili.*

Co za wirtuozeria w wymyślaniu kłamstw! Jeśli chłopcom puszcza nerwy, to nie dlatego, że niebawem się z nami spotkają, lecz dlatego, że wiedzą, co czeka ich na Marsie. Pięść Mozarta zostawiła na szczęce Aleksieja wielkiego siniaka nie z naszego powodu, lecz ze względu na straszliwy wybór, przed którym postawiła ich Serena. Ale o tym widzowie się nie dowiedzą... dopóty, dopóki będziemy trzymać język za zębami.

– *Z psychologicznego punktu widzenia te bójkki były zupełnie normalne, a nawet potrzebne* – wyjaśnia Serena, strojąc się w szaty autorytetu w dziedzinie psychologii. – *Pozwoliły naszym wspaniałym bohaterom uwolnić napięcie, które*

nagromadziło się w trakcie podróży. I to jakiej podróży! Podróży stulecia! Jednak teraz, kiedy te wszystkie, zupełnie zrozumiałe problemy są już za nami, program Genesis na dobre wraca na antenę. Przynurkam to uroczyście! I powiem więcej, przynurkam po trzykroć! Skoro nasi wspaniali, pobłogosławieni przez bogów uczestnicy są zobowiązani do szczęścia, ja mam potrójny obowiązek zadbania o wasze szczęście, drodzy widzowie.

Dlatego obiecuję wam, po pierwsze, stały zasięg: już nigdy nie przerwę transmisji i nie zdejmę uczestników z anteny, abyście już nigdy nie stracili ich z oczu.

Po drugie, przejrzystość: będę informować ich o wszystkim, co się dzieje na Ziemi w czasie rzeczywistym, tak by bez opóźnień docierały do nich wasze wyrazy sympatii.

Po trzecie, wsparcie: dostarczę im zdalnie wszelkiego wsparcia, jakiego będą potrzebowali, na wypadek gdyby w przyszłości miał się zdarzyć jakiś nowy psychologiczny kryzys. Każdy z uczestników, który o to poprosi, będzie mógł skorzystać z prywatnych kilkuminutowych konsultacji ze mną w siódmym module mieszkalnym, który na tę okoliczność przemianowałam na Relaksownię. Podkreślam, że te konsultacje będą prywatne, i to jest moje pierwsze odstępstwo od gwarancji stałego zasięgu. Drugi wyjątek dotyczy nocy, zapewne bardzo gorących! Nocą kamery będą wyłączone, by zapewnić naszym uczestnikom intymność.

Serena podkreśla swoje słowa znaczącym spojrzeniem. Bardzo pomysłowe! I bardzo fałszywe! Widzowie są przekonani, że producentka wykonawcza ich ulubionego programu coś im obiecuje, podczas gdy jej ostatnie słowa skierowane są do nas. Serena powtarza punkt po punkcie wszystkie zobowiązania, które jej przedstawiłam, inspirując się umową *Spokój ducha* telefonii Karmafone. Mówi nam, że przyjmuje nasze warunki i będzie ich przestrzegać. Tak naprawdę nie ma wyboru: jeden fałszywy krok, a Andrew i Harmony opublikują zrzuty ekranu dokumentujące raport Noego.

– *Podsumowując, życzę naszym drogim przyjaciółom, by żyli na Marsie naprawdę bardzo, bardzo długo!* – kończy, cytując słowa, które wypowiedziałam do niej, gdy byliśmy poza anteną. – *To długie i szczęśliwe życie na Marsie rozpocznie się jutro od dobrania się w pary i lądowania w bazie Nowy Eden, gdzie uczestnicy zawrą oficjalnie związki małżeńskie. Moi drodzy, macie jeszcze jeden wieczór i noc na przemyślenie swoich wyborów przed sporządzeniem ostatecznych List Serca, co nastąpi jutro o jedenastej, jak co niedzielę!*

KONTRPLAN

**Schron przeciwatomowy, baza na przylądku Canaveral,
sobota 9 grudnia, godz. 14.10**

Serena McBee wymanikiowanym palcem naciska guzik z napisem OFF na małym panelu kontrolnym wbudowanym w okrągły stół przed jej fotelem.

– Teraz szczeniaki mają kilka godzin, by łamać sobie głowy nad swoimi śmiesznymi rankingami... a my wykorzystamy ten czas na działanie.

– My? – pyta Arthur Montgomery.

To ostatni z konspiratorów, który pozostał w bunkrze przeciwatomowym. Siedzi wyprostowany na swoim krześle, jeszcze bardziej niż zwykle przypominając pozbawioną emocji figurę woskową.

– Tak, my – powtarza Serena. – Zawsze wiedziałam, Arthurze, że mogę na ciebie liczyć. To, co jest między nami, jest takie... intensywne!

– Też tak sędzę – duka Montgomery.

Jego cienki biały wąsik leciutko drży. Błękitne oczy błyszczą w ostrym świetle halogenowych lamp.

– Pozostali skorzystali z pierwszej nadarzającej się okazji, żeby uciec – ciągnie Serena. – Ale ty jesteś prawdziwym mężczyzną, nie mięczakiem. Jesteś łowcą dzikich bestii, tym, który bez mrugnięcia powieką spogląda lwom prosto w oczy. Podczas gdy ja, pod maską pozorów, jestem tylko słabą kobietą.

– Sereno...

– Przy tobie, Arthurze, mogę zrzucić maskę. Tylko tobie jednemu mogę wyznać, że czuję się taka bezbronna, taka krucha. Wyobraź sobie, że jeden z naszych dawnych sojuszników zaczyna mówić, obciążając mnie przed sądem w zamian za uratowanie własnej skóry? Ta myśl mnie przeraża. Ale cóż mogłam zrobić? Jak mogłam ich zatrzymać? Wszyscy prócz ciebie mnie opuścili, sam widziałeś, wszyscy.

Głos Sereny drży, kobieta ukrywa twarz w dłoniach i zaczyna szlochać:

– O mój Boże! Chyba nie dam rady!

– Sereno!

Doktor podnosi się gwałtownie, drżąc w swej marynarce z logo programu Genesis. Jego ramiona zwisają bezradnie wzdłuż sztywnego ciała. Nie wie, jak się zachować wobec tej kobiety, która zaczyna się załamywać (a przynajmniej takie sprawia wrażenie). W końcu niezdarnie kładzie dłoń na ramieniu zdruzgotanej producentki wykonawczej.

– Sereno, kochanie... proszę cię. Nie bój się. Jestem przy tobie. Nikomu nie pozwolę cię skrzywdzić. Ci, którzy cię opuścili, to zdrajcy!

Serena podnosi ku niemu twarz, na której maluje się trwoga – oczywiście na tyle, na ile pozwala jej botoks, co w jej wypadku ogranicza się do nieznacznego uniesienia brwi.

– Zdrajcy? Naprawdę tak uważasz?

– Tak, podli zdrajcy, którzy zasługują tylko na śmierć! Gdybym mógł, własnoręcznie bym ich udusił!

Serena poprawia włosy eleganckim ruchem dłoni. Jej oczy natychmiast przestają się szklić, jak u aktorki, która po odegraniu dramatycznej sceny za kulisami odzyskuje całkowity spokój.

– Być może istnieje sposób, by sprawiedliwości stało się zadość – mówi, wyjmując z torebki jakieś pudełko.

– Pilot do rozhermetyzowania marsjańskiej bazy? – pyta zdziwiony doktor Montgomery. – Nie rozumiem...

– Nie chodzi o to – tłumaczy Serena. – To urządzenie też dostałam od Geronimo Blackbulla, ale nie ma ono nic wspólnego z Marsem...

Serena stuka polakierowanym na zielono paznokciem w logo widniejące nad małym cyfrowym ekranem na pilocie: RAPAX 5 – głosi napis drukowanymi literami.

– Jeden z dronów mających chronić bazę na przylądku Canaveral! – rozpoznaje Arthur Montgomery.

– Właśnie. Tyle że dron, który jest sterowany tym pilotem, już od wielu dni jest poza bazą. Ukryłam go w kokpicie odrzutowca, który Atlas Capital oddał do mojej dyspozycji i którym przyleciałam tu z mojej willi. Dlaczego? Bo tak podpowiedział mi instynkt. A mój instynkt, drogi Arthurze, nigdy się nie myli.

– To dlatego zachęciłaś zdrajców do ucieczki na pokładzie odrzutowca! – wykrzykuje doktor Montgomery, gładząc nerwo-wo wąsy.

Serena kiwa głową:

– I dlatego dałam Gordonowi Lockowi swój rewolwer. Kiedy dron, którym steruję, wiązką lasera zabije pilota, a samolot wpadnie do morza, wystarczy wyjaśnić, że dyrektor techniczny programu Genesis doznał ostrego ataku paranoi. Spójrz tylko...

Serena wpisuje coś na klawiaturze panelu kontrolnego w blacie stołu, a na cyfrowej ścianie w głębi bunkra pojawia się nowe okno. To widok z jednej z kamer monitoringu, skierowanej na pusty pas startowy.

14:12:25 – wskazuje licznik w górnej części okna.

Serena naciska na „cofnij”. Licznik i nagrane obrazy z wielką prędkością cofają się, aż do chwili, gdy kwadrans wcześniej, o 13:57:01, na pasie startowym pojawia się odrzutowiec Atlasa. Nagle w kadrze ukazują się cztery małe postaci

skulone tak, że z daleka przypominają żaby. Jakby w panice biegną w kierunku odrzutowca. Serena robi zbliżenie na ostatnią sylwetkę: obłany potem Gordon Lock z wytrzeszczonymi oczami wymachuje pistoletem w zaciśniętej pięści. Popycha pozostałych do środka samolotu, rzuca za siebie ostatnie spojrzenie – spojrzenie szaleńca – po czym sam znika w jego wnętrzu. Chwilę później odrzutowiec z ogłuszającym hukiem startuje.

– Powiedz mi, Arthurze, co właśnie zobaczyłeś? – pyta Serena, wyłączając film.

– Co właśnie zobaczyłem? Konspiratorów uciekających przed sprawiedliwością jak szczury? – zgaduje lekarz.

– Ależ nie, spójrzmy. To, czego właśnie byłeś świadkiem, to porwanie samolotu i wzięcie zakładników przez szaleńca zdolnego do wszystkiego, nawet do zastrzelenia pilota. Pamiętasz, kilka minut temu ty i pozostali instruktorzy programu Genesis wyszliście na powierzchnię rozprostować nogi, podczas gdy ja zostałam w bunkrze i czekałam na wznowienie nadawania programu. Właśnie wtedy Gordon Lock zaczął działać. Zmusił pozostałych do wejścia na pokład samolotu, grożąc im pistoletem. Tobie jednemu udało się uciec, a ja oczywiście o niczym nie wiem, bo cały czas pozostawałam w bunkrze. Właśnie to trzeba będzie powiedzieć w trakcie policyjnego przesłuchania.

Teraz lekarz pociera swój wąsik z taką furią, że ten aż skręca się pod jego palcami.

– Ta historia z wzięciem zakładników jest genialna, a obrazy niepokojące, ale... jednej rzeczy nie rozumiem: dlaczego Gordon Lock miałby to zrobić?

Serena odwraca głowę, wybuchając krystalicznym śmiechem, jak to tylko ona potrafi.

– Dlaczego? – powtarza, jakby to był najlepszy żart, jaki kiedykolwiek słyszała. – Dlaczego? Nie mam najmniejszego pojęcia, dlaczego, mój drogi Arthurze, i nie ma to żadnego znaczenia! Tylko pisarze muszą wynajdywać wiarygodną motywację dla swoich bohaterów. W prawdziwym życiu to zadanie biorą na siebie dziennikarze. Wystarczy podać im wydarzenia, prawdziwe albo zmyślone, a oni już dośpiewają resztę, zapewniam cię. Nie odbierajmy im tej przyjemności!

– Sereno, jesteś genialna! – oświadcza Arthur Montgomery, a w jego oczach błyszczy podziw.

– Genialna? – kokietuje producentka. – Znam tylko dwie czy trzy życiowe prawdy, a jedna z nich głosi, że obrazy same w sobie nie mają żadnego znaczenia; mówią tylko to, co chcemy za ich pomocą przekazać. Ale dosyć już gadania. Uruchomię dron, kiedy samolot znajdzie się nad Morzem Karaibskim, co powinno nastąpić lada chwila. Wolalabym, by rozbił się na pełnym morzu, żeby odnalezienie ciał i czarnej skrzynki nie było zbyt łatwe. Co do ciebie, Arthurze,

pobiegnij na górę podnieść alarm i opowiedzieć o szaleństwie, jakie ogarnęło Gordona Locka, z którego szponów udało ci się wyrwać po zażartej walce. Pozwól, że cię nieco potargam, by dodać wiarygodności twym zeznaniom.

Na te słowa Serena McBee wstaje z fotela i rzuca się na Arthura Montgomery'ego jak dzika kotka. Jej pomalowane zielonym lakierem paznokcie zmieniają się w pazury, którymi luzuje krawat, rozdziera koszulę, obrywa guziki i drapie tors kochanka, doprowadzając go do ekstazy.

– Sereno... Och, Sereno... – dyszy mężczyzna.

Nie daje mu czasu, by zdołał powiedzieć coś więcej – wali go prosto w szczękę, posługując się złotym sygnetem jak kastetem. Następnie zanurza długie palce w siwych włosach, psując idealnie prosty przedziałek, a drugą ręką chwyta go za szyję, by zdusić wszelkie protesty namiętym pocałunkiem.

POZA PLANEM

**Autostrada międzystanowa nr 80, stan New Jersey,
sobota 9 grudnia, godz. 15.15**

– *Ta informacja została już potwierdzona. Prywatny samolot należący do spółki Atlas Capital, znanej z finansowego zaangażowania w program Genesis, przed kwadransem zniknął z radarów nad Morzem Karaibskim, pomiędzy Kubą a Nikaragwą. Łączymy się z Waszyngtonem, z naszym ekspertem w dziedzinie bezpieczeństwa lotniczego Ralphem Bennetem, który powie nam więcej...*

Nad radiem, z którego wydobywa się trzeszczący głos, za przyciemnianą przednią szybą przesuwają się kolejne kilometry autostrady, wzdłuż której ciągną się hałdy śniegu poczerńiałego od dymu z rur wydechowych. Daleko stąd do Morza Karaibskiego, a kamper z każdą chwilą oddala się od niego jeszcze bardziej – pędzi na zachód, jak wskazują ustawione na trasie znaki: -AUTOSTRADA MIĘDZYSTANOWA NR 80 ZACHÓD.

Andrew Fisher odrywa rękę od kierownicy, by podkreślić głośność.

Jego wzrok zatrzymuje się na chwilę w lusterku wstecznym na twarzy Harmony McBee. Ale ona tego nie dostrzega. Siedzi wciśnięta w fotel i sina ze strachu. Szeroko otwarte oczy wpatrują się w czarną wstęgę asfaltu, która ucieka przed nią z prędkością stu kilometrów na godzinę, a paznokcie wbijają się w obicie fotela. Jest przerażona. Dziewczyna, która całe osiemnaście lat swego życia spędziła w zamknięciu, nie wie, czym są prędkość i ruch.

– *Odrzutowiec został zidentyfikowany, gdy znajdował się jeszcze w amerykańskiej strefie powietrznej – wyjaśnia ekspert głosem pełnym podniecenia. – Poruszał się w niej bez zezwolenia, i wygląda na to, że wystartował z bazy na przylądku Canaveral około godziny czternastej.*

– *Czy to pewne, że należał do spółki Atlas Capital?* – pyta dziennikarka.

– *Tak, Silvio. Według naszych informacji tego dnia na pasie startowym na przylądku Canaveral nie było żadnego innego samolotu. Nie ma więc najmniejszych wątpliwości co do tego, że chodzi o odrzutowiec oddany przez Atlas Capital do dyspozycji pani Serenie McBee.*

– *Ale pani McBee nie było na pokładzie, ponieważ właśnie w tej chwili prowadzi program Genesis, prawda?*

– *Tak, to prawda.*

– *A więc kto znajdował się na pokładzie zaginionego odrzutowca, Ralphie, kto?*

Ekspert chrząka z zakłopotaniem.

– *W tym momencie nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie – przyznaje w końcu. – Wszelkie próby kontaktu z maszyną, gdy była jeszcze w powietrzu, zawiodły. Ani władzom amerykańskim, ani stronie kubańskiej nie udało się uzyskać żadnej informacji od pilota czy pasażerów, tak jakby ich radio było zepsute albo... jakby nie chcieli rozmawiać.*

– *Usterka albo celowy brak odpowiedzi? To dwa zupełnie różne scenariusze!*
– redaktorka zniża głos do konfidencjonalnego szeptu. – *A tak między nami, Ralphie, co o tym sądzisz?*

– *Fakt, że nikt, ani Atlas Capital, ani Biały Dom, nie wydał jeszcze oficjalnego oświadczenia, jest bardzo niepokojący. Ta cisza przypomina atmosferę, jaka zwykle poprzedza wielką medialną burzę, kiedy sztaby kryzysowe spotykają się, by uzgodnić sposób przekazania opinii publicznej szokującej informacji. Nagłe zniknięcie maszyny nad Morzem Karaibskim może oznaczać, że powinniśmy obawiać się najgorszego. Oczywiście, w tym regionie dopiero kończy się sezon huraganów, można więc sobie wyobrazić, że pilot wylądował awaryjnie na jakiejś samotnej wysepce, by przeczekać burzę... Ale trudno mi w to uwierzyć. Już od dwudziestu lat komentuję wydarzenia dla waszej stacji, Silvio, i mogę ci powiedzieć, że to wszystko pachnie zamachem terrorystycznym. Czy ktoś zmusił pilota do zmiany kursu i skierowania samolotu w stronę któregoś z państw Ameryki Łacińskiej? Czy nieszczęśni zakładnicy spróbowali bohatercko odzyskać kontrolę nad maszyną... ale próba się nie powiodła i skończyła śmiercią porwanych i ich oprawców? W tej chwili nic nie wiadomo. Przyszłość pokaże.*

– *Dziękuję, Ralphie – odpowiada poważnym tonem dziennikarka. – Pozostajemy w kontakcie. Poinformuj nas, kiedy tylko pojawią się jakieś nowe fakty, aby nasi widzowie byli na bieżąco. A na razie przenosimy się na drugą stronę Układu Słonecznego, gdzie dwanaścioro pasażerów Cupido przygotowuje się do ostatniego etapu podróży. Dzisiaj, jeszcze bardziej niż zwykle, na program Genesis skierowane są oczy całego świata, dlatego warto przypomnieć sylwetki naszych dzielnych zdobywców kosmosu...*

Andrew przycisza radio, które zaczyna nadawać fragmenty nagrań z pokładu Cupido, aby przypomnieć słuchaczom fantastyczne przygody z ostatnich pięciu miesięcy.

– *Jak myślisz, kto mógł być na pokładzie tego odrzutowca? – pyta Harmony, nie odrywając oczu od autostrady, jakby sama kierowała i choćby sekunda jej nieuwagi mogła się skończyć wypadnięciem auta z trasy. – Też sądzisz, że ktoś mógł wziąć zakładników?*

– *Jeśli chodzi o samolot, to nie mam pojęcia, co się mogło stać – odpowiada Andrew. – To nowa zagadka i być może kolejna część całej układanki... Ale tych dwanaścioro tam w górze, których radio nazywa dzielnymi zdobywcami kosmosu,*

to naprawdę zakładnicy. O tym wiemy jednak tylko my. I tylko my możemy im pomóc. Z tym że akcja ratunkowa na drugim końcu kosmosu to zupełnie inna historia niż zaginięcie samolotu nad Morzem Karaibskim, zwłaszcza gdy nikt nie podejrzewa, że doszło do uprowadzenia...

Nagle w samochodzie rozbrzmiewa muzyka.

Harmony podskakuje w fotelu.

– Czwarta część *Gwiezdnych wojen*? – pyta. – *Nowa nadzieja*?

– Tak – potwierdza Andrew, sięgając po telefon komórkowy emitujący dźwięki cyfrowej melodii. – Widzę, że mamy podobne zainteresowania. *Nowa nadzieja*... i telefon, na który czekam od dawna. Halo, to ty, Cecilio? Dostałaś moją wiadomość?

– Andrew? – odzywa się przerażony kobiecy głos, w którym pobrzmiwa latynoski akcent. – Tak, otrzymałam twoją wiadomość. Byłam w pracy, miałam wyłączony telefon. Co się dzieje? Czy ty...

Andrew nie pozwala jej skończyć zdania:

– Później ci wszystko wytłumaczę. A na razie musisz zrobić to, co ci powiem, żeby wam, tobie i małej, nie groziło niebezpieczeństwo.

– Niebezpieczeństwo? Co chcesz przez to powiedzieć? – W głębi rozlega się płacz dziecka. – *Madre de Dios*, mów dalej, Andrew!

– Natychmiast wyjedźcie, nie pakuj walizek, zabierz tylko to, co naprawdę niezbędne. Wyjmij jak najwięcej gotówki z najbliższego bankomatu, żeby później nie używać karty kredytowej, którą można namierzyć. Musicie opuścić kraj, ale nie możecie pojawić się na lotnisku: rezerwowanie lotu byłoby dla was zbyt niebezpieczne. Czy znasz kogoś, kto mógłby ci pomóc uciec drogą morską, nielegalnie?

Cecilia się buntuje, słowa Andrew tylko potęgują jej panikę.

– Nielegalnie? Ale ja jestem całkowicie legalną imigrantką! Nie rozumiem, do czego zmierzasz!

– Ty, tak, ale może masz przyjaciół, którzy znają kogoś powiązanego z kubańską siatką przemytników w Miami? Możesz być pewna, że kiedy Serena McBee obejmie władzę, wszyscy zostaniemy potraktowani jak nielegalni imigranci, a nawet gorzej, jak groźni przestępcy poszukiwani przez wszystkie służby. Uwierz mi.

W słuchawce słychać świszczący ciężki oddech młodej kobiety.

– Być może znam kogoś, kto mógłby pomóc... – przyznaje w końcu.

– Świetnie. Skontaktuj się z nim natychmiast.

– Dobrze... Ale ty, gdzie teraz jesteś, Andrew?

– W drodze – odpowiada lakonicznie chłopak.

– Ty też uciekniesz za granicę?

– Nie, moja rodzina jest tutaj. Muszę ją chronić. Sądzę, że znalazłem na to

sposób. Posiadam informacje, które zniszczyłyby Serenę McBee. Ale nie mogę ich w tej chwili ujawnić, bo skazałbym na śmierć tych, którzy mi je przekazali i liczą na mnie. Nie mogę powiedzieć ci nic więcej. Pozostaniemy w kontakcie. Nie dzwoń do mnie, bo sądzę, że mój numer zostanie wkrótce zablokowany: stwórz anonimowo nowy adres e-mail i napisz do mnie na *sisyphus077@gmail.com*. Obiecuję ci, że prędzej czy później sprawiedliwości stanie się zadość. A ty obiecaj mi, że będziesz silna, Cecilio.

Znów świst oddechu w słuchawce:

– Obiecuję.

Andrew odkłada komórkę.

– Kto to był? – pyta Harmony.

– Wdowa po opiece zwierząt z laboratorium programu Genesis.

– Nie powiedziałaś jej, że jestem z tobą – odparowuje dziewczyna z nutą pretensji w głosie.

– Wydaje mi się, że mogłaby stracić do mnie zaufanie na wieść, że podróżuję z córką kobiety, która najprawdopodobniej zamordowała jej męża i mojego ojca.

Zdając sobie sprawę, że jego słowa mogły ją zranić, Andrew natychmiast się poprawia:

– Nie to chciałem powiedzieć! Jesteś po naszej stronie! Ciebie też matka chciała zabić!

– Być może – odpowiada Harmony ze wzrokiem wciąż wbitym w asfalt. – Ale mnie nie radzisz uciekać przed niebezpieczeństwem za granicę.

– Jak miałabyś to zrobić? Nie masz paszportu, tożsamości...

– ... ani prawa głosu? Mam cię słuchać i iść za tobą bez zbędnych pytań, tak jak przez osiemnaście lat słuchałam matki? Nawet nie wiem, dokąd mnie wiesziesz!

Andrew kaszle nerwowo.

– Masz rację, tobie mogę powiedzieć, bo nasze losy są połączone. Przejedziemy przez cały kraj, by schronić się w Dolinie Śmierci.

– W Dolinie Śmierci? Tam gdzie przez rok szkolili się uczestnicy programu?

– Tak, to także miejsce, gdzie zginął mój ojciec.

– Myślałam, że to pustynia...

– No właśnie. To ostatnie miejsce, w którym mogliby nas szukać. Tysiące kilometrów kwadratowych nicości... którą znam jak własną kieszeń, bo spędziłem tam całe ostatnie lato. Jest tam takie miejsce, Dry Mountain, gdzie przez miesiąc biwakowałem, nie spotykając żywej duszy. Tam będziemy bezpieczni. I niezbyt daleko od mojej rodziny. Nikomu nieznaną imigrantką z Kuby może się obawiać o swoje życie, ale Serena nie odważy się zaatakować otwarcie żony i córki jednego z szefów programu Genesis. W tej chwili są względnie bezpieczne. W każdym razie całym sercem pragnę w to wierzyć.

Dwoje pasażerów milczy przez chwilę.

W tle słyhać wciąż zagłuszana przez warkot silnika audycję radiową. Głos uczestniczek programu zdają się bardzo odległe, tak delikatne, że byle co mogłoby je uciszyć na zawsze.

– *Chłopcy, cała ta gra, to wszystko wymyślono po to, aby nas podzielić* – mówi głos Elizabeth, nagrany pięć miesięcy wcześniej, na samym początku podróży. – *Ale to, co dziś nas łączy, jest silniejsze niż to, co jutro będzie próbowało nas poróżnić. To nie popisy solistów decydują o jakości spektaklu, ale zgranie całego zespołu tancerzy. Jesteśmy siostrami. Marsjańskimi siostrami. Nigdy o tym nie zapominajmy. Jedna za wszystkie...*

Pięć pozostałych pasażerek odpowiada zgodnym krzykiem, który podróżując przez czasoprzestrzeń, dociera z pokładu Cupido w początkach lata do kabiny kampera w ten grudniowy dzień.

– ... wszystkie za jedną!

– Pamiętam je – mówi nagle Harmony, skulona w fotelu. – Pamiętam to lipcowe popołudnie, kiedy mama zaprosiła je do nas na herbatę, miesiąc po rozpoczęciu szkolenia w Dolinie Śmierci. Promieniały szczęściem. Miały takie wielkie nadzieje. Byłam oczarowana ich urodą, energią... chęcią życia.

Dziewczyna bierze głęboki wdech.

– Wstyd mi się do tego przyznać, ale byłam zazdrosna, Andrew. Tak zazdrosna, że aż skręcało mnie w środku, i nie mogłam przełknąć nawet łyżeczki kremu bawarskiego z czerwonymi owocami w kształcie planety Mars, który mama kazała przygotować na tę okazję. Te nieznajome dziewczyny miały wszystko to, czego mnie brakowało. Mówiono, że to sieroty pochodzące ze środowisk wykluczonych społecznie, ale one doświadczyły już tak wiele, podczas gdy ja, ich równolatka, nie miałam żadnych wspomnień poza tymi, które skradłam bohaterom czytanych powieści. Obiecywano im świetlaną przyszłość, pełną przygód, miłości i sławy, a tymczasem moje perspektywy nie sięgały dalej niż do ogrodzenia willi. Poczulałam się tak skrzywdzona, że miałam ochotę wyć. Ale byłam cichutka i milcząca jak zawsze. Uśmiechałam się, uprzejmie witałam gości i robiłam wszystko, co kazała mi mama. A teraz słyszę w słuchawce Balthazara jej głos rozkazujący mnie zabić!

Harmony połyka ślinę z grymasem bólu na twarzy, jakby nie mogła sobie poradzić z niewyobrażalną myślą, że matka może chcieć zamordować własne dziecko. Ale nie potrafi wymazać wspomnień. Nie może zapomnieć tego, co usłyszała.

– Myślałam, że jestem dla mamy najważniejszą osobą na świecie – udaje jej się w końcu z siebie wydusić. – Byłam przekonana, że cały czas robi wszystko, by mnie chronić. Przypominam sobie, jak kazała uczestniczkom przysięgać, że nie wspomną dziennikarzom o moim istnieniu, bo jestem zbyt cenna, zbyt krucha, by poradzić sobie z zainteresowaniem mediów. Kiedy dziewczyny posłusznie kiwały

głowami, w ich oczach widziałam litość i to też strasznie mnie wtedy bolało. To, że te sieroty użalają się nad losem biednej bogatej dziewczynki, raniło moją dumę. Gdy przez kraty w oknie mojego pokoju patrzyłam, jak odchodzą, miałam w głowie myśli pełne jadu i w głębi serca przeklinałam całą szóstkę. A teraz... Za dwadzieścia dwa miesiące w czasie Wielkiej Burzy zapewne wszystkie zginą... To tak, jakby spełniła się moja klątwa. Jestem córką morderczyni, sam to powiedziałaś. Wszystko mam po mamie: jej oczy, podbródek, kości policzkowe, okrucieństwo. Jestem potworem tak jak ona! – Głos Harmony się łamie. Wciąż skulona w fotelu zaczyna drżeć.

Andrew znów puszcza kierownicę i tym razem kładzie swe długie palce na białej dłoni dziewczyny.

– Nie opowiadaj głupstw. Nie ma żadnej klątwy. Też czułem zazdrość i gorycz, szczególnie kiedy oglądałem start rakiety. Zadręczałem się tym. Dlaczego ojciec nie poparł mojej kandydatury? Po co mnie zachęcał i podsycił dziecięce marzenia? Te pytania zatruwały mi duszę, ale teraz wiem, że chciał mnie chronić... A dzisiaj to my musimy chronić tę dwunastkę. Jesteśmy ich specjalistami w dziedzinie przetrwania! Bo przeżyją tak długo, jak długo my będziemy grozić Serenie upublicznieniem raportu Noego. Tylko ona jest potworem, przez to, co zrobiła uczestnikom programu... i przez to, co zrobiła tobie, Harmony.

Córka Sereny McBee po raz pierwszy ośmiela się oderwać wzrok od drogi, by w lusterku wstecznym wymienić spojrzenie z Andrew. Chłopak spogląda na nią zza okularów w czarnych oprawkach.

– Intuicja mi podpowiada, że jesteś jeszcze większą, jeszcze bardziej fascynującą i niebezpieczną tajemnicą niż raport Noe-go – mówi, obserwując na przemian drogę i swą rozmówczynię. – Dlaczego Serena McBee trzymała cię przez te wszystkie lata w klatce jak rzadkiego ptaka, by potem nagle bez wahania kazać cię zabić? Chciałbym przeniknąć tę tajemnicę. Chciałbym rozwiązać tę zagadkę. Tak jak ci powiedziałem, otwierając drzwi twojego pokoju, twojego więzienia, chcę prawdy. Nagiej prawdy.

Smukłe ciało Harmony przeszywa dreszcz.

Gwałtownie cofa dłoń spod palców Andrew.

– Zostaw mnie – rzuca oschle.

Jej głos stał się nagle surowy. Zimny i ostry jak sople lodu. Jasnozielone spojrzenie w lusterku wstecznym także zlodowaciało.

Andrew drży, waha się, w końcu kładzie dłoń z powrotem na kierownicy.

– Chcę ci tylko pomóc...

– Pomóc? Czy przeniknąć mnie jak tajemnicę? Rozwiązać jak zagadkę?

– To była tylko metafora... – duka Andrew. – Obiecałem ci, że odnajdziemy twojego ojca...

– Tak, obiecałeś mi to, bo chciałeś, żebym wyszła z pokoju i poprowadziła

cię korytarzami willi. Ledwo się znamy. Dlaczego uznałeś, że masz prawo mnie obnażyć? Myślisz, że jestem zabawką? Lalką, którą można ubierać i rozbierać, kiedy ma się na to ochotę? W takim razie nie jesteś lepszy od mojej mamy ani od...

Harmony przygryza wargę, by kolejne słowa nie wyszły z jej ust i zdejmuje z szyi łańcuszek, na którym wisi złoty medalion, jakby zmienił się nagle w łańcuch skazańca, zbyt ciężki, by go unieść.

– Wolę szukać sama – stwierdza.

Andrew zaciska zęby, jego palce wbijają się w kierownicę, na policzkach pojawia się rumieniec – wstydu? złości?

Nie patrzy już w lusterko wsteczne.

– Mój komputer, na tylnym siedzeniu – rzuca tylko. – Pobrałem wszystkie pliki, do których miałem dostęp w gabinecie Sereny. Jest tam jej korespondencja, e-maile, wszystko. Szukaj, Harmony. Przejrzyj to. I sama znajdź swoją prawdę, skoro tak chcesz!

KONTRPLAN

**Montażownia, baza na przylądku Canaveral,
sobota 9 grudnia, godz. 15.20**

– A więc? Co mówią nagrania z kamer monitoringu z pasa startowego na tyłach bazy, z którego odleciał odrzutowiec? FBI upoważniło mnie do przejrzenia wszystkich zarejestrowanych nagrań.

– Właśnie je przewijamy, żeby zobaczyć moment startu, inspektorze Garcia
– odpowiada Samantha.

Protestujący, którzy kilka godzin wcześniej okupowali montażownię, zostali wyprowadzeni. Miejsce pstrokatego tłumu fanów programu Genesis zajęła grupa mężczyzn o zmartwionych twarzach. Jeden z najstarszych, o skroniach przyprószonej siwizną, jest pogrążony w rozmowie z młodą asystentką Sereny McBee.

– Doskonale – mówi. – Proszę mnie poinformować, kiedy nagrania będą gotowe do obejrzenia.

– Może pan na mnie liczyć, inspektorze Garcia.

– A tymczasem chciałbym porozmawiać ze świadkiem, Arthur-em Montgomerym. Czy jest w stanie złożyć zeznanie?

– Przebywa jeszcze w ambulatorium, ciągle jest w szoku, ale sądzę, że będzie mógł odpowiedzieć na pańskie pytania. Zresztą pański kolega już poszedł go przesłuchać.

– Mój kolega? – Inspektor Garcia marszczy brwi.

– Tak, pan z CIA, przybył przed jakimiś piętnastoma minutami. Proszę za mną.

Kilka chwil później młoda kobieta i inspektor policji wchodzi do wyłożonego białymi płytkami pomieszczenia, w którym mieści się ambulatorium programu Genesis. Jego gospodarz już tam jest, lecz tym razem nie jako lekarz: dziś sam jest pacjentem. Arthur Montgomery leży na kozetce, jego stan świadczy o tym, że mężczyzna niedawno brał udział w szarpaninie. Lekarz ma potargane włosy, opuchniętą szczękę, rozdartą koszulę i zakrwawioną klatkę piersiową. Podczas gdy pielęgniarka opatruje jego rany, siedzący obok mężczyzna w czarnym garniturze przesłuchuje go z dyktafonem w ręce.

– Larry Garcia, FBI! – oznajmia inspektor groźnym głosem, wchodząc do pomieszczenia. – Ta sprawa dotyczy bezpieczeństwa wewnętrznego i wchodzi w zakres kompetencji Federalnego Biura Śledczego: my prowadzimy to śledztwo,

kolego, więc nie ma mowy, żebyś nas stąd wysiadał!

Klik! Mężczyzna w czarnym garniturze wyłącza dyktafon i odwraca się w stronę wchodzących. Jest znacznie młodszy od swojego odpowiednika z FBI, o jakieś trzydzieści lat. Ma gładko zaczesane włosy, a jego prawe oko przesłania trójkątna przepaska, tak czarna jak garnitur.

– Ta sprawa dotyczyła bezpieczeństwa wewnętrznego, ale samolot zaginął nad wodami międzynarodowymi. CIA ma takie samo prawo jak FBI do zbadania tego uprowadzenia. A przy okazji, jestem agent Orion Seamus.

Mężczyzna wyciąga rękę do inspektora. Ten zaś niechętnie ją ściska.

– Uprowadzenie... – mruczy inspektor Garcia. – Widzę, młody człowieku, że szybko zabierasz się do roboty, ale wydaje mi się, że zbyt pochopnie wyciągasz wnioski. Wykazujesz się godnym pożałowania brakiem warsztatu, typowym dla łobuzów z CIA, którzy kradną innym dochodzenia. Może jednak poszedłbyś na casting do kolejnej części *Piratów z Karaibów*, a ja w tym czasie zająłbym się wypadkiem nad Morzem Karaibskim? Po pierwsze, kto niby miałby porwać ten samolot?

Zamiast odpowiedzieć, agent Seamus odwraca się do doktora Montgomery'ego.

– Proszę powiedzieć, doktorze...

– Gordon Lock – rzuca lekarz, krzywiąc się z bólu, kiedy pielęgniarka kładzie nasączoną alkoholem gazę na jego rany. – Gordon Lock porwał samolot.

Inspektor Garcia szeroko otwiera oczy ze zdumienia.

– Gordon Lock? – powtarza z niedowierzaniem. – Dyrektor techniczny programu Genesis? Ale dlaczego?... I jak?...

– To się stało podczas przerwy w nadawaniu programu. Wyszliśmy na górę, żeby trochę odetchnąć, pięcioro z nas, czterech instruktorów i dyrektor Lock. Jedni chcieli zapalić, inni po prostu wyjść na świeże powietrze. Tylko Serena McBee została w bunkrze, rozmawiając z uczestnikami programu, aby ich uspokoić przed wznowieniem emisji. Wie pan, ona tak bardzo poświęca się pracy, zawsze przedkłada obowiązek nad własne potrzeby. Wzięła uczestników pod swoje skrzydła i raczej zaharuje się na śmierć, niż pozwoli, by byli nieszczęśliwi. I choć Gordon Lock naciskał, żeby wyszła z nami chwilę odpocząć, nie chciała o niczym słyszeć i pozostała na stanowisku.

Pielęgniarka owija bandażem tors Arthura Montgomery'ego. Jego szczęki zaciskają się pod arystokratycznym wąsem. Z pewnością zgrzyta zębami z bólu – przynajmniej tak to wygląda w oczach postronnego obserwatora, jak inspektor Garcia, który spija słowa lekarza jak spragniony na pustyni.

– Przekonuje pan przekonanego – stwierdza. – Jestem wielkim fanem pani McBee od czasu jej programu *Wizyta u profesor McBee*, no i rzecz jasna, w ostatnich wyborach głosowałem na tandem Green–McBee. Ale wróćmy do

pańskich zeznań. Mówił pan, że pięcioro z was wyszło na górę i...

– ... wszystko potoczyło się bardzo szybko. Kiedy tylko dotarliśmy na parter, Gordon Lock wyciągnął z kieszeni marynarki pistolet i kazał nam iść korytarzem prowadzącym na pas startowy, omijając salę kontroli lotów. Na początku pomyśleliśmy, że to żart, ale on nie wyglądał, jakby miał ochotę na dowcipkowanie, ani trochę! W chwili gdy zrozumiałem, że to się dzieje na poważnie, zagotowałem się z wściekłości. Dzięki doświadczeniom zdobytym podczas polowań w Afryce, zdołałem zachować zimną krew. Rzuciłem się na Gordona Locka, próbując wyrwać mu broń. Ale ten diabeł wcielony okazał się gorszy niż wszystkie dzikie zwierzęta, z jakimi się zetknąłem. Miałem szczęście, że mnie nie zastrzelił – być może nie chciał, by huk wystrzału kogoś zaalarmował, albo po prostu oszczędzał kule. Wymierzył mi cios prosto w twarz, a potem chwycił za koszulę. Czuję, jak jego paznokcie wbijają się w moją skórę, kiedy podniósł mnie z ziemi i ze wszystkich sił pchnął z powrotem na podłogę. Wydaje mi się, że wtedy zemdlałem, na kilka chwil straciłem przytomność, chyba będę musiał zrobić sobie prześwietlenie głowy... krótko mówiąc, kiedy odzyskałem świadomość, korytarz był pusty. Pobieglem na pas startowy, ale odrzutowca już na nim nie było.

W chwili gdy inspektor Garcia zamierza zarzucić świadka lawiną pytań, Samantha chwyta go za rękę.

– Przepraszam, inspektorze, ale dostałam informację, że możemy już obejrzeć nagrania monitoringu. Proszę zobaczyć.

Dotyka palcem ekranu wiszącego na ścianie ambulatorium, obok jasnego panelu służącego do oglądania wyników prześwietleń.

Ekran ukazuje statyczny plan. Pas startowy... Cztery osoby biegnące w stronę odrzutowca... A za nimi Gordon Lock, wymachujący pistoletem jak szalenciec...

– Słodki Jezu... – wzdycha oniemiały inspektor Garcia. – Trzy czwarte szefostwa programu Genesis uprowadzone! Przyszła wiceprezydent cudem unika zamachu! Dyrektor Lock, który zmienia się w niebezpiecznego gangstera! Co go skłoniło do takich czynów? Czy działał w pojedynkę? Nie mogę sobie tego wyobrazić. Z pewnością miał współników. Czy Serena McBee wie już o tej tragedii?

– Nie sądzę – odpowiada Arthur Montgomery. – Uratował ją zapał do pracy. Ciągle jeszcze jest w bunkrze, czuwając nad dobrym samopoczuciem swoich podopiecznych, przygotowując ich na wielki skok w nieznaną...

– ... i nie wolno jej przeszkadzać. Cała Ameryka jest teraz wpatrzona w kanał Genesis. Co ja mówię, cały świat! To daje nam nieco czasu na zastanowienie się, jak poinformować opinię publiczną o tej strasznej, nieoczekiwanej tragedii.

Stary inspektor z FBI odwraca pomarszczoną twarz do młodszego kolegi z CIA.

– Miałeś rację, Jacku Sparrow, to już nie leży w mojej gestii. W twojej zresztą też nie. To jest sprawa Białego Domu.

KANAL GENESIS

Niedziela 10 grudnia, godz. 3.32

Plan ogólny. Pograżona w półmroku sypialnia dziewcząt.

To sam środek sztucznej nocy na pokładzie Cupido. Już na początku podróży rytm dobowy na statku ustawiono zgodnie ze strefą czasową Wschodniego Wybrzeża Stanów Zjednoczonych, aby widzowie z Ameryki Północnej spali i czuwali w tym samym czasie co uczestnicy programu. Jednak program jest nadawany całą dobę, bo wielu cierpiących na bezsenność ogląda go nawet nocą, nie wspominając o niezliczonych widzach mieszkających pod inną długością geograficzną, dla których teraz jest dzień.

Na piętrowych łózkach, w delikatnym świetle lampy awaryjnej zarysowują się leżące ciała dziewcząt.

Zbliżenie na twarz śpiącej Safii. Ozdobiła czoło niebieskim bindi. Dziwnie spokojna twarz przypomina oblicze hinduskiej bogini.

Cięcie.

Zmiana planu, sypialnia chłopców: zbliżenie na postać Aleksieja. Głęboki oddech unosi kaszmirową kołdrę, przyczepioną rzepami do materaca i okrywającą jego szeroki tors. Jasne włosy chłopaka błyszczą w półmroku niczym złoto.

Cięcie.

Kamera wraca do sypialni dziewcząt, by skupić się na twarzy Fangfang – a raczej na jej drobnym jak u kota podbródku, bo oczy i czoło skrywa aksamitna maska, którą dziewczyna zakłada co noc do snu.

Cięcie.

Zbliżenie na Mozarta. Śpi niespokojnie. Przewraca się to na jedną, to na drugą stronę. Brązowe loki unoszą się, odsłaniając wszczepioną w skórę na szyi małą kulkę, której metaliczna powierzchnia odbija światło lampy awaryjnej.

Cięcie.

Zbliżenie na Kirsten. Rozplotła do snu swoją misterną koronę z warkoczy. Długie, pofalowane blond włosy okalają jej twarz niczym znieruchomiałe morskie fale.

Cięcie.

Zbliżenie na Tao. Jego muskularne ciało jest tak potężne, że szerokie ramiona ledwo mieszczą się na piętrowym łóżku. Jednak w gładkiej twarzy o wysokich kościach policzkowych jest coś z dziecka.

Cięcie.

Zbliżenie na Elizabeth. Nawet kiedy śpi, wygląda jak top modelka. Z niemal atramentowymi, błyszczącymi, gładkimi -włosami, rzęsami, które zdają się nie mieć końca i twarzą o idealnych proporcjach wygląda tak, jakby właśnie brała udział w reklamie luksusowej pościeli.

Cięcie.

Widać dwie głowy, bardzo od siebie różne. Po prawej, piękna twarz Samsona, jakby wyrzeźbiona w hebanie; tuż obok, po lewej, na tej samej poduszce spoczywa przerażający pysk Wardena, kundla, który wydaje się krzyżówką dobermana z gargulcem. Pies i jego pan śpią razem.

Cięcie.

Na ekranie nie pojawia się twarz, lecz plątanina gęstych blond włosów: to Kelly, z twarzą ukrytą w poduszce.

Cięcie.

Zbliżenie na Marcusa. Na fragmencie nagiej piersi, który odsłania kołdra, można dostrzec krawędź lasu, który chłopak wytatuował na swej skórze. Jego gęste brwi są lekko zmarszczone, a szerokie czoło przecina cienka zmarszczka. Nie wiadomo, czy śpi, czy się nad czymś zastanawia, tajemniczy jak sfinks.

Cięcie.

Kadr zalewa czerwona fala. Niezwykle włosy Léonor nawet w półmroku rozplaminiają ekran. Lśniące loki przechwytyują najmniejsze cząsteczki światła i przekształcają je w rubinowe refleksy. Usta Léonor też są czerwone, zabarwione naturalnie kolorem życia. Uchylają się, jakby miały wyszeptać słowa ze snu, nic takiego się jednak nie dzieje.

Cięcie.

*

Ostatnie łóżko jest puste.

Tam, gdzie powinien spać Kenji, nie ma nikogo.

Kamera pokazuje szerszy plan, waha się, szuka dookoła. Ale znajduje tylko ciemność i ciszę.

Cięcie.

Salon na drugim piętrze przedziału mieszkalnego chłopców. Wszędzie porozrzucane są do połowy spakowane torby podróżne. Chłopcy zaczęli się pakować poprzedniego dnia, ale nie skończyli i porzucili torby byle gdzie przed pójściem spać. Pośród tego bałaganu panuje zupełna cisza, całkowity bezruch.

Cięcie.

Łazienka na trzecim piętrze. Znow pusto.

Cięcie.

Ostatnie piętro. Kenji jest w siłowni. Ubrany tylko w spodnie do joggingu i zawiązaną na czole białą przepaskę, na wzór starożytnych japońskich

wojowników. Jego ramiona i ręce są o wiele bardziej muskularne, niż można było przypuszczać, patrząc na luźny uniform z kapturem, który zwykle nosi. Jego mięśnie pracują pod skórą, kiedy wykonuje niezwykle powolną choreografię. Ruchy te przypominają tajemnicze tai-chi. Ale to nie ubranie chłopaka ani gesty są najdziwniejsze. Zdumiewające są jego oczy, całkowicie nieruchome i puste jak oczy posągu.

PLAN

Start + 160 dni, 21 godz., 45 min
(Dwudziesty trzeci tydzień)

Tablet z materiałami do nauki lekko drży w moich rękach.

Spałam dobrze tej nocy – ostatniej na pokładzie Cupido – a mimo to czuję się bardziej wykończona niż kiedykolwiek. Tak jakby stres nagromadzony przez ostatnie dni, kiedy w samotności podejrzewałam, że dzieje się coś strasznego, kiedy w samotności posądzałam każdą z przyjaciółek o zdradę, spadł na mnie teraz w całości. W tej chwili wszyscy już znamy prawdę i jesteśmy zjednoczeni przeciwko Serenie: ja, dziewczyny, chłopcy, Andrew i Harmony. Ale ciągle jestem zdenerwowana. Od chwili, kiedy się dziś rano obudziłam, mam ściśnięty żołądek, przez co nie mogłam przełknąć nawet kęsa naszego ostatniego śniadania w przestrzeni kosmicznej. Oto znów jestem sama z moim tabletem i znów muszę sama zdecydować, jak będzie wyglądać moja ostateczna Lista Serca.

Na gładkiej powierzchni ekranu, nad którym się pochylam, widzę odbicie mojej twarzy. Widzę pobladłą cerę, podkrążone oczy, siniaki przypominające o wczorajszych gwałtownych wydarzeniach. Przed wszystkim jednak widzę imiona chłopców, które wyświetlają się na mojej skórze, jakby były tam wytatuowane.

23 LISTA SERCA: UPORZĄDKUJ OD 1 DO 6 – nakazuje polecenie u góry ekranu.

Na razie imiona ułożone są w neutralnym alfabetycznym porządku, jak na każdej dotąd Liście Serca. ALEKSIEJ i KENJI wyświetlają się na moim czole; SAMSON i TAO na podbródku; co do dwóch imion pośrodku... Sześć liter imienia MARCUS układa się na moich oczach, a MOZART na ustach. Być może dlatego, że moje oczy pałają chęcią przeczytania dalszego ciągu historii wytatuowanej na ciele Marcusa, a kiedy myślę o Mozarcie, moje usta zaczynają nucić melodie, które mi śpiewał?

– *Czy wszyscy ułożyli już swoje rankingi?* – pyta przesłodzony głos Sereny McBee pochodzący z panoramicznego ekranu w salonie. – *Jest kwadrans po jedenastej. Mielście piętnaście minut na wprowadzenie danych. Swój wybór przez ostatnie tygodnie dobrze przemyśleliście, jestem tego pewna. Nadszedł czas, by porównać ostatnie Listy Serca i pozwolić rozkwitnąć szczęściu!*

Trzeba to zrobić, Léonor. Trzeba grać w tę grę. Bo tylko dzięki temu przetrwamy.

Wybieram imię ALEKSIEJA, księcia z bajki mojej kochanej Kris, chłopaka, który wczoraj w Kuli Spotkań patrzył na mnie z odrazą i cedził przez zęby słowa o moim „ohydym syfie”. Obok imienia pojawia się cyfra sześć, a ono automatycznie ustawia się na samym dole listy.

Następnie naciskam na imię TAO. Nie dlatego, że go nie cenię, przeciwnie – ten chłopak dałby się porąbać, żeby pomóc innym, a odkrycie jego niepełnosprawności sprawiło, że wydał mi się jeszcze odważniejszy. Ale chyba jest naprawdę zakochany w Fangfang, a ona będzie teraz potrzebowała oparcia w tej miłości.

Z tego samego powodu umieszczam SAMSONA na miejscu czwartym. Piękny Nigeryjczyk o zielonych oczach od początku podróży przywiązał się do Safii – nie chcę odebrać jej faceta, po tym jak o mało nie odebrałam jej życia!

Koniuszkiem palca wskazującego przyznaję Kenjiemu trzecie miejsce. O ile wiem, żadna nie zarezerwowała sobie najmłodszego członka załogi, więc nikt nie będzie miał żalu o to, że umieściłam go na trzecim stopniu mojego osobistego podium.

Zostają dwa ostatnie imiona...

MARCUS i MOZART...

Moje oczy i moje usta...

Gdybym mogła zachować tylko jedną z tych części ciała, co by to było?

Bez ust nie mogłabym już nigdy więcej mówić, smakować, całować.

Ale bez oczu nie oglądałabym już świata i nie mogłabym go malować – znalazłabym się pośród wiecznej nocy, jakbym już nie żyła.

W głębi serca już dawno wybrałam, po co temu zaprzeczać? Nawet jeśli głosował za powrotem na Ziemię, to jego pragnę mieć na czele Listy Serca. Jego i nikogo innego!

Nie wahając się dłużej, ustawiam dwa ostatnie imiona jedno za drugim. Mała dwójka pojawia się obok MOZARTA, a mała jedyńka obok MARCUSA.

Na ekranie wyświetla się przycisk: ZATWIERDZASZ SWÓJ RANKING?

Naciskam tak mocno, że szklany ekran mógłby pęknąć – ale nie, tablet wytrzymuje i sześć imion znika, wpadając w otchłań programu informatycznego, który ma połączyć nas w pary.

Dopiero wtedy podnoszę wzrok.

Pozostałe dziewczyny siedzą z tabletami na kolanach i wpatrują się we mnie. Już chwilę temu opublikowały swoje Listy Serca, ale pozwoliły mi skończyć w ciszy, nie przeszkadzając, ofiarując mi jedyny dar, jaki mają, a jednocześnie to, co najcenniejsze: czas.

– No i jak tam, udało się? – pyta Kelly z uśmiechem na ustach. – Niszczarka Wątpliwości dokonała wyboru? Jaką regułę zastosowała tym razem?

Kanadyjka pije do mojej potrzeby kontroli i do zasady gry, którą przyjął

na początku podróży, że będę umawiać się z każdym uczestnikiem po kolei, bez faworyzowania, która teraz, z perspektywy czasu, wydaje mi się idiotyczna.

– Bądź miła, nie żartuj sobie ze mnie, bardzo cię proszę... Każda z nas zrobiła w życiu coś głupiego...

– Ale ja wcale sobie z siebie nie żartuję! – wykrzykuje Kelly. – Wręcz przeciwnie, uwielbiam te twoje dyktatorskie zapędy!

– Dyktatorskie?

– No wiesz, coś w stylu: narzucam zobowiązania sobie i innym. Robisz to doskonale! Jestem wielką fanką tych twoich umiejętności!

Kelly puszcza do mnie oko. Nie powinna mówić nic więcej, żeby nie zdradzić się przed widzami. Ale nie musi, bo dziewczyny doskonale zrozumiały aluzję.

Z uśmiechów odczytuję, że zobowiązania, jakie narzuciłam Serenie, przyniosły dziewczynom jakby spokój. Ich wdzięczność jest jak balsam na moje serce. Mam nadzieję, że naprawdę na nią zasługuję...

– No dobra, to teraz możemy już tylko siedzieć z założonymi rękami i czekać, ofiara spełniona – podsumowuje Kelly.

– Ofiara spełniona? Nie, jeszcze nie – ripostuje Fangfang. – Ceremonia zaślubin odbędzie się dopiero wieczorem, kiedy już wylądujemy na powierzchni Marsa.

– Nie to chciałam powiedzieć – odpowiada Kelly, przewracając oczami. – „Ofiara spełniona” to takie wyrażenie.

Ale Fangfang, moja najgroźniejsza konkurentka do tytułu największej sztywniary, nie odpuszcza:

– A tak w ogóle, to nie będzie żadnej ofiary, bo to nie będzie msza – ob staje przy swoim. – Tylko ceremonia ekumeniczna, odzwierciedlająca religię danego uczestnika lub jej brak, w zależności od tego, co wpisaliśmy w formularzu zgłoszeniowym!

Singapurka jest niestrudzenie zacięta w tej wymianie zdań, zaczynam się więc zastanawiać, czy naprawdę jest uparta jak osioł, czy tylko stara się rozśmieszyć publiczność? Czy Kelly i Fangfang są w tym momencie sobą, czy grają role, których spodziewają się po nich widzowie – regularnie odstawiają krótki skecz z typową dla siebie ostrą sprzeczką? Odkąd wczoraj kamery znów zaczęły kręcić, trudno się domyślić, które zachowania są szczerze i spontaniczne, a które na pokaz. I tak będzie już teraz przez wszystkie dni naszego życia na Marsie, chyba że nauczymy się czytać między słowami...

– *Cóż, oto jesteście z powrotem!* – rozbrzmiewa głos Sereny McBee i przerywa moje rozmyślenia sześć minut po tym, jak wysłałam swoją Listę Serca do systemu informatycznego.

Znów jest przed nami w salonie, na panoramicznym ekranie naprzeciw

kominka.

– Wszystkie rankingi dotarły dzięki transmisji laserowej na Ziemię – mówi. – Nasze komputery zastosowały specjalny algorytm, by połączyć Listy Serca chłopców i dziewcząt i ustalić ostateczny dobór par. Drodzy uczestnicy, drogie uczestniczki, gdybyście wiedzieli, jak bardzo jestem dziś wzruszona...

Głos Sereny łamie się w połowie zdania, najwyraźniej z przejęcia. Jej klatka piersiowa unosi się w rytm oddechu pod eleganckim zakietem ozdobionym broszką w kształcie pszczoły. W jej oczach na zawołanie pojawiają się łzy, jak płyn do czyszczenia tryskający na przednią szybę samochodu. Ta kobieta potrafi kłamać jak z nut, i to koncertowo. Idealnie udaje wzruszenie i dobroć – matka prowadząca córkę do ołtarza wyglądałaby identycznie. Gdyby ktoś go jeszcze potrzebował, oto doskonały dowód przerażających talentów manipulatorskich Sereny McBee. Po kręgosłupie przechodzi mi lodowaty dreszcz. Choć wiem, że w tej chwili mamy nad nią przewagę, ponieważ na Ziemi czuwa naszych dwoje specjalistów w dziedzinie przetrwania, którzy w każdej chwili mogą ją pogrążyć, nie potrafię przestać się bać.

W salonie rozbrzmiewa dźwięk nagranych wcześniej werbli, tak donośny jak grzmoty zapowiadające burzę.

Czuję, że czyjaś dłoń zaciska się na mojej.

To Kris, ściska mnie tak samo jak w dniu startu, który zdaje się tak odległy, i jak co tydzień w chwili ogłoszenia kolejnych rankingów. Moja Kris stoi tu przy mnie – taka czysta, taka anielska. Niewinność została jej jednak bezpowrotnie odebrana. Baśń, o której tak marzyła, zamieniła się w powieść grozy. Jak długo przeżyje, kiedy znajdzie się już na Marsie? Czy jej śnieżny księżę da jej szczęście, na które tak zasługuje, choćby przez chwilę...?

Twarz Sereny znika z ekranu, na którym pojawiają się dwie tabele: po lewej ranking przygotowany przez dziewczęta, po prawej przez chłopców.

Fangfang (SGP)	Kelly (CAN)	Elizabeth (GBR)	Safia (IND)	Kirsten (DEU)	Léonor (FRA)
1. Tao	1. Kenji	1. Mozart	1. Samson	1. Aleksiej	1. Marcus
2. Mozart	2. Samson	2. Marcus	2. Mozart	2. Tao	2. Mozart
3. Marcus	3. Marcus	3. Samson	3. Marcus	3. Samson	3. Kenji
4. Samson	4. Tao	4. Tao	4. Kenji	4. Kenji	4. Samson
5. Kenji	5. Aleksiej	5. Aleksiej	5. Tao	5. Mozart	5. Tao
6. Aleksiej	6. Mozart	6. Kenji	6. Aleksiej	6. Marcus	6. Aleksiej

Tao (CHN)	Aleksiej (RUS)	Mozart (BRA)	Kenji (JPN)	Samson (NGA)	Marcus (USA)
1. Fangfang	1. Kirsten	1. Léonor	1. Léonor	1. Safia	1. Léonor
2. Léonor	2. Elizabeth	2. Elizabeth	2. Kirsten	2. Léonor	2. Kelly
3. Safia	3. Safia	3. Kirsten	3. Kelly	3. Kirsten	3. Safia
4. Kelly	4. Kelly	4. Safia	4. Fangfang	4. Kelly	4. Kirsten
5. Kirsten	5. Fangfang	5. Fangfang	5. Safia	5. Fangfang	5. Fangfang
6. Elizabeth	6. Léonor	6. Kelly	6. Elizabeth	6. Elizabeth	6. Elizabeth

Czuję ogromną ulgę, jakby zdjęto mi z piersi stukilowy ciężar. Moje obawy były nieuzasadnione. Choć wczoraj Marcus głosował za powrotem na Ziemię, umieścił mnie na pierwszym miejscu swojej listy. Tymczasem dwoje uczestników zanotowało spektakularny spadek w porównaniu z ostatnim rankingiem i widzowie zapewne zastanawiają się dlaczego. Aleksiej, zwycięzca klasyfikacji na początku podróży, teraz ląduje na samym jej końcu i myślę, że to może mieć związek z jego brutalnym zachowaniem wobec mnie. Tak samo Elizabeth, która tydzień temu wspięła się na drugie miejsce wszystkich list, dziś jest najgorzej notowaną uczestniczką. Z pewnością z powodu kradzieży mojego tabletu, do której przyznała się przed całą załogą. Czuję, że obok radości, że Marcus wybrał właśnie mnie, i dzikiej chęci przetrwania na Marsie, rodzi się we mnie jeszcze jedno dziwne wrażenie – że między mną a dwiema istotami ludzkimi z jedenastu, które powinny być moimi niezłomnymi sprzymierzeńcami, istnieje nieprzyjemny rozdźwięk. Muszę odłożyć na bok swoją dumę i jak najszybciej wyciągnąć do nich rękę, żebyśmy się pogodzili, bo naprawdę głupio się tak na siebie złościć...

Nie mogę jednak przemyśleć tej sprawy, bo z offu znów rozbrzmiewa głos Sereny McBee:

– A teraz zobaczymy wyniki algorytmu ustalającego ostateczne pary – ogłasza. – Program zsumował także wartości Posagów zebranych przez narzeczonych w trakcie podróży dzięki waszym, drodzy widzowie, hojnym datkom. Panie i panowie, mam ogromny zaszczyt i przyjemność przedstawić wam... pierwsze marsjańskie pary!

Dwie tabele łączą się ze sobą, by przemienić się w trzecią, przedstawiającą wygenerowaną przez program komputerowy listę par uszeregowanych od jeden do sześć zgodnie z sumą zebranych przez nie pieniędzy.

Nr pary	Uczestnik ♂	Uczestniczka ♀	Wspólny Posag ♥	% udziału w zyskach
1	Aleksiej (RUS) \$202 403 002	Kirsten (DEU) \$378 596 876	\$580 999 878	25 %
2	Marcus (USA) \$199 009 876	Léonor (FRA) \$205 908 543	\$404 918 419	18 %
3	Mozart (BRA) \$179 567 098	Elizabeth (GBR) \$223 789 065	\$403 356 163	18 %
4	Samson (NGA) \$152 568 093	Safia (IND) \$172 456 890	\$325 024 983	14 %
5	Tao (CHN) \$188 567 890	Fangfang (SGP) \$134 567 900	\$323 135 790	14 %
6	Kenji (JPN) \$79 098 567	Kelly (CAN) \$155 678 097	\$234 776 664	10 %

Ręka Kris jeszcze mocniej zaciska się na mojej dłoni.

– Ty i Marcus, ja i Aleksiej, tak jak marzyliśmy! – szepcze mi do ucha drżącym głosem. Jej twarz promienieje radością pod koroną złotych warkoczy. W tej chwili, widzę to, czuję to, jest całkowicie spełniona – jakby nie istniał potrzask programu Genesis ani układ z Sereną McBee. Ze zdumieniem zdaję sobie sprawę, że mój uśmiech też wcale nie jest udawany. W tej chwili niczego nie gram. Jestem sobą. I jest mi naprawdę dobrze.

Tak, stoję nad krawędzią przepaści, gotowa skoczyć sześć tysięcy kilometrów w dół do czerwonego piekła, z którego nigdy się nie wydostanę, a jednak mam wrażenie, że to najpiękniejszy dzień mojego życia.

– *Czyż oni nie są wspaniali, nasi kosmiczni narzeczeni!?* – wykrzykuje Serena McBee, przywracając mnie brutalnie do rzeczywistości programu. – *Czyż nie są cudowni? Czyż nie są warci góry złota? Przez ostatnie pięć miesięcy przesłaliście im ponad dwa miliardy dolarów – a mówiąc dokładnie, dwa miliardy dwieście sześćdziesiąt dziewięć milionów czterysta czternaście tysięcy osiemset dziewięćdziesiąt siedem dolarów i dziesięć centów. Przypominam, że suma ta pozwoli pokryć koszty poniesione przez Atlas Capital na wykupienie sprzętów należących do NASA, a tym samym przyczyni się do podboju Marsa!*

Po stronie dziewcząt zwyciężczynią we wszystkich kategoriach jest urocza Kirsten, jej okazały Posag sumuje się z niewiele mniejszym Posagiem Aleksieja, który zarobił najwięcej w drużynie chłopców. Wspólnie posiadają jedną czwartą wszystkich darowizn, będą więc królowali na aukcji wyposażenia bazy Nowy Eden, po wylądowaniu na Marsie. Za nimi znajdują się dwie pary, które zgarniają po osiemnaście procent puli: Marcus i Léonor, którym depczą po piętach Mozart i Elizabeth. Podobnie Samson i Safia plasują się ex aequo z Tao i Fangfang, ponieważ obydwie te pary mają po czternaście procent całkowitej sumy. Na ostatnim miejscu znajdują się Kenji i Kelly z dziesięcioprocentowym udziałem,

spowodowanym słabymi zdolnościami naszego beniaminka w kwestii zbierania funduszy.

Nagle za mną rozlega się trzask, odwracam głowę, to pękł balon z gumy do żucia, który właśnie wydmuchała Kelly.

– Nie martw się, Sereno – rzuca – Kenji zawsze wydawał mi się słodki, z tym swoim autyzmem i spojrzeniem dzikiego kota. A do biedy już się przyzwyczaiłam. Nie jestem typem laski, która zabiłaby własnego ojca, matkę i dzieci dla kasy...

Serce zamiera mi w piersi. Odkąd wróciliśmy na antenę, Kelly, straszny z niej narwaniec, ciągle igra z ogniem. Wypowiada ostatnie zdanie w taki sposób, że od razu wiadomo, że to prowokacja. Czy jest na skraju załamania, zdolna wszystko zniszczyć w napadzie szału?

Nie, okolona rozjaśnionymi puklami twarz jest twarda i zdecydowana, pod kontrolą. Ta szpila była przeznaczona dla Sereny i tylko dla niej. Widzowie nie są w stanie niczego się domyślić, a Kelly doskonale zdaje sobie z tego sprawę, inaczej nigdy nie naraziłaby nas na niebezpieczeństwo.

– ... jestem tak samo jak ty, Sereno, niepoprawną romantyczką – podsumowuje z ironią, którą tylko my możemy dostrzec. – I dla ciebie, i dla mnie najważniejsza na świecie jest miłość.

Podczas gdy ironia Kelly leci przez kosmiczną przestrzeń, Serena przypomina widzom kolejne punkty programu.

– Cupido znajduje się obecnie na orbicie okołomarsjańskiej, podążając za Fobosem, który okrąża planetę w siedem godzin i trzydzieści minut. Według danych, które przekazuje mi sala kontroli lotów, następne okno pozwalające na dokowanie kapsuł i lądowanie w kanionie Valles Marineris, gdzie znajduje się baza Nowy Eden, otworzy się o godzinie osiemnastej czasu wschodnioamerykańskiego. Zbliża się chwila, gdy nasi narzeczeni będą musieli spakować bagaże, włożyć skafandry, które mieli na sobie pięć miesięcy temu w chwili startu, wejść do kapsuł i...

Nagle głos Sereny się zawiesza.

Jej twarz nieruchomieje niczym oblicze posągu – wciąż się uśmiecha, ale dwuznacznym uśmiechem, który nieco zbyt mocno odsłania dziąsła.

Domyślam się, że właśnie z trzyminutowym opóźnieniem usłyszała odpowiedź Kelly.

– ... i wykonać wielki skok do nowego świata – kończy na jednym oddechu. Jej rysy odzyskują zdolność do ruchów mimicznych, a źrenice lekko się rozszerzają, gdy pochyła się do kamery, do nas. – *Tak, Kelly, masz rację – mówię słodko. – Miłość jest dla mnie najważniejsza. Kocham was, wszystkich dwanaścioro, jakbyście byli moimi dziećmi. Z jakimż bólem będę patrzeć, jak odlatujecie ku swemu zaszczytnemu przeznaczeniu, chociaż wiem, że takie są*

zasady programu i że jest to spełnienie waszych największych marzeń... Ale gdy raz znajdziecie się w studni grawitacyjnej Marsa, już nigdy nie będziecie mogli wrócić na Ziemię.

POZA PLANEM

**Autostrada międzystanowa nr 80, stan Indiana,
niedziela 10 grudnia, godz. 16.01**

– Nic, nic, nic! Zupełnie niczego nie znalazłam!

Ekran laptopa, który Harmony McBee trzyma na kolanach, rozświetla białą plamę jej twarzy. Zmierzch zapadający za szybami pędzącego na Zachód kampera jest posępny, a syjący śnieg tak bardzo ogranicza widoczność, że kierowcy włączają wszystkie światła swych samochodów.

– Przeglądałam te e-maile od wczoraj przez całą noc i cały dzień! – jęczy. – Ale są tam tylko wykazy dostaw do Willi McBee, zamówienia artykułów pszczelarskich, listy płac pracowników domu, a przede wszystkim wiadomości z wyrazami poparcia w wyborach prezydenckich. Są ich setki, tysiące! Ale nic o moim ojcu. Nic o mnie. Ani linijki. Ani słowa. Jakbym nie istniała. – Dziewczyna wzdycha z rezygnacją. Wygląda na skrajnie wyczerpaną. – Nie mogę uwierzyć, że moja matka zna wszystkich tych ludzi, którzy do niej piszą, podczas gdy ja mogę policzyć znane mi osoby na palcach moich dłoni.

– Masz przed sobą całe życie, żeby zdobyć znajomych – mówi Andrew, który zdaje się równie blady i zmęczony jak ona. – Musisz tylko dać ludziom szansę, żeby oni poznali ciebie...

W jego głosie pobrzmiwa rezerwa. Wciąż czuje się urażony tym, jak dziewczyna potraktowała go poprzedniego dnia. Jednak ona zdaje się zbyt pochłonięta informacjami wyświetlającymi się na ekranie, by to zauważyć.

– Wielkim zaszczytem było dla mnie zaśpiewanie hymnu programu Genesis i byłbym szczęśliwy, mogąc odśpiewać hymn narodowy w dniu Pani nominacji, gdyż jestem pewien, że zostanie Pani wybrana miażdżącą większością głosów! – czyta na głos. – Podpisano: Jimmy Giant. Nasza firma codziennie wieszkuje sobie inwestycji w pięknego Marcusa i zostania jego diamentowym sponsorem. Sprzedaż limitowanej edycji mrożonki Posiłek Astronauty poszybowała w górę i mogę Pani powiedzieć, że przeprowadziliśmy wewnętrzną kampanię wśród naszych pracowników zachęcającą do głosowania na Panią! Podpisano: Henry K. Deville, dyrektor generalny Eden Food International. Droga Pani McBee, w oczekiwaniu na potwierdzenie Pani wyboru na stanowisko wiceprezydenta mamy przyjemność poinformować, że została Pani wybrana Kobiętą Roku naszego magazynu. Podpisano: zespół redakcyjny „Time Magazine”. Tylu ważnych ludzi uważa mamę za świętą. Kto nam uwierzy, kiedy będziemy musieli wyjawić prawdę? Kto?

– Przestań się zadrećzać, Harmony – mówi Andrew nieco cieplejszym tonem. – Powinnaś trochę odpocząć. Nie zmrużyłaś oka, odkąd wyjechaliśmy. Bak jest prawie pusty, zatrzymam się na następnej stacji, muszę zatankować. No i ja też powinienem się chwilę zdrzemnąć.

Wskazuje palcem światło na poboczu autostrady.

– Wypijemy coś ciepłego, a przy okazji uruchomię specjalny program, który sprawdzi, czy w archiwach twojej matki nie pojawia się przypadkiem twoje imię.

Ale ona nie słucha. Jakby była zaprogramowana, opętana przez maile przewijające się na ekranie, niezdolna oderwać wzroku od laptopa, który drży na jej kolanach – choć to raczej całe jej ciało się trzęsie. Pod cieniutką skórą siatka niebieskich żyłek na skroni pulsuje w rytm litanii wiadomości, które dziewczyna gorączkowo odczytuje.

– Mamy wielki zaszczyt powiadomić, że ze względu na Pani wysiłki na rzecz zbliżenia narodów za pośrednictwem godziwej rozrywki znalazła się Pani na krótkiej liście nominowanych do przyszłorocznej pokojowej nagrody Nobla. Podpisano: Komitet Noblowski. Jeśli zostanie Pani wybrana, niech Pani przywództwo zapoczątkuje erę nadziei i dobrobytu dla Stanów Zjednoczonych Ameryki i całego świata. Tymczasem kardynał Giacomo będzie szczęśliwy, mogąc reprezentować religię katolicką podczas ekumenicznej ceremonii zaślubin. Podpisano: Stolica Apostolska.

– Harmony? Harmony, słyszysz mnie? Dobrze się czujesz? – Andrew zaczyna się poważnie niepokoić. – Słuchaj, naprawdę powinnaś wyłączyć ten komputer i odpocząć. O tutaj jest zjazd. Zaraz się zatrzymamy.

Skreca, żeby zjechać z autostrady, znajduje pierwsze wolne miejsce parkingowe i gwałtownie zatrzymuje samochód. Koła głośno zazgrzytały na soli, którą rozsypano na parkingu.

– Zostaw to, Harmony – mówi, zabierając jej komputer i stawiając go na desce rozdzielczej.

Włącza światło wewnątrz kampera.

Żółty ostry blask pada na wykrzywioną twarz Harmony, przez którą przebiegają nerwowe skurcze.

– Jak ty drżysz! I jesteś taka blada! Co się dzieje? To zmęczenie?

– Nie, to głód... – jąka.

Andrew marszczy brwi.

– Wczoraj, kiedy przyszedłem pod twoje drzwi! – przypomina sobie. – Zapytałaś, czy przyniosłem twoją działkę. Jesteś... uzależniona? Od czego? Odpowiedz, Harmony! Od czego?

Cienkie brwi dziewczyny zaczynają falować. Powieki z długimi przezroczystymi rzęsami mrugają mimowolnie, oczy wywracają się do góry. Teraz całe jej ciało drży, a złoty medalion uderza w piersi niczym oszalałe wahadło.

– Zero-G... – udaje się jej wykrztusić.

– O nie! Najgorszy ze wszystkich!

Teraz to Andrew zaczyna drżeć w przypiływie paniki. Świetnie zna się na kodach i komputerach, ale jest zupełnie bezradny przy tej dziewczynie znajdującej się na krawędzi otchłani.

– Co mam zrobić? Zadzwoń po pogotowie?

– Nie wolno nam... zostawiać śladów... sam mówiłeś... muszę tylko wziąć kilka środków nasennych...

Harmony wyjmuje drżącą ręką parę pigułek z kieszeni sukienki i wkłada je do ust. Jej oddech przyspiesza. Nozdrza zamykają się i otwierają jak skrzela ryby, która dusi się po wyjęciu z wody. Dwie strużki krwi płyną z dziurek nosa.

– Harmony!

– Zimno mi...

Chłopak natychmiast rzuca się na tylne siedzenie po koc leżący między elektronicznymi gadżetami, którymi kamper jest naszpikowany.

Okrywa drżące ciało Harmony, która pojękuje:

– To minie... zapewniam cię... to nie jest prawdziwy głód narkotykowy, tylko chwila słabości... już mi się to zdarzało... na tym etapie pigułki nasenne jeszcze pomagają... zaraz zaczną działać... – Robi coraz dłuższe przerwy między kolejnymi urywkami zdań. – Jedź dalej, proszę cię... nie zatrzymuj się na dłużej... chcę być jak najdalej od mojej matki, kiedy zaczną się prawdziwe objawy... chcę być na drugim końcu świata, kiedy będę cię błagać, żebyś mnie do niej zawiózł, żeby mi dała pieniądze... – Szepcze jeszcze ostatnie słowo: – ruszaj... – Zamyka oczy.

Powoli jej ciało się uspokaja.

Brwi przestają się marszczyć.

Odzyskuje regularny, głęboki oddech kogoś, kto zapadł w kamienny sen.

Andrew siedzi przez chwilę nieruchomo, oszołomiony. Patrzy na twarz swojej śpiącej towarzyszkę okrytej grubym kocem. Dziewczyna bardziej niż kiedykolwiek przypomina porcelanową lalkę. Andrew wyjmuje z kieszeni chusteczkę i drżącą ręką wyciera jeszcze świeże strużki krwi płynące z nosa Harmony aż do jej bladych ust.

Wkłada kluczyk do stacyjki tak delikatnie, jakby był ze szkła. Koniuszkiem stopy naciska pedał gazu i podjeżdża do najbliższego dystrybutora paliwa. Cichutko otwiera drzwiczki i tankuje do pełna, nie spuszczać wzroku z dziewczyny śpiącej na fotelu pasażera.

– Zabiorę cię na koniec świata, Harmony, obiecuję – szepcze. – Sen może jeszcze kilka godzin poczekać.

Kieruje się do małej stacji oświetlonej neonami, popycha szklane drzwi, co uruchamia elektryczny dzwonek.

– Dystrybutor numer pięć – rzuca, nalewając sobie kubek kawy. – I kawa. Płacę gotówką.

Kasjer nie zwraca jednak na niego najmniejszej uwagi. Ani żaden z trzech klientów stojących między półkami małego supermarketu. Wszyscy czterej wbijają wzrok w wielki telewizor wiszący nad ladą.

– *Dostaliśmy informację!* – krzyczy podekscytowany reporter stojący przed ośnieżonymi ogrodami Białego Domu. – *Waszyngton właśnie potwierdził tożsamość pasażerów odrzutowca, który zaginął wczoraj około godziny piętnastej nad Morzem Karaibskim. To pilot spółki Atlas Capital i czterech najbardziej prominentnych pracowników słynnego programu Genesis! Gordon Lock, Odette Stuart-Smith, Geronimo Blackbull i Archibald Dragovic zostali uznani za zaginionych, lecz najprawdopodobniej wszyscy już nie żyją...*

Andrew wypuszcza z rąk gorący kubek. Naczynie roztrzaskuje się, na podłodze rozlewa się ciemnobrązowy płyn.

PLAN

Start + 161 dni, 2 godz., 35 min
(Dwudziesty trzeci tydzień)

– Najbardziej żałuję, że nie mogę zabrać ze sobą tego cuda.

Kris wpatruje się w ekran wiszący nad piętrowym łóżkiem, które dzieliłyśmy przez pięć miesięcy. Wyświetla się na nim postać podobna do niej, jakby jej własne odbicie w magicznym świetle, w którym posiadałaby wszystkie moce, łącznie ze zdejmowaniem klątw i odczynianiem uroków. To cyfrowy portret, który wykonałam na jej dziewiętnaste urodziny. Przedstawiłam ją jako śnieżną księżniczkę, postać z baśni lub jednego z tych romansów, które tak lubi.

– To plik cyfrowy, Kris – tłumaczę. – Wystarczy, że wgrasz go i odtworzysz na którymś z ekranów w twoim module mieszkalnym w bazie. Jeśli zechcesz, narysuję też portret Aleksieja w takiej samej kolorystyce i stylu. W ten sposób zostaniecie nieśmiertelnieni we dwoje, śnieżna księżniczka i książę, najpiękniejsza marsjańska para.

Unieśmiertelnieni... Wiem, że to kłamstwo, bo cyfrowe obrazy są tylko zbiorem danych, które można wykasować jednym kliknięciem, a tam na dole czeka nas wszystko, tylko nie nieśmiertelność.

– Być może udałoby mi się namalować was naprawdę – dorzucam pośpiesznie, żeby ukryć zakłopotanie. – Nauczyłam się rysować wirtualnie, na ekranie i jak dotąd to mi wystarczało. Ale odkąd opanowałam sztukę makijażu kosmetykami Rosiera, używając tych wszystkich szminek, cieni i pudrów, marzy mi się, żeby rysować na prawdziwym papierze, jak artyści w przeszłości. Chciałabym poczuć nakładanie barw, poczuć to fizycznie, nie tylko w dwóch wymiarach, ale też fakturę materiału. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Kris przestaje na chwilę wyjmować ostatnie ubrania z szafy, by na mnie spojrzeć.

– Tak, rozumiem – odpowiada. – W każdym razie tak mi się wydaje.

Uśmiecha się do mnie.

– To miłe, co mówisz mi o Aleksie, że chcesz narysować jego portret i tak dalej. On bywa czasami zbyt bezpośredni, ale to dlatego, że jest bardzo uczuciowy. Ale ma dobre serce, wiesz.

– Tak, wiem – mówię, rozumiejąc, że nawiązuje do sytuacji, o której widzowie nie mają pojęcia, do mojej kłótni z Rosjaninem podczas przerwy w nadawaniu.

– Myślę, że doświadczył w życiu wielu trudnych momentów. Ta banda, z którą przez dwa lata włóczył się po Moskwie, zanim wysłał kandydaturę do programu...

– Sądziłam, że to byli idealisci, marzyciele. Czy nie to opowiadał każdej z nas w czasie pierwszego spotkania w Kuli? Cała ta historia o współczesnych rycerzach szukających przygód w miejskiej dżungli, nie mów, że ci jej nie sprzedał?

Kris znów podnosi spojrzenie znad swoich rzeczy i zanurza je w moich oczach. Jest pełne czułości i dobroci.

– Tak, to właśnie powiedział... – szepcze. – Być może odrobinę złagodził rzeczywistość. Ale to wszystko przeszłość. Jakiekolwiek są jego rany, pomogę mu je wyleczyć moją miłością.

Przypominam sobie słowa, które Aleksiej powiedział w gniewie wczoraj w Kuli Spotkań. Kiedy odnosił się do swojej przeszłości, nie mówił już o rycerzach i szlachetnych czynach, tylko o razach, poświęceniu i obrzydliwym smaku krwi w ustach...

– Wybrałaś go, to mi wystarczy – stwierdzam. – Dla mnie liczy się tylko to, żebyś była z nim szczęśliwa.

Szczęśliwa... kolejne słowo, które w moich uszach brzmi strasznie fałszywie. Ale twarz Kris przez cały czas rozjaśnia ten optymistyczny uśmiech, który mógłby rozbroić armię. Jest naprawdę dobrą aktorką, o wiele lepszą ode mnie. Ponieważ uśmiecha się przede wszystkim dla kamer, prawda? Czy może naprawdę udaje jej się cieszyć tą chwilą i wzbudzić w sobie słodką żarliwość narzeczonej, która szykuje się do poślubienia ukochanego, jakby cały świat nie istniał, jakby przyszłość miała być naprawdę świetlana. Zarówno w pierwszym, jak i w drugim przypadku wprawia mnie w osłupienie.

Ja nie mogę przestać myśleć o Andrew Fisherze i Harmony McBee. Gdzie teraz są? Jak długo zdołają pozostać na wolności? Czy naprawdę można zaufać trzymanej w tajemnicy córce kobiety, która skazała nas wszystkich na śmierć? Intuicja podpowiada mi, że można, że Harmony skrywa sekret, cierpienie, które współgra z naszym losem...

Kris wkłada ostatnią sukienkę do torby gestem pełnym wdzięku, jakby żadne z tych pytań jej nie dotyczyło.

– Muszę przyznać, że zaczynałam już mieć dość gotowania jedzenia tylko z produktów Eden Food – mówi. – Wygląda na to, że maszynom wysłanym do bazy przed nami udało się zasiać w szklarni zboża i owoce. Wiesz, że są nawet jabłka! Wreszcie będę mogła zrobić swój słynny strudel. Zobaczysz, jaki jest pyszny!

Kris odrywa obraz, który na początku podróży przyczepiła do drzwi szafy, *Madonnę z dzieciątkiem* Botticellego. Teraz ten mebel jest pusty, nagi jak

pierwszego dnia. Na widok tego anonimowego, bezosobowego fragmentu statku, który wygląda tak samo, jak wtedy gdy weszliśmy na pokład... tak jak będzie wyglądał, gdy wróci bez nas na Ziemię, przeszywa mnie dreszcz.

– Skończyłam – ogłasza Kris. – Pomóc ci pakować rzeczy, moja mała leopardzico?

Delikatnie bierze z moich rąk strzępy czerwonej muslinowej sukienki, którą zdjęłam wczoraj, by włożyć cienki czarny kombinezon, tę moją drugą czarną skórę, dokładnie okrywającą każdy centymetr mojego ciała – a przede wszystkim Salamandrę.

– Naprawię ci tę sukienkę, obiecuję – mówi. – Ty jesteś mistrzynią rysunku, ale ja, zdaje się, mam palce stworzone do igły i nici...

– To raczej ja będę skazana na cerowanie skarpetek, majtek i gaci całego Nowego Edenu! – wykrzykuje Kelly, która właśnie przechodzi obok, ciągnąc za sobą swój bagaż.

Byle jak wepchnęła do torby całą swoją kolorową garderobę i dziesiątki fantazyjnych ozdób, nic dziwnego, że pierwsza skończyła się pakować. To zabawne, widzieć ją znowu w obcisłym kombinezonie, bez gołego pępka i głębokiego dekoltu, tylko z tlenionymi włosami odcinającymi się od czarnego materiału. Wygląda jak surferka na środku oceanu, która wiosłuje rękami, płynąc pod prąd.

– Cóż, zostałam kosmiczną nędzarką – ogłasza, wyciągając dłoń w geście żebraczki. – Razem z moim facetem wylądowaliśmy na ulicy. Zlitujcie się, dobre kobiety, rzućcie grosik... Jeden mały milionik, żebyśmy mogli wziąć udział w licytacji i kupić sobie jakiś dach nad głową, bo nie mamy dziś gdzie spać...

Niektórzy ludzie próbują oprzeć się przyplýwom przeznaczenia, walcząc z falami, Kelly obraca wszystko w cięty żart.

Jej małe przedstawienie wywołuje uśmiech na mojej twarzy. Nawet Fangfang nie może się powstrzymać i chichocze z wybryków tej, która w przeszłości tak często doprowadzała ją do wściekłości. Kelly ma naprawdę niezłomny charakter. Choć jeszcze wczoraj chciała wracać na Ziemię, dzisiaj cieszy się na myśl o wypełnieniu misji, do której ją wyszkolono. To, że w końcu może działać, po długich miesiącach oczekiwania, doskonale na nią wpływa – a jej dobry nastrój udziela się wszystkim. Dzięki jej energii i uśmiechowi Kris robi mi się ciepło na sercu.

*

Pół godziny później podłoga w pomieszczeniu zaczyna skrzypieć i otwiera się śluza powietrzna prowadząca do kapsuły. Czekają tam sześć foteli wykonanych dla nas na miarę. Umieszczamy torby w luku bagażowym z taką ostrożnością, jakbyśmy przewożyły w nich kryształową zastawę – są tam wszystkie wspomnienia

z naszego dawnego życia, te skrawki Ziemi, które zabierzemy ze sobą do nowego świata. W chwili, gdy wkładamy ostatnią torbę, wszystkie ekrany w opuszczonej sypialni nagle się zapalają. Nie ukazują jednak twarzy Sereny ani żadnego z naszych instruktorów, lecz powierzchnię Marsa z kamery umieszczonej na zewnątrz statku. Ogromna czerwona planeta obraca się powoli, a wraz z nią długa blizna kanionu Valles Marineris, celu naszej podróży. W górnej części ekranu pojawiają się wielkie cyfry i rozpoczyna się odliczanie wsteczne, tak samo jak na platformie startowej na przylądku Canaveral w dniu wylotu.

Start: 75 min.

– Powiedźcie, dziewczyny... – zaczyna Safia z nutą niepokoju w głosie. – Czy mi się tylko wydaje, czy Valles Marineris się od nas oddala?

– Masz rację, kochanie – potwierdza Kelly.

– Ale ja nie rozumiem... akurat w chwili, gdy mamy wylądować...

– A myślałaś, że skoczymy sobie swobodnie w dół, jak na bungee? Tak ci spieszo do twojego Samsona? O ja cię!? Jak te hormony w was buzują...

Policzki Hinduski czerwienieją. Miło patrzeć, jak odzyskuje kolory.

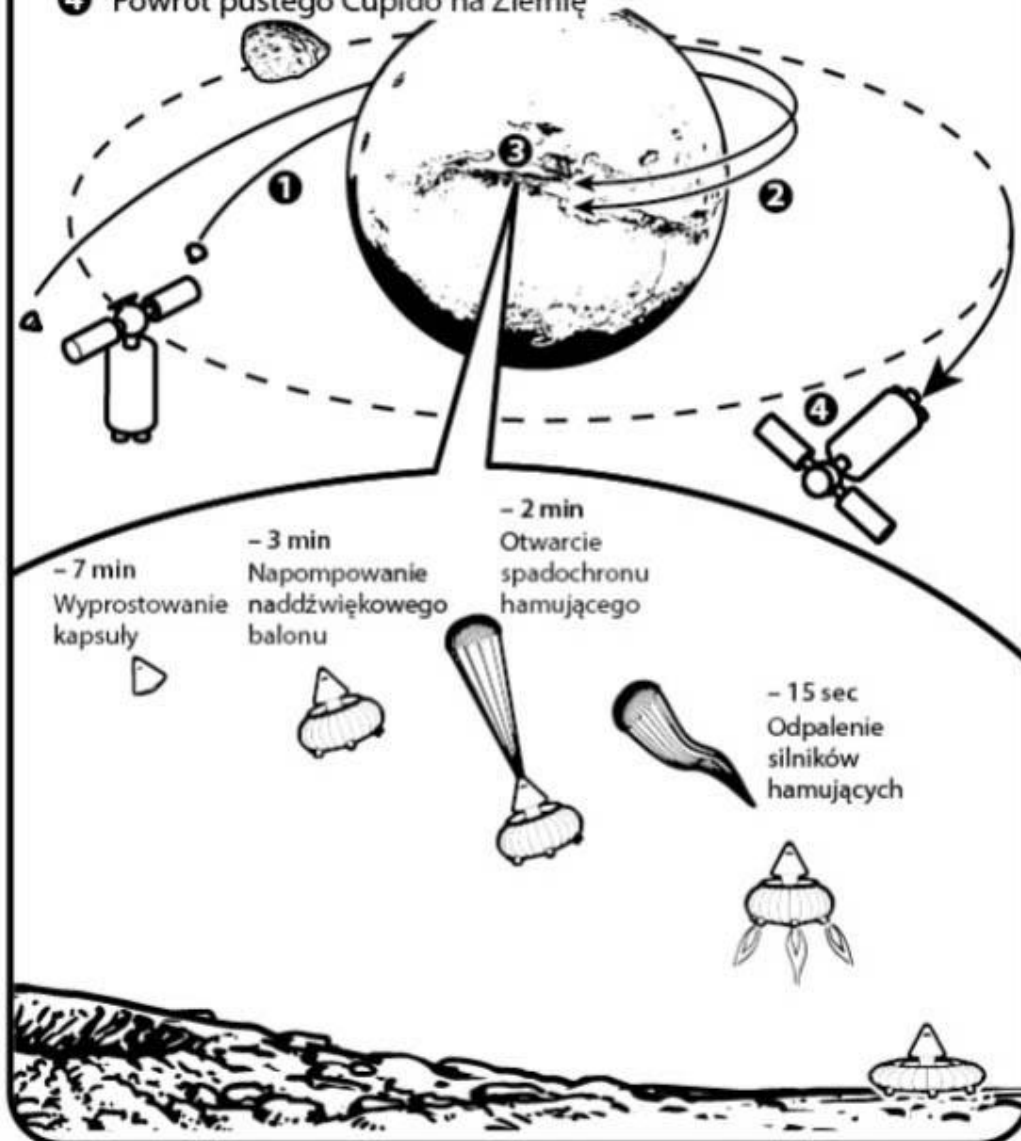
– Wylądujemy na Marsie przez deorbitację – wyjaśnia Kelly. – No co tak na mnie patrzycie? Znowu macie jakieś kosmate myśli? To nie jest brzydkie słowo! Popatrzcie...

Wymachuje tabletem, który w ostatnich miesiącach służył jej do nauki pilotażu.

GENESIS / lądowanie



- 1 Deorbitacja
- 2 Wejście w atmosferę
- 3 Lądowanie
- 4 Powrót pustego Cupido na Ziemię



– Pamiętacie schemat, który pokazywano nam w czasie szkolenia w Dolinie Śmierci? Czy po pięciu miesiącach szybkich randek macie już całkiem wyprane mózgi? No dobra, szybka powtórka...

Jeden, deorbitacja. Kapsuły odrywają się od Cupido i schodzą z orbity Fobosa, by obracając się wokół własnej osi, zagłębić się w studni grawitacyjnej Marsa, co pozwoli wam przez dwie godziny podziwiać niesamowity widok na naszą nową dzielnicę.

Dwa, wejście w atmosferę. Wślizgujemy się w górne warstwy rozrzedzonej marsjańskiej atmosfery, by rozpocząć hamowanie, trochę jak kamień na lodzie w curlingu – i modlimy się żarliwie, żeby osłona termiczna kapsuły wytrzymała, bo jeśli stanie się inaczej, to skończymy jak popcorn.

Trzy, lądowanie. Uwaga, robi się naprawdę technicznie... Na wysokości dwudziestu kilometrów nad powierzchnią planety pod kapsułą nadmuchuje się naddźwiękowy balon, taka jakby gigantyczna poduszka powietrzna, która ma maksymalnie spowolnić lot. Na wysokości dziesięciu kilometrów otwiera się spadochron hamujący; i wreszcie na wysokości kilku metrów nad powierzchnią silniki hamujące redukują prędkość do zera lub prawie. No i jesteśmy w Valles Marineris! A kto mi powie, co się stanie z Cupido? Safia? Kris?

Fangfang, dobra uczennica, podnosi rękę niczym w odruchu Pawłowa. Jednym tchem wyrzuca z siebie odpowiedź:

– Ja wiem! Ja wiem! Cupido okrąży Marsa i na autopilocie wyruszy w podróż powrotną na orbitę okołoziemską, gdzie przyjmie nową załogę astronautów wybranych do drugiego sezonu programu Genesis.

– Dobrze, dostajesz piątkę – mówi Kelly.

Następnie klaszcze w dłonie, do końca grając panią nauczycielkę.

– Dalej, dziewczęta! To jeszcze nie wszystko! Najwyższy czas włożyć skafandry kosmiczne i zmienić się w ludziki Michelina. Wiem, to nie jest przyjemne. Ale ma też jedną dobrą stronę: wszystkie jesteśmy w nich tak samo grubaśne. W tym czymś nawet Liz wygląda jak kosmiczne rachatlukum, zegnaj smukłą kibici gwiazdnej tancerki!

Angielka śmieje się w sposób wymuszony.

Oczywiście wszystkie jesteśmy spięte, ale Liz bardziej niż pozostałe dziewczyny. Odkąd jej podstępne sztuczki wyszły na jaw, spadła nie tylko w rankingach chłopców: koleżanki też się do niej zraziły i ona musi to czuć. Ja postanowiłam jednak, że nie będę mieć do niej żalu i teraz jest najlepszy moment, by jej to pokazać!

– Rachatlukum czy nie, ja nie mogę się już doczekać, kiedy zobaczę twój marsjański taniec! – mówię, uśmiechając się do niej szeroko.

Ściągnięta twarz pod włosami upiętymi w kok rozjaśnia się w jednej chwili.

– Naprawdę?

– No jasne! Powiedz mi jeszcze... Co planujesz zatańczyć? Nie żebym się znała na balecie, ale jestem ciekawa.

Angielka trzepocze długimi czarnymi rzęsami, ale nie jest to egzaltowana poza ani wystudiowany efekt. Liz jest po prostu głęboko poruszona i ja też.

– Nie zatańczę do muzyki baletowej, to będzie symfonia. Ta sama, którą Neil Armstrong zabrał ze sobą w 1969 roku na misję Apollo 11 lecącą na Księżyc. Wgrałam ją do tabletu. Chciałam... zatańczyć jako pierwsza do symfonii *Z Nowego Świata*.

– Symfonia *Z Nowego Świata*? Jaka piękna nazwa! Bardzo bym chciała narysować cię tańczącą, jeśli się zgodzisz...

Liz otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale emocje są zbyt silne.

Wtedy podchodzi bliżej i przytula się do mnie. Jej głowa spoczywa na moich rudych lokach, czuję jej ciepłe łzy na mojej szyi. I widzę moje łzy kapiące na jej kruczoczarne włosy.

Gardło też mam tak ściśnięte, że nie jestem w stanie wykrztusić słowa. Mogę tylko dać pozostałym znak załamionym spojrzeniem, by do nas podeszły: skoro ja jej przebaczyłam, wy też możecie.

Start: 59 min.

Udało się, po serii dziwnych wygibasów wszystkie włożyliśmy na siebie ten cały kosmiczny osprzęt. Mam wrażenie, że mój skafander waży tonę. To dlatego, że przez pięć miesięcy przyzwyczaiałam się do lekkich ubrań i mniejszej siły grawitacji. A w dodatku tym razem, poza skafandrem musimy dźwigać na sobie ciężki moduł podtrzymywania życia, czyli wielki plecak z zapasem powietrza do oddychania, który pozwoli nam przetrwać poza kapsułą, kiedy staniemy na powierzchni Marsa. Krótko mówiąc, wygląda to tak, jakby w chwili zejścia na Marsa przywalono nas ołowianym ciężarem, aby mieć pewność, że zejdziemy na samo dno i już nigdy nie wydostaniemy się na górę. Ale chrzanię to! Siostrzany uścisk Liz zdjął ze mnie ciężar o wiele większy niż wszystkie skafandry świata.

Ponieważ tylko razem, zjednoczone, będziemy miały szansę przeżyć na Marsie!

Start: 37 min.

Znów leżymy wbite w fotele, nasze nadęte ciała są w nich zaklinowane jak jajka w tekturowym pudełku. Tak jak w czasie startu z Ziemi, Kelly, Safia i Liz są w pierwszym rzędzie, a trzy pozostałe w drugim. Także Louve siedzi w swoim specjalnym, małym fotelu, mrugając czarnymi, niespokojnymi oczkami nad kagańcem, który Kris zapięła jej na pysku. Przez pancerną przednią szybę kapsuły widać wolno obracającą się powierzchnię planety. Na ekranie transmisyjnym trwa odliczanie wsteczne.

– Dobrze, nawiązałam kontakt z salą kontroli lotów... – ogłasza Safia, nasza specjalistka od łączności. Poprawia słuchawki na uszach. – ... czekajcie,

poinformowano mnie, że Roberto Salvatore jest niedostępny.

– Zakrztusił się makaronem? – rzuca ze złością Kelly. – Niewielka strata. Chociaż, biorąc pod uwagę tuszę gościa...

Wiemy doskonale, że w rzeczywistości Roberto Salvatore uciekł, gdy zaczęły się problemy. Serena mi to zdradziła, kiedy odkryłam raport Noego. Teraz jest zapewne zbyt zajęta knuciem z dyrektorem Lockiem i pozostałymi instruktorami, w jaki sposób się nas pozbyć. Nie mają czasu, by się pojawić na antenie, i dobrze, wolę nie oglądać paskudnych mord tych zdrajców.

– Jakiś inny specjalista od nawigacji pomoże nam wykonać manewr – przekazuje Safia.

– Oj tam! Nie potrzebuję niczyjej pomocy! – przechwala się Kelly. – Mogę to zrobić z palcem w nosie! *Fingers in the nose!*

Udaje, że wkłada palec do nosa, co jest oczywiście niemożliwe, bo jej palce w rękawicach wyglądają jak grube serdelki. Jedno jest pewne: Kenji nie będzie się z nią nudził, jeśli w ogóle uda mu się dotrzymać jej kroku!

Na myśl o parach, które wkrótce mają się spotkać, przed oczami staje mi twarz Marcusa. Spędziliśmy obok siebie pięć miesięcy. Byliśmy w tym samym statku, ale widzieliśmy się tylko jedenaście razy w Kuli Spotkań, a większość tych randek miała miejsce pod koniec podróży, kiedy zrezygnowałam już ze swoich absurdalnych zasad gry. Jedenaście razy sześć minut daje sześćdziesiąt sześć minut. Niewiele ponad godzinę, by oszaleć na punkcie chłopaka. Czy to czyni mnie łatwą? To teraz najmniejsze z moich zmartwień. Kiedy sobie przypomnę, jak bardzo przed rozpoczęciem tej podróży byłam przekonana, że moje serce jest pancerne niczym skarbiec Banku Centralnego! Wszystko to nieprawda. Na myśl o tym, że dziś wieczorem, po pokonaniu lotem korkociągu sześciu tysięcy kilometrów między Fobosem i Marsem w końcu dotknę Marcusa, to serce, które uważało się za nieprzeniknione, podskakuje, jakbyśmy już zanurkowali.

Start: 30 min.

Śluz powietrzna powoli zamyka się nad naszymi głowami. Lamy na statku, imitujące światło dzienne, nagle gasną. Zastępuje je panujący w kapsule półmrok, przeszywany kolorowymi światełkami dziesiątek diod na panelu sterowania i czerwoną poświatą Marsa za pancerną szybą.

– Zapnijcie pasy – rozkazuje Kelly.

Zgodnie z protokołem to ona dowodzi załogą w czasie manewrów lotniczych.

– Włóżcie hełmy.

Zaraz to zrobimy, myślę, chowając rude loki pod hełmem. Zaraz zanurzymy się w studni grawitacyjnej Marsa. Włączam palcem mikrofon, dzięki któremu możemy się nadal komunikować.

– Odłączenie kapsuły za trzydzieści minut – trzeszczy zniekształcony głos

Kelly w moich słuchawkach.
Kości zostały rzucone.

KONTRPLAN

**Schron przeciwbombowy, baza na przylądku Canaveral,
niedziela 10 grudnia, godz. 17.39**

– Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem z ciebie dumna, Arthurze! Policja uwierzyła w każde twoje słowo. Pozostali konspiratorzy to już tylko złe wspomnienie, confetti rozrzucone nad Morzem Karaibskim, a głównym podejrzanym jest Gordon Lock. I właśnie w tej chwili dziesiątki chłopców na posyłki w biurze prasowym Białego Domu odpowiadają na pytania dziennikarzy z całego świata, podając im naszą historyjkę na tacy. A najlepsze jest to, że aby wytłumaczyć niewytłumaczalne, prasa uczepiła się teorii zamachu terrorystycznego, tak jak przewidziałam! Waszyngton dał mi wojskową ochronę, jakbym to ja była ofiarą! Rozegrałeś to po mistrzowsku, Arthurze, z typową dla ciebie męską flegmą, która mnie uwiodła, gdy tylko cię poznałam.

Serena McBee przyciska do torsu Arthura Montgomery'ego piersi uwydatnione krojem szykownego żakietu.

– Ała! – jęczy lekarz.

– Och! Zrobiłam ci krzywdę?

– Chodzi o to, że wczoraj podrapałaś mnie paznokciami, a rany pod opatrunkiem są jeszcze świeże, ty tygrysico!

– Nic na to nie poradzę. Doprowadzasz mnie do szaleństwa, mój nieustraszony łowco drapieżników z sawanny...

Serena zbliża usta do drżących wąsów lekarza.

– Zgodnie z planem uczestnicy za kilka minut wylądują na Marsie – szepcze.
– Jeśli to rzeczywiście Wielka Burza zagraża bazie, jak zakładają, oznacza to, że mamy przed sobą dwadzieścia dwa miesiące, czyli prawie dwa lata: połowę kadencji prezydenckiej! Ileż się może w tym czasie wydarzyć! Kiedy tylko wybór mojej osoby na stanowisko wiceprezydenta zostanie zatwierdzony, wyślę służby na poszukiwanie dwojga donosicieli, którzy bujają sobie nie wiadomo gdzie z kopią raportu Noego. Rodziny ofiar już znalazły się pod ścisłą ochroną policji, w tym także matka i siostra Andrew Fishera, z zakazem opuszczania terytorium Stanów Zjednoczonych do czasu zakończenia śledztwa. Ten mały impertynent trzyma mnie w garści, ale ja jego też, zobaczymy, kto puści pierwszy...

– A druga uciekinierka? Ta dziewczyna, którą wziąłem za Harmony? – dyszy z trudem Arthur Montgomery.

– A ta! Już nie mogę się doczekać, kiedy ją złapię. Uzurpatorka! Oszustka!

Kto wie, kim jest ta włóczęga, skąd się wzięła i co zamierzała, wkradając się do mojego domu? Musiałam zadbać o bezpieczeństwo córki, prawdziwej Harmonii, w tym tak burzliwym okresie, dlatego posłałam ją do mojej siostry Gladys w Highlands w Szkocji, ziemi moich przodków. Tak więc nie martw się, Arthurze, jeśli nie zobaczysz jej już w willi McBee.

Doktor kiwa głową, zbyt przytłoczony pewnością Sereny, by wątpić w jej słowa.

– Krótko mówiąc, wszystko jest pod kontrolą – konkluduje. – Kiedy tylko zneutralizuję donosicieli, rozkażę uczestnikowi, którego zhipnotyzowałam bez jego wiedzy, by unieszkodliwił całą dwunastkę. Kiedy myślę, że mieli czelność narzucić mi swoje trzy śmieszne zobowiązania, mnie, Serenie McBee! Nigdy w życiu nie podpisałam żadnej umowy, w której osobiście nie zreagowałabym każdego sformułowania, paragrafu czy artykułu, w tym także wszystkich aneksów!

– Sereno, jesteś niebezpieczna! – dyszy Arthur Montgomery w ekstazie. – Och! Sereno, Sereno! Pożryj mnie w całości! Rozerwij pazurami! Jestem twoją zdobyczą, mój ty srebrzysty kuguarze!

Lecz kiedy pochyła się ku niej, by wreszcie dotknąć ustami jej warg, ona odpycha go gwałtownie.

– Później – mówi. – Nic się nie stanie, jeśli chwilę poczekaś. A tymczasem muszę przygotować krótką przemowę, najwyższy czas przekazać uczestnikom tragiczne wieści. Wolę zrobić to teraz niż po lądowaniu, jeśli będę zbyt długo zwlekać, mogliby źle zareagować, zarzucić mi, że coś przed nimi ukrywam, oskarżyć, że nie przestrzegam ich śmiesznej umowy *Spokój ducha*. Tak, lepiej zrobić to od razu. Tym bardziej że do dzisiejszego programu wprosił się mój przyszły szef, prezydent Green. Później wyjadę na powierzchnię pozdrowić dziennikarzy. Oni zupełnie nieświadomie robią dla nas doskonałą robotę.

Producentka wykonawcza siada w swoim skórzanym fotelu. Z kieszeni żakietu wyjmuje małą czarną wstążeczkę złożoną w kształt litery V, którą przypina na piersi obok broszki-mikrofonu. Następnie otwiera torebkę ze skóry pytona, wyciąga buteleczkę soli fizjologicznej i wlewa po kilka kropli do każdego oka.

W końcu zerka na zegarek, cały czas mrugając powiekami, by popłynęły sztuczne łzy.

– Siedemnasta czterdzieści pięć. Już czas!

Odwraca zapłakaną twarz w stronę kamery zawieszanej u sufitu bunkra.

PLAN

Start + 161 dni, 4 godz., 18 min
(Dwudziesty trzeci tydzień)

– Ciśnienie? – pyta Kelly przez system komunikacji radiowej łączący wszystkie nasze hełmy, powtarzając te same słowa, które wypowiedziała pięć miesięcy temu, kiedy po raz pierwszy korzystałyśmy z kapsuły.

– W normie – odpowiada Liz głosem, który docierając przez radio, zdaje się trochę poważniejszy.

– Poziom tlenu?

– Optymalny.

– Wentylacja?

– Włączona.

– Wizjer elektroniczny?

– Ustawiony na cel: szerokość geograficzna 7,38°, długość geograficzna 84,39°; kanion Ius Chasma, południowo-zachodni kraniec Valles Marineris.

Liz naciska ekran wizjera, rodzaj kosmicznego GPS-u, który w mgnieniu oka pokazuje topografię celu naszej podróży.

– System kanionów Valles Marineris jest tak szeroki jak Stany Zjednoczone – komentuje Liz. – A my celujemy w jeden konkretny punkt, liczący ledwie kilkaset metrów. Lepiej, żebyśmy nie spudłowały...

– To bułka z masłem! – zapewnia Kelly. – Albo raczej pizza, nie wiem jak wam, ale mnie Marineris zawsze przywodziło na myśl pizzę marinara.

– Eee, pizzę z owocami morza? – pyta Kris.

– Wcale nie, nieuku! I ta tu twierdzi, że zna się na gotowaniu! Pomyliło ci się z La Mariną. Marinara to pizza dla biedaków, jedyna, na jaką mogłam sobie pozwolić w Toronto, ta bez żadnych fajnych dodatków, nawet sera. Sos pomidorowy i *finito*.

Słyszę w słuchawkach mojego hełmu, jak dziewczyny chichoczą jednocześnie, co blokuje kanał radiowy i powoduje zabawny efekt Larsena. Zawsze można liczyć na to, że w najbardziej nieoczekiwanej chwili Kelly rzuci jakąś dziwną uwagę! Chociaż... Mars jako kosmiczna pizza? To mógłby być niezły rysunek...

– Ta nazwa nie ma nic wspólnego ani z Mariną, ani z Marinara – wyjaśnia Fangfang, która nie potrafi trzymać języka za zębami, gdy chodzi o wiedzę z dziedziny planetologii. – Valles Marineris upamiętnia projekt Mariner 9 z 1971

roku, ta bezzałogowa sonda pozwoliła odkryć system kanionów.

– Tak czy owak, kiedy patrzę na tę czerwoną powierzchnię, to widzę ogromną i mało apetyczną pizzę – odpowiada Kelly. – Na szczęście Serena, nasza kosmiczna mistrzyni pizzy, dorzuci tu trochę chrupiących składników, czyli nas. A właśnie, skoro już o Serenie mowa, coś dawno nie widziałyśmy jej ślicznej buzi... Mam nadzieję, że nie umarła, biedulka, widząc, jak odlatujemy od niej na zawsze. Nadmiar wzruszeń może czasem zabić...

Ledwie Kelly wypowiada te słowa, ekran transmisyjny zaczyna trzeszczeć. Czarne tło, na którym wyświetlały się cyfry wstecznego odliczania, znika i zamiast niego pojawia się twarz Sereny, „kosmicznej mistrzyni pizzy”, dowodząc niezbicie, że ona wciąż żyje.

Od pierwszego spojrzenia orientuję się, że coś się święci.

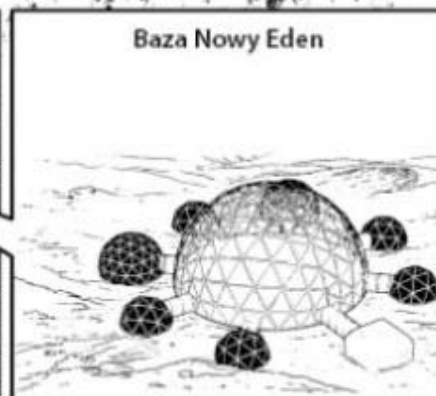
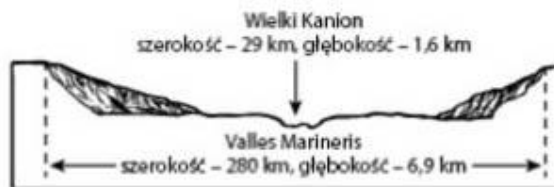
NOWY EDEN /

położenie geograficzne



Valles Marineris:
system kanionów tak długi
jak Stany Zjednoczone

... 10 × szerszy i 4 × głębszy
niż Wielki Kanion Kolorado



Ta poza matki bolejącej, te mokre ślady na policzkach, te załzawione oczy, to wszystko śmierdzi podstępem na odległość.

– *Moi drodzy przyjaciele... – słyszymy w słuchawkach jej jęczący głos. – Przepraszam, że zostawiłam was samych z ostatnimi przygotowaniami do lądowania. Ale tu na Ziemi wydarzyło się coś potwornego.*

Całe moje ciało napina się pod skafandrem, jakbym włożyła palec do kontaktu. Przed oczami wyświetlają mi się twarze Andrew Fishera i Harmony McBee, tak delikatne, blade i zmęczone, jakbym znów widziała je na ekranie w siłowni.

(Zabiła ich! Znalazła i zabiła! A wy jesteście następni w kolejce!)

Nie! Staram się odepchnąć te straszne myśli, które podsuwa mi Salamandra. Gdyby Serena naprawdę zabiła dwie osoby, od których zależy nasz los, nie ogłosiłaby nam tego podczas transmisji na żywo, w chwili gdy przygotowujemy się do lądowania.

– *Zapewne zastanawiacie się, dlaczego od wielu godzin nie dostajecie żadnych wiadomości od waszych drogich instruktorów – ciągnie Serena. – Powinni stać u waszego boku na tej ostatniej prostej, ci, którzy tyle was nauczyli, którzy traktowali was jak własne dzieci...*

Robi mi się niedobrze od tej hipokryzji.

Ale ulga, że nie chodzi o Andrew i Harmony, jest silniejsza niż mdłości.

Oddycham głęboko, czekając na dalszy ciąg.

– *Sama byłam zaniepokojona ich nieobecnością, ale nie przestawałam prowadzić programu, jak nakazywał mi obowiązek, jak tego oczekiwali widzowie, jak wymagał mój pracodawca Atlas Capital. Trwając przy stole montażowym, powtarzałam sobie, że koledzy zapewne szykują mi jakąś niespodziankę, by uczcić sukces programu. Policja przed chwilą przekazała mi wiadomość jak z najgorszego koszmaru. Z niezmiernym smutkiem muszę podzielić się z wami informacją, która wstrząsnęła całą Ziemią. Wczoraj po południu na przylądku Canaveral Gordon, Odette, Geronimo i Archibald zostali uprowadzeni. Samolot, którym odlecieli, zniknął z radarów nad Morzem Karaibskim. Władze uważają, że doszło do katastrofy... – głos Sereny się łamie – i że nikt nie przeżył.*

Słyszę ciężkie oddechy dziewczyn, które mieszają się z moim.

Po Shermanie i Rubenie Serena pozbyła się kolejnych czterech „sprzymierzeńców”. Bo to ona stoi za ich zniknięciem, dałabym sobie za to rękę uciąć. Nie zmylą mnie jej krokodyle łzy. W głębi jej mokrych oczu błyszczą bezwzględna determinacja, wszechwładna pogarda dla tych, którzy zginęli, a ona udaje, że ich oplakuje. Ale widzom, którzy nawet nie podejrzewają, do czego ta kobieta jest zdolna, utkwili w pamięci tylko jej drżący głos.

– *Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak bardzo musi to was boleć – dodaje. – To tak, jakbyście po raz drugi zostali sierotami! Mogę wam tylko powiedzieć, że*

objęliśmy rodziny waszych kochanych instruktorów ścisłą ochroną policji, ponieważ nie znamy zamiarów terrorystów i nie wiemy, czy nie planują kolejnego ataku. Poza Archibaldem Dragovicem, który nie miał krewnych w Stanach Zjednoczonych, rodziny wszystkich pozostałych są już bezpieczne: rodzina Locków w Nowym Jorku, Blackbullów w San Diego, Salvatore w Chicago, Montgomerych w Bostonie, Stuart-Smithów w Beverly Hills... i oczywiście, rodzina ich sąsiadów Fisherów!

Załamione oczy Sereny wbijają się natarczywie w kamerę. Wiem, że za fasadą współczucia kryje się groźba. Rodzina Andrew Fishera jest pod ochroną policji... czyli pośrednio pod nadzorem tej, która wkrótce zostanie wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych. Ta wiadomość przeznaczona jest dla nas, siedzących w kapsułach, oraz dla uciekających Andrew i Harmony...

– Ale błagam was, nie załamujcie się – ciągnie Serena. – Ja sama, choć jestem wstrząśnięta tą tragedią do głębi, nie zgadzam się na żadne zastępstwo, ponieważ o to właśnie chodzi terrorystom. Będę dalej nosić z dumą kolory programu Genesis, choć od tej pory będę występować z tym symbolem na znak żałoby, Wstążką Pamięci... – wskazuje palcem czarną wstążeczkę przypiętą do kłapy żakietu, po czym dodaje: – ... show must go on!

„Show must go on” – dokładnie to samo zdanie powiedziała pięć miesięcy temu, kiedy powiadomiła nas o śmierci Shermana Fishera, którego, jak mi później wyjawiała, sama zamordowała! Słyszę w tym kolejne wyznanie: to ona stoi za tym rzekomym zamachem. Dlaczego to uczyniła? Niewątpliwie po to, by w tych trudnych okolicznościach pozostać panią sytuacji i jedynym dowódcą na pokładzie.

– Teraz zostaliście tylko wy i ja – ciągnie, potwierdzając moje domysły. – Musimy być silni i zjednoczeni, by oprzeć się przeciwnościom. Nikt ani nic nie stanie między nami. I będziemy szli naprzód, tak jak życzyliby sobie wasi instruktorzy. To nasz obowiązek wobec Ameryki i całego świata.

W tej chwili ekran dzieli się na pół i obok Sereny pojawia się druga postać. Natychmiast rozpoznaję prezydenta Greena po zielonym krawacie i pomarańczowej opaleniznie. Tym razem jednak nie prezentuje swego słynnego oszałamiająco białego uśmiechu, który można zwykle podziwiać na plakatach i w debatach telewizyjnych. Siedzi z posępną miną za masywnym dębowym biurkiem, za którym wisi ciężki gwiazdzisty sztandar. W kłapie marynarki ma przypiętą czarną wstążkę, identyczną jak ta przy broszce Sereny.

– To ponury dzień dla Ameryki i dla wszystkich ludzi kochających wolność – mówi smutnym tonem. – Ale jeszcze bardziej dla was, moi młodzi przyjaciele, jest to dzień żałoby. Dziś straciliście kogoś więcej niż tylko instruktorów: nauczycieli, mentorów. Ośmielę się stwierdzić, że straciliście rodziców. Nie wiemy jeszcze, kto stoi za tym nikczemnym atakiem. Jak dotąd nikt nie wystosował żądań. Jednak od dziś pewne jest jedno: program Genesis ma nie tylko zwolenników. Na tej Ziemi są

barbarzyńcy, którzy postanowili w możliwie najbrutalniejszy sposób przeciwstawić się podbojowi kosmosu, przyjaźni między narodami i wszystkiemu, co reprezentuje wasza dwunastka.

Prezydent Green patrzy swym jasnym wzrokiem prosto w obiektyw kamery, jakby zwracał się do każdego z nas, jakby nas znał osobiście, choć nigdy się nie spotkaliśmy. Muszę przyznać, że dostałam od tego gęziej skórki. Wiem, że w tej chwili oglądają nas miliardy widzów i że starczyłoby jedno słowo, jedno, by pogrążyć Serenę.

„Niech się pan obudzi, prezydencie Green – mam nagle ochotę wrzasnąć. – Królowa barbarzyńców jest w tej chwili z panem na antenie!”

Milczę jednak. Bo gdybym to powiedziała, skazałabym nas wszystkich na śmierć. Bo głosowaliśmy za lądowaniem. Bo trzeba zachować pozory.

– *Wolałabym, byście się dowiedzieli o tym kiedy indziej, a nie w chwili, gdy przygotowujecie się do lądowania* – znów odzywa się Serena na drugiej połowie ekranu. – *Ale istnieją przecież moje zobowiązania, które powzięłam wobec was po tym, jak program wrócił na antenę, pierwsze, czyli Stały zasięg, i drugie, czyli Przejrzystość. Macie prawo dowiadywać się o wszystkim w tym samym czasie co reszta świata. Wczoraj terrorystom udało się zniszczyć elitę programu Genesis, a jutro? Czy będą próbowali zaszkodzić wam, chociaż dzielą nas miliony kilometrów? Ja, Serena McBee, przysięgam, że zrobię wszystko, by im to uniemożliwić. To moje trzecie zobowiązanie: Wsparcie. Bezwarunkowe. Możecie na mnie liczyć. Musicie na mnie liczyć. Będę strzegła waszego życia jak własnego, niczym mała pszczoła strażniczka broniąca ula.*

Cóż za oszałamiające podwójne znaczenie!

Serena jawi się widzom jako zdesperowana matka, gotowa na wszystko, by chronić dzieci.

Jedynie my wiemy, że życzy nam długiego życia tylko dlatego, że w chwili, gdy zginiemy, i ona przypadnie. Tak, trzyma rodzinę Fisherów w swoich szponach, ale wystarczy jeden ruch palcem Andrew, by rozpowszechnić zrzuty ekranu z raportem Noego. Tak, trzyma nas w swojej ręce, ale sama zależy od naszego milczenia: kilka słów wystarczy, by widzowie poznali straszliwą prawdę.

Sojusznicy Sereny może i zniknęli, ale wiążąca nas umowa się nie zmieniła.

– *Pani McBee ma rację* – stwierdza uroczyście prezydent Green, nie rozumiejąc prawdziwego znaczenia słów swojej przyszłej zastępczyni. – *Pszczoła strażniczka, jakie piękne porównanie! Ponieważ rzeczywiście mamy do czynienia z wojną. A jest to wojna z terroryzmem! Trzeba iść naprzód. Trzeba odważnie budować przyszłość, nie dając się zastraszyć nikczemnikom próbującym cofnąć nas w przeszłość. Aleksieju i Kirsten, Tao i Fangfang, Kelly i Kenji, Samsonie i Safio, Marcusie i Léonor, Mozarcie i Elizabeth, liczę na was. Ameryka na was liczy! Świat na was liczy! Niech odpowiedzią na język śmierci terrorystów będzie nowe*

życie. *Dajcie nam pierwsze marsjańskie dzieci! God bless you. God bless America.*

Obraz znika z ekranu, na którym znów pojawia się czarne tło i świecące cyfry wstecznego odliczania.

Start: 1 minuta.

Start: 59 sekund.

Start: 58 sekund.

Cyfry na ekranie kontynuują swój bieg.

Kamery w kapsule i na zewnątrz nie przestają filmować.

Planeta Mars widoczna przez szybę wciąż się kręci.

Nagle na panelu sterowania zapala się jakieś światelko.

– To kapsuła chłopców – szepcze głos Safii w naszych hełmach.

Naciska palcem guzik.

– Łączę się przez sieć radiową, żebyśmy wszystkie mogły ich słyszeć... – i natychmiast dodaje zrozumiałe dla nas ostrzeżenie, by uniknąć wpadek: – Przypominam wam, że w tej chwili słyszą nas także nasi drodzy widzowie, bo wciąż jesteśmy na wizji... więc... ech... bez przekleństw, proszę!

W słuchawkach rozbrzmiewa głos Kenjiego, specjalisty od łączności w załodze chłopców.

– Cześć, dziewczyny! My tutaj czujemy się mocno zaniepokojeni. Nie mówię o sobie, bo to normalne, że ktoś cierpiący na różne fobie czuje strach, ale pozostali też mają nietęgą miny. Jestem pewny, że widzowie, którzy nas w tej chwili oglądają, mogą to zrozumieć. Zrozumieją też, jeśli zdecydujemy się zrobić jedno czy dwa dodatkowe okrążenia Marsa, zanim wylądujemy... Co o tym myślicie? Co o tym sądzi... Léonor?

W odpowiedzi Kelly, Liz i Safia odwracają się do tyłu w swoich fotelach w pierwszym rzędzie, a Kris i Fangfang po mojej lewej i prawej stronie też zwracają ku mnie głowy.

Start: 41 sekund.

Patrzę na mnie, bo to ja pokazałam im raport Noego.

Start: 40 sekund.

Ja zorganizowałam głosowanie całej naszej załogi.

Start: 39 sekund.

Ale czuję się za mała, by włożyć strój przywódcy, w który próbują mnie ubrać.

Start: 38 sekund.

Reputacja Niszczarki Wątpliwości przyłgnęła do mnie mocniej nawet niż Salamandra, podczas gdy w głębi duszy waham się tak samo jak pozostali, albo nawet bardziej.

Ale oni nie potrzebują teraz wahania czy wątpliwości.

I jeśli jest coś, czego jestem naprawdę pewna, to tego, że Serena McBee nie

przejęła jeszcze kontroli. Informując nas o śmierci swoich dawnych sojuszników w tym samym czasie co resztę świata, wypełniła swoje zobowiązanie. Ponieważ takie były wymogi naszej umowy. Nie miała wyboru. A im szybciej postawimy stopy na Marsie i postaramy się naprawić te cholerne moduły mieszkalne, tym lepiej!

– Co robimy? – rzucam. – Nie dajemy się przstraszyć i onieśmielić. Pokazujemy, że jesteśmy silni, a ci, którzy chcieliby nas zniszczyć, nigdy nie osiągną swego celu! – Słyszę w słuchawkach echo własnych słów. Staram się wypowiadać je głośno i wyraźnie, by przekazać moim przyjaciołom płynącą z nich pozytywną energię, by widzowie poczuli całą determinację, a Serena odczytała tkwiącą w nich ironię. – Robimy to, co powiedział prezydent Green, który ufa, że dzięki nam wolność zatriumfuje! Robimy to, czego życzy sobie nasza kochana Serena, która będzie strzegła naszego życia jak własnego. Lądujemy, nie zwlekając ani chwili, oczywiście jeśli Kelly i Mozart czują się na siłach, by pilotować!

Słyszę trzaski w słuchawkach, radio łączy się z kapsułą chłopców.

– Przyjąłem! – odpowiada Kenji. – Z naszej strony Mozart potwierdza, że jest gotowy. Lecimy za wami, dziewczyny. Lądujemy!

Kelly gwizdzie podekscytowana, co znów wywołuje sprzężenie w słuchawkach.

– Powiedźcie temu mięczakowi Moziemmu, żeby się trzymał! – woła. – Ostatni na Marsie jest wielką kupą karibu!

Hełmy odwracają się ode mnie, a dziewczyny wracają na miejsca.

Chwila słabości minęła i od teraz wszystko dzieje się w zawrotnym tempie.

Start: 25 sekund.

Start: 24 sekundy.

Start: 23 sekundy.

– Zatrzymanie wirnika głównego? – pyta Kelly, odzyskawszy cały profesjonalizm.

– Zrobione – potwierdza Liz.

Moje ciało staje się coraz lżejsze, pomimo kosmicznego skafandra. Za chwilę tylko dzięki pasom bezpieczeństwa utrzyma się w fotelu, bez nich uleciałoby do góry. Nie, nie zmieniam się w dmuchany balonik, to skrzydła Cupido przestają się obracać, w związku z czym zanika sztuczna grawitacja, z której korzystaliśmy przez ostatnie pięć miesięcy.

Z głośników w kapsule rozbrzmiewają pierwsze takty *Cosmic Love*. Jak zawsze w kluczowych momentach programu towarzyszą nam smyczki...

Start: 15 sekund.

Start: 14 sekund.

Start: 13 sekund.

– Wizjer elektroniczny? – pyta Kelly, niczym chirurg przy stole

operacyjnym.

– Ustawiony na cel.

– Napęd?

– Włączony. *Cosmic Love* zaczyna mi już wychodzić uszami. Może i jestem fanką Jimmy’ego Gianta. Ale co za dużo, to niezdrowo!

Anielka schyla się i wyciąga swój tablet.

– Pozwolisz? – pyta.

– Wszystko, cokolwiek chcesz, byle skończyły się te tortury.

Liz podłącza swój tablet do wejścia oznaczonego: ŁĄCZNOŚĆ AWARYJNA, wyłączając w ten sposób muzykę z czołówki programu Genesis.

Synteza milkna, zapada cisza, która po kilku chwilach przechodzi w pierwsze nuty pięknej melodii, bardzo delikatnej, a zarazem ogromnie przejmującej. Od razu się domyślam, że to *Symfonia z Nowego Świata*.

Start: 3 sekundy.

Start: 2 sekundy.

Start: 1 sekunda.

– GO! – krzyczy Kelly, chwytając swój joystick, kiedy na ekranie transmisyjnym kończy się odliczanie. – Teraz jesteśmy tylko ty i ja, uważaj, Pizza Marineris, wysyłam sos!

Zamykam oczy i daję się ponieść muzyce, kierując w myślach niemą prośbę do Andrew i Harmony: Jesteście najważniejszymi członkami załogi, chociaż nigdy nie byliście w kosmosie, w blasku fleszy ani na okładkach pism. Jesteście naszymi anonimowymi bohaterami, naszymi specjalistami w dziedzinie przetrwania. Jeśli nie dacie się złapać Serenie, ona nie odważy się nacisnąć guzika, a my zostaniemy przy życiu.

AKT III

KANAL GENESIS

Niedziela 10 grudnia, godz. 18.00

Widok przestrzeni kosmicznej z kamery umieszczonej z tyłu Cupido w ujęciu statycznym.

Nie słycać głosu z offu, żadnego komentarza, żadnych werbli – tylko dźwięki muzyki symfonicznej, która powoli roznosi się w próżni. *Symfonia z Nowego Świata*.

Na tle znajdującego się w głębi kadru Marsa rysuje się majestatyczna sylwetka statku.

Na pierwszym planie ogromny silnik jądrowy, teraz już wyłączony...

Dalej wirnik, teraz już nieruchomy...

Wreszcie Kula Spotkań, teraz już zupełnie pusta...

Przedziały mieszkalne po dwóch stronach szklanej kuli przypominają rozłożone ramiona posągu Chrystusa Odkupiciela z Rio de Janeiro, do którego media tak często porównywały Cupido.

Dwie kapsuły odrywają się w tym samym momencie, jak gdyby olbrzym otworzył ręce, by wypuścić dwa ptaki mknące do czerwonego Marsa.

Dwa małe metalowe stożki, błyszczące w świetle Słońca, o wiele bardziej odległego od Marsa niż od Ziemi, odlatują niesione muzyką.

POZA PLANEM

**Autostrada międzystanowa nr 80 Zachód, Indiana,
niedziela 10 grudnia, godz. 18.30**

Symfonia nabiera dynamiki.

Stanowi doskonały akompaniament dla baletu spowolnionych przez śnieżycę samochodów, które suną pogrążoną w ciemnościach zimowej nocy autostradą.

Jeden pojazd porusza się szybciej niż pozostałe: czarny kamper z przyciemnianymi szybami.

Prowadzący auto zmęczony chłopak uczeplił się kierownicy jak marynarz steru. Dziewczyna śpiąca na fotelu pasażera wygląda jak biała syrena, którą morze wyrzuciło na brzeg.

Nuty dobiegające z samochodowego radia otulają ich łagodną muzyczną powłoką, wibrującą, żywą.

– *Uczestnicy programu zrobili nam tą cudowną muzyką piękny prezent. – Spikerka mówi półgłosem, jakby się bała obudzić śpiące dziecko. – Drodzy słuchacze, którzy nie możecie oglądać relacji na żywo, wystarczy, że wsłuchacie się w tę wspaniałą Symfonię z Nowego Świata, by wyobrazić sobie spektakl rozgrywający się wysoko ponad waszymi głowami. Wystarczy, że... och, zamilknę już, niech przemówi muzyka!*

KONTRPLAN

**Baza na przylądku Canaveral,
niedziela 10 grudnia, godz. 19.00**

Symfonia osiąga punkt kulminacyjny.

Noc, która zapadła nad bazą na przylądku Canaveral, jest jasna niczym dzień. Ciemność rozdzierają niezliczone reflektory, otaczające platformę, z której przed pięcioma miesiącami wystartowała rakieta programu Genesis. Wokół gigantycznego aluminiowego pomostu zgromadził się nieprzebrany tłum dziennikarzy przybyłych, by relacjonować lądowanie i ceremonię zaślubin. Mają aparaty fotograficzne, kamery i mikrofony uniesione niczym oręż. Dookoła całej płyty wyrzutni raketowej rozlokowano dziesiątki żołnierzy w kombinezonach bojowych z karabinami maszynowymi w rękach. Za ich plecami gigantyczne ekrany pokazują dwie kapsuły spadające w próżnię przy dźwiękach symfonii, rozbrzmiewających z głośników.

Na pasku u dołu ekranów przewija się świecący napis: STAN WZMOŻONEJ CZUJNOŚCI – JESTEŚCIE POD OCHRONĄ SIŁ ZBROJNYCH – PROSIMY ZGŁASZAĆ WSZELKIE PODEJRZANE ZACHOWANIA I OSOBY.

Nagle na podeście w rogu platformy pojawia się jakaś sylwetka – wyjechała ukrytą windą z sekretnego wnętrza bazy.

To Serena McBee z ramionami uniesionymi w górę na znak zwycięstwa, w geście, który ma pokazać, że żyje i jest gotowa stawić czoło wszystkim wrogom programu Genesis, czy to prawdziwym, czy wyimaginowanym.

Dziennikarze podnoszą wrzask, jakby przed nimi znajdowała się gwiazda rocka, królowa w dniu koronacji albo wcielona bogini.

Flesze zaczynają strzelać, scenę zalewa światło, które chciałoby rozjaśnić wszystko, ale tak naprawdę nie ukazuje niczego istotnego.

Żołnierze przyklękają, celując w tłum przez wizjery karabinów maszynowych, gotowi strzelić do każdego „podejrzanego osobnika”, który zagrażałby marsjańskiej *pszczole strażnicze*.

PLAN

Start + 160 dni, 6 godz. 00 min
(Dwudziesty trzeci tydzień)

Muzyka znieczula mnie i elektryzuje, porusza i kołysze.

Tylko ona istnieje, poza nią nie ma niczego.

Nie ma wrzącego pode mną paliwa raketowego, nie ma wibracji, które wstrząsają całym moim ciałem. Nie ma żadnego z tych szalonych uczuć, które towarzyszyły startowi kapsuły pięć miesięcy temu.

Straciłam poczucie czasu. Pozwalam się po prostu nieść symfonii, która odtwarza się wciąż od nowa, podczas gdy my krążymy wokół Marsa. Na czarnym ekranie moich zamkniętych powiek wyświetlam film z tej podróży, a także z całego życia. Struny wibrują, kapsuła kręci się, wspomnienia powracają w zawrotnym wirze.

Przypominam sobie pierwsze spotkanie z Marcusem, w tak intymnej, a zarazem tak ekshibycyjnej Kuli Spotkań – byliśmy tylko we dwoje i były z nami miliardy mieszkańców Ziemi. Sądziłam, że opierając się mu, wykazuję się odwagą, ale uciekanie przed nim było nieopisanym tchórzostwem; nigdy wcześniej nie czułam tak mocno, że żyję, jednak potrzebowałam pięciu miesięcy i pięćdziesięciu pięciu milionów kilometrów, by to pojąć...

Wcześniej. Przypominam sobie ściśnięte gardło na platformie startowej, kiedy nie wierzyłam w miłość i wyrzuciłam z siebie zgodę na udział w programie jak okrzyk wojenny: „Zgadzam się, oczywiście!... Powiedziałam, że się zgadzam!”.

Wcześniej. Przypominam sobie moje pierwsze spotkanie z Kris, zaraz po przyjeździe do obozu szkoleniowego w Dolinie Śmierci, nasz pierwszy dziki śmiech: powiedziałam jej, że z tą koroną warkoczy na głowie przypomina mi księżniczkę Leię i że to świetna fryzura dla dziewczyny, która ma wystąpić w kosmicznym *show*. Ona odparła, że ja też nieźle pasuję, bo jestem owłosiona jak Chewbacca, dzielny wojownik z włochatej rasy Wookieech...

Wcześniej. Przypominam sobie dzień, kiedy zdobyłam wyróżnienie dla pracownika miesiąca w fabryce psiej karmy Eden Food France – udało mi się przygotować trzy tysiące puszek tradycyjnej potrawy mięsnej z fasolą, ani jednej nie psując, i byłam dumna jak paw. Naprawdę wydawało mi się wtedy, że to najpiękniejszy dzień w moim życiu.

Wcześniej. Przypominam sobie dom dziecka, upokorzenia i zastraszanie; ale

przede wszystkim życzliwość pielęgniarki o rumianych policzkach, która przyjmowała mnie w szpitalu na comiesięczny przeszczep skóry, a po operacji częstowała miętowymi cukierkami...

Wcześniej. Przypominam sobie stary wełniany koc, bez którego nie mogłam zasnąć w domu dziecka. Każdego wieczoru musiałam czuć na dziecięcym policzku jego dotyk, szorstki jak język domowego zwierzaka, i jego ostry zapach w moich nozdrzach... zapach, który zapomniałam, który zagubił się gdzieś w najgłębszych zakamarkach mojej pamięci... a teraz wraca z siłą tsunami, obrzydliwy i odurzający jednocześnie, niebezpieczny i pocieszający. Ach! gdybym tylko umiała znaleźć na to odpowiednie słowa...!

– Wejście w atmosferę rozpoczęte! – ogłasza głos Kelly w moim hełmie. – Będzie gorąco!

Wspomnienie zapachu znika, nim zdążę go zidentyfikować, dokładnie w chwili, gdy podnoszę powieki.

Przed moimi oczami eksploduje czerwień, jakbym dostała kulę z pistoletu w sam środek czoła: za pancerną szybą powierzchnia Marsa zbliża się z obłądną prędkością – czerwone góry, czerwone zagłębienia, czerwone kratery, tak blisko!

Ściany kapsuły zaczynają drżeć, najpierw delikatnie, a potem coraz mocniej, w miarę jak cyfry na wysokościomierzu pikują...

200 km...

193 km...

186 km...

W rogu przedniej szyby pojawia się nagle gigantyczna wyrwa Valles Marineris. Brakuje mi tchu, kiedy na to patrzę. Ten kanion nie ma nic wspólnego z modelami topograficznymi, które studiowaliśmy w obozie w Dolinie Śmierci, ani nawet z odległym widokiem, który mieliśmy na niego wczoraj w Kuli Spotkań z orbity Fobosa. To miejsce jest bardziej imponujące, majestatyczne i przerażające, niż mogłam sobie wyobrazić. A nasza kapsuła, niczym mała metalowa muszka, wpada do tej rozwartej paszczy z prędkością siedmiu kilometrów na sekundę, czyli ponad dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów na godzinę!

86 km...

79 km...

72 km...

Po niemal dwóch godzinach unoszenia się, kiedy zdawało mi się, że moje ciało nie waży prawie nic, teraz gwałtownie odzyskało swą masę. To nie jest już czterdzieści procent grawitacji wytwarzanej sztucznie przez Cupido, ani nawet sto procent grawitacji ziemskiej, nie. Przekraczamy przeciążenie 1g, by osiągnąć 2g, a następnie 3g. czuję to w moim zmiażdżonym ciele, w moich zgniecionych kościach...

58 km...

51 km...

44 km...

Symfonię z Nowego Świata zagłusza hałas wibracji. Przednią szybę zasłaniają snopy iskier, jakby cała planeta zaczęła płonąć! Choć wiem, że to rozgrzanie na skutek tarcia kapsuły o marsjańską atmosferę i że ceramiczna powłoka ma nas chronić, trzęsę się ze strachu.

Ogień!

Jak w moich koszmarach z dzieciństwa!

Wszędzie wokół mnie!

Chciałabym znów zamknąć oczy, ale nie mogę. Ponieważ moje mięśnie są sparaliżowane przez ogromne przyspieszenie. Ponieważ ten płomienny spektakl fascynuje mnie tak mocno, jak przeraża.

– Trzymajcie się, dziewczyny! – krzyczy podekscytowana Kelly w słuchawkach mojego hełmu. – Zaraz wejdziemy w fazę lądowania. Wiecie, jak chłopaki z NASA nazywali tę ostatnią fazę, w czasach gdy wysyłali sprzęt na Marsa, sterując misją z sali kontroli lotów, zanim dali się wykupić Atlasowi? Nazywali ją „siedem minut strachu”! Świetna nazwa dla kolejki górskiej w parku rozrywki, nie? Ale gwarantuję wam, że czegoś takiego w Disneylandzie nie mają! A my jesteśmy pierwszymi ludźmi, którzy to przeżyją, i to z transmisją na żywo! Juhuuuuu!

I wybucha śmiechem.

Jakaś część mnie woła w środku: „Ta dziewczyna jest zdrowo szurnięta”.

Ale inna część mnie zaczyna się śmiać razem z Kelly, szalonym, obłąkańczym śmiechem, który zaklina strach, a marsjański wiatr śmieje się razem z nami. Kapsuła trzęsie się we wszystkie strony jak wagonik na pętli nurkującej.

37 km...

30 km...

23 km...

Nagle bębunki w uszach rozrywa mi straszliwe *bum!* I czuję, jak żołądek podchodzi mi do gardła pod wpływem gwałtownego hamowania.

– Balon naddźwiękowy napompowany! – oznajmia Liz głosem o wiele mniej pewnym niż Kelly.

Języki ognia nie liżą już przedniej szyby, a naszym oczom ukazuje się ziejąca szczelina Valles Marineris, niespełna dwadzieścia kilometrów pod nami. Choć naddźwiękowy balon spowolnił nasze spadanie, i tak nurkujemy z szaloną prędkością. Trudno sobie wyobrazić, że wyjdziemy cało z czegoś takiego!

– No nie, czy ja śnię, czy chłopcy zamierzają nas wyprzedzić? – rozbrzmiewa nagle głos Kelly. – Nie dam się prześcignąć temu macho za dychę!

Że co?

Walcząc z siłą przyspieszenia, która wciąż mnie przygniata, z wielkim

trudem odwracam głowę w lewą stronę.

Są tam. Chłopcy. Czy raczej ich kapsuła, która pruje powietrze kilka kilometrów od nas, jak kula wystrzelona z pistoletu, odrobinę spowolniona przez nadmuchany balon. Choć wydaje się to niemożliwe, Marcus znajduje się wewnątrz tego meteorytu z metalu, ceramiki i ciała.

Straszliwy wrzask odrywa mnie od tego widoku. Patrzę przed siebie. I odkrywam półprzezroczystą powierzchnię, która odgradza nas od Valles Marineris niczym gigantyczna szklana płyta.

– Co to jest!? – krzyczy Kelly, chwytając joystick.

– To... to jest chmura! – krzyczy Fangfang. – Chmura zamrożonego dwutlenku węgla! Prawie niespotykana latem! Co za pech! Rozbijemy się o nią!

– Kelly, otwórz spadochron! – błaga Liz. – Szybko!

Ale Kanadyjka pozostaje nieugięta, z dłońmi zaciśniętymi na joysticku.

– Nie ma mowy, bym wylądowała na tej cholernej chmurze! Nie zamierzam sobie odmrozić tyłka na jakimś fruującym lodzie! Powiedziałam, że dowiozę was do Nowego Edenu, i to właśnie zrobię! Zderzenie za trzydzieści sekund...

KONTRPLAN

**Sala kontroli lotów, baza na przylądku Canaveral,
niedziela 10 grudnia, godz. 19.57**

– To nas zaskoczyło, pani McBee! To jest absolutnie sprzeczne z wszystkimi prognozami pogody! Nie powinno być żadnych chmur nad marsjańskim równikiem, zwłaszcza o tej porze roku!

Inżynier w szarej marynarce programu Genesis trzęsie się przed producentką wykonawczą jak galareta.

Za jego plecami rzędy kobiet i mężczyzn z przerażeniem w oczach stukają nerwowo w klawiatury komputerów. Ekran na ścianie w głębi sali kontroli lotów pokazuje widok z kamery zainstalowanej na pokładzie kapsuły dziewcząt: ścianę lodu, która zbliża się z prędkością błyskawicy.

– Co za nieszczęście! – wykrzykuje Serena McBee, załamując ręce. – Na Marsie, tak samo jak na Ziemi, nie ma już pół roku! Moje biedne dziewczynki padły ofiarą zmian klimatycznych jak niedźwiedzie polarne i atole na Pacyfiku! Co możemy zrobić? Och! Błagam, powiedzcie, co możemy zrobić!

– Nic już nie możemy zrobić – duka inżynier, a w jego oczach błyszczą łzy. – W tej chwili jest już za późno: obrazy docierają do nas z opóźnieniem i według naszych obliczeń musiało już dojść do zderzenia...

Z ust Sereny wydobywa się rozdzierający krzyk:

– Nie!...

Producentka wykonawcza osuwa się w ramiona stojącego za nią Arthura Montgomery'ego.

Wtula twarz w szyję lekarza, tak że wszyscy myślą, że płacze, poza tym, któremu szepcze do ucha:

– A to niespodzianka. Sześć kłód znika spod nóg w jednej chwili dzięki małej zabłąkanej chmurce, czyli połowa roboty wykonana. Jeśli Léonor i pozostałe dziewczyny zginą z powodu tej drobnej, a jakże szczęśliwej anomalii, obiecuję, że już nigdy nie będę narzekać na złą pogodę.

36

PLAN

Start + 160 dni, 6 godz. 27 min
(Dwudziesty trzeci tydzień)

Klatka piersiowa eksploduje.

Szkielet rozpryskuje się na tysiąc kawałków jak rozbita szyba.

Czaszka pęka jak muszelka pod uderzeniem młotka.

Ciemność.

POZA PLANEM

**Times Square, Nowy Jork,
niedziela 10 grudnia, godz. 19.58**

Milion ludzi wstrzymuje oddech.

Milion anonimowych osób, które stoją tu od wczoraj.

Milion pasjonatów, którzy na zmianę albo cieszyli się z pomyślnego lotu Cupido, albo przeżywali chwile niepokoju po zawieszeniu programu, by poczuć ogromną ulgę, gdy transmisja szczęśliwie została wznowiona, i radośnie świętować wybór marsjańskich par.

W tym momencie ogromny plac, który ogarnęły noc i śnieżna zawieja, jest tak cichy, jakby był zupełnie pusty. Sympatycy programu stoją znieruchomiali, jakby ktoś zmienił ich w posągi.

Jedyny ruch zaobserwować można na wielkich ekranach zawieszonych na budynkach.

Podział ekranu.

Po lewej widać zbliżającą się z ogromną prędkością powierzchnię Marsa, czerwoną przestrzenną mapę, na której coraz dokładniej widać ukształtowanie terenu – litery w dole ekranu wskazują: KAMERA Z KAPSUŁY CHŁOPCÓW – 19:58:02

Po prawej widać tylko chaos lodu i ognia, nierealne, abstrakcyjne obrazy, podobne do tych, które tworzą kolorowe szkiełka obracające się w kalejdoskopie – litery w dole ekranu wskazują: KAMERA Z KAPSUŁY DZIEWCZĄT – 19:58:02

19:58:05

Obraz chwieje się gwałtownie w chwili otwarcia spadochronu. Góry i kratery zdają się tańczyć. Następnie wszystko się uspokaja.

19:58:05

Prawą stronę ekranu zalewa biały blask, rozświetlając Times Square niczym słońce w środku dnia.

A potem zapada ciemność.

19:58:25

Ściany kanionu Valles Marineris wznoszą się niczym gigantyczne, wielokilometrowe fale, przyływ czerwonych skał, w którym zanurza się kapsuła.

19:58:25

Czarny ekran.

19:58:56

Gdy piaszczysta powierzchnia Valles Marineris znajduje się w odległości zaledwie kilkuset metrów, nagle rozświecłają ją płomienie: silniki hamujące jeszcze raz spowalniają kapsułę, która schodzi delikatnie w dół, aż obraz się stabilizuje.

19:58:56

Czarny ekran.

PLAN

20 miesiąc / 551 sol / godz. 17.05 czasu marsjańskiego

– Léo?...

– Léo?...

– Léo, słyszysz mnie?

– Kris?... Czy to ty mnie wołasz?

– Léo, oddychasz jeszcze pod tym kaskiem? Czy twoje serce nadal bije pod skafandrem? Och, Léo, na miłość boską, nie mów mi, że umarłaś!

– Gdybym ci to powiedziała, to by znaczyło, że jednak żyję, prawda? – szepczę, otwierając oczy.

Widzę twarz Kris kilka centymetrów od mojej, szyba jej kasku styka się z moim wizjerem. Moja przyjaciółka jest tak zaskoczona, że nie mogę powstrzymać śmiechu. Natychmiast tego żałuję, mam wrażenie, że jakiś stuknięty muzyk gra na moich żebrach jak na ksylofonie.

– Ałaaaa! – mój krzyk bólu odzywa się echem w słuchawkach, powodując sprzężenie zwrotne.

Kris natychmiast odpina mi pasy bezpieczeństwa.

– Bogu niech będą dzięki, żyjesz! – woła zmienionym głosem. – Boli cię?

– Jestem w doskonałej formie. – Krzywię się z zaciśniętymi zębami. – A pozostałe dziewczyny, Kris? Co z resztą?

– Chyba wszystko w porządku. Safia też straciła przytomność, ale ocknęła się chwilę przed tobą.

Biorę głęboki wdech, powoli, bardzo ostrożnie, by uniknąć bólu w klatce piersiowej. Czuję w nozdrzach przenikliwy zapach spalenizny. Poza tym wygląda na to, że nie jest najgorzej. Ostatecznie, chyba niczego sobie nie złamałam. Z całą pewnością ochronił mnie indywidualnie wyprofilowany fotel.

– W porządku, przestało się trząść jak zepsuta pralka – mówię. – Wnioskuje z tego, że kapsuła osiadła. Ale mam pytanie: czy dotarliśmy na miejsce, czy może dryfujemy na lodowej chmurze?

W moim hełmie rozlega się trzask.

– Ani jedno, ani drugie, moja droga – odpowiada głos Kelly. – Rozgromiłam tę chmurę jak kanadyjska drużyna curlingu ekipę Stanów Zjednoczonych na ostatniej olimpiadzie! Problem w tym, że pod wpływem zderzenia zeszyliśmy z kursu i nawet z użyciem spadochronu i silników hamujących nie udało mi się idealnie utrafić w cel...

Wspieram się na ramionach, by się unieść w fotelu, wbrew pełnym niepokoju protestom Kris, która nalega, żebym dalej leżała. Wszystkie dziewczyny są na miejscu, oszołomione, ale żywe, z Louve też wszystko w porządku – ale kapsuła jest wrakiem, z każdej strony zwisają kable, a migające diody wcale nie dodają otuchy.

– Co w tłumaczeniu na nasze oznacza „nie udało mi się idealnie utrafić w cel”? – pytam.

– Pff... to znaczy, że trochę minęłam się z wyznaczonym miejscem lądowania – odpowiada Kelly.

– To oznacza, że wylądowałyśmy co najmniej kilometr od bazy Nowy Eden! – prostuje Fangfang.

– Może wolałabyś, żebyśmy spokojnie osiadły na chmurze dziesięć kilometrów nad bazą? – odparowuje Kelly. – No więc jak zwykle szanowna pani nic nie robi, ale pozwala sobie wszystko krytykować! Ale dosyć tego, Fangfang! Przypominam ci, że jako specjalistka od planetologii powinnaś była nas ostrzec! Powinnaś była przed lądowaniem ostrzec nas, że mogą wystąpić takie anomalie pogodowe!

Fangfang już ma zamiar odpowiedzieć, ale podnoszę się, by przytrzymać ją za ramię – co tam żebra.

– Posłuchajcie, dziewczyny – zaczynam. – Żyjemy. Pokonałyśmy pięćdziesiąt pięć milionów kilometrów, by tu dotrzeć. A więc jeden dodatkowy kilometr chyba nas nie powstrzyma, prawda?

Kiwają głowami.

Patrzemy na siebie oczami załzawionymi z emocji, a równocześnie bliskie wybuchu histerycznego śmiechu. Tak, serio, pięćdziesiąt pięć milionów kilometrów!

– Powiedz, Safio, czy chłopcy wylądowali? – pytam w końcu.

Mała Hinduska naciska kilka guzików na rozbitej tablicy rozdzielczej, ale na próżno.

– System łączności padł – oznajmia. – Nie możemy się skontaktować z chłopcami. Ani z salą kontroli lotów. Działa jedynie połączenie radiowe między naszymi skafandrami.

– Chcesz powiedzieć, że nawet Wielka Siostra *alias* Serena nie może nas w tej chwili zobaczyć? – pyta Kelly nerwowo, wskazując palcem w rękawicze kamerę pokładową.

– Tak, potwierdzam. Wszystko, co tu powiemy, zostanie między nami.

Na te słowa Kelly wydaje z siebie dziki ryk, który wprawia mój hełm w drżenie niczym dzwon bijący na trwogę:

– Co za zdzira! Kosmiczna porąbana świruska! Żadna pieprzona pszczoła strażniczka! Serena jest tylko starym tępym karaluchem, jak te, które zdechły

w siódmym module mieszkalnym. I w dniu, w którym Ziemia się o tym dowie, to będzie tak, jakby rozdeptał ją wielki bucior, wydając przy tym obrzydliwy dźwięk!

Kelly oddycha z ulgą, odpinając swoje pasy bezpieczeństwa.

– Ach! Od razu lepiej! – wzdycha. – Warto było się rozbić, choćby po to, żeby sobie spokojnie pokrzyczeć poza kamerami! Nie krępujcie się, dziewczęta. Trzeba się zwijać, póki jeszcze jasno...

Wskazuje na cyfrowy zegar, który przestawił się automatycznie na czas naszego nowego świata: 20 miesiąc, 551 sol, godzina 17.07.

– ... ile zostało nam czasu do zapadnięcia zmroku?

– Według moich obliczeń jeszcze godzina – natychmiast odpowiada Fangfang, jakby zamiast mózgu miała komputer. – Znajdujemy się w rejonie marsjańskiego równika, gdzie słońce zachodzi o dziewiętnastej, ale zbrocza kanionu przesłonią nam je o wiele wcześniej.

– No to musimy w te pędy zwijać obóz!

Udaje mi się jeszcze chwycić Kelly za ramię, zanim zdoła pociągnąć za dźwignię otwierającą kapsułę.

– Hej! Nie tak szybko! Musisz włączyć moduł podtrzymujący funkcje życiowe poza pojazdem i zwiększyć ciśnienie w skafandrze. Bo jeśli wyjdiesz w ten sposób, to nie tylko ty zwiniesz obóz, ale twoje organy też. Ponieważ, bez ciśnienia panującego w kapsule, które trzyma je na miejscu, rozejdą się we wszystkie strony, a ty wybuchniesz...

Kelly puszcza dźwignię, jakby się sparzyła, i uderza się dłonią w czoło.

– No nie, ale ze mnie blondynka! Włączyć moduł podtrzymujący funkcje życiowe poza pojazdem. Zwiększyć ciśnienie w skafandrze... Muszę sobie przykleić karteczkę z przypomnieniem...

Naciska guzik panelu wszyty w rękaw skafandra, robią to też pozostałe dziewczyny i ja sama.

Słyszę syk w uszach, kiedy mój skafander wypełnia się gazem, by odtworzyć ciśnienie identyczne z tym panującym w kapsule, bliskie ziemskiemu. W rogu wizjera mojego hełmu wyświetlają się wskaźniki funkcji życiowych.

CIŚNIENIE WEWNĘTRZNE: 100%

ZAPAS TLENU: 36 GODZIN

TEMPERATURA OTOCZENIA: 20°C

STAN FIZYCZNY: nie stwierdzono nieprawidłowości

ZEGAR: 20 miesiąc / 551 sol / godz. 17.08

– Wszystko u was w porządku? – pytam, bo w końcu jako specjalistka od medycyny powinnam zadbać, by nie doszło do żadnego nieszczęścia. – Jesteście pewne? Więc myślę, że możemy iść...

Tym razem Kelly przesuwając dźwignię do końca.

Słychać syk, kiedy kapsuła rozhermetyzuje się automatycznie... chrzęst

skomplikowanego zamka w metalowych wnętrznościach... po czym drzwi powoli otwierają się na naszą nową planetę.

Kelly już ma się zanurzyć w ziejącym czerwienią otworze, gdy biały cień przemyka między jej nogami.

– Louve! – woła, próbując złapać psa ubranego w miniaturowy skafander ciśnieniowy i hełm.

Za późno.

Louve jest już na zewnątrz.

– No pięknie! – śmieje się Kelly. – Pierwszy człowiek na Marsie, nie jest człowiekiem!

Następnie wychodzi, a za nią Liz, Safia, Kris i Fangfang. Ja wydostaję się z kokonu kapsuły jako ostatnia.

Moje ciało swobodnie wyslizguje się przez otwór. Mimo skafandra czuję się taka lekka; siła grawitacji na Marsie to zaledwie jedna trzecia tej, jaka panuje na Ziemi, więc ważę tu trzy razy mniej. Moje buty lądują na czymś gumowym: to balon hipersoniczny, naddźwiękowy, z którego zeszło powietrze.

Zeskakuję z niego w kilku susach i nagle moje podeszwy natrafiają na inną powierzchnię, sprężystą i skrzypiącą. Patrzę w dół. I wtedy widzę go po raz pierwszy – to znaczy, widzę go naprawdę, a nie na ekranie w filmie dokumentalnym ani z odległości przez okno statku.

Marsjański piasek.

Jest wszędzie wokół mnie, tak daleko, jak sięga wzrok: bezkresne połączenie czerwonego piasku, poprzecinane falami wydm, jak pofałdowana tkanina, jak draperia z grubego aksamitu, mieniącego się delikatnie w blasku marsjańskiego dnia.

Zaczyna mi się kręcić w głowie. Przytrzymuję się ściany kapsuły za plecami, żeby nie upaść, aż wszystko się uspokaja. Zastyga. Falowanie wydm to tylko złudzenie. One są nieruchome. Tak samo jak purpurowe skały wyłaniające się to tu, to tam. Tak samo jak gigantyczne urwisko zamykające południowe zbocze kanionu Ius Chasma w samym sercu Valles Marineris: wysoka na kilka kilometrów skalna ściana, bez jednego krzewu, bez najmniejszego źdźbła, które mogłoby drzeć na wietrze. Nie ma tu niczego żywego, ruchomego. Są tylko piasek, skały i malutkie słońce, wiszące tuż nad brzegiem urwiska, gotowe skryć się przed naszym wzrokiem.

– Wszystko wygląda tak sucho i martwo... – głos Liz wibruje w moim hełmie, niczym echo moich własnych myśli.

Odwracam głowę w stronę wysokiej Angielki, której smukłe ciało wygląda elegancko nawet w kosmicznym skafandrze.

– Prawdziwa pustynia – dorzuca.

– Ta pustynia wcale nie jest taka sucha, jak się wydaje – tłumaczy Fangfang.

– Wiadomo już, że głęboko pod naszymi stopami od milionów lat znajduje się lód, który stacja podtrzymywania życia wydobywa do nawadniania Nowego Edenu. Ale to nie wszystko. Spójrzcie w górę!

Singapurka wskazuje szczyt urwiska. Wysoko można dostrzec cienkie ciemnoczerwone strużki, jakby skały krwawiły.

– Te ciekły powstają co roku latem, a zimą znikają – wyjaśnia zachwyconym głosem Fangfang. – Naukowcy przypuszczają, że bardzo słone marsjańskie skały skraplają tę niewielką ilość wilgoci, znajdującą się w atmosferze, kiedy podnoszą się temperatury. Aż do dziś była to tylko hipoteza... ale zamierzam ją zweryfikować! Będę mogła w imię nauki przeniknąć wszystkie tajemnice Marsa!

– Jeszcze się tak nie ciesz! – ucina Kelly. – Dopóki nie będziemy bezpieczni, niczego nie przenikniesz. Przede wszystkim, gdzie jest ta cholerna baza?

– Tam! – wykrzykuje Safia.

Drobna Hinduska wskazuje palcem świetlisty kształt opierający się o ścianę kanionu. To wielka szklana kopuła zbudowana z tysięcy szybek błyszczących w zachodzącym słońcu, otoczona siedmioma mniejszymi i ciemniejszymi kopułami.

– Nowy Eden... – mówi poważnie Safia. – W tej szklarni znajdują się uprawy prowadzone przez specjalne roboty rolnicze zrzucone przez wcześniejsze misje... Za tymi szklanymi ścianami rozciąga się nasza nowa ojczyzna, na teraz i na resztę naszego życia...

– Tak, świetnie, ale później będzie czas na wielkie mowy i cytaty godne zapisania w podręcznikach do historii – ucina Kelly. – Na razie nikt nas nie słyszy, więc nie ma co strzepić języka. Nawet jeśli teoretycznie mamy w kombinezonach tlen wystarczający na trzydzieści sześć godzin, to nie wiem jak wy, ale ja i tak sądzę, że im szybciej znajdziemy się w bazie, tym lepiej.

– A wszystkie nasze rzeczy z kapsuły? – pyta Kris klęcząca na piasku, by zapiąć smycz na skafandrze Louve.

– Wrócimy po nie później w łaziku. Nie sądzę, by w międzyczasie ukradli jejacyś włamywacze, jeśli to cię niepokoi. Na Marsie jest tylko jeden gangster, i on jest tam... – Kelly wskazuje drugą kapsułę, która błyszczy nieopodal Nowego Edenu, a dookoła niej poruszają się małe sylwetki w napuchniętych białych skafandrach. – Nie mogę uwierzyć, że ten fajtłapa Mozzie mnie wyprzedził.

Kris patrzy błagalnie na Kelly, później na rozbitą kapsułę i znów na Kelly.

– No dobrze, zostawmy tu wszystko – zgadza się w końcu. – Ale jest coś, co musimy ze sobą zabrać...

– Kris ma rację! – wykrzykuje Fangfang. – Nasze tablety z materiałami do nauki! Nie możemy odejść bez tabletów!

– ... chodziło mi o nasze suknie ślubne. Bo dzisiaj wychodzimy za mąż,

pamiętacie?

Ile czasu potrzeba na Ziemi, by przejść kilometr? Dziesięć minut? Kwadrans?

Mam wrażenie, że na Marsie trwa to całe wieki...

Czy to dlatego, że przy każdym kroku pod moimi podeszwami przetaczają się ziarenka piasku?

Czy dlatego, że przez zmniejszoną grawitację nie potrafię utrzymać równowagi i chwieję się to w przód, to w tył?

Muszę przyznać, że próżniowy pokrowiec, który wyciągnęłam z luku bagażowego kapsuły, mi nie pomaga. Jest w nim suknia ślubna, która leżała zamknięta w nim od początku podróży; nie jest wcale ciężka, zwłaszcza przy tej grawitacji, ale nawet złożona strasznie mi zawadza. Gdybym wiedziała, że będę ją niosła, poprosiłabym ludzi z Rosiera o trochę krótszy tren...

Ponieważ wciąż upadam i wstaję, w skafandrze zrobiło mi się gorąco jak w piecu. Przyznaję, że przez chwilę bałam się nawet, że mam jakieś zaburzenia psychoruchowe na skutek gwałtownego lądowania i nie jestem w stanie koordynować pracy nóg...

Widząc, że reszta nie radzi sobie lepiej ode mnie, a ich pokrowce też płaczą im się między nogami, nieco się uspokajam. Na nic się zdają wszystkie treningi na bieżni w Cupido, rzeczywistość nie ma nic wspólnego z bezpiecznym środowiskiem na pokładzie statku. Wynik: co kilka metrów padamy na ziemię, wzbijając czerwoną chmurę pyłu, który pięknie opalizuje w świetle marsjańskiego dnia. Przekleństwa, które Kelly wyrzuca z siebie z szybkością karabinu maszynowego, są znacznie mniej urocze.

– Spójrz na mnie, zamiast kłać jak szewc – mówi do niej Fangfang. – Chyba coś wymyśliłam.

Pochylając się lekko do przodu, Singapurka zaczyna skakać z jednej nogi na drugą, unosząc się przez dwie sekundy między każdym „krokiem”. Wygląda to dosyć dziwnie, onirycznie, trochę jak w tych filmach kung-fu, w których walczący wydają się zawieszani na niewidzialnych nitkach; to jest doprawdy przekonujące, Fangfang pokonuje trzydzieści metrów w kilku susach i ani razu się nie przewraca.

– Ten świat nie ma nic wspólnego z tym, który opuściłyśmy – wyjaśnia nam przez radio. – Tutaj musimy wymyślić wszystko na nowo, nawet sposób wykonywania najprostszycy czynności, na przykład przemieszczania się. Tak dużo uczyłam się o warunkach panujących na Marsie z książek, że mój mózg pełen jest cyfr, danych, statystyk. A teraz przechodzimy do ćwiczeń praktycznych. Moje ciało musi się do tego wszystkiego przyzwyczaić, wasze także.

Fangfang powtarza swoją małą prezentację, komentując ruchy, które wykonuje.

– Siły pionowe utrzymujące nas na powierzchni są znacznie zmniejszone.

Tym samym długość i czas trwania kroków się zwiększają, dwa razy dłużej unosimy się w górze bez kontaktu z podłożem. Próbując z tym walczyć, skazujecie się na pewną klęskę. No, teraz wy, spróbujcie!

Staramy się, jedna po drugiej, naśladować ruchy Fangfang, z mniejszym lub większym powodzeniem.

Kris ma z tym najwięcej problemów. Zawsze była dość niezdarna i nie przyzwyczała się do stanu nieważkości, nawet po pięciu miesiącach na pokładzie Cupido.

– Nie rozumiem – mówi, chwiejąc się w swych wielkich butach. – Trzeba skakać czy biegać?

– Ani jedno, ani drugie – odpowiada Fangfang. – Czy raczej jedno i drugie naraz. Nie znajduję słów. Nie wiem, jak to wyjaśnić...

– Ja wiem! – woła Liz. – Trzeba skabiegać!

– Ska-co?

– Skabiegać!

Angielka, która kontroluje swoje ciało lepiej niż ktokolwiek inny, wykonuje kilka eleganckich skoków.

– To nowe słowo, które właśnie utworzyłam – odpowiada. – Skakać i biegać jednocześnie: skabiegać! Czy jest coś lepszego dla tancerki, niż wymyślić nazwę nowego kroku?

I tak ruszamy w drogę do Nowego Edenu: skabiegnąc z każdym kolejnym krokiem z coraz większą wprawą. Temperatura w moim skafandrze znów staje się znośna. Udaje mi się też jakoś poradzić sobie z pokrowcem z suknią, który wciskam pod pachę. Nawet Kris zaczyna sobie nieźle radzić, a Louve, którą trzyma na smyczy, porusza się w podobny sposób, tylko że na czterech łapach.

W połowie drogi staje się oczywiste, że chłopcy wyszli nam na spotkanie, z trudem zbliżając się ku nam.

– Mają fatalną technikę – drwi Kelly. – Widać, że nie potrafią skabiegać! Powiedz, Léo, twój Marcus ich nie nauczył? Przysypiał na zajęciach z planetologii?

Może sobie żartować, ale i tak słychać napięcie w jej głosie. I jest to zupełnie zrozumiałe.

Ja też z trudem panuję nad nerwami.

Po pięciu miesiącach krótkich, wyliczonych co do sekundy randek, nadziei i frustracji, w końcu naprawdę spotkamy tych, których wybrałyśmy.

Są tam, w tych wielkich białych kombinezonach, które odznaczają się na tle czerwonego krajobrazu Marsa, za tymi niemymi i nieprzeniknionymi hełmami, w których odbijają się promienie odległego słońca. Który to który? Gdzie jest Marcus? Trudno zgadnąć. Widzę pierwszego... drugiego... trzeciego... czwartego... piątego...

Szóstego brak. To z pewnością Tao, który ze względu na swoją

niepełnosprawność musiał zostać z tyłu.

Tak bardzo chciałabym usłyszeć ich głosy. Porozmawiać z nimi. Ale przekaz radiowy działa tylko między nami. Łączność z chłopcami padła. Nie pozostaje mi więc nic innego, jak tylko machać rękami, jak pozostałe dziewczyny, i skakać jeszcze wyżej, i biec jeszcze szybciej – prosto do nich!

KANAL GENESIS

Niedziela, 10 grudnia, godz. 20.33

Obraz drży, jak z kamery trzymanej w ręce.

Ale ta kamera nie znajduje się w niczyjej dłoni – jest przytwierdzona do kasku jednego z uczestników, o czym informuje napis u dołu ekranu:

OBRAZ Z PUNKTU WIDZENIA UCZESTNIKA NR 1 – KENJIEGO.

Czerwona powierzchnia Marsa oddala się po każdym kroku, a później znów pojawia w kadrze, niczym morze w czasie przyływu. Czasami chmury pyłu przesłaniają ekran (kiedy Kenji się potyka), a innym razem niebo przykrywa chmura ziaren piasku, tak lekkich jak pyłek (kiedy chłopak upada).

W głębi kadru widać sześć dziewcząt w skafandrach i biegnącą przy nich Louve.

Kenji (głos z offu zniekształcony przez przekaźnik radiowy): Dziewczyny nie mają problemów z przemieszczaniem się, są o wiele zdolniejsze od nas.

Na pierwszym planie chłopak, który idzie przed Kenjim, odwraca się w jego stronę: w bańce hełmu ukazuje się twarz Mozarta; mokre od potu brązowe loki przyklejają się do przyciemnianej szyby mającej chronić przed promieniami UV.

Mozart: O wiele zdolniejsze?... Przypominam ci jednak, że twoja mistrzyni pilotażu rozbiła kapsułę z koleżankami ponad kilometr od Nowego Edenu, podczas gdy ja mistrzowsko wysadziłem was pod samymi drzwiami.

Kenji (próbując się bronić): To niesprawiedliwe. Kelly świetnie wybrnęła z sytuacji. Nie poradziłybyś sobie lepiej, gdyby nagle wyrosła ci przed oczami lodowa chmura...

W kadrze pojawia się nagle trzeci uczestnik: stalowoniebieskie oczy Aleksieja błyszczą zza wizjera hełmu.

Aleksiej: No dobra, skończyliście się już kłócić? Chcecie, żeby dziewczyny wzięły nas za smarkaczy? Ja wolałbym, żeby widziały w nas swoich bohaterów przybywających im na ratunek. Spróbujcie więc zachowywać się jak mężczyźni, jak prawdziwi mężczyźni!

Mozart (wzrusza ramionami pod skafandrem, mamrocząc po portugalsku): *Pobre bastardo de merda...*

Aleksiej: Co powiedziałaś?

Mozart: Ja? Nic, tylko sobie kichnąłem...

Nagle w słuchawkach rozbrzmiewa poważny, nieco zachrypnięty głos Marcusa.

Marcus: A gdybyśmy tak wszyscy włączyli tryb czuwania, co chłopaki? Przez całą podróż nie przestawaliśmy gadać, snuć planów. A teraz, kiedy już tu jesteśmy, może najlepiej byłoby cieszyć się chwilą? Tak długo na to czekaliśmy. Bo wiecie, najlepsze rzeczy zdarzają się w życiu tylko raz, dlatego trzeba się nimi delectować.

Chłopcy posuwają się naprzód.

Obraz z kamery wciąż drży.

Sylwetki dziewcząt stają się coraz większe.

Słysząc już tylko oddechy chłopców – a jeśli dobrze nastawić ucha, także bicie ich rozgorączkowanych serc, wychwytywane przez system radiowy łączący sześć skafandrów.

40

PLAN

20 miesiąc / 551 sol / godz. 17.35 czasu marsjańskiego

I już...

Zdaje mi się, że mogę dostrzec twarze za wizjerami hełmów... Nieuchwytnie spojrzenie Kenjiego i zdecydowane Aleksieja... Karmelową skórę Mozarta i czarną jak heban skórę Samsona...

To dziwne, zdaje się, że ten ostatni wykonuje jakieś gesty dłońmi w rękawicach. Tak, to właśnie robi, rysuje w próżni jakieś kształty, tak samo jak kilka godzin temu z Safią w Kuli Spotkań w czasie głosowania. Instynktownie odwracam głowę w stronę małej Hinduski. Ona także posługuje się tym tajemniczym systemem znaków, który pozwala im na komunikację pomimo zerwanej łączności. O czym oni rozmawiają...?

Odwracam się znów do Samsona i tym razem napotykam szare spojrzenie Marcusa, piętnaście metrów przede mną – i w jednej chwili nic poza tym już się nie liczy!

Przy każdym kroku moje ciało wzlatuje do góry, ale nie czuję już nóg ani rąk, nie przeszkadza mi pokrowiec z suknią. Jakbym działała na autopilocie. Czy raczej, jakbym nagle stała się obserwatorką sceny rozgrywającej się na moich oczach.

Tak.

To jest właśnie to.

Jakbym była jednym z miliardów widzów kanału Genesis.

Przecież to niemożliwe, ja, zwykła robotnica, miałabym stąpać teraz po marsjańskim piasku, pięćdziesiąt pięć milionów kilometrów od fabryki Eden Food.

To niemożliwe, by dziewczyna, która nie wierzyła w miłość, szukała teraz swego odbicia w oczach takiego faceta jak Marcus, i nie mogła sobie wyobrazić, że...

Zderzenie naszych ciał przywraca mnie do rzeczywistości.

Wcale nie dlatego, że było gwałtowne, wręcz przeciwnie – za sprawą marsjańskiej grawitacji zetknęliśmy się bardzo delikatnie – wpadam na Marcusa łagodnie niczym motyl siadający na kwiatku, niczym pocałunek złożony na policzku.

Z moich ust wydobywa się jego imię, tak jakbym chciała przekonać samą siebie, że to naprawdę on:

– Marcus...

KANAL GENESIS

Niedziela 10 grudnia, godz. 20.36

Twarz Léonor w dużym zbliżeniu, cudowna eksplozja piegów, pośród której otwiera się dwoje ogromnych złotych oczu. Napisy u dołu ekranu: OBRAZ Z PUNKTU WIDZENIA UCZESTNIKA NR 6 – MARCUSA.

Léonor rozchyła usta, wypowiadając słowo, którego nie słyhać. Wspaniałe rude loki, które wymknęły się spod gumki, wiją się po wypukłej szybie wizjera.

Wydaje się, że kamera przybliża obraz, ale to tylko złudzenie – w rzeczywistości to Marcus się przesuwa, aż jego hełm uderza w hełm Léonor i nie może już podejść bliżej, nawet o milimetr.

Marcus (na jednym oddechu): Léonor...

PLAN

20 miesiąc / 551 sol / godz. 17.36 czasu marsjańskiego

On nie może mnie usłyszeć.

Ja nie mogę usłyszeć jego.

Ale mogę przeczytać moje imię z ruchu jego warg!

„Léonor”.

„Léonor”.

„Mój czerwony olbrzymie!”

Olbrzymie? Czuję się taka maleńka, mimo pogrubiającego mnie skafandra, kiedy Marcus obejmuje mnie swymi ramionami.

Od sierocińca, przez hotel robotniczy, po pokój na obozie szkoleniowym Genesis, w żadnym z tych miejsc nigdy nie czułam się jak w domu.

Dziś, w objęciach tego chłopaka, wreszcie rozumiem, co to znaczy.

KANAL GENESIS

Niedziela 10 grudnia, godz. 20.50

Szeroki kadr. Rozległa czerwona dolina, ogrodzona od wschodu gigantycznym klifem, za którym chowa się słońce.

Napisy: WIDOK NA ZACHODNIĄ STRONĘ IUS CHASMA, KAMERA ZEWNĘTRZNA, OGRÓD NOWEGO EDENU / GODZ. 17.50 CZASU MARSJAŃSKIEGO.

Na pierwszym planie lśnią Gniazda Miłości Nowego Edenu, których czarne błyszczące panele słoneczne odbijają ostatnie promienie słońca.

W oddali widać zbliżające się białe sylwetki i ich wydłużające się w nieskończoność cienie w dolinie zasypanej pyłem w kolorze krwi. Pięć par trzyma się za ręce; jedenasta postać zdąża na czele: to Fangfang, która biegnie do bazy ogromnymi susami, a czarny pokrowiec łopocze za nią niczym skrzydła kruka.

Kamera umieszczona na szczycie głównej kopuły obraca się wokół własnej osi, ukazując szklane szybki, które pokrywają szklarnię, a po chwili wykonuje najazd na wejście do bazy.

Na ziemi siedzi Tao, nieruchomo, jego biały skafander przysypuje czerwony pył. Chłopak wygląda jak przewrócony antyczny posąg z marmuru. Obok leży Warden, podobny do sfinksa, a jego mały hełm zwraca się w stronę zamglonego pyłem horyzontu. Za nimi stoi metalowy cylinder, którego jeden koniec łączy się ze szklarnią: to śluza powietrzna prowadząca do ogrodu Nowego Edenu.

Fangfang dołącza do Tao i pomaga mu wstać. Ale chociaż jest wysportowana, a przy marsjańskiej grawitacji ciężar ludzi i rzeczy jest trzykrotnie mniejszy niż na Ziemi, i tak nie udaje jej się go podnieść i zamiast tego upada obok niego.

Kamera wykonuje zbliżenie, kiedy pozostali astronauta docierają do leżącej na piasku pary.

Wtedy Tao opiera się dłońmi w rękawicach na marsjańskim gruncie.

Dzięki sile umięśnionych ramion wyćwiczonych na cyrkowych linach odrywa swoje potężne ciało od piasków Marsa.

Z kolosa o połamanych nogach zmienia się w mitycznego stwora – z rękami zamiast nóg i nogami pełniącymi funkcję skrzydeł.

I właśnie tak, idąc na rękach, pokonuje razem z Fangfang ostatnie metry, jakie dzielą ich od śluzy wejściowej do Nowego Edenu.

Cięcie.

PRZERWA REKLAMOWA

Przejdźcie od czarnego tła do obrazu stadionu lekkoatletycznego, wokół którego ile tylko tchu biegną sportowcy. Słyszać muzykę rockową. Zbliżenie kamery pozwala dostrzec wykrzywione z wysiłku twarze.

Poważny męski głos komentuje z offu: *Sprawność to nie znaczy biec jak najszybciej...*

Kamera zjeżdża tuż nad bieżnię, kiedy biegacze potykają się i padają jeden po drugim na pomarańczową nawierzchnię. Zdajemy sobie sprawę, że wykorzystali całą swoją energię i nie mają już siły zrobić ani kroku więcej.

Głos z offu: *Sprawność to nie znaczy zużyć jak najwięcej energii...*

Nagle na ekranie pojawia się Tao w swoim sportowym wózku inwalidzkim, tym samym kompaktowym składanym modelu, którym posługiwał się na pokładzie Cupido. To jedyny niepełnosprawny sportowiec biorący udział w tym wyścigu. Koszulka z logo jego sponsora *platinum*, producenta samochodów Huoma, jest przepocona. Twarz, z żyłami występującymi na skroniach, jest pełna determinacji. To twarz zwycięzcy. Silnymi umięśnionymi rękami chłopak popycha bez wytchnienia koła wózka, wyprzedzając biegaczy, którzy wleką się jeszcze po bieżni – aż jako pierwszy przekracza linię mety. Muzyka osiąga punkt kulminacyjny, przepełniona brzmieniem gitary elektrycznej.

Głos z offu: *Sprawność to znaczy dotrzeć jak najdalej.*

Dzięki efektom specjalnym wózek inwalidzki zmienia się w kabriolet z Tao siedzącym za kierownicą.

Głos z offu: *Wybór Tao, aby dotrzeć aż na Marsa – nowa seria Mars Crusader, z silnikiem elektrycznym o wysokiej wytrzymałości, tysiąc kilometrów bez doładowania. Sprawność to Huoma!*

Podpis na ekranie:

HUOMA

Sprawność w czystej postaci

Cięcie.

PLAN

20 miesiąc / 551 sol / godz. 17.58 czasu marsjańskiego

– Naprawdę, to najbardziej szalony dzień pierwszych razów w historii! Pierwszym człowiekiem chodzącym po Marsie wcale nie był człowiek, ale suczka, a pierwszy odcisk stopy na ziemi Nowego Edenu to tak naprawdę odcisk dłoni. Aż strach pomyśleć, jak będzie wyglądał pierwszy marsjański pocałunek...

Kelly może sobie żartować, dopóki mamy na głowach hełmy, słyszymy ją tylko my, dziewczyny.

Poruszając się na rękach, Tao wszedł przed nami do śluzy: metalowego korytarza o średnicy dwóch i długości pięciu metrów, na którego końcu znajdują się okrągłe drzwi broniące dostępu do ogrodu Nowego Edenu.

Za Tao podąża Fangfang, a później wszystkie pary z próżniowymi pokrowcami i psy.

Kiedy nadchodzi nasza kolej, moja i Marcusa, by przekroczyć metalowy próg, czuję, że serce zaczyna mi szybciej bić. Już za chwilę zdejmę hełm i skafander. Już za kilka sekund dotknę go naprawdę.

Kiedy już wszyscy dwanaścioro znajdujemy się w śluzie, Aleksiej naciska duży świecący na czerwono przycisk z napisem WYRÓWNANIE CIŚNIENIA. W tej samej chwili za naszymi plecami okrągłe metalowe drzwi, identyczne jak te, które mamy przed sobą, zasuwiają się hermetycznie, zamykając nas w metalowej rurze. Purpurowy blask marsjańskiego zachodu słońca znika, zastępuje go białe światło jarzeniówek. Manometr wiszący na ścianie tuż nad przyciskiem pokazuje wzrost ciśnienia, w miarę jak śluza napełnia się powietrzem, by odtworzyć warunki panujące w naszych skafandrach i w ogrodzie.

WYRÓWNANIE CIŚNIENIA 10%

WYRÓWNANIE CIŚNIENIA 20%

WYRÓWNANIE CIŚNIENIA 30%

– Pamiętajcie, by nigdy nie zdejmować skafandra przed końcem wyrównywania ciśnienia, dziewczyny – przypominam, by dopełnić obowiązku specjalistki w dziedzinie medycyny (i trochę po to, by się uspokoić). – Po pierwsze dlatego, że grozi to chorobą dekompresyjną, jak u nurka, który zbyt szybko wynurzył się na powierzchnię. A po drugie dlatego, że oberwałybyście potężnym podmuchem wiatru.

Wskazuję palcem liczne otwory wentylacyjne w podłodze śluzy. Tworzą się przy nich coraz większe czerwone wiry, to piach i pył, który wnieśliśmy tu z sobą.

– Specjalny system ssący został stworzony po to, by wychwytywać sto procent marsjańskich cząsteczek, które mogą być żrące i mają tendencję do przyklejania się do butów i do skafandrów – wyjaśniam. – Ostatnia osoba opuszczająca służbę musi włączyć procedurę usuwania: moduł zamknie się za nią, by następnie wyrzucić te cząsteczki do marsjańskiej atmosfery, aby nie zanieczyściły ogrodu.

WYRÓWNANIE CIŚNIENIA 70%

WYRÓWNANIE CIŚNIENIA 80%

WYRÓWNANIE CIŚNIENIA 90%

Gdy wskaźnik osiąga sto procent, przycisk wyrównywania ciśnienia zmienia kolor na zielony.

Kliknięcie wprawia moje buty w drżenie i drzwi naprzeciwko otwierają się, ukazując bujną roślinność. Od krawędzi kopuły aż do jej szczytu wznoszą się ku górze koncentryczne kręgi tarasów, oświetlone podwieszonymi na suficie ogromnymi reflektorami, których blask kompensuje gasnące światło dnia. Wokół każdego piętra biegną szyny, po których poruszają się mechaniczne ramiona. Te bezgłowe roboty rolnicze są wyposażone w sekatory albo węże ogrodnicze podłączone do źródła wody stacji podtrzymywania życia, gdzie nieustannie topi się lód znajdujący się w marsjańskim gruncie. Roboty pracują na plantacjach, które zasiano i które wykiełkowały i urosły, kiedy nas tu jeszcze nie było i żadna ludzka ręka nie przyczyniła się do powstania tego cudu. Na szczycie tej ogrodniczej piramidy rośnie dumnie mały gaj drzewek. Ogród jest oazą życia pośród marsjańskiej pustyni śmierci. Schronieniem najeżonym kamerami, których czarne oczy wyzierają zza każdej plantacji, niczym przyczajone zwierzęta ukryte w cieniu zarośli.

– Wow! – wykrzykuje Safia, upuszczając swój pokrowiec na ziemię. – Jak tu pięknie!

– To jest jak sen – szepcze zdumiona Liz.

– Widziałas to, Louve: drzewa! – mówi Kris, ciągnąc smycz psa z jednej strony i ściskając dłoń Aleksieja z drugiej.

– Wreszcie! Zaczynałam się już dusić pod tym... – zaczyna Kelly.

Dalsze słowa do mnie nie docierają – zdjęła już swój hełm, przerywając w ten sposób łączność radiową z naszymi skafandrami. Kręci głową, potrząsając blond włosami, a pozostałe dziewczyny po kolei zdejmują hełmy.

Ponieważ opuszczam służbę jako ostatnia, zgodnie z protokołem naciskam guzik uruchamiający procedurę usuwania odpadów.

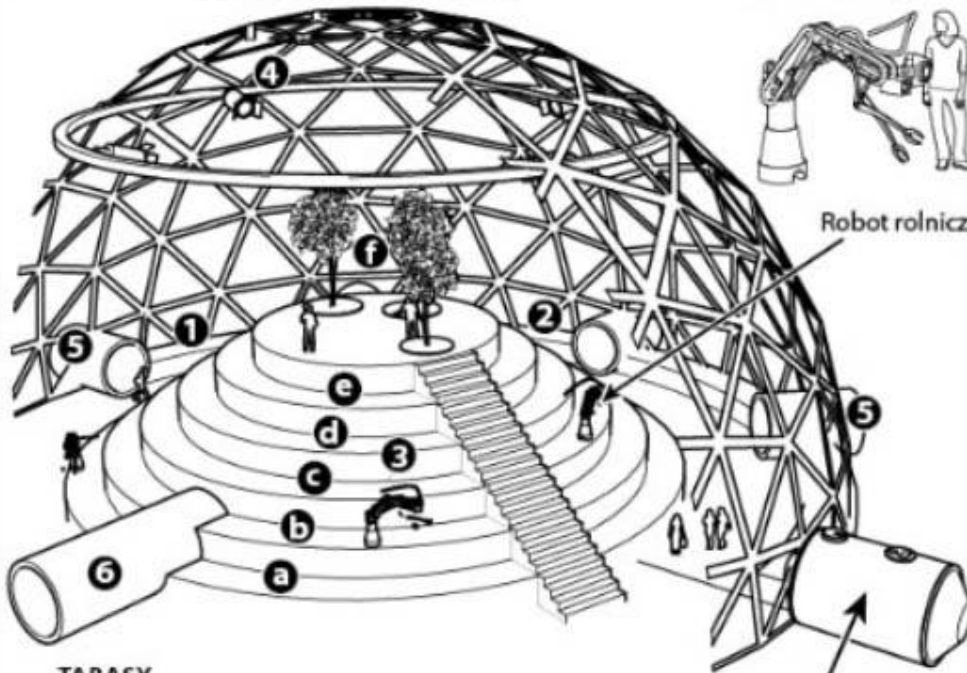
NOWY EDEN /

ogród

40 m (powierzchnia 1250 m²)



Robot rolniczy



TARASY

- a** Owies
- b** Ziemniaki
- c** Soja
- d** Marchew
- e** Truskawki
- f** Jabłka

INNE OBIEKTY

- 1** Drzewa morwowe
- 2** Sałata
- 3** Roboty rolnicze
- 4** Sztuczne oświetlenie
- 5** Segmenty łączące z Gniazdami Miłości
- 6** Wejście do schronu (ambulatorium, drukarka 3D)

Drzwi wewnętrzne
(prowadzące do ogrodu)

Śluza powietrzna

Otwory wentylacyjne
w podłodze śluzy

Drzwi zewnętrzne
(prowadzące na powierzchnię Marsa)



Następnie sama odkładam pokrowiec, zdejmuję rękawice, chwytam brzeg hełmu, robię ostatni wydech, odkręcając hełm...

Kiedy znów biorę oddech, wciągam w płuca powietrze Nowego Edenu przesycone zapachem, który mój nos zdążył już zapomnieć przez pięć miesięcy podróży, zapachem chlorofilu. Ale nie tylko. Jest też inny zapach, którego nigdy jeszcze nie czułam. To zapach Marcusa.

On stoi tu przede mną. Także zdjął już swój hełm. Bez dzielącej nas szklanej ściany w Kuli Spotkań czy szyby wizjera, wydaje mi się jeszcze... prawdziwszy. Tak jakbym stanęła przed aktorem filmowym, który nagle zszedł z ekranu i pojawił się w realnym życiu. Wcześniej miałam jedynie obraz i dźwięk; teraz mam całą resztę.

Dostrzegam aksamitną fakturę jego skóry, na której perlą się kropelki potu... Mierzę wzrokiem gęstość jego ciemnokasztanowych włosów błyszczących od potu... Czuję pieszczotę jego ciepłego oddechu na moim czole... I wdycham jego zapach: pachnie rozgrzaną w słońcu korą drzew, młodą paprocią, życiem fauny, które budzi się wiosną w leśnym runie. A więc to jest zapach Marcusa! To zapach jego zachrypniętego głosu, jego szarych oczu, lasu tatuażu porastającego jego skórę – nie mogłabym wyobrazić go sobie inaczej.

– Jak dobrze móc oddychać i znów słyszeć prawdziwe brzmienie swego głosu – mówię. – Miałam wrażenie, że w tym hełmie wypowiadam słowa przez nos jak kaczka!

(Banał, żeby oswoić napięcie, żeby nie powiedzieć, że dobrze jest móc wdychać jego zapach i że tylko to się liczy).

Na twarzy Marcusa pojawia się półuśmiech – jak w czasie naszego pierwszego spotkania w Kuli, kiedy uznałam to za drwinę i strasznie się wkurzyłam. Teraz już wiem, że to uśmiech wzruszenia, przypominający kwiat, który otwiera swe płatki, ptaka, który rozpościera skrzydła, szykując się do lotu. I ten uśmiech sprawia, że uginają się pode mną nogi.

– Przepraszam – tłumaczy się. – Po tym lądowaniu i nieprzewidzianej przebieżce w skafandrze działającym niczym sauna muszę pachnieć jak dziki zwierz...

– Prawda.

– Aj! Ale w ustach leopardzicy to niekoniecznie musi być zarzut?

– Też prawda.

Jego uśmiech się rozszerza. Otwiera usta, by powiedzieć coś jeszcze.

Jednak zamiast słów Marcusa słyszę nagle głos, którego nienawidzę najbardziej na świecie. Ten dźwięk brutalnie przerywa szaleństwo moich zmysłów:

– *Moje najdroższe! Całe i zdrowe!*

Marcus i ja jednocześnie podnosimy głowy.

I naszym oczom ukazuje się koszmarny widok. Na wysokości

kilkudziesięciu metrów, wyświetlona na wewnętrznej stronie szybek, z których zbudowana jest kopuła szklarni, rozpościera się gigantyczna twarz Sereny McBee. Jej oczy są wielkie niczym dwie błękitnozielone sadzawki; srebrzyste włosy wznoszą się ku niebu niczym metaliczna mgła; umalowane usta są tak ogromne, że mogłyby połknąć całą naszą dwunastkę naraz.

– *Tak się bałam!* – wykrzykuje, a jej głos dobiega ze wszystkich stron, jakbyśmy oglądali horror w kinie z Dolby Surround. – *Wszyscy bardzo się baliśmy! Kiedy zobaczyliśmy, jak przed kapsułą dziewcząt wylania się ta lodowa chmura, serca trzech miliardów widzów przestały bić! Nie mówiąc o moim! Ojej! Na samą myśl o tym przechodzi mnie dreszcz!*

Serena mruga rzęsami długimi jak liny oblepione grubą warstwą tuszu, którego grudki tworzą na nich jakby węzły.

– *Wygląda jednak na to, że Bóg czuwa nad aniołami kosmosu!* – ciągnie. – *Oto dotarliście wszyscy do bezpiecznego portu. Cóż to za cudowny widok: sześciu nowych Adamów i sześć nowych Ew w tym nowym ogrodzie Edenu! To ziszczenie wszystkich moich wysiłków od początku programu. Ba, to spełnienie największych marzeń całego mojego życia...*

Fałszywe deklaracje Sereny przerywa nagle rozdzierający krzyk:

– Louve, nie!

To Kris. Klęczy na aluminiowej podłodze, a z jej dłoni zwisa pusty skafander Louve, niczym martwa skóra. Kilka kroków dalej Samson przytrzymuje głośno ujadającego Wardena. W mgnieniu oka pojmuję, co się stało: gdy tylko zdjęto Louve hełm, przestraszona na widok psa chłopców wydostała się ze skafandra i uciekła. W tej chwili pędzi z brzuchem przy ziemi prosto na mnie i na Marcusa.

Schylam się instynktownie, by ją złapać, ale skafander spowalnia moje ruchy. Louve przeciska się między moimi nogami i wpada do śluzy powietrznej, której wewnętrzne drzwi zaczynają się już zamykać, w przygotowaniu do procedury usuwania odpadów. Nad metalową ramą wyświetla się komunikat i odliczanie wsteczne:

USUWANIE ODPADÓW ZA: 30 SEKUND

29 SEKUND...

28 SEKUND...

– Louve!

Nie zważając na to, że nie mam już na głowie hełmu, rzucam się do wpółotwartej śluzy w pogoni za psem, słysząc za sobą wrzaski uczestników i szczekanie Wardena.

– Louve! Chodź tutaj!

Sparaliżowana strachem suczka siedzi zwinięta w kłębek przy drugich drzwiach śluzy: tych, które otworzą się zaraz po zamknięciu drzwi wewnętrznych,

by wyrzucić do marsjańskiej atmosfery przyniesiony piasek i pył – i przy okazji nas! Zanurzam palce w jej zmierzwionej sierści. Odrywam suczkę od podłogi i odwracam się, by jak najszybciej wrócić do ogrodu, którego drzwi są już w dwóch trzecich zamknięte.

Ale w tej samej chwili czuję ostry ból przeszywający rękę.

Spuszczam wzrok: widzę szczękę Louve zamykającą się na mojej dłoni: moja krew barwi na czerwono jej biały pysk pod przerażonymi czarnymi ślepiami.

Wypuszczam ją z rąk.

Plącze mi się między nogami, chwieję się, próbując odzyskać równowagę, ale słaba grawitacja sprawia, że moje ruchy są strasznie niezdarne i padam jak długa na metalową podłogę.

Kiedy podnoszę głowę, otwór między śluzą a ogrodem dwa metry ode mnie jest już tylko szparą, za którą dostrzegam spanikowane twarze uczestników programu, a za nimi, na wielkim ekranie kopuły nieprzeniknione oblicze Sereny McBee.

KONTRPLAN

**Schron przeciwiatomowy, baza na przylądku Canaveral,
niedziela 10 grudnia, godz. 21.04**

– O nie! To straszne! Za kilka sekund, kiedy zamkną się wewnętrzne drzwi, a otworzą zewnętrzne, Léonor i Louve zostaną wyrzucone na marsjańską pustynię niczym odpady!

Serena McBee siedzi skulona w swym czarnym skórzanym fotelu z twarzą zwróconą w stronę kamery w bunkrze, a jej oczy błyszczą.

Cyfrowa ściana naprzeciw niej pokazuje widok z kamery w służbie powietrznej.

Léonor leży na metalowej podłodze z zakrwawioną ręką. Drzwi do ogrodu za chwilę się zamkną.

– Bez ochrony hełmów, wystawione na działanie marsjańskiej atmosfery ich gałki oczne wyskoczą z oczodołów...! – jęczy Serena.

Ścisła pod stołem dłoń Arthura Montgomery’ego, który siedzi obok, poza zasięgiem kamery.

– Ich organy eksplodują!... Skóra się rozedrze!... Nie wspominając już, że w tym samym czasie zamarzną i się uduszą...! I nic nie możemy zrobić, by temu zapobiec, ani ja tutaj, ani inżynierowie w sali kontroli lotów, ani nawet uczestnicy, którzy nie...

Serena milknie w połowie zdania.

Marcus wyskoczył z ogrodu i wcisnął się w otwór w drzwiach. Widać połowę jego ciała w służbie, policzek przyciśnięty do framugi, rękę wyciągniętą w stronę Léonor. Brzeg metalowych drzwi zgniata mu pierś, ledwie chronioną przez grubą sztywny skafander.

– Co za głu...! Co za odwaga! – cedzi Serena przez zaciśnięte wargi.

Pod stołem jej paznokcie wbijają się w dłoń Arthura Montgomery’ego.

– Ryzykować życie, by ratować ukochaną! Ale obawiam się, że odwaga nie wystarczy w zderzeniu z nieugiętym mechanizmem, zaprogramowanym, by za wszelką cenę zamknąć się i ochronić ogród w chwili usuwania odpadów...

Na cyfrowej ścianie drzwi wciąż się zamykają.

Skafander Marcusa odkształca się z sekundy na sekundę, jak pusta puszka zgnieciona obcasem.

– ... cóż może poradzić krucha skorupa skafandra wobec dźwigni i podnośników sterujących drzwiami w bazie, zbudowanymi ze stopu

aluminiowo-litowego wytrzymującego każdy nacisk...

Z grymasem przerażenia na twarzy Léonor podnosi się z podłogi.

Rzuca się w stronę Marcusa, ale zamiast chwycić jego wyciągniętą dłoń, zaczyna z całych sił naciskać na jego bok, by przepchać jego ciało na stronę ogrodu – stronę życia.

– Marcus! – krzyczy. – Marcus!

Ale nie udaje jej się przesunąć go ani o centymetr.

Skafander pęka mu na piersi.

Polimerowe włókna unoszą się.

Poszczególne warstwy izolacyjne skafandra ukazują się jak w przekroju naskórka: biały nylon jak więzadła, niebieski elastan niczym nerwy, czerwona lycra jak tętnice.

– Marcus!

– Tędy... możesz jeszcze... przejść...

Marcus jest całkowicie unieruchomiony przez nacisk przygniatających go drzwi, nie jest w stanie wykonać najmniejszego gestu. Może poruszać tylko oczami. Wskazuje na swoje czoło, w kierunku szczeliny pozostającej nad jego głową, między drzwiami i framugą – to zaledwie czterdzieści centymetrów, szerokość jego ściśniętego ciała i plecaka z modulem podtrzymującym funkcje życiowe poza statkiem, który ma na plecach.

– Wespnij się po mnie... – cedzi. – Wejdz po mnie jak po schodach... i przejdź do ogrodu... No już...

– A ty? Nie mogę pozwolić, byś został zmiażdżony! – krzyczy Léonor. – Spróbuj się wydostać!

Oddech Marcusa staje się świszczący. Jego twarz coraz bardziej blednie. Uśmiecha się słabo.

– Przykro mi... utknąłem... nie mogę pójść za tobą... Wygląda na to, że mam dziś randkę ze śmiercią... a ona nie lubi, gdy wystawia się ją do wiatru...

PLAN

20 miesiąc / 551 sol / godz. 18.04 czasu marsjańskiego

– Marcus, ostrzegam cię! Nie waż się umierać! Jeśli wystawisz mnie do wiatru, to przysięgam, że cię zabiję!

Krzyki wydobywają się z moich ust niczym grad kul. Moje pięści uderzają w ramię Marcusa jak w worek treningowy. Ale moje wrzaski i uderzenia zdają się na nic. Widzę, jak jego źrenice się rozszerzają. Słyszę pomruk dźwigni, która go przygniata. Umiera na moich oczach, a ja nic nie mogę zrobić – nic, nic, NIC!

Nagle rozlega się przenikliwy gwizd.

W pierwszej chwili myślę, że otwierają się zewnętrzne drzwi śluzy, i całe moje ciało napina się w oczekiwaniu, że zostanie wessane w ziejącą paszczę Marsa. Ale nic takiego nie następuje. Nic mnie nie wciąga. Nie zaczynam się dusić, a moje organy nie eksplodują.

Cichnie też szum zasuwających się drzwi, a zamiast niego rozlega się syntetyczny głos dobiegający nie wiadomo skąd.

Uwaga! Wykryto ogień! Wszelkie procesy w bazie zostają przerwane! Powtarzam. Wykryto ogień!

I właśnie wtedy, w szczelinie nad głową Marcusa dostrzegam rękę Mozarta.

Macha zapaloną zapalniczką w wyciągniętej dłoni, niczym Statua Wolności, z kamienną twarzą. Mały płomyk tańczy dziko, zużywając tlen z ogrodu i doprowadzając do szału syntetyczny głos, który powtarza w kółko: *Uwaga! Wykryto ogień! Uruchamianie procedury gaszenia pożaru...*

Podczas gdy chłopcy rzucają się do wewnętrznych drzwi przygniatających ciało Marcusa i próbują przesunąć je z powrotem, słuchać jednostajny szum. Ogród zasnuwa się delikatną mgiełką: niezliczone zraszacze, którymi usiana jest kopuła, uruchomiły się wszystkie w tej samej chwili, tworząc sztuczny deszcz, padający na uprawy owsa.

Wewnętrzne drzwi w końcu się cofają, uwalniając Marcusa i otwierając mi przejście do ogrodu.

Ciało mojego narzeczonego upada na ziemię wśród strzępów rozdartego skafandra.

– Odsuńcie się! – nakazuję chłopcom. – Pozwólcie mu złapać oddech!

Kłękam na wilgotnej ziemi i zabieram się do udzielania pierwszej pomocy. Tym razem moje zachowanie jest dokładnym przeciwieństwem tego z początku podróży, kiedy czułam się taka bezradna po wypadku Kris – wywołało to taki

psychiczny uraz, że wkułam na blachę wszystkie moje podręczniki. W tej chwili czuję się, jakby wstąpił we mnie demon medycyny.

Kładę trzy palce na tętnicy szyjnej Marcusa, nad kołnierzem rozerwanego skafandra, dokładnie w miejscu, gdzie rozpoczyna się gałązka jego tatuażu w kształcie róży – tego, który rozkwita na piersi w eksplozji płatków układających się w hasło „Chwytaj dzień”. Naciskam mocniej. Wyczuwam puls. Słaby, nieregularny, ale jest. Jego klatka piersiowa jednak się nie unosi. Nie słyszę oddechu, kiedy się nad nim pochylam, rozpościerając nad nami ciężką zasłonę moich włosów. Kładę dłoń na jego czole – jest zimne – i zatykam mu nos, ściskając go kciukiem i palcem wskazującym.

Drugą ręką unoszę jego podbródek.

Przykładam usta do jego warg – przyciskając tak mocno jak śluza kapsuły przywierająca do włazu dokującego statku – i wdmuchuję powietrze z moich płuc do płuc Marcusa.

Jego klatka piersiowa się unosi, rozchylając podarty materiał skafandra, po czym znów powoli opada, podczas gdy ja biorę kolejny wdech, nim znów dotknę jego ust.

Wdmuchuję.

Biorę wdech.

Wdmuchuję.

Biorę wdech.

Za każdym razem, gdy się podnoszę, moje włosy przepływają wokół twarzy Marcusa jak cofające się morskie fale; za każdym razem, gdy się nad nim pochylam, rozbijają się niczym spienione bałwany na coraz wilgotniejszej ziemi.

Tylko to się teraz liczy, te przyływy i odpływy, które pochłaniają szum zraszaczy, przerażone szepty dziewczyn i chłopców, głos Sereny McBee i wszystkie moje myśli.

I nagle, gdy mam wykonać już może dwudziesty wdech, Marcus sam łapie oddech.

Nagle jego usta wciągają wielki haust powietrza i kilka moich rozrzuconych włosów.

Nagle otwierają się jego szare błyszczące oczy.

Odsuwam się, by dać mu odetchnąć.

Ale delikatny nacisk na mojej szyi nie pozwala mi się zbyt oddalić. Nim zrozumie, że to ręka Marcusa, już mnie do siebie przyciąga. Czuję pod palcami jego coraz mocniejszy puls – czy to jego serce bije tak mocno, czy moje? Nasze usta znów się spotykają. Tym razem nie przywierają do siebie z całą mocą, lecz muskają się delikatnie niczym piórka.

Przebiega przeze mnie dreszcz.

Teraz to ja zamykam oczy.

KANAL GENESIS

Niedziela 10 grudnia, godz. 21.10

Widok na ogród Nowego Edenu w szerokim planie.

Dziesięcioro uczestników programu stoi wokół leżącego na ziemi Marcusa i pochylonej nad nim Léonor, osłaniającej go baldachimem swych rudych włosów. Dookoła nich, w świetle reflektorów krople deszczu mienia się tysiącem barw, malując tęczę na całej szerokości kopuły.

Kirsten: Léonor skończyła sztuczne oddychanie. Czy Marcus... nie żyje?

Zbliżenie na młodą Niemkę. Trzyma w ramionach drżącą Louve. Pod zmokniętą koroną z warkoczy jej twarz zniekształca grymas przerażenia, a krople deszczu mieszają się ze łzami.

Aleksiej (kładąc rękę na jej ramieniu): Myślę, że nie, mój aniele. Zobacz, klatka piersiowa Marcusa się unosi. Oddycha. Żyje.

Kirsten (przełykając łzy): Tak, masz rację... A więc dlaczego tkwią tak oboje, nieruchomo?

Rozlega się gwizd.

Cięcie.

Zbliżenie na twarz Kelly, to ona zagwizdała.

Kelly: Hej! Léo i Marcus, dajcie znać, jeśli wam przeszkadzamy! Może chcecie pokój?

Léonor podnosi wreszcie głowę i odrzuca gęste włosy na plecy, gestem pełnym gracji i jednocześnie trochę nieporadnie. Kamera robi jeszcze większe zbliżenie. Policzki dziewczyny wyraźnie się zarumieniły. Marcus unosi tułów i opiera się na przedramieniu. Drugą ręką wciąż delikatnie obejmuje szyję Léonor.

Léonor (szepcze nieśmiało): Już wszystko dobrze...

Kontrplan na rozbawioną Kelly.

Kelly: Rzeczywiście na to wygląda! A nie mówiłam, że pierwszy marsjański pocałunek to będzie coś! (Odwraca się w kierunku kamery wiszącej na ścianie kopuły). Ej, ludzie, widzieliście to? Lepiej niż w kinie, co? Wasze pieniądze nie poszły na marne. Oscar za najlepszy pocałunek na żywo! Może Léo i Marcus mogliby nam tu zrobić powtórkę, tylko tym razem bez cenzury, czyli włosów zasłaniających widok?

Kontrplan na bardzo zawstydzoną Léonor.

Léonor: Och, daj spokój! Nie opowiadaj głupot. To nie zasługiwało na Oscara...

Marcus: ... a ja sędę, że tak.

Plan stopniowo się poszerza, ukazując całą grupę, która śmieje się przez łzy. Ulga po niesamowitym napięciu. Nie tylko Marcus odzyskał oddech.

Fangfang podnosi z podłogi okulary, które zgubiła w zamieszaniu – oprawki złamały się na pół – a Mozart chowa zapalniczkę.

Mozart (woła): I pomyśleć, że zabrałem ogień, żeby sobie czasem zajarać... Gdybym wiedział, że to pozwoli mi ratować niedawnego rywala!?

Fangfang (mrużąc oczami krótkowidza, spomiędzy długich przemoczonych włosów): Zajarać? Tutaj? W Nowym Edenie? Ale regulamin surowo zakazuje narkotyków – zresztą to nielegalne!

Brazylijczyk (z uśmiechem): Bez paniki, mówię tylko o papierosach...

Ale dziewczyna pozostaje nieugięta.

Fangfang: Papierosy też są zabronione! Palenie zabija!

Marcus (wzruszając ramionami): Może nie widziałas dobrze bez okularów, ale w tym wypadku palenie uratowało życie. No więc...

W chwili gdy Fangfang chce dodać coś jeszcze, z sześciominutowym opóźnieniem odzywa się gigantyczna twarz na ścianie kopuły.

Serena: *Żyje? Marcus żyje? Potwierdzacie tę informację? Och, błagam was, odpowiedzcie, bo umieram z niepokoju! I widzowie też! Cóż za stresująca sytuacja dla wszystkich rodzin, które zasiadły przed telewizorami w niecierpliwym oczekiwaniu na ceremonię zaślubin, nie wspominając o tych wszystkich, którzy zgromadzili się na przylądku Canaveral, by obejrzeć spektakl na żywo! Teraz, kiedy wszystko wróciło do normy, będziemy mogli nadrobić opóźnienie i rozpocząć uroczystości zgodnie z planem.*

Zraszacze się zatrzymują. Deszcz ustaje. Baza powraca do normalnego funkcjonowania. Dźwignie i przekładnie w jej wnętrzu zaczynają chrobotać, wprowadzając w ruch drzwi wewnętrzne, które zamykają dostęp do śluzy powietrznej – tym razem pustej.

Leonor (odwracając głowę w kierunku kamery, długie przemoczone włosy zwisają po bokach twarzy jak poły purpurowego płaszcza): Nie denerwuj się, Sereno. I uspokój widzów. Marcus żyje. Obydwoje żyjemy. Jestem pewna, że ta wiadomość napęli was radością i pozwoli wam poczekać do jutra na dalszy ciąg programu. Ceremonia zaślubin może poczekać. Jest już późno. Jesteśmy wykończeni. Potrzebujemy snu. Zresztą ty też powinnaś się przespać. Po co się spieszyć? Mamy całe życie przed sobą. Przypomnij sobie hasło programu, które sama stworzyłaś: mamy całą „wieczność na miłość”!

POZA PLANEM

**Autostrada międzystanowa numer 80 Zachód, Illinois,
poniedziałek 11 grudnia, godz. 6.00**

Andrew zaciąga hamulec ręczny.

Kamper zatrzymuje się na niewielkim zjeździe przy pustej autostradzie. Gdy gasną światła samochodu, zostaje tylko blask księżycy niemal w pełni i świecące cyferki zegara na desce rozdzielczej wskazującego, że właśnie wybiła szósta.

Andrew łapie swoje odbicie w lusterku. Jego oczy są tak zmęczone, że okulary nie zasłaniają już ogromnych cieni. Prowadził jeszcze przez większą część nocy, ale nie jest w stanie jechać dalej. Musi się zdrzemnąć.

Ustawia budzik na ósmą, po czym odwraca głowę w stronę dziewczyny śpiącej na siedzeniu obok.

– Wystarczą mi dwie godziny odpoczynku – szepcze. – A potem, obiecuję, że natychmiast ruszę i zawiozę cię w bezpieczne miejsce, Harmony.

Dziewczyna oczywiście nie odpowiada. Jest pogrążona w głębokim śnie. Koc, którym jest przykryta, zsunął się w trakcie jazdy, odsłaniając ramiona okryte delikatnymi koronkami. Andrew podciąga koc, by lepiej chronił ją przed zimnem.

Coś błyszczy w ciemności, to medalion Harmony, który przetacza się po wełnianym okryciu.

Andrew zastyga.

Przez chwilę jest tak samo nieruchomy jak jego dziwna pasażerka.

Chłopak z niezwykłą delikatnością unosi medalion, by przyjrzeć mu się dokładniej. Masywny owal ze złota, w stylu retro, starannie wykonany – sekretnik, w którym ukrywa się dawne wspomnienia lub cenne tajemnice. Małeńkie zapięcie broni jego wnętrza.

Andrew naciska na zapięcie opuszką palca.

Medalion otwiera się bezgłośnie.

Wewnątrz znajduje się portret.

To nie sekret, to jedna z najbardziej znanych na świecie twarzy.

To nie wspomnienie, lecz uśmiech, który codziennie rozświetla miliony ekranów telewizyjnych na całym świecie.

Ponieważ ta twarz, ten uśmiech, należą do jednego z sześciu uczestników programu Genesis.

To oblicze Brazylijczyka Mozarta.

PLAN

**20 miesiąc / 552 sol / godz. 5.04 czasu marsjańskiego
[2 sol od lądowania]**

Otwieram oczy i patrzę na pogrążoną w ciemności kopułę.

Reflektory wysoko w górze zgasły.

Długie ramiona robotów rolniczych na tarasach znieruchomiały.

Panuje zupełna cisza przerywana jedynie oddechem tego, który leży obok mnie na aluminiowej podłodze ogrodu. Marsjańska noc jest znacznie ciemniejsza od ziemskiej, ponieważ nie ma księżyca, który mógłby ją rozjaśnić. Fobos jest za mały. Jednak opalizujący blask niewielkich nocnych lampek, którymi usiana jest kopuła, wystarczy, bym mogła dostrzec regularny profil Marcusa, prosty nos, wysokie spokojne czoło, gęste włosy.

Kiedy jego oczy są otwarte, magnetyzujące szare tęczówki fascynują mnie niczym niezgłębiona tajemnica; ale kiedy skrywają je powieki, wygląda po prostu jak śpiący chłopak, którego za wszelką cenę chciałabym ochronić. Wczoraj, zanim się położyliśmy, pomogłam mu zdjąć rozdarty skafander. Ośluchałam go przez cienki termiczny kombinezon, nie bardzo wiedząc, czego właściwie szukam, jakie oznaki czy szmery powinny mnie zaniepokoić – mam niewielkie doświadczenie. To doktor Montgomery zdalnie pomógł mi przeprowadzić badanie, jako instruktor medycyny programu Genesis. Co za okropne uczucie zwracać się do tego człowieka, któremu kiedyś tak ufałam, który szkolił mnie przez cały rok, by później zdradzić, wbijając mi nóż w plecy! Z jakim wewnętrznym rozdarciem powierza się życie ukochanej osoby komuś najbardziej zniechęconemu na świecie! Ale Arthur Montgomery musiał się czuć podobnie. On też musiał grać przed kamerami. Doktor medycyny i jego wdzięczna uczennica: piękny obrazek dla widzów, nawet jeśli fałszywy! W sumie to jest nieistotne, najważniejsze jest zdrowie Marcusa. Jest słaby, ale niczego sobie nie złamał, wszystkie kości są całe. Za zgodą Arthura Montgomery'ego podałam mu kilka lekarstw z mojej apteczki – przede wszystkim środki przeciwbólowe (ale nie aspirynę, na wypadek gdyby doszło do krwotoku wewnętrznego). Teraz śpi. To dobrze. Musi wypocząć. Ja jednak nie mogę zasnąć. Wstaję więc powoli, tak by nie robić hałasu.

Moi przyjaciele leżą obok siebie na podłodze w swoich czarnych kombinezonach, wszyscy z wyjątkiem Kenjiego, który uparł się, że będzie spał w skafandrze kosmicznym i hełmie na głowie. Nie tak wyobrażaliśmy sobie naszą pierwszą noc na Marsie... Nagle robi mi się słabo – moi towarzysze wyglądają,

jakby byli martwi, jak ofiary erupcji Wezuwiusza w Pompejach w filmie dokumentalnym, który kiedyś oglądałam. Powykręcane zwęglone ciała, zatrute toksycznymi wyziewami wulkanu.

A jeśli Serena McBee rozhermetyzowałaby stację mimo transmisji na żywo?

A gdyby nie wytrzymała stresu i rozpyliła śmiertelny gaz, kiedy będziemy spać?

Oddycham głęboko, by się upewnić, że w powietrzu nie czuć żadnego podejrzanego zapachu, by odrzucić te absurdalne myśli, bo przecież żyję.

– Już wstałaś? – szepcze ktoś za moimi plecami.

Odwracam się gwałtownie.

To Aleksiej. Jego jasne włosy lśnią pod gwiazdami, a zbyt błękitne oczy świecą w skrytej w mroku twarzy.

– Tak – odpowiadam z pewną rezerwą. – Nie mogę zasnąć.

– To tak jak ja. Wszystko, co się ostatnio wydarzyło, ciągle kołocze mi się po głowie...

Instynktownie przewracam oczami, wskazując otaczające nas ze wszystkich stron kamery. Aleksiej przecież wie, że jesteśmy filmowani dwadzieścia cztery godziny na dobę – jedno słowo za dużo i będzie po nas.

Lecz on się tylko uśmiecha, tym promiennym uśmiechem, którym czarował nas w czasie podróży.

– Wstałem już jakiś czas temu – szepcze. – Trochę chodziłem i znalazłem bardzo fajne miejsce. Chciałabyś je zobaczyć?

Pójść z nim? Czemu nie? Oficjalnie jesteśmy pogodzeni.

Kiwam głową, po czym idę za nim.

Prowadzi mnie do aluminiowych schodów prowadzących na pierwszy taras porośnięty wysokimi łądogami owsa. Wspinamy się coraz wyżej na kolejne piętra. W półmroku nieruchome metalowe ramiona robotów wyglądają jak odnóża gigantycznych owadów. To tu, to tam dostrzegam blask soczewki kamery, które rozmieszczono nie tylko na ścianach kopuły, lecz także na plantacjach. Wreszcie docieramy na szczyt piramidy. Z góry, jakieś piętnaście metrów nad ziemią, prawie nie widać śpiących ciał leżących na dole, bo czarne kombinezony wtapiają się w mroki nocy; wyróżnia się tylko biały skafander Kenjiego. Myślę, że to on, ze swoimi rzekomymi fobiami, ma rację, a my jesteśmy szaleni, zasypiając bez żadnej ochrony, tylko dlatego że kamery w ogrodzie działają nieprzerwanie. W przyszłości trzeba będzie zorganizować nocne warty, by czuwający mogli ostrzec pozostałych w razie jakichkolwiek problemów.

– Czujesz ten zapach? – pyta Aleksiej, odrywając mnie od moich myśli.

Wciągam powietrze i do moich nozdrzy dociera słodka, cukrowa woń.

– Ten owocowy aromat... jakby...

– Tak – podpowiada cicho Aleksiej. – Zapach jabłek. Robotom naprawdę

udało się wyhodować jabłonie.

Wskazuje bujny gaj wieńczący piramidę, kilka kroków dalej. Z bliska drzewka wydają się większe i gęstsze niż z dołu. Gałęzie pokryte niezliczoną liczbą dziwnie wydłużonych liści rozciągają się nienaturalnie szeroko.

– Jabłonie, jak w pierwszym rajskim ogrodzie, tym biblijnym – ciągnie Aleksiej. – Tylko zdaje się, że tu mniejsza siła grawitacji przyniosła nieoczekiwane skutki...

Podchodzi do drzewa i zanurza rękę w szeleszczącym listowiu, zwartym niczym żywopłot.

Wyjmuje z niego okrągły kształt, który w nikłym świetle lampek wygląda jak duży grejpfrut.

Przybliżam się, by lepiej widzieć.

– To... jabłko?

– Marsjańskie jabłko. Pierwsze, które zostało zerwane. Chcesz spróbować?

Przez chwilę patrzę na czerwony owoc, który Aleksiej trzyma w dłoni, tak różny od wszystkich jabłek, jakie widziałam na Ziemi. To jabłko jest tak wielkie, ponieważ kiedy rosło, działała na nie siła grawitacji trzy razy mniejsza od ziemskiej. Tak, to jest logiczne wytłumaczenie, naukowe uzasadnienie, a jednak na ten widok przechodzi mnie dreszcz.

– Nie jestem głodna – mówię w końcu. – Zresztą, o ile się nie mylę, w Biblii to Ewa kusi Adama jabłkiem, a nie na odwrót.

Aleksiej uśmiecha się nieco szerzej. W policzkach robią mu się urocze dołeczki.

– Masz rację – mówi. – Ale nie jesteśmy w Biblii, a ja nie jestem twoim Adamem. Pamiętasz, wybrałaś Marcusa.

Wbijają zęby w ogromne jabłko, nie odrywając ode mnie spojrzenia. Sok owocu spływa mu po idealnie kształtnej brodzie.

Wyciera go wierzchem dłoni.

– Chodź! – mówi.

I zanurza się w ciemnym sadzie. Gałęzie zamykają się za nim niczym nieprzenikniona zasłona, tak jakby nagle zniknął. I przez chwilę czuję się tak, jakbym stała na ostatnim tarasie zupełnie sama. Chwilę później wchodzę w listowie. Jest tak bujne, że na początku nic nie widzę: ani światła, ani odległych gwiazd ponad kopułą. Nagle ktoś chwyta mnie za ramię, sprawiając, że podskakuję ze strachu.

– Nie widziałaś, jak podszedłem? Mówiłem ci, że tu jest bardzo ciemno.

Aleksiej jest tuż obok. Tak blisko, że czuję jego ciepły oddech o zapachu jabłka przy moim uchu, kiedy szepcze:

– Jestem pewien, że żadna kamera nie może nas tu sfilmować, nawet w podczerwieni. A gałęzie tłumią dźwięki. Nie śpię już od trzech godzin, miałem

dużo czasu, by dokładnie sprawdzić, czy nie ma tu mikrofonów. Jeśli będziemy mówić szeptem, nikt nas nie usłyszy. A jak tam twoja ręka?

– Już lepiej – odpowiadam, odsuwając się. – Zrobiłam sobie opatrunek. Ugryzienie Louve nie było głębokie. Po co mnie tu przyprowadziłeś? Co mi chcesz powiedzieć?

Moje oczy przyzwyczajają się w końcu do niemal całkowitej ciemności i dostrzegam sylwetkę Aleksieja kilka centymetrów ode mnie.

– Chciałem się tylko pogodzić – odpowiada.

– Przecież już się pogodziliśmy, na statku, pamiętasz? Przeprosiłeś za to, co powiedziałaś, o moim *ohydnym syfie* i tak dalej.

– Wcale tak nie myślałem. Te słowa zbrukały mnie tak samo jak ciebie. Takie zachowanie nie przystoi temu... kim chciałbym być. Jest sprzeczne z moim rycerskim ideałem.

– Powiedziałaś to w złości. To mogło się zdarzyć każdemu.

– Prawdziwy mężczyzna nigdy nie powinien obrażać kobiety. Zwłaszcza takiej kobiety jak ty. Nie ma w tobie nic ohydneho. Jesteś śliczna. Naprawdę.

Zaczynam się nagle zastanawiać, co ja właściwie robię ukryta w tym ciemnym sadzie z chłopcem, który szepcze mi do ucha słodkie słówka. Czy Aleksiej próbuje mnie uwieść? Nie, to niemożliwe! Przecież od samego początku szaleje na punkcie Kris!

Kręci mi się w głowie, brakuje mi oddechu, chwytam się najbliższej gałęzi.

– Wydaje mi się, że to Kris powinna być tu teraz z tobą, nie ja...

– I tak będzie. Ceremonia zaślubin odbędzie się przed sadem jabłoni, pamiętasz? To tutaj podaruję Kris pierścionek, który jej obiecałem w czasie naszych randek, a który nosiłem na łańcuszku zawieszonym na szyi przez całą podróż. Marzę o tej chwili, odkąd po raz pierwszy ją ujrzałem! Powiedziałem jej, że ten diament jest symbolem naszej niezniszczalnej miłości. Kris jest taka czysta, pełna wdzięku, doskonała. Będzie moją królową, a ja jej rycerzem. Ty dobrze ją znasz, jak sądzisz, czy uzna to za staromodne, jeśli przed nią uklęknę, wręczając pierścionek?

Uff! Coś sobie wcześniej uroiłam.

– Przeciwnie, myślę, że będzie zachwycona – mówię z ulgą. – Ona jest taka romantyczna.

W miarę jak dochodzę do siebie i odzyskuję oddech, zaczynam czuć pod palcami gałąź, której się chwyciłam. Kora różni się od tej z ziemskich drzew, jest gładza, pozbawiona pęknięć i szczelin, prawie jak ludzka skóra. Gwałtownie cofam rękę. Jabłko kołyszą się ciężko, uderzając o siebie.

Nagle wydają mi się tak potworne jak logo programu Genesis, ta ogromna planeta-lono z płodem w środku. Natura robi tu naprawdę osobliwe rzeczy... A my, mimo to, mielibyśmy się tu rozmnażać? Aby rodzić dzieci równie dziwne

jak te zniekształcone jabłka?

– Widziałeś, jak warunki marsjańskie wpłynęły na te drzewa?... – szepczę. – Owoce, a nawet gałęzie są zupełnie inne...

– Tak, to fascynujące.

– To przerażające.

– Czasem jedno idzie z drugim w parze. To, co nowe, często przeraża nas i fascynuje jednocześnie, nie sądzisz?

– Nikt nie przewidział, że rośliny przeobrażą się w ten sposób, a w każdym razie, nikt nas o tym nie poinformował. Nie wspomniano o tym w czasie naszego rocznego szkolenia. Nie powiedziano nam też, jak obniżona grawitacja może wpłynąć na nasze przyszłe dzieci. Wszyscy zachowywali się, jakby urodzenie dziecka na Marsie niczym się nie różniło od urodzenia go na Ziemi. Jednak patrząc na te jabłonie, mam poważne wątpliwości.

Pochyłam się z powrotem do Aleksieja, by mieć pewność, że tylko on usłyszy moje słowa.

– Posłuchaj. Jesteś podobnie jak ja specjalistą od medycyny. Jest coś, co mnie niepokoi, ale z tobą mogę o tym porozmawiać: to ciąża. Nie można absolutnie do nich dopuścić. Nie tylko z powodu potencjalnego ryzyka, jakie niesie ze sobą zmniejszona siła grawitacji, które wydaje się bardzo realne. Ale także, a w zasadzie przede wszystkim dlatego, że nie wiemy, czy przeżyjemy więcej niż dwadzieścia dwa miesiące. Jeśli wszyscy dwanaścioro zginiemy w czasie następnej Wielkiej Burzy, staniemy się jej ofiarami. Ale jeśli skażemy na to niewinne dzieci, będzie to zbrodnia, za którą wyłącznie my będziemy odpowiedzialni. Rozumiesz?

Moje usta znajdują się tak blisko policzka Aleksieja, że czuję emanujące z niego ciepło.

– Tak, rozumiem – odpowiada szeptem. – Musimy unikać ciąży. To byłaby zbrodnia.

Czuję, jak fala wdzięczności zalewa mi serce. Rozmowa o tych sprawach nie jest czymś zwyczajnym i fakt, że Aleksiej tak dobrze mnie rozumie, wiele ułatwia. Za tymi wybuchami złości i gwałtownością kryje się jednak chłopak, który ma głowę na karku i poczucie odpowiedzialności. Te jego rycerskie opowieści to nie tylko fantazje, on ma prawdziwe wartości. Jeśli tak idealizuje Kris, to znaczy, że naprawdę bardzo ją kocha. Koniec końców cieszę się, że zostali parą.

– Nie mam żadnej antykoncepcji w apteczce dziewcząt – mówię. – Żadnych pigułek, wkładek, niczego. Organizatorzy świadomie nam ich nie zapewnili, ponieważ celem programu jest jak najszybsze zaludnienie tej planety. Tam, na Ziemi, widzowie i sponsorzy z niecierpliwością czekają na pierwsze marsjańskie dzieci. A czy tobie może dali... ech...

– Prezerwatywy? Nie.

– A więc wiesz, co to oznacza...

– C jak czystość?

– Tak, to właściwe słowo – mówię ze ściśniętym gardłem. – Musimy wszyscy złożyć śluby czystości. Oczywiście potajemnie. Ponieważ oficjalnie, dla kanału Genesis, będziemy się starać o dzieci. Ale w rzeczywistości zachowamy wstrzeźliwość.

– Rozumiem. To wielkie poświęcenie, ale chyba nie mamy wyboru, przynajmniej dopóki nie odkryjemy przyczyny awarii modułów mieszkalnych i ich nie naprawimy. To nasz obowiązek. W dawnych czasach rycerze potrafili czekać na swe damy nawet latami. A jeśli widzowie zaczną się niecierpliwić, pozwolimy naukowcom znaleźć wyjaśnienie: nie wiem, że warunki panujące na Marsie wpływają na obniżenie płodności albo coś w tym stylu. Pomów o tym z dziewczynami. Ja pogadam z chłopakami. Możesz na mnie liczyć.

– Dziękuję, Aleksiej.

KANAL GENESIS

Poniedziałek 11 grudnia, godz. 11.15

Widok na kopułę ogrodu w szerokim kadrze.

Za szybkami blednie noc.

Cyfrowy zegar u dołu ekranu wskazuje czas marsjański – jest godzina 7.55.

Nagle o 7.56 przez szybę wpada wiązka promieni, oświetlając plantacje owsa i soi, a chromowane ramiona robotów rolnych rozbłyskują. Zza szczytu klifu Ius Chasma weszło słońce, zaczyna się nowy dzień.

Kamera rozgląda się po ogrodzie.

Uczestnicy programu się budzą. Niektórzy są od razu gotowi rozpocząć dzień, jak Elizabeth, która rozciąga swoje smukłe ciało, wykonując z wdziękiem kilka porannych ćwiczeń, czy Marcus, który od razu wybiera się na przegląd plantacji. Inni wstają z trudem, jak Mozart, który chowa twarz w skafander służący mu za poduszkę, kryjąc oczy przed słońcem. To daremny trud, bo Louve zaczyna szaleńczo ujadać, do czego natychmiast przyłącza się szczerzący kły Warden, próbując zerwać się ze smyczy.

Kelly wydaje z siebie ryk wściekłego niedźwiedzia.

Kelly (ze zmierzwioną blond grzywą i oczami przypominającymi wąskie szparki): A ci znowu swoje! Zwierzęcy narzeczeni, którzy się nie znoszą! Co za debil na to wpadł!

Samson (trzymający koniec smyczy krzyżówki dobermana, próbuje protestować): Trzeba dać im trochę czasu. Zwierzęta są zdenerwowane. To zupełnie zrozumiałe w tym nowym świecie, którego nie znają i nie rozumieją. My wiemy, dlaczego się tu znaleźliśmy, sami się zgłosiliśmy. Ale oni wylądowali na Marsie, choć o to nie prosili: wyobraźcie sobie ich niepokój!

Kuca przed Wardenem, który przestaje w końcu szczekać i chowa pysk w dłoniach chłopaka.

Samson: Organizatorzy mogli jednak pomyśleć o jakichś zabawkach, żeby biedne psy miały się jak odstresować – no nie wiem, przydałyby się jakaś piłka czy Frisbee... Zresztą prosiłem ich o to...

Mozart (z głową wciąż ukrytą pod skafandrem): No właśnie, ze mną było tak samo. Nie pozwolili mi zabrać gitary. Rzekomo byłoby to za drogie, bo każdy kilogram wysłany w kosmos kosztuje miliony w przeliczeniu na paliwo rakietowe. Mogłem zabrać tylko struny, z nadzieją, że na miejscu zorganizuję sobie pudło, ale to nie będzie proste...

Kamera odwraca się od malkontentów, przenosząc zainteresowanie na Léonor i Aleksieja, którzy przemykają między mieszkańcami Nowego Edenu – on między chłopcami, ona między dziewczętami – i szepczą im coś na ucho.

Wścibska kamera robi zbliżenie na Samsona, w chwili gdy Aleksiej przykładą dłoń do jego policzka. Piękne szmaragdowe oczy Nigeryjczyka otwierają się coraz szerzej, w miarę jak poznaje sekretną wiadomość, której system nagłaśniający programu Genesis nie jest w stanie wychwycić. Na jego twarzy można odczytać zaskoczenie. Ale kiedy Aleksiej odsuwa się i zabiera dłoń, na czarnym obliczu maluje się już tylko determinacja.

Samson (patrząc swemu rozmówcy prosto w oczy): Rozumiem. Nie martw się. Zrobię, co trzeba.

Rosjanin (klepiąc go po ramieniu na znak męskiej wdzięczności i uznania): To dobrze. Wiedziałem, że z ciebie poważny gość.

Następnie podchodzi do Tao, który dzięki sile swych ramion właśnie wspął się na wózek inwalidzki.

Aleksiej: Hej! Artysto, mogę ci coś powiedzieć na osobności?

Tao: Oczywiście... (po twarzy wielkiego Chińczyka przebiega cień wahania). Ale czy na pewno mamy prawo rozmawiać na osobności? Czy organizatorzy nie będą nam mieli tego za złe?

Aleksiej: Nic się nie martw. Jestem specjalistą od medycyny. To, co ci chcę powiedzieć, podpada pod tajemnicę lekarską. Nie obawiaj się, to nic poważnego, ale to sprawa naprawdę prywatna.

Po czym pochyla się nad Tao i wyjawia mu tę tajemnicę lekarską.

Kamera, jakby zniecierpliwiona faktem, że nie jest w stanie wychwycić treści tajnych narad, próbuje szczęścia po stronie dziewcząt. Skupia się na Léonor szepczącej coś na ucho Kelly.

Jeszcze przed chwilą ciężkie powieki Kanadyjki podnoszą się nagle, a jej pomalowane błyszczącym usta układają się w okrągłe „O” niemego zdziwienia.

Kelly: Nie, no bez jaj! (po czym natychmiast się poprawia). No tak, oczywiście masz rację...

Léonor zanurza spojrzenie swych złotych oczu w oczach Kelly, jakby chciała jej w ten sposób nakazać, by już więcej o tym nie rozmawiać, i prosić, by Kanadyjka też się postarała.

Kelly (wzdychając ciężko): Cóż, przezorny zawsze ubezpieczony. Dziękuję, że mnie uprzedziłaś, Léo. Możesz na mnie liczyć.

PLAN

**20 miesiąc / 522 sol / godz. 8.29 czasu marsjańskiego
[2 sol od lądowania]**

– *No dobrze, ale co oznaczają te tajne narady?*

Odrywam dłoń od policzka Kris, ostatniej, którą poprosiłam o złożenie obietnicy wstrzemięźliwości, i podnoszę wzrok na kopułę.

Na ekranie pojawiła się właśnie Serena McBee. Jest jeszcze bardziej odstawiona niż zwykle. Srebrzyste włosy ma upięte w szykowny kok, na ustach i powiekach migocze złoty brokat. Jest ubrana w suknię z perłowszarej tafty i koronkowe bolerko: prawdziwa kreacja matki panny młodej, z małą czarną wstążeczką na piersi, mającą upamiętniać ofiary rzekomego zamachu, który sama zorganizowała i przeprowadziła.

– *Aleksiej, Léonor, może podzielilibyście się ze mną i z widzami swoim małym sekretem?* – pyta, trzepocząc rzęsami.

– To nic takiego, Sereno – odpowiadam. – To tylko stres przed ślubem i... nocą poślubną. Ponieważ niektórzy z nas nigdy... Chodzi o to, by nikt nie czuł się źle, nie był zakłopotany... Ech, mówiąc krótko, Aleksiej i ja, jako specjaliści od medycyny, czuliśmy się zobowiązani, by... udzielić chłopcom i dziewczętom kilku... instrukcji technicznych, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. To nie są tematy, o których można tak po prostu rozmawiać na antenie.

Czuję, że się czerwienię po same uszy. Nie dlatego, że to kłamstwo. Nie dlatego, że w ramach instrukcji technicznych zobowiązałam dziewczyny do wstrzemięźliwości. Czerwienię się, bo – sama o tym wspomniałam – mam świadomość, że jesteśmy w tej chwili na antenie. Wiem, że patrzą na mnie i słuchają mnie miliardy ludzi. A udawanie, że udzielam koleżankom lekcji z zakresu edukacji seksualnej, kiedy sama nie pozwalałam żadnemu chłopcu się dotknąć, jest okropnie niezręczne.

To potwornie krępujące.

Dla Sereny McBee to świetna okazja do pogardliwych uwag.

– *Ach tak, instrukcje techniczne* – powtarza po sześciu minutach z fałszywie pobłażliwym uśmiechem na ustach. – *Jakie to miłe! I cóż za odwaga z twojej strony, że poruszasz temat, który, zgadzam się z tobą, nie jest oczywisty. Zastanawiam się, jakie instrukcje techniczne mogłaś dać swoim koleżankom, że mają takie zaskoczone miny? Widzowie oczywiście nie będą mogli się o tym przekonać, bo przypominam, że intymne spotkania par nie będą filmowane. Kamery*

w Gniazdach Miłości przestają nagrywać o północy i wznawiają pracę o ósmej rano, czyli nasze gołąbeczki mają osiem godzin i czterdzieści minut wytchnienia, ponieważ marsjański sol jest dłuższy od ziemskiego dnia o czterdzieści minut. Uczestnicy programu z pewnością będą potrafili wykorzystać ten czas, byśmy się wszyscy doczekali pięknych marsjańskich dzieci, dzięki światłym radom doktor Léonor. Gdyby nie była na Marsie, zaprosiłabym ją do poprowadzenia mojego słynnego programu Z wizytą u doktor McBee.

Nie sądzę, by widzowie wyłapali w wypowiedzi Sereny wszystkie upokarzające podteksty, które ja mogę odczytać. Nie zmienia to jednak faktu, że mam ochotę zniknąć, zapaść się głęboko pod ziemię. Ale to bardzo by ucieszyło Serenę. Gram więc dalej swoją rolę, stawiając czoła olbrzymce, która ze mnie drwi.

I informuję ją o drugim postanowieniu, jakie powzięliśmy z Aleksiejem i pozostałymi:

– Korzystając z okazji, chciałabym powiadomić ciebie i widzów, że każdej nocy dwoje spośród nas będzie czuwać w ogrodzie w skafandrach. Dzięki temu będziemy się czuli bezpieczniejsi, upewniając się, że baza funkcjonuje bez zakłóceń, kiedy śpimy, i wiedząc, że możemy w porę zareagować w razie jakichkolwiek problemów. Jestem pewna, że docenisz naszą przezorność, Sereno.

Jeśli wyobrażała sobie, że każdej nocy przez prawie dziewięć godzin zdamy się na jej łaskę, to grubo się pomyliła. Przy pierwszym podejrzeniu, że próbuje rozhermetyzować gniazda pozostałych pięciu par, dwoje czuwających podniesie alarm. Wątpię, czy zdołaliby nas uratować, ale przynajmniej sami dzięki skafandrom pozostaną przy życiu dostatecznie długo, by zdemaskować Serenę przed kamerami. Ponieważ w przeciwieństwie do Gniazd Miłości, kamery w ogrodzie działają dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nasz upadek będzie jednocześnie upadkiem Sereny, to proste.

Sześć minut po wypowiedzeniu tych słów z przyjemnością obserwuję, jak najslynniejszy uśmiech Ameryki na moment znika.

– *Ach tak?* – mówi Serena z udawaną obojętnością. – *Cóż za zabawny pomysł z tym czuwaniem w nocy. W dodatku w tych niewygodnych skafandrach! To zupełnie zbędne środki ostrożności, jeśli chcesz znać moje zdanie. Ale jesteście u siebie, róbcie więc, co uważacie za słuszne.* – Znow przybiera swój uprzejmy wyraz twarzy. – *Ale czas już zrobić się na bóstwo. Widzę, że wszyscy są już w dobrej formie, nawet twój Marcus doszedł do siebie po wczorajszym popisie brawury. Będziemy zatem mogli wreszcie odprawić ceremonię. Nie było prosto przełożyć ją z wczorajszego wieczoru na dziś, biorąc pod uwagę całą skomplikowaną logistykę, chodzi jednak o największą, najpiękniejszą, najwspanialszą uroczystość zaślubin, jaką kiedykolwiek zorganizowano... Muszę przyznać, że jeszcze nigdy w mojej karierze nie stałam przed tak karkołomnym zadaniem. Ale czegóż bym dla was nie zrobiła, moje aniołki! Jesteście wyjątkowi,*

a ślub w poniedziałek jest nie tylko oryginalny, to ostatni krzyk mody! Drodzy uczestnicy i wy, drodzy widzowie, przygotujcie się! Ślub stulecia odbędzie się dokładnie w południe czasu marsjańskiego!

Twarz Sereny znika ze ściany kopuły, a jej miejsce zajmuje pustynny krajobraz Ius Chasma.

Odrywam wzrok od szyby.

Moje spojrzenie pada prosto na Marcusa.

Przygląda mi się z tym swoim słynnym uwodzicielskim półuśmiechem, który jest dokładnym przeciwieństwem pogardliwego uśmiešku Sereny.

Zdaję sobie sprawę z rumieńca wstydu, który wciąż rozgrzewa moje policzki.

– Pewnie jestem czerwona jak burak... – mówię, spuszczać wzrok.

– Jesteś przepiękna.

– Nie opowiadaj głupstw.

– Serena ma rację.

– Co?

– Gdybyś wzięła udział w jej programie, słupki oglądalności skoczyłyby do góry. Ale mam cię tylko dla siebie. Szczęściarz ze mnie, dostanę prywatne korepetycje z tych słynnych instrukcji technicznych!

I puszcza do mnie oko, co sprawia, że mam szaloną ochotę go udusić i jednocześnie sto razy większą ochotę, by go pocałować.

– Nie będziesz rozczarowany – rzucam, udając bardziej pewną siebie, niż jestem.

– Co do tego nie mam wątpliwości – odpowiada, wytrzymując moje spojrzenie.

Jeśli myślałam, że wykazując się tupetem, zapędzę go w kozi róg, to się pomyliłam.

Wpatruje się we mnie swymi jasnymi oczami, które wywołują we mnie niepokojące i sprzeczne uczucia, jakbym była zupełnie naga, a jednocześnie ubrana w najwspanialszą suknię świata.

Czuję, że budzą się we mnie wątpliwości. W jakie regiony tego nieznanego mi kontynentu, jakim jest miłość, Marcus już się zapuszczał? Jest taki atrakcyjny, z iloma dziewczynami chodził? Z iloma z nich się kochał? Jakie są jego oczekiwania w naszej sytuacji i czy będę w stanie je spełnić? Kiedy się dowie, że jestem dziewicą, pomyśli, że czekałam na niego czy że z powodu mojej blizny nikt mnie nie chciał?

Widziałam, że tak jak pozostali chłopcy zgodził się na zachowanie wstrzemięźliwości, kiedy Aleksiej z nim rozmawiał. Ale ta myśl nie uspokaja mnie tak, jak powinna. Bo nie jestem już pewna, co właściwie oznacza ta zgoda. A Salamandra znów sączy mi do ucha swój jad.

(Dlaczego narzuciłaś wszystkim ten swój pomysł, Léonor? By chronić przyszłe marsjańskie dzieci, jak utrzymujesz? Czy by chronić samą siebie przed czymś, co zarazem pociąga cię i przeraża?)

POZA PLANEM

**Przylądek Canaveral,
poniedziałek 11 grudnia, godz. 14.55**

– Halo, panie Billu? Dzwonię, żeby się przywitać. Tak, tak, ciągle jeszcze jestem na przylądku Canaveral. Niech pan sobie wyobrazi, że spałam tu pod gołym niebem, razem z innymi fanami programu! Było nam ciepło. Nic dziwnego zresztą, panuje tu przecież klimat tropikalny. Oczywiście nikt nie poszedł do domu, kiedy w ostatniej chwili ogłosili, że przenoszą uroczystość z niedzieli na poniedziałek. Dzisiaj jest nawet więcej ludzi niż wczoraj. Zupełne szaleństwo!

– Uważaj, żeby cię tam nie rozdeptali, złotko! Chcę odzyskać kelnerkę!

– Niech się pan nie martwi, będę ostrożna. Panie Billu?

– Tak?

– Dziękuję za te trzy dni urlopu.

– Nie musisz dziękować. I weź jeszcze dzień lub dwa, jeśli potrzebujesz. Mogę sam popilnować interesu przez kilka dni dla tych trzech osób na krzyż, które tędy przejeżdżają. Wiem, jak ważny jest dla ciebie program Genesis. Dla mnie zresztą też, ale jestem już za stary na takie forsowne podróże. Opowiesz mi wszystko.

– O tak, na pewno! Może pan na mnie liczyć!

Cindy wyłącza swoją komórkę, chowa ją do torebki i rozgląda się dookoła. Tłum oblegający przylądek jest ogromny, gęstszy nawet niż w dniu startu rakiety. By pomieścić rekordową liczbę przybywających, nakazano parkować samochody na kontynencie. Setki tysięcy dachów tworzą metaliczną linię horyzontu, w której odbija się blask słońca Florydy. Odwiedzający musieli pokonać resztę trasy pieszko. Przemierzali więc półwysep, kierując się na wschód. Musieli przejść przez liczne punkty kontrolne, które przywrócono po wczorajszych zamieszkach. Przy ogrodzeniu bazy zebrał się nieprzebrany tłum, tak że nie widać ani skrawka ziemi, ani wrzosów; nad głowami zebranych sterczą tylko metalowe słupy, na których zamontowano głośniki, te same, których użyto w czasie ceremonii startu pięć miesięcy wcześniej. Wszyscy ludzie są zapięci na ostatni guzik, wystrojeni, jakby przyjechali na ślub kogoś z rodziny; niektórzy włożyli nawet surduty i długie białe suknie, jakby to oni mieli się dzisiaj pobrać. Jakkolwiek są ubrani, wszyscy, także Cindy, przypięli czarne wstążeczki na znak żałoby.

– To nowy Woodstock! – zachwyca się reporter filmowany przez kamerzystę kilka kroków od Cindy. – To nowe powszechne święto miłości i pokoju! Dwa

miliony ludzi z całego świata zgromadziło się dziś na przylądku Canaveral, by uczestniczyć w ślubie stulecia!

Reporter odwraca się nagle do Cindy, podstawiając jej mikrofon pod nos.

– Dlaczego tu pani dzisiaj przyjechała? – pyta prosto z mostu.

– Eee... – duka Cindy, wzięta przez zaskoczenie.

Poprawia fioletową sukienkę, która opina jej bujne kształty, następnie wygładza marchewkowe włosy.

– Czy mogę przypudrować twarz, zanim trafię na antenę? – pyta nieśmiało.

– Co taka młoda kobieta robi tu sama? – przypuszcza atak dziennikarz, puszczając mimo uszu pytanie kobiety. – Czy to identyfikator z napisem „serce do wzięcia” na pani piersi? Czy jest pani jedną z tysięcy singielek, które mają nadzieję znaleźć miłość, uczestnicząc dziś wraz z innymi fanami programu Genesis w ślubie stulecia?

Cindy spuszcza wzrok na identyfikator w kształcie serca błyszczący na jej sukience obok czarnej wstążeczki. Rumieni się niczym piwoniam, co dodaje jej uroku.

– Wie pan, nie jestem już taka młoda... – udaje jej się wyksztusić. – Właśnie przekroczyłam czterdziestkę. No i tak, ech, jestem samotna. Tam, gdzie mieszkam, nie ma zbyt wielu okazji, zbyt wielu szans na ciekawe spotkania. Z racji wieku nie mogę aplikować do drugiej edycji programu Genesis, ale pomyślałam, że może tutaj, na przylądku Canaveral, spotkam kogoś interesującego...

– Czterdzieści lat, a taka romantyczna, jakby miała tylko osiemnaście! – reporter ucina rozmowę, odwracając się do kamery. – To właśnie magia programu Genesis! Porozmawiajmy z innymi fanami...

Reporter przedziera się przez tłum ze swoją ekipą – są niczym grupa rekinów w morzu pełnym ryb.

Cindy korzysta z okazji, by złapać oddech i wyjąć puderniczkę. Przez kilka minut starannie pudruje twarz błyszczącą z nadmiaru emocji wywołanych znalezieniem się w ogromnym zgromadzeniu, szokującym dla osoby przywykłej do niezmiernego pustkowi Doliny Śmierci.

W chwili, gdy zamyka pudełeczko, z głośników rozbrzmiewają pierwsze takty czołówki programu Genesis. W tym samym momencie dwa miliony ludzi jak jeden mąż włączają komórki, tablety, laptopy, by móc śledzić spektakl, który zaraz rozpocznie się za ogrodzeniem bazy, gdzie mogli się dostać wyłącznie akredytowani dziennikarze.

KANAL GENESIS

Poniedziałek 11 grudnia, godz. 15.20**OGRÓD NOWEGO EDENU, POŁUDNIE CZASU MARSJAŃSKIEGO.**

Taki napis pojawia się u dołu ekranu, na którym widać sad jabłoni skąpany w czerwonej poświacie marsjańskiego dnia.

Uczestnicy programu stoją w parach pod drzewkami obwieszonymi czerwonymi soczystymi owocami. Chłopcy, ubrani w czarne garnitury, kamizelki i muszki, wyglądają niezwykle ujmująco. Obraz ożywiają białe suknie dziewcząt, o przeróżnych krojach. Tylko jedna para pozostaje rozdzielona – ale nie jest to para ludzka: Louve i Warden przywiązani smyczami do dwóch oddalonych jabłoni łąpią na siebie wrogo i nieufnie.

Na ścianie kopuły naprzeciwko wyświetla się widok na platformę startową w bazie na przylądku Canaveral, przystrojona na tę okazję w ślubną biel.

*Cięcie.***BAZA NA PRZYŁĄDKU CANAVERAL, GODZ. 15.20 (CZASU WSCHODNIOAMERYKAŃSKIEGO)**

Widok z góry na platformę startową z kamery unoszącej się wysoko w powietrzu. Pomiędzy wysokimi filarami rozwieszono gigantyczne zasłony z białej satyny, wszędzie wokół rozstawiono wazony z białymi liliami. U stóp metalowej konstrukcji kłębią się dziennikarze w smokingach i sukniach koktajlowych. Zbliżenie kamery: cienie pod oczami zebranych zdradzają, że niektórzy są tu już od wczoraj, jednak radość ze znalezienia się wśród wybrańców mogących relacjonować *ślub stulecia* na żywo, pozwala zapomnieć o zmęczeniu.

Kamera znów się oddala, ukazując całą platformę. Na podest wchodzi Serena McBee. Ciągnie za sobą długi tren sukni z perłowszarej tafty. W ślad za nią na platformę wkraczają przedstawiciele różnych religii: katolicki kardynał w purpurze, prawosławny pop z długą białą brodą, ubrany na czarno pastor, buddyjski mnich w szafranowej szacie, bramin z czołem ozdobionym kolorowymi znakami. Ustawiają się przed jedną z ogromnych satynowych zasłon, podczas gdy Serena McBee wspina się po schodkach prowadzących na mównicę.

– Drodzy uczestnicy programu! – mówi do mikrofonu, zwracając się ku czterem gigantycznym ekranom pokazującym grupę młodych par. – Jesteście tacy piękni! Jestem ogromnie wzruszona, widząc was dziś stojących przede mną i przed towarzyszącymi mi duchownymi. Upłynęło osiemnaście miesięcy od chwili, gdy wybrałam was do tego programu, a zdaje mi się, jakby to było osiemnaście lat!

Tak, wydaje mi się, jakbyście byli moimi dziećmi, które wykarmiłam własną piersią. Mówi się, że dzień, w którym prowadzi się córkę lub syna do ołtarza, to zarazem najszcześniejszy i najbardziej przejmujący dzień w życiu matki. Cóż, ja przeżywam dziś to wszystko dwunastokrotnie... – Serena przerywa na chwilę, by wyjąć szarą jedwabną chusteczkę, którą delikatnie ociera kąciki oczu, po czym ciągnie radosnym tonem: – Obiecuję uczynić wszystko, co w mojej mocy, by nie płakać. Nie chcę swymi łzami przyćmić radości tego dnia. Jak wiecie, by uszanować przekonania i wyznanie wszystkich uczestników, zaplanowaliśmy ceremonię ekumeniczną.

Kamera zwraca się w stronę duchownych, prezentując ich po kolei. Serena tymczasem kontynuuje swoje przemówienie z offu:

– Dzięki naszym dwanaściorgu bohaterom urzeczywistnia się dziś piękna wizja braterstwa między narodami! W tym właśnie przejawia się szlachetny duch programu Genesis. To ludzka różnorodność w całej swej wspaniałości w obrazie i... muzyce!

Na te słowa, zasłona za plecami duchownych się rozsuwa, ukazując stopnie, na których stoją dziesiątki śpiewaków i śpiewaczek o wszystkich kolorach skóry, ubranych w identyczne nieskazitelnie białe stroje, tworząc razem wielki chór gospel.

Kamera ukazuje teraz środek trybuny, gdzie wznosi się podium zbudowane na wzór antycznej kolumny ze żłobieniami w stylu doryckim. Na szczycie kolumny stoi para, niczym dwa posągi greckich bóstw górujących nad światem z frontonu świątyni. To Jimmy Giant i Stella Magnifica, oficjalne gwiazdy programu Genesis. Oni także są w bieli – on ma na sobie idealnie skrojony garnitur, ona jest w sukni wieczorowej z głębokim dekoltem, wyszywanej błyszczącymi kryształkami – i obydwójce mają przymocowane na placach skrzydła z białych piór.

Serena (głos z offu): Mistrzami ceremonii będą dziś Jimmy Giant i Stella Magnifica. Czy może być coś lepszego, niż dwoje aniołów udzielających ślubu dwunastu innym aniołom?

Jimmy Giant (kłania się nisko ze szczytu podium, rozpościerając szeroko swoje skrzydła): Panie i panowie, Stella i ja mamy nadzieję, że uda nam się stanąć na wysokości zadania...

Stella Magnifica (pochyliła się delikatnie do przodu, jakby wyglądała za krawędź kolumny. Patrzy w przestrzeń swymi oczami błękitnymi jak morza Południa, po czym wykrzykuje): Sądzę, że to nam się już udało, Jimmy! Ojej, jak tu wysoko!

Piosenkarz natychmiast znajduje odpowiedź, najwyraźniej recytując kwestię z przygotowanego wcześniej scenariusza.

Jimmy Giant: Nie mów mi, Stello, że masz zawroty głowy. Powinnaś być do tego przyzwyczajona przy swoich stratosferycznych obcasach!

Stella Magnifica (wybuchając wystudiowanym, operetkowym śmiechem i mrużąc oczy, które w międzyczasie stały się zielone – nosi soczewki zmieniające kolor, ostatni krzyk mody): Mój Boże, Jimmy, jaki jesteś zabawny! Przestań mnie rozśmieszać, bo przez ciebie stracę równowagę i spadnę!...

Udaje, że się chwieje, ale Jimmy chwyta ją w tali i dopowiada uwodzicielsko: ... prosto w moje ramiona?

Stella Magnifica (trzepocze sztucznymi rzęsami przyozdobionymi delikatnymi białymi piórkami, które kontrastują teraz z oszalamiającymi fioletowymi tęczówkami): Ale z ciebie łamacz serc niewieścich, Jimmy! Ale może zajmij się wreszcie uczestnikami programu, zamiast się ze mną droczyć!

Ten, którego prasa okrzyknęła „nowym Jamesem Deanem”, odrzuca nonszalancko swe jasne włosy.

Jimmy: Masz rację, Stello, ten dzień należy do uczestników programu. To dzień pierwszej z par, które dziś się pobiorą, czyli Kris i Aleksieja. A mówiąc o tych, co łamią niewieście serca... całe szczęście, że on znajduje się już na Marsie, a nie na Ziemi, bo w przeciwnym razie miałbym tu straszną konkurencję...! (Wybuch śmiechu Stelli i tłumu dookoła) Żartuję! Nasz dzielny Rosjanin od razu zakochał się w przepięknej Niemce i chyba mogę powiedzieć, że ich związek jest mocny jak stal, prawda Aleks?

Stella (robiąc wielkie oczy do swojego partnera na scenie, co wywołuje tym większe wrażenie, że te oczy są teraz pomarańczowe): Ależ, Jimmy! Wszyscy wiemy, że jesteś współczesnym buntownikiem, o czym przypomina nam twój ostatni album zatytułowany *Buntownik bez powodu*, ta doskonała płyta już do nabycia w najlepszych sklepach muzycznych! Jednak dzisiaj buntownik mógłby podporządkować się konwenansom i tradycji! To w końcu ślub stulecia! Może jednak zadałbyś Aleksiejowi to pytanie w nieco bardziej uroczysty sposób?

Jimmy Giant (kiwając głową): Masz rację, Stello, a korzystając z okazji, chciałbym podkreślić, że uwielbiam twój ostatni singiel! *Diva Divina* to absolutna rewelacja!

Po niezbędnych wtrętach reklamowych obraca się wokół i celuje spojrzeniem prosto w kamerę.

Jimmy Giant (przybierając pozę wyćwiczoną na warsztatach aktorskich, pyta): Aleksieju, czy bierzesz sobie tę oto Kirsten za żonę i przyrzekasz jej miłość i wierność, w zdrowiu i w chorobie, dopóki was śmierć nie rozłączy?

Chór intonuje rosyjską pieśń religijną, podczas gdy uroczyste pytanie ulatuje ku niebu, by pokonać pięćdziesiąt pięć milionów kilometrów dzielących efemeryczną świątynię na przylądku Canaveral i ogród Nowego Edenu.

OGRÓD NOWEGO EDENU, GODZ. 12.14 (CZASU MARSJAŃSKIEGO)

Zbliżenie na pierwszą parę: Aleksieja i Kirsten. On stoi dumny i wyprostowany, z podniesionym wysoko czołem i jasnym spojrzeniem. Ona

wspiera się na jego ramieniu, zjawiskowo piękna i pełna wdzięku. Włożyła delikatną suknię z białego lnu w stylu Empire, z podkreślającą biust romantyczną koronką. W koronę warkoczy specjalnie na tę okazję wpięła długie listki marsjańskich jabłoni. Wygląda jak bohaterka powieści, która wy dostała się na świat z kart książki, kwitnące dziewczę z baśni.

Wyświetlający się naprzeciwko nich na ścianie kopuły Jimmy Giant jeszcze nigdy nie był tak godny swego nazwiska jak w tej chwili. Jego twarz w wielkim zbliżeniu jest teraz rzeczywiście obliczem olbrzyma. Z jego ust wydobywa się tubalny głos.

Jimmy Giant: Aleksieju, czy bierzesz sobie tę oto Kirsten za żonę i przyrzekasz jej miłość i wierność, w zdrowiu i w chorobie, dopóki was śmierć nie rozłączy?

Aleksiej (wypinając pierś, jakby chciał stać się tak wielki jak wyświetlający się przed nim kolos): Przyrzekam!

BAZA NA PRZYŁĄDKU CANAVERAL, GODZ. 15.37 (CZASU WSCHODNIOAMERYKAŃSKIEGO)

– Przyrzekam! – rozlega się w głośnikach przy każdym z czterech gigantycznych ekranów pokazujących twarz Aleksieja.

Lilie w wazonach drżą. Śpiew chóru zostaje zagłuszony przez wrzask publiczności, tak donośny i długi, że Stella Magnifica musi podnieść rękę, prosząc o ciszę, by sama mogła zabrać głos.

Stella Magnifica: A ty, Kirsten, czy bierzesz sobie tego oto Aleksieja za męża i przyrzekasz mu miłość i wierność, w zdrowiu i w chorobie, dopóki was śmierć nie rozłączy?

Chór intonuje teraz nową pieśń, tym razem jest to chorał gregoriański. Kiedy utwór się kończy, na ekranie znów pojawia się transmisja z Marsa.

OGRÓD NOWEGO EDENU, GODZ. 12.20 (CZASU MARSJAŃSKIEGO)

Zbliżenie na promienną twarz Kirsten, podczas gdy wybrzmiewa pytanie zadane przez Stellę Magnificę trzy minuty wcześniej.

Kirsten (wybuchając radością): Tak! Przyrzekam!

Ledwie dziewczyna wypowiada te słowa, Aleksiej pada na kolana u jej stóp. Odpina muszkę i wyciąga spod kołnierzyka koszuli łańcuszek, na którym wisi pierścionek z diamentowym oczkiem. Zdejmuje go z łańcuszka i wkłada delikatnie na palec Kris, w której oczach pojawiają się łzy wzruszenia.

W chwili gdy chłopak wstaje, na ekranie na ścianie kopuły Jimmy Giant i Stella Magnifica wołają jednym głosem wielokrotnie ćwiczoną formułę.

Jimmy i Stella: Aleksieju i Kirsten, odtąd jesteście jednością jako mąż i żona!

Pod kopułą przez krótką chwilę pojawiają się na ekranie duchowni: pop i kardynał udzielają swego błogosławieństwa.

Następnie kamera zwraca się w stronę kolejnej pary, Kenjiego i Kelly.

Dziki Japończyk ułożył swe gęste włosy w coś na kształt hełmu wojownika najeżonego ostrymi kolcami. Kanadyjka po raz pierwszy zebrała włosy w koński ogon, uwydatniając idealne rysy twarzy o wysokich kościach policzkowych. Wygląda sztywnie w długiej sukni z obfitą spódnicą.

BAZA NA PRZYŁĄDKU CANAVERAL, GODZ. 15.43 (CZASU WSCHODNIOAMERYKAŃSKIEGO)

Jimmy Giant (gwizdząc z podziwem): Wow! Kelly, ale klasa! I nie mówię tego dlatego, że pochodzimy z tego samego kraju. Ani dlatego, że jesteś jedną z moich największych fanek. Pokazałaś nam już, że potrafisz być piekielnie seksowna, a teraz udowadniasz, że możesz być dystygowana jak księżniczka. Masz wiele twarzy, podobnie jak nasza piękna ojczyzna: mamy u nas zarówno drwali, jak i królowe angielskie. Kobieta idealna jest Kanadyjką!

Stella Magnifica (besztając współprowadzącego): Wolnego, motylku! To nie ty masz dziś poślubić Kelly!

Jimmy Giant (robiąc smutną minę): No tak... To prawda... Ten szczęśliwiec ma na imię Kenji... (odwraca się w stronę wielkich ekranów). Kenji, czy bierzesz sobie tę oto Kelly za żonę i przyrzekasz jej miłość i wierność, w zdrowiu i w chorobie, dopóki was śmierć nie rozłączy?

Nieruchome oblicze Kenjiego wyświetla się na czterech gigantycznych telebimach, podczas gdy z głośników unosi się niski, gardłowy pomruk – to chór intonujący buddyjski śpiew zen. W tej chwili, w której czas się zatrzymuje, młody Japończyk bardziej niż kiedykolwiek przypomina kota. Jego czarne źrenice wydają się płynne, niczym dwie kałuże atramentu, których powierzchnia drży. Zwykle to drżenie sprawia, że jego spojrzenie zdaje się niepewne i zgubione, jednak w tak dużym zbliżeniu widać, że w oczach chłopaka nie odbija się niepewność, lecz koncentracja – jak u kota wpatrującego się w horyzont, którego inni nie są w stanie dostrzec.

Nagle po trzech minutach jego usta lekko się uchylają.

Kenji (niemal szeptem): Przyrzekam...

Tym razem nie podnosi się wrzawa.

Japoński uczestnik programu ma w sobie coś, co onieśmiela i wzbudza szacunek tłumu.

W ciszy rozbrzmiewają nagle oklaski. To piosenkarka klaszcze w dłonie z wysokości swej kolumny, by ożywić publiczność.

Stella Magnifica (z przesadnym entuzjazmem): To była zgoda! Zgodził się! Wszyscy razem, wielkie hurrra dla Kenjiego!

Wznosi ręce do góry, zachęcając zebranych do zrobienia fali, jak na stadionie piłkarskim, ale nikt jej nie naśladowuje, więc szybko przechodzi do przysięgi.

Stella: No cóż... nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zapytać cię, Kelly, czy bierzesz sobie Kenjiego za męża i przyrzekasz mu miłość i wierność, w zdrowiu i w chorobie, dopóki was śmierć nie rozłączy?

Chór intonuje pieśń dla Kelly – to pieśń gospel, która wrywa tłum z letargu. Tysiące ludzi zaczynają klaskać do rytmu wraz z chórzystami, podczas gdy na ekranie ukazuje się twarz Kanadyjki. Zwykle tak pewna siebie, teraz zdaje się naprawdę wzruszona, przejęta powagą chwili.

Kelly (odpowiada po trzech minutach, pewnym, czystym głosem): Tak, przyrzekam... (Po chwili dodaje, machając nieśmiało dłonią): Dzień dobry, mamó! Cześć, bracia! Wasza mała Kelly wychodzi za mąż. Tak bym chciała mieć was teraz przy sobie... Kocham was!

Kamery nie pokazują więcej, bo uroczystość jest zaplanowana co do sekundy. Po migawce z błogosławieństwem mnicha i pastora od razu pojawia się kolejna para: Tao na swoim wózku inwalidzkim i stojąca u jego boku Fangfang, z dłonią na jego ramieniu. W obcisłej białej sukience ze stójką. Suknia haftowana w kwiaty i smoki jest kwintesencją azjatyckiej finezji i subtelności – może z wyjątkiem złamanych okularów, które dziewczyna naprawiła, jak mogła, przy użyciu taśmy klejącej.

KONTRPLAN

**Platforma startowa, baza na przylądku Canaveral,
poniedziałek 11 grudnia, godz. 15.52**

Stuk! ...

Serena McBee góruje nad platformą startową niczym ogromny posąg, który odwraca się do nas plecami. Stoi sama na mównicy, którą w lipcu, w czasie ceremonii startu dzieliła z dyrektorem Lockiem.

Stuk! ...

Pięć miesięcy później uczestnicy programu nie znajdują się już na platformie, widać ich tylko na otaczających Serenę wielkich ekranach. Nadchodzi kolej Samsona i Safii na złożenie przysięgi małżeńskiej. Mała Hinduska wygląda zachwycająco w białym jedwabnym sari, z długim haftowanym szalem przerzuconym elegancko przez ramię. Piękne czarne włosy zaplotła w gruby warkocz przetykany złotymi nićmi, biżuteria zdobiąca jej twarz także jest ze złota: kółko w prawym nozdrzu połączone łańcuszkiem z kolczykiem. Bindi na jej czole jest szmaragdowe, jak oczy Samsona.

Chór śpiewa afrykańską pieśń.

Stuk! ...

Chórzyści stojący na trybunie z tyłu za mównicą przypominają ustawione w rzędach ołowiane żołnierzyki. Jimmy Giant nie ma w sobie nic z olbrzyma. Stella Magnifica i on, tak imponujący, kiedy kamera pokazuje ich w zbliżeniu, wydają się zupełnie nieistotni: dwie małe figurki, miotające się na swoim podwyższeniu. Duchowni wyglądają jak pionki. Morze ludzi otaczające platformę to tylko bezkształtna masa.

Ręce Sereny McBee zdają się ogromne, jak ręce kolosa w zderzeniu z tym miniaturowym wszechświatem, który rozciąga się poniżej – z tym spektaklem marionetek, który sama stworzyła. Palec wskazujący prawej ręki wybija rytm, uderzając w pulpit. Paznokcie pomalowany srebrzystoszarym lakierem spada rytmicznie na drewniany blat, niczym ostrze gilotyny...

Stuk! ...

Stuk! ...

Stuk! ...

PLAN

**20 miesiąc / 522 sol / godz. 13.04 czasu marsjańskiego
[2 sol od lądowania]**

– Nie wiem, czy Bóg istnieje... – szepczę, wspinając się na palce. Nawet w szpilkach Rosiera muszę się nieco unieść, żeby dosięgnąć ucha Marcusa, który stoi u mego boku.

To tyle w temacie na dziś, myślę sobie, kiedy bramin i pastor błogosławią związek Safii i Samsona. Na pewno jako niemowlę zostałam ochrzczona, bo w śmietniku, w którym mnie znaleziono, był też pamiątkowy chrzcielny medalik. Pod wpływem impulsu postawiłam krzyżyk w rubryce „katoliczka”, bo dzięki temu czułam, że mam jakąś tożsamość. Ale mogę na palcach jednej ręki policzyć, ile razy weszłam do kościoła. Akurat w tej kwestii miano Niszczarki Wątpliwości zupełnie do mnie nie pasuje. Jeśli chodzi o niebo, nie mam żadnej pewności, zawsze wydawało mi się ono bardzo odległe... Nie jestem jak Kris, która jest bardzo wierząca i sakrament małżeństwa ma dla niej ogromne znaczenie, ani jak Fangfang, która bez chwili wahania zaznaczyła w formularzu zgłoszeniowym „niewierząca”.

Nie wiem, co myślę.

I nie wiem, co sądzi o tym Marcus. Podczas randek nigdy nie rozmawialiśmy o religii, mieliśmy tak mało czasu.

– Ja też nie wiem – szepcze głosem, który wydaje mi się oschły, stojąc wyprostowany w swym czarnym garniturze i wpatrując się w ekran na ścianie kopuły. – Ale jeśli Bóg istnieje i stworzył taki świat, pełen niesprawiedliwości i cierpienia, to mam nadzieję, że nigdy go nie spotkam. Wolę myśleć, że cała ta ceremonia to tylko słowa, nic więcej.

Zerkam na niego ukradkiem.

Z miejsca, gdzie stoję, z ramieniem przylegającym do jego ramienia, widzę wyraźnie zarys jego zaciśniętej szczęki, nad zawiązaną pod szyją muchą.

Jego ręka zamyka się na mojej dłoni w białej jedwabnej rękawiczce.

– Wierzę w ciebie, bo ty jesteś tu przy mnie, a do tego jesteś najpiękniejszą panną młodą – dodaje cieplejszym tonem. – To mi wystarczy. Jesteś wszystkim, czego potrzebuję.

Wierzy we mnie?

Spuszczam wzrok na wyszywany perłami gorset z białej satyny, który ścisną mi talię i okrywa ramiona na tyle, by zasłonić Salamandrę, a później na tren

z holograficznej tkaniny, który kłębi się u moich stóp. Wygląda jak morze, falujące i nieruchome zarazem, które złapało tęczę w odmęty swych białych bałwanów. Nawet Stella Magnifica nie miała nigdy na sobie równie wyszukanej kreacji.

Wbrew temu, co sugeruje Marcus, nie ma we mnie żadnej boskości, nawet jeśli ludzie z Rosiera użyli wszystkich swoich zdolności, bym wyglądała jak nimfa wyłaniająca się z morskiej piany. Jestem zwykłą dziewczyną i wiara, jaką pokłada we mnie mój przyszły mąż, bardzo mnie onieśmiela. Odrywam wzrok od sukni i pozwalam mu błędzić po ogrodzie, by wreszcie padł na parę składającą przysięgę, Mozarta i Elizabeth.

Mozart, wyglądający jak z żurnala, ze spojrzeniem skierowanym w stronę gigantycznego ekranu, zupełnie nie przypomina chuligana, którego poznałam w Kuli Spotkań przed pięcioma miesiącami, w koszulce opinającej muskuły, z bokserkami wystającymi spod paska spodni i czarnymi kosmykami włosów zawiadaczająco opadającymi na oczy. Dziś zaczesał włosy do tyłu, odsłaniając czoło, co nadaje mu szlachetny, nieco poważny wygląd. Liz promienieje u jego boku w sukni z białej organzy o fasonie syreny, która opina jej idealne ciało. Tworzą razem naprawdę piękną parę.

– Mozarcie, czy bierzesz sobie tę oto Elizabeth za żonę i przyrzekasz...

W chwili, gdy Jimmy Giant wypowiada słowo „żonę”, Mozart odwraca się w moją stronę – och, to ledwie zauważalny ruch szyi, którego kamery nie wychwycą, ale wystarczający, bym znalazła się w jego polu widzenia i by nasze spojrzenia na sekundę się spotkały.

Natychmiast spuszczam wzrok i wbijam go w ziemię przez cały czas, kiedy Mozart i Liz składają sobie przysięgę. Dlaczego popatrzył na mnie? Skłamałabym, wmawiając sobie, że to był przypadek. Jego spojrzenie biegło ku mojemu bez cienia wahania. Mam wrażenie, że wciąż widzę przed sobą te oczy, jakby ich obraz zapisał się na mojej siatkówce: dwie czarne źrenice, błyszczące, płonące, wbijające się we mnie. Nie należy dawać się zwieść pozorom, mimo eleganckiego garnituru i starannie uczesanych włosów, Mozart wciąż jest tym samym gwałtownym i pełnym żaru chłopakiem, którego poznałam. I najwyraźniej, w tej chwili, kiedy powinien myśleć wyłącznie o Liz, wciąż jeszcze coś do mnie czuje...

Muszę podnieść głowę, kiedy przychodzi kolej na mnie i Marcusa; ale skrzętnie unikam patrzenia w kierunku Mozarta. A Jimmy Giant zwraca się już do nas z gigantycznego ekranu na ścianie kopuły.

– Marcusie, czy bierzesz sobie tę oto Léonor za żonę i przyrzekasz jej miłość i wierność, w zdrowiu i w chorobie, dopóki was śmierć nie rozłączy? – pyta.

– Tak – odpowiada krótko Marcus.

Rozpoczyna się sześć minut oczekiwania.

Kiedy rozbrzmiewa nowa pieśń gospel, przypominam sobie tamtą ceremonię, kiedy zawahałam się przed startem, gdy nie wiedziałam nic o chłopcach

stojących po drugiej stronie kurtyny. A teraz poślubiam jednego z nich i to wydaje się zupełnie szalone!

Pojawia się przede mną dziwna twarz Stelli Magnifici, jej oczy zmieniają kolor tak często, że mam wrażenie, iż patrzę na kameleona.

– Śliczna suknia, Léonor – mówi z nutką zazdrości w głosie. – Szkoda, że nie będziesz miała więcej okazji, by ją włożyć. Ale rozproszyłam się. Powiedz mi raczej, czy bierzesz sobie tego oto Marcusa za męża i przyrzekasz mu miłość i wierność, w zdrowiu i w chorobie, dopóki was śmierć nie rozłączy?

Czy to tylko słowa, jak twierdzi Marcus? Być może. Ale nawet jeśli dziś są tylko częścią maskarady, pokolenia, które ich słuchały, nadały im głębokiego sensu. Za każdym razem, kiedy słyszę zakończenie tej sentencji: „dopóki was śmierć nie rozłączy”, moje serce na moment się zatrzymuje.

– Tak! – wykrzykuję, jak echo powtarzające słowa milionów dziewcząt, które odpowiedziały na to pytanie przede mną. – Po stokroć tak! – powtarzam, rzucając wyzwanie śmierci, która, przyrzekam to sobie, szybko nas nie rozłączy.

Dostrzegam Kris, która uśmiecha się do mnie z drugiego końca sadu. Poświęciła dziś mnóstwo czasu mojej fryzurze, odtwarzając piękne upięcie, które już kiedyś zrobiła mi na pokładzie Cupido. Ja zajęłam się jej makijażem, choć jest taka śliczna, że wcale go nie potrzebuje. W tej chwili promienieje szczęściem przy dźwiękach francuskiej pieśni religijnej wykonywanej przez chór. Aleksiej ma rację, to prawdziwy anioł.

– Marcusie i Léonor, odtąd jesteście jednością jako mąż i żona! – wykrzykują razem dwie gwiazdy popu po sześciu minutach, podczas gdy kardynał uśmiecha się do nas dobrotliwie i nam błogosławi.

– Tak oto wszystkie związki małżeńskie zostały zawarte – podsumowuje duchowny. – Hmm... jak każe zwyczaj... mówię oczywiście w imieniu moich braci innych wyznań... cóż... sądzę, że małżonkowie mogą pocałować swoje młode żony!

Nagle zdaje mi się, że zaraz upadnę. Przez głowę przebiega mi myśl, że to zmniejszona siła grawitacji znów płata mi figle, choć zdawało mi się, że już się do niej przyzwyczaiałam... ale szybko dociera do mnie, że grawitacja nie ma tu nic do rzeczy. Silna dłoń przeslizguje się po moich plecach, by mnie przytrzymać, druga chwyta mnie delikatnie za podbródek, tak samo jak ja trzymałam podbródek Marcusa ostatniego wieczoru, kiedy próbowałam go reanimować.

– Marcus, ja...

– Powiedz, czy jestem dobrym uczniem i czy sobie przyswoiłem instrukcje techniczne, których mi wczoraj udzieliłaś.

Jego wargi dotykają moich ust, tłumiąc dalsze słowa.

KANAL GENESIS

Poniedziałek 11 grudnia, godz. 16.40

Szeroki plan. Widok na sad jabłoni na szczycie ogrodu Nowego Edenu.

Sześć splecionych par na tle obwieszonych owocami drzewek.

Na gigantycznym ekranie chórzyści znów wstają, przygotowując się do wielkiego finału. Oczywiście odśpiewują *Cosmic Love*. Jednak tym razem żarliwość i zaangażowanie śpiewających przesłaniają komercyjny charakter hymnu programu Genesis. Te setki zjednoczonych głosów i huk wspaniałych fajerwerków wystrzelonych w biały dzień zagłuszają prymitywny podkład smyczków i syntezatorów; także głosy Jimmiego Gianta i Stelli Magnifici nikną.

W miarę jak śpiew narasta, a niebo mieni się kolorami, na kopule wyświetlają się zdjęcia z czterech stron świata. Place i stadiony wypełniają po brzegi pary w różnym wieku i różnej narodowości.

Całują się. Miliony kobiet i mężczyzn, chłopców i dziewcząt, chłopców i chłopców, dziewcząt i dziewcząt. A u dołu ekranu pędzi licznik:

KISS IN GENESIS

POD KONTROLĄ KOMISJI REKORDÓW GUINNESSA

LICZBA POCAŁUNKÓW:

[963 254 783]

...

[982 567 001]

...

[999 893 123]

...

[1 015 299 237]

PLAN

20 miesiąc / 522 sol / godz. 13.30 czasu marsjańskiego
[2 sol od lądowania]

– *Ponad miliard pocałunków!*

Głos Sereny McBee przywołuje mnie do rzeczywistości.

Moje ciało powoli wraca do pionu, a ja znów czuję marsjańską grawitację, po najbardziej oszałamiającym doświadczeniu nieważkości w moim życiu.

– *Wywołaliście lawinę namiętności!* – komentuje Serena z offu, gdy na kopule migoczą zdjęcia milionów całujących się ludzi. – *Pobiliście wszelkie rekordy! Ponad miliard pocałunków! Powtarzam, bo trudno w to uwierzyć, ale ta informacja została potwierdzona przez specjalną komisję rekordów Guinnessa!...*

Nie słucham trajkotania Sereny, bo z miliarda pocałunków dla mnie liczył się tylko jeden.

– Muszę przyznać, że uczestnik kursu pierwszej pomocy całkiem nieźle sobie poradził – mówię do Marcusa, który wciąż trzyma mnie w ramionach. – Gratulacje od komisji egzaminacyjnej.

– Uczeń rwie się do nauki – odpowiada z uśmiechem wyrażającym coś między złośliwością i prowokacją. – Naprawdę zależy mu na dobrych ocenach. Obiecuje, że będzie się bardzo przykładał.

– Jaki gorliwy!

Prostuję się zupełnie, kiedy ziemskie pary na ekranie kopuły nikną, ustępując miejsca Serenie McBee. Cóż, wszystko, co dobre, szybko się kończy.

– Hot! Hot! Hot! – wykrzykuje Serena, wachlując się dłonią. – *Co za emocje, moi drodzy! Co za szczęście, co za radość!* – Nagle poważnieje i ogłasza uroczyste: – *Pozwólcie, że w tym radosnym momencie wspomnę waszych zmarłych instruktorów... I zaproszę na scenę tych, którzy prowadzili i inspirowali program Genesis. Proszę więc o chwilę zadumy...*

Ekran na ścianie kopuły ukazuje nam teraz w szerokim planie całą platformę startową, podczas gdy w powietrzu rozbrzmiewają pierwsze takty doskonale znanej piosenki *Show must go on* zespołu Queen. Na gigantycznych telebimach zawieszonych na metalowych filarach między satynowymi zasłonami wyświetlają się portrety naszych instruktorów – tak obrobione w Photoshopie, że prawie całkiem plastikowe, na których zmarszczki Geronima Blackbulla zdają się wyprasowane, a krzywy uśmieszek Odette Stuart-Smith jest niemal sympatyczny. W rzeczywistości ten spektakl mrozi krew w żyłach i jest brutalnym

otrzeźwieniem, po wszystkich cudownych emocjach związanych ze ślubem. Kiedy portrety tych morderców, przedstawianych w roli męczenników przemykają po ekranie, na platformę wchodzi wszyscy szeregowi pracownicy programu Genesis, dołączając do duchownych i chórzystów. Kobiety i mężczyźni, dzięki którym ta misja stała się możliwa, zostali zwolnieni z obowiązku noszenia służbowych, szarych strojów. Pozwolono im ubrać się w najpiękniejsze sukienki i najlepsze garnitury. Widzę, że są naprawdę wzruszeni, że zaproszono ich na ślub stulecia. Widzę, jak głęboko wstrząsnęła nimi śmierć instruktorów, z których pozostał tylko Arthur Montgomery, stojący teraz w smokingu, sztywno, jakby połknął kij od szczotki. Ich szczery żal łamie mi serce, bo wiem, że wszyscy padli ofiarą oszustwa. Wierzą, że są częścią pięknego snu, nie zdając sobie sprawy, że w rzeczywistości to koszmar; myślą, że oplakują tragicznie zmarłych kolegów, podczas gdy zostali zmanipulowani przez bandę najpodlejszych drani, jakich można sobie wyobrazić. W dniu, w którym dowiedzą się, że nieświadomie przyłożyli rękę do morderczego spisku i wysłali nas na pewną śmierć, doznają strasznego rozczarowania...

Gdy piosenka się kończy, a na ekranach pojawia się czarna plansza z napisem NIGDY O WAS NIE ZAPOMNIMY, czuję, że bardzo żal mi tych ludzi i duchownych, których Serena wykorzystwała, i chórzystów, którzy dla nas dali z siebie wszystko, i niezliczonych widzów kanału Genesis.

– *Dziękuję. Trzy minuty minęły!* – odzywa się nagle reżyserka tego potwornego kukielkowego teatru. Kamera znów robi zbliżenie na jej twarz. Uśmiech wrócił na jej oblicze równie łatwo i szybko, jak z niego zniknął. – *Możemy cieszyć się dalej tym cudownym dniem!* – ogłasza. – *Teraz, kiedy zawarliście małżeństwa, nie jesteście już uczestnikami programu, lecz oficjalnie staliście się marsjańskimi osadnikami, marsjańskimi pionierami! Odtąd tak będziemy was nazywać, ponieważ podążacie na czele pochodu, przecierając nowe szlaki, zdobywając nowe terytoria i szukając ludzkości świetlaną przyszłość!*

Uśmiech Sereny rozszerza się o kilka milimetrów – niewielka zmiana, której zapewne nie da się dostrzec na ekranie telewizora, komórki czy tabletu, ale doskonale widoczna na ścianie kopuły, która służy nam za gigantyczny telebim.

– *Nadszedł czas, by przejść do drugiego najważniejszego wydarzenia tego historycznego dnia: licytacji!* – ciągnie. – *Wszystkie pieniądze, które darczyńcy wysyłali wam przez ostatnie miesiące, w końcu zostaną wykorzystane! Drodzy pionierzy, spotkamy się za chwilę, po krótkiej przerwie reklamowej!*

KANAL GENESIS

Poniedziałek 11 grudnia, godz. 16.57

Przejdźcie od czarnego tła do widoku ogromnej kurtyny z czerwonego aksamitu.

Nagle rozbrzmiewa pierwszy akord rozpoczynający symfonię graną przez niewidzialną orkiestrę. To muzyka Prokofiewa ze słynnego baletu *Kopciuszek*. W tej samej chwili kurtyna się rozsuwa, ukazując szeroką scenę opery oświetloną potężnymi reflektorami. Na scenę wchodzi zespół baletowy: dziesiątki bosych tancerek w spódniczkach tutaj we wszystkich kolorach tęczy. Przechodzą przed tancerzem grającym rolę Księcia – tajemniczym młodym mężczyzną w trykocie, który przyklęknął na jedno kolano, trzymając w dłoni kryształowy pantofelek, błyszczący niczym diament.

Zbliżenie na bosc stopy próbujące wcisnąć się kolejno w szklany bucik. Jednak żadnej się to nie udaje.

Na ekranie pojawia się napis eleganckim krojem imitującym pismo odręczne:

Czasem w życiu zdarzają się drobne rozczarowania.

Nagle muzyka się zmienia i staje się bardziej majestatyczna.

Szeroki plan: w głębi sceny pojawia się nowa tancerka. Choć jej spódnica jest szara, dziewczyna jest wyższa, piękniejsza i bardziej elegancka od pozostałych. To Elizabeth w tytułowej roli *Kopciuszka*, primabalerina. Wykonuje wspaniały wysoki skok, wygląda, jakby leciała ku Księżciu.

Zbliżenie w zwolnieniu – jej stopa zaczyna się wślizgiwać do pantofelka, jednak skok jest zbyt szybki, szkło pęka, kryształowy pantofelek rozpryskuje się na tysiąc kawałków.

Zgromadzeni wykrzykują ze zdumieniem: „Och!”.

Seria zbliżeń na przerażone lub oburzone twarze tancerek, później na oszołomionego Księcia, podczas gdy pojawia się nowe hasło:

Czasem w życiu zdarzają się poważne wypadki.

Księżę wstaje z kolan: „Roztrzaskałaś kryształowy pantofelek, panienko...”.

Elizabeth odpowiada z szerokim uśmiechem: „Nie martw się, wasza wysokość, jestem ubezpieczona w firmie Walter & Seel”.

Na te słowa twarz Księcia jaśnieje: „Nie potrzebuję już pantofelka: znalazłem swoją księżniczkę!”.

Całuje Elizabeth na oczach osłupiałych baletnic.

Zatrzymanie kadru.

Kiedy wybrzmiewają ostatnie akordy muzyki, na ekranie pojawia się hasło:

Walter & Seel

KOMPLEKSOWE UBEZPIECZENIA,

ELASTYCZNE UMOWY

U nas znajdziesz to, czego szukasz!

Cięcie!

PLAN

20 miesiąc / 522 sol / godz. 13.39 czasu marsjańskiego
[2 sol od lądowania]

– Jak myślicie, którą reklamę teraz puszczać? – pyta Kris.

Ściany kopuły znów stały się przezroczyste, ukazując czerwony nieruchomy pejzaż Ius Chasma. Ten bezruch ma w sobie coś oszałamiającego po tym całym widowisku ze śpiewakami, duchownymi, gwiazdami estrady i miliardem całujących się par na całym świecie.

– Nie wiadomo, mój aniele. Nie mamy przecież dostępu do kanału Genesis – odpowiada Aleksiej, całując Kris w czoło. – Jednak bardzo bym chciał zobaczyć, jak zagrałaś, jestem pewien, że kamery cię pokochały!

– O nie, wręcz przeciwnie! – zaprzecza moja przyjaciółka. – Kiedy kręciłam reklamówkę dla laboratoriów Apotech, musiałam powtarzać każdą scenę po dwadzieścia razy, taka byłam beznadziejna!

Wracają do mnie wspomnienia z mojego własnego planu zdjęciowego. Pod koniec naszego rocznego szkolenia w Dolinie Śmierci każdy sponsor *platinum* miał prawo do jednego słono opłaconego tygodnia ze swoim uczestnikiem. Czas ten przeznaczano na sesje zdjęciowe, kręcenie filmów, wywiady, na produkcję wszystkich materiałów reklamowych, jakie miały zostać wykorzystane po starcie misji. Muszę przyznać, że pracownicy Rosiera & Merceaugnaca byli dla mnie wspaniali. Przynosili mi przepyszne makaroniki, ciągle pytali, czy nie czuję się zmęczona, bez słowa zgadzali się na moje wymagania dotyczące ubioru, czyli kategoryczne odrzucanie strojów z odkrytymi plecami i ramionami (no dobra, wcisnęli mi do walizki uroczą satynową koszulę nocną na ramiączkach, ale jestem pewna, że mieli dobre intencje). Fizjoterapeutka masowała mi kark między kolejnymi ujęciami (znów nie zgodziłam się na masaż pleców, z obawy, że jej palce wyczują Salamandrę pod ubraniem). Wszyscy zajmowali się mną jak jakąś gwiazdą, strasznie mnie to onieśmielało! Po tych siedmiu szalonych dniach byłam wyczerpana, ale i wdzięczna, upojona poczuciem, że zostałam doceniona – bo miałam wrażenie, że ci ludzie są tam nie tylko dla pieniędzy, ale też dlatego, że kochają swój zawód i że mnie też trochę kochają, nie tylko jako modelkę czy maskotkę, ale jako mnie samą, Léonor, taką, jaka jestem.

– *Wracamy na antenę, by przeprowadzić licytację!* – wykrzykuje nagle głos Sereny McBee, brutalnie przywołując mnie do terażniejszości.

Znów pojawiła się na ścianie kopuły, przesłaniając marsjański krajobraz.

O niej też kiedyś myślałam, że mnie kocha, co okazało się fatalną pomyłką. Prawda jest taka, że nigdy się nie dowiem, co ludzie od Rosiera & Merceagnaca naprawdę o mnie myśleli. Oni należą już do innego świata, który dla mnie bezpowrotnie przeminął.

Przytulam się mocniej do piersi Marcusa, podczas gdy Serena kontynuuje swój popis:

– *Przyjrzyjcie się dokładnie temu, co wyświetli się teraz na ścianie kopuły, drodzy pionierzy, a wy, drodzy widzowie, temu, co zobaczycie na ekranach telewizorów...*

Obok prowadzącej pojawia się tabela – lista wszystkiego, co można kupić za dolary z Posagów.

– *Towary są podzielone na kategorie, przy każdym określono liczbę sztuk i cenę* – komentuje Serena, wchodząc z niepokojącą łatwością w rolę prezenterki telezakupów. – *W kategorii „mieszkanie” mamy sześć wspaniałych Gniazd Miłości, siódme, przypominam, było początkowo pomyślane jako schronienie w razie awarii...*

Zastygam, słysząc kolejne kłamstwo. Fakty, o których widzowie i inżynierowie z przylądka Canaveral nie mają pojęcia, są takie, że do awarii już doszło. W samym środku przedostatniej Wielkiej Burzy Piaskowej, 511 sola, 18 miesiąca, kiedy łączność między Marsem a Ziemią na godzinę się urwała, a zwierzęta wysłane tam w tajemnicy jako nasi poprzednicy z nieznanego przyczyny w jednej chwili padły martwe.

Serena ciągnie jak gdyby nigdy nic:

– *... ten ostatni moduł mieszkalny będzie także pełnił funkcję Relaksowni, miejsca prywatnych konsultacji, których będę udzielać pionierom, by leczyć wielkie rany duszy jak i drobne problemy sercowe!*

Relaksownia...

Czuję, że niedobrze mi już od tej hipokryzji. Jasne, że na antenie nie mogła tego nazwać „umieralnią”, choć właśnie taka jest prawda. Ale wolałabym coś w rodzaju „miejsce na wygodne spotkanie z doktor McBee”. Wtedy, idąc na spotkanie z nią, moglibyśmy wołać: „Serena mnie wzywa! Idę do »Wygódki«!” – to by było idealne.

– *W kategorii „transport” z pewnością zachwycą was cztery niezawodne terenowe minilaziki. Mają tylko trzy miejsca i służą wyłącznie do użytku prywatnego, w przeciwieństwie do wspólnego dwunastoosobowego maksilazika, przeznaczonego dla wszystkich do wypraw badawczych.*

W kategorii „wygoda” oferuję wam dwa wspaniałe roboty-lokaje, niezwykle przydatną drukarkę 3D oraz ciepłą wodę wytwarzaną przez minielektrownię jądrową ukrytą głęboko pod stacją podtrzymywania życia w bazie Nowy Eden w ilości trzystu siedemdziesięciu pięciu litrów dziennie.

NOWY EDEN /

licytacja



MIESZKANIE

Wielkie Gniazdo Miłości
× 2
250 000 000 \$ / sztuka



Małe Gniazdo Miłości
× 4
150 000 000 \$ / sztuka



TRANSPORT

Terenowy minilazik
× 4
72 000 000 \$ / sztuka

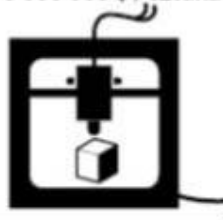


WYGODA

Robot-lokaj
× 2
95 000 000 \$ / sztuka



Drukarka 3D
× 1
100 000 000 \$ / sztuka



Ciepła woda
375 litrów / dzień
1 000 000 \$ / litr



ZYWNOŚĆ

Jabłonie
× 4
8 000 000 \$ / sztuka



Plantacje marchwi
× 6
10 000 000 \$ / plantacja



Plantacje truskawek
× 6
10 000 000 \$ / plantacja



I wreszcie, last but not least, w kategorii „żywność”, jako dodatek do waszej codziennej porcji owsa, ziemniaków, soi i witamin, wystawiamy na aukcję jabłonie, plantacje marchwi i truskawek, specjalnie wyselekcjonowanych ze względu na dużą zawartość substancji odżywczych i witamin i tak zmodyfikowanych genetycznie, by owocowały przez cały rok. – Serena zaciera upierścienione dłonie. – No dobrze, moi kochani, myślę, że możemy zaczynać! Samantho, proszę, podaj mi młotek.

W kadrze pojawia się młoda kobieta ze ściągniętymi do tyłu włosami, z zestawem słuchawkowym przy uchu, prezentując elegancki drewniany młoteczek leżący na aksamitnej poduszeczce.

– Proszę bardzo, pani McBee, z czereśniowego drewna, tak jak pani prosiła.

Serena chwyta przedmiot, wybuchając tym swoim krystalicznym śmiechem, który sprawia, że jeżą się wszystkie włoski na moim ciele.

– Zawsze chciałam poprowadzić licytację! – wykrzykuje radośnie. – Jakie to ekscytujące! Naprawdę marzyłam o tej roli, chciałam wypowiedzieć słowa: „po raz pierwszy, po raz drugi, po raz trzeci, sprzedane!”.

Trzykrotnie uderza młoteczką w mównicę, jakby chciała sprawdzić, jaki wyda dźwięk: puk! puk! puk!

Najwyraźniej zadowolona, ciągnie:

– Rozpocznijmy od dania głównego, jakby to powiedzieli Francuzi, czyli od Gniazd Miłości. Widzicie je właśnie na ekranie: dwa wspaniałe wielkie mieszkania z trzema sypialniami o łącznej powierzchni 132 m² i cztery urocze mniejsze mieszkanie z dwoma sypialniami o powierzchni 63 m². Rozpoczynam licytację! Cena wywoławcza pierwszego Gniazda Miłości: 250 000 000 \$! Kto chce złożyć ofertę? No dalej, walczcie!

Pod kopułą ogrodu, na ścianie, na której wyświetlają się teraz plany Gniazd Miłości, odpowiada jej tylko cisza.

NOWY EDEN /

Gniazda Miłości

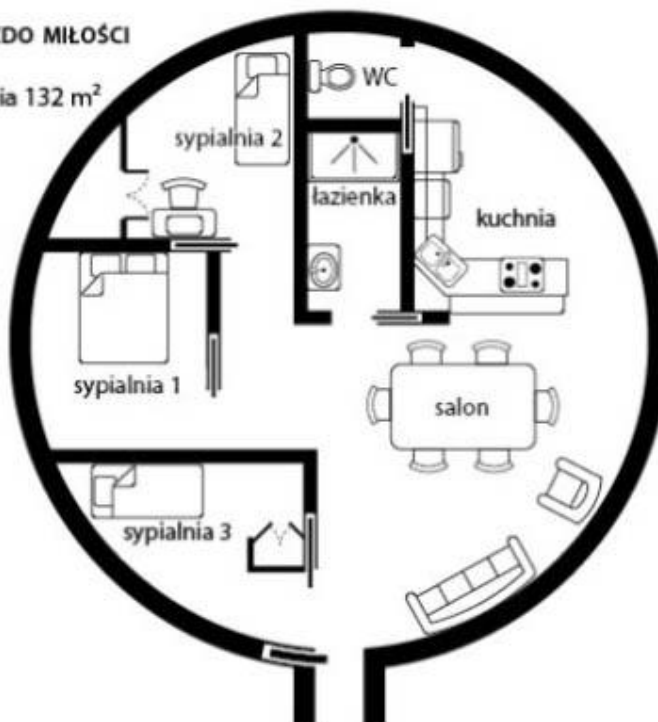


MAŁE GNIAZDO MIŁOŚCI
2 sypialnie
powierzchnia 63 m²



9 m

DUŻE GNIAZDO MIŁOŚCI
3 sypialnie
powierzchnia 132 m²



13 m



Patrzemy na siebie, wystrojeni, nie bardzo wiedząc, jak mamy zareagować. W innych okolicznościach być może bylibyśmy rozbawieni albo podekscytowani całym tym cyrkiem. Ale w obecnej sytuacji nikt nie ma ochoty na udział w tej grze.

– No co, na nas nie patrzcie! – wykrzykuje nagle Kelly, obejmując nonszalancko ramieniem szyję Kenjiego, który obserwuje nas w milczeniu.

Podciągnęła już sukienkę nad kolana, bo było jej za gorąco; a on gdy tylko mógł, od razu zaczesał włosy na twarz, tak, że ledwo widać jego podkrążone tajemnicze oczy.

Zabawna z nich para – platynowa blondyna i mroczny brunet, najbardziej żywiołowa dziewczyna z całej grupy i najskrytszy chłopak. Trudno sobie wyobrazić większe przeciwieństwa. Dwa bieguny. Ale powiedzieli sobie „tak” bez cienia wahania i wiem, że między nimi iskrzy, bo każde jest na swój sposób buntownikiem.

– Nie liczcie, że będziemy licytować – ciągnie Kelly. – Cena wywoławcza jest wyższa niż cały nasz Posąg. Nie mamy czym przebijać, więc wycofujemy się z tej aukcji. Skończymy w jakiejś norze z zimną wodą i zgniłą truskawką na deser. Koniec kropka! Jak powiedziałam: bieda mi nie straszna, przywykłam. Zawsze jakoś dawałam sobie radę.

– Nie musimy licytować!

– Co? Co powiedziałaś, Léo?

Jak wiele razy wcześniej, tak i teraz, słowa wyszły z moich ust, nim zdałam sobie z tego sprawę – tak po prostu, spontanicznie. Jak się nad tym zastanowić, to ma sens... Tak, to naprawdę ma sens!

– Nie musimy licytować – powtarzam. – Ponieważ licytacja zakłada walkę konkurencyjnych nabywców. A my przecież jesteśmy drużyną, tak? Jesteśmy razem, prawda? Podzielmy łupy!

Kelly przeżuwa nerwowo gumę, którą włożyła do ust, ledwie skończyła się ceremonia, i marszczy brwi. Wydaje się, jakby nie potrafiła zrozumieć, do czego zmierzam.

– *Wow!* – rzuca po zrobieniu wielkiego cytrynowego balonu. – Wygląda na to, że pocałunek Marcusa trwał trochę za długo. Z braku tlenu puściły jej wszystkie hamulce, to jasne. Słyszeliście ją? Podzielić łupy? Gada jak jakiś pirat! Ma się za Léo Ognistowłosa!

Ała! Cios poniżej pasa, wspominać o postaci, którą wymyśliłam, gdy czułam się samotna na pokładzie Cupido i którą ciągle malowałam w moim tablecie. Ktoś z zewnątrz rzeczywiście mógłby mnie uznać za lekko pomyloną.

Na szczęście Marcus przychodzi mi na ratunek.

– Posłuchajcie Léo – prosi. – Życie jest zbyt krótkie, by je marnować na kłótnie o jakieś przedmioty. Jest tylko jeden sposób, by pozbyć się tego ciężaru: podzielić się!

– Dobrze powiedziane, Marcus! – wykrzykuje Samson, tuląc Safię. – Léo ma rację!

– Zawsze wiedziałam, że jesteś geniuszem, Léo – zachwyca się Kris, stale gotowa przyznać mi tytuł, na który nie zasługuję.

– Jeszcze jedno – dodaje Marcus. – Pocałunek. By uciszyć rodzące się bezpodstawne pogłoski, pragnę uściślić, że Léo mogła bez problemu oddychać, kiedy się całowaliśmy. Taki był zresztą cel ćwiczenia. Dla waszej informacji, przyznała mi certyfikat udzielania pierwszej pomocy z wyróżnieniem!

No i znowu czuję, że się czerwienię! Kto by pomyślał, że kryje się we mnie taka naiwna pensjonarka. Léo Ognistowłosa, jasne, płonąca ze wstydu!

– *Co ja słyszę? Nie chcecie licytować? Chcecie się podzielić?*

Twarz Sereny McBee nie jest ani trochę czerwona, jest zupełnie biała. Drewniany młoteczek, który sprawił jej tyle radości, leży teraz w dłoni jak zepsuta zabawka.

– *Nie macie prawa!* – oburza się na ekranie. – *Regulamin jest jasny! Pieniądze ofiarowane przez widzów zostały wam przekazywane personalnie! Nie możecie ich przenosić z jednej pary na drugą, to zabronione! Pamiętajcie, musicie przestrzegać zasad gry, choćby z szacunku dla tych, którzy hojnie zasilili wasze Posagi i teraz was oglądają!*

W głosie Sereny słysząc nie tylko rozczarowanie, ale i groźbę. To, jak mierzy w nas palcem wskazującym, ma nam przypominać, że wciąż jesteśmy zdani na jej łaskę i musimy przestrzegać naszej części umowy. Naszym zadaniem jest zabawianie publiczności, jakby życie całej naszej dwunastki nie wisiało na włosku – który ona trzyma w dłoni.

– Nie martw się, Sereno, ani wy, drodzy widzowie – mówię najspokojniej, jak potrafię. – Będziemy przestrzegać reguł gry. Regulamin stanowi, że nie można przenosić pieniędzy z jednego Posagu do drugiego? Jasne. Ale nic nas nie zmusza do przebijania cudzych ofert, prawda? Nie jesteśmy zobowiązani do podbijania ceny wywoławczej?

– Super! – wykrzykuje Kelly, która wreszcie załapała, na czym polega pomysł. – Chodzi o to, żeby się dogadać, kto co kupi, bez podbijania cen, które i bez tego są kosmiczne! – Odwraca się do kamery. – Słyszycie to, panie i panowie? Pieniądze, które nam wysłaliście, pozwolą całej naszej drużynie jeszcze lepiej się zjednoczyć, zamiast nas dzielić! Kris ma rację: Léo jest geniuszem! Precz z dzikim kapitalizmem! Precz z ultraliberalizmem! Niech żyje sprawiedliwy podział dóbr!

Kanadyjka bierze mnie w ramiona.

– Chodź tu, moja bohaterko! Jednak Marcus nie wyściskał cię wystarczająco!

Bronię się z całych sił, ale zachęczone przez chłopców rzucają się na mnie też

pozostałe dziewczyny, a wszystko kończy się niepohamowanym wybuchem śmiechu – pierwszy szczerzy śmiech na Marsie, i to kosztem Sereny McBee – aż nazbyt piękne!

POZA PLANEM

**Autostrada międzystanowa numer 80 Zachód, Nebraska,
poniedziałek 11 grudnia, godz. 17.05**

Harmony powoli otwiera oczy.

– Gdzie ja jestem? – szepcze. – Która godzina?

W miarę jak jej powieki się unoszą, uświadamia sobie, że znajduje się w aucie, a za szybą przepływa monotony, hipnotyzujący krajobraz, spowity we mgle, przez którą przenikają promienie zachodzącego słońca.

Jej ciało napina się, palce instynktownie wczepiają się w obicie fotela.

– Minęła siedemnasta i jesteś bezpieczna...

Dziewczyna odwraca głowę w lewą stronę, skąd dochodzi głos, który sprawił, że podskoczyła ze strachu. Andrew siedzi na miejscu kierowcy, trzymając kurczowo kierownicę, ma poszarzałą ze zmęczenia twarz.

– ... ale bałem się, że się nigdy nie obudzisz. Spałaś całą dobę. Co było w tej pigułce, którą połknęłaś?

Harmony spuszcza wzrok.

– Tak naprawdę, to wcale nie była pigułka nasenna... – wyznaje. – To był silny środek przeciwbólowy z kodeiną, który doktor Montgomery przepisał mi na moje migreny i krwawienia z nosa. Z czasem zdałam sobie sprawę, że to pomaga na objawy głodu narkotykowego, gdy brak mi zero-G, przynajmniej na początku...

– Kodeina! – wykrzykuje Andrew. – Przecież uzyskuje się ją z maku jak morfinę! Nic dziwnego, że tak szybko straciłaś przytomność! A ja w tym czasie zamartwiałem się na śmierć...

– Przepraszam, Andrew... – szepcze. – Od początku zachowywałam się jak mała nieodpowiedzialna dziewczynka. Kiedy mówiłam, że nie chcę twojej pomocy, choć przecież uratowałeś mi życie, przemawiała przeze mnie frustracja. Zachowywałam się jak egoistka, chociaż dwanaście osób powierzyło nam swoje życie i liczy na nas, nie mówiąc już o twojej rodzinie, Andrew, która znalazła się pod tak zwaną opieką policji, a tak naprawdę jest zdana na łaskę mojej matki! Masz wiele więcej powodów do niepokoju ode mnie. I powinnam ci powiedzieć, że biorę kodeinę, zanim zasnęłam.

– Tak, powinnas była mi powiedzieć – odpowiada Andrew szorstko. – O kodeinie... i całej reszcie.

Przez kilka chwil zalega między nimi nieprzyjemna cisza przerywana tylko warkotem silnika.

– Całej reszcie? – pyta w końcu Harmony.

– Twierdziłaś, że opowiedziałas mi wszystko o swoim życiu. Ale to nieprawda. Okłamałaś mnie. Nie powiedziałaś mi wszystkiego. A ja nie mogę ci pomóc i rozwikłać tajemnic twojej przeszłości, jeśli umyślnie zatajasz pewne sprawy.

– Nie rozumiem, o czym...

– Kiedy spałaś, otworzyłem twój medalion. Nie powinienem był tego robić, ale zajrzałem do środka.

Twarz Harmony tężeje.

– A więc zobaczyłeś...

– ... zdjęcie Mozarta, Brazylijczyka z programu Genesis? Tak. Nie wiedziałem, że jesteś jedną z tych fanek programu, które wycinają z gazet portret swego ulubionego uczestnika, by nosić go przy sercu! – Andrew zanosí się trzęsącym, zachrypniętym z braku snu śmiechem. – Ale nie! Zaczekaj! To nie było zdjęcie wycięte z gazety! Tylko prawdziwa fotografia, jakie robi się do dowodu tożsamości, a wraz z nią pukiel ciemnych, kręconych włosów, należący bez wątpienia do Mozarta!

Harmony przykłada nerwowo dłoń do medalika. Otwiera go drżącymi palcami, by się upewnić, że fotografia i pukiel włosów wciąż tam są.

– Gdybyś się teraz widziała! – ciągnie Andrew bezlitośnie. – Wyglądasz jak Frodo, który sprawdza, czy ten jedyny pierścień wciąż jest zawieszony na jego szyi. Nie bój się, niczego nie ukradłem!

Harmony delikatnie zatrząskuje medalion, ale nie puszcza z dłoni.

– Jedyny pierścień... – szepcze. – Jesteś okrutny, Andrew. Ale masz rację. A twoje porównanie jest nawet zbyt łagodne, czuję się raczej jak Gollum, a nie Frodo, nędzne, cherlawe stworzenie, słabe i zżerane od środka przez własne lęki...

Widząc cierpienie dziewczyny, chłopak od razu spuszcza z tonu:

– Nie opowiadaj głupstw – mówi łagodniej. – Zupełnie nie przypominasz Golluma, Hobbita zresztą też nie. Jeśli już jesteśmy przy Śródziemiu, to kojarzysz się raczej z elfem, z tymi jasnymi oczami i przezroczystą cerą. Ale nawet elfy, takie czyste i jasne, nawiedza czasem mrok. Jak Galadriela. Albo ciebie, Harmony. Myślę, że już czas, abyś powiedziała mi całą prawdę.

Harmony kiwa głową.

Wypuszcza medalion z palców.

– Wszystko zaczęło się półtora roku temu – wyjaśnia. – Pamiętasz moje spotkanie z uczestniczkami programu, o którym opowiadałam ci wczoraj? Cóż, następnego dnia na zaproszenie mamy w willi zjawili się chłopcy. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam Mozarta.

Głos Harmony łamie się w połowie zdania.

Przez jej delikatną twarz – półprzezroczystą jak skóra elfa albo jak delikatna

porcelana, którą bardzo łatwo stłuc – przechodzi tornado emocji.

– Był wszystkim, o czym zawsze marzyłam, mężczyzną idealnym, którego przez całe życie szukałam na kartach powieści – szepcze. – Był Darcym i Rochesterem, Heathcliffem i Romeo. Był uosobieniem siły, pewności, światła. Miał w sobie tę samą energię, co dziewczyny, które poznałam dzień wcześniej, ale także coś więcej, jakąś iskrzącą zmysłowość, która promieniowała z jego złotej skóry opalanej pod rozgrzanym nieznanym niebem odległego kraju. Ten ciepły blask od razu poraził biedną bladą dziewczynkę, którą od pierwszych chwil życia trzymano w cieniu, ze strachu, by nie musnął jej choćby promień słońca.

Harmony wzdycha ze smutkiem.

– Kiedy się do mnie uśmiechnął, poczułam, że się roztapiam – opowiada. – Kiedy usłyszałam jego głos, wiedziałam już, że w moim życiu otworzył się nowy rozdział. Ponieważ on naprawdę ze mną rozmawiał, i to długo. Podczas gdy pozostali uczestnicy skierowali do mnie tylko kilka sztywnych grzecznościowych formułek, on znalazł czas, by mnie pocieszyć swoim ciepłym głosem. Poszliśmy do altanki w ogrodzie, a jego koledzy rozmawiali z mamą albo korzystali z basenu czy kortu tenisowego. Odprawiłam mojego kochanego Balthazara, przekonując go słodkim uśmiechem, że wszystko jest w porządku, i obiecując, że w razie potrzeby go zawołam.

Mozart zadawał mnóstwo pytań, interesował się tym, kim jestem, jakie są moje lęki i marzenia. Nikt wcześniej nie zadawał mi takich pytań i nikt wcześniej nie słuchał moich odpowiedzi z tak błyszczącymi oczami. Powiedział, że doskonale rozumie moją samotność, bo sam często też w głębi czuje się bardzo samotny. Nie przeczytał w życiu wielu książek, ale słyszał wiele opowieści, bo w ten sposób ludzie w jego kraju przekazywali sobie historie. Znał też mnóstwo piosenek. I nucił mi je, tam w cieniu porośniętej bluszczem altanki, a ja pierwszy raz w życiu poczułam się tak, jakbym przeniosła się gdzieś bardzo daleko od Willi McBee.

Jednak czas rozstania nadszedł zbyt szybko. Słońce zaczęło chować się za horyzontem, cienie krzewów glicynii wydłużyły się na trawniku w ogrodzie. Mama zadzwoniła dzwonkiem, by zwołać chłopców na dziedziniec, gdzie mieli wsiąść do limuzyny odwożącej ich do Nowego Jorku na lotnisko, z którego mieli odlecieć z powrotem do Doliny Śmierci. Widząc, jak Mozart wstaje, poczułam się tak, jakby ktoś wyrywał mi serce z piersi. W głowie kołatała mi tylko jedna myśl: „już nigdy więcej go nie zobaczysz, nigdy, nigdy, nigdy!”. Ale wtedy on przytulił mnie do piersi – do swojej białej wyprasowanej koszuli pachnącej lawendą, do brązowej skóry widocznej pod rozpiętym kołnierzykiem, z błyszczącym na szyi medalikiem z Matką Boską – i powiedział: „Odjeżdżam, ale już zawsze będę z tobą”. Poczułam, że jego palce wsuwają jakiś przedmiot do mej dłoni. Jego ciało oderwało się ode mnie. Uśmiechnął się, a w jego twarzy był jednocześnie smutek

i szczęście. A później odwrócił się i poszedł w stronę domu, niknąc w blasku zachodzącego słońca. Dopiero wtedy spuściłam wzrok. W mojej dłoni spoczywał plastikowy woreczek z białym proszkiem, mieniącym się niczym rozkruszony diament.

Przeciągły dźwięk klaksonu, przypominający sygnał, jaki wysyłają statki zagubione na morzu w czasie mgły, przerywa opowieść Harmony.

– Ten proszek to było zero-G... – szepcze Andrew.

– Tak, moja pierwsza działka. Kolejne dostarczał gołąb pocztowy, lądujący na parapecie mojego okna. Na początku ptak przynosił też krótkie wiadomości od Mozarta. W ten sposób otrzymałam zdjęcie i kosmyk włosów, które trzymam w medalionie. Tak też dowiedziałam się o cenie, którą muszę zapłacić, jeśli chcę dalej dostawać działki. Przy każdej następnej dostawie musiałam przyczepiać do nóżki gołębia jeden z klejnotów, którymi obsypuje mnie mama. Zawsze była zbyt zajęta, by zauważyć, że cokolwiek zniknęło.

– Co za śmieć! – warczy Andrew. – Zasługuje, by zdechnąć w kosmosie!

– Nie mów tak, zero-G to najpiękniejszy prezent, jaki w życiu dostałam.

Andrew przygląda się Harmony w lusterku wstecznym. Jego oczy, choć zmęczone i podkrążone, otwierają się szeroko z niedowierzaniem.

– Nie rozumiesz? – pyta cicho Harmony. – Mozart otworzył mi okno na inny świat. Pierwszy, przed tobą, otworzył drzwi mojego więzienia.

– Jak to!?! – krzyczy Andrew. – To ja cię uwolniłem, nie on!

– Czy to taka różnica, otworzyć drzwi w ścianie albo otworzyć drzwi w głowie?

– Niczego ci nie otworzył! Wręcz przeciwnie! To paskudny dealer, który zamknął cię w uzależnieniu!

Gniew Andrew zdaje się zupełnie nie dotyczyć Harmony. Jej wspomnienia tworzą wokół wir, barierę nie do pokonania.

– Nie da się opisać uczucia, gdy zero-G zaczyna panować nad twoim ciałem... – mówi z rozmarzeniem w głosie. – To tak, jakby każdy twój włos, każdy por skóry, każda komórka w twoim organizmie została naelektryzowana. A potem nagle czujesz, że nie ważysz zupełnie nic. Unosisz się. Lekarze w białych kitlach opowiadają w telewizji, że zero-G daje mylne, niebezpieczne wrażenie, że nie ma się ciała. To nieprawda, wciąż ma się ciało, ale wolne od wszelkiego ciężaru i skrępowania! Tylko ci, którzy spróbowali, mogą o tym wiedzieć. Wiesz, co ludzie mówią? Że wziąć zero-G to jak kochać się z gwiazdami. A Mozart jest teraz właśnie tam, wśród gwiazd...

PLAN

**20 miesiąc / 522 sol / godz. 15.32 czasu marsjańskiego
[2 sol od lądowania]**

– I gotowe! Nasze zakupy zoptymalizowane w zależności od wysokości Posagów i potrzeb każdego z nas, bez licytowania i przepłacania!

Fangfang z dumą prezentuje tabelę, którą przygotowała w tablecie Tao – jej własny został w kapsule, kilometr od Nowego Edenu, tak jak wszystkie nasze rzeczy osobiste, z wyjątkiem sukien ślubnych. Doktorantka wydziału matematyki wykorzystwała swe zdolności, by jak najlepiej rozdzielić bogactwa Nowego Edenu, by nikt nie został pokrzywdzony.

Teraz przedstawia nam rezultat swej pracy, nam i miliardom widzów zgromadzonych przed telewizorami. Nie musimy niczego ukrywać. To porozumienie nie narusza reguł programu i nie ma w sobie niczego nielegalnego. I to jest w tej sztuczce najpiękniejsze!

– Pozwólcie, że podsumuję, abyśmy mieli pewność, że wszyscy się zgadzają, zanim prześlemy naszą listę zakupów produkcji programu – mówi Fangfang. – Jeśli chodzi o Gniazda Miłości, jedno duże idzie do Krisaleks, bo mają środki i muszą w coś zainwestować swoją kasę...

	Krisaleks	Léorcus	Mozabeth	Samsafia	Fangtao	Kenkelly
Wspólny Posag	580 999 878 \$	404 918 419 \$	403 356 163 \$	325 024 983 \$	323 135 790 \$	234 776 664 \$
Duże Gniazdo x2 250 000 000 \$	1 250 000 000 \$	0 \$	1 250 000 000 \$	0 \$	0 \$	0 \$
Małe Gniazdo x4 150 000 000 \$	0 \$	1 150 000 000 \$	0 \$	1 150 000 000 \$	1 150 000 000 \$	1 150 000 000 \$
Miniłazik terenowy x4 72 000 000 \$	1 72 000 000 \$	1 72 000 000 \$	1 72 000 000 \$	1 72 000 000 \$	0 \$	0 \$
Robot-łokaj x2 95 000 000 \$	1 95 000 000 \$	0 \$	0 \$	0 \$	1 95 000 000 \$	0 \$
Drukarka 3D x1 100 000 000 \$	0 \$	1 100 000 000 \$	0 \$	0 \$	0 \$	0 \$
Gorąca woda 375 litrów/dzień 1 000 000 \$	103 103 000 000 \$	54 54 000 000 \$	53 53 000 000 \$	59 59 000 000 \$	50 50 000 000 \$	56 56 000 000 \$
Plantacja marchwi x6 10 000 000 \$	1 10 000 000 \$	1 10 000 000 \$	1 10 000 000 \$	1 10 000 000 \$	1 10 000 000 \$	1 10 000 000 \$
Plantacja truskawek x6 10 000 000 \$	1 10 000 000 \$	1 10 000 000 \$	1 10 000 000 \$	1 10 000 000 \$	1 10 000 000 \$	1 10 000 000 \$
Jabłonie x12 8 000 000 \$	5 40 000 000 \$	1 8 000 000 \$	1 8 000 000 \$	3 24 000 000 \$	1 8 000 000 \$	1 8 000 000 \$
Reszta	999 878 \$	918 419 \$	356 163 \$	24 983 \$	135 790 \$	776 664 \$

„Krisaleks” – to skrótowa nazwa powstała z połączenia imion Kirsten i Aleksieja. Fangfang wymyśliła taki przydomek dla każdej z par na wzór słynnych hollywoodzkich małżeństw – czemu nie? Skoro kamery śledzą każdy nasz ruch...

– Drugie wielkie Gniazdo dostaje Mozabeth – ciągnie Fangfang. – Uznajemy, że nasza tancerka będzie potrafiła zrobić dobry użytek z tej przestrzeni, przygotowując swoją choreografię do *Symfonii z Nowego Świata*. Cztery miniłaziki dostają Krisaleks, Mozabeth, Samsafia i Léorcus. „Léorcus”... brzmi dziwnie,

ale chyba lepiej niż „Marconor”, „Marléo” albo „Cusonor”, prawda? Co do robotów-lokajów, pierwszeństwo przypada „Fangtao”, czyli nam, kwestia mobilności. – Kładzie czule rękę na ramieniu Tao, który siedzi w swoim wózku inwalidzkim. – Drugi przypada naszym marsjańskim Rothschildom, Krisaleks. Wszyscy zgadzają się co do tego, że najlepszy użytek z drukarki 3D zrobi nasza narodowa artystka, czyli Léonor. Co do wody, przyjęliśmy podstawową zasadę: przynajmniej jeden ciepły prysznic dziennie na osobę. Zakładając, że jeden prysznic to dwadzieścia pięć litrów wody, jeśli zakręcamy kurek w czasie namydlenia, potrzeba pięćdziesięciu litrów na parę. Tylko Krisaleks będą mieć prawo do prysznica rano i wieczorem.

Kelly wydmuchuje wielki balon z gumy do żucia i wykrzykuje z entuzjazmem:

– Codziennie gorący prysznic! To chyba sen! Nie miałam takich luksusów w przyczepie w Toronto, zwłaszcza jeśli moi bracia wpełznąli się w kolejkę. Nie było wyjścia: albo to, albo wążanie smrodu ich stóp. Co do mnie, twierdzili, że i bez mycia się dobrze pachnę, bo jestem dziewczyną...

– Mieli rację – odzywa się niespodziewania Kenji, przełamując mur milczenia, za którym chował się od początku dyskusji.

– Co mówisz, Kocie?

– Twoi bracia mieli rację. Bardzo ładnie pachniesz, chociaż nie kąpałaś się od dwudziestu czterech godzin.

– Ech... to na pewno zapach mojej gumy do żucia...

– Nie, ten czułem, kiedy się całowaliśmy, cytrynowy, prawda? Ale twoje włosy pachną raczej yuzu.

– Yu-co?

– Yuzu. Owoc cytrusowy, bardzo popularny w Japonii. Coś między cytryną, grejpfrutem i mandarynką. Tradycyjnie, w dniu przesilenia zimowego bierze się gorącą kąpiel z yuzu, aby przez cały rok nie złapać przeziębienia. Tutaj nie ma yuzu, nie ma wanny... – Nagle podnosi swoje podkrążone oczy i patrzy prosto w oczy Kelly, z tą rozbrajającą szczerością, do której zdolni są czasem chorobliwie nieśmiali. – Ale jesteś ty i pięćdziesiąt litrów wody dziennie. Jeśli chcesz, możemy brać prysznic razem, i korzystać z niego rano i wieczorem.

Mozart gwiżdże znacząco.

– No, no! Nie tylko prysznic jest tu gorący! Okazuje się, że nasz mały to cicha woda!

Nie myślałam się, między nimi naprawdę iskrzy!

Tylko mi się wydaje, czy Kelly się lekko rumieni?

Cieszę się, że nie tylko mnie się to zdarza i że najbardziej pewna siebie dziewczyna pod słońcem też się czasem czerwieni!

– Hmm... no tak, dobrze, wróćmy do tematu... – mówi Fangfang,

poprawiając z pewnym zmieszaniem stójkę swojej chińskiej sukni. – Rzeczywiście nie ma yuzu na Marsie, ale są truskawki i marchewki. Obliczyliśmy wszystko tak, żeby każda para mogła korzystać z jednej plantacji każdej rośliny. Tak samo z jabłoniami, tu też przyjęliśmy prostą zasadę: przynajmniej po jednej na parę. Mając pięć drzew, Kris będzie mogła przygotowywać nam pyszne strudle, tak jak obiecała!

Fangfang wznosi do góry urządzenie, jakby to były tablice z dziesięciorgiem przykazań.

– A więc wszyscy się zgadzają? Mogę to przesłać produkcji?

Kiwamy głowami na znak zgody.

Tao patrzy na swą świeżo poślubioną żonę z podziwem i zachwytem. Widać, że jest z niej bardzo dumny, to słodkie i wzruszające.

Fangfang naciska przycisk „Wyślij”.

W tej samej chwili Marcus osuwa się i pada nieprzytomny u moich stóp.

AKT IV

PLAN

**20 miesiąc / 552 sol / godz. 18.30 czasu marsjańskiego
[2 sol od lądowania]**

– Jak on się czuje?

Kris stoi drżąca przy metalowym, przykręconym do podłogi, jak meble na statku kosmicznym, łóżku, na którym leży Marcus. Zmieniła suknię ślubną na jedną ze swych zachwycających błękitnych sukienek. Jej długie rozpuszczone włosy, świeżo umyte, spadają kaskadami na ramiona. Na jej palcu błyszczy samotny diament. Aleksiej stoi tuż za nią, obejmując ją w talii opiekuńczym gestem.

Tworzą naprawdę cudowną parę, takich promiennych blond włosów mogłyby im pozazdrościć nawet baśniowe księżniczki i książęta. Louve siedzi u ich stóp. Patrzy na mnie czarnymi błyszczącymi inteligentnymi oczkami, jakby chciała prosić o przebaczenie, że mnie ugryzła.

– Już lepiej – odpowiadam. – Teraz śpi.

Głaskam Louve, po czym wyciągam rękę w stronę stolika nocnego, by napić się wody ze szklanki. Ale szklanka jest pusta, a czuję suchość w gardle. Nie mogę powstrzymać bolesnego westchnienia, wstając z krzesła – fałdy holograficznej sukni szeleszczą, a moje stawy trzeszczą po tych wszystkich godzinach, gdy siedziałam nieruchomo, czuwając przy Marcusie. Nie miałam czasu, by się przebrać czy wziąć prysznic. Satynowy gorset klei mi się do skóry.

W chwili gdy zamierzam udać się do kuchni, by nalać sobie wody, za plecami Kris materializuje się jakiś kształt i jedzie ku mnie z cichym brzęczeniem – tak, jedzie, bo to jeden z dwóch robotów-lokajów: słabo przypominający człowieka gnom o czterech terenowych kołach zamiast nóg, dwóch długich wyrostkach zakończonych szczypcami zamiast rąk i z wielkim okiem kamery zamiast twarzy. Osobliwy szczegół – Kris przystroiła go w muszkę, prawdopodobnie tę, którą włożył Aleksiej na ceremonię ślubną.

– Nie zwracaj sobie głowy, możesz usiąść – mówi, wskazując z dumą na robota, który przypadł jej i Aleksowi w wyniku podziału dóbr. – Günter należy ci wody. Jest niezwykle uprzejmy, wiesz.

Patrzę w osłupieniu, jak robot wyciąga ku mnie swoje ramię i chwyta delikatnie pustą szklankę w swoje kleszcze. Ta pozbawiona wdzięku maszyna została zaprojektowana, by zbudować bazę Nowy Eden przed przybyciem ludzi, a nie żeby zdobywać nagrody w konkursach rysunku, to pewne. Trzeba było

jakiegoś geniusza z ekipy marketingowców programu Genesis, by zmienić wielozadaniowego robotnika w lokaja...

– Günter... – powtarzam nieco rozmarzona.

– Zawsze chciałam tak nazwać mojego pierwszego syna – mówi Kris. – Uważam, że to imię do niego pasuje, nie sądzisz?

Jest coś przejmującego w tym, jak Kris mówi o swoim pierwszym synu. Ponieważ ona wie, tak samo jak ja, że ten syn może się nigdy nie narodzić. A więc przenosi swoje uczucia na tego robota.

– W każdym razie tego syna nie miałaś ze mną! – śmieje się Aleksiej. – Chudy karzeł bez nóg, z jednym okiem i do tego niemowa, nie poznaję swoich genów. Twoich zresztą też nie, aniołku.

Przytula ją trochę mocniej, podczas gdy Günter wraca do mnie z pełną szklanką, nieczuły na sarkazm swego przybranego ojca.

– Jeśli chcesz, możesz pożyczyć Güntera, żeby popilnował Marcusa, a ty chwilę odpoczniesz – proponuje Kris.

– Dziękuję, ale nie chcę go zostawiać nawet na minutę. Nie mogę sobie wybaczyć, że nie zauważyłam, że jeszcze nie wydobrzył po wczorajszym wypadku! Zmusiłam go, żeby stał przez całą tę niekończącą się uroczystość... Jestem naprawdę beznadziejna.

– Do niczego mnie nie zmusiłaś.

Oczy naszej trójki zwracają się na Marcusa, który właśnie się obudził. On też nie mógł się przebrać ani wziąć prysznic, po tym jak zemdłał w sadzie jabłoni. Z pomocą chłopców położyłam go na łóżku w jednym z pokoi w naszym Gnieździe Miłości. Rozpięłam mu koszulę i najdelikatniej, jak umiałam, odsłoniłam ramiona i tors. Pod moimi palcami wyłonił się las tatuaży. Na środku klatki piersiowej, na mostku rozciągał się ogromny niebieski siniak, niczym ciemna kałuża powstała po ulewie w mrocznym lesie. Zamykające się drzwi służby spowodowały to okropne stłuczenie, ale Marcus się do tego nie przyznał. Przysięgał, że czuje się dobrze i że nic mu nie jest, a ja uwierzyłam mu na słowo.

– Jesteś kłamcą – mówię z wyrzutem, który tak naprawdę kieruję do samej siebie, do nędznej lekarki, jaką jestem.

– Nie chciałem cię niepokoić przed ślubem...

– Nie obchodzą mnie powody. Kłamstwo to kłamstwo i koniec. Powiedziałeś mi, że czujesz się dobrze. A to nie była prawda. Jak mam ci teraz zaufać?

Po twarzy Marcusa przebiega cień, a ja od razu żałuję swoich ostrych słów.

– Mówię tak, bo mi na tobie zależy – dodaję, biorąc go za rękę. – Jak sam powiedziałeś, cały ta ceremonia to tylko słowa i nic więcej. Naprawdę nie było warto narażać się z tego powodu na niebezpieczeństwo.

Marcus uśmiecha się do mnie dziwnie smutnym uśmiechem, którego wcześniej u niego nie widziałam.

– Wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie... – szepcze.

Przez chwilę czuję, że Kris i Aleksiej sztywnieją za moimi plecami, a mój wzrok biegnie przez pokój w kierunku kamery zawieszanej na ścianie.

Wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie... – jeśli Marcus skończy to zdanie, jeśli zacznie mówić o raporcie Noego i zdradzi tajemnicę, to wszystko może się skończyć w jednej chwili.

– ... ty, ja i wszyscy widzowie, którzy nas oglądają – ciągnie. – Wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie od pierwszego dnia naszego życia, od pierwszego oddechu, pierwszego krzyku. Wiesz, dlaczego tak bardzo lubię róże? Nie dlatego, że są romantyczne i pozwalają czarować dziewczyny, jak mi zarzuciłaś w czasie naszego pierwszego spotkania. Róże nie mają w sobie żadnej pretensjonalności, niczego nie udają, są po prostu prawdziwe. Okrutnie prawdziwe. Kiedy ich płatki pokazują nam, że życie jest tak piękne, że aż dech zapiera, ich kolce przypominają, że jest jednocześnie śmiertelnie niebezpieczne.

Spoglądam na tatuaż zdobiący prawą pierś Marcusa: czarna róża układająca się w zdanie „Chwytaj dzień”. Nie wybrał jej tylko ze względu na płatki, lecz także ze względu na kolce. Nagle ogarnia mnie oszałamiające poczucie, że jesteśmy dwójką nieznajomych. W przeblasku przenikliwości dociera do mnie, że wbrew temu, co próbuje wmówić wszystkim program Genesis, kilka chwil w Kuli Spotkań to nic nieznaczące ziarenko w klepsydrze życia. Nie wiem nic o Marcusie. A on nie wie nic o dziewczynie, dla której ryzykował życie. Czy to nas od siebie oddala? Wręcz przeciwnie. Mam tylko jedno pragnienie: spędzić każdą minutę, jaka mi została, przy tym chłopcu, być w jego ramionach, kiedy ziarenka w mojej klepsydrze się przesypią.

Dźwięczny śmiech Aleksieja wyrywa mnie z moich myśli.

– Hej, Marco, na pewno wszystko w porządku? – pyta. – Nie uderzyłeś się przypadkiem w głowę przy tym upadku? Przecież to jasne, że numery z różami są po to, by wyrywać dziewczyny, nie próbuj nam tu wmówić niczego innego!

Marcus znów się uśmiecha, lecz tym razem swoim pełnym życia półśmiechem, w którym nie ma żadnego cienia, tylko iskry.

– To prawda, muszę przyznać, że do tego też się przydają... – potwierdza.

– No, wreszcie mówisz do rzeczy!

Uderza pięścią w prawy biceps Marcusa, ten, na którym kolczaste litery układają się w sentencję: „Snuj marzenia tak, jakbyś miał żyć wiecznie; żyj tak, jakbyś miał umrzeć dziś”.

– Uważaj, Aleks! – krzyczy na niego Kris.

– Spokojnie, przecież nie jest z cukru, prawda?

– Poczekaj, aż stanę na nogi, a wtedy się przekonasz – odpowiada ze śmiechem Marcus.

Unosi się na łóżku, próbując wymierzyć cios w udo Aleksieja, ale ten

uskakuje w bok, przeskakując nad moim tęczowym trenem, podczas gdy Louve wydaje z siebie skowyt zaskoczenia, a Günter cofa się na swych czterech kołach.

– Pudło! – woła Aleksiej. – Wygląda na to, że za dużo czasu spędziłeś wśród swoich kwiatków, zamiast ćwiczyć prawy sierpowy. To dlatego nie zdażyłeś się wczoraj wydostać spod drzwi służy: za słaby refleks! Będzie ciężko przeżyć tak na Marsie. Pamiętaj, że dziewczyny potrzebują silnych mężczyzn, którzy będą je chronić: rycerzy, nie poetów!

– Hej, Lancelocie, który tak gardzisz kwiatkami, można wiedzieć, co tam chowasz w kieszeniach?

– Gdzie?... – duka Aleksiej.

Odruchowo wsuwa ręce do kieszeni swych białych spodni.

– Co to... auć!

Przez jego twarz przebiega grymas wyrażający raczej zdziwienie niż ból.

Kiedy wyjmuje dłonie z kieszeni w każdej z nich trzyma zgniecioną różę, a kolce kwiatów wbijają mu się w skórę.

– Jak to zrobiłeś? Kieszenie były puste, kiedy wkładałem te spodnie. Wsunąłeś tam te kwiaty przed chwilą, na naszych oczach, a my tego nie zauważyliśmy!

– Widocznie mam nie taki znowu kiepski refleks – odpowiada Marcus. – A te kwiatki nie są tak nieszkodliwe, jak ci się wydaje.

Aleksiej wypuszcza róże, które spadają na ziemię.

Louve natychmiast podbiega i wacha je z zaciekawieniem.

– Nieźle... dałem się złapać... – przyznaje Aleksiej. – A wczoraj już i tak poraniłem sobie dłonie, próbując otworzyć drzwi służy.

– Rycerz zapomniał ćwiczyć ręce w siłowni na pokładzie Cupido? – śmieje się Marcus.

– To raczej oni zapomnieli o właściwym sprzęcie. Pomyśleli o wszystkim, z wyjątkiem ściskaczy do trenowania mięśni dłoni. A to niezbędny przyrząd do ćwiczeń!

Kris bierze dłonie Aleksieja, by się im przyrzed.

– Ale je sobie poraniłeś! – wykrzykuje. – Ach, chłopcy i wasze walki kogutów!

– Nie martw się, to nic takiego – uspokaja ją czule Aleksiej, całując w czoło. – A poza tym kochacie nas, bo jesteśmy dumni i zادیorni jak koguty, gotowe do walki o was, prawda drogie panie?

– Trzeba to zdezynfekować i zabandażować. Léo, gdzie masz swoją apteczkę? – Kris natychmiast się reflektuje. – O nie! Zapomniałam, że zostawiłyśmy wszystko w kapsule!

– Ja mam apteczkę w naszym pokoju – przypomina Aleksiej. – Ale masz rację, aniołku, musimy pojechać po wasze rzeczy. Jutro zorganizujemy wyprawę na

poładzie dużego wspólnego łazika. Jego luk bagażowy jest dostatecznie pojemny, by zmieściło się w nim wszystko. Zabiorę ze sobą dwoje specjalistów od nawigacji, Kelly i Mozarta, a do tego Fangfang, specjalistę od planetologii. Pozostali specjaliści w dziedzinie inżynierii, biologii i łączności zostaną na miejscu, by skontrolować, czy w bazie wszystko działa, jak trzeba. A ty, Léo? Jedziesz z nami?

Kręcę głową.

– Wolę zostać tutaj, aż Marcus poczuje się lepiej. Nie ma mowy, bym zostawiła go bez opieki choćby na minutę. Aleksieju, zabierz moją apteczkę i rzeczy, które wzięłam ze sobą z Cupido.

– Rozumiem... – odpowiada z łobuzerskim uśmiechem. – Tylko nie bawcie się tu w doktora!

– A kto tu mówi o zabawie? – odpowiadam z przymrużeniem oka. – Tak samo jak ty, na Marsie jestem prawdziwym lekarzem. Mam prawo zrobić z Marcusem, co mi się podoba, w imię nauki!

KONTRPLAN

**Schron przeciwoatomowy, baza na przylądku Canaveral,
wtorek 12 grudnia, godz. 11.51**

– To wielki dzień, pani McBee! Za kilka minut, w samo południe, zakończy się głosowanie!

Twarz Samantha wyświetla się na cyfrowej ścianie w okienku przekazującym transmisję na żywo z montażowni.

Jest taka dumna i oddana jak wyżeł składający u stóp swego pana upolowaną kuropatwę.

– Tak, Samantha – odpowiada Serena ze swego czarnego skózanego fotela. Dziś zamiast sukni z tafty włożyła elegancki fioletowy kostium. – Karty do głosowania są już w urnach i jak powiedział Cezar: „Kości zostały rzucone”.

Na cyfrowej ścianie Samantha uśmiecha się prostodusznie.

– Naprawdę zostanie pani wiceprezydentem naszego wielkiego kraju! Jestem taka szczęśliwa!

Serena chrząka z zakłopotaniem.

– Wiesz, Samantha, spełniam tylko swój obywatelski obowiązek. Nie mogę uczynić inaczej, jeśli naród amerykański mnie potrzebuje. Teraz muszę odważnie zmierzyć się z czekającymi mnie obowiązkami i poświęcić się dla dobra wspólnego wszystkich rodaków. Gdyby to jednak zależało ode mnie, spędzałabym czas w ogrodach mej willi, sadząc kwiaty i zbierając miód.

– Jest pani zbyt skromna – ośmiela się zauważyć Samantha. – Mogę pani powiedzieć, że w willi wszyscy pracownicy panią wspierają, nasza dobrodziejko. Także Balthazar, który odzyskał już wczoraj przytomność.

Serena unosi wydepilowaną brew.

– Ach tak? Odzyskał przytomność? – powtarza z nutą niepokoju w głosie. – Czy pamięta włamywaczy, którzy go zaatakowali?

– Niestety nie. Zupełnie nie pamięta, co się wydarzyło w pani gabinecie. To rozbite okno... To zagadka. Lokaje Brandon i Dawson wszystko sprawdzili: wygląda na to, że nic nie zginęło.

– Dobrze, to najważniejsze. Cieszę się, że nasz stary dobry Balthazar czuje się już lepiej.

– Zapytał tylko, kiedy Harmony wróci do domu. Wie pani, jak bardzo jest przywiązany do pani córki.

– Powiedz mu, że jest jeszcze za wcześnie, by odpowiedzieć na to pytanie.

Wiesz, przy całej tej presji związanej z moją osobą, po zamachu na samolot Atlas Capital i przy wszystkich tych zagrożeniach... wolałam wysłać Harmony do Szkocji, do mojej siostry Gladys mieszkającej w zamku klanu McBee. Coś jeszcze, Samantha?

Osobista asystentka sprawdza coś w tablecie.

– Mamy prośbę od dwóch sponsorów *platinum*, Rosiera & Mearceagnaca i Eden Food – czyta. – Postanowili się połączyć, jak ich podopieczni Léonor i Marcus, i stworzyć wspólnie luksusową linię mrożonek w co-brandingu. Chodzi o to, by wykorzystać wizerunek jednej z najpopularniejszych par, łącząc jednocześnie doświadczenie dwóch firm: wyrafinowanie Mearceagnaca i przemysłowy *know-how* Eden Food. Ludzie z agencji reklamowej, która przygotowuje kampanię dla tych nowych produktów, pytają, czy mogą wykorzystać filmy z archiwum kanału Genesis, by stworzyć reklamę przedstawiającą historię miłości Léonor i Marcusa...

– Świetny pomysł! – zachwycą się Serena McBee. – Jestem pewna, że ta linia produktów sprzeda się doskonale i przyniesie swoim pomysłodawcom ogromne zyski. Więc możemy zażądać odpowiedniej kwoty za wykorzystanie filmów. Ryczałt w wysokości miliona dolarów za każdą sekundę nagrania i oczywiście odpowiednie tantiemy w zależności od liczby wyświetleń. Omów to z naszą księgowością.

– Dobrze, proszę pani. Ach, i jeszcze jedno: dwie osoby proszą o spotkanie. Pierwsza to profesor Barry Midwood, który twierdzi, że poznał panią we wrześniu na garden party u prezydenta Greena. Ciągłe dzwoni, by się umówić na spotkanie, i mówi, że wysłał pani mnóstwo e-maili o rewelacyjnym projekcie...

– Usunęłam te wiadomości – ucina Serena. – Nie jestem zainteresowana. A ta druga osoba?

– To pan z policji, który chciałby porozmawiać z panią na osobności, gdy znajdzie pani chwilkę.

Tym razem producentce wykonawczej udaje się unieść obie brwi, mimo że toksyna botulinowa paraliżuje jej czoło.

– Masz na myśli inspektora Garcię z FBI, prawda? – pyta. – Przesłuchiwał już doktora Montgomery’ego w związku z porwaniem, niestety nie mam nic do dodania. No chyba że chciałby dostać autograf, bo jest wiernym fanem mojego *talk-show*, *Wizyta u profesor McBee*...

– Nie chodzi o inspektora Garcię, proszę pani. Mówię o agencie Seamusie z CIA. Gdzie i kiedy zechce się pani z nim spotkać?

Serena McBee milczy przez chwilę, po czym odpowiada:

– Mówisz, że na osobności... Dobrze, w takim razie poproś go, by przyszedł tu, do schronu, i niech nikt nam nie przeszkadza.

PLAN

**20 miesiąc / 553 sol / godz. 7.55 czasu marsjańskiego
[3 sol od lądowania]**

Moja skóra płonie. Krople potu skwierczą jak olej na patelni. Moje płuca wypełniają się czarnym dymem. Starcza mi jeszcze powietrza, by krzyknąć:

– Nie! Moduły zostały rozher...

Coś knebluje mi usta, miażdżąc wargi i tłumiąc koniec zdania.

Otwieram oczy na półmrok poprzetykany białym światłem małych lampek.

Uświadamiam sobie, że powietrze, którym oddycham, nie jest zatrute. Wręcz przeciwnie, pachnie drzewem i paprocią.

Czuję ciepło knebla, który jest nie z tkaniny, lecz z ciała. To dłoń przykrywająca moje usta i brodę. Dłoń Marcusa, który leży obok mnie, w ciemnym module mieszkalnym.

– Miałaś zły sen, Léonor – szepcze mi do ucha swoim zachrypniętym głosem, który gdy mięknie, działa niczym balsam. – Już wszystko dobrze. Już dobrze. Mogę zabrać rękę? Nie będziesz krzyczeć?

Mówię „tak” oczami.

Było blisko.

Ten sen wydawał się tak realistyczny, że w niego uwierzyłam – koszmar, który mi się śni od wczesnego dzieciństwa, teraz uzewnętrznia jeszcze tłumiony lęk przed rozhermetyzowaniem bazy. Co za horror! Gdyby Marcus nie zdążył zakryć mi ust, z całą pewnością bym o tym powiedziała, być może wykrzyczałabym także imię Sereny – och!... bo go nie wypowiedziałam, prawda?

– Kiedy krzyknęłam... – jękam cicho, targana straszliwymi wątpliwościami. – Mam nadzieję, że nie... Widzowie...

Instynktownie szukam wzrokiem modrych oczu kamery pośród mroku pokoju.

– Nie, nie wykrzyknęłaś imienia swojego byłego, którego nie powinienem poznać, jeśli to cię uspokoi... – odpowiada Marcus.

Mimo ciemności, czuję, że na jego twarzy maluje się ten cudowny półuśmiech.

– ... a co do widzów, to przypominam ci, że w nocy kamery są wyłączone.

Co za ulga: zapomniałam o nocnej przerwie!

A Marcus to wykorzystał, próbując mnie podpuścić, szelma jedna!

Trzyma mnie w ramionach, wtuloną w jego nagą pierś – zasnął tak wczoraj,

w spodniach od garnituru. Ja spędziłam noc ubrana w jeden z moich nieforemnych t-shirtów w rozmiarze XXL. Zdecydowanie mniej seksownym niż satynowa koszulka nocna bez pleców, którą ludzie od Rosiera wsunęli mi po cichu do walizki, i której nigdy nie włożę. Niewiele to jednak daje. Nawet w t-shircie szczelnie okrywającym moje ramiona czuję się bardziej krucha niż kiedykolwiek. Bawełna oddzielająca moją skórę od skóry Marcusa wydaje mi się taka cienka.

– Uważaj... – mówię półgłosem. – Twoje stłuczenie...

– Przysięgamy, że czuję się lepiej i tym razem nie udaję.

– Co za szczęście, że nie rzuciłam imienia żadnego byłego, bo byłoby co wymieniać! – ściemniam, żeby dodać sobie pewności siebie.

– Wielu szczęściarzy... – odpowiada Marcus.

Czy domyśla się, że kłamię i że na liście moich byłych jest zero pozycji?

Czy podejrzewa, że dziewczyna ukrywająca się pod koszulką w rozmiarze XXL to zupełna nowicjuszka?

Czy powinnam mu to teraz wyznać?

–... ale teraz mam cię wyłącznie dla siebie i tylko to się liczy – kończy, niwecząc moje próby zdobycia się na szczerłość. Prawda poczeka.

Udaje mi się wydostać jedną rękę z objęć Marcusa, wsunąć ją pod materac i sprawdzić, że telefon Rubena Rodrigueza wciąż tam jest, bezpiecznie schowany. Wcisnęłam go tam wczoraj ukradkiem, tak samo jak na pokładzie Cupido – ale tym razem o nim nie zapomnę i wyjmę go na najmniejszy choćby znak zdrady ze strony Sereny, by pokazać go widzom!

Uspokojona dotykiem telefonu pod palcami przytulam się znów do Marcusa.

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłam – szepczę.

– Nie martw się. Nie śpię już od jakiegoś czasu. Za to ty, moja lisico, spałaś jak suseł.

– Lisica, suseł albo leopardzica, zdecyduj się!

– Dlaczego? Zawsze lubiłem zwierzęta! Na Ziemi wyjmowałem je z kapelusza, ale nie tutaj, organizatorzy stwierdzili, że cylinder jest za duży, by można go było zabrać na pokład statku. Nie pozwolili mi też zabrać Ghost, mojej białej gołębiczy, która została w laboratorium na przylądku Canaveral.

– Przestań! Bo zacznę myśleć, że robię za jednoosobowe zoo! Chociaż, czemu nie... – Patrzę w dół na bok Marcusa, gdzie na mięśni widać czasowniki w formie liści lauowych: „biec... tworzyć... zmieniać... dawać... pragnąć... tańczyć... kochać...”. – ... ty za to jesteś jednoosobowym lasem.

Mam szaloną ochotę go narysować.

Ale jeszcze bardziej pragnę go dotknąć.

Nieśmiało muskam palcem jego idealnie zarysowane mięśnie. Dziwny zbiór liściastych zdań rozgałęzia się dookoła jego płaskiego brzucha:

„1 łyżeczka syropu kukurydzianego

1 duża puszka mleka skondensowanego
tyle samo przegotowanej albo destylowanej wody
1 żółtko
wymieszać i ostudzić
żadnego mięsa ani konserw
1 kropla witamin dziennie”

– Co to? – pytam zaintrygowana. – Wygląda jak jakiś przepis...

– Bo to jest przepis.

Nie mogę się powstrzymać, by nie parsknąć śmiechem. Zwyczajny przepis pośród tych wszystkich inspirujących cytatów na tych mięśniach z betonu!

– Praktyczne, zamiast listy na karteczce, którą zabiera się do sklepu, żeby nie zapomnieć o jakimś składniku – mówię. – Jedyne problem w tym, że to nieusuwalne, więc musisz mieć pewność, że będzie ci się chciało pić ten dziwny koktajl do końca życia. No powiedz, o co naprawdę chodzi. To jakiś proteinowy shake, który pijesz po wyjściu z siłowni, gdzie pracowałeś nad tym ciałem Apolla?

Teraz to Marcus wybuchą śmiechem i czuję, jak mięśnie na jego pasie biodrowym napinają się pod moimi palcami.

– Nie martw się, nigdy tego koktajlu nie próbowałem – odpowiada. – I to nie ja wymyśliłem ten przepis, choć poprosiłem mistrza tatuażu, by mi go wykaligrafował na skórze.

– Naprawdę? Więc jeśli nie ty, to kto?

Marcus wskazuje palcem na swój prawy biceps, na którym widnieje cytat z Jamesa Deana.

– To on – odpowiada. – James. To ostatnia rzecz, jaką napisał w przeddzień 30 września 1955 roku, zanim wsiadł do Porsche 550 Spider, i ruszył, by wziąć udział w wyścigu w Salinas w Kalifornii. To przepis na karmę dla jego kota, którego na czas swojej nieobecności zostawił zaprzyjaźnionej aktorce. Nie wiedział, że ta nieobecność będzie trwać wiecznie: zginął w wypadku samochodowym na drodze z Los Angeles do Salinas i nigdy nie wrócił do domu. Jego kariera dopiero się rozpoczynała, ale zdążył już zostać wielkim aktorem i zniknął, mając dwadzieścia cztery lata, ot tak, jak się zdmuchuje świeczkę. I tak, często patrzę na tę listę, ale nie wtedy, gdy robię zakupy. Tylko gdy budzę się każdego ranka, po to by sobie przypomnieć, że nie wiem, co przyniesie jutro, i że muszę przeżyć dzisiejszy dzień tak, jakby był ostatni.

W półmroku pokoju mogę dostrzec odbijający się w oczach Marcusa metaliczny blask lampek. Wyglądają jak wpatrujące się we mnie dwie srebrne gwiazdy.

– To straszna i smutna historia, ale ty wyciągasz z niej piękną życiową lekcję – szepczę. – Co się stało z tym kotem?

– Nie wiem. Ale zawsze zadawałem sobie to pytanie. – Waha się przez

chwilę, po czym ciągnie: – A gdybym jutro umarł, powiedzmy z powodu powikłań po wypadku, co by się z tobą stało?

To pytanie jest tak niespodziewane, że znowu wybucham śmiechem.

– To bez sensu! Wypadek w służbie kosztował cię wiele sił, ale twoje życie nie jest zagrożone. Doktor Léonor wie, co mówi, nie masz się czego obawiać.

Ale Marcus nie odpuszcza i upiera się przy swoim pytaniu.

– Tak, wiem, że to mało prawdopodobne, ale gdybym jednak umarł na skutek wypadku, to czy żałowałabyś, że za mnie wyszłaś?

– Co ty opowiadasz? To coraz większy absurd!

– Odpowiedz tylko, czy żałowałabyś, że mnie wybrałaś, mnie, martwego, zamiast któregoś żyjącego chłopca, na przykład Mozarta?

– Oczywiście, że nie! Nie żałowałabym, idioto! – wykrzykuję, trochę tym zmęczona i trochę rozbawiona. – Nawet gdybyś zniknął tu i teraz, w tej chwili, niczego bym nie żałowała, niczego!

Ramiona Marcusa zaciskają się wokół mnie, otaczając mnie kokonem skóry i atramentu. Czuję dreszcz przebiegający przez całe moje ciało, kiedy szepcze mi do ucha swoim zachrypniętym głosem:

– Kocham cię.

W tej samej chwili wszystkie halogenowe reflektory w pokoju zapalają się jednocześnie i pomieszczenie napełnia się blaskiem, który z sekundy na sekundę staje się coraz intensywniejszy, przyćmiewając ciepłe światło nocnych lampek.

– Co się dzieje? – pytam zaniepokojona. – To ty włączyłeś światło? Czy ja nacisnęłam bezwiednie jakiś guzik?

– Ani ty, ani ja. To po prostu czas, który ani na chwilę się nie zatrzymuje, nawet dla zakochanych. Jest ósma rano, *show* znów się rozpoczyna. Zapalają się światła i włączają się kamery, by widzowie nie stracili ani okruszka z naszego tak ekscytującego życia.

Rzeczywistość programu powraca do mnie z brutalną siłą, jakby ktoś nagle wymierzył mi policzek: kanał Genesis, osiem godzin i czterdzieści minut prywatności, Fangfang i Tao, którzy czuwali w kombinezonach przez całą noc, by pozostali mogli spać spokojnie. Czuję, że znów ogarnia mnie wstyd, palący niczym światło lamp, które osiągnęło już swoją maksymalną intensywność.

Odsuwam się od Marcusa. I choć oddalenie się od niego rozdziera mi serce, nie chcę, by widzowie brali udział w tej intymnej chwili, która należy tylko do nas.

– Kiedy pomyślę, że ten pokój zbudowały maszyny... – mówię, by zmienić temat i ukryć frustrację.

Omiotam wzrokiem pomieszczenie: metalowe łóżko przykręcone do aluminiowej podłogi, zakrzywione ściany z białego plastiku. Wszystko to przypomina kabinę samolotu, tyle że pozbawioną okien. Cały moduł mieszkalny to po prostu wielki balon nadmuchany przez ciśnienie wewnętrzne. Resztę –

umeblowanie, wykończenia, instalacje elektryczne – zainstalowały dwa wielofunkcyjne roboty, które program Genesis przekształcił na potrzeby widowiska w dwa roboty-lokaje. Odziedziczona przeze mnie drukarka 3D także posłużyła do stworzenia wielu elementów niezbędnych do postawienia i funkcjonowania bazy. To naprawdę szalone pomyśleć, że Nowy Eden, pierwsze ludzkie miasto na innej planecie, został zbudowany na odległość przez maszyny kierowane zdalnie z sali kontroli lotów NASA...

Czy siódmy moduł jest podobny do tego tutaj? W jakim stanie są ciała zdechłych zwierząt po tylu miesiącach? Czy znajdziemy tam jakieś wskazówki? Coś, co mogłoby nam pomóc zrozumieć, co się stało, kiedy urwał się kontakt z Ziemią, przez tę straszną tajemniczą godzinę, w czasie której zginęły zwierzęta? Czekam niecierpliwie, by to osobiście sprawdzić, ale jeszcze nie teraz. Uzgodniliśmy razem, że stanie się to dziś wieczorem.

Wyprawa badawcza dokona inspekcji dziś wieczorem. Kiedy Aleksiej wróci z naszymi rzeczami zostawionymi w kapsule. Kiedy wszyscy będą już z powrotem w bazie. Kiedy Kris zastąpi mnie w czuwaniu przy moim ukochanym pacjencie.

Wtedy jako pierwsza wejść do siódmego modułu, by spróbować zrozumieć, co się wydarzyło w zeszłym roku, 511 sola, 18 miesiąca, w czasie tej cichej godziny między 22.27 a 23.29.

Nic nie powiedziałam Marcusowi, żeby go nie denerwować. Nie musi wiedzieć, że wymknę się na kilka minut. Nie ma sensu martwić go bez powodu, prawda? Na razie jestem cała dla niego.

– Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu! – mówi, podnosząc się na łóżku, nie domyślając się, jakie myśli chodzą mi teraz po głowie.

– Stop! Nie waż się ruszyć albo dam ci środek usypiający! – mówię z uśmiechem. – Naprawdę musisz odpocząć. Przyniosę ci śniadanie. Co powiesz na miseczkę płatków owsianych z kawałkami świeżych jabłek i truskawek? Pierwsze marsjańskie musli podane prosto do łóżka; ty to masz szczęście, chłopcze!

KONTRPLAN

**Schron przeciwbombowe, baza na przylądku Canaveral,
wtorek 12 grudnia, godz. 13.32**

– Dziękuję za spotkanie, pani McBee – mówi agent Seamus, wchodząc do schronu. Ma na sobie garnitur tak czarny jak jego kruczycie włosy i opaska zasłaniająca prawe oko; lewe oko błyszczy w półmroku, odbijając światło padające z cyfrowej ściany, na której wyświetlają się obrazy z kamer w bazie Nowy Eden. – To stąd wydaje pani instrukcje dotyczące montażu największego telewizyjnego *show* wszech czasów... – szepcze.

– Tak – odpowiada nieco oschle Serena.

Wskazuje krzesło ustawione tyłem do cyfrowej ściany, naprzeciwko jej skórzanego fotela.

– Proszę usiąść.

– Dziękuję... i korzystając z okazji, gratuluję pani zwycięstwa w wyborach.

– Co pan ma na myśli? O ile wiem, nie ma jeszcze oficjalnych wyników.

– Wszystko jedno. Może sobie pani wyobrazić, że w kraju o takim znaczeniu jak Stany Zjednoczone, w czasach tak burzliwych jak nasze, gdy ciągle unosi się nad nami zagrożenie terrorystyczne, nie można pozwolić, by wydarzenia nas zaskakiwały. Należy przewidywać. Prognozować przyszłość. Zgadywać, jakimi kartami dysponuje przeciwnik. Wsłuchiwać się w ciszę. Taka jest misja CIA. Taka jest moja misja, pani McBee.

Agent Seamus robi pauzę. Jego twarz jest nieprzenikniona, jakby przecięta na pół, jej prawa strona niknie w mroku bunkra i pod czernią przepaski.

– Wsłuchiwać się w ciszę... – powtarza Serena bezbarwnym, całkowicie opanowanym tonem. – Nie jestem pewna, czy rozumiem... Chce pan powiedzieć, że...

– ... że mamy jasność co do tego, w jaki sposób głosowali elektorzy, tak. Choć nie możemy ogłosić tego publicznie przed 6 stycznia, czyli oficjalną datą liczenia głosów, którą określa Konstytucja, jednak ogłaszam to pani, pani McBee, z upoważnienia prezydenta Greena. Nasze informacje są jednoznaczne: została pani wybrana na stanowisko wiceprezydenta USA. Jeszcze raz gratuluję!

Uśmiech Sereny rozszerza się ledwie zauważalnie. Wygląda, jakby zaczęła oddychać swobodniej, pod swoim dopasowanym kostiumem.

– Dziękuję, agencie Seamus – odpowiada. – Rozumiem, że chciał się pan ze mną spotkać, by mi to powiedzieć, tak?

– Tak, a także aby pani przekazać, że pani bezpieczeństwo, które już było dla nas priorytetem, staje się od teraz sprawą państwową. Dlatego będę cały czas w pobliżu. Obiecuję, że postaram się być tak dyskretny, jak to tylko możliwe.

– Rozumiem – mówi Serena. – Bezpieczeństwo przede wszystkim, to zupełnie naturalne. A jeśli o tym mówimy, agencie Seamus... martwię się o rodziny porwanych...

– Zostały objęte ochroną policji, jak pani wie. Najlepsi agenci strzegą ich domów w dzień i w nocy, nie licząc dronów, tak zaprogramowanych, by monitorowały otoczenie.

– Tak, wiem. Jednak nie mogę przestać się martwić. Gdyby coś im się stało, w chwili, gdy przechodzą taką gehennę... Czy byłoby możliwe, abym codziennie dostawała raport dotyczący wszystkich ich wyjść i aktywności? A także listę wszystkich odwiedzających?

Agent Seamus skłania głowę, a czarny kosmyk opada mu na zasłonięte oko.

– Oczywiście, że byłoby to możliwe, skoro prosi o to wiceprezydent Stanów Zjednoczonych – zapewnia. – Jestem tu dla pani. Czy mogę zrobić dla pani coś jeszcze?

Tym razem uśmiech Sereny rozszerza się całkowicie, ukazując dwa rzędy białych błyszczących zębów, które zwykle rozświetlają ekrany z włączonym kanałem Genesis.

– Tak, mam jeszcze ostatnią prośbę – stwierdza. – Skoro już mówimy o rodzinach ofiar... Andrew Fisher, syn instruktora łączności programu Genesis, od dawna chciał ze mną porozmawiać. Zapewne pragnie powspominać swego kochanego zmarłego ojca. Mój personel poinformował mnie, że obozował pod moim domem w Hampton, ale wtedy natłok zajęć nie pozwolił mi się z nim spotkać. Program wymagał całego mojego zaangażowania przed lądowaniem uczestników na Marsie. Ale mam do siebie żal, że zaniedbałam tego młodego człowieka. Chciałabym mu zadośćuczynić. Ale cały problem w tym, że nie wiem, gdzie on się teraz znajduje, i to mnie dręczy. CIA oddałaby mi wielką przysługę, sprowadzając go do mnie.

PLAN

**20 miesiąc / 553 sol / godz. 17.04 czasu marsjańskiego
[3 sol od lądowania]**

– Udało się, odzyskaliśmy nasze klamoty z kapsuły! – ogłasza z dumą Kelly.
– Całe szczęście wszystko jest trzy razy lżejsze niż na Ziemi! Niestety ten wielki łaźnik prowadzi się ciężko jak czołg, nie ma wspomaganie kierownicy. Muszę uważać, żeby nie wyrobić sobie mięśni jak kierowca ciężarówki, bo Kotu mogłoby się to nie spodobać...

Ze skórą błyszczącą od potu po marsjańskiej wyprawie, z rozpiętym pod szyją zamkiem obcisłego kombinezonu, wygląda raczej jak dziewczyna z kalendarza, a nie kierowca. Zebrałyśmy się wokół niej w ogrodzie, by odebrać swoje rzeczy, odkurzone wcześniej w śluzie powietrznej z marsjańskiego pyłu. Są tu też wszyscy chłopcy, poza Marcusem, który spokojnie dochodzi do zdrowia w naszym pokoju.

– Skoro tak się bałaś, że urosną ci od tego mięśnie, wystarczyło trochę częściej przekazywać mi kierownicę – mówi Mozart.

Nerwowym gestem zaczesuje spocone loki na kark: zauważyłam, że robi tak za każdym razem, gdy zdejmuje hełm, jakby chciał się upewnić, że metalowa kulka jest dobrze schowana. Każdy ma swoje kompleksy: ja Salamandrę, on jajo śmierci...

– To chyba normalne, że ja prowadziłam łaźnik, skoro jechaliśmy po nasze rzeczy do naszej kapsuły – odpowiada Kelly.

– Kapsuły, którą rozbiłaś kilometr od bazy, pamiętasz? Baba za kierownicą, śmierć za zakrętem.

– Wstrętny macho!

Jako specjaliści od nawigacji Kelly i Mozart musieli współpracować w czasie wyjazdu poza teren bazy, pomagali im Fangfang i Aleksiej. Reszta została na miejscu, wypełniając zadania zgodne ze swoją specjalizacją, jak przewiduje protokół przejścia bazy, co przećwiczyliśmy w trakcie szkolenia w Dolinie Śmieci.

– Znowu zaczynacie! – wtrąca się Aleksiej, w chwili gdy Mozart zamierza odpowiedzieć. – Głowa mi pęka po czterech godzinach wysłuchiwania was na stereo w moim hełmie! Nikogo nie interesują wasze kłótnie. Może byśmy się jednak dowiedzieli, jak minął dzień pozostałym? Nie ciekawi was, czy Nowy Eden chodzi jak w zegarku? Safia, Kenji, raport!

O ile ja nie czuję się jeszcze swobodnie w roli liderki zespołu, Aleksiej nie

ma z tym żadnych problemów. Jego głos brzmi jak głos kapitana, a dwoje najmłodszych członków załogi praktycznie staje na baczność.

– Sprawdziliśmy wszystkie systemy laserowe i radiowe bazy – mówi mała Hinduska. – Nie mamy żadnych uwag, wszystko działa jak należy.

– Wszystko działa jak na razie – poprawia jak zwykle pesymistyczny Kenji.

Jego oczy są dziś jeszcze bardziej podkrążone niż wczoraj. Wygląda na to, że naprawdę źle sypia, odkąd znaleźliśmy się w bazie Nowy Eden.

– Wciąż jesteśmy jeszcze bardzo blisko Ziemi – tłumaczy. – Sześćdziesiąt milionów kilometrów to nie tak daleko. Ale ta odległość będzie się zwiększać. Poruszając się po marsjańskiej orbicie, będziemy się coraz bardziej oddalać, a co za tym idzie, wzrośnie również opóźnienie w łączności. Kiedy dwie planety będą od siebie najbardziej oddalone, będzie je dzieliło czterysta milionów kilometrów. Przerwa między zadaniem pytania a uzyskaniem odpowiedzi wyniesie wtedy czterdzieści cztery minuty, jeśli system łączności w ogóle będzie jeszcze wtedy działał...

Jego słowa mrozą nam krew w żyłach.

Już teraz sześć minut opóźnienia to prawdziwa tortura, chwila nieznośnej niepewności, w czasie której może się wydarzyć milion rzeczy – a trzech kwadransów w ogóle nie potrafię sobie wyobrazić...

– Maksymalne oddalenie nastąpi nie wcześniej niż za ziemski rok – precyzuje Fangfang, próbując nas uspokoić, ale głos jej drży. – I sędzę, że tak czy inaczej system łączności wytrzyma, w końcu do tego został zaprojektowany... Tak jak i reszta wyposażenia, prawda *Bao Bei*?

Bao Bei oznacza po chińsku „kochanie”, czytają: „Tao”.

Fangfang odwraca się do swojego wybranka, który jako specjalista w dziedzinie inżynierii spędził cały dzień, przemierzając bazę na swym wózku inwalidzkim i sprawdzając działanie systemów podtrzymywania życia.

– Z naszej strony też wszystko w porządku, *Tian Xin* – mówi (czytają: „moje serce”). – Światło generowane przez minielektrownię jądrową, bieżąca woda z rozmrożonego lodu z marsjańskiej gleby, system natleniania przez elektrolizę, razem z Liz sprawdziliśmy wszystko, w tym azyl. System izolacji działa bez zarzutu.

Odwraca się w stronę znajdującej się za nim rolniczej piramidy i wskazuje opancerzone drzwi otwierające się w bocznej ścianie pierwszego tarasu – tego, na którym rozciąga się pole owsa. Za tymi drzwiami znajduje się azyl: pomieszczenie ukryte pod plantacjami ma być najwytrzymalszym miejscem w całej bazie. Ten schron został zaprojektowany na wypadek trzęsienia ziemi lub innej poważnej katastrofy – jego ściany mają dwa metry grubości – ma też osobny zapas tlenu, by utrzymać potrzebne ciśnienie i powietrze zdatne do oddychania przez dwadzieścia cztery godziny. To także tam mieści się ambulatorium i stoi bezcenna drukarka 3D.

– Odkryliśmy nawet uniwersalny klucz, który pozwala odblokować wszystkie drzwi w bazie, w razie problemów – podsumowuje, prezentując coś, co przypomina długi metalowy klucz, przyczepiony do poręczy jego wózka. – Jeśli wydarzy się wypadek podobny do tego, jaki miał Marcus w służbie, będziemy już wiedzieli, co zrobić!

Upewniwszy się, że baza funkcjonuje prawidłowo, Fangfang oddycha jakby swobodniej.

Ujmuje swoimi dłońmi ręce Tao.

– I gdybyś wiedział, jaka jestem z ciebie dumna! – mówi, a jej sklezione taśmą okulary ocieplają nieco jej zimną perfekcję, pozwalając dostrzec w niej kruchą, wrażliwą dziewczynę.

Tao trzyma swoje wielkie palce wyprostowane, jakby się bał zamknąć w nich wiotkie paluszki swojej żony.

– Uważaj, zrobisz sobie krzywdę – ostrzega. – Masz taką delikatną skórę, a ja urodziłem się, by mieć zrogowaciałe dłonie, jak wszyscy w mojej chłopskiej rodzinie. Tyle że nie zrogowaciały mi od pracy na roli, tylko od cyrkowego trapezu, a potem od kół mojego wózka.

Ignorując ostrzeżenia, Fangfang ściska dłonie Tao jeszcze mocniej.

– Tym większą masz zasługę w tym, że zostałeś naszym specjalistą od inżynierii, *Xiao Zhu Gong!* – (nie mam pojęcia, co to znaczy, ale wyobrażam sobie, że coś w stylu „mój króliczku, mój skarbie”, albo może nawet „mój wielki dziki tygrysie”).

Podczas gdy Fangtao tak wzruszająco się sobą zachwycają, swój raport składają specjaliści w dziedzinie biologii.

– Kris i ja sprawdziliśmy plantacje – mówi Samson.

– Każde z osobna, tak? – pyta Aleksiej zniechęcony.

– Ech... co masz na myśli?

– To, że w tak dużej szklarni, przy takiej liczbie roślin musieliście się podzielić zadaniami. Przecież nie przykleiliście się do siebie na cały dzień. To nie byłoby... wydajne.

Och, och, wygląda na to, że rosyjski rycerz jest nieco zazdrosny... Samson rzuca Kris nierozumiejące spojrzenie, a ta szybko odpowiada swojemu mężczyźnie:

– Tak, Aleks, oczywiście, że podzieliliśmy się zadaniami. Samson specjalizuje się w zbożach i roślinach korzeniowych, a ja w owocach i warzywach. On zajął się owsem, ziemniakami i marchwią, a ja soją, truskawkami, jeżynami i jabłkami. *A propos*, nasze pięć jabłoni pięknie owocuje. Myślę, że zrobię sok, będzie łatwiejszy do przechowywania. A ty, powiedz mi, czy zabrałeś zamrożone jaja jedwabników, które były w naszej kapsule?

– Tak, aniołku... – odpowiada Aleksiej z roztargnieniem.

– Wykorzystałam też resztę dnia, by sprawdzić naszą kuchnię. Jest niezłe wyposażona, choć brakuje jednak kilku niezbędnych akcesoriów. Na przykład nie ma tłuczka do ziemniaków. A przy tej ilości ziemniaków, które będziemy jedli, naprawdę by się przydał. Nie sądzisz, że powinni byli o tym pomyśleć?

Ale Aleksiej nie wydaje się gotów, by rozmawiać o sprzętach kuchennych. Inne myśli kołaczą mu się po głowie. Obsesyjne myśli.

– Muszę ci zaufać, Kris, kiedy mówisz, że nie spędziłaś dnia z Samsonem – mówi. – Bo żadnych świadków nie było, prawda?

Trudno powiedzieć, czy żartuje, czy mówi serio.

Samson dyskretnie robi kilka gestów dłonią w kierunku Safii, uśmiechając się do niej. Ona odwzajemnia uśmiech.

To wystarczy, by spowodować wybuch.

– Co wy sobie przekazujecie, Samsafia!?! – wykrzykuje Aleksiej. – Myślicie, że nie zauważyliśmy waszej gierki, którą rozpoczęliście jeszcze w Kuli Spotkań? Macie swój tajny język, jak uczniowie porozumiewający się za plecami nauczyciela?

– Aleks, proszę cię...! – woła Kris.

Samson tymczasem przestaje się uśmiechać.

– Hola, uspokój się i zmień ton – ostrzega. – Nie jesteśmy uczniami, a ty nie jesteś nauczycielem. Wszyscy tu jesteśmy równi i każdy jest za siebie odpowiedzialny. Jeśli Kris mówi ci, że nie flirtowaliśmy, to powinieneś jej wierzyć. Co do naszego języka, to kod Shermana Fishera opracowany na wypadek wyjść w przestrzeń kosmiczną poza statek czy inne okazje, gdy trzeba by się porozumiewać bez dźwięku.

– Shermana Fishera? – pyta Aleksiej podejrzliwie. – To był instruktor łączności, więc rozumiem, że Safia zna ten kod. Ale ty...

– Wyobraź sobie, że niektórzy robili ciekawe rzeczy, kiedy ty pocieś się na siłowni w Cupido – odpowiada Samson. – Na przykład zdobywali wiedzę. Poprosiłem Kenjiego, żeby nauczył mnie tego kodu. Pomyślałem, że może mi się kiedyś przydać. – Samson ścisza głos i odsłania białe zęby w uśmiechu. – Chcesz, mogę ci dać krótki kurs?

Aleksiej wydaje z siebie pomruk, ale odrzuca ofertę.

– Nie, dzięki. Szkoda czasu na takie rzeczy.

Klepie Samsona po ramieniu (to musi być jakiś męski sposób komunikacji), żeby pokazać, że wszystko już w porządku i że już nie świruje.

– No to jak, geniuszu zbożowy, wszystko ładnie rośnie?

– Roboty rolnicze wykonały naprawdę doskonałą pracę przy zakładaniu plantacji. Od jutra zacznę im pomagać, aby zwiększyć wydajność, tak by zbiory starczyły na wyżywienie całej naszej dwunastki.

– No to miejmy nadzieję, że twoja pomoc przyniesie efekty! – wykrzykuje

Kelly. – A teraz, nie wiem jak wy, ale ja jestem raczej spragniona niż głodna. Z powodu złego samopoczucia Marcusa zapomnieliśmy wczoraj wznieść toast za nasze małżeństwa. Najwyższy czas to nadrobić. Ale jest jeden problem: nie tylko jaja jedwabników są zamrożone, nasze butelki szampana też się nieco zmroziły przez te dwadzieścia cztery godziny, które spędziły na zewnątrz. To jak będzie, chłopcy, zaprosicie nas dziś na kieliszeczek? Zrewanżujemy się oczywiście, kiedy nasz alkohol się rozmrozi.

– Jasne – odpowiada Aleksiej. – Spotykamy się tutaj w ogrodzie o osiemnastej. Czas na prysznic.

To jest to. To jest sygnał, chwila, na którą czekałam.

Wszyscy wrócili do domu. Odzyskałyśmy nasze rzeczy, upewniliśmy się, że baza działa prawidłowo, Marcus czuje się lepiej. To niezłe podsumowanie pierwszych trzech solów, zważywszy na to, jak rozpoczęło się nasze życie na Marsie. Ale teraz nadszedł czas, by zrobić kolejny krok, jeśli chcemy, by to życie potrwało jak najdłużej.

– Ja już wzięłam prysznic – mówię. – Muszę przyznać, że ostatnie wydarzenia mocno mną wstrząsnęły: katastrofa przy lądowaniu, pogryzienie przez Louve, wypadek Marcusa... Chyba powinnam udać się do Relaksowni, by Serena pomogła mi się pozbierać. Może przeprowadzi jakieś ćwiczenia oddechowe czy coś w tym stylu. To mi zawsze pomagało.

Aleksiej kiwa głową z powagą. Upewnił się, że wszyscy zrozumieli przekaz, że będę pierwszą osobą, która zbada siódme gniazdo. To całkiem logiczne, skoro jestem specjalistką od medycyny, a w końcu chodzi o zdrowie nas wszystkich.

– Jasne, Léo, zostawimy ci schłodzoną lampkę i ...

– Jesteś pewna, że nie chcesz, żebyśmy poszedł z tobą? – wtrąca się nagle Mozart, przerywając Aleksiejowi.

Wpatruje się we mnie intensywnie swymi czarnymi błyszczącymi oczami.

Czy Liz też to widzi, kiedy stoi z tyłu, ze wzrokiem wbitym w ziemię, otulając się niedawno odzyskanym szalem?

– Wiesz przecież, że spotkania w Relaksowni mają być indywidualne, Mozarcie – mówię, czując się bardzo niezręcznie. – Muszę tam iść sama.

– Och, Léo! Uważaj na siebie! – błaga Kris, gryząc się natychmiast w język, świadoma, że znów o mało się nie wygadała.

Staram się uśmiechnąć.

– Nie martw się. Przecież Serena mnie nie zje. Przeciwnie, sprawi, że się rozluźnię!

KANAL GENESIS

Wtorek 12 grudnia, godz. 21.17

Szeroki plan. Jedenaścioro pionierów gromadzi się wokół stosu rzeczy przywiezionych z kapsuły dziewcząt.

Léonor unosi usianą piegami twarz w stronę szklanej kopuły, za którą widać już marsjańską noc.

– Sereno, czy mnie słyszałaś? – pyta. – Chciałabym skorzystać z rozmowy z tobą w Relaksowni... proszę.

Pionierzy przez długą chwilę stoją nieruchomo w zupełnej ciszy. Niektórzy są spoceni i zmęczeni po ciężkim dniu, ale żaden nie biegnie pod prysznic.

Ze wzrokiem wbitym w przestrzeń czekają na słowa z nieba.

Wreszcie je słyszą, po sześciu minutach.

Serena (głos z offu): *Ależ oczywiście, Léonor. To normalne, że czujesz potrzebę rozmowy po tak trudnym lądowaniu... o nocy poślubnej nie wspominając! Czekam na ciebie.*

Cięcie.

[PRZERWA REKLAMOWA]

Przejdźcie od czarnego tła do ujęcia przedstawiającego bardzo poważnego mężczyznę w garniturze, siedzącego przy biurku obłożonym stosami dokumentów. Dzwoni telefon. Mężczyzna podnosi słuchawkę.

Poważny mężczyzna: Smith & Company, import-eksport, słucham?

Niezrozumiały głos z offu: Głoubgloubgloub!

Poważny mężczyzna (patrzy osłupiałym wzrokiem zza swych okularów): Przykro mi, proszę pana, ale nie mogę przyjąć pańskiego zamówienia. To jakaś chińszczyzna, nic nie rozumiem!

Kolejna scena.

Rodzina: tata, mama i synek siedzi w salonie, kiedy dzwoni telefon.

Mama: To na pewno ten kolega z wymiany międzynarodowej, który do ciebie przyjedzie. Odbierz, Tommy! Szybko!

Chłopiec podnosi słuchawkę: Halo! Mam na imię Thomas, mam dziesięć lat, lubię piłkę nożną i masło orzechowe, a ty?

I znów w słuchawce rozbrzmiewa niezrozumiały głos: Głoubgloubgloub!

Chłopiec podnosi na matkę okrągłe ze zdumienia, zaniepokojone oczy: Eee, co on mówi? To jakiś bełkot! Nic nie rozumiem...

Kolejna scena.

Na rozległym placu, naprzeciw wielkiego ekranu ozdobionego kolorami Genesis zebrał się gęsty tłum.

Na ekranie wyświetla się odliczanie wsteczne: *Połączenie z Marsem za 5 sekund... 4 sekundy... 3 sekundy... 2 sekundy... 1 sekundę...*

I na ekranie pojawia się planeta Mars na tle czarnej przestrzeni kosmicznej, a w głośnikach znów rozbrzmiewa znajomy głos: Gloubgloubgloub!

Tłum odwraca się do kamery idealnie zgranym ruchem i woła jednym głosem: Pomocy! To jakiś marsjański! Nic nie rozumiemy!

W tej samej chwili na placu znikąd pojawia się młoda dziewczyna w eleganckim pomarańczowym sari.

Kamera robi na nią zbliżenie, podczas gdy u dołu ekranu pojawia się napis: SAFIA, SPECJALISTKA W DZIEDZINIE ŁĄCZNOŚCI PROGRAMU GENESIS.

Safia zwraca się do tłumu: Chińszczyzna, bełkot albo marsjański, nie rozumiecie? To dlatego, że nie używacie nowego aparatu Karmafone Babel ze zintegrowanym tłumaczem: natychmiastowe tłumaczenie stu dziesięciu języków!

Wyjmuje telefon spomiędzy fałdów sari i przykłada do ucha: Halo? Tu Safia, kto mówi?

W miejsce planety, która znika z ekranu, pojawia się zielony ludzik z antenką na czole, trzymający w swej trzypalczastej dłoni telefon komórkowy Karmafone.

Zielony ludzik: No nareszcie! Zaczynaliśmy już myśleć, że wy, Ziemianie, jesteście przygłusi! Tak, chcieliśmy złożyć zamówienie na pięć milionów telefonów Karmafone Babel!

Finałowe ujęcie tłumu, który wznosi ręce do góry, wykonując *flash mob* w bollywoodzkim stylu i skandując na całe gardło: Karmafone nadaje ton! Czempion komunikacji! Kar-ma-fone!

Podpis na ekranie:

KARMAFONE

czempion komunikacji!

Cięcie.

POZA PLANEM

**Autostrada międzystanowa numer 80 Zachód, Wyoming,
wtorek 12 grudnia, godz. 21.25**

Bip!

Telefon komórkowy leżący na desce rozdzielczej – model Karmafone – krótko wibruje. Andrew puszcza kierownicę i chwyta komórkę. Patrzy na mały ekranik znużonym po przebyciu tysięcy kilometrów wzrokiem.

Nowa wiadomość

Od: Lucy

Do: Drew

Dzień dobry, dezercerze. Brak wiadomości to dobra wiadomość? Od zamachu na Genesis dom jest pod policyjną ochroną. Uzbrojeni ludzie towarzyszą mi, nawet gdy wychodzę na spacer z Yinem i Yangiem. Pytali nas, gdzie jesteś, ale ponieważ nic nie wiemy, nie możemy nic powiedzieć. Odpowiedz na moją wiadomość. Nie wiem już którą z kolei. Kiedy tak długo nie dajesz znaku życia, boję się, że... nagle znikniesz jak Scarlett. Odpisz. Plis. Buziaki! Twoja zapomniana siostra.

– To znowu twoja siostrzyczka? – pyta Harmony słabym głosem.

Zawinięta w koc, jest blada jak prześcieradło i wygląda na jeszcze bardziej zmęczoną niż kierowca.

– Tak – odpowiada Andrew, odkładając telefon na deskę rozdzielczą.

– I naprawdę jej nie odpiszesz?

– To zbyt niebezpieczne. Bardzo łatwo byłoby mnie wtedy namierzyć. Nie mam wyjścia, muszę siedzieć cicho i modlić się, by nic się nie stało mojej mamie i Lucy... – Zaciska szczękę, po czym dodaje: – Przysięgam, że jeśli przez Serenę McBee spadnie im choćby jeden włos z głowy, ta kobieta słono mi za to zapłaci!

Harmony wysuwa drżącą rękę spod koca, by wziąć telefon i przeczytać wiadomość.

– *Boję się, że znikniesz nagle jak Scarlett...* – czyta. – Co ona ma na myśli? Kim jest Scarlett?

Andrew milczy przez chwilę ze wzrokiem wbitym w drogę, jakby zmęczenie sprawiło, że nie słyszy już pytań Harmony.

Ale w końcu znużonym głosem powoli odpowiada:

– Scarlett była moją kuzynką, jedyną córką brata mojego ojca, wujka Patricka. Była też najlepszą przyjaciółką mojej siostry. Zmarła cztery lata temu, a moja siostra nigdy się z tego tak do końca nie otrząsnęła.

– Och! A na co zmarła twoja biedna kuzynka?

– To w dużej mierze pozostało wielką tajemnicą dla medycyny. Wszystko zaczęło się od pierwszego ataku, który miała w naszym domu w Beverly Hills. Scarlett bawiła się z Lucy, miały wtedy po siedem lat, a ja trzynaście. Rodzice wyszli na kolację z wujkiem i cicią, a ja robiłem za niańkę w zamian za drobne kieszonkowe, bo zbierałem wtedy na nowy symulator lotów kosmicznych. Właśnie czytałem chyba dziesiąty raz *Kroniki marsjańskie* Bradbury’ego, kiedy usłyszałem krzyk Lucy. Pobiegłem do jej pokoju. Scarlett leżała na dywanie pośród lalek; w horrorach podkłada się straszne dźwięki i przeraźliwą muzykę, by widzom włosy stanęły dęba ze strachu; ale mogę ci powiedzieć, że prawdziwy horror to cisza, kiedy przykładasz ucho do piersi małej, leżącej bez ruchu dziewczynki i nic nie słyszysz, zupełnie nic.

Andrew przełyka, jakby to wspomnienie miało zbyt gorzki smak. Ale pokonuje niechęć i zmęczenie i ciągnie historię, którą zaczął.

– W wieku siedmiu lat moja kuzynka Scarlett Fisher na krótką chwilę umarła. Po czym ożyła. Zanim przybyła pomoc, jej serce znów zaczęło bić, a oddech powrócił. Zatrzymali ją na kilka dni w szpitalu na obserwację. Nie było żadnych następstw, żadnych neurologicznych uszkodzeń, czego można się było obawiać w sytuacji, gdy dopływ krwi do mózgu zostaje nagle przerwany. Nic się jej nie stało, to był prawdziwy cud. Lekarze przeprowadzili całą serię badań, by znaleźć przyczynę tego ataku. Nie znaleźli żadnej wady serca ani tętniaka, ani... – Andrew oddycha ciężko.

Światła samochodu jadącego za kamperem odbijają się w lusterku wstecznym i w okularach chłopaka. Andrew jednym ruchem ręki przestawia lusterko na pozycję „noc”, by go nie oślepiało.

– ... ale ozdrowienie Scarlett to było tylko złudzenie – ciągnie. – Niemal dokładnie rok po pierwszym ataku powalił ją kolejny, z którego już się nie podniosła. W czasie autopsji lekarze odkryli, że jeden z jej genów miał mutację, która...

Andrew przerywa nagle, by spojrzeć w lusterko wsteczne, w którym samochód z tyłu pojawia się bliżej niż dotąd.

Chłopak sztywnieje.

– Ktoś nas śledzi!

– Co?

– Ten za nami, jestem pewien!

Dziewczyna odwraca się na siedzeniu, ale mruga tylko oczami, bo reflektory

oślepiają ją przez tylną szybę.

– Czy to policja? – jęczy. – Nic nie widzę!

Światła nieznanego samochodu są tak oślepiające, ponieważ dookoła nie ma niczego, co mogłoby je złagodzić, jest tylko czarna noc. Na tym skrawku autostrady zagubionej w odległym stanie Wyoming, o tej późnej godzinie najbardziej ponurego miesiąca roku, nie ma ruchu ani światła latarni. Jest tylko szeroka ośnieżona równina, nad którą płynie obojętny księżyc.

Nagle do żółtego światła reflektorów dołącza czerwony migający blask koguta.

– Policja! – wykrzykuje Andrew.

Przez megafon rozlega się głos silniejszy niż ryk silników:

– W imieniu prawa, proszę zatrzymać pojazd i zaparkować na poboczu!

Harmony zaczyna obracać w palcach swój medalion, jak zawsze, gdy ogarnia ją panika.

– Och Andrew! Co teraz zrobimy!?! – szlocha.

– Musimy się zatrzymać – odpowiada Andrew tępo. – Nie mamy wyjścia.

Naciska hamulec. Następnie, kiedy kamper zwalnia, na moment odwraca głowę w kierunku Harmony i widzi, że znów uczepiła się swego medalionu.

– Znów ten wisiołek... – syczy. – On nie może ci pomóc, ani dzisiaj, ani nigdy. Upewnij mnie przynajmniej co do jednego, nie masz przy sobie ani grama zero-G, prawda?

– Gdybym miała, nie musiałabym łykać kodeiny.

Pomruk silnika cichnie.

Kamper się zatrzymuje, a kilka metrów za nim staje także radiowóz.

Wielka cisza Dzikiego Zachodu opada na autostradę międzystanową numer 80. Czerwony kogut, który kręci się bezgłośnie, maluje hałdy śniegu na poboczu krwawą poświatą.

– Proszę zostać w pojeździe – rozkazuje głos z megafonu. – Z rękami na kierownicy!

Trzask zamykanych drzwi rozdziera noc. Słysząc stukot butów oficera po asfalcie. Andrew wsuwa gorączkowo rękę do plecaka i wyjmując z niego drugi telefon komórkowy.

– Do kogo chcesz dzwonić? – niepokoi się Harmony.

– Do nikogo – odpowiada pospiesznie. – To nie jest telefon, tylko zamaskowana broń elektryczna. Paralizator. Poraża układ nerwowy napastnika. Nie mogłem użyć go przeciwko Balthazarowi, ponieważ konieczny jest kontakt bezpośredni.

Andrew zostawia paralizator na siedzeniu, tuż przy swoim udzie, i szybko kładzie ręce z powrotem na kierownicy, kilka sekund przed tym jak policjant pojawia się przy drzwiach.

Funkcjonariusz końcem latarki daje znaki, by kierowca opuścił szybę. Andrew wykonuje polecenie, otwierając kampera na chłód zimowej nocy. Czarna puchowa kurtka oficera ledwie odcina się w mroku, tak samo jak jego czapka, na której błyszczy gwiazdzista odznaka patrolu policji stanu Wyoming. Kolba rewolweru i para kajdanek połyskują u pasa.

– Czy wie pan, dlaczego poprosiłem go o zatrzymanie się? – pyta oficer zgodnie z procedurą zatrzymywania pojazdów.

– Nie, panie władzo... – odpowiada Andrew, nie odrywając rąk od kierownicy.

Policjant wkłada latarkę do wnętrza kampera, by lepiej oświetlić twarze kierowcy i pasażerki.

– No, nie wyglądziecie zbyt świeżo, obydwójcie! – wykrzykuje. – Nic dziwnego, że mknęliście środkiem jezdni!

Andrew oddycha z ulgą.

– Przepraszam, panie władzo – mówi. – Na drodze nie było nikogo poza nami, myślałem, że...

– Czy był ktoś, czy nie, to niczego nie zmienia – ucina policjant. – Kodeks drogowy jest po to, by go przestrzegać. I nie powinno się siadać za kierownicą w takim stanie. Pił pan alkohol?

– Nie, panie oficerze.

– Poproszę dokumenty.

Andrew nie wykonuje żadnego ruchu.

– Nie słyszałeś co do ciebie mówię, młody człowieku? Teraz możesz już zdjąć ręce z kierownicy, pozwalam ci. I proszę dokumenty. Jeśli ich nie masz, pojedziemy na komisariat.

Powolnym ruchem Andrew wyjmuje portfel z kieszeni i podaje policjantowi swoje prawo jazdy.

Ten odczytuje dane na głos do krótkofalówki, którą trzyma w dłoni:

– Halo, tu Derek. Proszę o weryfikację tożsamości. Nazwisko: Andrew Fisher. Wiek: osiemnaście lat. Numer prawa jazdy: 1938-65-7098.

Czekając na weryfikację danych, policjant podaje zatrzymanym dwa alkotesty.

– Proszę dmuchnąć – mówi. – Panienska także.

Po kilku sekundach kobiecy głos w krótkofalówce informuje:

– Tożsamość potwierdzona, Derek. Wszystko w porządku.

Policjant odbiera alkotesty i rzuca na nie szybkim spojrzeniem.

– Tutaj też wszystko wydaje się w porządku, wbrew pozorom... – Oddaje Andrew jego prawo jazdy. – Możecie jechać dalej. Ale proszę, jedźcie powoli, droga miejscami jest oblodzona. I proszę, trzymajcie się prawej strony. Radziłbym się także zatrzymać i przespacerować w najbliższym motelu, dwadzieścia kilometrów stąd.

Przepraszam, ale naprawdę wyglądacie jak zombi i nie chciałbym jutro rano znaleźć waszego kampera rozwalonego na poboczu.

– Tak, panie oficerze – odpowiada Andrew, chowając prawo jazdy. – Zrobię, jak pan radzi.

Chłopak wkłada kluczyk do stacyjki, by uruchomić silnik. Policjant odwraca się, by odejść. Jednak w tej samej chwili w krótkofalówce rozlega się skrzeczący głos:

– Derek? Jesteś jeszcze z tym facetem, Andrew Fisherem? Nie zauważyłam tego od razu, ale jego nazwisko jest na liście osób poszukiwanych przez CIA...

Oficer odwraca się do wciąż otwartej szyby kampera.

Jednak Andrew jeszcze szybciej obraca się w fotelu, ruchem błyskawicy wystawia paralizator przez okno i przystawia go policjantowi do karku. Wziętym z zaskoczenia mężczyzną wstrząsają gwałtowne spazmy, po czym pada na zamrożony asfalt.

PLAN

**20 miesiąc / 553 sol / godz. 17.32 czasu marsjańskiego
[3 sol od lądowania]**

W słuchawkach hełmu słyszę własny oddech.

Zaledwie kilka metrów dzieli mnie od siódmego modułu mieszkalnego.

Segment łączący, w którym się właśnie znajduję, jest taki sam jak pozostałe, odchodzące gwiazdziście od ogrodu i prowadzące do Gniazd Miłości. Na obydwu końcach segmentu znajdują się drzwi, tak jak w śluzie powietrznej prowadzącej do szklarni. Dzięki nim, jeśli z jednym z modułów mieszkalnych wystąpiłyby jakieś problemy, można odizolować go od reszty bazy.

Siódmy korytarz nie jest teraz odcięty. Drzwi wychodzące na ogród otworzyły się, a później zamknęły za mną bez żadnego problemu.

Drzwi, które mam przed sobą, wyglądają tak samo jak te prowadzące do mojego modułu mieszkalnego, w którym w tej chwili odpoczywa Marcus. To prosty aluminiowy okrąg, tyle że zdobi go wielka cyfra siedem.

Jednakże za tą cyfrą znajduje się nieznane zagrożenie, które może nas wszystkich zabić. Za tymi drzwiami, trochę ponad marsjański rok temu, w czasie godziny, kiedy ostatnia Wielka Burza zakłóciła komunikację między Marsem a Ziemią, śmierć skosiła wszelkie życie, jakie znajdowało się w środku.

Co znajdę w siódmym module? Masowy grób karaluchów, szczurów i jaszczurek? Czy ciała tych biednych stworzeń już się rozłożyły, bo zginęły prawie dwa ziemskie lata temu?

W każdym razie z zapiętym na głowie hełmem nie poczuję smrodu i nie zaszkodzą mi żadne toksyczne wyziewy, szkodliwe promieniowanie lub inne zagrożenia, które mogą czyhać na mnie w tym miejscu – choć odczyty z czujników wskazują, że wszystko wróciło do normy, nie mam zamiaru ryzykować.

Widzowie pewnie myślą, że trochę mi odbiło, skoro idę na spotkanie z psychiatrą w pełnym rynsztunku, gdy w całej bazie jest odpowiednie ciśnienie. Opowiadam więc głośno, że mam migrenę, a czysty tlen z butli bardzo mi pomaga na ból głowy. Zastanawiam się, czy ktokolwiek uwierzy w te brednie. W najgorszym wypadku pomyślą, że jestem zdrowo stuknięta, a co za tym idzie naprawdę potrzebuję psychiatrycznej konsultacji – „biedna Léonor, zawsze wiedzieliśmy, że jest delikatna, ale teraz to już naprawę dostaje kompletnego świra”.

Kładę dłoń w rękawicy na dźwigni służącej do otwierania drzwi. Naciskam

zdecydowanym ruchem. Słyszc kliknięcie. Czuję, że mój żołądek się ściska, a ciało całym ciężarem zapiera się w podłogę, jakby chciało się oprzeć dekompresji, eksplozji albo nie wiem czemu jeszcze...

Drzwi uchylają się jednak spokojnie i bezgłośnie. W pierwszej chwili widzę tylko ciemność. Następnie zapalają się halogenowe reflektory i światło staje się coraz intensywniejsze, przeganiając cienie. Nic tu nie ma. Żadnych szczątków. Żadnych klatek. Ani śladu zwierząt, które według danych z raportu Noego mnożyły się na potęgę i w chwili, gdy zaskoczyła je śmierć, były ich tu setki. Zamiast śladów masakry widzę przed sobą puste i czyste Gniazdo Miłości.

Idę niepewnie po podłodze, na której nie ma choćby ziarenka piasku, między nieskazitelnie białymi plastikowymi ścianami. Może szczątki zwierząt znajdują się w pierwszym pokoju? Zastanawiam się, otwierając drzwi, które do niego prowadzą.

Nic. Stoi tu tylko metalowe łóżko, idealnie zaścielone, jak w pokoju hotelowym świeżo posprzątanym na przyjęcie gości. Tak samo jest w drugim pomieszczeniu i w łazience: oszałamiająca normalność!

Dzień dobry, Léonor. Witaj w Relaksowni!

Głos Sereny sprawia, że podskakuję ze strachu – wydaje się tak bliski, jakby szeptała tuż za moimi plecami. To tylko iluzja, stworzona przez wbudowane w hełm słuchawki.

Nie mogę stracić pewności siebie.

W tej chwili muszę być bardziej opanowana niż kiedykolwiek.

– Relaksownia...? – mówię do mikrofonu. – Nie musimy stosować tutaj tej terminologii, ponieważ jesteśmy tu same, prawda? Co znaczy ten pusty moduł? Gdzie są szczątki zdechłych zwierząt? Co to za nowy podstęp?

Przez długie minuty słyszę tylko puls bijący w moich skroniach i dźwięk własnego oddechu w słuchawkach hełmu. Na próżno próbuję uspokoić oddech, nie udaje mi się to.

Wchodzę do salonu.

Na ekranie wiszącym na ścianie naprzeciwko sofy wyświetla się twarz producentki wykonawczej nikonąca w połowie w mroku bunkra.

– *Tak, jesteśmy tu same* – odpowiada w końcu z sześciominutowym opóźnieniem. – *Tak jak wyjaśniłam, Relaksownia to miejsce prywatne, a nagrane tu obrazy trafiają wyłącznie do mnie. Skąd tyle nieufności, Léonor? Po co ten hełm i skafander? Nie pozwoliłabym ci wejść do niebezpiecznego miejsca. Pamiętaj, nasze losy są połączone, a moja przyszłość zależy od waszego przeżycia. Widzę, że twoje nerwy są napięte do granic, słyszę dźwięk twojego ciężkiego oddechu i bardzo mnie to smuci. Zaproponowałabym ci kilka relaksujących ćwiczeń, nim zaczniemy rozmowę, ale wiem, że się nie zgodzisz...*

Nerwy napięte do granic – to mało powiedziane. Mam wrażenie, że czuję

wszystkie zakończenia nerwowe w moim ciele, aż po ruchy gałek ocznych. Obracają się jak kule, obserwując nieruchomy pokój w poszukiwaniu znaku, którego nie znajdują.

– ... *pozwól więc, że odpowiem na twoje pytania. Tak, siódmy moduł jest pusty i jest to zupełnie normalne. Widzisz, baza Nowy Eden działa jak idealny mały zamknięty świat. Nie można pozwolić na gromadzenie się odpadów organicznych, ryzykując rozprzestrzenienie zarazków chorobotwórczych i zanieczyszczenie powietrza. Muszą być sukcesywnie usuwane, by chronić równowagę całego ekosystemu. Minął już cały marsjański rok od czasu gdy wielozadaniowe roboty sprzątnęły szczątki zdechłych zwierząt, zdezynfekowały pomieszczenia i usunęły wszelki ślad po tym smutnym wydarzeniu.*

No i udało się, Serena sprawiła, że pokonałam niepokój, ale nie dzięki ćwiczeniom relaksacyjnym: wkurzyła mnie, do czego ma niezwykle talent!

– Dłaczego nic nam nie powiedziałaś!? – wykrzykuję, a w moich słuchawkach powstaje sprzężenie zwrotne. – Myśleliśmy, że w tym module znajdziemy jakąś wskazówkę, coś co pozwoliłoby nam zrozumieć, co się wydarzyło, kiedy kontakt między Nowym Edenem a Ziemią się urwał! Jakiś znak, który podpowiedziałyby nam, dlaczego zwierzęta zginęły! Nie wypełniłaś zobowiązania przejrzystości. Zasługujesz, żeby ujawnić prawdę i spalić cię na stosie, tak jak roboty spaliły ciała zwierząt!

Zaczynam przemierzać moduł wzdłuż i wszerz, nie zwracając uwagi na twarz na ekranie. Zrywam pościel z łóżek. Wywracam materace, tak lekkie przy zmniejszonej sile grawitacji. Zrzucam poduszki z sofy w poszukiwaniu czegoś, czegokolwiek! Ale wielofunkcyjne roboty dobrze wykonały swoje zadanie, niczego już tu nie znajduję!

– *Ależ, zapewniam cię, że wypełniłam swoje zobowiązanie przejrzystości!* – protestuje Serena na ekranie po sześciu minutach.

W jej głosie pobrzmiewa panika, która równoważy nieco moje przerażenie.

– *Roboty oczyściły moduł, na długo zanim zawarliśmy naszą umowę, nim jeszcze wylecieliście na Marsa!* – ciągnie. – *Nic nie poradzę na to, że sygnatariuszom raportu Noego nie udało się na odległość ustalić przyczyny śmierci zwierząt! Archibald Dragovic był wybitnym biologiem, ale nie był jasnowidzem. A ja nie jestem wróżką! Przysięgłam zrobić wszystko, co w mojej mocy, by wam pomóc – dobrze wiesz, że w moim interesie jest, byście żyli jak najdłużej, powtarzam ci to po raz kolejny, bo gdy zginiecie, moja własna córka wyjawi światu raport Noego! Ale mam wpływ tylko na teraźniejszość, a nie na przeszłość!*

Przez chwilę stoję bez tchu na środku pokoju, który zdewastowałam, przepocony kombinezon klei mi się do skóry, para przesłania wizjer mojego hełmu. Jak Serena mogłaby nam pomóc? Pomijając telefon Rubena Rodrigueza, który trzymam pod materacem, i kilka zrzutów ekranu w rękach Andrew i Harmony, nie

pozostało nic z doświadczenia Noego.

Czuję, że znalazłam się w ślepych zaułku, tunelu bez wyjścia, przesłoniętym jak szyba mojego kasku. Jednak stopniowo system regulacji w moim hełmie usuwa zamglenie na wizjerze i przywraca optymalną widoczność. I wtedy to dostrzegam, tuż przy ziemi, kilka centymetrów nad podłogą w salonie.

Nie zauważyłam tego wcześniej, zbyt zajęta wywracaniem wszystkiego do góry nogami.

A jednak to tam jest. Plastikowe spojenie o średnicy kilku centymetrów. Chropowata, okrągła łata, niczym strup na idealnie gładkiej białej ścianie.

Tu była dziura, którą załatano.

KONTRPLAN

**Wschodnie wybrzeże Florydy, półwysep Canaveral,
środa 13 grudnia, godz. 16.29**

Wiatr wiejący nad wybrzeżem rozwiewa włosy Sereny McBee, burząc jej idealne srebrzyste uczesanie. Za jej plecami rozciąga się półwysep Canaveral. Papiery, plastikowe reklamówki i inne opakowania trzepoczą na wietrze między słupami, na których zamocowano milczące już teraz głośniki. To wszystko, co zostało po nieprzebranym tłumie, który zebrał się tu dwa dni wcześniej, by uczestniczyć w ślubie stulecia. W dole, za dziesiątkami punktów kontrolnych z barierami najeżonymi drutem kolczastym, widać ogrodzenie platformy startowej, otoczone drżącymi na wietrze wrzosowiskami.

Android Oraculon nie drży.

Stoi wyprostowany w swym czarnym garniturze, jego ręce w skórzanych rękawiczkach wiszą całkowicie nieruchomo, w idealnej symetrii po dwóch stronach tułowia, którego nie unosi najmniejszy choćby ślad oddechu. W gładkiej, nieprzejrzystej powierzchni kasku służącego mu za głowę odbija się zachmurzone niebo. Tuż za nim stoi zaparkowany mercedes, którym podjechał aż pod bramy bazy.

– Cieszę się, że znów cię widzę, drogi Oraculonie – mówi Serena, poprawiając dopasowany kostium. – Ale muszę cię uprzedzić, że nie mam zbyt wiele czasu. Program Genesis nigdy się nie kończy, a producentka wykonawcza musi być ciągle na miejscu. Jeep, który mnie przywiózł tu na kontynent, wróci za kwadrans, by zabrać mnie z powrotem do bunkra.

– Gdyby to zależało ode mnie, przyjechałbym zobaczyć się z panią w bunkrze, pani McBee – odpowiada android swym dziwnym syntetycznym głosem. – Ale to nie ja, maszyna zaprogramowana tak, by podtrzymać ludzką konwersację na średnio skomplikowanym poziomie, będę dziś z panią rozmawiał, lecz moi zwierzchnicy, członkowie zarządu Atlas Capital. Jak pani wie, służę jako antena przesyłająca pani wiadomości, ale ta antena nie działa na półwyspie, gdzie wszystkie sygnały są zagłuszane...

– Tak, wiem, wiem – wzdycha Serena. – Oszczędź mi szczegółów technicznych. Co zarząd chce mi powiedzieć? Zamieniam się w słuch.

– Chwileczkę, poproszę... Muszę sprawdzić, czy w tej okolicy można przeprowadzić poufną konwersację...

Na ciemnym wizjerze kasku zapalają się dwie czerwone kropczki, co

sprawia, że wydaje się, iż android ma oczy. W rzeczywistości ma w głowie czujniki – niezwykle wrażliwe urządzenia, pozwalające mu z zabójczą precyzją analizować otoczenie.

Obrzuca „spojrzeniem” teren wokół, zatrzymuje się na Serenie i skanuje ją z góry na dół.

– Och! Mam dreszcze, kiedy mnie tak rozbierasz oczyma! – żartuje Serena.

– Myli się pani, pani McBee, nie rozebrałem pani – odpowiada robot, niezdolny pojąć żadnej dwuznaczności. – Według moich informacji wciąż ma pani na sobie ubranie: jeden kilogram i sto dwadzieścia gramów jedwabiu, kaszmiru, bawełny i skóry. Jednakże nie ma pani na sobie żadnego sprzętu nagrywającego, a teren o średnicy pięciuset metrów dookoła nas także jest bezpieczny. Proszę o kilka chwil cierpliwości, nawiązuję połączenie z radą administracyjną Atlas Capital...

Serena wykorzystuje chwilę oczekiwania, by poprawić włosy, posługując się kaskiem androida jak lusterkiem.

Nagle czarne tło wizjera ożywa, ukazując bladą cyfrową twarz, ni to mężczyzny, ni kobiety, niepodobną do żadnej istoty ludzkiej. To tylko maska 3D, za którą kryją się zarządcy jednego z najbardziej tajemniczych i potężnych funduszy inwestycyjnych na planecie.

– Gratulacje, Sereno!

Skrzeczący głos zdaje się wciąż taki sam, a jednak nie przemawia już program androida Oraculona. To anonimowi liderzy, którzy wykupili NASA i zatrudnili Serenę McBee, by zapewnić swojej inwestycji rentowność dzięki organizacji międzynarodowego *show*. Oni też nakazali kontynuować program Genesis pomimo tajnych konkluzji raportu Noego.

– Dziękuję – odpowiada Serena. – Gratulacje należą się obywatelom naszego kraju za to, że dokonali słusznego wyboru.

– Nasze gratulacje nie dotyczą wyniku wyborów – stwierdza lodowaty głos. – Dotyczą tych ostatnich dni: gratulujemy, że udało się uniknąć katastrofy. Co się wydarzyło w sobotę dziewiątego grudnia między 11.32 a 14.00? Dlaczego program został przerwany?

– Już to wyjaśniałam, kiedy wróciliśmy na antenę – broni się Serena. – Ci młodzi ludzie byli na skraju załamania nerwowego i musiałam dać im trochę czasu bez presji kamer telewizyjnych.

– Trochę czasu? Dwie i pół godziny? Ekran pozostawał czarny przez dwie i pół godziny! Nie miała pani prawa podjąć takiej decyzji! Proszę nie zapominać, kim pani jest...

– ... psychiatrą odpowiedzialną za marsjańskich pionierów – ucina Serena. – Oto kim jestem. I zareagowałam właśnie jako ich psychiatra.

– Przede wszystkim jest pani naszym pracownikiem. Ma nam pani zdawać

raport. W każdej chwili. Wszystko jest w pani kontrakcie. Jeśli się pani z tego nie wywiązuje, możemy panią w każdej chwili zwolnić zgodnie z prawem, nie wypłacając ani grosza od przychodów programu.

– Proszę jednak uważać na słowa – ostrzega Serena. – Zgodnie z prawem? Bo naprawdę sądzicie, że wysłanie dwunastu osób na pewną śmierć jest zgodne z prawem?

Komputerowa twarz lekko drży – tylko tak potrafi wyrazić jakiegokolwiek emocje.

– To pani ze swoją ekipą instruktorów ich tam wysłała! To wasze nazwiska figurują pod raportem Noego! Nikt nie zdoła udowodnić, że znaleźliśmy raport i wyraziliśmy zgodę na lot. Gdyby nastąpił najmniejszy choćby przeciek, to wy bylibyście sądzeni i skazani! Pozwalibyśmy panią, twierdząc, że oszukała nas pani w zamiarze przestępczym, i zażądaliśmy takiego odszkodowania, że z medialnego giganta McBee Productions nic by nie zostało!

Serena pozostaje niewzruszona wobec gróźb, z uśmiechem wyrytym na twarzy jak u woskowej figury.

– Spokojnie – mówi. – Po co te nerwy. Moja, jak mówicie, ekipa instruktorów stopniała jak śnieg na wiosnę. Zostali tylko Arthur Montgomery, za którego rękę osobiście, ponieważ trzymam go za to, za co trzyma się mężczyźni najmocniej, i Roberto Salvatore, który jest zbyt wielkim tchórzem, by zdobyć się na jakikolwiek nędzny ruch. Pozostali nie żyją i zabrali nasz sekret do grobu... czy raczej na dno Morza Karaibskiego.

Producentka wykonawcza wbija wzrok w puste oczodoły bez źrenic, narysowane na okrągłym ekranie, który ma przed sobą.

– Ta historia z zamachem terrorystycznym... – mówi głos po długiej chwili milczenia. – To pani pomysł, prawda? To pani pozbyła się swoich współpracowników?

– Tak, to ja – odpowiada po prostu Serena. – Wam mogę to powiedzieć bez ogródek i udawania.

– Po co te morderstwa?

– Dla pieniędzy, oczywiście. By dostać ich premie. Miliony, które miały być przelane na ich konta w chwili lądowania, czekają w zawieszeniu od ich zaginięcia, prawda? Oczekuję, że przelejecie te pieniądze na moje konto w banku na Kajmanach. Być może jestem światową sławą w dziedzinie psychiatrii, ale moja własna psychologia jest bardzo prosta. Motywacją wszystkich moich działań są pieniądze i tylko pieniądze. I to wszystko.

– Rozumiemy – odpowiada głos, uspokojony tym wyznaniem, które nadało sens wszystkim działaniom Sereny, sens, który zarząd Atlas Capital pojmuje doskonale. – Przelejemy premie przewidziane początkowo dla pani współpracowników na pani konto. Ale odtąd nie może pani podejmować żadnych

nagłych decyzji bez konsultacji z nami. Rozumiemy się?

– Tak – odpowiada Serena, niczym grzeczna dziewczynka, która przyznaje, że popełniła głupstwo. – Już tego więcej nie zrobię. Możecie na mnie liczyć. I nie martwcie się, wszystko jest pod kontrolą. Pionierzy niczego nie podejrzewają. To najważniejsze. Pozwolę im jeszcze na kilka tygodni swawoli, aby kanał Genesis mógł przyciągnąć jeszcze więcej pieniędzy do naszej kasy. Później rozkażę mojemu kamikaze, by zaczął działać, i kurtyna opadnie definitywnie.

– Odpowiada nam ten plan. Trzeba tylko, by pani człowiek przeszedł do działania, nim wyjdą na jaw wady techniczne bazy, o które ktoś mógłby mieć do nas pretensje, i zanim kolejna grupa astronautów będzie gotowa do lotu na Marsa. Drugi sezon programu Genesis zostanie odwołany w ostatniej chwili, tak jak zdecydowaliśmy na początku. A skoro wspomniała pani o tym tajemniczym zamachowcu-samobójcy... nie chce nam pani zdradzić jego tożsamości? Tutaj, w zarządzie Atlasa, wszyscy mamy swoje podejrzania. Większość jest przekonana, że to Kenji, Japończyk, który lunatkuje nocami. To on, prawda?

Uśmiech Sereny staje się enigmatyczny.

– Może tak... – odpowiada wymijająco. – A może nie. Pozwólcie, że zachowam swój sekret, żeby nie psuć wam zabawy. To byłby, jak to teraz mówią, „spoiler”. Jak widzicie, budowanie dramatycznego napięcia to moja specjalność. To dlatego mnie zatrudniliście. Wolałabym was zaskoczyć.

Animowana cyfrowa twarz wygląda, jakby się uśmiechała.

– Dobrze, jak pani sobie życzy. Ma pani rację, to pani reżyseruje ten spektakl. Tymczasem nie możemy się już doczekać, by ujrzeć panią w nowej roli wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. Zgodnie z ustaleniami, pozostaniemy w kontakcie po zakończeniu programu Genesis. Mamy jeszcze razem wiele pieniędzy do zarobienia, pani McBee, bardzo dużo pieniędzy!

Serena kłania się delikatnie.

– Nie wątpię – stwierdza. – Dziękuję za zaufanie i do zobaczenia wkrótce.

Widmowa twarz blednie i znika, a kask odzyskuje swą nieprzeniknioną czarną barwę.

Android Oraculon znów staje się sobą, kłania się nisko, wypowiada standardową, nagraną wcześniej formułkę pożegnalną, po czym wsiada do mercedesa, który rusza drogą prowadzącą na północ – do Nowego Jorku.

Chwilę później odkryty jeep z czerwonym logo z ludzkim płodem nadjeżdża od strony półwyspu. Kierowca w szarym uniformie i czapeczce z daszkiem ozdobionej logo programu Genesis nie jest sam: obok siedzi agent Seamus, z czarnymi włosami rozwiewanymi przez wiatr.

– Pan tutaj? – pyta Serena. – Nie spodziewałam się tego.

– Widok człowieka prowadzącego samochód w kasku motocyklowym na głowie też był dosyć niespodziewany – odpowiada agent Seamus, wskazując

ruchem podbródka oddalającego się mercedesa.

– To nie był kask motocyklowy. W rzeczywistości, to nawet nie był człowiek. Wszystko panu wyjaśnię. Ale proszę mi najpierw powiedzieć, przystojny brunecie, dlaczego pan po mnie przyjechał? Nie może pan już żyć beze mnie?

Młody mężczyzna się uśmiecha.

– Pani bezpieczeństwo leży mi bardzo na sercu, pani McBee, już to pani wyjaśniałem – mówi. – Płacą mi za to, bym był jak najbliżej pani.

Serena odwraca głowę, śmiejąc się perliście i pobrzękując srebrnymi kolczykami.

– Niech pan już przestanie, bo brzmi pan jak donżuan! Zwracam panu uwagę, że większość mężczyzn chętnie zapłaciłaby za to, by być blisko mnie, a nie odwrotnie!

– Nie wątpię – przyznaje agent Seamus.

Wysiada z jeepa i otwiera przed nią tylne drzwi auta.

– A do tego szarmancki! – mówi.

Kobieta, zajmując miejsce, klepie dłonią w siedzenie obok, tak jak się przywołuje psa, pokazując mu, by usiadł na kanapie.

– Proszę tutaj, przecież nie będzie pan siedział z przodu, jak chłopiec na posyłki. Proszę usiąść obok mnie, porozmawiamy.

– Właśnie taki miałem zamiar – odpowiada młody mężczyzna, zamykając za sobą drzwi.

– Ach! Przekonamy się zatem, czy potrafi pan rozmawiać z kobietami!

– Najpierw chciałbym się zwrócić do pani wiceprezydent – mówi, kiedy jeep rusza z powrotem do bazy. – Andrew Fisher został odnaleziony.

Zalotny uśmiech znika w jednej chwili z twarzy Sereny McBee.

– Wczoraj wieczorem – kontynuuje agent Seamus niskim głosem, zagłuszonym w połowie rykiem silnika. – Na autostradzie międzystanowej numer osiemdziesiąt w stanie Wyoming. Jechał kamperem z młodą dziewczyną.

– Gdzie oni teraz są? – pyta Serena trochę zbyt piskliwie.

– Nie wiem. Policjant, który ich zidentyfikował, został odnaleziony późno w nocy przypięty kajdankami do kierownicy swojego wozu. Stracił przytomność. Jego rewolwer i drugie kajdanki zostały skradzione. Ale najdziwniejsze jest to, że w jego kieszeni znaleźliśmy wiadomość...

– Wiadomość? Jaką wiadomość?

Agent Seamus wsuwa dłoń do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjmuje z niej kartkę papieru złożoną na czworo.

– Kazaliśmy przysłać sobie ten dokument, tu na przykład Canaveral, długodystansowym dronem – wyjaśnia. – Sądziła pani, że młody Fisher chciał coś pani powiedzieć? Miała pani rację, pani McBee.

Serena rozkłada wiadomość swoimi długimi palcami z pomalowanymi

paznokciami. Nie wiadomo, czy to warkot jeepa, który rusza po krótkim postoju w punkcie kontrolnym, wprawia ją w drzenie, czy coś innego... Na pomiętym papierze ukazują się linijki skreślone odręcznym, pospiesznym, nerwowym pismem.

Droga Pani McBee,

jest mi wstyd.

Jest mi wstyd, ponieważ skrzywdziłem tego oficera policji, który zatrzymał mnie za złamanie przepisów kodeksu drogowego. Ale spanikowałem, wyjąłem paralizator i poraziłem prądem tego niewinnego dobrego człowieka. Mam nadzieję, że czuje się już lepiej i że ta wiadomość dotarła do Pani. Jestem na skraju załamania i mimo tego, co zrobiłem temu biednemu człowiekowi, nie jestem gotowy, by się poddać. Mogę tylko uciec: więzienie za bardzo mnie przeraża.

Nie śmiałybym prosić Pani, przyszłej wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, o łaskę, ponieważ wiem, że ma Pani niezachwiane poczucie moralności. Pomimo sympatii, jaką mnie Pani darzy, prawość i uczciwość, jakie Panią cechują, nie pozwolą Pani pomagać przestępcy w uniknięciu sprawiedliwości.

Dlatego nie kończę tej wiadomości prośbą, lecz podziękowaniem. Jestem bardzo wdzięczny, że objęła Pani moją mamę i siostrę ochroną policyjną na koszt państwa. Jestem spokojny, wiedząc, że są bezpieczne, chronione przed wszelkim zagrożeniem. Gdyby po śmierci ojca jeszcze im przydarzyło się jakieś nieszczęście, myślę, że w stanie, w jakim się znajduję, mógłbym zupełnie oszaleć... Myślę, że mógłbym popełnić jakiś nieodwracalny czyn, którego wszyscy byśmy żalowali...

Dziękuję z głębi serca, że będzie Pani uważać na Vivian i Lucy Fisher.

Z wdzięcznością,

Andrew Fisher

– Cóż, chłopak z wielkimi problemami, ale również bardzo wdzięczny – komentuje agent Seamus.

– Rzeczywiście... bardzo wdzięczny...

– Miejmy nadzieję, że nie postanowi targnąć się na swoje życie przy użyciu skradzionego rewolwera. Ten nieodwracalny czyn, o którym pisze, to z pewnością

groźba samobójcza. Co pani o tym sądzi, znając go i będąc wybitnym psychologiem?

– Myślę, że ma pan rację, agencie Seamus – odpowiada Serena bezbarwnym tonem. – Z pewnością ma pan rację... – Zbiera się w sobie, odzyskuje pozę profesjonalistki i natychmiast dodaje: – zresztą właśnie dlatego, że podejrzewałam, iż jego psychika jest bardzo krucha, chciałam z nim porozmawiać i prosiłam, by mi go pan sprowadził. Och, biedny chłopak...

W tej samej chwili kierowca jeepa odwraca się do pasażerów na tylnym siedzeniu, trzymając krótkofalówkę przy uchu.

– Przepraszam, że państwu przerywam, ale mam wiadomość dla pani McBee z montażowni.

– O co chodzi? – pyta producentka wykonawcza.

– Kolejna prośba o spotkanie w Relaksowni – odpowiada kierowca, powtarzając informacje, które ktoś przekazuje mu przez krótkofalówkę.

– Naprawdę? A któż to chce mi dzisiaj opowiedzieć o swoich smutkach? Znowu Léonor?

– Tak, proszę pani, ale nie tylko. Pięcioro innych pionierów chce się z panią zobaczyć w tym samym czasie, bo nie są w stanie czekać na swoją kolejkę... – Mężczyzna kieruje do swej pracodawczynie uśmiech pełen podziwu. – Hehe! Taka jest cena sukcesu, pani McBee!

PLAN

**20 miesiąc / 554 sol / godz. 14.27 czasu marsjańskiego
[4 sol od lądowania]**

– *Sześć osób jednocześnie? Na kogo ja wyjdę, po tym, jak ogłosiłam, że seanse w Relaksowni będą indywidualne? I jak mam to niby wytłumaczyć widzom?*

– W taki sam sposób, jak my już to zrobiliśmy, mówiąc, że potrzebujemy pogadać „między dziewczynami” – odpowiadam.

Jesteśmy tu całą szóstką, w naszych obcisłych kombinezonach, w salonie siódmego modułu mieszkalnego, naprzeciwko ekranu, na którym wyświetla się pełna dezaprobaty twarz Sereny McBee. Powiedziałam pozostałym, że mogą dać sobie spokój z hełmami i skafandrami: powietrze jest zdatne do oddychania, sprawdziłam to wczoraj pod koniec pobytu tutaj. Chłopcy tymczasem są w ogrodzie, by zabawić publiczność – i zareagować, gdyby coś nam się stało. Tylko Marcus jest jeszcze w swoim pokoju; kazałam mu obiecać, że zostanie tam kolejny dzień, by dojsć do siebie. Jego zdrowie jest dla mnie najważniejsze i nie chcę go niepotrzebnie martwić.

– Léo ma rację, widzowie zrozumieją – dodaje Safia cicho. – Przecież właśnie wyszłyśmy za mąż i odkryłyśmy... hm... tajemnice męskiego ciała. To chyba naturalne, że mamy wątpliwości, prawda? Nadzieje, może obawy, którymi chcemy się podzielić ze starszą od nas kobietą.

– Jeśli o mnie chodzi, nie musiałam czekać na prysznic z Kotem, żeby odkryć tajemnice męskiego ciała! – ogłasza z dumą Kelly. – Ale dobra, widzowie nie powinni tego wiedzieć, więc nie przeszkadza mi odgrywanie przerażonej dziewczyny.

Dziewczyny patrzą na Kelly z mieszaniną zazdrości i strachu.

– Naprawdę? – pyta Kris. – Naprawdę wzięłaś z nim prysznic?

– No tak, Kenji ma rację, dzięki temu można się kąpać dwa razy dziennie, kiedy nie ma się do dyspozycji stu litrów ciepłej wody, jak ty i Aleks.

– I byłaś... całkiem naga? – pyta Safia, otwierając szeroko oczy podkreślone kajalem.

– A wy tam w Indiach bierzecie prysznic w ubraniach? Jak te kobiety, które kąpią się w Gangesie w sari?

– Ale ty nie... On nie... No wiesz, co chcę powiedzieć...

Na pomalowanych błyszczkiem ustach Kelly maluje się uśmiech rozbawienia.

– Ja nie co? On nie co? Mogłabyś jaśniej? Jeśli obecność Sereny cię krępuje, to mogę cię zapewnić, że nasza droga dobrodziejka słyszała już niejedno... No dawaj! Wyrzuć to z siebie! Tutaj możesz mówić, widzowie nas nie słyszą!

W kilka sekund mała Hinduska robi się tak czerwona jak bindi zdobiące jej czoło.

Kelly wybucha szczerym śmiechem.

– Oddychaj, wypuść powietrze, bo wybuchniesz jak szybkowar. No już, przestaję się z tobą drażnić, moja piękna. Między mną a Kenjim do niczego nie doszło. Nawet namydliłiśmy się oddzielnie. I uprzedzając wasze pytania, to nie przez gorące noce ze mną ma te cienie pod oczami, byłoby ciężko, bo skoro tylko wybije północ i kamery w sypialni przestają kręcić, wkłada swój skafander...

– Jak to wkłada swój skafander? – dopytuje Kris. – Chcesz powiedzieć, tak samo jak strażnicy w ogrodzie?

– Taa. Za bardzo się boi dekompresji. Na darmo powtarzam mu, że Serena nie wciśnie guzika, dopóki dwoje spośród nas stoi na straży pod kopułą, nie licząc Andrew i Harmony, którzy osłaniają nas na Ziemi... – Odwraca się niepostrzeżenie w stronę ekranu, na którym Serena spokojnie czeka, aż dotrą do niej nasze słowa: – Prawda, dobrodziejko?

Po czym ciągnie:

– To silniejsze od niego. Nic dziwnego, że źle sypia, wciśnięty w ten skafander, dusząc się w hełmie i słysząc echo własnego oddechu w słuchawkach. A właśnie, Léo, nie znalazłabyś dla niego zatyczek do uszu w swojej apteczce?

Kręcę głową.

– Przykro mi, ale wydaje mi się, że niczego takiego nie mam...

– Kenji to naprawdę wrażliwy chłopak – opowiada Kelly namiętnie. – Taki, którego trzeba oswoić. Jest jednocześnie superbezośredni i superwstydlivy, co w żadnym stopniu nie ujmuje mu uroku, przeciwnie. Nie żartuję, to prawda, że znałam innych facetów, ale nigdy takiego jak on. Jestem poważnie zakochana. Bo wiecie, może i wyglądam na łatwą, ale w rzeczywistości jestem bardzo staroświecka. Wcale nie lubię chodzić na skróty. Wolę poczekać na właściwy moment.

Poczekać na właściwy moment: łagodny eufemizm.

Ponieważ ten moment, jak wszystkie dobrze wiemy, może nigdy nie nadejść.

Jednak pomysł, by wziąć prysznic z Marcusem, nawet mi się podoba – natychmiastowa korekta: na samą myśl przeszywa mnie dreszcz od stóp do głów! Widok wody spływającej po jego skórze na las tatuaży musi być niezwykle... Ale to byłoby oczywiście zbyt niebezpieczne. To by przypominało igranie z ogniem. Nie jestem pewna, czy Marcus zachowałby powściągliwość Kenjiego; a ja w porównaniu z Kelly jestem tak nieprzyzwyczajona... Ryzyko, że wszystko wymknęłoby się spod kontroli, jest za duże.

– *Nie, nie wcisnęłabym guzika!* – wykrzykuje nagle Serena na ekranie, powtarzając słowa wypowiedziane przez Kelly sześć minut temu. – *Bardzo mnie zasmuca, że Kenji sądzi, że jestem zdolna do czegoś podobnego! Jeśli zachowacie milczenie, nigdy nie rozhermetyzuję bazy i będziemy żyć długo i szczęśliwie, wy na Marsie, a ja na Ziemi.*

– Trochę zbyt szybko zapomniałaś, że zwierzęta doświadczalne też miały żyć na Marsie długo i szczęśliwie – mówię gorzko. – Ale zginęły w tajemniczych okolicznościach. To dlatego zebrałyśmy się dziś w siódmym module. By spróbować zrozumieć, co im się przydarzyło. Razem będziemy szukać o wiele efektywniej.

– Szukać, ale czego, oto jest pytanie... – mówi ponuro Fangfang. – W matematyce, nawet w najbardziej skomplikowanych równaniach, znamy liczbę niewiadomych. A tutaj nie. Nie mamy żadnej wskazówki.

– A właśnie, że mamy! – mówię, wskazując dół ściany w głębi salonu. – Mamy to coś, o czym wam mówiłam!

Dziewczyny podchodzą do zakrzywionej ściany.

Szew jest tam, teraz, gdy już go zlokalizowałam, nie da się go nie zauważyć.

Liz dotyka powierzchni swoimi długimi palcami.

– Masz rację, Léo... – szepcze. – To plastikowa łąta, jakie uczyłam się robić na zajęciach z inżynierii, aby naprawiać ewentualne uszkodzenia w powłoce modułów.

– Nie rozumiem – mówi Kris. – Kto mógł załatać tę dziurę, skoro przed nami nie było tu żadnych ludzi?

– Pod nieobecność ludzi mogą to zrobić wielozadaniowe roboty, jeśli tylko integralność bazy jest zagrożona. Potrafią posługiwać się pistoletem do lutowania takim jak ten.

Liz wyjmuje ciężki pistolet z kuferka z narzędziami, który wzięła z bazy do siódmego modułu, tak na wszelki wypadek.

– To z pewnością ma związek ze śmiercią zwierząt... – szepcze Fangfang.

– Brawo, Einsteinie! – odpowiada drwiąco Kelly, krzyżując ramiona na piersi.

Jednak gdy tylko wyrzuca z siebie sarkastyczną uwagę, jej oczy robią się wielkie i okrągłe.

Uderza się dłonią w czoło, jakby nagle przyszedł jej do głowy jakiś pomysł.

– No tak! Przecież to oczywiste! – woła. – Zaraz wam powiem, co się stało!

Drżąc z podekscytowania, Kanadyjka patrzy na każdą z nas po kolei, by się upewnić, że wszystkie słuchamy uważnie. Po czym zaczyna tłumaczyć:

– Sądzę, że wypadek w siódmym module mieszkalnym nie ma żadnego związku z przedostatnią Wielką Burzą Piaskową, za to wielki związek ze szczurami! Było im tu trochę za ciasno albo nie mogły już wytrzymać

z karaluchami i jaszczurkami. Nie wiem w sumie, nie znam się na psychologii zwierząt. W każdym razie szczury najpewniej wygryzły dziurę w ścianie, żeby się stąd wydostać. Zanim roboty ją załatały, cały zwierzyniec zdążył się udusić. Widzicie, dziewczyny, to szczury wykopały sobie grób własnymi zębami! Ale my, o ile wiem, nie będziemy gryźć ścian! – Kelly bierze się pod boki i triumfalnie unosi podbródek. – Myliłyśmy się, łącząc śmierć zwierząt ze zjawiskami pogodowymi – mówi. – W rzeczywistości winne były szczury! Chcecie więcej dowodów? Baza doskonale przetrzymała ostatnią Wielką Burzę, która przeszła zaledwie dwa miesiące przed naszym przybyciem. Tym razem nie pojawiły się żadne dziury, nie zauważyliśmy nigdzie śladów lutowania. A dlaczego? Bo nie było szczurów, oczywiście! Brak szczurów to brak problemów! Oto rozwiązanie równania! Nie mamy się czego bać, dziewczyny! Co zostało udowodnione!

– Trochę za szybko wyciągasz wnioski – ripostuje Fangfang. – Twoje wyjaśnienia przenoszą tylko problem w inne miejsce, tworzą nowe niewiadome. To tak, jakbyś w równaniu zastąpiła niewiadomą x przez y albo z . Po pierwsze, nie wiemy, czy to naprawdę szczury uszkodziły wewnętrzną powierzchnię obudowy: żadne nagranie wideo tego nie potwierdza. Po drugie, nie jest jasne, czy otwór był na tyle głęboki, aby przebić kadłub na wylot i doprowadzić do nieszczelności. Po trzecie, nawet gdyby doszło do perforacji, co można udowodnić, patrz punkt drugi mojej wypowiedzi, nic nie pozwala nam twierdzić, że właśnie to było przyczyną śmierci zwierząt...

Fangfang stuka palcami w telefon Rubena Rodrigueza, który wniosłam tu dyskretnie w torebce, abyśmy miały go pod ręką w czasie naszych badań.

– Według raportu Noego, w dzienniku pokładowym prowadzonym na Ziemi w żadnym momencie nie zanotowano spadku ciśnienia ani zmniejszenia poziomu tlenu – stwierdza. – Co oznacza, że przedstawiony przez Kelly scenariusz mógł się rozegrać tylko w czasie jednej godziny, cichej godziny, kiedy łączność została utracona z powodu przedostatniej Wielkiej Burzy, trochę ponad marsjański rok temu. To byłby dosyć niespotykany zbieg okoliczności, żeby szczury postanowiły działać właśnie w tej chwili. A później, w zaledwie jedną krótką godzinę gryzonie miałyby przegryźć ścianę, ciśnienie miałoby spaść na tyle, by wszystkie stworzenia padły, roboty miałyby zdążyć naprawić szkody, tak by wszystko wróciło do normy? To nie brzmi prawdopodobnie.

– Sądzę, że Fangfang ma rację.

Wszystkie spojrzenia odwracają się w stronę Liz, która wciąż klęczy na podłodze przy załatanym uszkodzeniu.

– W module mieszkalnym jest sto sześćdziesiąt metrów sześciennych powietrza – mówi, cytując pomiary, które jako specjalistka od inżynierii zna na pamięć. – A ta dziura ma może z pięć centymetrów średnicy, nie więcej... – Przykłada kciuk i palec wskazujący do dwóch końców plastikowego wybrzuszenia,

aby ocenić jego rozmiary. – To za mało, by spowodować wybuch na skutek dekompresji. Powietrze uchodziłoby bardzo powoli, jak wtedy, gdy cierń wbije się w koło roweru. Roboty z pewnością zdążyłyby załatać dziurę, zanim utrata powietrza i spadek ciśnienia mogłyby zagrozić życiu zwierząt. Przykro mi, ale scenariusz Kelly nie trzyma się kupy.

– Przestańcie z tym „scenariuszem Kelly” – denerwuje się Kanadyjka. – Nie zastrzegłam sobie praw autorskich, a poza tym to tylko hipoteza!

– A mnie się ten scenariusz podobał... – mówi Kris cichutko. – Bo wyjaśniał wszystko. A wyjaśnienie znaczyłoby, że baza nie ma żadnych problemów poza szczurami wygryzającymi dziury w ścianach. Nie mielibyśmy się już czym martwić.

Kris wygląda jak mała dziewczynka, której odebrano gwiazdkowy prezent, w chwili gdy zaczęła go już rozpakowywać.

– Nie martw się, Kris – pocieszam, kładąc jej dłoń na ramieniu. – W końcu znajdziemy przyczynę.

W tym właśnie momencie wtrąca się Serena ze zwyczajowym opóźnieniem.

– *Powiedzcie, wpadłyście na jakiś trop!?* – wykrzykuje z ekranu na ścianie. – *Słyszę, że mówicie o dziurze w ścianie, tak? Jakże frustrujące być tak daleko w tak ważnych chwilach! Jakże chciałabym być z wami w tym module, by prowadzić dochodzenie!*

Wielki porozumiewawczy uśmiech Sereny, który ma zdaje się wyrażać wsparcie, wydaje mi się po prostu drapieżny. Twierdzi, że chciałaby być tu z nami, w tym przedsiönku śmierci! Ustawia się w pozycji zawodnika z naszej drużyny, podczas gdy tak naprawdę jest jednoosobową drużyną przeciwnika.

– *To jak śledztwo z serii książek The Famous Five, w których zaczytywałam się w młodości w Szkocji!* – ciągnie. – *Tylko że was jest sześć, a ze mną nawet siedem... The Famous Seven, bardzo mi się to podoba!*

– Mnie za to chce się rzygać! – odparowuje Kelly, której szczerść jeszcze nigdy tak dobrze nie odzwierciedlała moich własnych uczuć. – Nigdy nie słyszałam o twoich starych książkach. Jeśli już szukamy literackich porównań, to jesteś dla mnie bliźniaczą siostrą Lorda Voldemorta: wredna niczym choroba wrzodowa, jadowita jak żmija i z paskudnym pyskiem.

Harry Potter, tak wszystkie to czytałyśmy, to już klasyk. Porównanie Kelly jest idealne! Zachęcona naszym śmiechem, natychmiast dodaje:

– Kiedy cię widzę, kiedy cię słyszę, mam ochotę krzyknąć: *Znikaj! Expelliarmus!*

W tej samej chwili gdy wypowiada słynne zaklęcie, rozlega się hałas. Wiem, że to głupie, ale przez tę jedną sekundę naprawdę wierzę, że magia zadziałała i że tak jak w powieściach starczyło jedno słowo, by wysłać Serenę tam, skąd nigdy by już nie wróciła!

Ale rzeczywistość to nie powieść. A magia nie istnieje. Hałas, który usłyszałam, to skrzypienie drzwi siódmego modułu, które się właśnie otworzyły: stoi w nich Marcus, wściekły.

– Léonor! – krzyczy, jego szare oczy rzucają błyski, a twarz drży z gniewu i niepokoju. – Dwa razy weszłaś do tego pomieszczenia, które cuchnie śmiercią, nie informując mnie o tym! I ty mówisz o zaufaniu!

POZA PLANEM

**Droga ostatniej szansy, Dolina Śmierci,
środa 13 grudnia, godz. 20.15**

– Oto i ona: Sucha Góra.

Za szybą kampera z mrocznego tła nocy wyłania się wielka masywna forma. Fatalna piaszczysta droga usiana kamieniami wprawia karoserię w drżenie, pistolet i kajdanki podskakują i stukają o ściany schowka. Słysząc odgłos ślizgających się kół – to jedyny dźwięk w promieniu wielu kilometrów.

Wczepiony w kierownicę Andrew naciska pedał gazu. Przejechał tę okolicę wzdłuż i wszerz zeszłego lata, doskonale radzi sobie z trudnymi fragmentami drogi, w miejscach, gdzie mniej doświadczeni kierowcy na pewno by się poddali. Na siedzeniu obok otulona kocem Harmony drży i podskakuje, gdy samochód natrafia na przeszkody. Obydwoje mają rysy tak wydłużone ze zmęczenia, że wyglądają na starszych o dwadzieścia lat.

Kamper wjeżdża na jeszcze węższą drogę – to raczej ścieżka, niż droga – która pnie się do góry, ku rozgwieżdżonemu niebu.

– Trzymaj się mocno, Harmony – ostrzega Andrew ochryple. – Ostatni kilometr będzie najtrudniejszy z pięciu tysięcy, które przemierzyliśmy z Hampton. Ale mój stary dobry kamper pięć miesięcy temu już tę trasę pokonał. Miejmy nadzieję, że i tej nocy jego napęd na cztery koła spisze się.

Zaczyna się powolna wspinaczka, której towarzyszy zgrzytanie żwiru pod kołami i ryk silnika.

– Miejsce, do którego cię wiozę, odkryłem przypadkiem w trakcie długich tygodni, które spędziłem w tym regionie – tłumaczy Andrew. – Nie zaznaczono go na mapach, podobnie jak opuszczonej ścieżki, która tam prowadzi.

Wysoko na niebie księżyc wychodzi zza chmur. Gdzieś w oddali rozlega się wycie kojota witającego księżyc.

Po upływie godziny kamper wreszcie się zatrzymuje pod osłoną wielkiej skały, znaczącej koniec drogi i zasłaniającej pojazd niemal z każdej strony.

Andrew gasi reflektory.

Wzdycha, z bólem podnosząc się z siedzenia i prostując zeszywniałe ciało.

Wsuwa pistolet za pasek, a następnie otwiera drzwi: chłodne i suche powietrze grudniowej nocy w Dolinie Śmierci uderza go w twarz. Potykając się o kamienie, idzie otworzyć drzwi Harmony i pomaga jej wysiąść – jest taka krucha, taka lekka!

– Okryj się dobrze kocem – mówi cicho Andrew. – Oprzyj się na mnie. Już prawie jesteśmy.

Podaje jej ramię, a drugim obejmuje ją w cienkiej talii. W ten sposób, ona opierając się o niego, on prawie ją niosąc, zanurzają się w suche zarośla rosnące obok skały. Ciernie kaleczą im skórę, wczepiają się w wełnę koca i bezbarwne włosy Harmony, jakby chciały ją zatrzymać.

Jednak oni wciąż idą przed siebie.

I w końcu docierają do zagubionego parowu, na którego końcu otwiera się czarny tunel umocniony drewnianymi belkami. Obok stoi zniszczony drewniany domek.

– Opuszczona kopalnia – mówi Andrew. – To cel naszej podróży. Witaj w moim pałacu, Harmony McBee.

PLAN

**20 miesiąc / 554 sol / godz. 15.36 czasu marsjańskiego
[4 sol od lądowania]**

– Okłamałaś mnie! Wszyscy wiedzieli, wszyscy dziesięcioro wiedzieli, że weszłaś do siódmego modułu mieszkalnego, mimo że wiązało się to z zagrożeniem, tylko ja nie miałem pojęcia!

– Nie chciałam, żebyś się tym...

– Kiedy ja mówię ci, że czuję się lepiej, żeby cię uspokoić, to jestem draniem, ale kiedy ty ryzykujesz życie i nic mi o tym nie mówisz, jesteś bohaterką! To twoja nowa zasada gry?

– Nigdy nie mówiłam, że jesteś draniem, Marcus. Nigdy też nie twierdziłam, że jestem bohaterką...

– ... ale to właśnie myślisz. Nie zaprzeczaj!

Szare oczy Marcusa błyszczą w blasku reflektorów siódmego modułu. Dziewczyny zostawiły nas samych, kiedy wpadł tu wściekły.

– Léonor, nasza bohaterka, ta, która otworzyła nam wszystkim oczy! – rzuca z grymasem bolesnej ironii na ustach, z których spijałam tyle słodczy, a teraz sączy się z nich jad.

Jego słowa tak bardzo mnie ranią! Ale nie spuszcza z tonu:

– Léonor, nasza zbawicielka, która pokona śmierć!

– Co jest takiego złego w chęci przetrwania? – jąkam załamana, z poczuciem ogromnej niesprawiedliwości. – Po prostu przetrwania...

Nim Marcus zdąży odpowiedzieć, za moimi plecami rozbrzmiewa szyderczy głos:

– *Ojej! Wygląda na to, że jesteśmy świadkami kłótni małżeńskiej! Może chcecie skorzystać z moich porad małżeńskich. Pamiętajcie, że to moja specjalność. Dlatego mój talk show Wizyta u profesor McBee jest taki popularny.*

Krew uderza mi do głowy – w jednej chwili moja frustracja zmienia się w dziką furję.

Gwałtownie odwracam się w stronę wiszącego na ścianie ekranu, z którego Serena uśmiecha się szeroko, odsłaniając dziąsła; chwytam ciężką lutownicę, którą Liz zostawiła na sofie, kiedy w pośpiechu opuszczała salon, i rzucam ją z całej siły w Serenę. Tak bardzo chciałabym wybić jej zęby! – ekran rozbija się na milion kawałków – a to już nieźle, bo przynajmniej nie muszę już oglądać twarzy tej hipokrytki. Nie chcę też, żeby ona mnie widziała albo słyszała! Podnoszę lutownicę

leżącą wśród odłamków szkła i rzucam się na pierwszą kamerę, jaką mam pod ręką, tę wiszącą nad rozbitym ekranem.

Pssssyyy!... z lufy pistoletu strzela strumień roztopionego plastiku, który pokrywa oko kamery.

Od razu doskakuję do drugiej kamery, wiszącej na ścianie w kuchni. Naciskam spust – *Pssssyyy!*... – lepka masa śmierząca gumą pokrywa następną kamerę.

Trzecia i ostatnia kamera, zaopatrzona w mikrofon, wisząca nad drzwiami wejściowymi nie przetrwa dłużej niż trzy sekundy: zostaje natychmiast oblepiona płynnym plastikiem, oślepiąca i ogłuszona: *Pssssyyy!*...

Dopiero wtedy, wyczerpana, rzucam lutownicę na ziemię – i uświadamiam sobie, że Marcus zacisnął palce na moim ramieniu.

– Uspokój się, proszę – szepcze.

Przyciąga mnie do siebie. Jak zawsze, gdy znajduję się w jego ramionach, zaskakuje mnie jego siła.

Czuję ciepło jego oddechu na moim policzku. Czekam na kolejne wymówki, na które tak naprawdę zasłużyłam, bo to on ma rację, a ja się mylę. Powinnam była mu o wszystkim powiedzieć, a tego nie zrobiłam. Jednak tym razem słowa, które wychodzą z jego ust, nie wyrażają już gniewu ani goryczy.

– Byłem za ostry – mówi łagodnie. – Masz rację, każda żywa istota pragnie przetrwać, to normalne. Ale prawda jest też taka, że nie pokonasz śmierci, Léonor. Nikt jej jeszcze nie pokonał. I nikt nie pokona. Ani ty, ani ja. Kiedy zapuka do drzwi, trzeba będzie jej otworzyć i pójść za nią. Tylko tyle. Ale tymczasem nie chcę, byś zapraszała ją przedwcześnie. Nie chcę, żebyś podejmowała niepotrzebne ryzyko. Nie chcę cię... stracić.

Czuję, że ściska mi się gardło. Gdzieś głęboko w zachrypniętym głosie Marcusa kryje się coś bardzo cennego, jak klejnot ukryty w głębi skały – surowy diament uczuć, który złożył w zagłębieniu mego ucha.

– Przepraszam... – szepczę. – Nie powinnam była sprawdzać siódmego modułu, nie mówiąc ci o tym. Jestem beznadziejna i nie zasługuję na ciebie.

– Nie, to ja na ciebie nie zasługuję. To ja nie powiedziałem ci wszystkiego. Nie powiedziałem ci, że śmierć już raz zapukała do moich drzwi, na długo przed tym, jak wszedłem na pokład Cupido. Umówiła się ze mną na randkę.

Palce Marcusa wciąż zaciskają się na moim ramieniu. Uczepił się mnie jak rozbitek łódki, jak ktoś, kto nie potrafiąc pływać, trzyma się tego, który potrafi. Jednak ja, stojąc na środku siódmego modułu, odnoszę nagle wrażenie, że niczego już nie potrafię, niczego już nie wiem. Ani o sobie. Ani o nim. Usiłuję sobie przypomnieć wszystkie tatuaże, wszystkie sentencje, które czytałam na skórze Marcusa:

„Snuj marzenia tak, jakbyś miał żyć wiecznie; żyj tak, jakbyś miał umrzeć

dziś...”

„Życie jest krótkie, więc łam zasady, wybaczej szybko, całuj powoli, kochaj szczerze...”

„Chwytaj dzień...”

W uszach dźwięczą mi słowa, które powiedział trzy sole temu, kiedy miażdżyły go drzwi służby: „Wygląda na to, że mam dziś randkę ze śmiercią... a ona nie lubi, gdy wystawia się ją do wiatru...”

Mimo ściśniętego gardła udaje mi się wykrztusić:

– O czym ty mówisz, Marcus? O jakiej randce?

– W końcu bym ci o tym powiedział, przysięgam. Wiele razy w czasie naszych spotkań w Kuli byłem bliski wyjawienia ci mojego sekretu. Ale coś mnie powstrzymywało. Obawa, że cię przestraszę, nim mnie naprawdę poznasz. Mówiłem sobie, że jeśli spędzimy ze sobą więcej czasu, być może zaczniesz mnie cenić, a jeśli zaczniesz mnie cenić, to może w końcu mnie pokochasz, mimo tego, kim naprawdę jestem.

– Kim naprawdę jesteś? Ale ja to wiem, Marcus! Jesteś niesamowitym facetem, któremu powiedziałam „tak” przed całą Ziemią.

– Powiedziałaś „tak” nie tylko mnie, ale i mojej chorobie. Bo jestem chory, Léonor, i aż do dzisiaj nie znalazłem odwagi, by ci się do tego przyznać.

Puszcza moją rękę i oddala się o kilka kroków, ze ściśniętą szczęką. Jego buty rozgniatają kawałki rozbitego ekranu. Brzmi to jak dźwięk miażdżonych kości.

– Chory? – jąkam. – To niczego nie zmienia! Jestem pewna, że znajdę dla ciebie jakieś lekarstwo w apteczce. Czy źle się tobą opiekowałam po wypadku? Jak się nazywa ta twoja choroba? Może uczyłam się o niej na szkoleniu z medycyny?

Marcus odwraca głowę w moją stronę.

Na jego twarzy maluje się takie cierpienie, że aż zapiera mi oddech.

– O chorobie, na którą cierpię, nie wiadomo prawie nic i nie ma jej w programie studiów medycznych. To zupełnie nowe schorzenie, które dotknęło zaledwie garstkę osób. Po co tracić czas na rzadką chorobę, która nie daje żadnej nadziei, skoro jest tyle innych, które można wyleczyć? Urodziłem się z nietypowym genem. Ze zmutowanym genem. Dowiedziałem się o tym dopiero jako piętnastolatek, kiedy przeżyłem atak, który prawie pozbawił mnie życia. Wtedy było to jednak tylko ostrzeżenie. Zaproszenie na spotkanie w przyszłości. W tamtym czasie zidentyfikowano mutację D66 zaledwie u kilkuset osób na świecie. Od tamtej pory, przez ostatnie cztery lata, pojawiły się tysiące nowych przypadków. Scenariusz jest zawsze taki sam: pierwszy atak może nastąpić w każdym wieku, wygląda na nagłą śmierć, ale chory szybko wraca do siebie. Po jakimś czasie przychodzi drugi atak, śmiertelny w stu procentach przypadków.

Czuję, że ogarnia mnie drżenie, zaczynające się od stóp i przechodzące

w górę po moim kręgosłupie – ale staram się wbić stopy mocno w ziemię, by się utrzymać w pionie. Oczy zaczynają mnie piec i wzrok przesłania mi mgła, jak wtedy, gdy mam na głowie hełm i za szybko oddycham – kręcę głową, by odgonić łzy, zanim przyjdą.

– Ile czasu mija? – pytam. – Zanim nadejdzie drugi atak.

– Nie wiem. Nikt tego nie wie. Nie istnieje żaden sposób, by to przewidzieć. Epizody może dzielić kilka minut lub kilka lat. Rekord długowieczności należy do mężczyzny z Hiszpanii, który miał pierwszy atak w wieku dwudziestu lat, a drugi osiem lat później. Tuż za nim jest kobieta z Korei, która po pierwszym ataku żyła jeszcze siedem lat i dziewięć miesięcy. Znam statystyki na pamięć. Ale ta wiedza jest niczym wobec niepewności: od czterech lat budzę się każdego ranka, nie wiedząc, czy ujrzę wieczór. Przynajmniej na razie nie da się wyleczyć mutacji D66. Nie wiadomo, w jaki sposób dochodzi do zatrzymania akcji serca.

Głos Marcusa drży, ale się nie łamie. Czuję, że on stara się być silny. Opiera się o sofę i powoli, kontrolowanym ruchem osuwa się na nią.

Niżej już nie upadnie – jest gotów opowiedzieć mi swoją historię – a ja jestem gotowa jej wysłuchać.

– Tak samo jak ty i wielu członków załogi przeszedłem przez różne ośrodki pomocy społecznej – zaczyna, wbijając oczy w podłogę. – Nie jestem jednak sierotą. Znałem rodziców: ojca, bardzo słabo, bo szybko nas zostawił, mamę o wiele lepiej, choć często miałem wrażenie, że stoję przed zupełnie obcą osobą. Kiedy po okresie manii wpadała w głęboką depresję, zupełnie jej nie poznawałem. Przeszawała się odzywać, jeść, leżała tylko wyciągnięta na łóżku, gapiąc się w sufit. W końcu zdiagnozowano u niej zaawansowane stadium choroby dwubiegunowej. Od odejścia ojca byłem jej kołem ratunkowym, jej boją. Kochałem ją całym sercem i byłem przerażony. Moją ucieczką od tego wszystkiego była magia, a mówiąc dokładniej magiczne sztuczki, których uczyłem się ze starych papierowych książek wypożyczanych z miejskiej biblioteki. Kiedy się koncentrowałem, by wykonać sztuczkę, cały świat przestawał dla mnie istnieć, opadało ze mnie napięcie i byłem naprawdę szczęśliwy. W takiej chwili szczęścia i wytchnienia była prawdziwa magia. Pierwszy atak zdarzył się wieczorem, kiedy wróciłem z zakupami. Upadłem na podłogę w kuchni, ciągle trzymając w rękach siatki z jedzeniem. Kiedy się obudziłem, leżałem w kałuży mleka, wśród rozbitych butelek i rozgniecionych owoców. Ratownik z pogotowia pochylał się nade mną z maską tlenową, podczas gdy drugi usiłował uspokoić moją matkę, która wrzeszczała i wyrywała się, gryząc i drapiąc. Zabrali nas do szpitala: mnie na oddział intensywnej terapii, ją na psychiatrię. Wyszliśmy po dwóch dniach z wynikiem testu genetycznego, rozpoznano u mnie mutację D66, i z zapasem silnych leków przeciwdepresyjnych dla matki. Niestety leki jej nie wystarczyły: od chwili, gdy dowiedziała się, że moje dni są policzone, całkowicie zapadła się

w sobie. Nie miałem siły, by ją pocieszać. Miałem tylko poczucie okropnej niesprawiedliwości, niejasną świadomość, że to mnie powinno się pocieszać, bo byłem zaledwie piętnastolatkiem i powiedziano mi, że wkrótce wszystko się skończy. Tak, to właśnie czułem, ogromną frustrację, równie wielką jak moja miłość do matki, i nienawidziłem siebie za to, miałem do siebie straszny żal!

Teraz ja także siadam na sofie obok Marcusa. Ponieważ nie jestem w stanie stać ani sekundy dłużej. Bo nie chcę, by oddzielał mnie od niego choćby centymetr przestrzeni. Bo muszę go dotknąć, poczuć go przy sobie, już nigdy go nie puścić.

– Nie mogliśmy już dłużej udawać normalnej rodziny – ciągnie ze wzrokiem wciąż wbitym w ziemię. W kilka miesięcy wszystko się zawaliło. Mama straciła pracę na część etatu, fazy maniakalne i depresyjne zmieniały się bardzo szybko. Były dni, kiedy groziła, że się zabije, jeśli umrę, oskarżając mnie, że chcę ją porzucić, jakbym był odpowiedzialny za swoją chorobę. Następnego dnia uważała się za złą matkę i przez cały dzień płakała w łóżku. Urzędnicy opieki społecznej, zaalarmowani, postanowili odebrać jej władzę rodzicielską i prawo do opieki nade mną. Nie było jednak mowy o umieszczeniu w rodzinie zastępczej chłopaka, który w każdej chwili może umrzeć. I tak znalazłem się w schronisku dla nastolatków, których nikt nie chciał, bo byli albo za starzy, zbyt dziwni, albo po prostu mieli wielkiego pecha i nie załapali się na adopcję. I tam po raz pierwszy w życiu poczułem, że umieram. Naprawdę. W przebłysku intuicji zobaczyłem, jak będzie wyglądać reszta mojej egzystencji, jeśli tam zostanę, w tym zamkniętym ośrodku, między sypialnią i salą zajęć: monotonne przemijanie kolejnych tygodni, miesięcy, czy może lat pozbawionych jakiegokolwiek sensu. Postanowiłem uciec.

Przysuwam się jeszcze bardziej do Marcusa. Podskakuje jak zwierzę schwyte w potrzask, kiedy moje palce gładzą jego dłoń zaciśniętą na obiciu sofy. Po chwili milczenia podejmuje swoją opowieść:

– Pierwszym miejscem, do którego się udałem, był szpital psychiatryczny w Bostonie. Czego właściwie chciałem? Zobaczyć matkę, to na pewno, ale co potem? Zabrać ją ze sobą? Nie musiałem się długo zastanawiać. Kiedy ujrzała, jak przechodzę przez żywopłot, przez który udało mi się wśliznąć do parku, gdzie spacerowali pacjenci, zaczęła wrzeszczeć, jeszcze głośniejsze niż wtedy w domu, gdy dostałem ataku. „Duch! Duch!”. Zrozumiałem, że dla niej, w jej szaleństwie, już nie żyłem. Zdażyłem uciec, nim nadbiegły pielęgniarki. Nigdy więcej jej nie widziałem.

Z moich ust wyrzywa się szept:

– Och, Marcus!

Nie potrafię wykrztusić ani słowa więcej. Silne emocje sznurują mi usta. Mogę tylko ścisnąć jego dłoń. Ścisnąć bardzo mocno.

– Ruszyłem w drogę – ciągnie. – Jeżdżąc na gapę pociągami, czasem łapiąc stopa, przemierzyłem kraj i dotarłem na zachodnie wybrzeże, do Los Angeles.

Nauczyłem się żyć na ulicy. Byłem młody, ale nie tylko ja znajdowałem się w takiej sytuacji. Miasto aniołów zasługuje na swoją nazwę: jego rynsztoki są pełne upadłych aniołów z połamanymi skrzydłami. Ja przynajmniej miałem talent, magiczne sztuczki, których nauczyłem się z książek. Dzięki nim zarabiałem. Kiedy tylko po dwóch miesiącach udało mi się zaoszczędzić sto dolarów, zrobiłem sobie pierwszy tatuaż. Czarną różę, którą mam na piersi, żeby zapamiętać swoje nowe motto: „Chwytaj dzień, Marcus, bo to może być twój ostatni”. Wszystko wydawało mi się cudowne, nawet ssanie głodu w żołądku, gdy budziłem się nad ranem, nawet gryzący chłód na karku w zimową noc, bo to oznaczało, że ciągle żyję, że udało mi się przetrwać jeszcze jeden dzień. Gdy tylko mogłem sobie na to pozwolić, biegłem do studia tatuażu, by wypalić sobie na skórze nowy cytat – niczym kolejne zwycięstwo, kolejne trofeum.

A potem, pewnego ranka, dwa lata temu, wpadła mi w ręce ulotka programu Genesis. Gdy tylko na nią spojrzałem, zacząłem marzyć. Tak, chłopak bez przyszłości znów zaczął marzyć! Świadomość, że śmierć zetnie mnie w kwiecie wieku, zdawała mi się znośniejsza, jeśli miałoby się to stać w innym świecie, gdzie nie dotarł jeszcze żaden człowiek. Wysłałem swoje zgłoszenie bez większych nadziei, nie myśląc o szybkich randkach, dobieraniu się w pary i całej reszcie. Zresztą nie miałem czasu się nad tym zastanawiać, bo wszystko potoczyło się bardzo szybko. Kolejne spotkania, testy psychologiczne, testy uzdolnień, zresztą znasz doskonale przebieg rekrutacji. Atlas Capital bardzo się spieszył, by rozpocząć program Genesis, ale ja też się spieszyłem, spieszyłem się, by żyć! Przechodziłem kolejne etapy selekcji jak we śnie, jakby moja choroba nie istniała. Aż do ostatniej rozmowy z główną selekcionerką programu. Tam wreszcie się przebudziłem. Doskonale ją pamiętam, w białym kostiumie, w sali castingów McBee Productions w Nowym Jorku: wielka Serena z ekranów telewizorów i okładek magazynów przyjmowała mnie, ulicznego żebraka. Nie mogłem w to uwierzyć! Byłem strasznie onieśmielony. Ale ona natychmiast sprawiła, że poczułem się swobodnie, zaproponowała mi kawę, poprosiła, by zostawiono nas samych. I wtedy wyjęła teczkę z moimi dokumentami. Na pierwszej stronie były wyniki moich badań, sekwencjonowanie DNA wskazujące na mutację D66 w moim genomie. Być może gdzieś w głębi duszy łudziłem się, że tak rzadkie schorzenie nie zostanie wykryte w trakcie badań. A może tak naprawdę zapomniałem, że jestem chory. Kartka, którą Serena położyła przede mną, brutalnie przywołała mnie do rzeczywistości. „Wiesz, co to oznacza?”, zapytała. „To oznacza, że zostałem odrzucony”, odpowiedziałem ze ściśniętym gardłem. To było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Podbój kosmosu to poważna sprawa. Nie wysłała się konających na Marsa. „Nie – odparła. – To oznacza, że cię zaangażuję, pod warunkiem że nikomu nie powiesz o tym, co jest napisane na tej kartce, ani dziennikarzom, ani przyszłym towarzyszom podróży. Musisz dać szansę swoim

marzeniom. Później przyjdzie czas, by powiedzieć prawdę, a wtedy cała Ziemia będzie tak poruszona, jak ja teraz”. Po czym zaczęła mi kadzić. Opowiadała, jak bardzo wzruszyła ją moja historia. Potwierdziła, że jest gotowa przyznać mi miejsce na Cupido, abym mógł przeżyć fantastyczną przygodę. Wydawało mi się, że mam przed sobą świętą, mojego nieco spóźnionego anioła stróża. Uściskałem ją, mając łzy w oczach. Po czym powiedziałem jej, że nie mogę lecieć. Teraz, kiedy zostałem wybrany, zdałem sobie sprawę z konsekwencji. Uzmysłowiłem sobie, że kiedy umrę, dziewczyna, która mnie wybierze, zostanie sama, a tego nie byłem w stanie wziąć na siebie.

Serena nie pozwoliła mi wypowiedzieć ani słowa więcej. Oświadczyła, że nie mam prawa odrzucić takiej szansy. Że zasłużyłem na ten bilet na Marsa. Że ryzyko, iż przekażę moją mutację potomstwu, jest minimalne, prawie nieistniejące, i będzie mogło być kontrolowane dzięki najnowocześniejszemu wyposażeniu bazy. Że dziewczęta zgłosiły się do programu, aby przeżyć niezwykłą przygodę w kosmosie, a nie po to, by znaleźć pokrewną duszę. Gdyby chodziło im o miłość, to zostałyby na Ziemi, gdzie mogą na nią natrafić za każdym rogiem. Stwierdziła, że jedna kandydatka szczególnie często podkreślała, że miłość nic jej nie obchodzi. Ta kandydatka, Léonor...

– Mówiła o mnie!

Odrywam gwałtownie dłoń od ręki Marcusa, nie wierząc własnym uszom. A jednak... Marcus słyszał o mnie, zanim jeszcze wszedł na pokład Cupido! Wybrał mnie, jeszcze zanim się spotkaliśmy!

Mój oddech przyspiesza, ostry zapach roztopionego plastiku wgryza mi się w nozdrza i mózg.

– Nasza para została zaprogramowana, bez mojej wiedzy... – mówię wreszcie na jednym oddechu. – Jedyne przypadek polegał na tym, że wylosowałam cię do pierwszego spotkania w Kuli... Cała reszta została z góry przewidziana...

– Nie! – krzyczy Marcus, chwytając moją rękę. – Nie sądziłem, że spotkam taką dziewczynę jak ty! Nie mogłem przewidzieć, że się tak bardzo zakocham. Byłem palantem, wierząc, że Mars nada sens mojemu pieskiemu życiu! To ty nadałaś mu sens! To, co mi ofiarowałaś, wypełnia mnie do tego stopnia, że śmierć już mnie nie przeraża, a jednocześnie, jeszcze nigdy tak bardzo nie pragnąłem żyć, żyć, by móc być z tobą!

Pokój zaczyna wirować, mieniać się na białe i niebiesko. Czy może kręci mi się w głowie, sama już nie wiem. Nie czuję już sofy pod moimi udami. Nie mam żadnego punktu odniesienia, poza dłonią Marcusa, która zamyka się na mojej dłoni.

– Musisz mi uwierzyć! – błaga z błyszczącymi oczami. – Tak jak ci mówiłem, podczas naszych spotkań wiele razy byłem blisko wyjawienia ci prawdy. Przysiągłem sobie, że to zrobię przed publikacją ostatecznych List Serca. Tak, zaplanowałem sobie, że wyznam ci wszystko w czasie naszego ostatniego

spotkania w Kuli. Miałaś mnie zaprosić. Według przyjętych przez ciebie zasad gry wypadała moja kolej. Ale poprosiłaś Mozarta.

Wirujący pokój nagle się zatrzymuje i wszystko wraca na swoje miejsce.

Marcus ma rację, to z nim powinnam była się wtedy spotkać. Sama przecież też planowałam, że odsłonię przed nim własną tajemnicę, Salamandrę, w czasie naszej ostatniej randki, żeby mógł podjąć decyzję świadomie. Ale wydarzenia potoczyły się inaczej. Tuż przed spotkaniem znalazłam telefon Rubena Rodrigueza, odkryłam raport Noego, i do Kuli Spotkań poprosiłam Mozarta, by jako specjalista od nawigacji powiedział mi, że możemy wrócić na Ziemię.

Złamałam obietnicę i nie spotkałam się z Marcusem.

– Wszystko potoczyło się tak szybko – ciągnie. – Przerwa w transmisji programu, zebranie wszystkich uczestników w Kuli Spotkań, zaskakujące ujawnienie raportu Noego... Nagle zrozumiałem, że wisi nad nami wyrok śmierci, nie tylko nade mną, ale nad całą naszą dwunastką. Podczas gdy pozostali toczyli bój o to, czy wrócić, czy wylądować, mnie dręczyły zupełnie inne pytania: czy powinienem powiedzieć Léo o mutacji D66? Po co jej to mówić, skoro i tak pozostało nam tylko kilka miesięcy życia? Skoro wszyscy jesteśmy skazani na rychłą śmierć, może lepiej milczeć? Zagłosowałem za powrotem na Ziemię, żeby wyrównać liczbę głosów po obu stronach i pozwolić ci zdecydować, nie wpływając na ciebie. I nie wspomniałem o mutacji D66...

Marcus oddycha głęboko, a kosmyki brązowych włosów unoszą się lekko nad gęstymi brwiami. Jego piękne czoło jest ściągnięte w napięciu, jak wtedy, gdy milcząco przyglądał mi się w Kuli Spotkań, podczas gdy pozostali zażarcie się kłócili. Zastanawiałam się wówczas, o czym myśli, teraz już wiem. I rozumiem prawdziwy sens słów, które powiedział, kiedy po raz pierwszy byliśmy naprawdę sami, w naszym małżeńskim łóżku dzień po ślubie...

– Kiedy zapytałeś, czy żałowałabym, że cię poślubiłam, gdybyś nagle umarł, to nie było pytanie hipotetyczne. To nie była dziwaczna zabawa zakochanych testujących swoją miłość. To była bardzo konkretna rzeczywistość.

– Tak... ale nie miałem odwagi ci tego powiedzieć... Byłem zbyt wielkim tchórzem, aż do końca, by wziąć na siebie wiszące nade mną przekleństwo... To, co ci zrobiłem, jest wstrętne. Mogłaś wybrać Mozarta. Z pewnością byś to zrobiła, wiedząc, że wybierając mnie, z dnia na dzień możesz zostać wdową. Jesteś gwiazdą, Léonor, czerwonym olbrzymem. Ja jestem czarną dziurą, a czarne dziury pożerają gwiazdy, które za bardzo się do nich zbliżą. Mój mrok może pochłoniąć twoje światło. Skazani na śmierć nie mają prawa do miłości.

– Zapytaj mnie o to jeszcze raz!

– Słucham?

– Zadaj mi jeszcze raz tamto pytanie!

Oczy Marcusa się rozszerzają.

Przez chwilę nic nie mówi.

A ja słyszę tylko bicie mojego serca, układające się w natarczywą melodię w połączeniu z sykiem Salamandry, która przebudziła się na moich plecach:

(Miałaś rację, będąc nieufną wobec miłości, Léonor. Odtąd będziesz żyła w strachu, że ten, którego kochasz najbardziej na świecie, może ci zostać w każdej chwili odebrany. Nim się spostrzegłaś, twarz, głos, zapach Marcusa wpisały się w ciebie nieusuwalnie i teraz jest za późno, by zapomnieć).

(Jest już za późno!)

(Jest już za późno!)

(Jest już za późno!)

W przeciwieństwie do wyjącego we mnie głosu, Marcus uchyla wargi i bardzo cicho, jakby wymawiał słowa modlitwy, pyta:

– Léonor, czy w chwili, gdy umrę, będziesz żałować, że mnie poślubiłaś?

I wtedy, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki czuję, że moje serce zaczyna bić miarowo, syk strachu cichnie i znika, a z głębi mojej duszy napływa fala spokojnej pewności.

Mam wrażenie, że moje rude loki puchną po obu stronach twarzy – tak, niczym promienie czerwonej gwiazdy, jakby podniosło je do góry coś, co mnie niesie i przekracza, energia, która pozwala mi wznieść się ponad samą siebie i która naprawdę przemienia mnie w olbrzyma. Jak Marcus mógłby zgasić to światło, skoro to on je we mnie zapalił? To światło nie straci blasku.

Słowa same wypływają z moich ust, jasne i pewne:

– Ukryłeś przede mną swój sekret, Marcusie. Ale ja także ukryłam przed tobą swoją tajemnicę, poznałeś ją wbrew mojej woli, kiedy rozdarłam sukienkę. Mówisz, że nie powinienesz być wchodzić na pokład Cupido. Ale gdyby cię tu nie było, gdybyś nie zaryzykował życia w wejściu do śluzy powietrznej, by mnie ratować, w tej chwili zostałyby ze mnie tylko zwłoki przysypane piaskiem marsjańskiej pustyni. Twierdzisz, że jesteś skazańcem, który nie ma prawa być kochanym. Ale ja zakochałam się właśnie w tym skazańcu! W tym uciekinierze, który nauczył mnie cenić każdą minutę, każdą sekundę życia! W chłopaku, który całuje mnie tak, jakby każdy pocałunek miał być ostatni. – Przykładam dłoń do piersi Marcusa. Przez cienki materiał kombinezonu wyczuwam żłobienia liter, które wyciął scyzorykiem; czuję też jego serce, żywe, pulsujące pragnieniem istnienia, pragnieniem miłości w zgodnym rytmie z moim. – Powtórzę to, co już ci wcześniej powiedziałam, Marcusie Wyklęty. Nawet gdybyś miał umrzeć tu i teraz, niczego bym nie żałowała. Niczego!

AKT V

KANAL GENESIS

Poniedziałek 25 grudnia, godz. 5.10

Widok w szerokim planie na żarzącą się czerwonym blaskiem dolinę Ius Chasma położoną w sercu kanionu Valles Marineris. Białe słońce zeszło już nisko na purpurowym marsjańskim niebie, gotowe skryć się za ścianą ogromnego urwiska.

Napisy w dole ekranu: WIDOK ZE SZCZYTU BAZY NOWY EDEN / GODZ. 16.50 CZASU MARSJAŃSKIEGO.

Potężny zoom kamery umieszczonej na dachu kopuły, działając niczym teleskop, przybliżył się do grupki ludzi zagubionych w gigantycznej dolinie, obok dużego łazika. W miarę jak zbliżenie się powiększa, małe białe mrówki zmieniają się w astronautów w kosmicznych skafandrach. To trzy dziewczęta, na rękawach mają wyszyte imiona: Kelly, Fangfang i Kirsten.

Cięcie.

Zbliżenie na Fangfang i Kirsten; pierwsza jest zajęta fotografowaniem okolicy, podczas gdy druga zbiera próbki marsjańskiego piasku do starannie oznakowanych przezroczystych plastikowych torebek.

Nagle cały kadr przesłania wielki różowy balon, który po dwóch sekundach pęka – *bum!*

Napisy w dole ekranu: OBRAZ Z PUNKTU WIDZENIA UCZESTNICZKI NR 4 – KELLY.

Głos Kelly z offu: Wow! Ale ten był wielki!

Fangfang (odwraca głowę, zachodzące słońce odbija się w wizjerze jej hełmu): Mówiłaś coś do nas?

Kelly: Nie. Podziwiałam swoje niezwykle osiągnięcie w dmuchaniu balonów... Kierowca tej taksówki musi się czymś zająć w czasie gdy naukowcy pracują. Mam wrażenie, że robię większe balony, odkąd jestem na Marsie. Fangfang, skoro masz odpowiedź na wszystko, może znasz jakieś naukowe wyjaśnienie tego małego cudu? Mniejsza siła grawitacji albo coś w tym stylu?

Singapurka (zastanawia się przez chwilę): Na wielkość balonów wpływa raczej ciśnienie, a nie grawitacja. Ciśnienie w twoim kombinezonie jest nieco niższe niż panujące na Ziemi, ale wciąż korzystne dla organizmu ludzkiego. Powietrze, które wdmuchujesz w balony, napotyka mniejszy opór i są one większe. A tak nawiasem mówiąc, nie wydaje mi się, żeby protokół zezwalał nam żuć gumę w czasie wyjść poza bazę... Wyobraź sobie, że pękający balon zasłoni ci pole

widzenia albo zablokuje system łączności...

Kelly (wzruszając ramionami): Nie martw się, jestem mistrzynią. A poza tym, szczerze mówiąc, myślę, że widzów tak samo obchodzi moje strzelanie balonami jak wasze liczenie ziarenek piasku. Gdyby nagle jakiś Marsjanin wpadł tu na pogawędkę, to może... ale chyba wszyscy dawno poumierali tu z nudów.

Kirsten (podnosząc głowę znad swoich torebek): No właśnie staramy się sprawdzić, czy rzeczywiście wszystko tu jest takie martwe, jak mówisz. Pamiętaj, że to jeden z kluczowych aspektów naszej misji, spróbować znaleźć ślady życia na Marsie. Jestem pewna, że to akurat może widzów zainteresować. No cóż, to prawda, że te ziarenka same w sobie nie są ekscytujące, ale wyobraź sobie, że odkryję cząstki organiczne, albo może nawet organizmy jednokomórkowe, kiedy umieszczę te próbki pod mikroskopem? Byłoby cudownie!

Kelly (wzdychając): Cudownie... To zależy od punktu widzenia... Mówiłam o pogawędce: wybaczone, ale wydaje mi się, że z organizmem jednokomórkowym nie da się za bardzo pokonwersować. Gdyby przynajmniej towarzyszyli nam chłopcy, byłoby trochę weselej. Choćby i Mozart, od razu lepiej się czuję, gdy trochę się z niego ponabijam.

Kirsten (przez wizjer hełmu widać lekki grymas wykrzywający jej twarz): Wiesz przecież, że Aleks woli, żebyśmy wyjeżdżały bez chłopców – w każdym razie, kiedy ja biorę udział w wyprawie. Przyznaję, że to idiotyczne, ale dzięki temu jest spokojniejszy. Musimy dać mu trochę czasu.

W odpowiedzi Kelly zaczyna głośno żuć swoją gumę, a odgłosy mlaskania roznoszą się wzmocnione przez przekaźnik radiowy.

Cięcie.

Zbliżenie na dwóch innych astronautów pochylonych nad białawą skałą wystającą spod czerwonego marsjańskiego piasku. Jeden z nich kuca i uderza małą siekierą w skałę, odłamując z niej drobne przezroczyste kryształki o lekko pomarańczowym zabarwieniu. Imię wyszyte na rękawie: MARCUS. Drugi z astronautów, Samson, zbiera kryształki – chwyta je palcami w wielkiej rękawicy i wrzuca do plastikowej torebki.

W dole ekranu pojawia się napis: OBRAZ Z PUNKTU WIDZENIA UCZESTNIKA NR 4 – MOZARTA.

Ten ostatni dołącza do towarzyszy i pyta: Co to takiego?

Samson (odwraca się): To jarosyt. Mineralek, który może powstać wyłącznie w bardzo kwaśnym środowisku, jak tu, na Marsie. (Wyjmuje z torebki kryształ większy od pozostałych, wielkości napałka, i podaje go Mozartowi). Trzymaj!

Brazylijczyk chwyta go kciukiem i palcem wskazującym i przybliży do wizjera hełmu.

Jarosyt rośnie na ekranie, teraz można nawet dostrzec maleńkie sześciokątne mieniające się fasetki.

Mozart (szepcze): To kamień szlachetny?

Samson (wstaje i podchodzi, by także się przyjrzeć kryształowi z bliska): Nie. W każdym razie na Ziemi nie jest za taki uznawany. Ale szlachetny, czy nie, jest piękny. A tylko to się liczy, prawda?

Mozart (kiwa głową, nie odrywając wzroku od jarosytu): Nie potrafię powiedzieć, jakiego jest koloru. Niektóre fasetki są czerwone jak rubin, inne są ciemne jak onyks. A w samym środku jest złocistobrazowy jak...

Nigeryjczyk: Jak topaz?

Mozart (gwałtownie podnosi głowę): Nie, jak oczy Léonor.

Na te słowa także Marcus wstaje i odwraca się od skały.

Marcus (chowa siekierkę do specjalnej kieszeni kombinezonu): Myślę, że mamy już wystarczającą liczbę próbek na dziś. Słońce wkrótce zajdzie. Czas wracać, zwłaszcza że oddaliśmy duży łazik dziewczynom; mały porusza się znacznie wolniej, a byłoby szkoda spóźnić się na wigilijną kolację.

Mozart jednak nawet nie drgnie. Samson i Marcus też nie. Widziani z perspektywy Mozarta, Nigeryjczyk i Amerykanin stoją nieruchomo pośród tego przedwiecznego pejzażu, zastygli niczym posągi. Szare spojrzenie jednego i zielone drugiego wbijają się prosto w kamerę, czyli w twarz Brazylijczyka.

Mozart (odzywa się w końcu szeptem): Léo jest jak ten jarosyt. Być może na Ziemi, w jej dawnym życiu, ludzie byli zbyt głupi, by zauważyć, że to drogocenny klejnot. A jest cenniejsza niż cokolwiek na świecie. A więc dbaj o nią, Marcus. I pamiętaj, że zawsze będę stał o krok, tuż za twoimi plecami, żeby przypilnować, że dobrze się o nią troszczysz...

PLAN

21 miesiąc / 566 sol / godz. 17.49 czasu marsjańskiego
[16 sol od lądowania]

– Jadą, Léo! Widzę światła łazików! – woła Liz.

Sama wróciła ze swego wyjścia poza bazę już prawie godzinę temu. Trzeba przyznać, że nie zapuszczała się tak daleko jak specjaliści od planetologii i biologii – eksploracja planety, czyli jeden z najważniejszych punktów misji Genesis, prowadzi ich w coraz odleglejsze zakątki Marsa. Tymczasem nasza specjalistka od inżynierii miała do przebycia zaledwie kilka metrów, by oczyścić panele słoneczne pokrywające moduły mieszkalne. To wyczerpujące zadanie, które trzeba wykonywać wciąż od nowa, by nie dopuścić do nagromadzenia się marsjańskiego piasku, co ograniczyłoby produkcję energii. Jednak Liz wywiązuje się z niego sumiennie, pracując codziennie bez słowa skargi. I każdego sola, po powrocie, z taką samą niecierpliwością oczekuje powrotu łazików. Czy raczej powinnam powiedzieć: wyczekuje powrotu Mozarta, który wyrusza z naukowcami na ich wyprawy badawcze jako kierowca.

Zachowanie Liz świadczy o tym, jak bardzo jest zakochana: czoło przyklejone do szyby, zmrużone oczy pod osłoną długich rzęs, by lepiej widzieć w blasku zamglonego marsjańskim pyłem zachodzącego słońca; jej długie i smukłe palce bawią się nerwowo kosmykami czarnych włosów; wreszcie niespokojne spoglądanie na zegarek i komentarze w stylu:

– Już 17.50! Zaraz zapadnie noc! Zobacz, jest już prawie całkiem ciemno! Boję się, że nawet z włączonymi reflektorami mogą wpaść w koleiny albo na jakąś skałę... Kelly jest łatwiej, duży łazik ma ogromne koła, ale strasznie się martwię o Mozarta w tym naszym minilaziku, który wydaje się taki kruchy!

Aż do ostatniej chwili zachowuje się tak. jakby wątpiła, by Mozart do niej wrócił, jakby żarłoczny Mars miał go wciągnąć w swoją paszczę i nigdy nie oddać.

Podchodzę bliżej i próbuję ją uspokoić:

– Nie martw się. Mozart jest doskonałym kierowcą. Wszystko pójdzie dobrze i niedługo w komplecie zasiądziemy do wigilijnej kolacji.

Zdaję sobie sprawę, że mój głos drży. Nie, nie wątpię w umiejętności Mozarta. To dlatego, że ja też co wieczór boję się, że już nigdy nie przytulę Marcusa. Ta myśl męczy mnie przez cały dzień: a jeśli jego drugi atak nastąpił, gdy był gdzieś tam, na marsjańskiej pustyni, daleko ode mnie? Wobec tego niebezpieczeństwa, które może nadejść w każdej chwili, zagrożenie ze strony

Sereny zdaje się niemal nierealne. A to związane z Wielką Burzą Piaskową, która ma uderzyć za dwadzieścia jeden miesięcy, stało się zupełnie odległe, tym bardziej że wciąż nie mamy pojęcia, co mogło spowodować śmierć zwierząt doświadczalnych – nie wiemy, czy zginęły z powodu uszkodzenia ściany siódmego modułu ani czy to szczury wygryzły tę dziurę... W sumie nie wiemy nic...

– Hauuhauuhauuu!...

Podskakuję zaskoczona skowytem, który rozlega się tuż przy mnie.

Dołączyła do nas Louve i przykleiła nos do szklanej ściany kopuły. Z jej białego pyszczka wydobywa się przeciągła skarga, niczym piosenka, prawie jak modlitwa. Ona także czeka na powrót kogoś, kto jest jej najdroższy na świecie: Kris, jej pani. Kładę delikatnie rękę na jej łebku – tę samą, którą suczka pogryzła przed dwoma tygodniami, teraz już całkiem wygojoną.

– Wszystko będzie dobrze, maleńka – szepczę.

Skamlanie nieco cichnie, ale nie ustaje. Czuję, jak jej drzenie przenika moją dłoń, moje ramię, a później całe ciało, i uświadamiam sobie, że kiedy kochamy, jesteśmy takie same, nieważne, kobieta czy pies.

KANAL GENESIS

Poniedziałek 25 grudnia, godz. 8.15

Na ekranie widać przestrzeń kosmiczną, rozbrzmiewa kolęda *Cicha noc*. Widzimy galaktyki i gwiazdy pulsujące w spokojnym rytmie słynnej melodii.

Pomału zbliża się planeta Mars, oświetlona promieniami słońca.

Poprzez zastosowanie efektu morfingu Mars płynnie zmienia się w czerwoną choinkową bombkę, a wszystkie otaczające go gwiazdy w skrzące się choinkowe ozdoby. Gdy kolęda się kończy, kosmos znika, ustępując miejsca przystrojonej łańcuchami choince.

Kamera oddala się nieco, ukazując szerszy plan.

Drzewko znajduje się w gabinecie Sereny McBee, a ona sama siedzi w fotelu przed oknem wychodzącym na ośnieżone ogrody jej willi. Szyby, które Andrew i Harmony rozbili dwa tygodnie wcześniej podczas ucieczki, zostały wymienione – ale o tym, oczywiście, widzowie nie mają pojęcia. Zresztą, to prowadząca skupia na sobie całą uwagę. Dziś jest ubrana w aksamitną jaskrawoczerwoną suknię, której dekolt i rękawy obszyte są białym futerkiem. Jej srebrzysta fryzura skrywa się pod czerwoną czapką zakończoną puszystym białym pomponem. Nie ma wątpliwości: Serena McBee jest przebrana za panią mikołajową i nawet w tym stroju potrafi wyglądać elegancko.

Serena (uśmiechając się szeroko do kamery): Dzień dobry, panie i panowie! Czy dobrze spaliście? Znaleźliście pod choinką prezenty? Jestem pewna, że pospieszycie przed ekrany, nie odpakowawszy podarunków, by śledzić poranną transmisję, czyli tak oczekiwaną wigilijną kolację naszych marsjańskich pionierów! Dwa tygodnie po wylądowaniu mają oni obecnie dwanaście godzin i dwadzieścia minut opóźnienia w stosunku do kalendarza ziemskiego – przypominam, że codziennie przybywa im czterdzieści minut opóźnienia. Na Czerwonej Planecie wciąż jest więc 24 grudnia i dochodzi już prawie dwudziesta. Nasi zakochani wkrótce zasiądą do stołu. Im także należą się prezenty. To, że jest się sierotą, nie oznacza, że nie ma się prawa do Bożego Narodzenia, przeciwnie...

Kamera oddala się, ukazując pomieszczenie w szerszym planie.

Pokój jest pełen ludzi. Na podłodze, u stóp choinki i w rzędach wzdłuż półek biblioteczki siedzą dziesiątki dzieci w wieku od sześciu lat do dwunastu. Przy płonącym kominku siedzi nawet niepełnosprawny chłopiec na wózku inwalidzkim. Dzieci są ubrane bardzo skromnie, w spłowiałe od wielokrotnego prania sukienki, koszule z łątami na łokciach, a wszystkie noszą czarne wstążeczki na znak żałoby.

Włosy dziewczynek są zaplecione w grzeczne warkocze, wszyscy chłopcy noszą krótkie włosy strzyżone jakby od garnka i zaczesane na boczek. Ale ich biedny wygląd niknie w poświacie szerokich promiennych uśmiechów rozjaśniających ich twarzyczki – kilku najmłodszym brakuje paru mlecznych zębów.

Serena (uroczyście): W ten świąteczny dzień pięć procent przychodów kanału Genesis zostanie przekazanych na rzecz domów dziecka na całym świecie. Chciałabym zaprosić dziś wszystkie osierocone dzieci do mojej willi, ale niestety jest na to za mała. Goszczę więc przynajmniej mieszkańców położonego niedaleko sierocińca z New Jersey. (Odwraca się w stronę zgromadzonych). Drogie dzieci, cieszycie się, że tu jesteście?

Odpowiada jej zgodny chór: Tak, pani McBee!

Serena: Byłyście grzeczne w tym roku?

Dzieci: Tak!

Serena: A więc mogę zawołać Świętego Mikołaja?

Dzieci: Tak!

Serena (odrzuca głowę i wybucha perlistym śmiechem, od którego drży biały pompon na jej czapce, po czym trzykrotnie klaszcze w dłonie): A więc zawołajmy razem: Święty Mikołaju!

Dzieci (powtarzają zgodnym chórem z błyszczącymi oczami): Święty Mikołaju! Święty Mikołaju! Święty Mikołaju!

Po trzecim okrzyku w kadrze pojawia się postać ubrana na czerwono, z długą białą brodą, dźwigająca na plecach worek prezentów.

PLAN

**21 miesiąc / 566 sol / godz. 20.05 czasu marsjańskiego
[16 sol od lądowania]**

Wszyscy dwanaścioro wpatrujemy się w ekran kopuły oczami wielkimi niczym spodki.

Spektakl, który się przed nami rozgrywa, jest tak surrealistyczny, że zdaje nam się, że przeżywamy zbiorową halucynację. Serena McBee jako pani mikołajowa, otoczona wianuszkami sierotek, wpatrzonych w nią jak w świętą. Mam wrażenie, że śnię koszmar na jawie.

Spoglądamy na siebie, nie wiedząc, jak zareagować. Czy śmiać się z tej kiczowatej sceny? Czy raczej powinniśmy płakać nad tym, co to wszystko naprawdę oznacza?

Tak łatwo nam zobaczyć własne odbicie w tych dzieciach, bo my też nie znaleźliśmy naszych rodziców, zostaliśmy odrzuceni lub uciekliśmy. My także, jeszcze niedawno, patrzyliśmy na Serenę jak na tę, która pomoże nam wyrwać się z nędzy i ofiaruje gwiazdkę z nieba.

Odwracam głowę i patrzę na Marcusa, który właśnie mnie obejmuje. Spektakl wciągnął go bez reszty, podobnie jak pozostałych. Zebraliśmy się w ogrodzie, gdzie postawiliśmy wielki aluminiowy stół na wieczerzę wigilijną. Kris bardzo na tym zależało. Mnie też wydawało się, że to dobry pomysł po tych dwóch tygodniach, w czasie których bez chwili wytchnienia sprawdzaliśmy bazę. Pomysł spędzenia wspólnie przyjemnego wieczoru, Bożego Narodzenia, jakiego nigdy nie doświadczyłam, z Marcusem u boku, bardzo mnie cieszył. Moje pierwsze prawdziwe Boże Narodzenie i być może ostatnie... Chciałam je przeżyć naprawdę głęboko. Dopóki Serena nie zaserwowała nam... tego!

– Gotooowe! – woła Kris.

Jej głos dobiega z segmentu łączącego jej Gniazdo Miłości z ogrodem. Po chwili wyłania się z przejścia, niosąc dymiące jeszcze danie, które przygotowywała w swojej kuchni, odkąd wróciła z wyprawy badawczej. Günter, robot-lokaj w muszce, podąża za nią, niczym pomocnik kucharza, z butelką świeżo wyciśniętego soku jabłkowego.

– Przygotowałam wegetariańską zapiekankę ziemniaczaną – ogłasza nasza szefowa kuchni. – Zastąpiłam mięso gotowanymi ziarnami soi. Co do reszty, jakoś sobie radziłam bez przecieraczki. Powieście mi, co...

Zastyga w pół zdania z buzią otwartą ze zdziwienia, przed

nieprawdopodobnym obrazem wyświetlającym się na gigantycznym ekranie kopuły.

– Wygląda jak Serena McBee... – duka.

– Taaa, na prochach – odpowiada Kelly, która ma jeszcze siłę, by zdobyć się na bezczelność. – Święty Mikołaj najwidoczniej włożył jej w tym roku do skarpety kilka pigułek szczęścia.

Ledwie wypowiada te słowa, gdy tenże Mikołaj pojawia się w kadrze wśród radosnych okrzyków dzieci. Ale... On mi kogoś przypomina... Te świdrujące oczy w kolorze lodowca... Ten idealnie przycięty wąsik nad sztuczną brodą...

– To Arthur Montgomery! – wykrzykuję.

– Nie... – mówi Fangfang z niedowierzaniem.

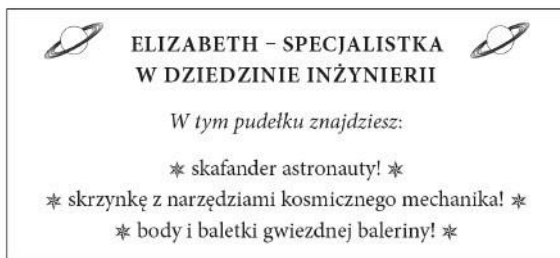
– Tak! – woła Aleksiej, wstając od stołu. – Léo ma rację! To on! Nasz nauczyciel medycyny!

Czuję nerwowy skurcz w żołądku. Program Genesis przyzwyczył nas już do rozmaitych ekstrawagancji, ale teraz granice śmieszności i absurdu zostały przekroczone. Mam dość. Przytulam twarz do piersi Marcusa i wybucham śmiechem, w którym nie ma radości, który sprawia mi ból, wstrząsa mną i nie przynosi ulgi. Czuję, że on też się śmieje, mięśnie międzyżebrowe unoszą się gwałtownie. Ponad jego ramieniem widzę, że niektórzy reagują tak samo jak my, na przykład Mozart i Kelly. Większość jednak patrzy załamana na przedstawienie odgrywane przez Arthura Montgomery'ego, który wyjmuje z worka i rozdaje dzieciom podarunki – czerwone pudełka owinięte w papier z logo programu Genesis. Jego ruchy wydają się niezgrabne. Rola Świętego Mikołaja tak bardzo do niego nie pasuje, ponieważ emanuje ciepłem niczym zamrażarka. Ale dzieci zupełnie tego nie zauważają, są zbyt szczęśliwe, by spostrzec, że coś tu nie gra.

Otwierają prezenty z okrzykami zachwyty. Pod rozdartym papierem, między ich palcami, ukazują się kartonowe pudełka ozdobione kolorowymi napisami, na których także widnieje logo programu pociągnięte złotym metalicznym lakierem. Przez przezroczyste plastikowe okienko w każdym pudełku widać znajdującą się w środku lalkę w stroju astronauty.

– To... my – szepcze Liz, podczas gdy kamera pokazuje zbliżenie pudełka, które trzyma w dłoniach dziewczynka w lawendowej bluzie.

Widać w nim lalkę z twarzą zastygłą w nieśmiertelnym uśmiechu, której rysy idealnie imitują oblicze naszej pięknej Angielki, aż po włosy z czarnych nylonowych włókien, upięte w kok baletnicy. Litery wytłoczone na opakowaniu informują:

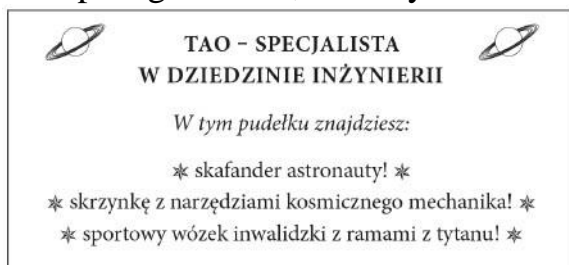


– Wow! Jestem taka szczęśliwa! – wykrzykuje dziewczynka w lawendowej bluzie. – Liz jest moją ulubioną pionierką! Jest taka piękna i tak wspaniale tańczy! Kiedy dorosnę, chciałabym być taka jak ona!

Kolejny okrzyk radości wznosi się obok dziewczynki.

– Patrzcie! – woła chłopiec na wózku inwalidzkim. – Ja też mam specjalistę od inżynierii, ale pioniera!

Trzyma w dłoniach pudełko, w którym zamknięta jest lalka przedstawiająca Tao. W zestawie jest też wózek inwalidzki, model *high tech*, wierna kopia tego, na którym porusza się Chińczyk – zupełnie niepodobny do ciężkiego, niezgrabnego i obdrapanego wózka, w którym siedzi niepełnosprawny chłopiec.



– Ho! Ho! Ho! – wykrzykuje Arthur Montgomery, próbując naśladować słynny jowialny śmiech Świętego Mikołaja, ale bezbarwny dźwięk, który wydobywa się z jego ust, przypomina raczej zgraną płytę, która zacięła się na jednej sylabie. – Jesteś zadowolony ze swojego prezentu, przyjacielu?

– O tak, Święty Mikołaju! Doskonale wybrałeś – odpowiada chłopiec głosem przepojonym wdzięcznością. – Ofiarowałeś każdemu jego ulubionego pioniera! Tao jest dla mnie jak starszy brat. Za każdym razem, gdy ogarnia mnie przygnębienie i myślę sobie, że nikt nigdy mnie nie zaadoptuje i że niczego w życiu nie osiągnę, unieruchomiony w tym wózku, myślę o nim. I to mi od razu pomaga i dodaje sił! Program Genesis nauczył mnie, że nie można tracić nadziei.

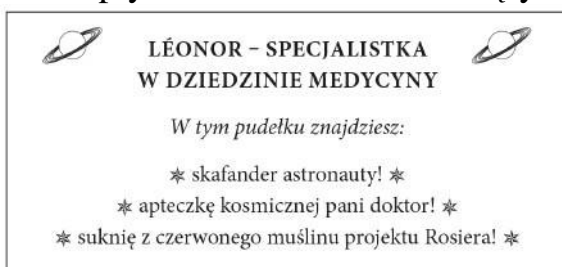
– Ho! Ho! Ho! – woła w odpowiedzi Arthur Montgomery.

Tymczasem kamera wciąż pokazuje zbliżenia lalek, kosmicznych Kenów i Barbie, modele nas samych w odpowiedniej skali.

Zadbano o najdrobniejsze szczegóły: lalka Kris ma misternie zaplecioną koronę z blond warkoczy i towarzyszy jej miniaturowa Louve; tekst na pudełku lalki Marcusa zapewnia, że pod kosmicznym skafandrem tatuaże są zgodne z oryginałem.

Nagle na ekranie pojawia się mój miniaturowy sobowtór. Kiedy widzę swoją malutką plastikową kopię, czuję się tak, jakby ktoś wymierzył mi cios w brzuch. Ponieważ lalka jest naprawdę podobna, aż po rude włosy opadające na ramiona w skafandrze. Ponieważ to miniaturowe ciało jest całkowicie nieruchome, a nadgarstki i kostki ma przywiązane do kartonu. Ponieważ wygląda to tak, jakbym leżała martwa w białej trumnie.

Z płytkim oddechem i ściśniętym gardłem odczytuję napisy na opakowaniu:



Odczuwam ogromną ulgę: w przeciwieństwie do tatuaży Marcusa, na etykiecie nie wspomniano, że pod skafandrem lalki znajduje się zgodna z oryginałem Salamandra. Producent zabawek nie mógł wiedzieć o jej istnieniu, a widzowie odkryli ją dopiero niedawno, kiedy podarłam sukienkę. Moja lalka z pewnością ma gładkie plecy – przynajmniej mam taką nadzieję... Na myśl o bliźnie, którą przez całe życie ukrywałam, powielonej w tysiącach egzemplarzy, kręci mi się w głowie.

– *Wszystkiego najlepszego, moi drodzy przyjaciele!* – rzuca nagle Serena McBee odwracając się do kamery. Wdzięcznym ruchem dłoni odgarnia na plecy pompon swojej czapki, po czym ciągnie: – *A wy, czy byliście grzeczni przez ostatni rok? Tak, sama mogę o tym zaświadczyć! Nie mogę się już doczekać, by się przekonać, co też Święty Mikołaj przygotował dla was...*

– *Ho! Ho! Ho!* – czka Arthur Montgomery. – *Zobaczmy, co ja tu mam dla ciebie, Kelly...*

Zanurza rękę głęboko w worku, prawie już pustym po rozdaniu prezentów dzieciom, i wyjmuje z niego paczkę owiniętą tym samym papierem w kolorach programu Genesis.

– *Ponieważ cię tu nie ma, otworzę prezent za ciebie, pozwolisz?* – pyta.

– Zdaje się, że nie mam wyboru, prawda, panie Święty Mikołaju? – odpowiada sarkastycznie Kanadyjka, unosząc podbródek.

Arthur Montgomery nie czeka na jej odpowiedź przez osiem minut, bo takie jest teraz opóźnienie w łączności. Jego zwinne, przyzwyczajone do operowania skalpelem palce otwierają już pakunek. Wyjmuje z niego dziwny okrągły przedmiot, masywną, jakby spłaszczoną, kamienną kulę z plastikową rączką.

Kelly natychmiast przestaje szydzić.

– *Kamień... do curlingu* – mówi, wzruszona. – *Myślałam, że już nigdy w życiu go nie zobaczę. Był za ciężki, żeby go zabrać na pokład Cupido, nie*

pozwolili mi. – Szybko dodaje z nutką agresji w głosie: – Pokazujecie mi go w tej chwili, żeby sobie ze mnie drwić?

Jednak i tym razem Arthur Montgomery uprzedza pytanie:

– *Pewnie się zastanawiasz, jak przekażę ci twój prezent, prawda Kelly? Chciałbym przylecieć do ciebie z zaprzęgiem mych reniferów, ale odległość jest za duża dla moich starych sań, a w bazie Nowy Eden nie ma kominka. Ho! Ho! Ho!*

Naprawdę, jest naturalny jak robot – czuć na odległość, że recytuje napisane zawczasu kwestie, tak samo jak w trakcie ceremonii zaślubin.

– *Ale spójrz, w paczce jest coś jeszcze!* – mówi, wyciągając z pudełka kartkę.

Przysuwa ją do kamery.

Jest zapisana cyframi i technicznymi symbolami, zbyt drobnymi, by można je było odczytać; ale tytuł maluje się wyraźnie wielkimi literami u góry strony:

PLIK WYDRUKU 3D – KAMIEŃ DO CURLINGU

– *Prześlemy wam plik laserowo – wyjaśnia Arthur Montgomery. – Pomknie do was z prędkością światła i dokładnie po czterech minutach znajdzie się w pamięci drukarki 3D należącej do Léonor. A wtedy wystarczy tylko nacisnąć przycisk, by otrzymać piękny, nowiutki kamień do curlingu, wydrukowany z marsjańskiego piasku, który zawiera cząsteczki niezbędne do produkcji całej masy różnych przydatnych przedmiotów.*

Oczy Kelly rozszerzają się w zachwycie.

– *Niesamowite!* – wykrzykuje.

Odwraca się w moją stronę.

– *Léo, pozwolisz mi skorzystać ze swojej drukarki?*

– *Oczywiście – odpowiadam zaskoczona, kiwając głową.*

Ale pani mikołajowa znów przejmuje pałeczkę i zabiera się do rozpakowywania kolejnego prezentu. Wyjmuje z paczki czarne kwadratowe okulary, dokładnie taki sam model jak te, które nosi Fangfang, tyle że w jednym kawałku.

– *Plik wydruku tych oprawek jest już w drodze między Ziemią a Marsem – oznajmia Serena z szerokim uśmiechem. – Wystarczy, że Fangfang włoży do nich swoje szkła korekcyjne i gotowe!*

Singapurka klaszcze w dłonie z radością.

– *Fantastycznie!* – wykrzykuje, pocierając sklezione taśmą okulary. – W końcu pozbędę się tego okropieństwa, które szpeci mnie od dwóch tygodni!

I znów Arthur Montgomery otwiera pakunek, przeznaczony tym razem dla ukochanego Fangfang; znajduje się w nim para dopasowanych rękawiczek, uszytych z materiału, który wydaje się jednocześnie elastyczny i bardzo wytrzymały.

Tao od razu domyśla się, co to takiego.

– To rękawiczki gimnastyczne, by chronić moje dłonie, kiedy popycham koła wózka i chodzę na rękach, prawda? Może z czasem mój zrogowaciały naskórek zmięknie i będę mógł dotykać Fangfang bez obawy, że ją zranię.

– Kocham cię z twoimi twardymi dłońmi, *Bao Bei* – zapewnia Fangfang, całując go.

Następnie rozpakowane zostają kolejne prezenty, jeden po drugim, a pliki mkną z prędkością światła przez przestrzeń kosmiczną do mojej drukarki 3D. Samson dostaje Frisbee do zabaw z Wardenem, Liz – elastyczną taśmę do ćwiczeń rozciągających, Aleksiej – ściskacz do trenowania mięśni dłoni, o którym tak marzył, Safia – matę do jogi, Mozart – pudło gitary, do którego wystarczy tylko przymocować struny, Kenji – zatyczki do uszu, dzięki którym będzie mógł w końcu spokojnie zasnąć.

Szybko staje się jasne, że organizatorzy programu dokładnie przysłuchiwali się naszym rozmowom, by wybrać dla każdego to, czego najbardziej mu brakuje. Byłoby to doprawdy wzruszające, gdyby za wszystkim nie stała Serena. Ponieważ ona nigdy nie robi niczego bezinteresownie i skoro obdarowuje nas prezentami, to znaczy, że ma w tym ukryty cel...

Właśnie teraz wyjmuje z paczki przeznaczonej dla Kris jakiś przedmiot, sitko z dziwaczną rączką.

– Praska do ziemniaków! – wykrzykuje moja przyjaciółka, jakby ujrzała zstępujące z niebios anioły. – Moje modlitwy zostały wysłuchane!

To stwierdzenie mrozi mi krew w żyłach mimo ciepła, jakie roztacza obejmujące mnie ramię Marcusa. Ten wybuch przesadnego entuzjazmu towarzyszący rozdawaniu prezentów wydaje mi się zupełnie nie na miejscu. Mam dziwne wrażenie, jakbym oglądała scenę z zewnątrz, jak malarz. I to, co widzę, mnie poraża.

W tej chwili czuję, że moi towarzysze niedoli nie żywią do Sereny żalu. W ich uśmiechach widzę, że przestali być wobec niej nieufni. Są tacy sami jak dzieci z sierocińca w New Jersey, pogodni i szczęśliwi, żyjący tylko tą chwilą. Ten moment odprężenia z pewnością będzie ulotny i po chwili ekscytacji odzyskają zdrowy rozsądek – co nie zmienia faktu, że przeraża mnie, iż Serenie udało się choćby i na kilka minut sprawić, by zapomnieli, jakim jest ona potworem. „Moje modlitwy zostały wysłuchane”, powiedziała niewinnie Kris. Jakby ta obłudna zakłamana kobieta, od której zależy nasze życie, była jakimś bóstwem...

– Uważaj na to, co mówisz, Kris – szepczę. – Serena, mimo wszystko, nie jest jednak Bogiem...

„Wręcz przeciwnie, to wcielony diabeł”, mogłabym dodać – ale oczywiście tego nie robię, bo kamery rejestrują każde moje słowo.

– Ej, smutacie, nie psuj zabawy! – rzuca Kelly, wciąż promieniejąc radością na myśl o swym prezencie. – Ty też skorzystasz na tej prasce do ziemniaków.

Czuję, że to nie jest dobry czas na przekonywanie kogokolwiek. W tej chwili nikt nie chce słuchać moich ostrzeżeń. Milczę więc, kiedy doktor Montgomery otwiera przedostatni prezent, duże pudełko z imieniem Marcus na etykiecie. Wyjmuje z niego piękny czarny cylinder, prawdziwy kapelusz magika.

Odwracam głowę do Marcusa i widzę, że na jego twarzy maluje się ten słynny półuśmiech. Ten niezwykły uśmiech to najwspanialszy widok, jaki znam, a odkąd zdaję sobie sprawę, jak bardzo jest ulotny, cenię go jeszcze bardziej. Nie zrobię ani nie powiem nic, co mogłoby zniszczyć radość Marcusa w tej chwili – choć świerzbi mnie, by zapytać, czy mówił o swoim cylindrze jeszcze w innym momencie, a nie tylko nocą, gdy byliśmy sami w naszym pokoju, gdy kamery miały być wyłączone, a organizatorzy mieli nas nie słyszeć...

– A nasz ostatni prezent trafi w ręce Léonor! – ogłasza Serena McBee na ekranie.

Rozrywa ostatnie prostokątne opakowanie.

I wyjmuje z niego ogromne portfolio.

Ale nie tablet portfolio, jaki zabrałam ze sobą z Ziemi, nie, prawdziwy kartonowy blok, wypełniony kartkami z prawdziwego papieru.

– *Drukarka 3D powinna być w stanie utkać te strony jak papirus* – mówi Serena. – *Czy nie mówiłaś, że chciałabyś posłużyć się paletą do makijażu Rosiera jak farbami i namalować prawdziwy obraz, Léonor? Jestem przekonana, że dom mody byłby zachwycony, wiedząc, że jego produkty przyczynią się do powstania jeszcze większego piękna, ale brakowało ci nośnika. Oto on. Będziesz mogła uwolnić swoją kreatywność i tworzyć prawdziwe cuda!*

Moje wargi się uchylają i niemal wbrew własnej woli wychodzi z nich ciche:

– Dziękuję.

Jestem naprawdę wzruszona. Jakkolwiek absurdalne może się to wydawać, podarunek od naszej dręczycielki naprawdę mnie uszczęśliwia. Czy i mnie zaczyna odbijać? Czy Serena na mnie też rzuciła urok? Hej, Léo, obudź się! Ta czarownica nie jest twoją przyjaciółką!

– *A teraz już was opuszczamy...* – oznajmia śpiewnym głosem Serena. – *Święty Mikołaj i ja mamy jeszcze inne domy do odwiedzenia... Jeszcze raz: Wesółych Świąt i smacznego. Danie, które przygotowała dla was Kirsten, wygląda smakowicie, wydaje mi się, że czuję jego zapach nawet tutaj, w willi McBee!*

Widok gabinetu pełnego dzieci znika ze ściany kopuły; za znów przezroczystą szybą rozciąga się mrok marsjańskiej nocy.

– Rzeczywiście wygląda pysznie! – wykrzykuje Mozart, zerkając na danie stojące na środku stołu. – A ja jestem głodny jak wilk! Mniam!

Kris rumieni się uroczo na ten komplement.

– Och, mówiłam wam, że to nic takiego... – kryguje się, podczas gdy Samson i Safia nakładają wszystkim porcje na talerze. – Mam nadzieję, że da się to

zjeść...

– Żartujesz? – mówi Mozart z pełną buzią. – Niebo w gębie!

Tylko Kenji wydaje się nieufny. Patrzy na zapiekankę na swoim talerzu zaniepokojonym spojrzeniem zmęczonych podkrążonych oczu – spanie w skafandrze ciśnieniowym musi być potwornie niewygodne, jeśli w ogóle jest w stanie zasnąć przy wszystkich swoich lękach. Mam nadzieję, że zatyczki mu pomogą.

– Eee... jesteś pewna, że tam w środku nie ma larw jedwabników? – pyta podejrzliwie.

– No jasne! Przecież powiedziałam, że to danie wegetariańskie! – odpowiada Kris z uśmiechem. – Jaja jedwabników rozmroziły się w zeszłym tygodniu, larwy ledwie się wykluły, potrzeba jeszcze wielu dni, by osiągnęły dojrzałość – a wtedy zostaną wykorzystane w celach reprodukcyjnych, do powiększenia hodowli, a nie do jedzenia! Przywieźliśmy tu jedwabniki, aby przyszła cywilizacja marsjańska miała własne jedwabne nici i mogła dzięki temu rozwinąć przemysł tekstylny...

„Przyszła cywilizacja marsjańska?” Mówi o tym z niezachwianym przekonaniem, jakby przyszłość była niezagrożona, podczas gdy nasze życie wciąż wisi na włosku. Ale dziś wieczorem, w tę wigilijną noc, nie mam serca jej o tym przypominać.

– ... konsumpcja jedwabników to ostateczność – ciągnie Kris. – W przypadku gdy spożycie białka sojowego okaże się niewystarczające dla nas albo dla psów.

Jak gdyby zrozumiała słowa swojej pani, Louve wydaje z siebie żaloszny skowyt, patrząc na miskę wypełnioną w jednej czwartej karmą Eden Food, a w trzech czwartych wegetariańską zapiekanką. Zgodnie z protokołem mamy stopniowo przyzwyczajać psy do wegetarianizmu – raczej nie poprawia im to humoru, a już i tak czują się piesko!

Zobaczmy, czy zapiekanka Kris mnie posmakuje bardziej niż Louve... Nabieram odrobinę na koniuszek widelca. Hmm! Eksplozja smaku w ustach! Nie ma to nic wspólnego z daniami z puszki czy z opakowań próżniowych, które jadłam przez pięć miesięcy na pokładzie Cupido, różni się też zupełnie od mdłej rozgotowanej papki ziemniaczanej, którą od dwóch tygodni przygotowuję dla siebie i Marcusa w naszej kuchence. W zapiekance Kris słodycz pokrojonej w słupki marchewki łączy się z ziemniaczanym puree, którego jedwabista konsystencja przyjemnie kontrastuje z chrupiącym nadzieniem z zapieczonej w piekarniku soi. Cieniutka warstwa startego na proszek owsa zastępuje bułkę tartą, tworząc na wierzchu rumianą skorupkę.

– Naprawdę zasługujesz na gwiazdkę Michelina, Kris! – zachwycam się.

– Przez ciebie wyjdziemy przed naszymi mężczyznami na beznadziejne kucharki – mówi pół żartem, pół serio Fangfang.

– Ach! Bo u Fangtao to pani domu gotuje? – pyta Kelly, nakładając sobie zapiekanki na talerz. – To mało postępowe! U nas to domena Kota. I całe szczęście, bo choć potrafię pilotować kosmiczną kapsułę, to nie mam pojęcia, jak się włącza piekarnik. Ze mną u steru kuchenki już dawno byśmy się potruili!

U szczytu stołu Aleksiej, który zasiadł tam jako głowa rodziny, przewraca oczami ze zgrozą:

– Czy to prawda? – pyta. – Własnym uszom nie wierzę! Nie daj się tak traktować, Kocie! Pokaż pazury! Broń się!

– Lubię gotować – odpowiada Japończyk, nie podnosząc wzroku znad talerza. – Zwłaszcza dania wegetariańskie. W miejscu, w którym mieszkałem przed programem, nigdy nie jedliśmy mięsa ani żadnych produktów pochodzenia zwierzęcego...

Miejsce, w którym mieszkał przed programem? Nic mi to nie mówi, bo nigdy o tym nie wspomniał. Przyglądam się najmłodszemu z chłopców, jego dziwnemu zagubionemu spojrzeniu zza rozczochranych kosmyków i zdaję sobie sprawę, że wciąż pozostaje najbardziej tajemniczym członkiem naszej załogi. A jeśli, tak samo jak Marcus, ukrywa jakiś straszny sekret? Jego fobie skądś się przecież wzięły... Być może powiedział o tym tylko Kelly, tak jak Marcus zwierzył się jedynie mnie. No chyba że nikomu nie wyjawiał sekretu. Pierwszy raz wspomniał publicznie o swej przeszłości. Chciałabym go jakoś zachęcić, by zdradził więcej... Aleksiej nie daje mi jednak szansy.

– Nie sprawisz, że zmienię przekonanie, że kuchnia jest domeną kobiet – mówi z uśmiechem w kącikach ust, który powoduje, że na policzkach pojawiają się jego słynne dołeczki. – Facet w fartuchu nie jest prawdziwym mężczyzną. Każdy powinien znać swoje miejsce. Kijem tego, co nie pilnuje swego, prawda?

– W Nowym Edenie nie ma kijów, jeśli nie zauważyłeś.

Wszystkie spojrzenia zwracają się na Mozarta, który właśnie przemówił.

Patrząc Aleksiejowi prosto w oczy, dodaje:

– A dla twojej informacji, u nas to ja gotuję. To jedna z tych rzeczy, jakich nauczyły mnie dziewczyny z faweli, które mnie wychowały. Chciałbym, żebyś mnie zobaczył w fartuchu, tylko po to, by usłyszeć, jak mówisz, że nie jestem prawdziwym mężczyzną, i udowodnić ci, że jest zupełnie inaczej.

Nagle napięcie między Brazylijczykiem i Rosjaninem jest tak silne, że zdaje mi się, że widzę, jak się materializuje w postaci laserowych promieni przebiegających przez stół. Od dwóch tygodni, czyli od naszego lądowania, przy każdej okazji wzajemnie się prowokują. Całe szczęście, że zadania, które wypełniają, trzymają ich z dala od siebie. Mozart spędza większość dnia na zewnątrz, wożąc naukowców na ich wyprawy badawcze; a pozostały czas zajmuje mu pomaganie specjalistom od inżynierii i łączności w konserwacji sprzętu. Tymczasem Aleksiej, tak samo jak ja, spędza większość czasu wewnątrz bazy. Do

naszych obowiązków należy badanie wszystkich astronautów, kiedy wracają z misji poza bazą. Ja powinnam zajmować się dziewczętami, a Aleksiej chłopcami, ale jest tak skłócony z Mozartem, że nie chce go osłuchiwać. Może to i lepiej – wygląda na to, że każde badanie Samsona zmienia się w przesłuchanie dotyczące jego kontaktów z Kris, a więc wyobrażam sobie, że z Mozartem skończyłoby się bijatyką... I nagle okazało się, że to ja muszę go badać, kiedy zdejmuje hełm. To ja przykładam licznik Geigera do jego piersi, by zmierzyć promieniowanie; to ja słucham bicia jego serca przez stetoskop. Z czasem nauczyłam się wykonywać wszystkie te czynności, nie patrząc mu w oczy.

– No nie! Nasz największy macho przy kuchni? – wybucha śmiechem Kelly, wrywając mnie z zamyślenia. – No, tego bym nie wymyśliła!

– Wyobraź sobie, że świetnie sobie radzi – mówi Liz, patrząc na Mozarta zakochanym wzrokiem. – Potrawy, które przygotowuje, są tak dobre, że muszę się pilnować, żeby nie przytyć...

Kanadyjka przewraca oczami – znów wracamy do kompleksów Liz, zupełnie nieuzasadnionych, bo ma idealne ciało i metabolizm, który spala kalorie z prędkością bolidu. W przeciwieństwie do Kelly ja nie czuję irytacji, słysząc pełne niepokoju wypowiedzi naszej primabaleriny, raczej mnie one wzruszają. Im lepiej poznaję Liz, tym wyraźniej widzę, jak bardzo brakuje jej pewności siebie. W przeszłości popełniła z tego powodu kilka błędów, ale zrobiła to, by się chronić, a nie po to, żeby kogokolwiek zranić. Od tamtej pory próbuje odkupić winy, biorąc na siebie najgorsze zadania i wykonując je bez słowa skargi.

– A może otworzylibyśmy butelkę szampana do tej boskiej zapiekanki? – proponuje Samson, przyciągając natychmiast uwagę Kelly.

– No, wreszcie ktoś mówi do rzeczy! – wykrzykuje Kelly i wstaje, by przynieść butelkę.

Kilka chwil później wznosimy toast drugą butelką z sześciu, które tu ze sobą przywieźliśmy. Pierwsza została wypita nazajutrz po naszych ślubach. Zdecydowaliśmy już nawet, kiedy wypijemy kolejne cztery: w Sylwestra, czyli 31 grudnia, na powitanie Nowego Roku; w urodziny Safii przypadające 2 lutego; w przeddzień Wielkiej Burzy, za dwadzieścia jeden miesięcy; a co do szóstej i ostatniej butelki – odkorkujemy ją po Wielkiej Burzy, jeśli ją przeżyjemy...

Teraz jednak chcę jak pozostali nie myśleć o tym wszystkim – choćby przez godzinę, choćby przez jedną noc, noc Bożego Narodzenia.

Szampan sprawia, że robi mi się przyjemnie ciepło. Ale to ciepło, którym emanuje ciało Marcusa, tuż obok mnie, jest bardziej odurzające. „Chwytaj dzień”, śpiewa mi jego zapach, opowiadający o głębokich gęstych lasach, o życiu pod gołym niebem, o bezkresnym horyzoncie.

Chwytaj dzień.

KONTRPLAN

**Willa McBee, Long Island, stan Nowy Jork,
poniedziałek 25 grudnia, godz. 8.35**

– Czy naprawdę musimy się tak ośmieszać? – mamrocze Arthur Montgomery, zdejmując przepoconą sztuczną brodę.

– Mój drogi Arthurze, gdzie się podziało twoje wewnętrzne dziecko? To tylko mały niewinny spektakl, który oczarował widzów i sprawił tyle przyjemności pionierom. A sieroty z New Jersey będą wspominać ten dzień do końca życia!

Dzieci opuściły już gabinet, odprowadzone przez Balthazara do kuchni na sponsorowane przez gospodynię bożonarodzeniowe śniadanie.

Brandon i Dawson, dwaj pokojowi Sereny McBee, zbierają porozrywane opakowania po prezentach. Jak wszyscy pracownicy willi mają w uszach słuchawki.

– Zostawcie to – mówi Serena, uśmiechając się wspaniałomyślnie. – Jutro posprzątaacie. Dziś jest przecież Boże Narodzenie, daję wam wolne.

– Dziękuję, pani McBee! – wykrzykują zgodnym chórem służący, po czym wychodzą z gabinetu.

Gdy tylko zamykają się za nimi drzwi pokoju, Serena odwraca się do doktora Montgomery'ego, który siedząc na krześle, próbuje zdjąć za ciasne buty Świętego Mikołaja.

– Śmieszność, jak to nazywasz, jest naszą najlepszą zbroją – stwierdza, w jednej chwili odzyskując powagę. – A im więcej warstw przywdziejemy, tym lepiej będziemy chronieni. Prawa psychologii są proste. Nie można być jednocześnie szczęśliwym i smutnym ani rozbawionym i przerażonym, ani ufnym i podejrzliwym. Jeśli sprawimy, że na twarzach pionierów pojawi się uśmiech, wtedy zapomną, że powinni się nas bać. Oczywiście zawsze będą pamiętać, że na wizji nie mogą wspominać o raporcie Noego, że to podstawa naszej umowy. Ale będą szczerze wierzyć, że my też dotrzemy naszych zobowiązań. Właśnie dlatego zdecydowałam się prowadzić transmisję z mojej willi, gdzie z pewnością wydajemy im się słabsi, bardziej podatni na zagrożenia i bezbronni, niż w schronie przeciwbombowym schowanym głęboko pod ziemią: czyli krótko mówiąc, bardziej nieszkodliwi. Z czasem, powoli, nie zdając sobie z tego sprawy, ich czujność zostanie uśpiona. Ponieważ odkryją coś, czego nigdy w swym nędznym życiu nie zaznali: szczęście. I miłość. A co do nas: będziemy to szczęście umacniać, będziemy ich dopieszcząć, bawić, psuć. Syci i zadowoleni w końcu przysną na

warcie, zapomną włożyć skafandry ciśnieniowe i zapiąć hełmy. I właśnie w tym momencie, gdy najmniej będą się tego spodziewać, uderzymy. Jak? Jeszcze nie wiem. Nie wiem też jeszcze, jak unieszkodliwić Andrew Fishera. Ale wiem, że czas, przyzwyczajenie, rutyna i fałszywe poczucie bezpieczeństwa, które musimy umacniać w naszych pionierach, to wszystko zagra na naszą korzyść, kiedy nadejdzie właściwy dzień.

– Tak, rozumiem – mamrocze Arthur Montgomery, siłując się z drugim butem. – Ale tak czy inaczej, moja godność...

– Daj, Arthurze, pomogę ci.

Serena klęka przed krzesłem, na którym siedzi lekarz. Czerwony aksamit jej sukni opina idealne ciało, spódnica podsuwa się powyżej kolan, odsłaniając długie nogi w czarnych pończochach.

Arthur Montgomery natychmiast przestaje protestować i siedzi tak cicho, jakby podano mu środki uspokajające, podczas gdy Serena unosi jego łydkę i jednym zgrabnym gestem zdejmuje but.

– Sereno... – duka, pozerając ją wzrokiem. – Czy ja też byłem wystarczająco grzeczny? Czy ja też zasłużyłem na prezent?

– Przekonamy się później, czy pani mikołajowa przyniesie ci podarek, czy wychłosta różgą, mały łobuzie – odpowiada z uśmiechem na ustach, wstając. Poprawia sukienkę i dodaje: – Wkrótce będziemy mieć kolejną okazję, by okazać pionierom naszą rzekomą dobrą wolę. Nasze służby meteorologiczne prognozują małą burzę piaskową w regionie Ius Chasma za dwa tygodnie. To będzie niewielka anomalia, ale z pewnością przestraszy naszych marsjańskich osadników, gdyż są przekonani, że śmierć zwierząt doświadczalnych miała jakiś związek z Wielką Burzą Piaskową, która przeszła tamtędy dwadzieścia siedem miesięcy temu.

– To podejrzenie wciąż pozostaje nieudowodnioną hipotezą – stwierdza lekarz. – W raporcie Noego nic nie wskazuje na bezpośredni związek między tymi dwoma wydarzeniami.

– Przyznasz jednak, że godzinny *black-out*, w czasie którego zwierzęta wyzionęły ducha, może niepokoić naszych młodych przyjaciół. Tak samo jak dziura w poszyciu siódmego modułu, którą odkryli. Raport Noego nic o niej nie wspominał, a tymczasem jest tam.

– Rzeczywiście, ale w tym wypadku również nie udowodniono związku przyczynowo-skutkowego... Nie mamy możliwości przeprowadzić odpowiednich badań...

Serena odrzuca głowę do tyłu ze śmiechem, czerwona czapka spada ze srebrnych włosów.

– Związek przyczynowo-skutkowy... Badania... Jesteś niepoprawnym naukowcem, mój drogi Arthurze. Ale w tej chwili przyczyna śmierci zwierząt jest zupełnie nieistotna. Ważne jest tylko to, byśmy w trakcie tej niewielkiej burzy

okazali się tak pomocni, jak to tylko możliwe, aby pionierzy naprawdę zobaczyli w nas swoich sprzymierzeńców. Im większe okażemy im teraz wsparcie, tym łatwiej będzie nam wbić im nóż w plecy, gdy nadejdzie nasza godzina.

POZA PLANEM

**Opuszczona kopalnia, Dolina Śmierci,
poniedziałek 25 grudnia, godz. 8.33**

Promienie wschodzącego słońca przenikają przez szpary między luźnymi deskami w ścianach chaty.

Jeden z nich pada na dziewczynę leżącą na zardzewiałym metalowym łóżku, na rozprutym poźółkłym ze starości materacu. Kołdra, którą jest otulona, zakrywa jej pół twarzy, tak że widać tylko blade czoło, długie bezbarwne rzęsy i jasne włosy. W szybko zmieniającym się świetle poranka jej włosy też zdają się zmieniać, falować, mienić niczym białe, różowe i pomarańczowe parzydełka meduzy.

Kiedy wreszcie światło przybiera żółtą barwę, rażąc jej cienkie powieki, dziewczyna otwiera jasnozielone oczy.

– Gdzie ja jestem? – jąka.

– Ze mną, Harmony.

Andrew Fisher siedzi na rozklekotanym krześle z połamanym oparciem u wezłowia łóżka. Jest już ubrany, ma na sobie wyblakłe chinosy i ciepłą bluzę dresową, na której wciąż widać logo klubu wioślarskiego, do którego niegdyś należał. Minęło wiele tygodni, odkąd opuścił swój dawny świat, zszedł z jasno wytyczonej ścieżki, która prowadziła do Berkeley, i rzucił się w nieznaną. Te kilka sztuk ubrań, które ze sobą zabrał, tak często prał ręcznie w kamperze, że straciły dawny kolor i kształt.

Ale jego twarz odzyskała kolory.

Rumieńce wróciły na policzki, a cienie pod czarnymi oprawkami okularów zniknęły. Brązowe włosy odzyskały blask. A teraz jeszcze na jego ramionach, karku i twarzy igrają złote plamki światła przenikające przez dziurawe ściany domku.

– Andrew... – szepcze Harmony McBee, jakby próbowała odnaleźć bardzo odległe wspomnienie w zakamarkach pamięci.

– Codziennie rano po przebudzeniu zadajesz mi to samo pytanie: Gdzie ja jestem? – mówi z uśmiechem. – Tak jakbyś wszystko zapomniała w czasie snu.

Harmony patrzy na niego przez chwilę bez słowa.

Ona także tonie w złotawych słonecznych plamkach, które podkreślają jej delikatną, nieziemską urodę.

– Teraz już pamiętam – odpowiada w końcu. – Odkrycie sekretu mamy...

Naszą ucieczkę przez cały kraj... Dolinę Śmierci...

– Nadal tu jesteśmy. W miejscu, gdzie nikomu nie przyjdzie do głowy nas szukać.

Andrew gestem dłoni wskazuje jednoizbową chatę, w której się znajdują. Przy przeciwległej ścianie stoi drugie łóżko, w równie opłakanym stanie. Przy trzeciej ścianie, zardzewiały metalowy zlew i stary zbutwiały stół tworzą kącik kuchenny. Z sufitu zwisa na kablu goła żarówka. Do drewnianej belki stropowej przytwierdzono płachtę, która kiedyś musiała być amerykańską flagą, lecz jest tak spłowiała, że wygląda na czarno-białą.

– Od dziesięcioleci nikt tu nie zagląda – mówi Andrew. – Ale marzenia tych, którzy tu kiedyś mieszkali, pozostały... Posłuchaj.

Podnosi palec wskazujący w stronę niedomykających się drzwi, wyżartych od dołu przez pustynne robaki. Słychać przeciągły gwizd, zaczyna się, a po chwili urywa, jakby ktoś nagle zapomniał dalszy ciąg nuconej melodii.

– To szum marzeń – szepcze Andrew. – Albo, jeśli wolisz, szum wiatru wpadającego do opuszczonej kopalni, znajdującej się tuż obok tej chaty. W dawnych czasach służyła jako schronienie dla marzycieli i głupców, przybyłych tu w poszukiwaniu jedyne bogactwa, jakie może ofiarować Dolina Śmierci: złota.

– A my? – pyta Harmony. – Jesteśmy marzycielami czy głupcami?

– Nie wiem, ale znaleźliśmy złoto, prawda?... – Wskazuje na jaśniejące złote plamki, które pokrywają już całą kołdrę i twarz Harmony, po czym dodaje: – Cała jesteś w złocie...

Dziewczyna uśmiecha się, wyciągając ręce ku promieniom, jakby chciała je złapać. Jej cienkie białe palce zaciskają się.

– Myślę, że postradaliśmy rozum – wzdycha. – Bo to jest złoto głupców.

– A to?...

Andrew wsuwa dłoń do kieszeni spodni, po czym otwiera ją przed Harmony.

W zagłębieniu leży nieforemny kamyk wielkości tabletki, chropawy i porowaty niczym koral. Skrzy się jak...

– ... samorodek złota? – szepcze Harmony.

Andrew kiwa głową.

– Tak, samorodek złota. Znalazłem go w zeszłym tygodniu, gdy wybrałem się na rekoniesans do kopalni, kiedy spałaś. Potrzebujesz tyle snu!

– Ale schodzenie tam może być niebezpieczne!

– Nie martw się. Gdyby kopalnia miała się zawalić, stałoby się to już dawno temu. Zresztą już wcześniej spędziłem w niej wiele godzin, zeszłego lata, gdy byłem tutaj sam. W sierpniowym skwarze było to jedyne miejsce, gdzie mogłem znaleźć odrobinę chłodu, i czułem się tam dobrze, spokojnie, myślałem o ojcu, o moich dziecięcych marzeniach, o przyszłości, która z pewnością nie zaprowadzi

mnie już do gwiazd. Wyobrażałem sobie, że ta kopalnia jest jak zawiedziona nadzieja, dziura w skale wydrążona dzięki sile uderzeń kilofa i wytrwałości, która być może nigdy nie dała z siebie ani uncji złota. A nawet gdyby mogła pewnego dnia coś ofiarować, jest już wyschnięta. Tak przynajmniej sądziłem, aż do zeszłego tygodnia, gdy moja czołówka oświetliła ukryty w głębi szybu skarb. To był ten samorodek. To prezent dla ciebie. Wesołych Świąt, Harmony!

Dziewczyna podnosi się na łóżku. Jest taka lekka, że materac wcale się pod nią nie ugina.

– Nie zasługuję na to, Andrew... – mówi. – Ostatni samorodek z kopalni...

– To nie obdarowany decyduje, czy zasłużył na prezent, czy nie, tylko ten, kto obdarowuje. Trzymaj.

Kładzie samorodek w dłoni Harmony.

– Dziękuję – odpowiada dziewczyna z błyszczącymi oczami. – Dziękuję z całego serca!

Próbuje wstać, by pocałować Andrew.

Ale nie może.

Koldra zsuwa się na ziemię, odsłaniając sukienkę z szarej koronki, która sięga jej aż do alabastrowych łydek. Na kostce prawej nogi błyszczą metalowa obrączka. To kajdanki, które Andrew ukradł policjantowi z Wyoming. Jedna obręcz jest zamknięta na nodze dziewczyny, a druga przypięta do poręczy łóżka.

Harmony odwraca się do Andrew ze zdumieniem na twarzy.

– Muszę przypinać cię do łóżka co noc, Harmony – tłumaczy. – Żebyś nie uciekła, kiedy śpię. Próbowałaś już dwa razy. Tego też nie pamiętasz? Byłaś na głodzie. Za pierwszym razem nie zaszłaś daleko. Ale za drugim razem znalazłem cię dopiero następnego dnia rano, leżałaś nieprzytomna na poboczu. Tamtego ranka, gdy otworzyłaś oczy, nie zapytałaś mnie: „Gdzie ja jestem?”. Tylko: „Czy dotarłam już do willi McBee?”.

– O mój Boże... – jąka Harmony. – Już sobie przypominam. Głód... Pieniądze mamy... Zdobyć zero-G... To było jak obsesja...

Drżące palce się otwierają, grudka złota upada na ziemię.

Andrew od razu podnosi samorodek i wkłada go z powrotem w rozdygotaną dłoń dziewczyny, którą ściska tak długo w swojej, aż przestaje drżeć.

– Nie poddawaj się, Harmony – szepcze. – Mamy jeszcze trzydzieści dwie tabletki kodeiny. Policzyłem. Jeśli nadal będziesz rozsądnie je zażywać, jestem pewien, że twoje napady się skończą. Jeszcze kilka dni temu budziłaś się z krzykiem, by dać ci zero-G, ale to już minęło. Nawet w najtrudniejszej sytuacji zawsze jest nadzieja. Nawet w najniebezpieczniejszej kopalni można znaleźć grudkę złota.

PLAN

**21 miesiąc / 567 sol / godz. 9.45 czasu marsjańskiego
[17 sol od lądowania]**

– Wow! To jest naprawdę magiczne! – wykrzykuje Kris z szeroko otwartymi oczami.

Zebraliśmy się wszyscy w schronie pod plantacjami. Jest to białe, okrągłe pomieszczenie o średnicy dziesięciu metrów, bez okien, oświetlone świetlówką. Z jednej strony urządzono małe ambulatorium z łóżkiem i kilkoma urządzeniami diagnostycznymi zawieszonymi na ścianie: tomografem, aparatem USG, elektrokardiografem i paroma innymi, które powinnam znać, ale zapomniałam, jak się nazywają. Po drugiej stronie stoi drukarka 3D i to właśnie ona wywołuje taki zachwyt Kris. Trzeba przyznać, że widowisko jest ekscytujące, i nie znajduję lepszego słowa, które by to opisało, niż to, którego użyła: magiczne! Na Ziemi widywałam drukarki 3D w akcji, ale sposób ich działania nie przestaje mnie zadziwiać – a nigdy nie widziałam większej drukarki 3D od tej w Nowym Edenie. Jest to masywny sześcian wyższy ode mnie o dobre dwadzieścia centymetrów. Przez szklane ściany można obejrzeć jej wnętrze, w którym metalowe głowice poruszają się po szynach, precyzyjnie odwzorowując kod znajdujący się w pamięci urządzenia, i układają kolejne warstwy drukowanego przedmiotu. Można już dostrzec kształt słynnej praski do ziemniaków Kris. Rączka zostanie stworzona w kolejnym etapie i dokręcona do pozostałej części. Z pewnością też będzie szara. Taki kolor ma materiał pozyskiwany z marsjańskiego piasku, który przynieśliśmy z zewnątrz w hermetycznych kontenerach i wsypaliśmy do zbiornika drukarki, gdzie został poddany obróbce chemicznej.

– Jesteście pewni, że drukarka dostatecznie odkwasiła piasek? – pyta nagle Kenji, niczym echo dla moich myśli.

Odwracam ku niemu głowę. Wydaje mi się, że cienie pod jego oczami są jeszcze większe niż wcześniej. Wpatruje się nerwowo w głowice pracujące wewnątrz szklanego sześcianu.

– Chodzi mi o to, że to urządzenie właśnie tworzy praskę do ziemniaków... – ciągnie, nie odrywając wzroku od drukarki – sprzęt kuchenny, który będzie służył do przygotowywania naszych posiłków. Pomyślcie, co by się stało, gdyby w materiale, z którego został stworzony, znalazły się jakieś toksyczne cząstki...

– Nie martw się, Kenji – mówi Kris. – Oczywiście przeprowadzę wszystkie niezbędne testy biologiczne. W końcu nawet gdy kupuje się zwykły garnek

w supermarkecie, to przed pierwszym użyciem trzeba go umyć.

W tej samej chwili rozbrzmiewa sygnał dźwiękowy, a syntetyczny głos dochodzący z drukarki 3D oznajmia: „Drukowanie zakończone. Proszę odebrać wydrukowany przedmiot”.

Jedna ze ścian drukarki się podnosi i Kris z zachwytem łapie swą praskę.

– Widzisz – uspokaja. – Nawet nie parzy mnie w dłonie. Jestem pewna, że jest w stu procentach bezpieczna.

Kelly przytakuje energicznym skinieniem głowy, podzwaniając wielkimi złotymi kolczykami w kształcie kół.

– Kris ma rację – mówi, obejmując Japończyka. – A teraz moja kolej! Już nie mogę się doczekać, kiedy poczuję w dłoniach mój nowy kamień do curlingu! Zobaczysz, Kocie, nauczę cię. Curling jest superodstresowujący, to właśnie to, czego ci trzeba, będziesz zachwycony. No dalej, Léo, uruchom plik!

Jednak w chwili, gdy mam nacisnąć przycisk urządzenia, by zainicjować drukowanie kamienia do curlingu, w głośnikach schronu rozbrzmiewa głos: „Specjaliści od planetologii proszeni są do Relaksowni na pilną konsultację!”.

KANAL GENESIS

Poniedziałek 25 grudnia, godz. 22.30

Widok na schron w szerokim planie. Dwoje pionierów odłącza się od grupy: Fangfang i Marcus. Kierują się bez słowa w stronę wyjścia z umocnionego pokoju.

Kamera podąża za nimi przez ogród, w którym pracują mechaniczne ramiona robotów rolniczych, aż do segmentu łączącego prowadzącego do siódmego modułu. Marcus wchodzi do korytarza i znika z pola widzenia kamery, która nie ma dostępu do Relaksowni.

Fangfang zatrzymuje się na chwilę, jakby się wahała... – zbliżenie na jej zaniepokojoną twarz, na jej źrenice drżące za okularami w połamanych oprawkach, jeszcze nie zdążyła wymienić ich na nowe – po chwili zbiera się w sobie i znika w korytarzu.

Cięcie.

[PRZERWA REKLAMOWA]

Czarne tło. Stopniowe rozjaśnienie kadru, w którym ukazują się kosztowne dwuskrzydłowe drzwi w chińskim stylu z klamkami z brązu w kształcie smoków. Kiedy rozbrzmiewa muzyka chińskiej cytry, skrzydła drzwi otwierają się, kamera przechodzi przez nie i posuwa się do przodu, ukazując okazały korytarz, wzdłuż ścian ustawiono rzeźbione konsole z drzewa różanego, na których królują statuetki z jadeitu i wazy z okresu dynastii Ming.

Z offu rozbrzmiewa kobiecy głos, czysty i pewny: *Jest taki bank, który właściciele największych azjatyckich fortun przekazują sobie z ojca na syna, niczym dziedzictwo.*

Kamera dociera do kolejnych dwuskrzydłowych drzwi, tym razem w stylu paryskim; one także otwierają się, jakby za sprawą czarów, na nowy korytarz o ścianach wyłożonych lamperią pokrytą prawdziwym złotem.

Kamera znów posuwa się do przodu, płynąc nad wypastowanym drewnianym parkietem, ułożonym we francuską jodełkę, a w tle słychać kwartet smyczkowy. Z sufitu zwisają kryształowe żyrandole, a ściany zdobią płótna największych mistrzów malarstwa.

Głos z offu ciągnie: *Jest taki bank, któremu najzamożniejsze rodziny w Europie powierzają swój majątek, z pokolenia na pokolenie.*

Ukazują się trzecie drzwi, ich styl nie jest ani orientalny, ani zachodni: to ciężkie masywne skrzydła ze stali. Tak jak pozostałe, otwierają się, wpuszczając do

środką kamerę.

Ekran eksploduje czerwienią; ściany trzeciego korytarza są całe ze szkła, dzięki czemu odsłaniają rozpościerający się dookoła marsjański pejzaż. W rzeczywistości jest to zbudowana w studiu makieta, gdzie zamiast wielkich skał są turmaliny, a zamiast marsjańskiego piasku – migoczący rubinowy proszek.

Pośrodku szklanego korytarza, w centrum tego pejzażu z drogocennych kamieni, stoi Fangfang, majestatyczna niczym królowa. Ubrana jest w piękną chińską suknię w kolorze czerwonym, takim samym jak dekoracje. Kolczyki błyszczące w jej uszach i naszyjnik lśniący na szyi przypominają rubinowy marsjański piasek.

Na ekranie pojawia się napis wykonany drobną elegancką czcionką:

FANGFANG, WŁAŚCICIELKA NOWEJ MARSJAŃSKIEJ FORTUNY,
WYNOŚĄCEJ: 134 567 900 \$

Dziewczyna otwiera pomalowane czerwoną szminką usta i okazuje się, że głos z offu należy do niej: *Ten bank to Cresus. A ja, Fangfang, zdecydowałam się powierzyć mu darowizny, które widzowie wyślą mi w dniu narodzin moich dzieci, by założyć nową dynastię na Marsie, moją dynastię.*

Czarne tło.

Na ekranie pojawia się logo zapisane złotymi literami i chińskimi ideogramami:

BANK CRESUS

金王

WYBÓR WIELKICH DYNASTII

Cięcie.

PLAN

**21 miesiąc / 567 sol / godz. 12.05 czasu marsjańskiego
[17 sol od lądowania]**

– W solu 578: dokładnie za jedenaście soli! – oznajmia ponuro Fangfang.

Ona i Marcus poprosili przedstawicieli każdej specjalizacji do Relaksowni, gdzie Serena tajemniczo wezwała ich dziś rano. Pięcioro z nas dołączyło do tej dwójki w ciasnym salonie siódmego modułu: Kelly jako specjalistka od nawigacji, Liz – od inżynierii, Samson – od biologii, Kenji – od łączności i ja jako specjalistka w dziedzinie medycyny. Pozostali tymczasem wciąż zapełniają czas antenowy pod niezmordowanym okiem kamer.

– Dokładnie za jedenaście soli – powtarza Fangfang – nad Nowym Edenem przetoczy się burza piaskowa. Serena właśnie nas o tym poinformowała i zgadza się to z danymi meteorologicznymi, które odnotowujemy tutaj, w bazie.

– Nie czaję, przecież następna Wielka Burza, przez którą wszyscy mieliśmy niby zginąć, miała przyjść dopiero w następnym osiemnastym miesiącu – protestuje Kelly. – I mówię niby, ponieważ wciąż jestem przekonana, że to szczury odpowiadają za śmierć zwierząt doświadczalnych, bo wygryzły tę cholerną dziurę, a więc bez szczurów nie ma dziury, a bez dziury, no po prostu jesteśmy bezpieczni!

– Przysięgam, naprawdę w tej jednej sprawie bardzo bym chciała móc się z tobą zgodzić i wierzyć w tę historię o zbiegłych szczurach... – szepcze Fangfang. – Ale rozum mi podpowiada, że to niemożliwe. Przecież zrobiliśmy z Liz obliczenia, przypomnij sobie, dziura jest za mała, żeby spowodować rozhermetyzowanie bazy, roboty migiem ją załatały. W czasie Wielkiej Burzy musiało się zdarzyć coś innego... coś, czego się jeszcze nie domyślamy... coś, co być może mogłoby się powtórzyć w czasie burzy w 578 solu.

Kelly przewraca oczami, jak sędzę bardziej z żalu, niż z irytacji.

– Nic z tego nie rozumiem – wzdycha. – Myślałam, że mamy przed sobą jeszcze dwadzieścia jeden miesięcy, a tu nagle okazuje się, że tylko jedenaście dni...

– Posłuchaj, Kelly – wtrąca Marcus. – Co do szczurów, wiem tyle samo, co pozostali, ale mogę ci wyjaśnić, o co chodzi z tą pogodą. Widzisz, potwór, jakim jest Wielka Burza Piaskowa, która co roku szaleje na Marsie i może w kilka soli przesłonić pyłem całą planetę, czasem pozostawia po sobie małe tornada, które się za nią ciągną... – Włącza swój tablet i z wprawą wstukuje kilka linijek tekstu.

Nie próbuję zobaczyć komend, które wpisuje. Patrzę tylko na jego skupioną

twarz, rozjaśnioną blaskiem bijącym z ekranu. Na grube, lekko zmarszczone brwi, wysokie inteligentne czoło, prosty nos, srebrne oczy, w których odbijają się linie kodu. Marcus. Mój Marcus. Wydaje się taki silny, ale w środku jest delikatny, a ja jestem jedyną osobą na świecie, która o tym wie.

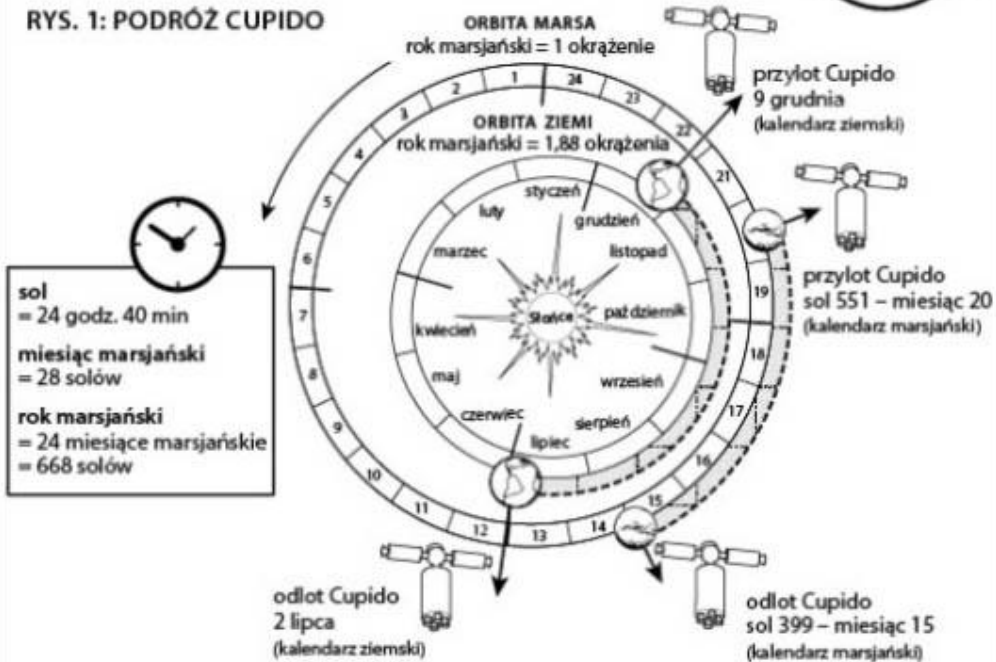
– Popatrzcie – mówi po kilku chwilach, odwracając ku nam swój tablet, na którym pokazują się dwa diagramy. To obroty Ziemi i Marsa przedstawione w tej samej płaszczyźnie. – Na pierwszym rysunku możecie zobaczyć pięć miesięcy lotu Cupido; wystartował 2 lipca i doleciał do celu 9 grudnia według kalendarza ziemskiego, co odpowiada wylotowi w 399 solu i przylocowi w 551 według kalendarza marsjańskiego.

KALENDARZ MARSJAŃSKI /

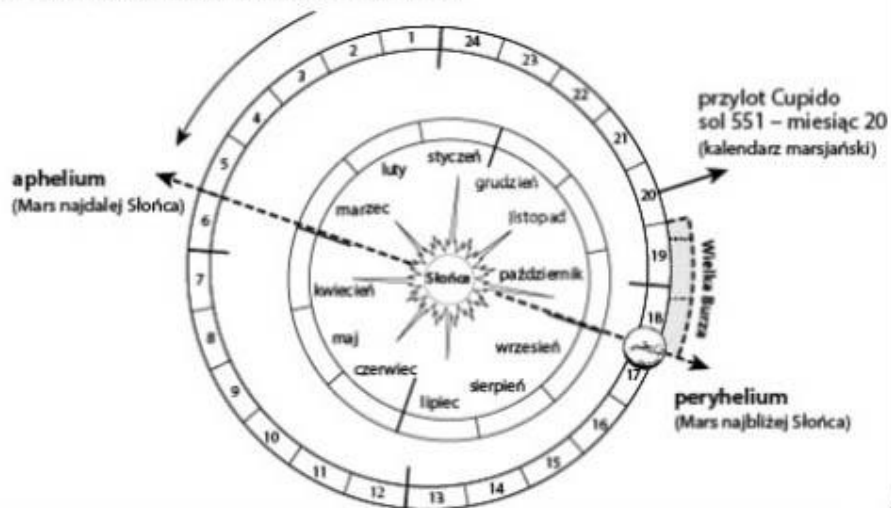
i odpowiadający mu kalendarz ziemski



RYS. 1: PODRÓŻ CUPIDO



RYS. 2: OSTATNIA WIELKA BURZA PIASKOWA



Wszyscy przysuwamy się do ekranu. Zabawnie jest słuchać wyjaśnień Marcusa; w czasie podróży to Fangfang odkrywała przed nami, dziewczynami, tajemnice kosmosu i naszego nowego świata. Marcusa też zawsze pasjonował wszechświat. Jednak nie zakochał się w nim, pochłaniając książki, ale oglądając gwiazdy każdej nocy przed zaśnięciem. Wyobrażam sobie wszystkie te noce, odkąd zdiagnozowano u niego mutację D66, które spędzał, wpatrując się w konstelacje... Lata błąkania się po amerykańskich drogach, lata, które tak bardzo chciałabym spędzić u jego boku. Kiedy on zastanawiał się nad sensem swojego istnienia pod niebem pełnym gwiazd, ja mieszałam psią karmę pod dachem fabryki. Stracone lata, których nigdy nie odzyskamy. Ale to już nieważne. Zrobię wszystko, by każdy dzień, który spędzę u boku Marcusa, był intensywny jak cały rok.

Delikatnie biorę go za rękę, ponieważ mam ogromną ochotę go dotknąć, tu i teraz, poczuć jego skórę. A także dlatego, że wydaje mi się, że jak długo go trzymam, śmierć nie ma do niego dostępu. Na chwilę odwraca wzrok od tabletu; półuśmiech rozjaśnia jego poważną twarz.

– W porządku, Léo? – pyta z czułością. – Chciałabyś, żebym coś powtórzył?

– Nie, mów dalej, proszę.

Kiwa głową i kontynuuje swoje wyjaśnienia.

– Na drugim rysunku przedstawiłem dwie ekstremalne pozycje Marsa względem Słońca. Wylądowaliśmy dwa miesiące po peryhelium, czyli momencie, gdy Mars znajdował się najbliżej Słońca i kiedy miała miejsce ostatnia Wielka Burza. Dzisiaj, w 21 miesiącu, zmierzamy ku końcowi marsjańskiego lata. Choć większość zawirowań pogodowych już się skończyła, powietrze wciąż jest bardzo ciepłe jak na marsjańskie standardy. To tu, to tam, na południowej półkuli z powierzchni planety podnoszą się cząsteczki pyłu i piasku, tworząc tzw. *dust devils*, czyli wiry pyłowe. Wiele takich wirów zbiera się właśnie teraz na Solis Planum, rozległym płaskowyżu rozciągającym się na południe od Valles Marineris. Za jedenaście dni, około 578 sol, utworzą nową burzę. Ale najprawdopodobniej będzie to tylko krótki spóźniony akord, najmłodsze dziecko z rodziny burz, zamykające orszak...

Po słowach Marcusa następuje cisza.

Daremnie próbował umniejszyć czekającą nas przeprawę, nasz lęk zdaje się wręcz namacalny. Mrozi krew w żyłach.

– Co zrobimy? – szepcze Liz. – Za dwa tygodnie... Nie wiadomo, czy trzeba się bać tej małej burzy, czy nie... Nic nie wiadomo...

– Podejmiemy wszystkie niezbędne działania – odpowiada Marcus, nie tracąc zimnej krwi. – Baza powinna być odporna na tego typu zjawiska pogodowe, ale i tak dodatkowo ją umocnimy, jak się tylko da. Wytropimy wszystkie słabe punkty, by je zabezpieczyć. Wcześniej przygotowujemy i zgromadzimy pożywienie. Przykryjemy plantacje plandekami, by je chronić na wypadek wstrząsów.

Oślonimy też pokrowcami stojące na zewnątrz łaziki, by nie zostały porysowane. Przygotujemy schron, byśmy wszyscy dwanaścioro się w nim zmieścili. Włączymy w Nowym Edenie tryb minimalnego zużycia energii, kiedy Słońce będzie zbyt przesłonięte chmurą pyłu, by uaktywnić panele słoneczne. To właśnie zrobimy.

Na twarzy Liz maluje się nieśmiały uśmiech.

– Dobrze powiedziane, Marco! – wykrzykuje Samson, klepiąc go po ramieniu.

– Tak jest! – potwierdza Kelly. – To mi się podoba, konkretny plan działania, zamiast bujania w obłokach i zagmatwanych wykresów!

Krótko mówiąc, Marcusowi udało się rozwiać wątpliwości i zmobilizować grupę. Jeśli o mnie chodzi, mam ochotę rzucić mu się na szyję i go pocałować. Jednakże w tej samej chwili, nie wiadomo skąd, rozbrzmiewa głos Sereny McBee:

– *Halo, czy mnie słyszycie?*

Odruchowo odwracam się w stronę ściennego ekranu, który rozbiłam w drobny mak przed dwoma tygodniami.

– Pokój *master* – wyjaśnia Fangfang. – Serena mówi do nas z ekranu w pokoju *master*. To tam przekazała nam prognozę pogody.

Kierujemy się do pokoju, którego nazwa zupełnie do niego nie pasuje, patrząc na jego małe wymiary. Jest tej samej wielkości, co sypialnia, którą dzielimy z Marcusem w naszym module.

Rzeczywiście, twarz Sereny wyświetla się na malutkim ekranie wiszącym nad podwójnym łóżkiem: jak zawsze idealnie umalowana i uczesana, z dala od burz, które mogłyby zniszczyć jej fryzurę.

– *Marcusie i Fangfang, czy poinformowaliście już pozostałych?* – pyta. – *Gdy tylko nasze służby meteorologiczne zauważyły wiry pyłowe formujące się w okolicy Ius Chasma, czułam się w obowiązku uprzedzić o tym waszych specjalistów w dziedzinie planetologii. Zobowiązanie przejrzystości, prawda?* – Jak zwykle robi wszystko, by nas przekonać, że gra w tej samej drużynie. – *Tutaj, na przykładu Canaveral, na bieżąco śledzimy zmiany pogodowe* – mówi. – *I będziemy was o nich informować, tak samo jak i widzów. Cała Ziemia was wspiera. Jeśli będziemy trzymać się razem, jestem pewna, że uda nam się przetrwać ten trudny czas!*

– Nie próbuj nam wmówić, że nasz los cię obchodzi – wybucham, nie wytrzymując. – Dobrze wiemy, że robisz to wszystko tylko po to, by Andrew i Harmony nie zaczęli mówić, więc proszę cię, oszczędź nam tego fałszywego i trudnego do zniesienia ducha drużyny.

Stojąca za mną Kelly chrząka.

– W porządku, Léo, wiemy to wszystko – mówi. – Nie musisz o tym przypominać za każdym razem, kiedy Serena otworzy usta. Ale prawdą jest też, że przesunęła ceremonię ślubną, kiedy ją o to poprosiliśmy, a teraz najwyraźniej

próbuje nam pomóc, nieważne, jakie są jej powody. Wypełnia swoje zobowiązanie wspierania nas. Wykonuje tylko swój obowiązek. A dziś jest... Boże Narodzenie. Skończmy więc już z tym i chodźmy wydrukować ostatnie prezenty.

Własnym uszom nie wierzę. Kelly, ta sama Kelly, która jeszcze niedawno wyzywała Serenę od zdzir i porąbanych świrusek, teraz stwierdza, że ona tylko wykonuje swoje obowiązki? Jestem zbyt zszokowana, by odpowiedzieć. I zbyt zaskoczona dezaprobatą, jaka maluje się na twarzach Liz i Samsona; oni też woleliby, żebym już zamilkła, czuję to.

– Daj spokój, Léo – mówi łagodnie Samson. – Wszyscy wiemy, że Serena ma interes w tym, by nam pomagać i współpracować, a więc pozwólmy jej wykonywać swoją robotę, oczywiście mając ją cały czas na oku.

Liz przytakuje. Widzę, jak bardzo jest zmęczona ciągłą nieufnością względem Sereny, jak bardzo chciałaby choć ten jeden raz móc uznać ją za sojuszniczkę. Z nieprzeniknionych oczu Kenjiego nie potrafię nic wyczytać. A w spojrzeniu Marcusa dostrzegam bezgraniczną miłość, która pozwala mi przewyciężyć frustrację i wziąć się w garść.

– Niech wam będzie – ustępuję w końcu niechętnie. – Powiedzmy, że ta mała burza będzie testem naszej współpracy z Sereną McBee.

Twarz producentki wykonawczej na ekranie zdaje się skamieniała w uśmiechu. Zapewne, słysząc te pochwały, nie posiada się z radości, ale na zewnątrz nie daje niczego po sobie poznać.

POZA PLANEM

**Hotel California, Dolina Śmierci,
poniedziałek 31 grudnia, godz. 23.45**

Restauracja Hotelu California jest zaskakująco zatłoczona jak na zimową noc. Jednak nie jest to zwyczajna noc. To noc sylwestrowa. Jakieś pół tuzina stolików jest zajętych przez pary lub rodziny, które korzystając z kilkudniowego urlopu między świętami Bożego Narodzenia a Nowym Rokiem, wybrały się na wycieczkę do Doliny Śmierci. Lokal został przystrojony tak, jak na to pozwalały skromne środki właściciela, kilkoma girlandami i bukietami suszonych kwiatów.

Kończy się kolacja.

Cindy w fartuszkach, do którego przypięła czarną wstążkę na znak pamięci, krząta się między stolikami, zbierając resztki indyka, by podać deser – sernik polany sosem malinowym.

– Chcę iść spać! – Mały chłopiec siedzący z rodzicami w głębi restauracji ziewa.

– Poczekaj jeszcze kilka minut, kochanie – prosi matka, głaszcząc syna po włosach. – Już prawie północ. Byłoby szkoda się położyć i nie przywitać Nowego Roku, prawda?

– Mówisz tak, bo chcesz, żeby tata cię pocałował, jak w ubiegłym roku i dwa lata temu.

Mama rumieni się lekko, podczas gdy ojciec patrzy na syna z dumą.

– Nasz mały jest bardzo spostrzegawczy! Wiesz, Johnny, pocałowanie ukochanej o północy w Nowy Rok przynosi szczęście. Ty też będziesz tak kiedyś robił ze swoją dziewczyną.

– Faj! Nigdy w życiu!

Cindy stawia przed chłopcem kawałek ciasta, co natychmiast go rozwesela.

– Nigdy nie mów nigdy – zwraca się do niego z szerokim uśmiechem, który sprawia, że warzy się jej podkład i w kącikach ust i oczu pojawiają się bruzdy – to był długi dzień, a ona jest zmęczona. – Co powiedziałbyś na podwójny deser w nagrodę za to, że poczekasz?

– Taaak! – wykrzykuje chłopiec, po czym od razu przypomina sobie o dobrych manierach i się poprawia: – Tak... poproszę.

Cindy odwraca się i kieruje w stronę baru, na którym pod szklanym kloszem czeka reszta ciasta. Pan Bill siedzi tam wiernie na swym posterunku, niczym stary kapitan z za steru obserwujący pokład.

– Szesnastu gości i sześć pokoi! – mówi podekscytowany, zacierając ręce. – Pobiliśmy nasz własny rekord, Cindy! Być może to znak, że nowy rok będzie lepszy dla naszego biznesu niż ten, który się kończy. A więc bądźmy optymistami i wierzy w naszą szczęśliwą gwiazdę!

Cindy wzdycha, podnosząc klosz i chwytając łyżeczkę do ciasta.

– Moja szczęśliwa gwiazda... Nie wiem, w którym zakątku nieba się skryła – wzdycha.

– Co mówisz, złotko?

Cindy wskazuje salę końcem swojej łyżeczki.

– Kiedy widzę te wszystkie zakochane pary, te szczęśliwe rodziny, to łapie mnie chandra, panie Billu... To mi przypomina, że mam czterdzieści lat i że pozwoliłam, by życie przeciekło mi między palcami.

– Ależ nie, moja droga! – zapewnia starszek. – Wcale nie pozwoliłaś, by cokolwiek przeciekło ci między palcami! Po pierwsze, bez twojej pomocy nigdy nie poradziłbym sobie z prowadzeniem hotelu. Zostawię ci go, kiedy przejdę na emeryturę. Nie mam dzieci, którym mógłbym go przekazać. Sprzedasz go albo będziesz dalej prowadzić, jak zechcesz. Jesteś jeszcze młoda Cindy, całe życie przed tobą!

Kelnerka kładzie kawałek sernika na talerzyku, jej dłoń lekko drży ze wzruszenia i duży biały kawałek przewraca się na bok.

– Jest pan dla mnie taki miły, panie Billu. Zawsze pan był...

– Ale?...

– Nie ma żadnego ale – mówi Cindy, wycierając ręce w fartuszek.

Pan Bill kręci głową ze zrozumieniem.

– Moja droga, myślisz, że skoro jestem starcem, to nie widzę, że jesteś zakochana? Od razu zauważyłem, że coś się zmieniło, kiedy wróciłaś z ceremonii zaślubin na przylądku Canaveral. Promieniałaś światłem, które wciąż jaśniało... aż do dziś, gdy nagle zgasło. Co się stało? Nikomu nie pozwolę przyprawiać ci zmartwień!

Cindy podnosi wreszcie głowę, odsuwając na bok opadające na czoło rude kosmyki, by spojrzeć w twarz swemu pracodawcy. Jego spojrzenie jest pełne życzliwości i zrozumienia.

– Och, myślę, że sama przyprawiłam sobie zmartwień, panie Billu – odpowiada. – Wyobrażałam sobie nie wiadomo co, po tym jak spotkałam tego mężczyznę podczas ceremonii. Tam panowała taka niezwykła atmosfera, z tą muzyką, światłami, emocjami... Daliśmy się ponieść magii programu Genesis i wszystko wydawało się możliwe. Opowiedział mi trochę o swoim życiu i pracy w bazie wojskowej w Connecticut, tam na północy, gdzie zimą panuje taki mróz, a ja opowiedziałam mu o moim życiu tutaj, gdzie często jest tak gorąco. Odkąd wróciłam, pozostawaliśmy w kontakcie. Codziennie wysyłał mi wiadomość. Ale od

trzech dni żadnej nie dostałam. Pewnie w końcu dał sobie spokój. Co z oczu, to z serca.

– Nie mów tak...

Cindy znów wzdycha ciężko, chwytając dzbanuszek z sosem malinowym, którym obficie polewa kawałek sernika. Następnie odrywa spojrzenie od ciasta, by przenieść je na duży telewizor o wyblakłych kolorach stojący na ladzie. Na ekranie wyświetlają się obrazy z kanału Genesis, dźwięk jest wyciszony. Zegar w rogu informuje: GODZ. 6.55 CZASU MARSJAŃSKIEGO. Przed oczami widzów przebiegają kolejne ujęcia z pograżonej w półmroku bazy. Wszędzie panuje całkowity bezruch, z wyjątkiem ogrodu. Tam, pod wielką szklaną kopułą, której kontury rysują się niewyraźnie w bladym świetle nocnych lampek kontrolnych, poruszają się trzy napęczniałe sylwetki. Dwie pierwsze to trzymający dziś nocną straż Samson i Safia w swoich obszernych skafandrach ciśnieniowych i błyszczących hełmach; trzecia sylwetka to Warden. Pies, także wciśnięty w szyty na miarę skafander, goni za Frisbee, które rzucają sobie astronauty. Czasami skacze do góry, próbując je złapać, ale jego mały hełm działa jak kaganiec, uniemożliwiając mu chwycenie czegokolwiek w zęby. Biega więc tylko tam i z powrotem, merdając ogonem w skafandrze. Widok tej cichej gry w środku zatopionej w półmroku szklarni, w tej bazie pograżonej we śnie, naprawdę chwyta za gardło.

– Oby tylko ta burza, którą zapowiedzieli na kanale, nie była zbyt gwałtowna – szepcze Cindy.

– Nie martw się, baza została zaprojektowana tak, by oprzeć się podobnym zjawiskom atmosferycznym – uspokaja ją szef. – Ta burza to drobnostka.

– Mam nadzieję, że ma pan rację, panie Billu. Pan nie ma dzieci, ja też nie, a teraz muszę się pogodzić z tym, że nigdy nie będę ich miała. Ale to nic, ponieważ ci dwanaścioro, którzy sprawili, że znów zaczęłam marzyć, do których się tak bardzo przywiązałam, są dla mnie jak moje własne dzieci.

Na myśl o marsjańskich osadnikach Cindy odzyskuje uśmiech, który nie jest udawany, lecz naprawdę pochodzi z głębi serca.

– O tak! – wykrzykuje pan Bill. – Tak lepiej! Twoje światło znów rozblysło!

– A więc postaram się, żeby tak już zostało. Wyjdę na papierosa, żeby nie widzieć, jak za dwie minuty te wszystkie pary będą się tu całować.

Cindy bierze talerzyk i przechodzi przez salę aż do chłopca, który przyjmuje dokładkę deseru, radośnie klaszcząc w dłonie, po czym popycha drzwi i wychodzi w ciemną noc.

Idzie kilka kroków od restauracji, wyciąga paczkę papierosów z kieszeni fartuszka, wyjmuje jednego i wkłada w swe wymalowane usta. Trzask zapalniczki na chwilę przerywa ciszę, przez krótki moment, kiedy kelnerka zaciąga się pierwszy raz, koniuszek papierosa jarzy się czerwonym blaskiem, po czym

znów wszystko spowija noc. Cindy patrzy w górę na niebo, na którym chmury mieszają się z gwiazdami, a widoku nie przyćmiewają żadne miejskie latarnie.

– Moja szczęśliwa gwiazdo... – szepcze, wypuszczając małą chmurę dymu.
– Jeśli naprawdę istniejesz, to gdzie się podziałas? Z pewnością skryłas się za chmurami...

Nagle jakiś niewielki hałas odrywa Cindy od jej rozmyślań.

Dźwięk dochodzi z maleńkiej stacji benzynowej stojącej pięćdziesiąt metrów od hotelu, z dwoma dystrybutorami benzyny i niewielkim sklepem samoobsługowym. Cindy marszczy brwi: wydaje się, że coś się poruszało w cieniu... Kojot buszujący w śmietniku...? Kobieta podchodzi bliżej, gotowa krzyknąć i klaskać w dłonie, by odstraszyć zwierzę, jak to zwykle robiła w takich sytuacjach. Kojotów boją się tylko turyści, nie ona. Ale zatrzymuje się w ostatniej chwili z papierosem w kąciku ust.

Ze sklepu nie wychodzi kojot, tylko człowiek, z rękami pełnymi żywności. Nagle Cindy zupełnie nie wie, co robić – zamilknąć, zawołać pomoc, zagrozić mu niskim głosem? Nim zdąży podjąć decyzję, zza chmur wyłania się księżyc, oblewając stację benzynową srebrnym blaskiem. Włamywacz natychmiast nieruchomieje. Zobaczył Cindy. Wie, że ona też go widzi. Kelnerka wypuszcza papierosa z ust i wydaje z siebie stłumiony krzyk – zauważyła kolbę pistoletu błyszczącą w kieszeni spodni mężczyzny. Ale czy to naprawdę mężczyzna? Wygląda raczej na chłopca, który dopiero co przeszedł dojrzewanie... Te zaczesane na bok brązowe włosy... Te okulary w czarnych oprawkach... To przeszywające spojrzenie...

– Ja... ja cię znam – jąka Cindy drżącym głosem. – Nocowałeś u nas w Hotelu California w lipcu. Szukałeś ducha, tak mi wtedy powiedziałeś.

Kilka sekund upływa w ciszy.

Chłopak zamarł jak zwierzę na czatach. Mógłby w każdej chwili wypuścić swój łup, wyjąć rewolwer i zastrzelić tę, która go przyłapała.

Jednak on tylko szepcze:

– Zostawiłem pieniądze na ladzie. Dokładnie tyle, ile trzeba. Nie jestem złodziejem. W sumie jestem nikim... ja też stałem się duchem, nierealnym, ulotnym cieniem. Pamięta pani, co mi powiedziała zeszłego lata? Że żywi tracą czas na szukanie duchów, a tutaj, w Dolinie Śmierci słychać tylko szum wiatru...

– ... i grzechotniki – kończy Cindy, powtarzając słowa, które wypowiedziała sześć miesięcy wcześniej.

Chłopak przytakuje.

– Nie widziała mnie pani, prawda? – pyta.

Teraz Cindy powoli kiwa głową.

– Nie widziałam kogo? – mówi nagle całkiem spokojnym głosem. – Jest tu tylko pusta stacja benzynowa i ciemności nocy w dolinie.

Na twarzy chłopca maluje się pełen wdzięczności uśmiech. Potem księżyc znów chowa się za chmurami, a młody człowiek bezszelestnie znika w mroku.

PLAN

**21 miesiąc / 573 sol / godz. 9.12 czasu marsjańskiego
[23 sol od lądowania]**

– *Nasze służby meteorologiczne potwierdziły prognozowaną datę przejścia ostatniej letniej burzy w okolicach bazy Nowy Eden. Wedle obliczeń nastąpi to 578 sola, najprawdopodobniej z samego rana i potrwa kilka godzin. W tej chwili burza wciąż jeszcze się formuje kilkaset kilometrów na południe od bazy na płaskowyżu Solis Planum. Widzicie ją właśnie na ekranie...*

Twarz Sereny znika ze ściany kopuły, ustępując miejsca mapie Marsa, jak co rano, kiedy przedstawia nam swój raport pogodowy, na żywo w ogrodzie.

Jednak dziś coś się zmieniło. Dziś jest inaczej, małe czarne węże, które obserwujemy od wielu dni zaczęły się łączyć, mieszać, szczepiać ze sobą.

– *Widzom, którzy właśnie do nas dołączyli, przypominam, że czarne ślady na Solis Planum to w rzeczywistości cienie* – komentuje Serena z offu.

Pod mapą na ekranie pojawiają się dwa nowe okna w zbliżeniu.

– *Na pierwszej ilustracji widzicie wir pyłowy z poziomu ziemi* – ciągnie Serena. – *Niezwykłe piękne zjawisko, nieprawdaż? Zwłaszcza że te tornada mogą osiągać wysokość aż dwunastu kilometrów! To prawdziwe cuda natury! I właśnie dlatego, że są bardzo wysokie, rzucają takie długie cienie. Możemy śledzić je przez nasze teleskopy, jak widzicie na drugim obrazku.*

Serena przedstawia sytuację z entuzjazmem godnym reporterki kanału Discovery, lecz te prawdziwe cuda natury mrożą mi krew w żyłach. Dwanaście kilometrów wysokości... Na mapie te małe węże wydają się zupełnie nieszkodliwe... I są ich dziesiątki, podążających w kierunku krawędzi kanionu, ku nam...

– *Najpiękniejszy cud natury trzymam właśnie w ramionach* – Marcus szepcze mi do ucha.

Stoi za mną, obejmując mnie rękami w talii i opierając delikatnie brodę na mojej głowie. I od razu przestaje mi być zimno.

– *To wszystko robi ogromne wrażenie, przyznaję* – stwierdza Serena, a jej twarz znów pojawia się na ekranie. – *Jednak, moi drodzy widzowie, nie ma powodu do niepokoju, baza Nowy Eden została tak zaprojektowana, by oprzeć się podobnym zjawiskom atmosferycznym, a osadnicy są przeszkoleni i wiedzą, jak sobie poradzić w podobnych sytuacjach. Za pięć soli, kiedy w Nowy Eden uderzy burza, nie zdarzy się nic złego. Tymczasem jutro znów się spotkamy i przedstawię*

wam najnowsza prognozę pogody. I jeszcze raz w tym pierwszym dniu stycznia życzę wam wspaniałego roku!

Twarz Sereny znika, a za szklaną ścianą kopuły znów pojawia się czerwony pejzaż doliny Ius Chasma.

– Ojej! Ja zaczynam ten nowy rok po prostu fantastycznie – mówi Kelly, pocierając czoło. – Czuję, że to będzie ciężki dzień. Głowa mi pęka!

– Wypiłaś wczoraj za dużo szampana? – martwi się Safia.

Kelly chichocze ochryple.

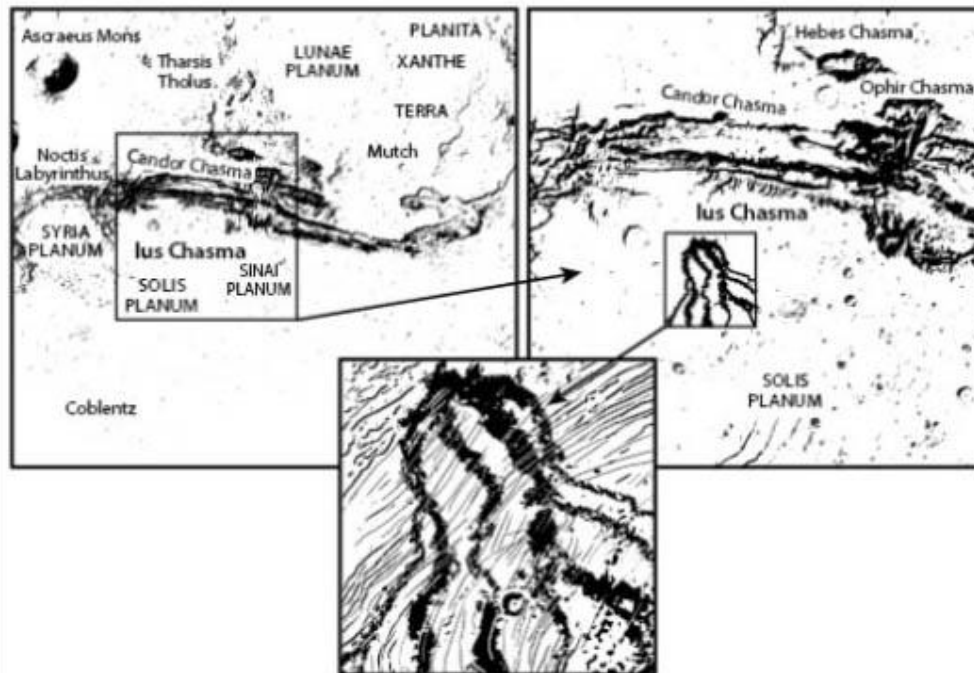
– Och, panienko, sądzisz, że jedna butelka na dwanaście osób mogła wywołać u mnie kaca? Mam bardzo mocną głowę! To nie ma nic wspólnego z szampanem. Chodzi o to, że Kot ma taki... jak to ująć... niespokojny sen.

RAPORT METEOROLOGICZNY /

prognozowana burza w 578 solu



Mapa pogody, region Solis Planum

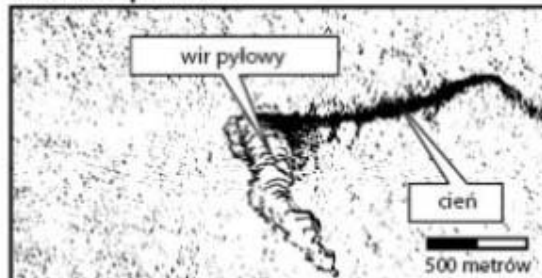


WIR PYŁOWY

1. Widok z ziemi



2. Widok z powietrza



Rzeczywiście, Japończyk wygląda dziś na jeszcze bardziej zmęczonego niż zwykle, ma wielkie cienie pod oczami.

– Zdaje się, że zatyczki do uszu nie działają... – zauważam, myśląc o sześciu małych stożkach z gąbczastego materiału, które wyszły w zeszłym tygodniu z drukarki 3D. – Wciąż sypiasz w skafandrze, Kenji?

W oczach widzów jego zachowanie zakrawa zapewne na kompletne szaleństwo chorego psychicznie. Ale dla mnie, lekarki, czy raczej prawie lekarki, to nie zdrowie psychiczne Kenjiego jest niepokojące, lecz jego stan fizyczny, po tych wszystkich nieprzespanych nocach.

– Tak – odpowiada, unikając mojego spojrzenia.

– Naprawdę kiepsko wyglądasz, wiesz? Jeśli nie chcesz zdejmować hełmu na noc, to może przynajmniej spróbujesz spać trochę w dzień, kiedy wszyscy pracujemy w bazie. Jedenaścioro czuwających na ciebie jednego, ewentualny wypadek nie mógłby pozostać niezauważony! Mogę ci oddać do dyspozycji łóżko w ambulatorium, jeśli wolałbyś spać w schronie.

Kenji w końcu spogląda na mnie spod oka, jak to ma w zwyczaju.

– Dziękuję, to bardzo miłe z twojej strony – mówi z bladym uśmiechem. – Ale to niczego nie zmieni. To nie skafander czy hełm przeszkadzają mi spać... tylko koszmary.

– Koszmary... – wtrąca się Aleksiej. – Dorośnij, człowieku! Nie masz już pięciu lat! Pod twoim łóżkiem nie czyha żaden potwór, który wyskoczy i cię pożre, kiedy tylko zapadnie zmrok!

Cały Aleks... Być może jako lekarz potrafi zachować zimną krew, ale nie ma żadnego pojęcia o psychologii. Ja doskonale rozumiem, co znaczą powracające koszmary. Wiem, że nie trzeba być pięciolatkiem, by budzić się w środku nocy zlanym zimnym potem, z sercem walącym w piersi i przekonaniem, że śmierć była o włos. A w każdym razie wiedziałam to wszystko jeszcze niedawno. Od kiedy zasypiam w objęciach Marcusa, moje złe sny niemal zupełnie zniknęły.

– Gdybyś miał takie koszmary jak ja, to gwarantuję ci, że narobiłbyś ze strachu w piżamę... – szepcze Kenji, rzucając Aleksiejowi gniewne spojrzenie.

– Co? Co powiedziałeś?

– Powiedziałem, że nasikałbyś do łóżka jak dzieciak!

Kenji jest naprawdę dziwny. Jest o wiele drobniejszy od Aleksieja, ale odpowiada mu głosem, w którym nie słychać najmniejszego drżenia. Uważam, że jak na kogoś ze zdiagnozowaną fobią bardzo często wykazuje się niezwykle odwagą. Tak jakby tylko niektóre rzeczy go przerażały, a inne ani trochę.

– Lepiej mnie nie prowokuj, chuderlaku, bo mogę kiedyś nie wytrzymać – ostrzega Rosjanin.

– Mogę ci powiedzieć to samo. A gdybyś mnie sprowokował, mógłbyś się bardzo zdziwić.

Chłopcy przez dłuższą chwilę mierzą się wzrokiem, tym razem spojrzenie Kenjiego w ogóle nie ucieka.

Czuję, że stojąca obok mnie Kris drży, gotowa w każdej chwili interweniować, by uspokoić wojownicze zapędy swego dzielnego Słowianina. Aleksiej odpowiada natychmiast.

– Jesteś odważny jak na cierpiącego na bezsenność gota! – wykrzykuje, wybuchając śmiechem. – Uspokaja mnie to, że w twoich żyłach płynie prawdziwa krew, nie woda!

Uderza pięścią w ramię Kenjiego – to jego słynny gest oznaczający przyjaźń. Można by przypuszczać, że Japończyk zachwieje się pod wpływem tak mocnego ciosu, on jednak siedzi nieporuszony niczym skała, a Aleksiej krzywi się z bólu, masując dłoń.

– A do tego silny! – dodaje. – Prawdziwy mnich z Shaolin. No dalej, stary, możesz spokojnie zostawić te wszystkie skafandry i ochronne kaptury, jesteś o wiele wytrzymalszy, niż wyglądasz. Czekać, wszyscy wypijemy za twoje zdrowie przed pójściem do pracy. Ja stawiam!

Pstryka palcami i wydaje z siebie głośny gwizd, po czym woła:

– Hej, kupo złomu! Przynieś butelkę soku jabłkowego z lodówki w mojej kuchni!

Robot w muszce, który towarzyszy swoim właścicielom tak samo wiernie jak Louve, obraca się na swych kołach. Oddala się cicho w stronę segmentu łączącego, prowadzącego do Gniazda Kris i Aleksieja.

– Günter jest obrażony – protestuje Kris. – Nie lubi, kiedy nazywasz go „kupą złomu”.

– Przepraszam, aniele. Tak mi się wyrwało. Ale mówiąc między nami, myślę, że ta maszyna ma w nosie, jak ją nazywamy. Wiem, że wołałabyś, by było inaczej, ale nie uważam tego robota za nasze dziecko i nigdy nie będę.

Kris nic nie odpowiada, ale ja, która znam ją tak dobrze, jestem pewna, że czuje się naprawdę zraniona.

KONTRPLAN

**Biały Dom, Waszyngton DC,
sobota 6 stycznia, godz. 11.30**

– Kongres podliczył głosy elektorów i ogłoszono wynik! – wykrzykuje dziennikarz z mikrofonem w dłoni, stojący przed białą kopułą Kapitolu. – Możemy już oficjalnie potwierdzić: Edmond Green został ponownie wybrany na stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych, wiceprezydentem zostaje Serena McBee!

Wybuch radości i gromkie brawa zagłuszają dalsze słowa płynące z telewizora wiszącego na ścianie w Gabinetce Owalnym w Białym Domu: w słynnym gabinecie prezydenta. Ten legendarny pokój, w którym wielokrotnie decydowały się losy świata, dzisiaj pęka w szwach. Świeżo wybrany prezydent oczywiście też tu jest, siedzi uśmiechnięty przy swoim biurku w garniturze i zielonym krawacie. Otaczają go najbliżsi współpracownicy i najważniejsze osoby z jego sztabu wyborczego. Zgromadzeni unoszą w dłoniach kieliszki wypełnione zielonym musującym płynem – to szampan, do którego dodano syropu miętowego, by trunek przybrał barwy partii ultraliberalnej.

– Dziękuję, dziękuję, drodzy przyjaciele! – mówi Edmond Green, także biorąc kieliszek tego oryginalnego napoju. – Szczególnie dziękuję tobie, Sereno, ponieważ bez ciebie to wszystko nie byłoby możliwe!

Unosi kieliszek w kierunku nowej pani wiceprezydent. O ile większość zebranych zadowolila się jakimś drobnym zielonym akcentem, by zaznaczyć swą przynależność do partii ultraliberalnej, ona wykazała niezwykłą wręcz gorliwość, oblekając się w zieleń od stóp do głów – ma na sobie zielony kostium, zielone szpilki, w jej uszach lśnią zielone kolczyki, a na paznokciach zielony lakier. Jedyne trzy elementy jej wizerunku są innego koloru: srebrzyste włosy, srebrna broszka-mikrofon w kształcie pszczoły i czarna wstążeczka, znak żałoby po ofiarach katastrofy nad Morzem Karaibskim.

– Czyż ona nie jest cudowna? – zachwyca się prezydent.

– Przestań, mój drogi Edmondzie, bo zaczerwienię się ze wstydu! – kokietuje Serena.

– Zaczerwienisz? Przy twoim oddaniu dla sprawy jestem przekonany, że się raczej zazielenisz. Jeszcze nikomu nie było tak bardzo do twarzy w zielonym!

– Nawet tobie, Edmondzie Greenie?

– Nawet mnie, ha, ha, ha, ha!

Wszyscy śmieją się wraz z prezydentem poza dwiema osobami.

Stojąca pośrodku Gabinetu Owального Serena McBee uśmiecha się tylko nieznacznie, wznosząc toast na cześć swego nowego szefa.

Oparty o ścianę, pośród ochroniarzy, agent Orion Seamus obserwuje panią wiceprezydent swym jedynym, błyszczącym okiem.

PLAN

**21 miesiąc / 577 sol / godz. 14.38 czasu marsjańskiego
[27 sol od lądowania]**

– Dalej chłopaki, jeszcze jedna i koniec! – mówi Aleksiej, ocierając pot z czoła.

Z pomocą Samsona i Marcusa chwyta plandekę, by przykryć nią ostatni nieosłonięty fragment plantacji owsa. Pozostałe uprawy są już zabezpieczone. Chłopcy ciężko pracowali przez cały ranek. Wszyscy trzej mają nagie torsy, błyszczące od potu – w górach od kombinezonów było im za gorąco w suchym powietrzu bazy. Widać, że Aleksiej spędził wiele czasu na siłowni w czasie lotu Cupido, no chyba że zawdzięcza swój wygląd genom, z których zdaje się tak dumny; rzeczywiście ma posturę atlety, jakby wyskoczył prosto ze stron magazynu kulturystycznego. Samson jest o wiele delikatniejszej budowy, ale ma w sobie naturalną elegancję i bije od niego ogromna siła, a przy każdym ruchu uwydatniają się mięśnie pracujące pod hebanową skórą. Pod względem budowy ciała Marcus sytuuje się pomiędzy nimi dwoma. Jest jednocześnie mocny i smukły, moim zdaniem jego ciało ma idealne proporcje. Tatuaze na jego skórze zdają się ożywać, czerpiąc życiową energię z jego ruchów. Paprocie słów wiją się, kolczaste gałęzie krzewów drżą, palmy kołyszą się za każdym razem, gdy wygina grzbiet, a potem wstaje, napinając mięśnie brzucha. Zapisuję to wszystko w pamięci, by dokładnie odtworzyć, kiedy siądę przy stoliku do rysowania. Miedzianoczerwone światło przenikające przez szyby kopuły, praca ciał, skupione twarze: to będzie pierwsza scena, jaką utrwalę na moich wielkich kartach papieru, które wyszły z drukarki 3D, kiedy już będzie po burzy. Po burzy... Według prognoz uderzy jutro o świcie.

Osłona plantacji to ostatni etap przygotowań, które zajmują nas od kilku dni. Nasi specjaliści od inżynierii, Tao i Liz, sprawdzili szczelność wszystkich śluz powietrznych i drzwi. Mozart i Kelly zajęli się przykryciem specjalną plandeką łazików, które w czasie burzy pozostaną na zewnątrz. Kenji i Safia wzięli na siebie przeprowadzenie niezbędnych testów, by się upewnić, że system łączności działa bez zarzutu, zwłaszcza łączność radiowa z Fobosem i satelity wspomagające. Kris z pomocą Fangfang spędziła całe godziny przy kuchni, przygotowując, a następnie zamrażając kilogramy swojej znakomitej zapiekanki. Ja wyposażylam schron w dodatkowe materace pożyczone z modułów mieszkalnych, na wypadek gdybyśmy musieli zostać w nim na dłużej.

W ostatnich dniach byliśmy stale zajęci i nie mieliśmy zbyt wiele czasu na

myślenie. Jednak teraz, kiedy przygotowania się kończą, ciągle kołacze w mojej głowie to dręczące pytanie bez odpowiedzi: przeciwko czemu właściwie się zabezpieczamy? Nadal tego nie wiemy. Nie mamy pojęcia, czy mająca nadejść jutro burza stanowi realne zagrożenie – a jeśli tak, na czym to zagrożenie polega.

– Gotowe! – wykrzykuje Aleksiej, ocierając spocone dłonie o dół kombinezonu. – Mamy wolne do jutra, chłopaki. Nie wiem jak wy, ale ja zamierzam spędzić ten wieczór z moją jedyną!

Schodzi po schodach z pierwszego tarasu i obejmuje Kris, która udaje, że się wrywa.

– Uważaj! Cały się lepisz!

Jednak wszyscy widzą, jaka jest zachwycona na samą myśl o tym, że resztę dnia spędzi ze swoim ukochanym. Moja droga Kris... Tak łatwo się gniewa, kiedy Aleksiej okazuje chorobliwą zazdrość albo obraża ich robota, i tak łatwo mu przebacza, kiedy bierze ją w ramiona. Ten chłopak ma na nią tak wielki wpływ: jedno jego słowo może ją zranić do głębi albo napełnić radością... Ale tak naprawdę, czy to samo nie dzieje się między mną a Marcusem? Czy właśnie tym jest miłość – zupełnym uzależnieniem od drugiej osoby, jak od narkotyku?

Kiedy zastanawiam się nad tym pytaniem, mój nałóg zmierza ku mnie, wpatrując się we mnie magnetycznymi szarymi oczami.

– Gdy jest się spoconym z wysiłku, trzeba się okryć, inaczej można się przeziębić – recytuję formułkę wyuczoną w trakcie zajęć z medycyny.

– Jasne, pani doktor! – odpowiada, obdarzając mnie swoim półuśmiechem. – Ale w tej chwili mam przede wszystkim ochotę na porządny prysznic. Mogę?

– Nie widzę przeciwwskazań...

– W takim razie zaczekaj tu na mnie. Będę z powrotem za kwadrans i pojedziemy na naszą przejażdżkę.

– Naszą przejażdżkę? – powtarzam, bo nie jestem pewna, czy dobrze zrozumiałam.

Marcus jest teraz bardzo blisko. Jego zapach, jeszcze silniejszy z powodu fizycznego wysiłku, obezwładnia mnie, ciepły, drzewny, zwierzęcy.

– Mija już miesiąc, odkąd jesteśmy na Marsie, a nasze dni były tak wypełnione, że nie mieliśmy ani chwili dla siebie – szepcze mi do ucha lekko zachrypniętym głosem. – Ale teraz, po raz pierwszy nie mamy zupełnie nic do roboty. Jak powiedział Aleksiej, mamy wolne do jutra. Zabieram cię na małą wycieczkę łazikiem.

Nim zdążę zaprotestować, odwraca się na pięcie i odchodzi do naszego modułu mieszkalnego.

Wycieczka łazikiem? Teraz, na kilka godzin przed burzą? To nierozsądne... To cudowny pomysł!

KONTRPLAN

**Biały Dom, Waszyngton DC,
sobota 6 stycznia, godz. 13.32**

– Jak się pani czuje, pani McBee?

Serena odwraca się od bufetu z talerzykiem, na którym leżą przegrzebki i nieco kawioru, by znaleźć się oko w oko z agentem Orionem Seamusem. Wszędzie dookoła w ogrodach Białego Domu słychać szum rozmów; po niekończących się toastach, gratulacjach i życzeniach najbliższa ochrona prezydenta rozeszła się, by coś przekąsić, mieszając się z tłumem darczyńców, którzy sfinansowali kampanię.

– Ależ, czuję się doskonale, Orionie. Pozwolisz, że będę się zwracała do ciebie po imieniu, a ty mów mi po prostu „Serenó”. Trudno nie czuć się wspaniale, kiedy zostało się wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych!

– Nie o tym mówię – odpowiada uprzejmie agent. – Myślałem raczej o burzy, która jutro rano uderzy w marsjańską bazę. Sądziłem, że martwi się pani o swoich podopiecznych, stąd moje pytanie o to, jak się pani czuje.

Dwoje rozmówców stoi przez chwilę nieruchomo twarzą w twarz – agent Seamus z jednym okiem skrytym za przepaską; nowa wiceprezydent zastygła z łyżeczką w koniuszkach palców.

– Nie ma powodu do niepokoju – odpowiada w końcu. – Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze. Baza Nowy Eden została zbudowana przez najtęższe umysły NASA, jeszcze zanim agencja została wykupiona. To nie pierwsza burza, która tamtędy przechodzi, baza przetrzymała o wiele silniejsze nawałnice. Nasze obiekty są niezawodne.

– Uspokoiła mnie pani – stwierdza obojętnie agent Seamus, a z jego twarzy ani na moment nie schodzi enigmatyczny uśmiech.

– Cieszę się – odpowiada Serena, przywołując na twarz równie zagadkowy uśmiech.

Delikatnie wsuwa łyżeczkę do ust i przeżuwa przekąskę, nie spuszczać wzroku z dziwnego pracownika CIA.

– Cieszę się z pani zwycięstwa w wyborach, Sereno – mówi wreszcie młody mężczyzna. – Jest pani przykładem dla wszystkich kobiet w tym kraju. I jestem bardzo szczęśliwy, że CIA przydzieliła mnie do pani ochrony. Zrobię wszystko, by pani pomóc, z niezachwianą lojalnością. Wierzę w panią i w pani przyszłość. Sądzę, że zajdzie pani daleko... – powtarza ostatnie słowo z naciskiem: – bardzo

daleko.

Serena McBee powoli kiwa głową.

– Orionie Seamusie... – szepcze. – Rzeczywiście inteligencji i pewności siebie masz aż nadto, nie wspominając o mrocznym uroku. Ile właściwie masz lat? Trzydzieści osiem? Trzydzieści dziewięć?

– Trzydzieści sześć.

– Trzydzieści sześć lat i już przydzielony do osobistej ochrony wiceprezydenta! Moje uznanie! Pozwól, że nakreślę twój portret psychologiczny. To moja specjalność... – Mierzy agenta z góry na dół, równie metodycznie jak android Oraculon, gdy kogoś skanuje, po czym bez wahania wydaje swoją opinię: – Jedynek. Rodzina z klasy średniej. Matka zajmująca się domem. Jest inteligentna i pomysłowa, ale poświęciła karierę, by zająć się mężem i synem. Od tego czasu stała się zgorzkniała, dlatego cenisz takie kobiety jak ja, które wybrały pracę. Ojciec, przedstawiciel handlowy. Nauczył cię, jak się wyróżniać, a także jak dopasować buty do paska przy spodniach i paska od zegarka, oczywiście marki Rolex, zapewne sprzedaje luksusowe samochody albo jachty. Jednak już od wczesnego dzieciństwa twoja ambicja wykracza daleko poza rodzicielskie przyzwolenie. Byłeś wzorowym uczniem i przeskoczyłeś kilka klas. To właśnie w ten sposób zdobyłeś to stanowisko, w twoim wieku, dziesięć lat wcześniej niż to zwykle bywa. Ach, i jeszcze, zapomniałabym, zatwardziały kawaler. Z pewnością nie jesteś w związku, bo za każdym razem, gdy cię widzę, nosisz identyczny strój. Jestem przekonana, że w twojej szafie wiszą rzędy czarnych garniturów, białych koszul i szarych krawatów, to najpewniejszy sposób, by nie popełnić odzieżowej gafy, gdy nie ma się obok kobiety, która doradziłaby ci rano, co powinieneś włożyć. Zostaje jedynie przepaska na oko, dla której nie znajduję wyjaśnienia, ale to tylko kwestia czasu, zapewniam cię.

Agent Seamus skłania głowę na znak podziwu.

– Imponujące, Sereno – stwierdza. – Gdyby miała pani kiedyś dość swojej nowej funkcji, radziłbym rozważenie kariery w wywiadzie. A skoro mówimy o pani nowej funkcji, właśnie... w czasie swojej kadencji jest pani zobowiązana mieszkać w pobliżu Białego Domu, a mówiąc dokładnie: w rezydencji na terenie Obserwatorium Marynarki Wojennej, która od dziesięcioleci jest oficjalną siedzibą wiceprezydentów. Czy jest pani pewna, że chce dalej prowadzić program Genesis?

– Ależ oczywiście! Już ci to przecież mówiłam. A prezydent Green także na to liczy, ponieważ, powiedzmy sobie szczerze, nowa popularność partii ultraliberalnej wiąże się bezpośrednio z moim zaangażowaniem na kanale Genesis. Już dziś po południu moja ekipa zainstaluje w rezydencji odpowiedni sprzęt audiowizualny, dzięki któremu będę mogła prowadzić *show* na odległość, tak jak to robiłam z mojej willi. Będiesz tak miły i wydasz im zezwolenie na wejście do Obserwatorium, prawda?

– Jak pani sobie życzy.

– Ach, nie zapomnij też informować mnie o każdej porze dnia i nocy, jeśli trafisz na ślad tego nieszczęśnika, Andrew Fishera.

– Oczywiście.

– Możesz przyprowadzić go prosto do mnie, nie musisz wzywać federalnych. W końcu, skoro ten młody człowiek chce porozmawiać ze mną na osobności, to nie musimy od razu poruszać nieba i ziemi.

– CIA zwykle nie informuje FBI o żadnych swoich ruchach i akcjach. A w tym przypadku będziemy szczególnie dyskretni. Jak pani mówi, to sprawa prywatna, której szczegółów ja i moi ludzie nie musimy znać. Będę wykonywać pani polecenia, to wszystko.

Uśmiech na twarzy Sereny rozkwita.

– Czuję, że będziemy się doskonale rozumieć, mój drogi Orionie – mówi. – I czuję, że ty także zajdziesz bardzo daleko.

Po czym sięga po krewetkę i połyka ją w całości.

PLAN

**21 miesiąc / 577 sol / godz. 16.35 czasu marsjańskiego
[27 sol od lądowania]**

– Naprawdę mam wrażenie, że jesteśmy sami na świecie... – mówię.

Za przednią szybą małego łazika rozciąga się pejzaż szerokiej doliny Ius Chasma, nieprzerwany ciąg czerwonych wydm, aż po horyzont. Wydłużone cienie kładą się za każdą skałą niczym plamy czarnego atramentu.

Marcus siedzi na środku, na miejscu kierowcy. Ja znajduję się po jego prawej stronie, a na lewym siedzeniu stoi koszyk z prowiantem – jabłka i truskawki z naszego osobistego przydziału i kilka przepysznych ciasteczek owsianych upieczonych i подарowanych nam przez Kris. Położyliśmy nasze hełmy na tylnej ławce; w kabinie ciśnieniowej łazika nie musimy ich zakładać.

– Twoje wrażenie jest bardzo bliskie prawdy – odpowiada Marcus. – Tutaj, na Marsie, jest nas tylko dwanaścioro na świecie.

– Plus wszyscy widzowie, którzy nas oglądają... – mówię, przypominając sobie nagle o kanale Genesis i kamerze wiszącej nad przednią szybą.

Przykładam czoło do grubego szkła, by się przyjrzeć płomienistemu niebu Marsa.

– Gdzieś tam jest Fobos i umieszczona na nim antena komunikacyjna, niewidoczna, a przechwytyjąca każde nasze słowo. W rzeczywistości to jest tak, jakby miliardy widzów były teraz z nami w łaziku.

– Czy oni naprawdę tu są? Nie wiem. Nie jestem tego taki pewien. Bo widzisz, oni nie przeżywają tego wszystkiego w tym samym czasie co my. Nasza teraźniejszość to ich przeszłość. A ich teraźniejszość to nasza przeszłość. W tej chwili wyprzedzamy ich o cztery i pół minuty, a przy coraz większym opóźnieniu w łączności przez następne tygodnie ta różnica będzie się jeszcze powiększać. – Podnosi głowę do kamery i puszcza do niej oko. – Dzień dobry, panie i panowie, tu Léo i Marcus, uciekinierzy z czwartego wymiaru. Złapcie nas, jeśli potraficie!

Uśmiecham się.

Uciekinierzy z czwartego wymiaru... to piękny obraz. Jak wiele podobnych, które często wychodzą z ust Marcusa. To także metafora, której widzowie nie są w stanie w pełni zrozumieć, nie odnosi się bowiem tylko do opóźnienia w łączności, oddalającego nas od Ziemi, ale także do czasu, który ja i on kradniemy chorobie, która pewnego dnia położy kres naszemu szczęściu...

– Pani doktor, czy mogę dostać jeszcze jedną truskawkę? – pyta Marcus.

Pochyłam się nad jego udami, by wyjąć garść owoców z koszyka. Tak samo jak marsjańskie jabłka, truskawki są znacznie większe od ziemskich. Wkładam jedną do ust Marcusa, który trzyma ręce na kierownicy – teren jest tak nierówny, że lepiej ani na chwilę nie tracić kontroli nad pojazdem.

– Ojej, sok kapie ci po brodzie! – mówię ze śmiechem.

Strużka w kolorze krwi spływa po szyi Marcusa śladem cienkiej linii wyznaczonej przez łądzykę wytatuowanej róży. Wycieram ją opuszką palca wskazującego i oblizuję ją; słodki smak przywołuje na myśl lato, beztrudne, szczęśliwe dni.

– Nie powinniśmy zostawać na zewnątrz zbyt długo... – przypominam niechętnie. – Oddaliliśmy się od bazy, a musimy wrócić, nim zapadnie zmrok, zwłaszcza że nadchodzi burza...

– Nie martw się. Jest coś, co chciałem ci pokazać. I właśnie dojeżdżamy na miejsce. Spójrz!

Łazik omija ogromną skałę, większą od pozostałych, i nagle przed przednią szybą pojawia się niezwykle widok. Znajdujemy się przy samym brzegu klifu, który zamyka dolinę Ius Chasma od południa. Gigantyczna ściana z czerwonej skały wznosi się na kilometry. Ale jest coś więcej, czego jeszcze na Marsie nie widziałam. W ścianie klifu, na wysokości człowieka, osadzony jest biały prostokąt o szerokości kilku metrów, którego tęcza powierzchnia mieni się tysiadcem barw.

– Co to takiego? – pytam zachwycona, podczas gdy Marcus parkuje łazika u podnóża klifu.

– To złoża opalu. Odkryłem je dwa sole temu podczas samotnej wyprawy, kiedy Mozart zawiózł Samsona dalej na wschód, by mógł tam zebrać próbki piasku z krateru. Jeszcze nikomu o tym nie mówiłem. Chciałem, żebyś pierwsza to zobaczyła. Chodź!

Zakładamy hełmy, przechodzimy do śluzu w tylnej części łazika, a po zakończeniu procedury dekompresji wychodzimy na zewnątrz i stajemy na powierzchni Marsa. Marcus chwyta moją dłoń w rękawicy i prowadzi mnie do złoża opalu.

Im bliżej podchodzę, tym szerzej otwierają się moje oczy. Widok jest nadzwyczajny, jedyny w swoim rodzaju. Nigdy nie oglądałam czegoś podobnego. To jakby skamieniała tęcza, uwięziona w skalnym ciełe Ius Chasma przed milionami lat.

– Cudowne... To twoja najpiękniejsza magiczna sztuczka... – udaje mi się wykrztusić do mikrofonu w moim hełmie.

– To nie ma nic wspólnego z moimi sztuczkami, to, co masz przed oczami, nie jest iluzją – odpowiada Marcus, a jego głos jest lekko zdeformowany przez przekaźnik radiowy – Choć masz rację, jest w tym coś magicznego. Bo, widzisz, opale powstają w wyniku wzajemnego oddziaływania wody i krzemu. Na Ziemi, na

przykład, w gorących źródłach, tętniących życiem drobnoustrojów.

Delikatnie kładę rękawiczkę na opalizującej powierzchni, z dziwnym poczuciem, że dotykam świętości.

– Tak jak mówiła nam Fangfang... – szepczę. – Mars nie jest taką pustynią, na jaką wygląda... Tutaj musiała kiedyś płynąć woda... a może nawet...

– Tak, być może było tutaj życie! – wykrzykuje Marcus.

Odruchowo cofam rękę od złoża opalu. Życie? Na tej zimnej pustyni, na martwej planecie?

– Pobrałem już pierwsze próbki, które analizuję w laboratorium w Nowym Edenie, a przy okazji zrobiłem to...

Wskazuje palcem odcinek, gdzie opal jest wyjątkowo błyszczący i gładki.

Poza jednym miejscem, na którym widać jakieś złobienia. To nie są linie powstałe w wyniku działania burz, trzęsień ziemi czy innych kataklizmów, które przez miliardy lat kształtowały powierzchnię Marsa.

LÉONOR + MARCUS

Właśnie to wyryte jest w opalu, pięknym prostym pismem, podobnym do tego, jakie zdobi fasady świątyń.

– Skoro nie pozwoliłaś mi wypisać swojego imienia na piersi, postanowiłem zrobić to tutaj – mówi Marcus. – A obok dodałem swoje.

Odwracam się do niego z sercem ściśniętym ze wzruszenia.

Zachodzące słońce tworzy świetliste refleksy na zaokrąglonej powierzchni wizjera hełmu Marcusa, ale jego uśmiech jest jeszcze jaśniejszy.

– Czy uznasz, że jestem głupi, jeśli powiem, że dla mnie nasza miłość jest wieczna? – pyta mnie cicho, niemal nieśmiało. – Czy pomyślisz, że jestem cholernym, beużytecznym poetą, jak by powiedział Aleksiej?

– Marcus...

– Bo ja naprawdę tak myślę. To, co razem przeżyliśmy, to, co przeżywamy w tej chwili, będzie gdzieś trwało zawsze, nawet kiedy my znikniemy. Zostanie wyryte tu, w marsjańskim opalu.

KANAL GENESIS

Sobota 6 stycznia, godz. 16.15

Widok na wejście do śluzy powietrznej z wnętrza szklarni w Nowym Edenie. Nad metalowymi drzwiami, przez szklane szyby, z których zbudowana jest kopuła, widać, że zapadła już ciemna marsjańska noc. Elizabeth czeka tu, jak co wieczór, wpatrując się w mrok, niczym marynarz pełniący wachtę w bocianim gnieździe.

Napisy w dole ekranu: WIDOK Z WNĘTRZA OGRODU: GODZ. 19.15 CZASU MARSJAŃSKIEGO.

Nagle zapala się wskaźnik nad metalowym nadprożem:

ROZPOCZĘTO PROCEDURĘ KOMPRESJI

WYRÓWNANIE CIŚNIENIA – 10%

WYRÓWNANIE CIŚNIENIA – 20%

WYRÓWNANIE CIŚNIENIA – 30%

Elizabeth wzdycha z ulgą: Nareszcie!

Kiedy wskaźnik wyświetla sto procent, śluza otwiera się i ukazują się w niej dwie sylwetki w skafandrach, a Angielka biegnie im na spotkanie.

Elizabeth: Tak bardzo się martwiłam! Bałam się, że burza już się zaczęła i was porwała! Mogliście nas chociaż...

W momencie gdy Léonor i Marcus zdejmują hełmy, słowa więzną jej w gardle. Na ich twarzach maluje się takie szczęście, taki spokój, że wszelka nagana zdaje się daremna.

Elizabeth (ścisząc głos): Cieszę się, że już jesteście z powrotem. Dam znać Kris. Też czekała tu ze mną na wasz powrót, ale Aleksiej chciał ją mieć przy sobie. Co do Mozarta... Postanowił zostać w naszym gnieździe, by przygotować mi pyszną kolację przed tą ostatnią letnią burzą, ale wiem, że w głębi duszy umiera z niepokoju.

Léonor (odwraca się do Liz, obdarowując ją uśmiechem jasnym niczym słońce): Dziękuję, Liz, i przepraszam, że przysporzyliśmy wam zmartwień. Wracaj już do Mozarta i odpocznij. Jutro czeka nas ciężki dzień.

Dwoje uciekinierów z czwartego wymiaru zdejmuje skafandry i zostawia je w specjalnym pomieszczeniu tuż przy śluzie. Następnie przechodzi przez opustoszały ogród i znika w korytarzu prowadzącym do ich modułu mieszkalnego.

Cięcie.

Gniazdo Miłości Léonor i Marcusa w szerokim planie, w chwili gdy para do

niego wchodzi.

Wciąż wydaje się, że otacza ich dziwna aura. Rozbierają się bez słowa. Zrzucają na ziemię swoją drugą skórę, czyli obcisłe czarne kombinezony, i stają naprzeciw siebie w samej bieliźnie. Kamera drży.

Kadruje na ciało Marcusa, na jego niesamowite sploty tatuaży, jakby chciała zapisać je wszystkie w swojej pamięci. Ale jest ich zbyt wiele, z każdej atramentowej gałęzi wyrasta dziesięć kolejnych, z każdego wykaligrafowanego słowa rodzi się całe zdanie. I już chłopak bierze swoją ukochaną za rękę i prowadzi ją powoli do łazienki.

Kamera szaleje, widząc, że jej ofiary się wymykają.

Jeszcze nerwowe zbliżenie szklanego oka na Léonor, na jej wspaniałe zgrabne nogi w kolorze mlecznej bieli, na elegancki łuk jej bioder... i tu się zatrzymuje. Plecy, które kamera tak bardzo chciałaby pokazać widzom, wraz z blizną, która wzbudza ciekawość całego świata, są dla niej niedostępne. Zastłaniają je długie rude włosy dziewczyny, niczym piękna purpurowa aksamitna kurtyna skrywająca starożytną tajemnicę.

Zakochani wchodzą razem do kabiny prysznicowej, tam gdzie kamera nie może ich dosięgnąć.

Nieprzejrzyste matowe drzwi zamykają się za nimi bezgłośnie.

PLAN

21 miesiąc / 577 sol / godz. 19.32 czasu marsjańskiego
[27 sol od lądowania]

Pierwsze krople rozpryskują się na mojej skórze. Nie wiem, czy parzą, czy są lodowate. Nie słyszę ich, ledwie je czuję. Moje bose stopy na nieskazitelnie białej podłodze prysznic wydają mi się tak bardzo odległe. Jak stopy *Alicji w krainie czarów*, gdy zjadła ciasteczko, po którym nadmiernie urosła. Mam wrażenie, że jestem poza swoim ciałem, niczym w bajce, którą czytam, nie do końca w nią wierząc.

Cichy deszcz, który spada na moją pochyloną głowę, długie włosy, naprężone nogi, wydaje mi się nierealny. Jakby ktoś wyłączył dźwięk.

A potem nagle jego dłoń dotyka mojego ramienia. Nagle w moich uszach rozbrzmiewa radosny szmer kropli. Nagle ciepło parującej wody otula moją skórę. Nagle całe moje ciało istnieje, drży, czuje.

Jednak w tej samej chwili ogarnia mnie wstyd, zalewa mnie potop myśli, gwałtowniejszy niż wszystkie nawałnice, bardziej trujący niż wszelki jad.

(Ten wspólny prysznic to nie był dobry pomysł, nawet jeśli została wam dziś woda tylko dla jednej osoby. To może zająć za daleko. Ty możesz zająć w ciężę. Nie jesteś gotowa, by stanąć przed nim nago. W głębi duszy wiesz, że nigdy nie będziesz na to gotowa. A teraz jest już za późno. Zobaczył cię, przyjrzał ci się z bliska, teraz ci się przygląda i żałuje. O, jak bardzo żałuje!)

Z moich ust wydobywa się skrzekliwy jęk, groteskowy i fałszywy niczym żalony krzyk żaby, która myślała, że jest królową.

– Nie powinniśmy...

Marcus kładzie delikatnie palec na moich ustach.

Jego druga dłoń przesuwają się do góry po moim ramieniu, muskając je delikatnie niczym letnia bryza, aż dochodzi do łopatki, do Salamandry... I dotyka jej bez niechęci, wstrętu czy obrzydzenia.

Nie czuję bezpośredniego kontaktu jego dłoni na tej części mojej skóry, martwej i spalonej, pozbawionej zakończeń nerwowych; jednak czuję podtrzymujące mnie silne ramię, ramię mężczyzny.

Palec, który pieczętował mi usta, zsuwa się po moim mokrym podbródku. Delikatnie unosi moją głowę. Ukazuje mi się twarz Marcusa – jego wzruszony uśmiech, gęste brwi usiane perełkami wody, wielkie szare oczy, w których już na

zawsze będzie się odbijać światło gwiazd.

Już się nie boję. Już się nie wstydzę. Nie ma takiego lęku, który by się nie rozwiął, kiedy takie oczy patrzą na ciebie tak, jakbyś była najcenniejszym skarbem w całym wszechświecie.

KANAL GENESIS

Niedziela 7 stycznia, godz. 4.45

Na ekranie pojawia się Mars, gigantyczna czerwona kula.

Jest filmowany z tak bliska, że zajmuje niemal cały ekran, na brzegach kadru pozostaje jedynie wąski pasek czarnego kosmosu. Granica oddzielająca dzień od nocy przecina pionowo planetę na dwie półkule.

W dole ekranu pojawia się napis: WIDOK NA MARSZA Z LOTU PTAKA / NAGRANIE Z KAMERY PRZY GŁÓWNEJ ANTENIE KOMUNIKACYJNEJ NA FOBOSIE / GODZ. 7.05 CZASU MARSJAŃSKIEGO.

Kamera robi zbliżenie, przez co wydaje się, jakby spadała ku powierzchni Marsa.

Z sekundy na sekundę szrama Valles Marineris się powiększa. Znajduje się ona na granicy światła i mroku, która przecina ją prostopadle. Wschód jest już rozświetlony, Zachód jeszcze pograżony w ciemnościach...

Nagle promienie słońca oświetlają kontury Ius Chasma, który widzowie tak dobrze znają. Jednak w tej samej chwili, gdy na ekranie malują się brzegi słynnego kanionu, tuż poniżej ukazuje się płaskowyż Solis Planum, cały pokryty czerwono-czarną mgłą złożoną z wirów i trąb powietrznych. Obserwowana z takiej odległości burza zdaje się nieruchoma – wygląda jak wyryte w marsjańskiej ziemi spirale barokowej płaskorzeźby.

Potężny zoom kamery pokazuje jeszcze większe zbliżenie, a im bardziej się przybliży, tym oczywistszy staje się fakt, że burza się przemieszcza. To nie jest płaskorzeźba, lecz ruchoma, dynamiczna masa sunąca w kierunku krawędzi Ius Chasma...

PLAN

**21 miesiąc / 578 sol / godz. 8.12 czasu marsjańskiego
[28 sol od lądowania]**

– Popatrzcie, wstaje słońce! – wibruje głos Safii w moich słuchawkach.

Hinduska wskazuje palcem krawędź urwiska Ius Chasma, które widzimy za szklanymi ścianami kopuły.

Dzisiaj zbudziliśmy się przed świtem, włożyliśmy skafandry ciśnieniowe i hełmy. Następnie wszyscy dwanaścioro zebraliśmy się w ogrodzie, towarzyszyły nam także dwa psy i roboty-lokaje – ten należący do pary Krisaleks, z nieodłączną muchą na szyi, i ten należący do Fangtao, tak samo goły, jak po wyjściu z fabryki (ale przynajmniej zyskał imię: *Lóng*, co po chińsku znaczy Smok). Od godziny, wpatrzeni w mroczny marsjański bezkres, czekamy nadejścia potwora.

Zza szczytu niekończącego się krateru nie wyłania się jednak potwór. Safia ma rację, to słońce. To tylko słońce, a niebo nad nim jest czyste, błękitne, bezchmurne. Deszcz promieni spada z krawędzi Ius Chasma, zalewając blaskiem całą dolinę i nasz ogród. W tej samej chwili czuję, że ramię Marcusa przyciąga mnie nieco bardziej do jego torsu. Choć dzieli nas podwójna warstwa skafandrów, i tak zdaje mi się, że jego naga skóra styka się z moją. Wczoraj wieczorem mój lęk przed zejściem w ciążę uleciał razem z lękiem przed Salamandrą. Nie kochaliśmy się, a w każdym razie nie tak, jak się to robi, by spłodzić dzieci. Ale to nieistotne! Dla mnie preludium było równie piękne jak symfonia! Nuty rozbrzmiewały zupełnie naturalnie. Partytura była zapisana w naszych ciałach od zawsze. Odczytywaliśmy ją niespiesznie, jakbyśmy mieli przed sobą całe życie, by nauczyć się miłości. Następnie zasnęliśmy wtuleni w siebie, on z nagim torsem, ja w cienkiej satynowej koszulce, której miałam nigdy nie włożyć, jakby nasze życie dopiero się zaczynało.

– Wygląda na to, że prognoza Sereny się nie sprawdza! – oświadcza Kelly, przywołując mnie do terażniejszości. – Jest piękna pogoda!

Pozostali dorzucają swoje komentarze, co wywołuje sprzężenie zwrotne w moich słuchawkach: „Wygląda na to, że Kelly ma rację... Może burza się rozproszyła...? Albo wiatr zmienił kierunek i ominęła Ius Chasma...? Proponuję otworzyć butelkę szampana, by to uczcić!”.

Nagle rozlega się potężny hałas i zagłusza radosne hipotezy i okrzyki.

To Louve zaczęła ujadać, a wraz z nią Warden. Z pyskami w małych okrągłych hełmach odwracają się w kierunku krawędzi klifu, gdzie ukazuje się

słońce, które tak ucieszyło ludzi.

– Co się dzieje, maleńka? – pyta Kris, klękając przy suczce.

– Co się dzieje? – powtarza głos Kenjiego niczym ponure echo. – Spójrz w górę!

Właśnie to robimy.

Wszyscy podnosimy wzrok, mrużąc oczy, bo rażą nas oślepiające promienie. I wtedy ją dostrzegamy. Burzę. To gigantyczna czerwona masa ciągnąca się kilometrami nad Ius Chasma. Rozszerza się i kurczy niczym żywy organizm napędzany pracą tysięcy mięśni. Połyka słońce swą pylistą paszczą. Następnie dociera do krawędzi urwiska i spada w przepaść niczym gigantyczna ośmiornica wyciągająca swe macki w kierunku ofiary.

– O mój Boże! – wyrywa się Kris, podczas gdy klębiące się spirale zsuwają się do kanionu i pochłaniają wydmy, skały i cały krajobraz.

Louve i Warden milkną w jednej chwili i przywierają brzuchami do ziemi.

Monstrualny purpurowy jęzor pyłu spada na dolinę i kopułę, wprawiając w drżenie szklane szyby.

Odruchowo zamykam oczy, zwijam się i wtulam mocniej w ciało Marcusa, oczekując, że spadnie na nas grad odłamków szkła.

Ale kopuła wytrzymuje uderzenie.

Drżenie ustaje.

Kiedy znów otwieram oczy, nie widać już ani nieba, ani doliny. Jest tylko szkarłatna nieprzezroczysta zasłona, która spowija nas i zasłania świat. Znajdujemy się w oku cyklonu.

POZA PLANEM

**Opuszczona kopalnia, Dolina Śmierci,
niedziela 7 stycznia, godz. 3.13**

– Co się dzieje, Andrew? Dlaczego obraz migocze?

Andrew i Harmony siedzą na brzegu jednego z dwóch zapadających się łóżek w drewnianym domku przy opuszczonej kopalni w zboczu Suchej Góry. U stóp łóżka leży para otwartych kajdanek, błyszcząc słabo w półmroku. Ekran laptopa ustawionego na kolanach chłopaka jest jedynym źródłem światła wśród nocy. Tutaj w Dolinie Śmierci jest o trzy godziny wcześniej niż na Wschodnim Wybrzeżu, a z powodu międzyplanetarnego opóźnienia w łączności, osiemnaście godzin i czterdzieści minut wcześniej niż na Marsie.

Na ekranie wyświetla się internetowa wersja programu Genesis, w kadrze widać ogród w bazie Nowy Eden. Dwanaścioro uczestników stoi tam, skulonych, przytulonych do siebie, w swoich białych skafandrach ciśnieniowych. Oświetlenie jest słabe, hełmy nieprzezroczyste, trudno z całą pewnością stwierdzić, kto jest kim, z wyjątkiem Tao, który siedzi na wózku inwalidzkim.

Nagle obraz zaczyna się trząść, pojawiają się na nim białe linie.

– Zobacz, Andrew, znów to samo! – woła Harmony. – O mój Boże! Ziemia traci łączność z bazą Nowy Eden, tak samo jak w czasie przedostatniej Wielkiej Burzy Piaskowej, kiedy zginęły zwierzęta doświadczalne!

– Nie mów tak – odpowiada Andrew. – To tylko przejściowe zakłócenia spowodowane nakładaniem się fal magnetycznych podczas burzy. Przekaznik radiowy jest odporny na tego rodzaju zjawiska.

Wypowiada się jako syn dawnego instruktora łączności i głównego twórcy całego systemu łączności programu Genesis, a jednak w jego głosie wyczuwalne jest napięcie...

Harmony przysuwa się do niego, naciągając na swoje kruche ramiona koc. Dziewczyna drży.

– A jeśli mama wykorzysta te zakłócenia, by rozhermetyzować bazę? – szepcze.

– Nie zrobiłaby czegoś takiego – uspokaja Andrew. – Nie, dopóki jesteśmy na wolności i w posiadaniu kopii raportu Noego.

Kolejny raz w jego głosie pobrzmiwa wątpliwość. Harmony zdaje się to dostrzegać; odwraca ku niemu twarz, w blasku ekranu wydaje się jeszcze chudsza niż zwykle. Natomiast jej oczy zdają się dwa razy większe – są jak dwa ogromne

jasnozielone jeziora bez dna.

– Jak długo jeszcze wytrzymamy, Andrew? – Wskazuje na jedzenie, które przyniósł z okolicznego supermarketu, złożone w kącie chaty. – Czy spędzimy resztę naszego życia, ukrywając się na pustyni, ciągle mając się na baczności, czekając na właściwy moment, by upublicznić raport Noego? Czekając na moment, który być może nigdy nie nadejdzie...

Andrew patrzy na nią z bólem.

– Co proponujesz? – pyta. – Chcesz, żebyśmy w tej chwili zadenuncjowali twoją matkę? Możemy to zrobić. Wystarczy wrzucić skany stron raportu Noego na moją stronę i cały świat będzie miał do nich dostęp... – By dodać wiarygodności swoim słowom stuka palcami w klawiaturę, okno kanału Genesis znika, ustępując miejsca jego stronie Genesis Piracy: –Wystarczy jedno kliknięcie...

– Nie! – wykrzykuje Harmony, niemal tracąc oddech. Łapie Andrew za nadgarstek, tuż nad klawiaturą. – Jeśli naciśniesz ten guzik, mama naciśnie swój, co spowoduje śmierć uczestników... śmierć Mozarta.

– Niech ci będzie – szepcze Andrew. – Nie nacisnę.

Zamyka okno Genesis Piracy i z powrotem włącza kanał Genesis. Harmony tymczasem próbuje wyrównać oddech.

– Tych dwanaścioro tam, w górze, musiało już dokonać wyboru – dodaje. – I postanowili wylądować. Jednak my musimy dokonywać wyboru codziennie od nowa: ujawnić raport Noego czy zachowywać go jeszcze w tajemnicy. Nie potrafię ci powiedzieć, ile to potrwa, nie mam pojęcia, czy, jak się obawiasz, będziemy musieli spędzić resztę życia na pustyni. Nie możemy nawet zagłosować, bo jest nas tylko dwoje. To nasza odpowiedzialność, Harmony. Jeśli pewnego dnia poczujemy, że jesteśmy zbyt zmęczeni, by ją unieść, i zrzucimy ją z siebie, to miejmy nadzieję, że marsjańscy osadnicy nam wybaczą.

Na wspomnienie marsjańskich pionierów dwoje zbiegów niezdolnych wypowiedzieć choćby słowa więcej przenosi wzrok na ekran laptopa.

Widok na ogród w planie ogólnym. Obraz przestaje w końcu drżeć i się stabilizuje.

Dwanaścioro osadników zebrało się u podnóża osłoniętych plandeką plantacji. Skulili się jakby z przestachu. Dookoła gigantycznej szklanej kopuły panuje czerwony półmrok, niepodobny ani do dnia, ani nocy.

Nagle zapalają się wszystkie lampki awaryjne zawieszane u sufitu kopuły, by wyrównać niedobór światła, są jednak nastawione na dwadzieścia pięć procent mocy, by oszczędzać energię.

Cięcie.

Zmiana perspektywy – widok z poziomu parteru w ogrodzie.

Napisy u dołu ekranu: WIDOK Z PUNKTU WIDZENIA UCZESTNICZKI NR 2 – KELLY.

Kanadyjka rozgląda się wokół, ukazując ten sam zamazany horyzont.

Jej głos w przekaźniku radiowym brzmi niepewnie: Chciałabym jednak wiedzieć, co się dzieje... Dlaczego nie dostajemy żadnych wytycznych...? Łączność się zerwała...? Halo! Ziemia!

Ale nic się nie dzieje. Zupełna cisza. Zupełna?

Nie – jeśli dobrze nastawić ucha, można usłyszeć delikatne uderzenia, które dzwonią gdzieś w głębi bazy: Brzęk... Brzęk... Brzęk...

Elizabeth: Słyszycie to?

Za wizjerem hełmu w bladym rozproszonym świetle lampek awaryjnych widać zaniepokojoną twarz Angielki. Pozostali pionierzy nie wydają się ani odrobinę spokojniejsi.

Kris (pyta wszystkich i każdego z osobna): Skąd dobiega ten hałas?

Aleksiej (wzrusza masywnymi ramionami): Pewnie coś źle przywiązaliśmy, tam na zewnątrz. Może odczepił się fragment plandeki osłaniającej łazik i teraz łopocze na wietrze albo...

BRZĘK – uderzenie o wiele donośniejsze i bliższe niż poprzednie przerywa mu w pół zdania.

Kris (panikując): Nie, Aleks, chyba mi nie powiesz, że to plandeka łazika! Ten hałas był za silny!

W tym momencie na wewnętrznej powierzchni ściany kopuły wyświetla się drżący obraz i migające linie. Po kilku sekundach zakłóceń na ekranie pojawia się Serena McBee, siedząca w przestronnym pokoju o ścianach wyłożonych kremową tapetą – w swoim nowym gabinecie wiceprezydenta, w rezydencji w Obserwatorium.

Cała w zieleni producentka wykonawcza ma nieco zapuchnięte oczy – różnica czasu między Ziemią a Marsem zmusza ją do wczesnego wstawania.

Mimo to, gdy zabiera głos, przywołuje na twarz swój najpiękniejszy uśmiech.

Serena: Czy mnie widzicie i słyszycie? Tak? Ach, nareszcie, wygląda na to, że już wszystko w porządku! Po drobnych zakłóceniach system łączności znów działa, jak należy. Dobrze, posłuchajcie. Burza otacza was ze wszystkich stron. Ius Chasma zniknął całkowicie z naszych obrazów satelitarnych. Ale nie macie powodów do niepokoju. Musicie tylko poczekać, aż piaski opadną. Może zrobimy wspólnie kilka ćwiczeń relaksacyjnych, jak za starych dobrych czasów? Pamiętacie technikę wizualizacji delfinów. Dalej, powtarzajcie za mną!

Jeden, wydecham powietrze z płuc i zamykam oczy...

PLAN

**21 miesiąc / 578 sol / godz. 8.35 czasu marsjańskiego
[28 sol od lądowania]**

– *Dwa, wciągam brzuch i widzę delfiny pływające w wielkim spokojnym oceanie...*

Rozglądam się wokół.

I z osłupieniem spostrzegam, że większość moich kolegów podąża za instrukcjami Sereny, jak w czasie szkolenia w Dolinie Śmierci, jak w chwili startu Cupido, jak przed odkryciem raportu Noego.

– *Trzy, ponownie wciągam powietrze w nozdrza, napęlniając nim ciało, począwszy od pępka...*

Jak ten głos rozbrzmiewający w słuchawkach może przynosić im jakiegokolwiek ukojenie, skoro wiedzą to, co wiedzą? To mnie przerasta. Dookoła mnie tylko trzy osoby mają otwarte oczy: Marcus, który patrzy na mnie, Liz, która patrzy na Mozarta, i Kenji, który wpatruje się w czerwone chmury za szklaną kopułą, jakby próbował przejrzeć je na wylot.

– *Cztery, czuję, jak powietrze masuje moją przeponę. Wyobrażam sobie delfiny pływające w moim brzuchu...*

Nie mogę oderwać wzroku od Kenjiego. W jego czarnych oczach jest coś szalonego, intensywność, której nigdy wcześniej nie zauważyłam – być może dlatego, że do tej pory nie udało mi się uchwycić tego wiecznie umykającego spojrzenia. Jednak teraz jego oczy się nie poruszają.

Zupełnie.

– *Pięć...*

Serena nie kończy zdania.

Uniemożliwiają jej to kolejne zakłócenia łączności: po pojawieniu się kilku białych linii szklana ściana odzyskuje swą przejrzystość, ukazując znów nieprzeniknioną nicość.

– Tam coś jest... – rozbrzmiewa nagle w naszych hełmach głos Kenjiego.

– Co? Gdzie coś jest!? – wykrzykuje Kris, gwałtownie otwierając oczy. – Gdzie jest Serena? Chcę kontynuować ćwiczenie! Chcę znów zobaczyć delfiny!

Moja biedna Kris jest wstrząśnięta, jak zagubione małe dziecko. Aleksiej powinien ją przytulić i pocieszyć. Ale zamiast tego reaguje w charakterystyczny dla siebie sposób, wybuchem gniewu.

– Zamkniesz się, Kenji!? – wrzeszczy. – Nie widzisz, że straszysz

dziewczyny?

Japończyk zdaje się go nie słyszeć. Stoi nieruchomo ze wzrokiem wbitym w przestrzeń, powtarzając:

– Tam, na zewnątrz, w tej burzy... Tam coś jest... Jak w moich koszmarach... Czuję to...

BRZEK!

Tym razem uderzenie z zewnątrz wywołuje krzyk przerażenia nie tylko u Kris.

– Do schronu! – woła Fangfang. – Szybko!

I już rzuca się w stronę pancernych drzwi otwierających się w zbczu pierwszego tarasu.

Jednak Aleksiej przytrzymuje Kris za ramię, nim ta zdąży pobiec śladem Singapurki.

– Nie ruszaj się stąd, mój aniele! – rozkazuje władczo, co dziwnie kontrastuje z jego ulubionym czułym określeniem, jakiego używa wobec Kris. – Nikt się stąd nie ruszy! Chyba nie przestraszy was jakiś drobny hałas, do cholery!

Ja jednak doskonale wyczuwam jego strach – w tym, jak podnosi głos, jak dłonią w rękawicy ściska ramię Kris, zdecydowanie zbyt mocno.

BRZEK!

– To tylko kamienie uderzające o ściany bazy, bando cykorów! Zwykle kamienie niesione wiatrem i nic innego!

Teraz niemal krzyczy. Nie słyszy głosu Fangfang, która duka:

– Powietrze na Marsie ma sto razy mniejszą gęstość niż na Ziemi, jest o wiele za lekkie, by jakkolwiek wiatr mógł unosić kamienie...

Aleksiej, owładnięty własnym strachem, wykręca nadgarstek Kris, nie zdając sobie z tego sprawy.

– Puść ją, to ją boli! – mówi Samson.

– Co?

– Nie widzisz, że wykręcasz jej rękę?

Mam wrażenie, że za wizjerem hełmu dostrzegam błyskawice strzelające z błękitnych oczu Aleksieja.

– Wiedziałem, że między wami coś jest! – ryczy, puszczając nagle rękę Kris, by rzucić się na Samsona.

Ciało Nigeryjczyka pada do tyłu pod wpływem uderzenia.

Warden natychmiast rusza na pomoc swemu panu, a jego wściekłe ujadanie rozbrzmiewa w naszych hełmach, od czego niemal pękają mi bębenki. Jestem pewna, że gdyby pies nie miał na łbie hełmu, w kilka sekund rozdarłby skafander i ciało Rosjanina na strzępy, a tak, za obryzganym śliną wizjerem, szczyrzy tylko kły.

– Przyznaj się! – wrzeszczy Aleksiej, przygniatając klatkę piersiową

Samsona kolanem.

– Nie mam się... do czego... przyznawać, dupku! – udaje się wykrztusić zaatakowanemu, który usiłuje złapać oddech.

– Kłamiesz! Zostawiałem was sam na sam przez tyle godzin na plantacjach, ufając wam, a wy robiliście ze mnie durnia! Zwłaszcza ty, bo ją zmusiłeś, prawda? Jestem tego pewien. Moja Kirsten nigdy by mnie nie zdradziła z własnej woli. No to masz!

Pięść Aleksieja uderza w skafander Samsona z łomotem, podczas gdy Mozart i Marcus biegną, by rozłączyć walczących.

Teraz dziewczyny podnoszą taki krzyk, że udaje im się zagłuszyć nawet ujadanie psów.

– Przysięgam ci, Aleks, że do niczego nie doszło! – Ika Kris, oszalała z rozpaczy.

– Nigdy nie uciekaliśmy się do przemocy, pora wziąć się w garść – próbuje przemówić im do rozsądku Fangfang.

Safia jest znacznie mniej dyplomatyczna:

– Jesteś agresywnym bydlakiem, Aleksiej. A w dodatku idiotą!

Rosjanin na chwilę odwraca wzrok od Samsona i wpatruje się w małą Hinduskę.

– A ty nie masz wrażenia, że wbili ci nóż w plecy? – pyta. – Powinnaś raczej stać po mojej stronie. Ty też zostałeś oszukana!

– Bzdury!

– Skąd możesz być tego taka pewna?

– Między mną a Samsonem nigdy nie będzie miejsca na zazdrość. Gdybym zaczęła ci tłumaczyć dlaczego, raczej byś nie zrozumiał. Nikt cię nie zdradził, Aleksieju, ale i tak nosisz rogi, bo jesteś głupi jak baran!

Aleksiej przez chwilę zastyga w bezruchu, niczym komputer, który się zawiesił, niezdolny przetworzyć informacji, bo nie radzi sobie z nią jego oprogramowanie. Samson korzysta z okazji, by go gwałtownie odepchnąć i wstać.

Ciężkie ciało Rosjanina zwała się na ziemię i uderza w Güntera, który przewraca się na aluminiową podłogę z metalicznym łoskotem.

Jego jedyne oko natychmiast zapala się na czerwono i sztuczny syntetyczny głos wydobywa się nie wiadomo skąd:

– Zarejestrowano zderzenie boczne... Ocena poniesionych szkód w toku... Sprawdzenie ukończone: nie stwierdzono uszkodzeń...

Zaskoczenie wywołane głosem Güntera, którego uznawaliśmy za niemego, jest tak wielkie, że chłopcy przestają się szarpać, dziewczyny milkną, i nawet strach rozwiewa się na krótką chwilę. W tym samym momencie ekran na ścianie kopuły zaczyna trzeszczeć i migotać, po czym znów pojawia się na nim twarz Sereny McBee.

– *Ach, nareszcie! Jestem z powrotem! Możemy wrócić do ćwiczeń relaksacyjnych* – mówi nieświadoma bójki, która się właśnie rozegrała, bo dzieli nas już dziesięć minut opóźnienia w łączności. – *Jeden, wydecham powietrze z płuc i zamykam oczy...*

Jednak tym razem nikt jej nie słucha, nikt nie zamyka oczu. Wszyscy wbijają wzrok w Güntera.

– Ty potrafisz mówić, kupo złomu?... – dyszy Aleksiej.

– Potwierdzam! – odpowiada elektroniczny głos Güntera, który musi być podłączony do naszego przekaźnika radiowego, bo słyszymy go w naszych hełmach.

Robot rozprostowuje swoje długie mechaniczne ramiona, opiera się szcypcami na podłodze i podnosi się wśród zgrzytania metalowych części.

– Ale dlaczego nigdy wcześniej się nie odezwałeś? – pyta Kris, nagle wzruszona, jak matka, której dziecko wymawia pierwsze słowa.

– Nie skierowano do mnie bezpośrednio żadnego pytania. Jestem zaprogramowany, by mówić wyłącznie w sytuacji zagrożenia mojej integralności fizycznej lub kiedy jestem pytany.

Spoglądamy po sobie przez wizjery hełmów. Nie trzeba słów, by wiedzieć, że wszyscy myślimy w tej chwili o tym samym; jeśli roboty-lokaje potrafią mówić, to mogą nam wyjaśnić, co się stało 511 sola zeszłego roku, w czasie awarii łączności. Mogą nam powiedzieć, co przedziurawiło poszycie siódmego modułu mieszkalnego i jaka była przyczyna śmierci zwierząt doświadczalnych.

Pytanie ciśnie mi się na usta, ale nie teraz, nie tu!

Nie wolno nam wspomnieć o ukrytych wadach bazy przed widzami: złamalibyśmy w ten sposób umowę *Spokój ducha* i podpisalibyśmy na siebie wyrok śmierci!

– Uciszcie się i słuchajcie! – wołam, zanim ktokolwiek zdąży otworzyć usta.

Bez słowa, ze ściśniętym żołądkiem spoglądam na otaczające nas kamery i wskazuję na ogromną twarz Sereny, która wciąż przeprowadza ćwiczenia relaksacyjne. Muszę koniecznie przypomnieć pozostałym, że to nie czas ani miejsce na przepytывanie robotów. Jest tylko jedno pomieszczenie w bazie, gdzie możemy zadać im pytania, nie ryzykując, że rozmowa ukaże się na kanale Genesis...

– Słyszycie? – rzucam na jednym oddechu. – Znow jest cisza, ale wydaje mi się, że ten dziwny hałas, który tak nas wystraszył, dochodził z Relaksowni... – To kłamstwo, ale tylko w ten sposób mogę wyjaśnić widzom, dlaczego chcę jak najszybciej udać się do siódmego modułu i dlaczego chcę zabrać tam ze sobą przynajmniej jednego robota. – Pójdę sprawdzić, czy wszystko tam w porządku – dodaję, próbując uspokoić oddech. – Samson i Kenji, chodźcie ze mną, dzięki temu emocje trochę tu opadną. Będę także potrzebowała specjalisty od inżynierii.

Dołączysz do nas, Liz? I jeszcze jedno, Krisaleks, pożyczycie mi Güntera? Pomoże nam przeprowadzić kontrolę techniczną.

Wciąż pod wpływem szoku, Kris kiwa głową, wykonując jednocześnie gest w kierunku Aleksieja, dający mu do zrozumienia, że nie ma tu nic do gadania.

– Od tej chwili tylko ja rozmawiam z Günterem – oznajmia. – Wystarczająco go już sponiewierałeś! – Kuca przy swoim kochanym robocie, swoim zastępczym dziecku: – Powiedz, Günterze, będziesz tak miły i pomożesz Léo w siódmym module? – pyta drżącym głosem.

– Odmawiam... – odpowiada monotony głos z wnętrza robota.

Krew ścina mi się w żyłach, podczas gdy Günter uzasadnia swoją odmowę przed kamerami, na oczach Sereny McBee i miliardów widzów:

– ... oprogramowanie nie zezwala mi na wystawianie mojej integralności fizycznej na niebezpieczeństwo. Siódmy moduł nie jest bezpieczny. Został uszkodzony w 511 solu 18 miesiąca w trakcie Wielkiej Burzy Piaskowej. O 22.46 coś z zewnątrz uszkodziło poszycie.

POZA PLANEM

**Hotel California, Dolina Śmierci,
niedziela, 7 stycznia, godz. 3.31**

„Coś z zewnątrz uszkodziło poszycie”.

Zaskoczona Cindy upuszcza łyżeczkę, którą nabierała lody z kubka stojącego na jej kolanach. Oczy, z których zmyła już makijaż, otwierają się szeroko. Tej nocy postanowiła czuwać w geście solidarności ze stawiającymi czoło burzy osadnikami, wiedząc, że nie zaśnie tylko ze wspomaganiem w postaci potężnej porcji lodów truskawkowych z sosem orzechowym.

Kobieta nawet nie podnosi łyżeczki, która zostawia dużą różową plamę na białej koronkowej pościeli, natychmiast biegnie do małego telewizora stojącego na komodzie w jej pokoiku w Hotelu California. Blask ekranu rozświetla jej zmęczoną twarz.

Maksymalnie podkręca głośność.

POZA PLANEM

**Opuszczona kopalnia, Dolina Śmierci,
niedziela, 7 stycznia, godz. 3.31 (w tej samej chwili)**

„Coś z zewnątrz uszkodziło poszycie”.

Laptop na kolanach Andrew zaczyna drżeć. Chłopak jest bardzo zdenerwowany.

– O nie! To straszne! – piszczy Harmony. – Widzowie dowiedzieli się o wypadku w siódmym module!

– Co oznacza, że twoja matka naciśnie guzik i rozhermetyzuje bazę – ucina Andrew. – Ale ja wtedy nacisnę własny guzik!

Jego palce przebiegają nerwowo po klawiaturze.

Na ekranie znów pojawia się strona Genesis Piracy. Pozostaje nacisnąć jeden przycisk, by opublikować raport Noego.

– Jeszcze nie! – krzyczy Harmony, wrywając mu komputer z rąk. – Robot powiedział o dziurze, ale nie wspominał o śmierci zwierząt doświadczalnych: być może mama nie zrealizuje swojej groźby!

Dwoje uciekinierów walczy przez chwilę na materacu, wyszarpując sobie laptopa, w całkowitej ciszy pustynnej nocy.

Palce naciskają przypadkowe klawisze klawiatury.

Na oszalałym ekranie nowe okna otwierają się i zamykają: piracka strona, kanał Genesis, archiwum skrzynki pocztowej Sereny, skradzione w jej gabinecie, zmieniają się z zawrotną prędkością.

Komputer spada płasko na ziemię, całkiem rozłożony, jak książka z rozdartą okładką.

Andrew i Harmony rzucają się, by go podnieść.

Jednak nagle obydwójce zastygają nad świecącym prostokątem. Na ekranie otworzyła się wiadomość, jeden z tysięcy e-maili, jakie znajdowały się w archiwum. Czarne litery tytułu odcinają się na rażącym białym tle: „ENERGETYCZNA WINDA KOSMICZNA”.

POZA PLANEM

**Paryż, Pola Elizejskie, niedziela,
7 stycznia, godz. 12.31 (w tej samej chwili)**

„Coś z zewnątrz uszkodziło poszycie”.

W Paryżu, w przeciwieństwie do Stanów Zjednoczonych, nie kończy się noc. To nie jest pora, kiedy większość widzów jeszcze śpi. Jest niedzielne popołudnie. Dziesiątki tysięcy mieszkańców i turystów wyległy na Pola Elizejskie, by wspólnie oglądać na żywo marsjańską burzę. Pod wielkim banerem z wizerunkiem Léonor, który zastąpiono kopią po tym, jak miesiąc temu wandalę zniszczyli oryginał, zamontowano gigantyczny ekran. Wisi on w poprzek Łuku Triumfalnego i w tej chwili ukazuje robota Güntera w rozmiarze szesnaście na dziewięć metrów.

– Co on powiedział? – pyta staruszka ciągnąca za sobą koszyk na zakupy na kółkach i pudła. Zwraca się do stojącego obok chłopaka w dresie i czapce z daszkiem, któremu towarzyszy grupa kolegów w identycznych strojach. – Trochę słabo słyszę, nie jestem pewna, czy dobrze zrozumiałam...

– Coś pierdolnęło w siódme Gniazdo Miłości w czasie przedostatniej burzy! – wykrzykuje oszołomiony chłopak, zanim zda sobie sprawę z szacownego wieku tej, która się do niego zwraca. – O! Przepraszam, psze pani, chciałem powiedzieć, że jest jakby problem z siódmym modulem.

Jak echo dla jego słów, w tłumie zebranych na tej najsłynniejszej paryskiej alei podnosi się szmer, który narasta i wzbiera z sekundy na sekundę niczym burza: „Baza Nowy Eden nie jest taka bezpieczna, jak sądzono...”. „W przeszłości zdarzył się już wypadek...”. „W tej burzy coś jest; osadnicy są w niebezpieczeństwie!”.

KONTRPLAN

**Rezydencja na terenie Obserwatorium Marynarki Wojennej, Waszyngton DC,
niedziela, 7 stycznia, godz. 6.31 (w tej samej chwili)**

„Coś z zewnątrz uszkodziło poszycie”.

Sama w przestronnym biurze, które gościło przed nią wiele generacji wiceprezydentów, Serena McBee posiniała na twarzy – bladość jej cery nie jest jednak skutkiem niewyspania.

Biurko, za którym siedzi, przetransportowano do Waszyngtonu z willi McBee. Wychodzi z niego wiele kabli elektrycznych, biegnących po podłodze aż do aluminiowej ramy, na której zamocowano lampy i kamery, także przywiezione tutaj z Hampton. Na środku tego portyku wisi wielki ekran pokazujący transmisję kanału Genesis i zbliżenie na robota-lokaja i zebranych wokół niego pionierów.

Serena naciska stanowczym gestem swą broszkę-mikrofon w kształcie pszczoły i wydaje instrukcje zespołowi na Florydzie:

– Serena do montażowni. Muszę być teraz jak najbliżej uczestników, bez żadnych pośredników, by pomóc im przezwyciężyć stres wywołany przez burzę. Przejmuję kontrolę.

Drugą ręką naciska przycisk na tablicy kontrolnej w blacie biurka. U góry wielkiego ekranu pojawia się czerwony napis: „PROTOKÓŁ KRYZYSOWY URUCHOMIONY”.

Producentka wykonawcza naciska jeszcze kilka innych guzików. Robot i osadnicy znikają z ekranu, a zamiast nich pojawia się reklama.

KANAL GENESIS

Niedziela, 7 stycznia, godz. 6.32

Przejdźcie od czarnego tła do ogromnego zbliżenia twarzy Kenjiego, oświetlonej migoczącym światłem. Dookoła panuje czarna noc. Słyszać tylko przyspieszony niespokojny oddech chłopaka, źrenice pełnych przerażenia oczu poruszają się z prawa na lewo i z powrotem, niczym wahadło.

Z offu rozbrzmiewa zachrypnięty egzaltowany głos, podobny do tych ze zwiastunów hollywoodzkich filmów: *Fobos to imię tajemniczego księżyca Marsa...*

Kamera powoli się oddala, ukazując spocone czoło Kenjiego, jego włosy sterczące niczym kolce.

Nagle ciszę przesywa przeraźliwy pisk, a chłopak podskakuje z przerażenia.

Głos z offu: *Fobos to imię greckiego boga strachu...*

Plan coraz bardziej się poszerza, ukazując nam Kenjiego opartego plecami o stalową ścianę z wybitym w niej otworem: to korytarz w statku kosmicznym, oświetlony bladym sinym światłem trzeszczącej jarzeniówki. Kenji ma na sobie kamizelkę kuloodporną w barwach moro. W błyszczących od potu ramionach, o napiętych wszystkich mięśniach, trzyma kurczowo przy piersi karabin maszynowy, prawdziwego potwora najeżonego celownikami.

Znów rozlega się pisk, o wiele silniejszy niż za pierwszym razem – teraz jest znacznie bliżej i jest w nim coś niezaprzeczalnie zwierzęcego.

Głos z offu: *Fobos to tytuł najnowszej gry studia Dojo...*

Kenji odwraca się nagle, mierząc karabinem w ciemność, w tę stronę korytarza, której dogorywająca jarzeniówka nie jest w stanie rozświetlić. Stamtąd dochodzi pisk – czy może krzyk? To stamtąd dobiega odgłos szybkich kroków, które wprawiają metalową podłogę w drżenie.

Głos z offu: *Fobos stanie się wkrótce twoim największym koszmarem!*

I nagle jarzeniówka gaśnie, ekran pogrąża się w całkowitej ciemności.

Rozlega się wrzask, następnie seria strzałów z karabinu maszynowego z towarzyszącym jej blaskiem ognia, a potem cisza.

Na czarnym ekranie powoli pojawia się napis w niepokojącej fluorescencyjnej czerwieni:

FOBOS

Oficjalna gra wideo

ZANURZYSZ SIĘ CAŁKOWICIE W EKSTREMALNYCH
DOZNANIACH!

TYLKO DLA LUDZI O MOCNYCH NERWACH!

Kolejny sukces studia

DOJO

Cięcie.

PLAN

**21 miesiąc / 578 sol / godz. 8.52 czasu marsjańskiego
[28 sol od lądowania]**

Moje serce bije jak oszalałe, słyszę jego dudnienie w słuchawkach hełmu.

W chwili gdy Günter odpowiedział na niewinne pytanie Kris, wyjawiając tajemnicę, którą staramy się strzec od miesiąca, miałam wrażenie, że czas się zatrzymał i już nigdy nie ruszy. Jakby rozbił się o betonowy mur.

Prawda jest jednak taka, że żadna ściana nie zdoła zatrzymać czasu. Od razu wznowił swój nieubłagany bieg i wszystko potoczyło się z ogromną prędkością.

Instynktownie wiedzieliśmy, że zostało nam tylko pięć minut – pięć minut w czasie których słowa Güntera dotrą na Ziemię. Rzuciliśmy się pędem do schronu, zabierając ze sobą psy i roboty.

Właśnie tu się teraz znajdujemy, w ślepych pomieszczeniu oświetlonym jarzeniówką, ściśnięci między drukarką 3D, ambulatoryjnym łóżkiem i szafką, w której składujemy narzędzia ogrodnicze.

Ciężkie pancerne drzwi zatrzasnęły się za nami. Nikt nie ma odwagi się poruszyć czy odezwać. Nie wiemy, czy kamery wciąż nas filmują... Nie wiemy, czy Serena rozhermetyzowała bazę, gdy tylko usłyszała wyznanie Güntera... Jeśli tak, tam, za pancernymi drzwiami, Nowy Eden jest już tylko stosem potłuczonego szkła, roślin zmiecionych podmuchem dekompresji i przysypanych kwaśnym, czerwonym piaskiem Marsa.

Jeśli tak, tylko ściana schronu oddziela nas od tego czegoś, co znajduje się w burzy, co tak fascynuje Kenjiego, przeraża Güntera, co zrobiło dziurę w poszyciu siódmego modułu marsjański rok temu. A my myśleliśmy, że ściana została przebita od środka... O tyle łatwiej było nam wyobrazić sobie, że to szczury przegryzły poszycie – to nas o wiele bardziej uspokajało, niż zastanawiać się nad inną możliwością, że uszkodzenie pochodzi z zewnątrz, z czerwonego tajemniczego bezmiaru Marsa. Czy to uderzenie fragmentu skały porwanej przez podmuch wiatru? Nie. Fangfang przypomniała nam, że to niemożliwe, że marsjańska atmosfera jest zbyt rozrzedzona, by wiatr mógł przenosić kamienie...

A więc co to było?

Niezdolna znaleźć odpowiedzi na to natarczywe pytanie, ściskam mocniej dłoń Marcusa w grubej rękawicy i staram się skupić myśli na tym, jak przetrwać. Przeprowadzam w głowie obliczenia. Każde z nas ma w swoim skafandrze zbiornik tlenu wystarczający na trzydzieści sześć godzin – właściwie to trzydzieści

pięć, skoro włożyliśmy je przed godziną. Tlenu w schronie wystarczy dla nas wszystkich na dwadzieścia cztery godziny. Jeśli Serena zniszczyła bazę, zostało nam w sumie pięćdziesiąt dziewięć godzin życia...

– *Zdjęłam was z anteny i puściłam reklamę, a mój palec leży teraz na przycisku...* – rozbrzmiewa nagle głos dochodzący nie wiadomo skąd, niczym echo dla moich myśli.

Tutaj, w schronie, nie ma ekranów.

Ale są głośniki, połączone z systemem łączności w naszych skafandrach.

– *Właśnie teraz czuję przycisk pod opuszką mojego palca* – ciągnie Serena McBee. – *Ma gładką, lekko zaokrągloną powierzchnię... Czuję delikatny opór, kiedy jej dotykam...*

Kris pada na kolana na podłogę schronu.

– Bogu niech będą dzięki, jeszcze go nie nacisnęłaś! To nie nasza wina, Sereno! Dotrzyliśmy obietnicy! Niczego nie wyjawiliśmy! To Günter! To on jest winny! – Jej głos się łamie w błagalnej prośbie. – Błagam cię, daj nam jeszcze jedną szansę...

Po raz kolejny odnoszę wrażenie, że zwraca się do Sereny jak do jakiegoś bóstwa. To bardzo niepokojące, ale zrozumiałe. W tej chwili, bardziej niż kiedykolwiek, jesteśmy zdani na łaskę tej kobiety, niewidzialnej i wszechmocnej niczym bogini.

Liz także pada na kolana. A po niej Fangfang, Aleksiej, Samson, Safia, Kelly i w końcu, jako ostatni, Mozart. Jako jedyna z dziewcząt stoję u boku Marcusa i Kenjiego. Tao siedzi w swoim wózku inwalidzkim, ale pochylił głowę w błagalnym geście. Mijają długie minuty, nieznośna cisza przygniata klęczące ciała. A potem nagle znów spływa na nas głos z nieba:

– *Tym razem będę wspaniałomyślna, ponieważ was kocham i chcę was oszczędzić...* – mówi.

Westchnienia ulgi i nieskładne podziękowania wylewają się przez moje słuchawki.

– Och! Dziękuję, dziękuję! – mówi Fangfang.

– Musisz zrozumieć, że to nie była nasza wina – dodaje Tao.

– Bóg ci to wynagrodzi! – zapewnia Kris.

Ostatni gwóźdź do trumny przybija Aleksiej:

– Ostatecznie, jesteś o wiele lepsza, niż sądziliśmy, Sereno! Możemy na ciebie liczyć!

Jak im powiedzieć, że udając, iż nas ocala, tak naprawdę ratuje samą siebie? Jestem przekonana, że zdecydowała się nie niszczyć bazy tylko po to, by chronić siebie. W moich uszach ta domniemana wielkoduszność brzmi jak wyznanie: nie odnalazła jeszcze Andrew i Harmony.

– *Ale począwszy od tej chwili, musimy być jeszcze ostrożniejsi* – Serena

dodaje natychmiast. – *Nie zapominajmy, że jeden z robotów o mało nie doprowadził nas wszystkich do zguby. Na szczęście nie wspomniał o raporcie Noego ani o zwierzętach doświadczalnych, powiedział tylko o jakiejś awarii z przeszłości. Widzowie z pewnością będą chcieli poznać więcej szczegółów, kiedy tylko wrócicie na antenę. Będziecie więc musieli jeszcze raz na wizji przepytac roboty, prowadząc rozmowę w ten sposób, by wszystkich uspokoiły. Zaraz przećwiczymy tę konwersację z właścicielami robotów. Pozostali niech natychmiast wrócą do Ogródu, bo przerwa reklamowa już się kończy – powiecie widzom, że Krisaleks i Fangtao musieli rozmówić się na osobności ze swoimi „dziećmi”.*

POZA PLANEM

**Opuszczona kopalnia, Dolina Śmierci,
niedziela 7 stycznia, godz. 3.42**

Andrew podnosi laptop, który spadł na spróchniałe deski podłogi chaty. Wiadomość, która w wyniku jego krótkiej przepychanki z Harmony wyświetliła się na ekranie, wciąż jest widoczna.

Chłopak i dziewczyna powoli i bez słowa siadają na łóżku. Zaczynają czytać...

Od: Barry Mirwood (bmirwood@usa.gov)

Do: Serena McBee (serena@mcbeeproductions.com)

Temat: ENERGETYCZNA WINDA KOSMICZNA

Droga Pani McBee,

mam nadzieję, że przypomina Pani sobie nasze krótkie spotkanie na Long Island w czasie listopadowego garden party partii ultraliberalnej. W kilku słowach streściłem Pani, czym się zajmuję, wspomniałem o mojej specjalności, to jest wiodach kosmicznych, nad którymi pracuję od lat. Sprzedaż NASA i moje późniejsze zwolnienie położyły nagły kres prowadzonym przeze mnie badaniom. Kiedy jesienią Panią spotkałem, zostałem właśnie zatrudniony jako konsultant naukowy do spraw lotów kosmicznych przy kancelarii prezydenta Greena – to dzięki Pani i fantastycznemu programowi Genesis kosmos znów stał się popularny! Nie muszę chyba dodawać, że głosowałem na Panią i że jestem pewien, że zostanie Pani wiceprezydentem naszego wspaniałego kraju!

Jestem przekonany, że stojąc u boku Edmonda Greena, będzie Pani nadzwyczajną propagatorką badań i podboju kosmosu i że kwestie te będą priorytetem Pani kadencji. Czyż program Genesis nie przewiduje wysyłania co dwa lata nowej ekipy na Marsa, by dostarczyć kolonii świeżej krwi? To piękne i długotrwałe wyzwanie. Jednakże sądzę, że możemy pójść jeszcze dalej i jeszcze szybciej. Jestem przekonany, że możemy przyspieszyć kolonizację Marsa dziesięciokrotnie, a może nawet stukrotnie. W jaki sposób? Oczywiście dzięki wiodzie kosmicznej! Istnieje cała gama możliwości technicznych, a wszystkie są

pasjonujące: winda z nanorurek węglowych, winda z grafenu... albo jeszcze bardziej niezwykła, winda z czystej energii! Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym większe żywię przekonanie, że to właśnie jest idealna koncepcja. Do tej pory moje badania ograniczał skromny budżet. Ale udowodniła Pani, że wystarczy jedno Pani pstryknięcie palcami, a pojawiają się miliony!

Proszę sobie wyobrazić, że udaje się Pani przekonać Atlas Capital do zainwestowania części dochodów w ten wspaniały projekt... Gdyby uruchomiła Pani środki rządowe, by Stany Zjednoczone odegrały wiodącą rolę w tym przedsięwzięciu... Z Pani władzą polityczną i możliwościami finansowymi można zrealizować to szalone marzenie: zbudować nową cywilizację marsjańską nie w ciągu stulecia, lecz zaledwie w kilka lat!

Dzięki mojej energetycznej windzie moglibyśmy całkowicie bezpiecznie przesyłać sprzęt i ludzi na Marsa tak często, jak byłoby to konieczne. Moglibyśmy także zabrać marsjańskich osadników z powrotem na orbitę, gdyby pewnego dnia zapragnęli zobaczyć swoją starą planetę. Pomysł jest bardzo prosty i można by go zrealizować już przy następnej podróży Cupido, kiedy będzie wiózł dwanaścioro nowych śmiałków na Marsa.

» Etap 1: statek przewozi z Ziemi satelitę energetycznego, który zostaje umieszczony na orbicie okołomarsjańskiej, oraz ultralekką kabinę transportową, która ląduje na powierzchni Marsa wraz z nową załogą.

» Etap 2: satelita energetyczny rozwija się niczym gigantyczny panel słoneczny, by przechwytywać promieniowanie gwiazdy.

» Etap 3: na Marsie osadnicy mogą w każdej chwili wejść do kabiny transportowej; maksymalnie naładowany satelita energetyczny wysyła wiązkę promieniowania mikrofalowego, by wydobyć kabinę ze studni grawitacyjnej planety i wynieść ją na orbitę.

» Etap 4: kabina może przetransportować pasażerów na pokład Cupido lub innego statku, który znajduje się na orbicie, po czym znów zejść na powierzchnię Marsa, by mogła zostać ponownie wykorzystana.

Genialność tego pomysłu polega na tym, że źródło energii pozostaje w górze. Przewyciężamy w ten sposób zasadniczy problem – według niektórych nierozwiązywalny – który sprawiał, że nie można było nawet rozważać możliwości powrotu z Czerwonej Planety – problem grawitacji. Nie trzeba się już głowić, jak

zrzucić na Marsa ogromną raketę pełną paliwa jądrowego, która wyniosłaby astronautów na orbitę (raketę, która ze względu na swoją masę musiałaby się roztrzaskać przy lądowaniu). Z moją windą jedynie ultralekka kabina transportowa kursuje między powierzchnią Marsa a jego orbitą i z powrotem. Cały system jest w pełni odnawialny. Gdy tylko satelita naładuje się energią słoneczną, może wynieść kabinę na orbitę i tak w nieskończoność. Zupełnie jak najzwyklejszą windę!

Mówiąc krótko, Ziemia i Mars nie byłyby już dwoma hermetycznie oddzielonymi światami, lecz dwiema społecznościami trwale ze sobą połączonymi, między którymi ludzie mogliby się swobodnie przemieszczać. Proszę pomyśleć o windzie energetycznej jako o moście pomiędzy światami, nici Ariadny prowadzącej ludzką cywilizację przez System Słoneczny.

Mam nadzieję, że udało mi się przekazać Pani choć odrobinę mojego entuzjazmu. Nie wątpię, że w obecnej chwili jest Pani niezwykle zajęta, ale byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby zgodziła się Pani ze mną spotkać w Waszyngtonie, u Pani w Nowym Jorku lub na przylądku Canaveral, by o tym porozmawiać.

Szczerze oddany,

Profesor Barry Mirwood, Ph.D.

PS Pozwalam sobie załączyć schemat, który w prosty sposób ukazuje, na czym polega mój pomysł.

Nie mogąc wykrztusić słowa, Andrew klika w załącznik.

Na ekranie pojawia się schemat.

– Andrew... – szepcze Harmony. – Na co my trafiliśmy?...

– Na naszego dzokera – odpowiada chłopak gorączkowo.

– Energetyczna winda kosmiczna... Czy coś takiego naprawdę można zbudować?

– Człowiek, który wysłał tę wiadomość, wydaje się o tym przekonany. I to już przy następnej podróży Cupido, za niespełna marsjański rok.

– Ale to wszystko zmienia! – wykrzykuje dziewczyna. Jednak natychmiast się poprawia: – ... Albo i nie. Uczestnicy programu nigdy nie zobaczą tego rysunku. Nigdy się nie dowiedzą, że istnieje nadzieja, iż mogliby powrócić na Ziemię. Możliwe, że mama zdążyła już rozhermetyzować bazę...

Andrew natychmiast przełącza na kanał Genesis w telewizji internetowej, by

to sprawdzić.

Ogród w szerokim planie.

Znajduje się w nim ośmioro uczestników w skafandrach, można ich zidentyfikować po plakietkach z imionami przyszytych na rękawach. Są z nimi także psy. Brakuje tylko Aleksieja, Kris, Teo, Fangfang i dwóch robotów.

ENERGETYCZNA WINDA KOSMICZNA /

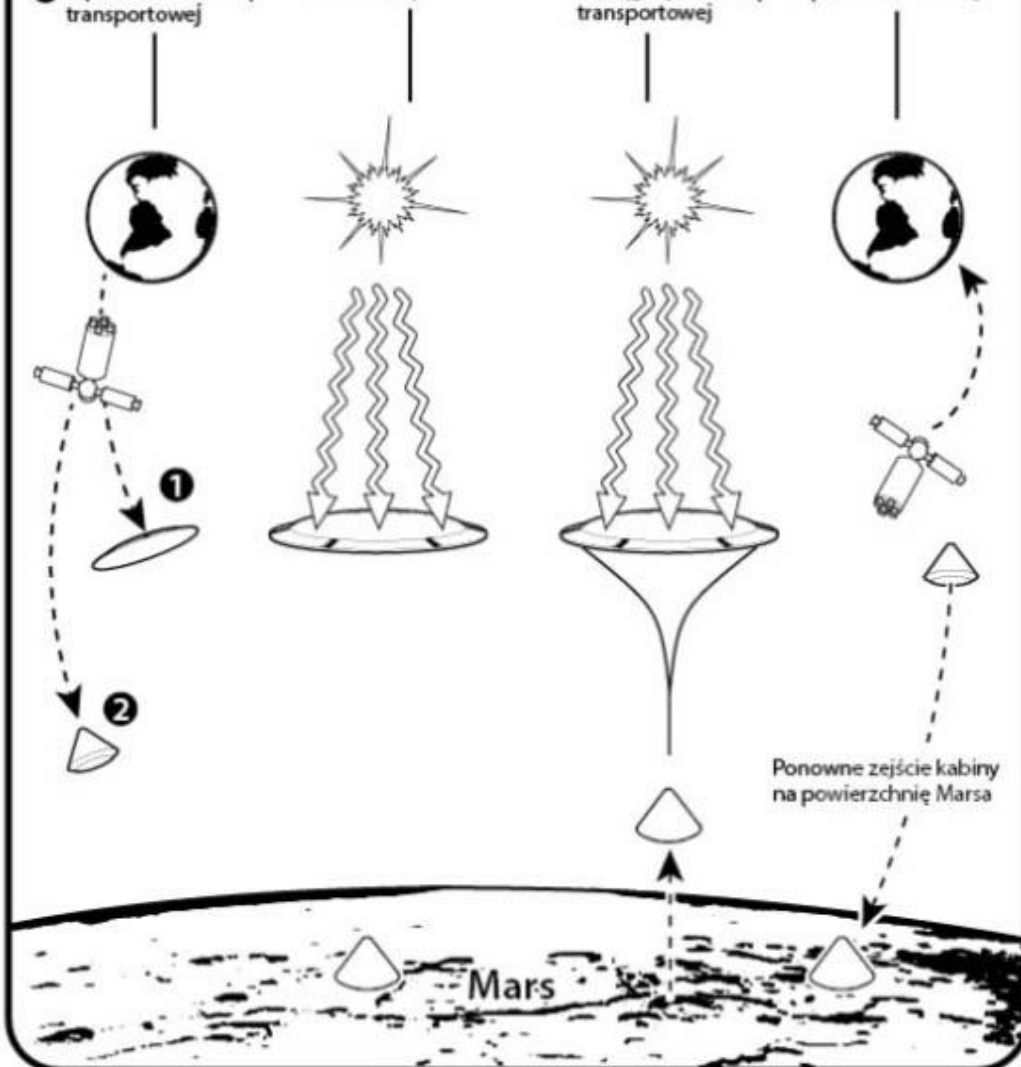
projekt profesora *Mirwooda* do wiadomości pani *Sereny McBee*

- Etap 1**
- 1 Umieszczenie na orbicie okołozemskiej satelity energetycznego
 - 2 i spuszczenie kabiny transportowej

- Etap 2**
- Rozwinięcie satelity energetycznego i naładowanie energią słoneczną

- Etap 3**
- Wysłanie wiązki promieniowania mikrofalowego i wciągnięcie kabiny transportowej

- Etap 4**
- Przetransportowanie pasażerów kabiny na pokład *Cupido* i powrót na Ziemię



Na ścianie kopuły pojawia się gigantyczna twarz Sereny McBee.

Serena: Jak miło znów was zobaczyć po tej długiej przerwie reklamowej – która, pragnę to zaznaczyć, została zaplanowana z wyprzedzeniem, ale wypadła tak nieszczęśliwie w chwili, gdy napięcie sięgnęło zenitu! Günter właśnie nas poinformował, że na długo przed przybyciem naszych osadników w niezamieszkałej jeszcze bazie pojawiły się drobne problemy techniczne. Oczywiście produkcja nie miała pojęcia o zaistnieniu tych problemów, w przeciwnym razie zostałyby one zapisane w dzienniku pokładowym. Niemniej jednak, nie mogę się już doczekać, by się o tym dowiedzieć czegoś więcej, tak samo jak wy, moi kochani osadnicy, a także wy, drodzy widzowie. Ale powiedzcie mi, skoro o wilku mowa, gdzie się podział Günter?

Kelly podchodzi do ściany kopuły. Kamera natychmiast robi na nią zbliżenie, ukazując twarz za wizjerem hełmu.

Kelly: Krisaleks i Fangtao są w schronie z robotami. Chcieli porozmawiać z nimi na osobności. To znaczy, jak rodzice ze swoimi dziećmi, co świadczy o tym, jak bardzo są stuknięci!

Sarkastyczna uwaga w stylu Kelly, ale tym razem nie towarzyszy jej ironiczny uśmiešek ani figlarny błysk w niebieskich oczach Kanadyjki.

Kelly (natychmiast dodaje): W każdym razie jestem pewna, że ten wypadek to nie było nic poważnego. Tak jak powiedziałaś, Sereno, gdyby to było istotne, w dzienniku pokładowym znalazłaby się jakaś informacja na ten temat. Nie mamy się czym martwić, prawda?

Kamera oddala się, by pokazać pozostałych osadników, którzy z wielką gorliwością kiwają głowami, przysięgając, że zupełnie nie obawiają się o wytrzymałość bazy. Tylko Léonor, Kenji i Marcus obserwują scenę w milczeniu.

Elizabeth: Jako specjalistka w dziedzinie inżynierii mogę się założyć, że zewnętrzny obiekt, o którym mówił Günter, to niewielki fragment skały, trochę ostrzejszy niż inne, który zarysował siódmy moduł mieszkalny – i tak, być może przebił poszycie, ale musiała to być śmiesznie mała dziurka, nie większa niż główka od szpilki.

Mówi trochę zbyt głośno, za szybko, na jednym oddechu.

– Przecież od razu widać, że ona nie wierzy w to, co mówi! – woła Harmony. – A przerażający hałas, który przed chwilą słyszeliśmy, z pewnością nie był spowodowany przez „niewielki fragment skały”!

Siedząc na skraju starego materaca w głębi ciemnej chaty, dziewczyna

trzęsie się z oburzenia.

– To mama kazała im kłamać, jestem tego pewna – dodaje. – To jasne jak słońce na niebie!

– Być może dla ciebie, bo znasz prawdę – odpowiada Andrew. Ma na głowie czołówkę, z którą często eksplorował opuszczoną kopalnię. – Ale widzowie jej nie znają. Jestem pewien, że uważają, że Liz jest szczerą, tylko trochę wstrząśniętą tym, co się zdarzyło, ale szczerą.

Oświetlając sobie czołówką wewnątrz plecaka, wyciąga z niego ogromny pilot z anteną; ale Harmony nie zwraca na to uwagi: odwróciła już wzrok, program wciągnął ją całkowicie.

Nagle za plecami Liz otwierają się pancerne drzwi schronu. Angielka oddycha z ulgą, gdy dwie pary wchodzi do ogrodu wraz ze swymi robotami.

Mozart (zwraca się do Kris, ignorując ostentacyjnie Aleksieja): No i?

Za wizjerem kasku młoda Niemka jest blada niczym prześcieradło, ale udaje jej się uśmiechnąć i odpowiedzieć.

Kirsten: Fałszywy alarm. Wszystko jest już w porządku. (Pochyla się do robota w muszce i zadaje mu pytanie, wymawiając dokładnie każde słowo). Günter, czy poszycie siódmego modułu jest już naprawione?

Robot (swoim sztucznym głosem): Potwierdzam.

Kirsten (biorąc głęboki wdech): Günter, czy w bazie Nowy Eden, odkąd powstała trzy lata temu, doszło do jakichkolwiek innych uszkodzeń?

Günter (niewzruszony): Zaprzeczam.

Kirsten (podsumowuje, niczym prokurator, który przesłuchał świadka, a teraz buduje swą argumentację na jego zeznaniach): Tak więc w ciągu trzech lat zdarzył się tylko jeden incydent, obecnie naprawiony, należy więc uznać, że średni poziom awaryjności jest bardzo niski?

Kamera robi zbliżenie na okrągłe oko robota, który odpowiada: Potwierdzam.

Kirsten (podnosi się w końcu, ze spoconym czołem i zaparowanym wizjerem i odwraca do pozostałych): Widzicie, niepotrzebnie się martwiliśmy.

– Zadała pytania w taki sposób, by odpowiedzi uspokoiły widzów! – oburza się Harmony. – To jest wyreżyserowany spektakl!

– Od samego początku, Harmony – odpowiada Andrew, wciąż z czołówką na głowie. – Od startu Cupido...

– Nie mogę uwierzyć, że uczestnicy muszą udawać, że wszystko jest w porządku, podczas gdy wiedzą, że baza jest do niczego, a na zewnątrz czai się jakieś zagrożenie. Tak bardzo chciałabym im powiedzieć, że istnieje nadzieja na powrót, nawet jeśli tylko malutka. Tak bardzo chciałabym im powiedzieć o windzie energetycznej!

– Być może będziesz mogła to zrobić, Harmony.

Dziewczyna nagle zdaje sobie sprawę z gorączkowej aktywności swojego towarzysza, siedzącego obok niej na łóżku.

– Co to jest? – pyta, wskazując na ogromny pilot z anteną, na który pada światło lampki. – Nowy gadżet?

– To telefon satelitarny – wyjaśnia Andrew. – Dzięki niemu na początku lata udało mi się włamać do bazy na przylądku Canaveral z moim minidronem. Nie musiałem się przejmować tym, że łączność naziemna została zablokowana. Mój biedny mały żuczek został zniszczony, ale system, który umieściłem na miejscu, powinien wciąż działać.

– System? Jaki system?

Po twarzy Andrew przebiega uśmiech, na chwilę wymazujący z niej niepokój i zmęczenie i zastępujący je radością dziecka, które zrobiło komuś niezły kawał, numer życia.

– W lipcu nielegalnie podłączyłem się do jedynej sieci umożliwiającej łączność między bazą na przylądku Canaveral i światem zewnętrznym... – mówi. – Sieci, która działa nieprzerwanie, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, wysyłając w przestrzeń kosmiczną strumień obrazów od księżyca zalewający Ziemię. Narysować ci to czy rozumiesz?

Oczy Harmony się rozszerzają.

– Chcesz powiedzieć... – szepcze.

– Tak! – wykrzykuje chłopak. – Międzyplanetarna sieć Genesis! Przeszukałem dokumenty mojego ojca. Wiesz, że był odpowiedzialny za łączność w programie. Znalazłem kody dostępu. Byłem wtedy zdecydowany na wszystko, byle mu zaszkodzić! Podłączyłem więc mój telefon do satelity, który odbiera dane laserowe z kosmosu i konwertuje je w fale radiowe na zakodowanej częstotliwości odbierane przez anteny satelitarne na przylądku Canaveral. Wówczas chciałem tylko zhakować tę częstotliwość, aby móc na odległość kontrolować minidrona i pokazywać obrazy z sali kontroli lotów na mojej pirackiej stronie. Ale dziś, Harmony, nic nie stoi na przeszkodzie, byśmy używając tej częstotliwości, nadali sygnał do satelity krążącego wokół Ziemi, potem do anteny umieszczonej na Fobosie... aż do bazy Nowy Eden!

Andrew jedną ręką podłącza wielki telefon do prądu – na malutkim ekranie wyświetla się wiadomość: „POŁĄCZENIE SATELITARNE W TOKU...”.

– Spróbujesz porozmawiać z pionierami? – pyta podekscytowana Harmony.
– Tak jak mama rozmawia z nimi z Ziemi?

– Nawet lepiej...! – odpowiada Andrew.

Drżącymi palcami rozwija kabel, którego jeden koniec podpina do telefonu satelitarnego, a drugi do swojego laptopa.

– ... Napoleon twierdził, że prosty schemat jest lepszy od długiego wyvodu.

– Nie! – woła Harmony. – Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że pokażesz im

plan windy?

– Właśnie to zamierzam zrobić. Ale nie tylko oni go zobaczą. Jeśli uda mi się zrobić to, o czym myślę, zobaczy go cały świat!

PLAN

**21 miesiąc / 578 sol / godz. 9.25 czasu marsjańskiego
[28 sol od lądowania]**

– *Co za ulga!* – woła Serena z kopuły ogrodu.

Rozpromienia się od ucha do ucha uśmiechem wilka w owczej skórze.

– *To szczęście, że Günter wspomniał o tym nieznaczącym incydencie, w dodatku jednorazowym. Oto, dlaczego nie zostało to odnotowane w dzienniku pokładowym, a ja nie mogłam o niczym wiedzieć! Oczywiście trzeba będzie zbadać sprawę i wyjaśnić, co właściwie zaszło, ale w tej chwili jesteście całkowicie bezpieczni, moi drodzy pionierzy. Więcej strachu niż bólu!...*

Tak samo dla nas jak dla ciebie, mam ochotę dodać. Byłaś o włos od katastrofy. Ale co się odwlecze, to nie uciecze. W końcu sprawiedliwości stanie się zadość, bo to niemożliwe, byś triumfowała wiecznie i pozostawała bezkarna.

– Dziękujemy, Sereno, że tak się o nas troszczysz! – rozbrzmiewa głos Kris w moich słuchawkach, w całkowitej sprzeczności z moimi myślami.

Odwracam głowę, by sprawdzić, czy żartuje. Ale za wizjerem jej hełmu nie dostrzegam ani śladu ironii. W jej twarzy widzę tylko prawdziwą wdzięczność oraz, co przynaję ze zgrozą, pewien rodzaj religijnego wręcz oddania.

– Służby meteorologiczne poinformowały mnie, że najgorsze już minęło – ciągnie Serena na ekranie. – Warunki pogodowe powinny się wkrótce poprawić. Możecie na mnie liczyć: zawsze będę przy was... by służyć wam pomocą... i wypełniać moje zobowiązanie do ws-ss-ss-pie-pie-ra-ra-ann...

Głos Sereny zacina się jak zdarta płyta, a jej twarz znów przecinają białe paski.

– Wygląda na to, że ponownie mamy zakłócenia w łączności – zauważa zaniepokojona Liz. – Być może burza wcale się jeszcze nie uspokoiła?

Białe linie pokrywają wkrótce cały ekran i po kilku chwilach Serena znika, a zamiast jej twarzy ukazuje się jakiś rysunek. Jest na nim Ziemia i Słońce. Jest także Cupido. I wiązka promieniowania łącząca powierzchnię Marsa z przestrzenią kosmiczną i unosząca się pomiędzy nimi mała kapsuła.

– A to co znowu!? – woła Kelly. – To część tego zobowiązania do udzielania nam technicznego wsparcia?

Nikt nie odpowiada. Wszyscy czytają.

Energetyczna winda kosmiczna...

Projekt profesora Mirwooda do wiadomości pani Sereny McBee...

Kabina transportowa...

Powrót na Ziemię...

Powrót na Ziemię!

– Czy to sen? – jąka Mozart.

Kelly podskakuje i chwyta Brazylijczyka za ramię.

– Juhuuu! – wrzeszczy.

– Całkiem ci odbiło? Uszczypnęłaś mnie jak jakiś krab, ciągle coś do mnie masz?

– Poczuleś? A więc nie śniesz, drugi pilocie, i ja też nie! Dobrze przeczytaliśmy: powrót na Ziemię! Aleksiej miał rację, Serena jest naprawdę super i można na nią liczyć. Akcja repatriacja: Serena sprowadzi nas do domu!

KONTRPLAN

Rezydencja na terenie Obserwatorium Marynarki Wojennej, Waszyngton DC, niedziela, 7 stycznia, godz. 7.22

„Akcja repatriacja: Serena sprowadzi nas do domu!”

Serena McBee siedzi jakby skamieniała za blatem swojego biurka, na którym stoi jedynie przewodowy telefon.

Na wielkim ekranie naprzeciwko wyświetlają się dziesiątki okienek pokazujących nagrania z poszczególnych kamer w bazie Nowy Eden. W centralnym oknie widać ogród, a w nim Kelly szalejącą z radości przed schematem, który pojawił się na wewnętrznej ścianie kopuły.

Producentka wykonawcza bierze się w garść i zaczyna uderzać gorączkowo w przyciski na panelu sterowania, by przełączyć się na obraz z innej kamery.

Ale nic nie działa.

Na ekranie roboczym, w centralnym oknie, w którym pojawia się to, co mogą zobaczyć widzowie kanału Genesis, wciąż widać ogród, pionierów i wyświetlający się przed nimi gigantyczny schemat windy kosmicznej.

POZA PLANEM

**Paryż, Pola Elizejskie,
niedziela 7 stycznia, godz. 13.22**

Na Polach Elizejskich wybucha wrzawa, jaką słyszano tu tylko dwa razy w historii: w dniu wyzwolenia Paryża i ostatni raz, gdy piłkarska reprezentacja Francji zwyciężyła w mistrzostwach świata.

Na gigantycznym ekranie zawieszonym na Łuku Triumfalnym wyświetla się marsjańska kopuła ze schematem windy energetycznej, którą wspaniałomyślna Serena McBee przygotowuje dla marsjańskich osadników – tak w każdym razie interpretuje to tłum.

– Co się dzieje? – starsza pani z zakupami pyta swego nowego przyjaciela z przedmieścia, który, zdaje się, całkiem już zaadoptował babcię.

– Ta kobitka, Serena, jest niesamowita! Zainstaluje na Marsie windę, żeby osadnicy mogli wrócić, jeśli ta ich baza pierdolnie!

– Windę? – powtarza zdziwiona staruszka. – Od trzydziestu lat próbuję przekonać wspólnotę mieszkaniową, żeby zainstalować taką w naszej kamienicy... Ale sądzę, że ci młodzi ludzie potrzebują jej bardziej niż ja, prawda Mirza?

Pudel szceka, jakby chciał potwierdzić słowa swej pani.

W tej samej chwili chłopak w dresie kładzie dłoń na ramieniu nowej znajomej.

– Psze pani, niech pani popatrzy! To my! Program Genesis pokazuje pionierom, jak bardzo się z nimi cieszymy.

Na wielkim ekranie rzeczywiście coś się zmieniło; na kopule nie wyświetla się już obraz windy, lecz paryskiego tłumu zebranego pod majestatycznym pomnikiem, tak jak pokazują go kamery francuskiej telewizji. Pod szklanym dachem pionierzy w skafandrach zaczynają machać rękami i wydawać z siebie okrzyki radości.

W odpowiedzi na te znaki wysłane z Marsa pod obeliskiem na placu Zgody podnosi się gigantyczna meksykańska fala, która ciągnie się aż do placu Gwiazdy.

– Proszę się przygotować do fali, psze pani – uprzedza chłopak. – Raz... dwa... trzy!

Starsza pani podnosi ręce do góry razem ze wszystkimi obok niej, pociągając za smycz Mirzy, który staje radośnie na dwóch łapach.

– Ooolaaa!

POZA PLANEM

**Hotel California, Dolina Śmierci,
niedziela 7 stycznia, godz. 4.28**

Cindy, z nosem przyklejonym do telewizora, przeskakuje nerwowo po kanałach.

Na dywaniku przed łóżkiem z przewróconego kubelka lodów wylewa się topniejąca biało-różowa lawa o smaku truskawkowo-orzechowym.

Times Square, Nowy Jork, godz. 7.29

Choć to niedzielny poranek, plac jest zatłoczony jak w dzień powszedni w godzinach szczytu. Niezliczone ekrany zainstalowane na budynkach pokazują zdumionych marsjańskich osadników wpatrujących się w kopułę ogrodu. Radość nowojorczyków odbija się w szklanych szybach niczym w lustrze rozłożonym między dwiema planetami.

Podeksytowana dziennikarka krzyczy do mikrofonu: Cóż za niewiarygodny zwrot akcji. Coś takiego może się zdarzyć tylko w programie Genesis! W chwili, gdy pojawiły się wątpliwości co do bezpieczeństwa bazy Nowy Eden, w chwili, gdy zaczęto snuć najbardziej szalone domysły co do natury dziwnych hałasów słyszanych podczas marsjańskiej burzy, Serena McBee odkrywa projekt budowy kosmicznej windy energetycznej, by przyspieszyć podbój Marsa... i w razie problemów umożliwić osadnikom ewakuację! Co za niesamowity talent! No, co za talent!

Klik!

Wydanie specjalne dziennika telewizyjnego.

Prowadzący w garniturze i krawacie swym przenikliwym spojrzeniem zdaje się pytać widzów:

– Kim jest Barry Mirwood? Jaki człowiek kryje się za tym nazwiskiem, które jeszcze kilka minut temu było zupełnie nieznanne? Nasza ekipa, szybka niczym błyskawica, odnalazła go dla państwa i za chwilę przedstawię go państwu na żywo!

Ekran dzieli się na dwie części, prowadzący pozostaje w oknie z lewej strony, a po prawej pojawia się starszy mężczyzna z długą białą brodą w piżamie w gwiazdy i rakiety. Zmięta pomarszczona skóra i odcisk poduszki na policzku wskazują, że właśnie wyrwano go z łóżka. Leczący błysku w oczach widać, że wcale nie jest już śpiący, naładowany niczym bateria elektryczna.

– Pan Barry Cesar Mirwood? – pyta prezenter, by się upewnić co do

tożsamości rozmówcy.

– *Tak to ja!* – odpowiada staruszek.

– *Konsultant naukowy do spraw przestrzeni kosmicznej przy kancelarii prezydenta Greena?* – ciągnie prezydent, czytając z kartki.

– *We własnej osobie.*

– *Czy to pan jest autorem projektu windy energetycznej, który jest właśnie prezentowany na kanale Genesis?*

– *Oczywiście!* – odpowiada uradowany profesor. – *Pracuję nad pasjonującym projektem wind kosmicznych już od trzydziestu lat i kiedy tylko nadarzyła się okazja, poinformowałem o tym panią McBee. Zawsze byłem przekonany, że będzie potrafiła docenić korzyści płynące z tego wynalazku, ponieważ tak samo jak ja jest dyplomowanym naukowcem!*

– *Trzeba przyznać, że ten wynalazek pojawia się w samą porę. Proszę powiedzieć, naprawdę uważa pan, że to cudo mogłoby zostać przygotowane przed kolejną wyprawą Cupido na Marsa, na drugi sezon programu Genesis, w czasie krótszym niż dwa ziemskie lata?*

– *Wistocie. Moglibyśmy nawet wszystko przyspieszyć, jeśli zaszłaby potrzeba, i wysłać Cupido na Marsa wcześniej, wyposażonego tylko w mojego satelitę energetycznego i kabinę transportową.*

– *Nadzwyczajne! Profesorze, pozwoli pan, że otwarcie zadam mu pytanie, które stawia sobie cały świat. Ile to będzie kosztowało?*

– *Och! Dziesiątki miliardów dolarów! Ale, tak jak zasugerowałem pani Serenie McBee, należy zainwestować zyski z programu Genesis w ten projekt, w imię nauki. Nie mam wątpliwości, że pani wiceprezydent przekona do tego Atlas Capital!*

KONTRPLAN

Rezydencja na terenie Obserwatorium Marynarki Wojennej, Waszyngton DC, niedziela, 7 stycznia, godz. 7.35

W drzwiach gabinetu Sereny McBee w Obserwatorium staje Orion Seamus.

Pomimo wczesnej pory jest jak zawsze nienagannie ubrany i uczesany, jego jedyne oko błyszczy obok czarnej przepaski zasłaniającej drugą połowę twarzy.

– Wzywała mnie pani, pani McBee? – pyta.

– Zamknij drzwi.

Głos Sereny jest ostry jak brzytwa.

Agent Seamus starannie zamyka za sobą drzwi, po czym przenosi swoje spojrzenie cyklopa na imponujące wyposażenie techniczne, które Serena poleciła zainstalować w gabinecie wiceprezydentów Stanów Zjednoczonych. Na ogromnym ekranie roboczym centralne okno wciąż pokazuje ogród Nowego Edenu. Na ścianie kopuły przed oczami osadników przewijają się obrazy z kanałów telewizyjnych na całym świecie, ukazujące tłumy wiwatujące na wieść o projekcie windy energetycznej.

– Agencie Orionie Seamusie, nadeszła chwila, kiedy możesz dać dowód niezachwianej lojalności, którą mi wczoraj przysięgałeś... – oznajmia Serena.

Na twarzy trzydziestolatka pojawia się uśmiech.

– Jestem do pani dyspozycji, pani McBee!

Serena się jednak nie uśmiecha. Wskazuje ekran; na ścianie kopuły pojawia się widok placu Tiananmen w Pekinie, który wypełnia rozradowany tłum.

– Czy cię także cieszy cała ta historia z windą energetyczną? – pyta bez ogródek.

– Jestem pewien, że produkcja wie najlepiej, co należy zrobić, by zapewnić osadnikom bezpieczeństwo – odpowiada ostrożnie agent Seamus.

– To nie produkcja zdecydowała o pokazaniu projektu windy i to nie my retransmitujemy w tej chwili reakcje fanów do bazy Nowy Eden. Schemat i te obrazy nie pochodzą z programu Genesis. Tymczasem mój zespół z przylądka Canaveral zapewnia mnie, że sygnał przechodzi przez naszą zabezpieczoną międzyplanetarną sieć. To znaczy, że jakiemuś hakerowi udało się do niej włamać. Zabezpieczenia Genesis zostały już raz złamane; sześć miesięcy temu, w lipcu, zdjęcia z bazy na Florydzie zostały wyemitowane na pirackiej stronie internetowej. Jestem pewna, że za obydwoma włamaniami stoi ta sama osoba. I chyba wiem, kto to taki.

Serena wstaje zza biurka i podchodzi do mężczyzny stojącego na środku pokoju. Wbija wzrok w jego jedyne oko z tak bliska, że dostrzega miriady świecących ziarenek w kolorze ochry w jego brązowej tęczówce.

– Nie wiesz jeszcze wszystkiego o Andrew Fisherze – szepcze Serena. – On miesiąc temu włamał się do mojego domu, do mojej willi. Nie mówiłam tego, by go nie pogrążyć. Ale dziś muszę przyznać to, co oczywiste: rysunek, który wyświetla się teraz na ekranie, pochodzi z archiwum mojej skrzynki pocztowej. Tylko Fisher mógł się do niego dostać. Tak więc to on nadaje w tej chwili przez kanał Genesis i to z pewnością on włamał się w lipcu do bazy.

– Te działania zakrawają na terroryzm – mówi poważnie agent Seamus. – Zwłaszcza w tym trudnym dla naszej ojczyzny okresie. Naprawdę, była dla niego pani zbyt wyrozumiała. Podwoimy wysiłki, by go odnaleźć, jeśli będzie trzeba przeczeszymy cały kraj.

– To nie będzie konieczne. Moi pracownicy poinformowali mnie także, że zlokalizowali źródło pirackiego sygnału. Kalifornia. Dolina Śmierci. Sucha Góra...

– Podaje agentowi kartkę – ... tutaj masz dokładne współrzędne.

Palce Oriona Seamusa zamykają się na papierze, dotykając przez moment palców Sereny.

– Już idę, proszę pani – mówi. – Zawiadomię stacjonujące w tamtym rejonie siły specjalne i obiecuję, że osobiście dopilnuję, by go aresztowano.

– Bardzo na to liczę. Pamiętaj, że Andrew jest psychicznie niestabilny. Będzie wymyślał niestworzone historie, by uzasadnić swoje postępowanie.

– O to proszę się nie martwić, drony nie słuchają ludzkich historii. Zadbam, by podejrzany został doprowadzony do tajnej bazy, bez wiedzy lokalnych władz federalnych, tak by mogła go pani osobiście przesłuchać. Podejrzenie o terroryzm upoważnia nas do takich działań.

Serena delikatnie odsuwa dłoń od ręki młodego geniusza CIA.

– Widzę, że się rozumiemy – mówi z uśmiechem. – Mój pracodawca, Atlas Capital, uważa, że motywują mnie wyłącznie pieniądze, a ja chętnie pozwalam mu w to wierzyć, ale pieniądze są tylko środkiem. Moją prawdziwą ambicją zawsze była władza. Tak samo jak twoją, prawda, Orionie? To dlatego tak doskonale się rozumiemy. Ty i ja urodziliśmy się, by oświecać i prowadzić naszych bliźnich. – Uśmiecha się jeszcze szerzej, po czym dodaje: – Ach! Jeszcze jedno! Andrew Fisherowi będzie towarzyszyła dziewczyna. Ją także aresztujcie.

Agent Seamus kłania się i znika bez słowa.

Ledwie zamykają się za nim drzwi, telefon na biurko zaczyna dzwonić. To bezpośrednia linia pani wiceprezydent. Serena podnosi słuchawkę znudzonym gestem.

– Halo?

– Helikopter spółki Atlas Capital prosi o zgodę na lądowanie na trawniku

przed Obserwatorium, pani wiceprezydent – informuje sekretarka.
– Zezwalam.

POZA PLANEM

**Opuszczona kopalnia, Dolina Śmierci,
niedziela 7 stycznia, godz. 4.39**

Andrew Fisher i Harmony McBee wpatrują się w ekran laptopa, na którym otwierają się okna z kanałami telewizyjnymi z różnych stron świata. Wszystkie telewizje podają niezwykłą wiadomość: decyzję kierownictwa programu Genesis o skonstruowaniu energetycznej windy marsjańskiej.

– Francja, Niemcy, Wielka Brytania, Stany Zjednoczone, Kanada, Nigeria, Brazylia, Rosja, Japonia, Singapur, Chiny, a teraz Indie! – oznajmia Andrew. – Gotowe, na ekranie kopuły w Nowym Edenie będą się naprzemiennie ukazywać obrazy z telewizji z krajów pochodzenia wszystkich uczestników.

Ciszę Doliny Śmierci przesywa nagle odległe wycie kojota.

Andrew odrywa wzrok od ekranu, wiązka światła jego czołówki oświetla wnętrze chaty, by w końcu paść na jego zegarek.

– Minęło pół godziny, odkąd przejęliśmy kontrolę nad kanałem Genesis – mówi. – Widać, że cały świat przyjął entuzjastycznie pomysł windy energetycznej. Program Genesis nie ma już odwrotu... Serena McBee też nie. Za kilka chwil oddam jej kontrolę, a ona będzie zmuszona potwierdzić widzom, że Genesis zbuduje tę windę!

– To cudowne, Andrew! – wykrzykuje Harmony. – Dzięki tobie uczestnicy zobaczyli, że solidaryzują się z nimi miliony ludzi...! – Natychmiast jednak dodaje: – Tylko trochę szkoda, że nie mogli zobaczyć nas. Nie wiedzą, że to wszystko pochodzi od nas. Ale oczywiście, pokazywanie naszych twarzy byłoby zbyt niebezpieczne...

– Myślę, że jest inny sposób, by dać im znać, że to my! – zapewnia Andrew.

Jego palce przebiegają z zawrotną prędkością po oświetlonej czołówką klawiaturze. Obydwoje są zbyt zaabsorbowani, by zauważyć odległe cienie widoczne na tle księżyca przez pozbawione szyby okno chaty. Wygląda to jak klucz dzikich gęsi, zmierzający w kierunku Suchej Góry niczym strzała...

KONTRPLAN

Rezydencja na terenie Obserwatorium Marynarki Wojennej, Waszyngton DC, niedziela, 7 stycznia, godz. 7.42

– To niedopuszczalne! – oburza się android Oraculon swoim bezbarwnym głosem.

Na powierzchni czarnej kuli, która jest jego głową, cyfrowa twarz krzywi się jak biała teatralna maska wyrażająca gniew. Za androidem, pośrodku kręgu w śniegu, stoi helikopter, którym przyleciał; śmigło już nie pracuje, a trawnik Obserwatorium spowija nocna cisza.

– Media na całym świecie ogłaszają, że Atlas Capital zainwestuje zyski z programu w szalony projekt budowy windy energetycznej – mówi dalej android do stojącej przed nim Sereny, ubranej w drogie futro z norek. – Nie ma mowy!

– No, no! – łaja go kobieta, grożąc mu palcem. – Nie wypowiadaj się tak kategorycznie. Stanowczo odradzam zarządowi Atlas Capital wydawanie jakichkolwiek oświadczeń w tej sprawie. Naprawdę chcecie się pokazać jako przedsiębiorstwo, które dla własnych zysków odmawia pomocy pionierom w chwili, gdy opinia publiczna zaczyna podejrzewać, że grozi im jakieś niebezpieczeństwo? Jeśli tak, przygotujcie się na manifestacje oszalałych fanów pod oknami waszych biur.

Trójwymiarowa twarz krzywi się jeszcze bardziej.

– Ale nasze zyski są prawnie chronione...

– Mówię tylko, że jeśli się nie dostosujecie, wywołacie tsunami, którego nic nie zdoła zatrzymać. A wtedy runą wszystkie mury i wszystkie prawa, które chronią was i wasze zyski. Ludzie przejmują się losem marsjańskich osadników, jakby to byli członkowie ich rodzin, czy raczej jakby to oni sami znajdowali się tam, na Marsie! Kazaliście mi zorganizować *show*, jakiego jeszcze nie było! Wypełniłam swoje zadanie lepiej, niż ktokolwiek się tego spodziewał. Nie mogłam przewidzieć, że zniecała jakiś haker wyskoczy z tym projektem windy energetycznej. Cóż, teraz musimy sobie z tym poradzić. Jeśli zignorujemy wolę ludu, lud się zbuntuje. Tak zaczynały się wszystkie rewolucje w historii. A jeśli wybuchnie rewolucja, wtedy możecie stracić wszystko! Trzeba zyskać na czasie. Okazać dobrą wolę. Rozpocząć inwestowanie w tę idiotyczną windę i udawać, że jest to część przygotowań do drugiej edycji programu Genesis, a w tym czasie szukać wyjścia z zaistniałej sytuacji. Tak, stracie trochę pieniędzy, ale jeśli odmówicie, stracie wszystko.

Tym razem twarz zamknięta w głowie androida Oraculona nie znajduje odpowiedzi.

PLAN

**21 miesiąc / 578 sol / godz. 10.15 czasu marsjańskiego
[28 sol od lądowania]**

– Patrzcie, obraz znów się zmienia! – woła Safia, wskazując kopułę nad ogrodem.

Ma rację.

Widok przedstawiający tłum ludzi spowity złotawym światłem późnego popołudnia w Nowym Delhi przecinają białe linie. Przez ostatnie pół godziny naprawdę mieliśmy co oglądać! Najpierw na ekranie pojawił się rysunek windy energetycznej niczym miraż wyłaniający się z głębi kosmosu, w który nie mogłam uwierzyć. Uwierzyłam, że to dzieje się naprawdę, gdy ujrzałam transmisję na żywo z Pól Elizejskich, gdzie setki tysięcy ludzi widziały to samo co ja! Później zobaczyliśmy obrazy z wszystkich krajów pochodzenia członków naszej ekipy. I wszędzie było to samo: ogromna radość!

To nie może być nowy podstęp ani oszustwo. Wie o tym zbyt wiele ludzi. Oni oczekują, że ta winda powstanie. Jakie więc powinnam wyciągnąć z tego wnioski? Że Serena jest o wiele lepsza, niż sądziliśmy, jak powiedział Aleksiej? Że naprawdę chce nas uratować, a nie tylko ocalić własną skórę? Kiedy te pytania kłębią mi się w głowie, na ekranie pojawia się odpowiedź.

Na czarnym tle, które zastąpiło obraz z Nowego Delhi, wyświetlają się wielkie kilkumetrowe cyfry: „ $12 + 2 = 14$ ”. Od razu chwytam sens tego równania, które dla widzów musi być prawdziwą zagadką, ale dla mnie jest czymś oczywistym. I jestem przekonana, że dla pozostałych uczestników jest to również jasne, nie musimy więc wspominać na antenie o Andrew i Harmony. Dwanaścioro plus dwoje to czternaścioro! Nasi specjaliści w dziedzinie przetrwania naprawdę zasłużyli na swój tytuł! Jestem pewna, że to oni odkryli ten zesłany przez opatrzność projekt windy kosmicznej i narzucili go Serenie McBee.

Przesyłam im wielkie podziękowanie z głębi mojego serca, kiedy czarny ekran znika z trzaskiem, ustępując miejsca producentce wykonawczej otulonej futrem z norek, z policzkami zaczerwienionymi, jakby właśnie pędem wróciła z zewnątrz, by zdążyć przed kamery. Lepsza, niż sądziliśmy, ona? Nie, na pewno nie! – ale teraz będzie zmuszona udawać, że tak jest.

– *Kochani pionierzy, mam nadzieję, że spodobała się wam moja mała niespodzianka?* – mówi ze swoim legendarnym opanowaniem, ale ja już ją trochę znam, słyszę delikatne drżenie w jej głosie. – *Widzicie, zdecydowaliście się na*

podróż w jedną stronę, lecz ja zawsze żywiłam nadzieję, że pewnego dnia, jeśli tego zapragniecie, sprowadzę was z powrotem, a z wami wasze dzieci. Zawsze dążyłam do zbudowania trwałego połączenia między Ziemią a Marsem, które działałoby w obydwie strony. Planowałam, że opowiem o tym o wiele później, w czasie kolejnych edycji programu Genesis, kiedy zostaną rozwiązane wszystkie problemy techniczne i finansowe. Jednak rewelacje Güntera o incydencie z przeszłości bardzo wami wstrząsnęły, widzę to, nawet jeśli wszystko zostało już dawno naprawione. Tak więc w porozumieniu z Atlas Capital podjęłam decyzję o przyspieszeniu prac nad energetyczną windą kosmiczną tak, by projekt mógł zostać zrealizowany jak najszybciej.

Dookoła mnie wszyscy wpadają sobie w ramiona.

– Naprawdę wrócimy do domu! – szlocha Kris. – Nie mogę w to uwierzyć!

– A jednak to prawda, mój aniele! – woła Aleksiej, przytulając ją mocno.

– Powiedz, czy będziemy mogli zabrać ze sobą Güntera? Proszę!

– Jasne i zrobimy mu całe mnóstwo ładniejszych od niego braci!

Mnie też przepelnia radość. Nawet jeśli jest jeszcze wiele rzeczy do wyjaśnienia. Serena znalazła się w potrzasku. Pierwszy raz, odkąd odkryłam raport Noego, zaczynam dostrzegać szansę, byśmy wszyscy wyszli z tego żywi!

Odwracam się do Marcusa, by wziąć go w ramiona i dzielić z nim swą ulgę i nadzieję, jak wszystkie pozostałe pary.

Jednak jego twarz za wizjerem hełmu nagle gasi mój entuzjazm. Jest blady jak duch.

– Chodź ze mną... do Relaksowni... – mówi drżącym głosem.

– Marcus?... – jąkam. – Co się dzieje?...

Zamiast odpowiedzieć, odkręca swój hełm i rzuca go na ziemię, urywając w ten sposób łączność radiową. Po czym odwraca się i idzie w kierunku korytarza prowadzącego do siódmego modułu – jedyne miejsce, do którego widzowie nie mają dostępu.

– Co mu jest? – pyta Kelly.

– Ja... nie wiem. Chyba będzie lepiej, jak za nim pójdę...

Zdejmuję hełm, rzucam go za siebie i biegnę za Marcusem.

Stało się, poczuł, że zbliża się atak! – krzyczy mój wewnętrzny głos. Drugi, ostatni, który nie daje żadnych szans! Wie, że jego czas nadchodzi, i próbuje się ukryć, by umrzeć jak dzikie zwierzęta!

Czuję, że po kręgosłupie spływa mi zimny pot, kiedy staję w wejściu do segmentu łączącego. Marcus pchnął drzwi i jest już na drugim końcu korytarza, naciska właśnie dźwignię otwierającą przejście do siódmego modułu. Korytarz ma zaledwie kilka metrów długości, ale mnie wydaje się bezkresny, mam wrażenie, że moje buty zapadają się w metalową podłogę.

Marcus otwiera drzwi.

Światła Relaksowni odbijają się od jego białego kombinezonu, tworząc wokół oślepiającą lunę.

Myślę o świetle w tunelu, o którym opowiadają osoby, które przeżyły śmierć kliniczną.

– Marcus! – krzyczę, doganiając go wreszcie.

Oszalała wpadam w jego ramiona, podczas gdy on opuszcza dźwignię, by zamknąć nas w siódmym Gnieździe Miłości.

KANAL GENESIS

Niedziela 7 stycznia, godz. 8.07

Plan ogólny. Widok na segment łączący, prowadzący do Relaksowni.

Drzwi do korytarza wychodzące na ogród są otwarte niczym paszcza ogra, który właśnie połknął Marcusa i Léonor, ale wciąż jest głodny.

Dziesięcioro pionierów zbliża się do nich ostrożnie, poza Kirsten i Mozartem. Tych dwoje także zdjęło hełmy, by Léonor słyszała, że wołają jej imię. Dopadają korytarza jako pierwsi i natychmiast się w nim zanurzają, znikając z oczu kamerom.

W słuchawkach pozostałych uczestników rozbrzmiewa zaniepokojony głos Safii: Czekaście... Może Marcus i Léo woleliby zostać sami...

Jednak Aleksiej i Elizabeth już jej nie słyszą, oni również zdjęli hełmy i zaczęli biec. Przekraczają próg drzwi prowadzących do korytarza, goniąc swoich małżonków.

W chwili gdy pozostali pionierzy docierają do wejścia, transmisję programu przerywa dźwięk zapowiadający reklamę.

Cięcie.

[PRZERWA REKLAMOWA]

Przejdzie od czarnego tła do widoku lekko poźółklej fotografii grupy dzieci stojących równym rzędkiem na betonowym dziedzińcu. Twarzyczki są zbyt poważne jak na ich wiek. Kiedy rozbrzmiewają nostalgiczne nuty melodii granej na pianinie, kamera ukazuje zbliżenie na jedno z dzieci, stojące pośrodku: to mała, może sześciolatka dziewczynka, o twarzy usianej piegami i wielkich oczach, które zdają się zadawać widzom jakieś pytanie. To Léonor. Trzyma w dłoniach tabliczkę, na której napisano kredą: Dom Dziecka, Paryż, XX dzielnica, najmłodsza grupa.

Następne zdjęcie ukazuje małego chłopca ze zmarszczonymi brwiami i gniewnymi szarymi oczami, który trzyma za rękę kobietę o nieobecnych wyrazie twarzy. Od razu można w nim rozpoznać Marcusa i domyślić się, że rozczochrana kobieta to jego matka. Odnosi się dziwne wrażenie, że to ona trzyma się kurczowo ręki synka, nie odwrotnie.

Do dźwięków pianina dochodzą skrzypce, wzbogacając melodię.

Zdjęcie Marcusa znika, a jego miejsce zajmuje fotografia Léonor stojącej na platformie startowej na przylądku Canaveral w czasie ceremonii startu programu Genesis. W porównaniu z pierwszym zdjęciem, jej twarz wysmukłała, policzki się

zapadły, rzęsy wydłużyły, jednak pytające spojrzenie pozostało niezmiennie.

I znów zmiana na fotografię Marcusa stojącego na tej samej platformie, tego samego dnia, po drugiej stronie kurtyny z logo sponsorów. W nim także, mimo gęstszych brwi i mocniej zarysowanej szczęki, łatwo dostrzec tamtego małego poważnego chłopca, gotowego na podbój gwiazd.

Muzyka nabiera tempa i intensywności.

Nowe zdjęcie Léonor. Z włosami związanymi czarną wstążką, w podkreślającej figurę szarej koszulce z dżerseju, unosi się pośrodku szklanej Kuli Spotkań. Trzyma w palcach małą karteczkę z wylosowanym imieniem chłopca, którego zaprosiła na swą pierwszą randkę.

Nowa fotografia Marcusa, on także jest w stanie nieważkości. Ubrany na czarno, ze starannie uczesanymi włosami, delikatny półuśmiech rozjaśnia jego twarz. Trzyma w dłoni piękną czerwoną różę, którą właśnie wyczarował, by ofiarować tej, która go zaprosiła.

Do instrumentów dołącza obój, a melodia osiąga swój punkt kulminacyjny.

Nowe zdjęcie pojawiające się na ekranie nie przedstawia już Léonor ani Marcusa osobno, lecz razem; to ich pierwsze spotkanie, chwilę po lądowaniu kapsuł na Marsie; ubrani w obszerne białe skafandry przytulają się pośrodku czerwonej marsjańskiej pustyni. Twarze za stykającymi się wizjerami hełmów promieniają szczęściem.

Rozbrzmiewa słodki kobiecy głos: Z najpiękniejszych związków rodzą się najpiękniejsze kreacje.

Na ekranie pojawia się gama mrożonych potraw, pakowanych w czarne plastikowe tacki w kształcie serca.

Głos z offu: Gotowe dania Léorcus. Kiedy wykwintność Merceagnaca łączy się z wiedzą Eden Food, najbardziej wysublimowana kuchnia staje się dostępna dla wszystkich zakochanych w doskonałym smaku!

Na ekranie pojawia się napis wyryty w białym marsjańskim opalu:

LÉONOR + MARCUS

Efekt morfingu sprawia, że dwa imiona łączą się w jedno, tworząc zapisaną stylową czcionką nazwę marki:

Léorcus

Simply Delicious

Od Merceagnaca i Eden Food

12 przepisów największych szefów kuchni
do spróbowania we dwoje.

Dostępne w dziale dań mrożonych

Cięcie.

PLAN

**21 miesiąc / 578 sol / godz. 10.22 czasu marsjańskiego
[28 sol od lądowania]**

– Marcus! Błagam cię, nie umieraj! Jeszcze nie teraz!

Do oczu napływają mi łzy, które mącą widok twarzy ukochanego... twarzy wciąż tak samo bladej i przerażonej jak przed chwilą w ogrodzie, kiedy poprosił mnie, bym poszła z nim do Relaksowni.

– Nie umrę, w każdym razie jeszcze nie teraz... – zapewnia cicho.

– Tak się bałam!

– ... ale opowiem ci zakończenie mojej historii. Część, której nie słyszałaś, ponieważ poprzysiągłem sobie, że nigdy ci jej nie wyjawię. Dotąd udawało mi się przekonać samego siebie, że nie ma sensu ujawnianie całej prawdy, bo za kilka miesięcy i tak wszyscy zginiemy na Marsie. Ale dłużej nie mogę. Winda wszystko zmienia. Muszę to z siebie wyrzucić, teraz, natychmiast, zanim wpuścimy pozostałych. Wiem, że jeśli im nie otworzę, w końcu sforsują drzwi.

– Co? O czym ty mówisz? Możesz mi wszystko powiedzieć, wszystko, słyszysz? Wiesz przecież, że dotrzymam tajemnicy!

Słyszę stłumione krzyki Kris i Mozarta dochodzące z korytarza prowadzącego do siódmego modułu, zza ciężkich metalowych drzwi, które Marcus zaryglował. Słyszę także głos Sereny McBee z ekranu w sypialni – ten w salonie nie został naprawiony.

– *Co się dzieje, Léonor, Marcus?* – niepokoi się, nie mogąc nas zobaczyć ani usłyszeć w tym pokoju, gdzie mikrofony i kamery zostały zalane roztopionym plastikiem. – *Co robicie w Relaksowni bez mojej zgody i zaproszenia? Zasiłiście chaos wśród kolegów i znów musiałam włączyć reklamę, a ona zaraz się skończy. Widzowie znowu zaczną coś podejrzewać. Naprawdę chcecie wszystko popsuć?*

Nie odpowiadam na wołanie moich przyjaciół, a tym bardziej Sereny. Nie zwracam uwagi na dudnienie w drzwi, na które spada teraz grad uderzeń. Liczy się tylko Marcus. Czy boi się, że zmieniałam zdanie z powodu tej windy? Ponieważ mam teraz szansę na długie życie, myśli, że odwołam wszystko, co mu obiecałam?

– Nawet jeśli uda nam się wrócić na Ziemię, to niczego nie zmieni! – wołam. – Przypomnij sobie napis wyryty w opalu, będę cię kochać wiecznie!

Na twarzy Marcusa maluje się półuśmiech, ale nie ma on nic wspólnego z tym, który znam i tak uwielbiam. Ten jest smutny, skrzywiony, ścięty, niczym skaleczenie.

– Jesteś pewna, że to niczego nie zmienia? – chrypi. – Posłuchaj mnie, zanim naiwnie powtórzysz slogan programu Genesis o wiecznej miłości.

Aj! To zabolalo. Czuję, że to co nadejdzie, zrani mnie jeszcze mocniej. Chciałabym zrobić krok w tył, zamknąć Marcusowi usta, zapomnieć sens słów i wszystkie wspomnienia, które nagromadziły się w ostatnich miesiącach. Salamandra mnie ostrzegala, ale zaryzykowałam i otworzyłam serce. Wspomnień, które się w nim zapisały, nie da się wymazać. Teraz jest już za późno.

Usta Marcusa uchylają się z grymasem. Słowa, które się z nich wydostają, owijają się wokół mnie niczym sznur i zaczynają mnie krępować.

– Czy to niczego nie zmienia, jeśli ci powiem, że wchodząc na pokład, wiedziałem, że baza jest uszkodzona, że wysłano przed nami zwierzęta doświadczalne i że czeka nas pewna śmierć?

Kładzie dłoń na dźwigni otwierającej drzwi i wykonuje pierwsze ćwierć obrotu: czuję się tak, jakbym leżała na stole tortur, a on, kat, obraca korbę, rozciągając mi kończyny, aż kości zaczną pękać.

– Czy to niczego nie zmienia, jeśli ci powiem, że wiedziałem o istnieniu raportu Noego i mogłem ostrzec cały świat podczas ceremonii startu, ale bez słowa pozwoliłem wam wejść do rakiety?

Gwałtownym gestem wykonuje kolejne ćwierć obrotu, a ja czuję, że moje ciało zapada się w sobie, moje wnętrze się skręcają.

– Czy to niczego nie zmienia, jeśli ci powiem, że jedyne, co się dla mnie liczyło, to za wszelką cenę polecieć na Marsa?

Znow ze złością przesuwa dźwignię, rozdzierając resztki tego, co zostało z mojego serca.

Jego piękna twarz, zawsze tak spokojna, zmieniła się w maskę goryczy, która wywołuje we mnie zarówno przerażenie, jak i współczucie. Tylko że to nie jest maska. To prawdziwy on. Maską było czoło, policzki, usta, które tak często całowałam. Na tę myśl ogarnia mnie wstręt, który przeważa nad wszelkimi innymi uczuciami. Czuję, że żołądek podchodzi mi do gardła. W ustach mam gorzki smak żółci. W tej samej chwili nieznajomy, który jeszcze wczoraj przesuwał swoje dłonie po mojej nagiej skórze, wykonuje ostatnią część obrotu, zadaje ostatni cios, którym mnie dobija:

– Nie jestem ofiarą, Léonor. Jestem mordercą, który zupełnie świadomie postawił krzyżyk na waszych jedenastu życiach. Czy ośmielisz się im powtórzyć, że będziesz mnie kochać wiecznie?

Drzwi otwierają się bezszelestnie, ukazując twarze niewinnych, których Marcus skazał na śmierć. Są tam wszyscy dziesięcioro, bez hełmów na głowach, ściśnięci za wózkiem inwalidzkim Tao, trzymającego w dłoni wytrych, którym właśnie zamierzał się posłużyć.

Kris pierwsza spieszy mi na ratunek. Widzę, że jej usta się poruszają, ale nie

słyszę żadnego dźwięku. Zaczyna więc krzyżeć, chwytając mnie za ramiona, i w końcu jej głos dochodzi do mnie z bardzo daleka:

– Léo, co się dzieje? Jesteś taka blada!

Dziewczyny tworzą wokół mnie ochronny krąg. Ponad ich głowami widzę, że chłopcy skupili się wokół Marcusa – dwie oddzielne grupy, jak za czasów Cupido, jakbyśmy zrobili ogromny krok wstecz. Widzę wykrzywioną twarz Mozarta, który przyciskając swoje czoło do czoła Marcusa, wrzeszczy:

– Co jej zrobiłeś? Co jej powiedziałaś? Gadaj!

Palce Kris ściskają moje ramiona tak mocno, jakby chciały je zmiażdżyć.

– Odezwij się, Léo, błagam...

Wszystkie spojrzenia, pełne strachu i niezrozumienia, zwracają się w moją stronę. Czuję, jak paląca żywym ogniem żółć podchodzi mi aż do gardła. Zwymiotować swój ból! Tu i teraz, w Relaksowni, na oczach wszystkich! Powiedzieć, że Marcus jest podłym zdrajcą, i pozwolić im go zlinczować, zemścić się za mnie, w tym pomieszczeniu gdzie nikt nas nie widzi ani nie słyszy!

– Powiedz coś! – błaga Kris. – Powiedz choć słowo!

Mam prawdę na końcu języka. Mogłabym ją wypluć, by się od niej uwolnić, jak wypluwa się zepsute jedzenie, które niechcący włożyło się do ust – bo tym właśnie jest mój związek z Marcusem: oszustwem tak odrażającym jak cały program Genesis, z wierzchu różowym, a w środku czarnym i zbutwiałym.

Mogłabym też przełknąć tę prawdę i strawić ją, aż stałaby się nierozzerwalną częścią mnie, przenikając do mojej skóry, włosów, do każdej komórki mojego ciała – by nikt nigdy się o niej nie dowiedział.

Mówić czy milczeć? Wydać tego, który żywcem rozdarł mnie na kawałki, czy zachować jego żalną tajemnicę? Muszę sama podjąć tę decyzję. Tym razem nie mogę się wymigać, zwracając się do grupy i organizując głosowanie.

Gra skończona, Listy Serca zamknięte, imiona zakochanych na zawsze wryte w niewzruszonym kamieniu planet i fikcyjnej wieczności ekranów. Wzięłam udział w grze i poniosłam klęskę. Nie jestem częścią drużyny, ani nawet pary. Jestem sama. Sama!

112

KANAŁ GENESIS

Niedziela, 7 stycznia, godz. 8.15

PROGRAM GENESIS – SEZON 2

SZEŚĆ NOWYCH UCZESTNICZEK

SZEŚCIU NOWYCH UCZESTNIKÓW

SZEŚĆ NOWYCH HISTORII MIŁOSNYCH

I JESZCZE WIĘCEJ DZIECI

REKRUTACJA WŁAŚNIE SIĘ ROZPOCZYNA:

JUŻ DZIŚ PRZEŚLIJ SWOJE ZGŁOSZENIE

DO PROGRAMU GENESIS!

PODZIĘKOWANIA

Pod koniec tego nowego etapu podróży nadszedł czas, by pokłonić się nisko wszystkim członkom załogi. Zawsze wierni na posterunku Glenn, Constance i Fabien pomagali mi trzymać ster, bym bezpiecznie wylądował; Catherine, Margaux, Céline, Elisabeth i Sylvie nadzorowały manewry z sali kontroli lotów; Larry przeszedł samego siebie i kolejny raz wyidealizował Léonor; Delphine i Benita pracowały nad przyszłością programu; i wreszcie moja rodzina nie tylko zdołała mnie ścierpieć, ale obdarzała mnie wsparciem przez te ostatnie miesiące, kiedy częściej przebywałem na Marsie niż na Ziemi (co wiązało się z opóźnieniem w łączności!).

To dzięki nim druga faza tej misji została doprowadzona do końca. Jestem im za to nieskończenie wdzięczny.

O AUTORZE

Jego ojciec jest Duńczykiem, a matka Francuzką, Victor wychowywał się więc w środowisku wielokulturowym, podróżując z rodzicami po całej Europie. W dzieciństwie zaczął cierpieć na bezsenność, jednak uczynił z niej swojego największego sprzymierzeńca i źródło inspiracji, poświęcając długie noce na pisanie. W 2010 roku otrzymał Grand Prix de l'Imaginaire (najbardziej prestiżową francuską nagrodę z dziedziny literatury fantastycznej) za pierwszy tom swojej tetralogii *Le Cas Jack Spark* [Przypadek Jacka Sparka]. W 2014 roku dostał tę nagrodę powtórnie za powieść *Animale, la malédiction de Boucle d'or* [Animale, klątwa Złotowłosej].

W swojej najnowszej serii *Fobos* trzydziestosześcioletni autor wysyła swych bohaterów w epicką międzyplanetarną misję ku odległym krańcom kosmosu i na granicę ich sił i wytrzymałości.

Po kilku latach spędzonych w Irlandii i Kolorado Victor Dixen zamieszkał w Singapurze.

Tytuł oryginału: *Phobos 2*

Copyright © Editions Robert Laffont, Paris, 2015
through arrangement with Renata de La Chapelle Agency

Copyright © for the translation by Eliza Kasprzak-Kozikowska

Redakcja: Agnieszka Urbanowska

Ilustracje w książce: © Edigraphie

Korekta: Magdalena Adamek / d2d.pl,
Anna Woś / d2d.pl

Projekt okładki: Małgorzata Drabina

Fotografie na 1 s. okładki: chłopak – © Stefano Cavoretto /
Shutterstock.com,
hełm astronauty – © Vadim Sadovski / Shutterstock.com

Grafika na 4 s. okładki: © Vadimsadovski / Fotolia.com

Rysunki postaci: Rafał Szłapa

ISBN 978-83-7515-688-1

moondrive

www.moondrive.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink

woblink.com

